BRACIA KARAMAZOW

A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO.



TEODOR DOSTOJEWSKI

BRACIA KARAMAZOW

ICH ŻYCIE RODZINNE, SPOŁECZNE I RELIGIJNE

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO
BARBARY BEAUPRE

WYDAŁ
A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

HISTORYA JEDNEJ RODZINY

Aleksy Fedorowicz Karamazow był trzecim synem właściciela ziemskiego, Fedora Pawłowicza Karamazowa, którego tragiczna i tajemnicza śmierć narobiła w swoim czasie wiele hałasu.

Ziemianin ów (jak go powszechnie nazywano, mimo, że całe prawie życie spędził poza obrębem swych ziemskich posiadłości) był to szczególny, jakkolwiek dość często zdarzający się typ człowieka. Obok lichego charakteru i rozpustnych skłonności, zdawał się być zupełnie pozbawiony zdrowego rozsądku, był, jak to mówia. "narwany", z tych jednak narwanych, którzy umieją wybornie prowadzić własne interesa majątkowe, ale też tylko te. I tak naprzykład, rozpocząwszy od bardzo małego, jako właściciel drobnego kawałka ziemi, prowadził życie hulaszcze, żywiąc się przytem przeważnie po cudzych domach, a w chwili śmierci znaleziono przy nim przeszło sto tysięcy gotówki. Z tem wszystkiem słynął on w okolicy, jako zupełnie zwaryowany półgłówek, trzeba tu jednak dodać, że większej części swych szaleństw dokonał niezmiernie rozumnie i chytrze, a narwanie jego miało pewne specyalne, czysto narodowe cechy. Fedor Pawłowicz był dwa razy żonaty. Z pierwszego małżeństwa miał jednego syna, Dymitra, z drugiego dwóch: Iwana i Aleksego. Pierwsza jego żona pochodziła z zamożnej i bardzo znanej w okolicy szlacheckiej rodziny Mjusowów, którzy posiadali znaczne dobra. Jakim sposobem dziewczyna posażna, piękna, a przytem, jak na owe czasy, niepospolicie wykształcona, mogła wyjść za mąż za takiego marnego półgłówka, jakim był Karamazow, tego nie silę się wyjaśnić. Sam jednak znałem pannę z przeszłego "romantycznego" pokolenia, która żywiła przez lat kilka zagadkową miłość do pewnego jegomościa, za którego zresztą wyjść mogła każdej chwili najspokojniej w świecie. Mimo to, potrafiła sobie znaleźć tysiące urojonych przeszkód i przeciwności, które zniewoliły ją do rzucenia się ze szczytu stromej i wysokiej skały w głąb bystrej i głębokiej rzeki, gdzie też istotnie utonęła, jedynie tylko dlatego, aby się stać podobną do szekspirowskiej Ofelii. I to tak dalece, że gdyby w tem miejscu zamiast pięknej, malowniczej i wysokiej skały znajdował się zwykły, płaski, prozaiczny brzeg, samobójstwo to nie nastąpiłoby z pewnością. Fakt to jest autentyczny, a nie należy zapominać, że zaszło u nas niemało podobnych w ciagu trzech ostatnich pokoleń. Postępek Adelaidy Mjusow należał do tejże kategoryi zjawisk, a popełniła go niezawodnie pod wpływem owych nieuchwytnych, obcych wpływów i rozprzężenia myśli.

Czy chciała w ten sposób zaznaczyć kobiecą swą samodzielność, idąc wbrew panującym przesądom i despotycznym zachciankom rodziny? Czy usłużna wyobraźnia zrobiła w jej oczach Fedora Pawłowicza śmiałym szydercą i dzielnym szermierzem tej nowej, prowadzącej do wszelkiego dobra epoki? podczas gdy był to tylko lichy pajac, podszyty pieczeniarzem. Dość, że została jego żoną; a co było najciekawsze, że musiał ją Fedor Pawłowicz wykraść, czem ją najmocniej zadowolnił.

Fedor Karamazow, którego stanowisko towarzyskie było jeszcze wówczas bardzo skromne, gotów był na wszelkie kawały, byleby zrobić karyerę. Spokrewnienie się z arystokratyczną rodziną, a przytem zdobycie posagu, było, oczywiście, rzeczą bardzo dla niego nęcącą, co się tyczy jednak wzajemnej miłości, nie było jej prawdopodobnie z żadnej strony. Adelaida Iwanowna, mimo swej piękności, nie wzbudziła wcale głębszych namiętności w sercu swego męża, a był to jedyny wypadek w ży-

ciu tego człowieka, oddanego namiętnościom prawie wyłącznie miłosnym, który gonił ochoczo za każdą napotkaną spódniczką. Ta jedna tylko wśród wszystkich innych nie wywierała na niego żadnego wrażenia.

Adelaida Iwanowna zdała sobie sprawę bardzo prędko po ślubie, że dla męża swego odczuwa tylko pogardę. Naturalnie, skutki tego wzajemnego stosunku dały się uczuć z błyskawiczną szybkością. Rodzina pani Karamazow dała się bardzo prędko przebłagać i oddała jej cały należny jej posag, mimo to, stosunki między małżonkami stały się bardzo burzliwe i rozpoczęły się nieustające sceny. Opowiadano, że w sporach tych młoda małżonka okazała daleko więcej godności i szlachetności, niż mąż, który, jak się później pokazało, wyłudził od niej odrazu cały jej kapitał, wynoszący 2,000 rubli, a następnie usiłował przejąć w posiadanie, za pomocą podrobionego aktu kupna, wioskę jej i dom w mieście, stanowiący jej spadek po rodzicach. Byłoby mu się to, zapewne, udało, dzięki, poprostu, uczuciu wstrętu i pogardy, jakie budził w swojej żonie, która zgodziłaby się na wszystko, byle się go módz pozbyć; na szczęście jednak, rodzina jej wdała się w to i powściągnęła jego chciwość. Opowiadano także, że przychodziło nawet do zniewagi czynnej, że jednak biła tu przedewszystkiem małżonka, dama odważna, prędka, gorącego temperamentu, a przytem obdarzona niepospolitą siłą fizyczną. W końcu Adelaida Iwanowna rzuciła dom i męża, i uciekła z ubogim nauczycielem seminaryum, pochodzącym z niższych warstw ludności, zostawiając synka Dymitra.

Natychmiast po jej wyjeździe, Karamazow zaprowadził u siebie rodzaj haremu, zapijając sie przytem bez pamięci. w antraktach zaś jeździł po całej prawie okolicy, skarżąc się, ze łzami w oczach na żonę każdemu, kto chciał tych skarg słuchać.

Przy tej sposobności opowiadał on o żonie swojej szczegóły, o jakich każdy inny mąż nie wspominałby nawet sam przed sobą bez uczucia wstydu. — Wogóle sprawiało mu, zda się, dziwna przyjemność odgrywać przed każdym śmieszną rolę zdradzonego męża, popisywał się prawie swoją krzywdą, to też żartownisie mówili mu. — "Wyglądacie, Fedorze Pawłowiczu, jakbyście dostąpili wyższej rangi, takie zadowolenie bije od was pomimo waszych strapień". — Niektórzy utrzymywali, że Karamazow udaje tylko nieświadomość, zdając sobie wybornie sprawę ze śmiesznej strony swego położenia, któż jednak wiedzieć może, czy nie było w tem i rzeczywistej naiwności. — W końcu udało mu się natrafić na ślad zbiegłej swej małżonki. Biedaczka przebywała w Petesburgu, wraz ze swym seminarzystą, i zaczynała właśnie puszczać się na pełne fale emancypacyi. — Fedor Pawłowicz zakłopotał się tem cokolwiek i zaczął nawet wybierać się do Petersburga, nie wiedząc właściwie, dlaczego? i poco? Możeby nawet rzeczywiście tam pojechał, gdyby nie to, że powziąwszy takie postanowienie, uczuł się w obowiązku dodać sobie animuszu przed drogą na swój zwykły sposób, tj. oddając się bezprzykładnej pijatyce.

Tymczasem rodzina jego żony otrzymała wiadomość o jej śmierci. Umrzeć miała gdzieś na poddaszu z tyfusu. W chwili otrzymania tej wiadomości, Fedor Pawłowicz był zupełnie pijany. Opowiadano o nim, że wybiegł wówczas na ulicę z wzniesionemi do góry rękami, krzycząc na cały głos z radością: "Jestem wolny". Inni utrzymywali, że płakał, jak małe dziecko, aż żal było patrzeć na niego, mimo wszystkich jego wad. — Bardzo być może, że jedno i drugie było prawdą. Cieszył się, prawdopodobnie, swojem oswobodzeniem i opłakiwał jednocześnie tę, która oswobodziła go swą śmiercią. — W znacznej ilości wypadków ludzie, nawet źli, znajdują więcej w sobie prostoduszności i dobroci, niżbyśmy mogli przypuszczać, a zauważyć to możemy i sami na sobie.

* * *

Łatwo sobie wyobrazić, jakiego rodzaju ojcem i wychowawcą mógł być taki człowiek. — W stosunku jego do syna stało się to, co się stać musiało, tj. zaniedbał go całkowicie. Nie była to bynajmniej jakaś uraza mężowska do dziecka Adelaidy Iwanownej, poprostu — zapomniał o niem najzupełniej.

Podczas gdy Fedor Pawłowicz zanudzał wszystkich dokoła łzami swemi i skargami, zamieniając jednocześnie dom swój w gniazdo rozpusty, trzyletni Mitia znalazł opiekuna w osobie Grigora, wiernego sługi tegoż domu. Gdyby nie on, niktby na-

wet nie pomyślał o zmienieniu chłopcu koszulki. W pierwszych bowiem czasach rodzina matki zapomniała również zupełnie o dziecku. Dziad jego, a ojciec Adelaidy, Iwanowicz, nie żył już wtedy, babka była ciężko chora, a ciotki powychodziły za mąż. Cały więc rok pędził mały Mitia w czeladnej izbie pod opieką Grigora. Gdyby nawet tatuś przypomniał był sobie o nim (a trudno przypuszczać, żeby nie wiedział o jego istnieniu), to i tak odesłałby go niezawodnie napowrót do czeladnej, bo obecność dziecka zawadzałaby mu tylko w rozpustnych jego hulankach. Aż naraz przybył z Paryża stryjeczny brat zmarłej Adelaidy Iwanowej, Piotr Aleksandrowicz Mjusow. Był to wówczas zupełnie jeszcze młody człowiek, osobliwy typ między Mjusowemi, oświecony, gładki, w całem znaczeniu tego słowa "Europejczyk", który z czasem miał się przedzieżgnąć w liberała w stylu epoki pomiędzy 1840 a 50. Mieszkał on później długie jeszcze lata za granicą, stykał się z wybitnymi przedstawicielami kierunków liberalnych, jak Bakunin, Proudhon itp. — lubił też na starość opowiadać o trzydniowej rewolucyi lutowej z roku 1848, dając do zrozumienia, że brał w niej czynny udział, omal nawet nie walczył na barykadach.

Posiadał własny majątek ziemski, coś około tysiąca dusz. Posiadłość ta, leżąca tuż obok miasta, graniczyła też z gruntami miejscowego klasztoru, z którym Mjusow prowadził odwieczny proces o prawo rybołówstwa, czy też używania lasu. Proces ten rozpoczął on zaraz po objęciu spadku, uważając za swój obywatelski obowiązek człowieka oświeconego, napsuć trochę krwi klerykałom.

Dowiedziawszy się o losie kuzynki swej, Adelaidy Iwanowny, którą znał i podziwiał w swoim czasie, postanowił zająć się pozostałym po niej sierotą. Wówczas, nie zważając na młode swoje lata i przezwyciężając wstręt, jaki w nim budził Fedor Pawłowicz, zawarł z nim znajomość i oznajmił mu wprost, że pragnie zająć się wychowaniem małego Miti. Opowiadał później, że skoro zapytał Karamazowa o Mitię, ten wyglądał przez dłuższy czas tak, jakby zupełnie nie rozumiał, o jakie to dziecko chodzi. Robił nawet wrażenie człowieka mocno zdziwionego myślą, że ma, gdzieś w domu jakiegoś synka. Choćby nawet było trochę przesady w tem opowiadaniu Mjusowa, to w każdym razie było ono bardzo charakterystyczne dla Fedora Pawłowicza, który bardzo chętnie przybierał przed ludźmi najrozmaitsze pozy i to zwykle niekorzystne dla siebie, a raczej uwłaczające. Jest to zresztą rys wspólny wielu ludziom o wiele rozumniejszym od naszego bohatera. Piotr Aelksandrowicz Mjusow zabrał się energicznie do dziecka, i uzyskał to, że mianowano go współopiekunem Miti, ze względu na spadek jego po matce. Prócz tego, malec zamieszkał u nowo poznanego wujaszka. Nie trwało to jednak długo, gdyż Mjusow, uporządkowawszy własne interesy finansowe, zapragnął znów wrócić do Paryża, wyjeżdżając zaś, powierzył małego Mitię opiece jednej ze swych stryjecznych ciotek, mieszkającej w Moskwie. Nadeszła tymczasem sławna rewolucya lutowa, która tak dalece pochłonęła uwagę Mjusowa, że i on z kolei zapomniał o swoim wychowańcu, który po śmierci moskiewskiej swej opiekunki przechodził z rąk do rąk, i zmienił jeszcze trzy, czy cztery razy miejsce pobytu.

Dymitr Fedorowicz rósł w przekonaniu, że gdy z czasem dojdzie do pełnoletności, otrzyma spadek po matce, i będzie majątkowo zabezpieczony. Lata dziecinne i młodość upłynęły mu bardzo nieporządnie. Nie skończył gimnazyum, bawił jakiś czas w szkole wojskowej, dosługiwał się stopni na Kaukazie, stracił je skutkiem pojedynków, odzyskał nanowo, hulał wiele, stracił, stosunkowo, dużo pieniędzy. Doszedłszy do pełnoletności, otrzymywał małe zasiłki od Fedora Pawłowicza, przedtem zaś ratował się zaciąganiem długów. Dymitr Fedorowicz odnowił znajomość ze swym ojcem dopiero po dojściu do pełnoletności. Fedor Pawłowicz nie podobał mu się wcale, bawił też u niego krótko i odjechał, otrzymawszy niewielką kwotę pieniędzy i nieokreślone obietnice na przyszłość. Należy tu zaznaczyć, że młody Karamazow nie zdołał wydobyć od ojca żadnych dokładnych wiadomości, ani o wartości swego spadku po matce, ani też o ilości dochodów z niego. Fedor Pawłowicz zauważył odrazu, że syn jego ma zbyt wygórowane pojęcie o swym majątku, że jednak jest to przytem chłopak lekkomyślny, gwałtowny, niecierpliwy, hulaka, którego łatwo będzie zaspokajać drobnymi datkami, udzielanymi mu co pewien czas. Tak też postępował z nim przez całe cztery lata, aż wreszcie Dymitr stra-

cił cierpliwość i przyjechał znów do ojca, chcąc już ostatecznie załatwić swoje dziedzictwo. Wówczas Fedor Pawłowicz oznajmił synowi, że wypłacił mu już wszystko, co mu się należało, i że, kto wie nawet, czy nie dał mu znacznie więcej, z czego wynika, że teraz właściwie on jest dłużnikiem ojca. W dodatku przedstawił mu rozmaite dokumenty, które dowodziły, że skutkiem rozmaitych finansowych spekulacyi, w których sam chciał brać udział, niema już prawa upominać się o nic!

Wiadomość ta wprowadziła młodzieńca w osłupienie. Podejrzewał ojca o kłamstwo i oszustwo, i wpadł nareszcie w stan nerwowego rozdrażnienia, graniczącego z szałem. Takie to okoliczności doprowadziły w końcu do katastrofy, której przebieg stanowi treść, a raczej zewnętrzną stronę niniejszego opowiadania. Zanim jednak przejdziemy do tego przedmiotu, należy nam zaznajomić się jeszcze z młodszymi synami Fedora Karamazow.

* * *

SYNOWIE Z DRUGIEGO MAŁŻEŃSTWA.

Pozbywszy się opieki nad czteroletnim Mitią, Fedor Pawłowicz, ożenił się wkrótce. Pożycie jego z drugą żoną trwało lat osiem.

Druga ta jego żona pochodziła z odległej stolicy, do której Fedor Pawłowicz, zajechał w sprawie niezbyt czystych interesów, których dokonywał na współkę z jednym żydkiem.

Pomimo hulaszczego życia, pijaństwa i rozpusty, Fedor Karamazow nie zaniedbywał nigdy swoich pieniężnych interesów, i powiększał nieustannie swój kapitał, za pomocą dość podłego gatunku spekulacyi, które mu się jednak zawsze wybornie udawały. Druga żona Fedora Pawłowicza nazywała się Zofia Iwanowna. Była to bezdomna sierota, przygarnięta z litości przez starą, bogatą i bardzo arbitralną damę, wdowę po generale Worochow. Stara generałowa była jednocześnie wychowawczynią, opiekunką i dręczycielką sieroty. Nie znam bliższych szczegółów wzajemnego ich stosunku, opowiadano mi tylko, że tę łagodną, naiwną i dziwnie pozbawioną zawziętości dzieweczkę, odcięto raz ze sznurka, na którym się powiesiła w jakiejś komórce. W takich to warunkach zjawił się Fedor Pawłowicz i oświadczył się o rękę Zofii. Zasięgnięto o nim informacyi i pokazano mu drzwi. Wówczas zaproponował on znów sierotce wykradzenie; być może, że, mimo wszystko, nie zgodziłaby się na to małżeństwo, gdyby znała cokolwiek przeszłość Karamazowa, ale co mogła rozumieć taka młoda niedoświadczona dziewczynka, która wiedziała tylko, że lepiej utopić się, niż pozostawać dłużej w domu dotychczasowej opiekunki.

Tym razem Fedor Pawłowicz nie wziął żadnego posagu po żonie, bo generałowa, srodze zagniewana, nie dała nic wychowance, a w dodatku przeklęła ich oboje. Nie był to jednak dla niego zawód, gdyż w tym wypadku nie liczył istotnie na zysk, a olśniony został poprostu nadzwyczajną pięknością dzieweczki, a zwłaszcza niewinnym wyrazem jej wejrzenia, które spiorunowało niemal tego rozpustnika, rozmiłowanego dotąd przeważnie w grubszego rodzaju kobiecej piękności.

“Mnie te oczka niewinne drasnęły, jak brzytwą po duszy” — mawiał później, chichocząc po swojemu.

Nie wziąwszy nic po żonie, nie robił sobie też z nią Fedor Karamazow żadnych ceremonii, a opierając się na tem, że jest właściwie jej wybawcą, który ją uratował od stryczka, podeptał odrazu najelementarniejsze zasady przyzwoitości małżeńskiej, a napełniwszy dom swój kobietami lichego prowadzenia, zaczął wyprawiać w oczach żony najwstrętniejsze orgie. Charakterystycznem jest, że stary sługa, Grigor, który nieciérpiał pierwszej swej pani, Adelaidy Iwanowny, tu stanął odrazu po stronie młodej małżonki i występował w jej obronie z niezwyczajną, jak na służącego, śmiałością. Dość powiedzieć, że rozpędził raz przemocą zgromadzoną w domu bezwstydną tłuszczę, udaremniając w ten sposób przysposobioną przez pana swego orgię. Mimo to, nieszczęsna kobieta, dręczona i wystraszona przez całe życie, dostała wkrótce nerwowej choroby, bardzo rozpowszechnionej wśród kobiet z ludu w Rosyi i podlegać zaczęła strasznym atakom histerycznym, przy których traciła niekiedy przytomność. W tych warunkach została jednak matką dwóch synów. Starszy, Iwan, urodził się w pierwszym roku jej małżeństwa, młodszy, Aleksy, we trzy lata później. W chwili śmierci matki, Aleksy miał zaledwie cztery lata, mimo to, zapamiętał ją na całe życie,

jak przez sen, oczywiście. Po śmierci Zofii Iwanowny los jej synów był słowo w słowo taki sam, jak poprzednio pierworodnego Miti. Ojciec zapomniał o nich najzupełniej, dostali się więc do izby Grigora i pod jego opiekę. Tam też odszukała ich arbitralna generałowa, opiekunka i dobrodziejka ich matki. Przez całe 8 lat niezapomniała urazy, wyrządzonej sobie niegdyś przez Zofię, a słysząc o nieszczęśliwem pożyciu dawnej swej wychowanki, zwykła powtarzać swoim domownikom, że sierota sama sobie taki los zgotowała, i że Pan Bóg karze ją słusznie za jej niewdzięczność. W trzy miesiące po śmierci młodej kobiety, generałowa ukazała się w mieście, w którem mieszkał Fedor Pawłowicz, i udała się wprost do jego mieszkania. Zabawiła nie dłużej nad pół godziny, ale dokonała wiele. Wieczór już był wówczas, Fedor Pawłowicz, który od ośmiu lat nie widział generałowej, wyszedł na jej spotkanie zupełnie pijany. Opowiadano, że bezwzględna staruszka wycięła mu bez żadnych wstępów dwa siarczyste policzki, wytargała za włosy i, nie przemówiwszy ani słowa, poszła prosto do izby Grigora. Zauważywszy odrazu, że dzieci są nieumyte i w brudnej bieliźnie, poczęstowała też policzkiem Grigora, wyprowadziła dzieci, a owinąwszy je w pled, posadziła do karety, i zawiozła do siebie. Grigor zniósł otrzymany policzek z uległością niewolnika. Wyprowadził starą jejmość do karety, pokłonił się jej w pas i oddał dzieci z przekonaniem, że "Bóg zapłaci jej za sieroty".

— Byłeś i jesteś wałkoń! — krzyknęła mu generałowa w odpowiedzi i odjechała z dziećmi.

Fedor Pawłowicz zdał sobie sprawę z tego, co zaszło; doszedł on do przekonania, że wszystko stało się jaknajlepiej i nigdy, ani jednem słowem nie protestował przeciw wychowaniu dzieci swoich w domu generałowej. O wymierzonych sobie policzkach opowiadał sam bardzo chętnie po całem mieście.

Wkrótce potem generałowa umarła, zapisując każdemu z malców po tysiąc rubli na ich wychowanie (pisała w swoim testamencie): "Pieniądze te powinny wystarczyć do ich pełnoletności, bo to i tak aż nadto dla takich dzieci; gdyby zresztą ktoś mniemał, że to za mało, niech da więcej" itd.

Na szczęście, głównym spadkobiercą generałowej został bardzo porządny i uczciwy człowiek, miejscowy marszałek szlachty, Jefim Piotrowicz Poljenow. — Próbował on z początku porozumieć się z Fedorem Pawłowiczem, ale spostrzegł odrazu, że jest to człowiek, od którego nie wyciągnie ani grosza na wychowanie dzieci, jakkolwiek ten nigdy wprost nie odmawiał i rozpływał się wciąż w czułościach.

Wobec tego, Jefim Piotrowicz sam zajął się losem sierot, a zwłaszcza pokochał młodszego, Aleksego, który wychowywał się w jego rodzinie, Opiekun młodych Karamazow był jednym z najlepszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich się rzadko w świecie spotyka. Nie tknął ani grosza z pieniędzy, zapisanych chłopcom przez generałową, tak, że kapitalik ów podwoił się do czasu ich pełnoletności, i sam łożył na ich wychowanie.

Nie wdając się w szczegóły dzieciństwa ich i młodości, opowiem je tylko w krótkich zarysach. Starszy, Iwan, rósł jako ponury, zamknięty w sobie chłopak, który już w dziesięciu latach życia zrozumiał, że wychowuje się u obcych i na ich łasce, i że ojciec jego jest człowiekiem, o którym wstyd wspominać. Od dzieciństwa okazywał on nadzwyczajne, podobno zdolności do nauk. W trzynastym roku życia opiekun Iwana oddał go do gimnazyum w Moskwie, i nie zatrzymując go dłużej w swojej rodzinie, umieścił go u wybitnego pedagoga, przyjaciela z lat dziecinnych. Stało się to, jak opowiadał później sam Iwan, dzięki "namiętności robienia dobrze", która była najistotniejszą treścią życia Poljenowa. Uważał on, że genialnemi zdolnościami chłopca kierować też powinien genialny wychowawca. Zanim jednak Iwan ukończył gimnazyum, równie opiekun jego, jak i genialny wychowawca, rozstali się już z życiem.

Jefim Piotrowicz Poljenow zaniedbał był niektórych formalności, dotyczących kapitaliku zapisanego jego wychowańcom przez arbitralną generałową, skutkiem czego, po jego śmierci Iwan znalazł się w bardzo trudnem położeniu i przez pierwsze dwa lata studyów uniwersyteckich zarabiać musiał na siebie. Nie zwrócił się, ani razu do ojca z prośbą o pomoc, nie wiadomo, czy przez dumę i pogardę dla niego, czy też przez zdrowy zmysł krytyczny, który mu wskazywał, że od takiego ojca nic się spodziewać nie może.

Mimo to, młodzieniec dał sobie radę, z początku udzielając lekcyi po 30 kop. za

godzinę, i biegając po redakcyach, gdzie powierzano mu drobne dziesięciowierszowe notatki z wiadomości ulicznych, zaopatrzone podpisem "Świadek". Notatki te były tak dowcipnie i ciekawie redagowane, że bardzo prędko zrobiły sławę swemu autorowi, który już tem jednem wyróżnił się odrazu z całego tłumu kolegów swych i koleżanek, oblegających od rana do nocy wszystkie redakcye, dla ofiarowania swych wierszy i przekładów z francuskiego.

Zawiązawszy raz stosunki z redakcyami pism, utrzymywał je Iwan Fedorowicz przez cały ciąg pobytu na uniwersytecie. W ostatnich czasach zaczął pisywać sprawozdania z dzieł naukowych, które zwróciły na niego uwagę specyalistów.

A wreszcie, w chwili ukończenia studyów, udało mu się napisać artykuł, który dał go poznać szerszym kołom czytającej publiczności. Za temat posłużyła mu sprawa trybunałów duchownych, będąca wówczas niezmiernie na czasie i zajmująca wszystkie umysły. Artykuł wydrukowany został w jednym z większych dzienników stołecznych i wywołał oromne wrażenie. Ciekawy był, mianowicie, ton, jakim autor traktował swój przedmiot, i całkiem niespodziewane wnioski, jakie wyprowadził w końcu.

Zdawszy sprawę z rozmaitych poglądów na rozstrząsaną przez siebie kwestyę, zaznaczył wreszcie własne stanowisko, a uczynił to w taki sposób, że z jednej strony ludzie zapatrywań klerykalnych uznali go za swego, z drugiej zaś, nietylko postępowi, ale nawet skrajni ateiści, przyklasnęli mu również gorąco. Znalazła się wreszcie garstka ludzi domyślnych, utrzymujacych, że autor grubo sobie zażartował z czytelników, w każdym razie zdobył sobie jednym zamachem sławę, która dotarła nawet do rodzinnego jego miasta. Miejscowa inteligencya przypomniała sobie, że Iwan urodził się wśród niej i nie mogła się dość nadziwić, że jest on synem tego oto osławionego Fedora Pawłowicza.

W tym właśnie czasie Iwan przyjechał do ojca. Przyjazd ten był dla wielu zagadką. I w samej rzeczy, trudno było pojąć, jak może taki uczony, dumny i ambitny młodzieniec, nawiązywać stosunki z takim ojcem, który go całe życie zaniedbywał, nie troszczył się o niego, nie pamiętał o nim, a i dziś w żadnym razie nie przyszedłby mu z pomocą.

Tymczasem młody Karamazow zamieszkał w domu ojca; mimo fatalnej jego reputacyi, zgodził się z nim wybornie, a nawet zaczynał wywierać na niego pewien dodatni wpływ. Dziwiono się temu powszechnie, najbardziej zaś dobitnie wypowiadał zdumienie swoje Mjusow, dawny opiekun Dymitra, który właśnie w tym czasie przyjechał z Paryża, i natychmiast zawarł znajomość z interesującym kuzynem. "Chłopak ma ambicyę, — mawiał o nim — umie radzić, posiada zresztą własny kapitalik na wyjazd za granicę, nie przyjechał więc po pieniądze. Zapijać się wódką nie potrafi, rozpustnych hulanek nie lubi. Cóż więc trzymać go może w tej norze?" Tymczasem najwidoczniej stary polubił go, a nawet obejść się bez niego nie mógł. Znacznie później dopiero pokazało się, że Iwan Fedorowicz przyjechał tu w sprawie brata swego, Dymitra, który prosił go o to listownie, zanim jeszcze Iwan wyjechał z Moskwy.

Bracia nie znali się dotąd wcale i zobaczyli się teraz poraz pierwszy. Wkrótce Iwan wziął na siebie rolę pośrednika pomiędzy ojcem, a Dymitrem, usiłując załagodzić powstałe między nimi zatargi, które właśnie wówczas zaostrzyły się bardzo. Mimo to wszystko, postać Iwana i jego postępki miały zawsze w sobie coś zagadkowego, W ten sposób cała rodzina Karamazowych zjechała się i poznała z sobą po raz pierwszy, bo i najmłodszy syn, Aleksy, znajdował się już od roku w miejscowym klasztorze, gdzie odbywał nowicyat. Miał on zamiar poświęcić się życiu zakonnemu i przygotował się do tego z wielkiem skupieniem.

* * *

I. 4 NAJMŁODSZY SYN ALOSZA.

Alosza miał wówczas lat 20. Mimo, że zamierzał poświęcić się życiu zakonnemu, nie był to bynajmniej fanatyk, ani nawet mistyk. Określićby go można raczej jako urodzonego altruistę. Jeżeli obrał sobie drogę zakonną, to dlatego tylko, że uważał ją wówczas za jedyną, na której mógł urzeczywistnić swój ideał wyzwolenia z mrocznych ciemności ziemskiego zła duszy swej, rwącej się ku światłu i miłości. Drugą przyczyną, która wpłynęła na jego postanowienie, było spotkanie na owej drodze

nadzwyczajnego człowieka, jakim był w jego oczach świętobliwy starzec Zosima, mieszkający w miejscowym klasztorze. Do starca tego przywiązał sie młody Alosza całemi siłami swego gorącego i nienasyconego serca. Był to zresztą wogóle niezwykły chłopak. W chwili śmierci matki miał on dopiero czwarty rok, mimo to, zapamiętał ją sobie na całe życie. Wspomnienia te występowały w jego wyobraźni tak wyraźnie, jak głoski ogniste, wyryte na ciemnem tle, lub jasny punkt wielkiego jakiegoś obrazu, gubiącego się zresztą w ciemnym półmroku. Pamiętał mianowicie jeden moment ze swego dzieciństwa. Cichy letni wieczór i promienie zachodzącego słońca, wpadające ukośnie przez otwarte okno do wnętrza pokoju, gdzie w kącie paliła się lampka przed obrazem Matki Boskiej. Przed tym obrazem klęczała młoda kobieta, zanosząc sie od żałosnego łkania i wyrzucając z siebie rozpaczliwe okrzyki. Kobieta trzymała go w objęciach i przyciskała namiętnie do piersi, tak silnie, że prawie ból mu zadając, to znów podsuwała go niejako w stronę obrazu, modląc się za niego i wzywając dla niego opieki Madonny. W tej chwili wbiegła zastraszona piastunka i wyrwała go z rąk matki. Taki to obraz zapamiętał sobie Alosza, dodając przytem, że, o ile sobie przypomina, twarz matki jego była przedziwnie piękna, mimo, że w owej chwili miała wyraz nawpół obłąkany. Opowiadał zresztą o tem niechętnie.

W dzieciństwie i młodości był to chłopak mało wywnętrzający się i małomówny. Pochodziło to jednak z pewnego rodzaju wewnętrznej zadumy, która go tak pochłaniała, że zapominał prawie wobec niej o istnieniu zewnętrznych wypadków. Mimo to, nie stronił on wcale od ludzi, kochał ich, wierzył im przez całe życie, a przecież nikomu nie przyszło na myśl uważać go za prostodusznego lub naiwnego.

Było w nim coś, co budziło w obcujących z nim przekonanie, że człowiek ten nie przyzna sobie nigdy prawa sądzenia ich postępków nieprzychylnie, i gorszenia się nimi. Widocznem było, że to mu nigdy na myśl nie przyjdzie. Zdawało się, że zdolny jest darować wszystko, i że nie potępi bezwzględnie nic, choćby sam najgłębszego doznał zmartwienia. Od wczesnej młodości doszedł pod tym względem do takiego zrównoważenia, że nikt i nic nie było w stanie zadziwić go lub zastraszyć. Mając lat dwanaście przybył do ojca, którego dom był, jak wiadomo, gniazdem najwstrętniejszej rozpusty. Otóż tam, on, natura wyższa i czysta, bywał niekiedy świadkiem scen, których widoku zupełnie nie mógł przenieść, wówczas oddalał się tylko w milczeniu, nie zdradzając przytem najmniejszego zgorszenia, lub uczucia pogardy dla kogobądź. Ojciec jego, który jako dawny bywalec, miał węch do ludzi i był po swojemu mocno drażliwy, przyjął go początkowo z niedowierzaniem i obserwował niechętnie. (Milczy, bo milczy, myślał o nim, ale wszystko na wąs mota). Po dwóch tygodniach jednak znajomości nabrał do niego takiej sympatyi, że brał go co chwila w objęcia i całował, po pijanemu, co prawda, ale z nieudaną czułością, a z czasem pokochał go tak serdecznie i głęboko, jak jeszcze nikogo.

Już to chłopaka tego kochali wszyscy, z którymi się stykał. Jeszcze w dzieciństwie, gdy umieszczono go w rodzinie opiekuna jego i wychowawcy, Jefima Poljenowa, zjednał sobie bardzo prędko ogólne przywiązanie, tak, że kochano go tam i obchodzono się jak z najbliższym krewnym. Był zaś jeszcze wówczas takiem dzieckiem, że nie można go było w żaden sposób posądzać o wyrachowaną przebiegłość i z góry obmyślany zamiar zaskarbienia sobie względów swego otoczenia. Dar zdobywania sobie miłości ludzkiej był u niego czemś wrodzonem i oddziaływał na innych bezwiednie i bezpośrednio. To samo było w szkole, Zdawałoby się, że z tego rodzaju usposobieniem mógł się narazić na niechęć kolegów, a przynajmniej stać się celem żartów i pośmiewiska. Chętnie np. odosabniał się, oddając się ulubionym swym zadumom, lub też uciekał gdzieś do kąta z książką. Tymczasem przez cały czas pobytu w szkole kochany był przez wszystkich i uchodził za ulubieńca kolegów. Rzadko bardzo brał udział w swawolach towarzyszy, rzadko nawet bywał wesoły, ale odrazu można było poznać, że nie płynie to u niego z jakiejś wrodzonej posępności, przeciwnie, usposobienie miał pogodne i równe. Nigdy nie starał się wykazać wyższości swej nad kolegami, a przytem nie bał się nikogo i niczego. Dlatego też malcy zdawali sobie wybornie sprawę, że zalety te są w nim tak dalece wrodzone, że nie przyjdzie mu na myśl pysznić się niemi, a postępuje raczej tak, jakby wcale o nich nie wiedział. Nie

był przytem wcale zawzięty i zapominał szybko urazy, Zdarzało się też nieraz, że w godzinę po jakiemś nieporozumieniu rozmawiał tak pogodnie i uprzejmie z tym, który go obraził, jakby nic nigdy między nimi nie zaszło. A robił to nie dlatego, aby szybko przebaczał i darowywał, a raczej ponieważ właściwie nie uznawał się za obrażonego, co też najkorzystniej wpływało na przeciwników.

Jeden tylko rys charakteru Aloszy nadawał się, zdaniem jego spółuczniów, do żartów i śmiechów z niego, i to od najniższych do najwyższych klas gimnazyalnych. Rysem tym była jego bezgraniczna, niemal dzika wstydliwość. Nie znosił on zupełnie pewnego rodzaju słów, w y r a ż e ń i rozmów o kobietach. Na nieszczęście, tego rodzaju właśnie wyrażenia i rozmowy są aż nadto rozpowszechnione w naszych szkołach. Wyrostki, prawie jeszcze dzieci, czyste nawet i niewinne w duszy i w sercu, lubują się często w takich rozmowach i opowiadaniach, jakichby nie powstydził się najrozpasańszy żołdak. Co więcej, dzieci z naszego, tak zwanego, wyższego, inteligentnego towarzystwa — wiedzą o wielu rzeczach i szczegółach, o jakich nie śniłoby się owym żołdakom. Nie jest to w nich rozpustą, ani nawet istotnym wewnętrznym cynizmem, jakkolwiek ma wszelkie tego pozory, ale faktem jest, że dorastające chłopaki znajdują w takich rozmowach dziwne upodobanie, jakby jakiś smaczek delikatny i bardzo dla nich pociągający. Spostrzegłszy, że Alosza Karamazow zatyka sobie uszy, ilekroć o tem zaczyna być mowa, chłopcy otaczali go umyślnie, odkrywali mu przemocą ręce i krzyczeli mu umyślnie nad uchem największe obrzydliwości. Wówczas wyrywał się im rozpaczliwie i rzucał się na ziemię zakrywając się, o ile możności i, nie wypowiadając ani jednego gniewnego słowa, znosił w milczeniu obrazę. W końcu zostawiono go w spokoju i przestano nawet przezywać go dziewczynką, tylko zapatrywano się na niego z pewnem politowaniem. Co się tyczy nauk, należał on zwykle do lepszych uczniów, nie był jednak nigdy pierwszym.

Po śmierci Jefima Poljenowa, żona jego i cała rodzina, składająca się wyłącznie z kobiet, wyjechała na dłuższy czas do Włoch. Alosza, który był jeszcze wówczas w gimnazyum, dostał się wtedy do domu dwóch dalekich kuzynek Poljenowa, których przedtem nie znał, i pozostawał już u nich, nie wiedząc zupełnie, na jakich się to dzieje warunkach. Charakterystycznym także rysem jego usposobienia było, że się nigdy nie zatroszczył, z czego i czyim kosztem żyje? Pod tym względem był on zupełnem przeciwieństwem starszego swego brata, Iwana, który od dzieciństwa bolał niezmiernie nad tem, że żyje niejako na łasce swego dobroczyńcy i starał się jaknajprędzej stanąć o własnych siłach. Nie można jednak było z tego powodu sądzić Aloszę zwykłą miarą, tj. posądzać go o brak godności, bo każdy, kto go bliżej poznał, nabierał przekonania, że gdyby chłopcu temu dać na własność największy kapitał, rozdałby go niezawodnie na dobre uczynki, a może nawet oddałby go pierwszemu lepszemu oszustowi, któryby go o to poprosił. Zdawał się zupełnie nie rozumieć wartości grosza. Gdy w dzieciństwie dawano mu pieniądze na drobne przyjemności, to albo nosił je całymi tygodniami w kieszeni, nie wiedząc, co z niemi począć, lub też pozbywał się ich natychmiast, nie wiedząc zupełnie nawet, jak i na co. Krewny jego rodziny, Piotr Aleksandrowicz Miusow, który zdawał sobie doskonale sprawę z wartości pieniędzy i był mocno drażliwy na punkcie burżuazyjnych pojęć o uczciwości, tak określał tę właściwość charakteru Aloszy: "Oto jedyny człowiek w świecie, którego można zostawić z całym spokojem zupełnie samego w środku obcego miasta, zaludnionego milionami mieszkańców, zupełnie mu nieznajomych, a można ręczyć, że nie zaginie i nie umrze z głodu i chłodu. W jednej chwili bowiem zgłosi się do niego mnóstwo ludzi, gotowych nakarmić go i przyodziać, albo też on sam wyżywi się i przyodzieje bez żadnego wysiłku, i nie będzie w tem dla niego żadnego poniżenia, gdyż każdy poczytywać sobie będzie za przyjemność oddanie mu przysługi."

Brakowało mu jednej już tylko klasy do ukończenia gimnazyum, gdy naraz oznajmił swoim chwilowym opiekunom, że musi jechać do ojca dla załatwienia jednej sprawy. Damy te zmartwiły się bardzo jego wyjazdem i zatrzymywały, jak mogły.

Podróż to była niedaleka, ale Alosza nie miał na nią żadnych środków. Wówczas opiekunki jego nietylko nie pozwoliły mu zastawić na ten cel zegarka, który otrzymał w podarunku od rodziny swego

byłego opiekuna, ale zaopatrzyły go o wiele hojniej, niż tego potrzebował, nie zapominając o ubraniu i bieliźnie. On jednak zwrócił im połowę pieniędzy, oświadczając, że pojedzie trzecią klasą, i udał się do rodzinnego miasta. Na zapytanie ojca, dlaczego nie kończy gimnazyum, nie odpowiedział nic prawie i był tylko niezwykle zamyślony. Po niejakim czasie dopiero pokazało się, że pragnie odszukać grób matki, i, jak sam mówił, po to właściwie przyjechał. Była w tem jednak inna jeszcze pobudka, której na razie sam sobie nie uświadamiał, ale która z nieprzepartą siłą pchała go na nową drogę życia. Fedor Pawłowicz nie mógł mu, oczywiście, wskazać mogiły jego matki, bo od czasu jej pogrzebu nie był ani razu na cmentarzu.

Tu wypada nam wspomnieć jeszcze słów parę o życiu starego Karamazowa. Po śmierci drugiej żony wydalił się on z rodzinnego miasta i przebywał dłuższy czas w Odesie. Tam, jak sam opowiadał, pozawierał liczne znajomości z rozmaitymi "żydami, żydkami, i żydziętami", a także przyjmowany był w domach tak zwanych "Izraelitów". W tym to okresie życia rozwinął w sobie tę osobliwszą umiejętność zbijania i nagromadzania grosza. Gdy po kilku latach takiego życia powrócił do rodzinnego miasta, dawni jego znajomi znaleźli w nim wielkie zmiany. Przedewszystkiem postarzał się nad wiek swój, który niebył jeszcze zbyt podeszły. Następnie zachowanie się jego w towarzystwie straciło już wszelkie piętno przyzwoitości i stało się do najwyższego stopnia trywialne i arogackie. Nieobyczajność względem kobiet, którą i dawniej uprawiał, stała się jeszcze bardziej wyuzdana. Prócz tego, założył w powiecie kilka nowych szynków, a wszyscy prawie obywatele okoliczni stali się wkrótce jego dłużnikami. Oczywiście, że kapitały swoje umieszczał tylko na pewnej hipotece. W ostatnich czasach zaczął też tracić trochę równowagę umysłu, stał się jakiś szorski, upijał się coraz częściej i gdyby nie Grigor, który zajmował wobec niego jakby stanowisko guwernera, naraziłby się nieraz na ciężkie nieprzyjemności.

Przyjazd Aloszy podziałał dodatnio na tego podupadającego starca. Budzić się w nim zaczęły dawno przygasłe wspomnienia.

— Wiesz ty, żeś ty bardzo do niej podobny, — mawiał do syna — do "Klikuszy" — tak nazywał swoją zmarłą żonę, z powodu nerwowej choroby, na którą cierpiała.

Grobu "Klikuszy" nie mógł jednak w żaden sposób pokazać synowi. Zrobił to dopiero stary Grigor, który, jak się pokazało ku ogólnemu zdziwieniu, sam pomyślał o pomniku i napisie. Skromne to było, ale przyzwoite. Na płycie żelaznej wypisano imię, nazwisko, wiek i datę śmierci nieboszczki, a pod spodem wyryty był czterowiersz odpowiedni, w rodzaju tych, jakie się spotyka na cmentarzach miejskich.

Alosza nie okazał na grobie matki szczególniejszego wzruszenia, wysłuchał tylko spokojnie opowiadania Grigora o sposobie, w jaki uporządkował grób biednej "Klikuszy" i odszedł, nie przemówiwszy, ani słowa. Natomiast cały ten epizod wywarł całkiem niespodziewane wrażenie na Fedora Pawłowicza. Objawiło się ono w ten sposób, że zawiózł tysiąc rubli do miejscowego klasztoru, ofiarując na mszę za dusze nie drugiej swej żony, matki Aloszy, ale pierwszej, Adelaidy Iwanowny, tej, która go biła. A był to człowiek, który przez całe swoje życie nie spełniał żadnych praktyk religijnych i z pewnością nie wydał nigdy i pięciu kopiejek na postawienie świeczki przed ołtarzem. Takie to niespodziewane zwroty uczuć i myśli zdarzają się często wśród ludzi.

Marne i hulaszcze życie, jakie prowadził Fedor Pawłowicz, wyryło niezatarte i charakterystyczne ślady na jego ówczesnej fizyonomii. Małe jego oczka, o bezczelnym i chytrym wyrazie, okolone były mięsistemi woreczkami; twarz, stosunkowo drobną, pokrywały głębokie zmarszczki, zbiegające się w okolicach podbródka, który zwisał nakształt podługowatej torebki pod ostro zakończoną brodą, nadając całej twarzy jakiś odrażająco lubieżny charakter. Dodajmy do tego szerokie, żarłoczne usta, o grubych, mięsistych wargach, z pomiędzy których ukazywały się czarne i połamane szczątki zębów, a będziemy mieli całkowity obraz ówczesnego wyglądu starego Karamazowa.

Żartował on sam nieraz z tej swojej twarzy, jakkolwiek zdawał się być z niej dosyć zadowolony. Pysznił się mianowicie swoim nosem, który był niewielki, cienki a przytem z dość wydatnym garbkiem. "Prawdziwy rzymski nos — powiadał o nim — co w połączeniu z podbródkiem

stanowi wspaniały typ, typ rzymskiego patrycyusza z epoki upadku".

Wkrótce po odnalezieniu grobu matki, Alosza oznajmił ojcu, że ma zamiar wstąpić do nowicyatu do miejscowego klasztoru, gdzie go obiecano przyjąć. Dodał przytem, że zwraca się do niego, jako do ojca, z prośbą o pozwolenie, w nadziei, że nie będzie się sprzeciwiał spełnieniu najgorętszych jego pragnień. Stary wiedział, że przebywający przy klasztorze ojciec Zosima wywarł głębokie wrażenie na jego "cichego Aloszę."

— Ten starzec, to w samej rzeczy uczciwy mnich — przemówił Fedor Pawłowicz, wysłuchawszy w milczeniu prośby syna. — Hm, to się tobie tego zachciewa? Mój ty cichy chłopczyku, — mówił dalej, uśmiechając się tym swoim szerokim, nawpół pijanym, niepozbawionym jednak pijackiej chytrości, uśmiechem. — Hm... Przeczuwałem ja, że ty na tem skończysz. A cóż, masz te swoje dwa tysiące rubelków, to i wiano gotowe. Ty się bardzo nadajesz do takiego życia, grosza tracić nie umiesz, jak kanareczek, po dwa ziarneczka na tydzień. Nie bój się, aniele miły, ja ciebie nie opuszczę i zapłacę za wpisanie ile zażądają, gdyby trzeba było. Ale jeżeli nie zażądają, to po co się napraszać? Nieprawdaż... Hm... A wiesz ty co? znam ja jeden klasztor, co ma własny futor za miastem, gdzie mieszkają "klasztorne żonki", tak je tam wszyscy nazywają, ze trzydzieści sztuk pewnie. Byłem tam i wiesz co, bardzo to w swoim rodzaju interesujące, dla rozmaitości. Szkoda tylko, że panuje tam rosyjski szowinizm. Francuzek np. niema wcale, a powinnyby być dla grubych ryb. Podobno jeszcze przyjadą. A tu co? Niema takiego urządzenia, niema. A mnichów sztuk ze 200. Uczciwe podobno "monachy", posty obserwują. Ej, Alosza! żal mi ciebie. A wiesz ty co? wierz czy nie wierz, pokochałem ja ciebie... w samej rzeczy... No i przytem, ładnie, pomyślałem sobie, że będzie komu pomodlić się za grzeszną duszę. Nieraz już myślałem o tem. Miły ty chłopcze! Ty wiesz, że ja na punkcie tych waszych wszystkich nabożności, całkiem głupi jestem. Ale przecież przychodzi mi czasem na myśl, nie często rozumie się, ale czasem, że już tam dyabeł widły na duszę moją gotuje i nie może być inaczej. Dobrze myślę, widły, ale skąd one? z czego zrobione, z żelaza może? gdzież ta fabryka, w której się kują? Ot! w klasztorze np. mnichy myślą, że piekło ma sufit, ja gotów też jestem wierzyć w piekło, ale bez sufitu, to jakoś delikatniej, kulturalniej, bardziej po protestancku; tymczasem w samej istocie rzeczy, to chyba wszystko jedno. Ot już i jest przeklęta zawiłość! Bo jeśli niema sufitu, niema i wideł, a jeśli niema wideł, czemże mnie dyabeł po śmierci zahaczy?, a jeśli już takiego, jak ja, nie zahaczysz, to gdzie prawda na świecie? Dla mnie jednego należałoby wymyślić owe widły! Bo ty nie wiesz, Alosza, jaki ja bezwstydny grzesznik jestem!

— Tam przecież niema wideł, — cicho i poważnie odparł Alosza, przyglądając się bacznie ojcu.

— Tak, tam są tylko cienie wideł, jak mówi francuski poeta: "Widziałem cień woźnicy, który miotły cieniem czyścił cienie karety". A ty skąd, gołąbku, wiesz, że tam wideł niema? Inaczej ty zaśpiewasz, jak posiedzisz w klasztorze. Idź zresztą, idź, może się dobierzesz do prawdy, wtedy wróć i opowiedz. Zawsze jakoś lżej będzie iść na tamten świat, gdy się człowiek dowie, co go tam czeka. A przyzwoiciej będzie dla ciebie żyć wśród "monachów", niż tu ze starym pijakiem i między "kobietkami". Tylko, że do ciebie, jak do anioła, nic nie przylgnie. I tam w klasztorze nic do ciebie nie przylgnie, ja wiem o tem, dlatego ci nie bronię tam iść. Palisz się teraz, ale się wypalisz i wrócisz do mnie, a ja czekać tu będę na ciebie, bo wiem, że ty jedyny na świecie nie potępisz mnie, chłopcze mój miły! Ja to czuję, bo jakżebym czuć tego nie miał?

Mówiąc to, rozchlipał się na dobre. Był bowiem sentymentalny. Zły, ale sentymentalny.

* * *

STARCY.

Nie należy sobie wyobrażać młodego Aloszę, jako młodzieńca chorobliwego, nerwowego i wątłego fizycznie. Przeciwnie, był to wówczas chłopak rosły, zdrów, silny, o rumianych policzkach i błyszczących oczach. Był on przytem bardzo piękny i zgrabny, wzrostu trochę więcej, niż średniego, o regularnym, choć trochę wydłużonym, owalu twarzy. Włosy miał ciemnoblond, a oczy ciemno-szare, duże szeroko

otwarte, o wyrazie przeważnie zadumanym i pozornie spokojnym.

Oczywiście, rumiane policzki i zdrowy organizm nie wykluczają bynajmniej usposobienia fanatycznego i skłonności do mistycyzmu, tylko, że z Aloszą rzecz się miała przeciwnie i możnaby go raczej zcharakteryzować jako realistę.

Oczywiście, będąc w klasztorze, wierzył w cuda, tylko, że, zdaniem mojem, wiara w cuda nie sprzecza się wcale z realizmem.

Nie cuda skłaniają realistę do wiary, a przeciwnie, uznawanie możliwości cudu jest dla niego wynikiem wiary, skoro już raz uwierzył.

Realista nie wierzący, nie uznałby najoczywistnego faktu nadprzyrodzonego, któryby się stał w jego oczach i raczej niedowierzałby własnym zmysłom, niżby miał przyjąć istnienie cudu. U wierzącego zaś realisty istnienie cudu jest tylko logicznem następstwem jego wiary.

Apostoł Tomasz, który twierdził, że nie uwierzy, dokąd nie zobaczy, woła ujrzawszy: "Pan mój i Bóg mój!" Czyżby cud wywołał w nim wiarę? Chyba przeciwnie, wiara jego wywołała cud, bo w tajni serca swego wierzył już i przedtem.

Alosza był człowiekiem inteligentnym, mimo, że przerwał nauki i kończyć ich nie miał zamiaru. Wspomniałem już wyżej, że drogę zakonnego życia obrał dlatego, iż uważał ją jako jedyny sposób urzeczywistnienia swego ideału dążenia ku miłości i światłu. Był on jednym z tych młodych ostatniego pokolenia, którzy, mając naturę do gruntu uczciwą, poszukują prawdy, wierzą w nią i potrzebują jej ze wszystkich sił swojej duszy; a odnalazłszy, pragną poświęcić się dla niej jaknajprędzej i najzupełniej, chociażby oddając jej życie. Nie wiedzą, na nieszczęście, ci młodzi, że ofiara z życia jest często łatwiejszą, i że poświęcenie pięciu lub sześciu lat, z kipiącej życiem młodości na trud ciężki i uporczywy, dla zdobycia choćby wiedzy, potrzebnej dla popierania swojej prawdy, jest ofiarą stokroć cięższą i dla wielu niemożliwą.

Alosza wybrał swoją drogę, jak się spełnia czyn bohaterski. Skoro po głębszym i poważnym namyśle doszedł do przekonania, że istnieje Bóg i nieśmiertelność duszy, natychmiast powiedział sobie "żyć będę dla Boga i nieśmiertelności i nie przyjmę połowicznego kompromisu".

Gdyby był, przeciwnie, doszedł do przekonania, że niema Boga i nieśmiertelności, to niechybnie zostałby natychmiast ateuszem i socyalistą.

Bo socyalizm, to nietylko kwestya robotników i proletaryatu, to również, i to w najistotniejszej swej treści, kwestya ateizmu, wznoszącego wieżę Babel, oczywiście, bez Boga, nie dla wzniesienia się do niebios z ziemskiej niziny, a raczej dla obniżenia niebios do ziemskiego poziomu.

Po takim procesie wewnętrznym wydało się Aloszy niepodobieństwem żyć, jak dawniej, skoro powiedzianem jest: "Oddaj wszystko, co masz, i pójdź ze mną, jeśli chcesz być doskonałym".

Powiedział też sobie: "Nie mogę dać dwóch rubli tam, gdzie należy oddać wszystko, ani też poprzestać na uczęszczaniu do kościoła, zamiast "Pójść za nim".

Być może, że podziałały tu wspomnienia matki, która musiała go niegdyś wozić do klasztoru, a i promienie zachodzącego słońca, oświetlając ukośnie obraz święty, pod którego opiekę oddawała go matka, nie pozostały też bez wpływu. Przyjechał jeszcze wahający się i zadumany, ale w klasztorze spotkał świętego starca.

Wspomniawszy o starcu Zosimie, który wywarł tak przeważny wpływ na Aloszę, musimy powiedzieć tu parę słów o starcach wogóle i o stanowisku, jakie zajmują oni w rosyjskich klasztorach.

Ludzie kompetentni twierdzą, że starcy ukazali się w Rosyi niedawno, bo zaledwie od stu lat, podczas gdy na wschodzie, a zwłaszcza w Małej Azyi, istnieli oni już przed tysiącem lat.

W Rosyi zwyczaj osiedlania się starców po klasztorach był z początku źle widziany, jako nowatorstwo i zakorzenił się w niewielu tylko miejscowościach.

Klasztor, w którym Alosza odbywał nowicyat, był właśnie jednym z tych niewielu, a mieszkający przy nim świątobliwy Zosima był już ostatnim z trzech starców, którzy tu kolejno przebywali. Był on jednak wyczerpany bardzo chorobą i wiekiem i zdawał się bliskim grobu i niewiadomo było, kim go zastąpić. A kwestya to była ważna dla klasztoru, który nie miał żadnych osobliwości, jak relikwie święte, cudowne obrazy, lub pamiątki historyczne,

tak, że tylko obecność starca ściągała w jego mury tłumy pielgrzymów.

Któż to był ten starzec? i kim wogóle są starcy? — Starzec taki, to ktoś, co bierze w duszę swoją ludzkie dusze i wole. Ten, co sobie takiego starca wybierze, wyrzeka się najzupełnej własnej woli, oddając ją w pełne posiadanie starcowi. Poddający się przyjmuje dobrowolnie tę straszną szkołę życia w nadziei, że, po długich wysiłkach, pokona się i zawładnie sobą do tego stopnia, iż uzyska w końcu doskonałą swobodę, tj. wyzwolenie się od samego siebie, unikając w ten sposób losu tych, którzy przeżyć potrafią nieraz całe życie, nie odnalazłszy swego ja. Ta sztuka władania duszami, czyli t. zw. "starcostwo", nie teoretyczne bynajmniej, lecz oparte na tysiącletniej praktyce, przyszło do nas ze Wschodu. Uległość względem starców jest to coś więcej, niż zwykłe posłuszeństwo klasztorne, to wieczysta niemal zależność od obranego przewodnika i nierozerwalny z nim związek.

Opowiadają np., że w pierwszych czasach chrześcijaństwa, jeden z takich "posłuszników" nie spełnił jakiegoś polecenia swojego starca i opuścił go nawet zupełnie, przenosząc się z jego klasztoru do innego, oddalonego, gdzieś z Syryi do Egiptu. Tam, po życiu pełnem świątobliwych i bogobojnych trudów, poniósł wreszcie śmierć męczeńską za wiarę. Gdy grzebano go z wielką uroczystością w kościele, czcząc go, oczywiście, jako świętego, to na słowa dyakona; "ustąpcie stąd, przeklęci!" — trumna, zawierająca zwłoki męczennika, ruszyła się z miejsca i wyrzucona została z kościoła; powtórzyło się to trzykrotnie. Wtedy dopiero obecni przypomnieli sobie, że święty ów naruszył ślub posłuszeństwa względem swego starca i z tego powodu dusza jego nie może mieć spokoju, dopóki tenże sam starzec nie zwolni go od uczynionego ślubu, bez względu na wielkie zasługi męczennika. Dopiero, gdy wezwany starzec udzielił żądanego rozgrzeszenia, pogrzeb męczennika odbyć się mógł w spokoju.

Jest to zapewne stara tylko legenda, ale w każdym razie charakteryzuje ona dobrze ogromną powagę i przemożne stanowisko starców na Wschodzie. Dlatego to może, gdy z czasem instytucya ta przeniosła się do Rosyi, miejscowe duchowieństwo patrzyło na starców niechętnie, uważając ich za intruzów, wdzierających się w prawa, należne tylko spowiednikom. Za to lud przyjął ich wszędzie bardzo ochoczo i otaczał ich wielkiem poważaniem i miłością. Z czasem zwyczaj ten utarł się i zakorzenił, i coraz częściej spotykać można było starców, żyjących spokojnie przyklasztorach, dla których obecność ich była bardzo pożądana.

Starzec Zosima, o którym mowa była powyżej, miał wówczas 65 lat. Pochodził z rodziny szlacheckiej i za młodu służył nawet w wojsku, jako oficer na Kaukazie. Wywierał on rzeczywiście na Aloszę, jakiś niezwykły, osobliwy wpływ. Na młodzieńczą wyobraźnię chłopaka działała, bezwątpienia, nadzwyczajna sława i popularność tego starca. Tłumy ludzi różnych stanów schodziły się nieustannie do klasztoru, prosząc go o radę.

Opowiadano o nim, że wskutek długoletniego wysłuchiwania tysiącznych zwierzeń, trosk i kłopotów swoich pokutników, doszedł on do tak doskonałej znajomości natury ludzkiej, że odgadywał z pierwszego wejrzenia cel i powód przybycia każdego, kto się do niego zwracał, wprawiając tem gości swoich w niesłychane zdumienie.

Alosza był ulubieńcem starca i mieszkał z nim w jednej celi, widywał nieraz cudowne zmiany, jakie zachodziły w ludziach odwiedzających go, gdy wszedłszy zakłopotani drżący i ciężko nieraz zatroskani, wychodzili z twarzą pogodną i rozjaśnioną, jakby ulegając wewnętrznemu przeobrażeniu.

Pociągało go również pogodne usposobienie starca, łagodność jego i przystępność.

Było wszakże w klasztorze kilku mnichów i to ze znaczniejszych figur, którzy zazdrościli skrycie sławy świątobliwemu Zosimie, ci jednak byli w mniejszości i nie śmieli okazywać mu niechęci wobec tego, że większość kochała go wprost fanatycznie. Ci ostatni uważali go stanowczo za świętego, a przeczuwając bliski jego zgon, oczekiwali cudów po śmierci i wielkiej sławy, która spłynie z niego na cały klasztor.

Alosza wierzył bez zastrzeżeń w cudotwórczą moc swego mistrza, podobnie, jak wierzył w starą, powyżej opisaną, legendę.

Widział on nieraz, jak przyprowadzano do starca chore dzieci i dorosłych, jak błagano go, aby zechciał położyć ręce na zbo-

łałych głowach i odczytać nad niemi modlitwę, i widział, jak na drugi dzień, lub w parę tylko godzin potem, chorzy powracali uzdrowieni, błogosławiąc i składając dziękczynienia. Czy to były rzeczywiste uleczenia, czy tylko chwilowe polepszenia, nad tem się Alosza nie zastanawiał, a sława ukochanego mistrza była jego dumą i radością.

Drżało mu zwłaszcza serce z zachwytu i szczęścia, gdy starzec wychodził przed wrota klasztorne do oczekującego tłumu pielgrzymów, którzy schodzili się z najodleglejszych stron kraju, aby tylko ujrzeć świętobliwego człowieka i otrzymać jego błogosławieństwa. Padali oni przed nim na twarz, całowali nogi jego i ziemię, po której chodził, baby podawały mu dzieci, przywożono mu chore nerwowo kobiety, t. zw. "klikusze", starzec rozmawiał z nimi, błogosławił, czytał modlitwy, rozgrzeszał i odpuszczał.

Dla Aloszy nie było to wcale zagadką, dlaczego lud kocha tak starca i raduje się jego obecnością, płacząc z zachwytu na sam jego widok. Rozumiał on doskonale, że proste dusze tych ludzi, zmęczone trudem i troską, a zwłaszcza grzechem i nieprawością własną i powszechną, potrzebują przedewszystkiem pociechy i ukojenia. A możeż być słodsza i bardziej uspokajająca pociecha, jak mieć coś lub kogoś, świątynię lub świętego do czczenia i uwielbiania?

"żyjemy w grzechu i kłamstwie, — to prawda. Ale za to tam, gdzieś, jest człowiek święty i wyższy, który zna prawdę i przechowuje ją. Zatem nie zginęła ona z ziemi, a zczasem przejdzie i do nas i zapanuje nad całym światem".

Wiedział dobrze Alosza, że tak czuje i rozumie lud, zbiegający się do klasztoru i sam z całego serca uczucia te podzielał. Wierzył wraz z płaczącymi chłopcami i przynoszącemi dzieci babami, że nie kto inny, tylko starzec ów jest tym świętym, wyższym przechowywaczem i stróżem prawdy Bożej. Niezwykła sława, jakiej świętość starca przysparzała klasztorowi, napełniała duszę jego dumą i radością, a głęboki wewnętrzny płomienny zachwyt rozpalał się coraz mocniej i mocniej w jego sercu i wypełniał go całkowicie. Nie zachwiało go bynajmniej w wierze, że święty starzec był w doskonałości swej zupełnie odosobniony i jedyny. "Cóż stąd? — myślał. — On posiada dla wszystkich tajemnicę odrodzenia, dzięki której prawda zapanuje kiedyś na ziemi. A wówczas wszyscy mieć będą w sobie świętość i kochać się będą wzajem i nie będzie już wtedy bogatych, ni biednych pysznych, ani poniżonych, a tylko wspólne dzieci Boże, i królestwo Chrystusa zapanuje na całej ziemi". — Takie były najskrytsze marzenia serca Aloszy.

Przyjazd obu starszych braci, których Alosza dotąd nie znał, wywarł na niego silne wrażenie. Zbliżył się on odrazu o wiele łatwiej i serdeczniej ze starszym i przyrodnym, Dymitrem, niż z rodzonym swym bratem, Iwanem. Alosza pragnął bardzo poznać bliżej Iwana, tymczasem żyli już dwa miesiące pod jednym dachem, a stosunek ich był zawsze równie daleki. Alosza zachowywał się milcząco, Iwan zaś rzucał wprawdzie niekiedy na młodszego brata przeciągłe i badawcze spojrzenia, ale zachowywał się tak, jakby się nim wcale nie interesował. Zauważył to Alosza z pewnem uczuciem zakłopotania. Przypisywał obojętność brata względem siebie różnicy lat i wykształcenia, ale jednocześnie zdawało mu się, że Iwan patrzy na niego chwilami z ciekawością, z której przyczyn nie zdawał sobie jasno sprawy. Byłoż to pogardliwe lekceważenie ateusza względem młodego, głupiutkiego kleryka? O! bo Alosza wiedział doskonale, że brat jego jest ateuszem. Lekceważenie to nie obrażało go bynajmniej, miał jednak nie zrozumiałą dla siebie trwogę i niepokój, i oczekiwał w niepewności chwili, w której Iwan zechce się do niego zbliżyć.

Dymitr odzywał się o Iwanie z wielkiem uznaniem i podziwem, co było tembardziej charakterystyczne, że obaj bracia różnili się ze sobą pod każdym względem. Dymitr, którego wychowanie było bardzo nieporządne, był bez porównania mniej wykształconym, a także i pod względem charakteru stanowili chyba zupełne z sobą przeciwieństwo. Od Dymitra dowiedział się Alosza o wszystkich szczegółach poznania się dwóch braci, i o przyczynach przyjazdu ich do rodzinnego miasta.

W tymże czasie powstała myśl urządzenia zjazdu, czy też rady, w celu załatwienia sporów majątkowych pomiędzy starym Karamazowem, a synem jego, Dymitrem. Spory te w ostatnich czasach zaostrzyły się do najwyższego stopnia, a stosunek wzajemny stał się nie do zniesienia. Fedor Pawłowicz podał myśl (z początku

w formie żartu) zebrania się w celi starca Zosimy i poddania całej sprawy pod jego sąd. Dymitr, który nigdy nie był w klasztorze i nie znał wcale starca, upatrywał w tem jakby zasadzkę dla siebie i chęć zastraszenia go świętobliwym człowiekiem.

Że jednak poczuwał się sam do wielu bardzo nieodpowiednich wystąpień względem ojca, zwłaszcza w ostatnich czasach, zgodził się więc ostatecznie. Dymitr nie mieszkał w domu ojca, lecz zupełnie osobno, na przeciwnym końcu miasta.

W tymże czasie przybył do siebie Piotr Aleksandrowicz Mjusow. Stary liberał i ateusz, z nudów, czy też z lekkomyślnej chęci rozrywki, zajął się również żywo całą sprawą i ofiarował swój współudział w radzie familijnej. Zachciało mu się nagle zobaczyć zbliska klasztor i świętego. Dla ułatwienia sobie wstępu, zaproponował omówienie przy tej sposobności odwiecznego sporu granicznego, który wiódł oddawna z klasztorem. Wobec tego, władza klasztorna użyła całego swego wpływu, aby nakłonić Zosimę do wzięcia na siebie roli rozjemcy.

Starzec zgodził się w końcu, mimo, że w ostatnich czasach był już tak chory, że z trudnością wykonywał zwyczajne swoje obowiązki. Naznaczono więc dzień zjazdu, którego, jak się łatwo domyśleć, oczekiwał z największym niepokojem biedny Alosza. Wiedział on dobrze, że jeden tylko Dymitr zapatrywać się będzie poważnie na cel zjazdu, inni zaś przybędą tu w nastroju lekkomyślnym, a może nawet ubliżającym powadze starca. Iwan i Mjusow stawią się jedynie z ciekawości, stary zaś Fedor Karamazow odegra niezawodnie jedną z ulubionych swych błazeńskich komedyi! O! bo młody Alosza, mimo, że przeważnie milczał, znał bardzo dobrze swego ojca. Z ciężkiem też uczuciem oczekiwał dnia zebrania.

Alosza pragnął niezawodnie zakończenia rodzinnych nieporozumień, ale przedewszystkiem chodziło mu o starca, drżał o niego i jego sławę, lękał się delikatnych docinków Mjusowa i znaczących niedomówień uczonego Iwana, obawiał się, aby kto nie uchybił ukochanemu jego mistrzowi. Chciał z początku uprzedzić Zosimę, pomówić z nim o tych nieznanych mu ludzich, którzy tu przybyć mają; po namyśle jednak zaniechał tego zamiaru. Napisał tylko do brata Dymitra, że kocha go serdecznie i przypomina mu daną sobie niegdyś obietnicę. Dymitr zamyślił się nad tą wiadomością, bo nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, czy obiecał co kiedy młodszemu bratu. Odpisał mu jednak, że wprawdzie ceni bardzo wysoko brata swego, Iwana, i ma należną część dla świątobliwego Zosima, ale przeczuwa coś nakształt zasadzki, lub komedyi w zamierzonym zjeździe i nie da się nikomu poniżyć lub w pole wprowadzić. Dodawał jednak w końcu, że powciągać będzie swój język i nie pozwoli sobie na najmniejsze uchybienie względem świątobliwego męża, do którego brat jego jest tak przywiązany. Słowa te dodały otuchy Aloszy, tak, że z większym już spokojem oczekiwał naznaczonego dnia zjazdu.

* * *

NIEUDANE ZEBRANIE.

Było to w piękny, ciepły i jasny poranek sierpniowy. Zjazd umówiony był na wpół do dwunastej, po nabożeństwie. Zaproszeni jednak nie stawili się wcale na mszę i przybyli w chwili gaszenia świec, Przyjechali oni w dwóch pojazdach. W jednym z nich, ciągnionym przez silne, rosłe rumaki, przyli: Piotr Aleksandrowicz Mjusow i daleki krewny jego, Piotr Fomicz Kałganow, młody, dwudziestoletni chłopak, przygotowujący się do uniwersytetu. Kałganow mieszkał w domu Mjusowa, który zachęcał go do udania się zagranicę do Zurichu, lub Jeny, dla ukończenia tam studyów. Był to chłopak wysoki i przystojny i bardzo roztargniony. W liczniejszem towarzystwie zachowywał się milcząco i cokolwiek niezręcznie, gdy się jednak znalazł z kim sam na sam, ożywiał się nagle, mówił wiele i z zapałem, śmiejąc się często niewiadomo z czego; ubrany był starannie, nawet z pewnem wyszukaniem. Był zamożny, a z Aloszą łączyły go węzły przyjaźni.

W drugim powozie, starym i rozklekotanym, odbijającym jaskrawo od eleganckiego zaprzęgu Mjusowa, przybył stary Fedor Pawłowicz Karamazow ze starszym synem, Iwanem.

Dymitr Fedorowicz opóźnił się z przybyciem, mimo, że zawiadomiono go wczoraj o miejscu i godzinie spotkania.

Wszyscy goście, z wyjątkiem Fedora

Pawłowicza, znajdowali się po raz pierwszy w obrębie murów klasztornych, nie mówiąc o Mjusowie, który już od 50 lat nie przekroczył progów kościoła. Ten oglądał się z ciekawością dokoła po obejściu klasztornem, nie zauważył jednak nic osobliwego. Lud wiejski wychodził z cerkwi z odkrytą głową, żegnając się wielokrotnie. Inteligencyi było bardzo niewiele, parę dam i jakiś stary generał.

Kilkunastu żebraków obstąpiło naszych gości, prosząc o jałmużnę, nikt się jednak z datkiem nie kwapił. Tylko Piotruś Kałganow wyjął rubla z sakiewki, przyczem zmieszał się mocno, mimo, że na postępek jego nikt nie zwrócił uwagi. Wcisnął banknot w ręce pierwszej lepszej babie, mówiąc szybko "rozdajcie to równo między wszystkich", obejrzał się naokoło, i nie wiedząc czego, zażenował się jeszcze bardziej.

Goście byli jednak cokolwiek zdziwieni, że nikt nie wychodzi na ich spotkanie. Jeden z nich ofiarował przecież niedawno całe tysiąc rubli na rzecz klasztoru, drugi był najbogatszym. i można powiedzieć, najoświeceńszym obywatelem z okolicy, a przytem mieszkańcy klasztoru byli do pewnego stopnia od niego zależni z powodu ciągnącego się jeszcze procesu. Mimo to, nie zanosiło się wcale na jakieś oficyalne przyjęcie i zdawało się, że nikt nie zauważył ich przybycia.

Mjusow rozglądał się z roztargnieniem po kamiennych grobowcach, wznoszących się około cerkwi i miał ochotę zauważyć, że pobożne duszyczki, tu pochowane, musiały słono zapłacić za prawo pogrzebania w tak świętem miejscu; wstrzymał się jednak od wypowiedzenia tej myśli, mimo, że zwykła jego liberalna ironia zaczynała przeradzać się w uczucie gniewu.

— Cóż u dyabła?! czy niema tu do kogo słowa przemówić? — mruknął wreszcie, jakby sam do siebie, — w takim razie wynośmy się stąd odrazu, po co czas tracić na darmo?

W tejże chwili ukazał się mały, łysy człowieczek o łagodnem wejrzeniu, zdający się prawie tonąć w fałdach obszernego płaszcza. Uchyliwszy kapelusza, przedstawił się naszym gościem, jako obywatel z Tuły i zaczął z nimi rozmowę.

— Starzec Zosima — objaśniał — mieszka w osobnem ustroniu, o jakie czterysta kroków od klasztoru, za laskiem.

— Inaczej tu było dawniej, za poprzedniego starca Warsonowa — zauważył Fedor Pawłowicz. — Tamten nie lubił elegancyi, wybiegał tu podobno na spotkanie gości i okładał kijem wszystko co, spotkał, nawet damy.

— Starzec Warsonow był istotnie cokolwiek chory na umyśle pod koniec życia, ale wiele też opowiadano o nim zmyślonych historyi. Kijem zaś nikogo nie okładał — odpowiedział braciszek. — A teraz, raczcie panowie zaczekać tu chwilkę, pójdę uprzedzić starca o waszym przybyciu.

— Fedorze Pawłowiczu! — ostrzegał jeszcze raz Mjusow staraj się zachowywać jak należy, inaczej możesz tego gorzko żałować.

— Zupełnie nie rozumiem twego oburzenia, odparł szyderczo Karamazow. — Czy stare grzechy takiego ci strachu napędziły? Pamiętaj, że starzec czyta z oczu myśli ludzkie i odgadnie odrazu powód twego przybycia. I odkądże to liczysz się tak z opinią mnichów? Ty, Paryżanin, człowiek wytrawny... doprawdy, dziwię się.

Mjusow nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy powrócił dotychczasowy ich przewodnik, oznajmiając, że starzec czeka na nich. Mjusow czuł się dziwnie rozdrażniony. "Znam siebie — pomyślał. — Zdenerwowany jestem, uniosę się, zapalę i skompromituję tak sobie, jak swoje przekonania".

* * *

STARY BŁAZEN.

Weszli do małej salki prawie jednocześnie ze starcem, który w chwili ukazania się ich, wyszedł ze swojej sypialni. W celi zastali dwóch starszych ojców klasztornych, oczekujących również przybycia starca. Jeden z nich był to ojciec bibliotekarz, drugi ojciec Paisy, człowiek chorobliwy, mający w klasztorze sławę uczonego. Prócz nich, znajdował się tam jeszcze młody seminarzysta, pozostający pod szczególną opieką klasztoru i braci. Był to chłopak dwudziesto-paroletni, ubrany w tużurek. Twarz miał rumianą i małe, rozumne, ciekawe, czarne oczka. Trzymał się cały czas na uboczu w postawie pełnej uszanowania, bez cienia jednak uniżoności. Wchodzących gości nie pozdrowił nawet, jako nie należący do ich sfery.

Wchodzącego starca Zosimę wprowadzili Alosza Karamazow i drugi jeszcze

kleryk. Obaj ojcowie zakonnicy powstali na jego przyjęcie i oddali mu głęboki ukłon, dotykając palcami ziemi, a pobłogosławiwszy się wzajemnie, ucałowali jego rękę. Starzec udzielił im błogosławieństwa, następnie oddał im niski ukłon i każdego z osobna poprosił o błogosławieństwo. Cała ta ceremonia odbyła się bardzo poważnie i jakby z przejęciem. Mimo to, Mjusow dopatrzył w tem wszystkiem rozmyślnej przesady. Jadąc tu, sam nawet zamierzał poddać się przyjętemu w klasztorze obyczajowi, i jeżeli nie ucałować rękę starca, to przynajmniej poprosić go o błogosławieństwo; w tej chwili jednak zmienił zamiar, i oddawszy poważny, światowy ukłon, odszedł na stronę. Zupełnie tak samo postąpił Fedor Pawłowicz, przedrzeźniając, jak małpa, ruchy i postawę Mjusowa. Iwan Karamazow ukłonił się również grzecznie, lecz sztywnie, a młody Kałganow zmieszał się tak bardzo, że się już wcale nie ukłonił. Starzec opuścił wzniesioną do błogosławieństwa rękę i ograniczył się na odwzajemnieniu pozdrowienia. Alosza uczuł, że krew uderza mu do twarzy, jego złe przeczucia zaczynały się sprawdzać.

Starzec zajął miejsce na mahoniowej kanapce, obitej skórą, gościom zaś wskazał cztery takież krzesła, umieszczone pod przeciwległą ścianą. Dwaj zakonnicy, którzy mieli asystować przy naradzie, usiedli jeden przy drzwiach, drugi przy oknie, Alosza wraz z młodym klerykiem stanęli na uboczu.

Sala była szczupła i posępna, sprzęty proste i ubogie, to tylko, co niezbędne. Po oknem parę doniczek z kwiatami, w kącie wiele obrazów, między nimi stary wizerunek Matki Bożej, pochodzący, prawdopodobnie, jeszcze z czasów poprzedzających odszczepieństwo starowierców. Przed obrazem tym paliła się lampka; obok wisiały dwa inne, suto przyozdobione świecidełkami, dalej figurki cherubinów, porcelanowe jajka, krzyż katolicki z kości słoniowej z Matką Bolesną, obejmującą go ramionami. Obok włoskich sztychów, wysokiej artystycznej wartości, wisiały nadzwyczajne obrazki świętych i męczenników, jakie kupić można po kilka groszy na każdym jarmarku, a dalej — portrety litograficzne żyjących i zmarłych biskupów.

Mjusow obrzucił krytycznem wejrzeniem cały ten "klerykalny" kram i zatrzymał badawczy wzrok na twarzy gospodarza. Był on bardzo pewny swojej umiejętności poznawania ludzi z pierwszego wejrzenia, czemu się zresztą nie można dziwić, bo tego rodzaju pewność siebie posiada każdy prawie człowiek, który przekroczył już pięćdziesiątkę, zwłaszcza, jeżeli ma przytem byt niezależny.

Na pierwszy rzut oka starzec nie podobał mu się wcale. Był to wistocie typ, który się nie każdemu mógł podobać. Postać mała i przygarbniona, nogi drżące, twarz tak wyniszczona chorobą, że mimo 65 lat, które liczył, wyglądał na starszego o lat prawie dziesięć. Drobne zmarszki pokrywały całą skórę, zbiegając się zwłaszcza koło oczu, które były małe i przenikliwe, a błyszczały, jak dwa rozżarzone węgle. Na głowie nie miał wcale włosów, prócz paru siwych strzępów na skroniach. Nos niewielki, zakrzywiony, jak dziób ptasi, a usta uśmiechały się wązkiemi, jak dwie niteczki, wargami.

"Wszystko zapowiada w tym człowieku duszę pełną złości i pychy" — pomyślał Mjusow.

Stary, lichy zegar, wiszący na ścianie, wydzwonił południe.

— Otóż i godzina! — zawołał Fedor Pawłowicz — a syna mego, Dymitra, jeszcze niema. Przepraszam was za niego, święty starcze. (Na słowa "święty starcze" Alosza drgnął z niepokojem). Co do mnie, staram się być zawsze akuratnym co do minuty, pomny na to, że słowność jest grzecznością królów.

— Czy to ma znaczyć, że masz siebie za króla? — sarknął niecierpliwie Mjusow.

— No tak, nie jestem królem, o czem wiem zresztą i bez ciebie, Piotrze Aleksandrowiczu. Wasza świątobliwość! — zawołał nagle z patosem — mam zaszczyt przedstawić się wam jako typowy pajac i błazen. Nałóg, niestety. zakorzeniony, zmusza mnie do wypowiadania niedorzeczności i łgarstw, ale czynię to w najlepszym zamiarze przypodobania się ludziom i rozśmieszenia ich. Ot np. siedem lat temu zajechałem do jednego miasteczka. Miałem tam spółkę z miejscowymi kupcami, i poszliśmy razem do sprawnika, którego protekcya była nam potrzebna. Wychodzi do nas sprawnik, wysoki, tłusty, ryży człowiek, a mnie, niewiadomo skąd, przychodzi do głowy koncept i mówię: "panie sprawniku, zechciejcie być, że tak powiem, naszy Naprawnikiem". "Co takiego?" pyta

sprawnik, a z miny jego widzę, że się mu dowcip mój nie podoba. "To nic" mówię, "to tak przypadkiem nasunęło mi się na język, bo znam jednego kapelmistrza nazwiskiem Naprawnik, chciałem więc, abyś pan utrzymał między nami taką harmonię, jak on w swej orkiestrze". Powinien się był sprawnik rozchmurzyć, tymczasem on: "Nie pozwolę!" powiada, "robić jakichś kalamburów z mego tytułu i urzędu", odwraca się i wychodzi. Ja za nim. "Panie sprawniku!" wołam, "już nam nie będziesz Naprawnikiem!" "Owszem będę", powiada, "już ja tu wam wszystko naprawię!" I zupełnie popsuł nam interes. Albo, kilkanaście lat temu, zdarzyło mi się rozmawiać z jednym wpływowym człowiekiem i wymknęło mi się o jego żonie następujące zdanie: "Wasza małżonka ma usposobienie bardzo łaskotliwe". Miałem, oczywiście, na myśli drażliwość na punkcie rozmaitych moralnych uczuć. A ten mi na to: "Cóż to! Czyż ją pan kiedy łaskotał?" "A tak", powiadam, "zdarzyło się". No! jak mnie ten wtedy połaskotał! Dawno to już było, więc i nie wstyd opowiedzieć. I tak zawsze palnąć muszę jakieś głupstwo.

— A cóż innego robisz w tej chwili — sarknął Mjusow.

Starzec, milcząc, przyglądał się obydwom.

— Tak i mnie się zdaje, i wiesz, Piotrze Aleksandrowiczu, odrazu czułem, że to opowiadanie moje wcale nie na miejscu; czułem też, że ty mnie pierwszy zrobisz z tego powodu uwagę. Cóż robić! To już moje nieszczęście, wasza świątobliwość, że mi się żarty nie udają. Taki już urodzony pajac i błazen ze mnie, wasza świątobliwoś, ale robię wszystko w najlepszej myśli. Chociaż kto wie, czy nie siedzi we mnie jaki dyabeł i to podlejszego gatunku, bo porządniejszy, by też sobie obrał inną kwaterę. Tylko nie ciebie, Piotrze Aleksandrowiczu, bo tyś także nieosobliwa kwatera. Za to ja wierzę w Boga. Nie tak, jak ów filozof Diderot. Czy słyszeliście, świątobliwy ojcze, o filozofie Diderocie, który na dworze carowej Katarzyny spotkał się z metropolitą Platonem i powiedział mu prosto z mostu: "Niema Boga!" na co czcigodny metropolita podniósł rękę ku niebu, mówiąc: "powiedział głupiec w sercu swojem: nie masz Boga". Jak to posłyszał Diderot, wnet nosa spuścił na kwintę i jak zacznie wołać: "Wierzę już! wierzę! I chrzest święty przyjmę!" Ochrzcili go też natychmiast. Księżna Daszkowa podawała go do chrztu, a Potemkin był ojcem chrzestnym.

— Fedorze Pawłowiczu! To już zaczyna być nie do zniesienia! Wiesz przecie doskonale, że w tej głupiej anegdocie niema ani słowa prawdy. Pocóż te błazeństwa!? — drżącym z gniewu głosem przemówił Mjusow.

— I ja to samo myślałem. A nawet, starcze święty, przyznać się muszę, że ten dodatek o chrzcie Diderota sam w ostatniej chwili wymyśliłem. Co się jednak tyczy tego, że bezbożny Diderot zaprzeczał istnienia Boga, za co go czcigodny Platon nazwał głupcem, to opowiadanie to słyszałem ze 20 razy, kiedym jeszcze sługiwał po domach szlacheckich, dobijając się chleba. Nawet twoja ciotka, Piotrze Aleksandrowiczu, opowiadała mi to jakie cztery razy.

Mjusow zerwał się z krzesła i chodzić zaczął po pokoju, do najwyższego stopnia wzburzony. Czuł, że gniewając się, staje się śmiesznym, ale nie umiał zapanować nad sobą. Wistocie, to, co się działo w tej chwili w celi starca, wyglądać musiało dziwnie, potwornie prawie, wobec nastroju, jaki tu zwykle panował teraz i dawnymi jeszcze czasy, za poprzednich starców. Wszyscy prawie, którzy otrzymywali tu wstęp, wchodzili zwykle z uczuciem, że udzielona im jest wielka łaska. Wielu z nich padło na kolana i pozostawało w tej postawie przez cały czas posłuchania. Wielu, należących do wyższych sfer towarzystwa, wielu uczonych, a nawet niereligijnych ludzi, skoro raz przekroczyli progi tej celi, choćby jedynie przez ciekawość, uważali za pierwszy swój obowiązek zachowywać się tu z jaknajwiększym szacunkiem i delikatnością, tembardziej, że nie brano tu żadnej zapłaty. Z jednej strony dawano tu miłość i współczucie, z drugiej przychodzący tu goście przynosili ze sobą skruchę i żal. lub też gorące pragnienie rozwikłania jakiejś zawiłości duchowej lub życiowej. To też niewłaściwe i błazeńskie postępowanie Fedora Pawłowicza musiało wywrzeć na obecnych bardzo niemiłe wrażenie. Dwaj ojcowie zakonnicy nie wyrzekli ani słowa, czekając co powie starzec, ale widać było, że z trudnością zachowują spokój. Alosza był prawie bliski płaczu i spuścił głowę, unikając wzroku obecnych.

Dziwiło go mocno, że brat jego, Iwan, który jeden tylko miał wpływ na ojca, nie probuje go powstrzymać. Ten jednak siedział nieruchomy, ze spuszczonemi oczami, zachowując się tak obojętnie, jakby był człowiekiem zupełnie obcym.

Na Rakitina (seminarzystę) nie śmiał nawet Alosza spojrzeć. Wiedział aż nadto dobrze, co myśli tamten. (Co prawda, jeden Alosza w całym klasztorze znał istotny sposób myślenia tego obiecującego młodzieńca).

— Przebaczcie mi ojcze, — zaczął Mjusow, zwracając się do starca — a przedewszystkiem nie posądzajcie mnie, proszę, o jakikolwiek współudział w tych nieprzyzwoitych żartach. Zbłądziłem chyba tem jedynie, żem mógł choć na chwilę uwierzyć, że Fedor Pawłowicz dotrzyma danego słowa, a przepraszam za to głównie, że przybyłem tu w towarzystwie takiego człowieka... — Nie mógł skończyć, tak był wzburzony i zamierzał już opuścić zebranie.

— Proszę, uspokój się pan — przemówił starzec, i powstawszy z miejsca, zbliżył się do Mjusowa, a ująwszy go za ręce, posadził go znów na krześle. — Proszę bardzo, abyś pan i nadal został moim gościem, proszę bardzo, — poczem z ukłonem wrócił na swoją kanapkę.

— Powiedz, wielki starcze, czy to może moja obecność jest tu zbyteczna? — zawołał Fedor Pawłowicz, chwytając się obiema rękami za poręcz krzesła, z takim ruchem, jakby je miał za chwilę cisnąć w przestrzeń, — może to moja obecność jest wam nie miła?

— Najuprzejmiej proszę, abyś się pan niczem nie krępował. Bądź pan zupełnie, jak u siebie w domu, a przedewszystkiem nie wstydź się pan samego siebie, bo z tego wszystko złe wynika.

— Zupełnie, jak u siebie w domu? to wiele, bardzo wiele. Najserdeczniej dziękuję i zgadzam się z wdzięcznością. Chociaż, ojcze błogosławiony, to trochę z waszej strony ryzykownie, wyzywać mnie na to "u siebie w domu", ostrzegam przez życzliwość. Proszę nie zapominać, że pogrążony jeszcze jestem w mroku grubej nieświadomości, chociaż niektórzy chcieliby przedstawić mnie, jako rozmyślnego grzesznika. To do ciebie piję, Piotrze Aleksandrowiczu. Dla was zaś, najświatlejsza istoto, czuję tylko zachwyt i uwielbienie. Wy, starcze święty, przeniknęliście mnie do wnętrza. Ja wistocie wstydzę się samego siebie i z tego wszystko złe wynika. Gdy wchodzę między ludzi, to z góry jestem przekonany, że każdy uważać mnie będzie za błazna, wtedy też zaczynam umyślnie wyprawiać błazeństwa, dla pokazania, że nie dbam o ich opinię, bo kto wie, czy ci, co mnie potępiają, nie są sto razy podlejsi odemnie. Gdybym wiedział, że są tacy, którzy uważać mnie chcą za porządnego człowieka, jaki ja byłbym porządny! jaki uczciwy!

Mówiąc to, rzucił się nagle na kolana i wołał, złożywszy ręce, jak do modlitwy:

— Nauczycielu! co mam robić, by wejść na drogę poprawy?!

Trudno było istotnie poznać, czy drwi znowu, czy jest naprawdę wzruszony.

Starzec spojrzał na niego z uśmiechem.

— Sam pan przecie wiesz, co trzeba robić; rozumu ci przecie nie brak. Trzeba pozbyć się pijaństwa i oduczyć się niewstrzemięźliwości w mowie; trzeba się wyrzec rozpusty, a przedewszystkiem chciwości grosza. Pozamykaj pan te siedliska pijatyki, któreś pan założył, jeżeli nie wszystkie, to choć dwa lub trzy szynki, a przedewszystkiem staraj się pan nie kłamać.

— Jak np. o Diderocie?

— Nie, nie o to chodzi. Nie kłam pan przedewszystkiem sam przed sobą. Człowiek, okłamujący samego siebie, zaczyna wreszcie wierzyć własnym kłamstwom i z czasem dochodzi do tego, że już nigdzie, ani w sobie, ani w drugich, prawdy nie widzi. Stąd traci szacunek dla siebie i dla drugich, a co za tem idzie, traci i miłość. Że zaś trudno jest żyć bez miłości, oddaje się dla zagłuszenia grubym namiętnościom, prowadzących do zezwierzęcenia. Człowiek, okłamujący sam siebie, sam siebie też krzywdzi. Wymyśla krzywdy i obrazy, których jakoby od ludzi doznał, i wydyma je do olbrzymich rozmiarów, robiąc chętnie z muchy wołu. Co więcej, to poniżenie sprawia mu szczególniejszą przyjemność, polegającą na kłamstwie i wewnętrznej rozterce. Ale wstańże pan, proszę bardzo. Przecież to, co pan robisz w tej chwili, jest także kłamstwem.

— Święty człowieku! — zawołał Fedor Pawłowicz — pozwól mi ucałować twą rękę! — to mówiąc, podskoczył szybko i ucałował szczupłą rękę starca. — Masz słuszność we wszystkiem. Istotnie, szczególniejsza to przyjemność poniżać się samemu i przedstawiać w najgorszych bar-

wach. Ja też uprawiałem ten zwyczaj do ostatnich granic, ale robiłem to głównie dla estetyki, dla piękna. Bo o jednem zapomniałeś tylko, wielki starcze, że to pięknie, bardzo pięknie wygląda... być skrzywdzoną ofiarą. Kłamałem też wistocie całe życie, co dzień i co godzina. Kłamstwem jestem, jak wiadomo i ojcem kłamstwa, tj. chciałem powiedzieć synem kłamstwa. (Nie jestem wogóle silny w cytatach). Tylko, aniele miły! tak, jak o Diderocie, to przecie można, Diderotowi to przecie nie zaszkodzi. Co innego, gdyby to komu szkodę przyniosło. Ale! ale! wielki starcze! o mało nie zapomniałem. Miałem tu być już trzy lata temu, dla rozjaśnienia pewnych wątpliwości. Tylko, proszę nie pozwól, wasza świętobliwość, aby mi Piotr Mjusow przerwał. Czy to prawda, ojcze, że jest opowiadanie w "żywotach świętych" o jednym męczenniku, który będąc ścięty, podjął głowę swoją i ucałował ją z miłością, a potem szedł długi czas jeszcze, obsypując ją pocałunkami?...

— To nieprawda — odparł starzec.

— Niema nic podobnego w "żywotach świętych", któż był ten męczennik? — spytał ojciec bibliotekarz.

— Nie znam jego imienia, nic nie wiem, oszukano mnie widocznie, to Piotr Aleksandrowicz, ten sam, co rozgniewał się za Diderota, opowiedział mi tę bajkę.

— To nieprawda, nigdy ci tego nie opowiadałem. Wogóle przecież nie rozmawiam z tobą — zaprotestował Mjusow.

— Nie mówiłeś wprawdzie bezpośrednio do mnie, ale opowiadałeś tę historyę na cały głos w jednem towarzystwie. Było to trzy lata temu. Pamiętam doskonale, bo to niedorzeczne opowiadanie zachwiało we mnie wiarę, Piotrze Aleksandrowiczu. Nie domyślałeś się tego wówczas, ale ja, powróciwszy do domu, stałem się niedowiarkiem i odtąd wiara moja wciąż szwankuje, Tak, tak, Piotrze Aleksandrowiczu, tyś jest pierwszą przyczyną moralnego mego upadku.

Fedor Pawłowicz mówił bardzo patetycznie. Nikt, oczywiście, nie brał na seryo odegranej przez niego komedyi. Mimo to, Mjusow rozgniewał się.

— Co za niedorzeczność! — zawołał. — Ile słów, tyle niedorzeczności. Mogłem to kiedyś opowiadać, w żadnym razie tobie. Sam już nie pamiętam, gdzie to słyszałem, w Paryżu, zdaje się, od jednego Francuza. Był to człowiek uczony, który długo bawił w Rosyi i badał jej statystykę; wyczytał to, jakoby, w naszych "żywotach świętych". Nie sprawdzałem nigdy tego faktu, nie mam zamiaru sprawdzać; powiedziało się coś bez myśli, przy stole; bo to było przy obiedzie.

— Obiad, przez który straciłem wiarę.

— Cóż mnie obchodzi twoja wiara! — zawołał Mjusow. — Potem dodał z pogardą: — brudzisz wszystko, do czego się dotkniesz.

Starzec wstał nagle.

— Darujcie mi, panowie, że zostawię was na chwilę samych, ale czekają tam na mnie ludzie, którzy przyszli tu przed wami. Wy zaś, panie, dodał żartobliwie, zwracając się do Fedora Pawłowicza — zapomnijcie o kłamstwie, a wszystko będzie dobrze.

Wyszedł, a z nim Ałosza i drugi kleryk, którzy pomogli mu zejść ze schodów. Ałosza z przyjemnością opuszczał zebranie, rad, że krewni jego, mimo wszystko, nie ściągnęli na siebie niechęci starca.

Starzec zwrócił się ku galeryi dla pobłogosławienia czekających tam na niego pielgrzymów, ale stary Karamazow zatrzymał go jeszcze przy drzwiach.

— Święty człowieku! — zawołał z przejęciem — pozwól mi raz jeszcze ucałować twą rękę! Tak, widzę teraz, że można mówić swobodnie w twojej obecności, że można żyć przy tobie. Myślicie może, że ja zawsze wyprawiam takie błazeństwa? Robiłem to dziś umyślnie dla wypróbowania waszej świętości. Chciałem wiedzieć, czy znajdzie się miejsce dla ukorzenia mego wobec wielkości waszej. Ale teraz poznałem, że można z wami żyć, odtąd zatem milczeć będę, jak grób i nie powiem ani słowa, aż do końca naszej wizyty. Macie na to moje słowo. Teraz ty, Piotrze Aleksandrowiczu, masz głos, jesteś panem sytuacyi na całych dziesięć minut.

* * *

WIERZĄCE BABY.

Na dole, w galeryi, zbudowanej na zewnątrz pustelni, oczekiwało już około dwudziestu kobiet wiejskich. Prócz nich czekała jeszcze na starca pani Chachłakow z córką, właścicielka ziemska z okolic Char-

kowa. Panie te umieszczono w osobnej rozmównicy, przeznaczonej dla dam z wyższego towarzystwa. Matka młoda, jeszcze ładna, wytwornie ubrana kobieta, o bladej cerze i prawie zupełnie czarnych oczach, była już od pięciu lat wdową, mimo, że liczyła dopiero lat 33. Córka jej, czternastoletnia dziewczynka, miała nogi sparaliżowane. Od sześciu miesięcy nie mogła chodzić i wożono ją w fotelu. Bardzo ładna, chociaż wychudzona skutkiem choroby, uśmiechała się wciąż, a z jej oczu wielkich i ciemnych, ocienionych długiemi rzęsami, przeświecała dziecięca pustota. Matka miała zamiar wywieźć ją za granicę dla przeprowadzenia kuracyi, ale interesa majątkowe zatrzymywały ją jeszcze na miejscu. Przed trzema dniami poznały obie poraz pierwszy starca Zosimę, a dziś przybyły znowu, prosząc usilnie, aby im było wolno oglądać raz jeszcze wielkiego "uzdrowiciela". Prócz nich, oczekiwał także na starca zakonnik, przybyły z jednego z odległejszych klasztorów, dla otrzymania błogosławieństwa starca.

Starzec, poszedł najpierw do wieśniaczek. Ujrzawszy go, tłoczyć się poczęły tłumnie dokoła schodów, oddzielających dolną galeryę od pustelni. Starzec zatrzymał się na najwyższym stopniu, włożył na siebie stułę i błogosławił klęczące kobiety.

Najpierw przyprowadzono przed niego t. zw. "klikuszę" (rodzaj opętanej), która, ujrzawszy starca, wydawać zaczęła przeraźliwe krzyki i zanosiła się od łkania, drżąc na całem ciele. Starzec przykrył jej głowę stułą i odmówił nad nią krótką modlitwę, poczem chora uspokoiła się natychmiast.

W dzieciństwie widywałem nieraz po wsiach podobne kobiety, t. zw. "klikuszę". Widziałem sam, jak wprowadzano je do cerkwi wyjące, jak psy, i jak uspokajały się przed ołtarzem, na czas jakiś przynajmniej. Dziwiło mnie to bardzo i przerażało. Ale panowie obywatele wiejscy, a także moi nauczyciele miejscy, upewniali mnie, że to wszystko było udaniem, i że mniemane chore uchylały się w ten sposób od pracy, że wreszcie surowe obchodzenie się jest najskuteczniejszym środkiem na tego rodzaju zmyślone choroby. Znacznie później dopiero dowiedziałem się ze zdziwieniem, że niema w tem najmniejszego oszukaństwa, i że jest to ciężka i aż nadto rzeczywista choroba nerwowa, bardzo rozpowszechniona wśród rosyjskich wieśniaczek. Choroba ta jest jednym więcej dowodem, w jak nieznośnych warunkach żyją nasze wiejskie kobiety, a jest zwykle skutkiem oddawania się ciężkiej pracy, zbyt wcześnie po uciążliwych chorobach porodowych, odbywanych bez pomocy lekarza, lub też wynika z ciężkich zmartwień, ze złego obchodzenia się i z wielu innych rzeczy, których niektóre temperamenta kobiece zupełnie znieść nie mogą. Co się tyczy natychmiastowego uzdrowienia w kościele, które, mówiąc nawiasem, uważane zwykle bywa przez wielu za klerykalną komedyę, jest to prawdopodobnie zupełnie naturalne zjawisko. Baby, przyprowadzające chorą i ona sama, wierzą najmocniej, że duch nieczysty, powodujący jej opętanie, ustąpi natychmiast w miejscu świętem. Oczekiwanie cudu, i to cudu pewnego, musi z konieczności wywołać silne wstrząśnienie w nerwowym ustroju psychicznie chorej kobiety, to też w chwili spełnienia obowiązujących obrządków następuje reakcya, która staje się istotnie przyczyną cudu. Tak się też stało i teraz, zaledwo starzec przykrył głowę chorej stułą i odmówił nad nią przepisane modlitwy.

Wszystkie prawie kobiety, obecne cudownemu uleczeniu, płakały ze wzruszenia, jedne cisnęły się dokoła starca, chcąc przynajmniej ucałować jego suknie, inne szeptały pacierze. Pobłogosławił je wszystkie, a z niektóremi zamienił słów kilka.

Uleczoną "Klikuszę" znał on już dawniej, przyprowadzano mu ją bowiem nieraz dla uspokojenia gwałtownych ataków, zauważył jednak kilka kobiet, przybyłych z odleglejszych okolic.

— Wy zdaleka? — przemówił do nie starej jeszcze kobiety o wyglądzie alkoholiczki, której twarz była już nie opalona, a wprost czarna od słońca. Kobieta klęczała, zapatrzona nieruchomo w starca, a w oczach jej widniała ekstaza.

— Oj! zdaleka! ojcze ty mój, zdaleka! trzysta wiorst stąd; oj, bardzo zdaleka! — powtarzała, kiwając miarowo głową i przewlekając śpiewnie wyrazy.

Smutek ludu bywa najczęściej cierpliwy i zamknięty w sobie. Niekiedy jednak, zwłaszcza u kobiet, wylewa się on potokiem łez i użaleń, a nie należy sądzić, aby smutek taki lżejszy był do zniesienia od milczącego. Jest to ból, który odrzuca pociechę i karmi się sam sobą, nieutulone zaś

zawodzenia rozraniają jeszcze bardziej cierpienie.

— Jesteście zapewne mieszczanką? — mówił dalej starzec, wpatrując się w nią ciekawie.

— Z miasta jesteśmy, ojcze ty mój, aleśmy chłopi. Do was tu przyszłam, ojcze mój. Słyszeli my o tobie. Pochowałam ja syneczka mego, dzieciątko moje, a teraz chodzę i do Boga się modlę. Byłam już we trzech klasztorach, to mi wszędzie mówili: "Tam idź, Nastusiu", tam, do ciebie znaczy, ojcze. To i przyszłam; wczoraj do cerkwi, dziś tu.

— Po kim płaczesz?

— O syna mego płaczę, ojcze ty mój, o niego się smucę, o mego syna! Trzy latka mu już było i trzy miesiące, a był ostatni. Mieliśmy ich trzech, Nikitiuszka i ja, ale nie chowają się nam dzieci, nie chowają, Tamtych nie tak jeszcze było żal, ale tego ostatniego... zapomnieć nie mogę. Ciągle mi się zdaje, że jest przy mnie, ani odejdzie. Patrzę na koszulki jego, na trzewiki i płaczę. Porozkładałam naokoło siebie wszystko, co było jego, do czego się dotykał, patrzę na to, patrzę i... płaczę. Powiedziałam Nikitiuszce (to mój mąż tak się nazywa): "Puść mnie z domu, pójdę po miejscach świętych". "Mój" jest dorożkarzem i nie jesteśmy wcale biedni, ojcze, o nie. Mamy konie własne i wózki i powóz. Ale co nam z tego? Mój Nikitiuszka już i pić zaczyna, pijał on i dawniej, ale nie tyle. A teraz wciąż, jak tylko z domu wyjdę. Alboż ja teraz dbam o niego? Już trzy miesiące jakem z domu odeszła. Nic mi już dziś nie w głowie, nic mi się nie chce, wszystko już dla mnie skończone, wszystko, wszystko.

— Słuchajcie, matko — rzekł starzec. — Jeden wielki święty spotkał kiedyś w kościele taką, jak ty, matkę, płaczącą także po jedynem dziecku, które jej Bóg zabrał. "Czyż nie wiesz o tem — rzekł święty, — że prośby i modlitwy małych, niewinnych dzieci znajdują zawsze posłuch u Boga ponad wszystkiemi innemi? Panie — mówią one — i pocóż nam było dawać życie, skoroś je zaraz odebrał? — i proszą i modlą się tak usilnie, że Bóg daje im miejsce między aniołami. Niepłacz więc, kobieto, bo dziecko twoje jest aniołem przed Panem". Tak mówił święty, który nie mógł kłamać. Tak też i twój synek, matko, stoi teraz przed obliczem Pana, pełen wesela i modlący się za ciebie.

Kobieta słuchała go, nie podnosząc głowy, i westnęła ciężko.

— To samo powiada i mój Nikitiuszka, żeby mnie pocieszyć: "Nie płacz! — powiada — głupia! i czego płakać? Nasz jest u Pana Boga i śpiewa z aniołami." Mówi tak, żeby mnie pocieszyć, ale sam przecież płacze tak samo, jak i ja. Widzę ja to dobrze, to też mówię do niego; wiem ja dobrze, Nikitiuszka, że nie może on być gdzieindziej, jak tylko w domu Bożym. Ale tu go niemasz, niema go tu między nami. Gdybym go mogła zobaczyć choć raz jeden, jedyny, jak ugania po podwórzu, wołając tym swoim głosikiem: "mamo! gdzie ty?" Gdybym choć raz mogła posłyszeć te jego małe nóżki, któremi tak prędko śmigał, gdy biegł do mnie przez izbę; wcisnęłabym się, gdzie w kącik i słowabym nie rzekła, żebym go tylko widzieć mogła. A tu nic i nic! Oto paseczek jego — mówiła, wydobywając z za stanika szychowy pasek, — a jego niema już i nie obaczę go... i nie posłyszę nigdy już, nigdy...

Ukryła twarz w dłoniach, wybuchając nanowo łkaniem, a łzy płynęły jej przez palce.

— Oto Rachel starożytna opłakuje dzieci swe i pocieszyć się nie może — rzekł starzec. — Taki już los na ziemi was, matek. Płacz więc, płacz, i nie szukaj pociechy, nie trzeba nawet, abyś jej szukała. Ale ile razy płaczesz, wspomnij sobie, że syn twój jest między aniołami i patrzy na ciebie z wysokości Niebios i raduje się łzami twemi, które pokazuje Panu. Długo jeszcze, długo trwać będzie ten wielki macierzyński płacz twój, a łzy twoje staną się jako rosa oczyszczająca, która zmyje wszystkie grzechy twoje. Modlić się będę za spokój duszy synka twojego. Jak mu było na imię?

— Aleksy, ojcze mój.

— Ładne imię. Modlić się więc będę za duszę sługi Bożego, Aleksego.

— Tak, tak; sługi Bożego Aleksego.

— Wielki to był święty, święty Aleksy. Modlić się też będę do niego, aby zmniejszył twój smutek, i o zdrowie dla męża twojego. Ale pamiętaj, że to grzech opuszczać męża; wracaj do niego i miej o nim staranie. Synek twój patrzy na was z nieba i widzi, żeś ty ojca jego rzuciła...

Słuchaj jeszcze, co ci powiem. Albo twój syn przyjdzie tu wkrótce, albo napisze do ciebie. Słuchaj i wierz. Syn twój żyje, ja to mówię.

— O! ty ukochanie nasze. Niech cię Bóg błogosławi, dobroczyńco nasz, który modlisz się za nami i grzechy nam odpuszczasz.

Tymczasem starzec zwrócił uwagę na młodą wieśniaczkę, której oczy świeciły w tłumie chorobliwym blaskiem.

— Ty z czem przyszłaś, córko moja?

— Rozgrzeszenia proszę dla grzesznej duszy mojej — przemówiła cicho i bez pośpiechu, poczem uklękła i pokłoniła mu się do nóg.

— Zgrzeszyłam, ojcze! i boję się grzechu mego!

Starzec usiadł na najniższym stopniu schodów, kobieta zbliżyła się do niego, nie wstając z klęczek.

— Wdowa ja od trzech lat — zaczęła pół szeptem, jakby wzdrygając się sama przed sobą. — Źle mi było za mężem, stary był, bił mnie wciąż. Aż zasłabł i leżał chory. Wtedy myślę, wstanie i znów bić będzie — i pomyślałam...

— Czekaj — przerwał starzec, i przybliżył usta do szepczących warg.

Spowiedź kończyła się cicho, tak, że nic już prawie niebyło można dosłyszeć.

— To już trzeci rok? — spytał starzec.

— Trzeci rok. Z początku myślałam, że to nic, a teraz chora jestem z tej zgryzoty.

— Zdaleka?

— Pięćset wiorst stąd, ojcze.

— Mówiłaś na spowiedzi?

— Mówiłam już dwa razy.

— I dostałaś rozgrzeszenie?

— Dostałam, ale i tak boję się, umierać się boję.

— Nie bój się, niczego się nie bój, Bóg przebaczy ci wszystko, bylebyś tylko miała szczerą skruchę. Niema na całej ziemi takiego grzechu, któregoby Bóg nie chciał przebaczyć tym, co naprawdę żałują. Człowiek nie może popełnić grzechu tak ciężkiego, któryby przewyższył miłosierdzie Boże. Pamiętaj, córko, że Bóg kocha ciebie tak, jak sobie nawet tego wyobrazić nie możesz, pomimo grzechu twego, a nawet dla twego grzechu, jeśli go szczerze żałować będziesz. Więcej jest przecie w niebie radości z jednego nawróconego grzesznika, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Przestań się bać, Tylko bądź dobra dla ludzi, krzywdy przebaczaj; nieboszczykowi też daruj w sercu wszystko, co ci kiedy złego zrobił. Pogódź się z nim w duchu. Kto żałuje, ten kocha, a kto kocha, ten już jest człowiekiem Bożym. Miłość odkupuje wszystko i wszystko zbawia. Jeżeli tu ja, człowiek grzeszny, jak i ty, ulitowałem się nad tobą, to cóż dopiero Bóg. Miłość, to skarb taki drogocenny, że okupić nią można nietylko własne, ale i cudze grzechy. Odejdź w pokoju, córko, i nie lękaj się.

Przeżegnał ją trzy razy, potem zdjął z siebie medalik i zawiesił go na jej szyi. Następnie wstał i spojrzał z uśmiechem na zdrową, tęgą babę, z tłustym dzieciakiem na ręku.

— Przychodzę z Wyszyhory, ojcze.

— To o sześć wiorst stąd, ciężko wam było dźwigać dzieciaka tyle drogi, a czego wam potrzeba?

— Przyszłam choć popatrzeć na ciebie, ojcze. Bywałam ja już tutaj, aleś ty zapomniał, krótką masz pamięć, że mnie nie pamiętasz. Powiadali u nas, żeś ty chory; "pójdę, myślę, obaczyć sama, jak tam z nim"'. To i przyszłam Jaki ty tam chory? jeszcze i dwadzieścia lat pożyjesz z Bożą pomocą., Mało to za ciebie modli się ludzi?

— Bóg ci zapłać, córko moja.

— Mam tu i prośbę do ciebie, ojcze, ot niewielką. Przyniosłam sześćdziesiąt kopiejek, daj ty je, ojcze, komu biedniejszemu odemnie. Zaraz sobie pomyślałam. "Najlepiej jemu oddam, on już tam będzie wiedział, kto najpotrzebniejszy".

— Bóg ci zapłać za serce twoje, dobra jesteś, miłuję cię, więc i zrobię, jak prosiłaś. A to twoje dzieciątko, chłopiec to? czy dziewczyna?

— Dziewczyna, ojcze miły, Elżbietka jej na imię.

— Niech was Bóg błogosławi obie, ciebie i twoją Elżbietkę. Zostańcie z Bogiem, matko. Bądźcie zdrowe wszystkie moje owieczki.

Pobłogosławił wszystkich i pokłonił się im nisko.

* * *

NIEWIERZĄCA DAMA.

Pani Chachłakow, obywatelka wiejska, która była obecna całemu temu przyjęciu, płakała cicho, ocierając łzy chusteczką. Była to dama światowa, ale przytem bardzo uczuciowa i dobra z natury. Gdy starzec zbliżył się wreszcie do niej, przyjęła go z zachwytem.

— Boże mój! ileż rozkoszy doznałam, patrząc na tę cudowną scenę...

Wzruszenie przerywało jej mowę.

— Och! rozumiem teraz, dlaczego lud tak was kocha, ojcze! Ja także kocham lud, bo i jakże tu nie kochać tego naszego dobrego, pięknego, wielkiego ludu.

— Pani życzyła sobie raz jeszcze mówić ze mną. Jakże zdrowie córki pani?

— O tak, pragnęłam gorąco widzieć was raz jeszcze, ojcze. Gotowa byłam czekać trzy dni na klęczkach pod waszem oknem, byleby tylko dostąpić szczęścia obcowania z wami. Przyjechałyśmy tu obie z córką, aby wyrazić wam naszą bez graniczną wdzięczność za cudowne uzdrowienie. Uzdrowiliście moją Lizę krótką waszą modlitwą i dotknięciem rąk waszych. Przybyłyśmy więc tu, aby ucałować raz jezscze te ręce czcigodne i podziękować wam.

— Przecież, jak widzę, córka pani nie chodzi jeszcze o własnych siłach. Gdzież jest więc uzdrowienie?

— Ale gorączka w nocy ustała zupełnie od czwartku, a przytem i nogi mniej są obrzęknięte — przerwała nerwowo dama.

— Dziś rano wstała zdrowa, spała całą noc, popatrzcie tylko ojcze jakie ma rumieńce, jak jej oczka świecą. Wpierw płakała ciągle, a teraz się śmieje, wesoła zadowolona. Dziś kazała się koniecznie postawić na nogi i stała całą minutę bez niczyjej pomocy. Posłałam po naszego doktora Werzenschube, a ten wzrusza ramionami i powiada, że nic nie rozumie. Jakże tu nie dziękować wam, ojcze? jak nie okazać wdzięczności? Podziękujże, Liza, podziękuj!/

Śliczna twarzyczka Lizy przybrała nagle wyraz poważny, podniósłszy się z wysiłkiem na krześle, złożyła obie ręce, patrząc dziękczynnie na starca, nie wytrzymała jednak długo i roześmiała się serdecznie.

— To z niego! to z niego! — wołała, pokazując na Aloszę, zażenowana niby, że nie umiała utrzymać powagi.

Który spojrzał uważnie na twarz Aloszy, stojącego o parę kroków za starcem, dostrzegłby nagły rumieniec i przelotny błysk oczu, które natychmiast spuścił.

— Ona ma do pana polecenie, przemówiła pani Chachłakow, podając Aloszy rękę, opiętą w elegancką rękawiczkę.

Starzec obejrzał się i spojrzał uważnie na Aloszę, który tymczasem zbliżył się do Lizy. Dziewczynka zrobiła bardzo ważną minę.

— Katarzyna Iwanówna przysyła to panu przezemnie — rzekła, podając Aloszy elegancki bilecik. Przytem prosi ona pana, żebyś pan do niej przyszedł i to jaknajprędzej, tylko proszę się nie wymawiać i przyjść koniecznie.

— Katarzyna Iwanówna chce mnie widzieć? i pocóż to? — szepnął Alosza, na którego twarzy odbiło się zakłopotanie.

— To z powodu Dymitra Fedorowicza, — objaśniła szybko pani Chachłakow. — Katarzyna Iwanówna powzięła jedno postanowienie, co do którego postanowiła się pana poradzić. Nie wiem dobrze o co to chodzi, wiem tylko, że pragnie, aby się to stało jaknajprędzej. Powinien pan pójść tam koniecznie, to nawet chrześcijański obowiązek.

— Raz ją tylko w życiu widziałem — tłómaczył się Alosza.

— To taka piękna, taka niepospolita dusza, niezwykła chociażby już cierpieniem swojem. Pomyśl pan tylko, ile już przeniosła, a ile jeszcze przenieść musi, to okropne! okropne!

— Więc dobrze, przyjdę, — rzekł Alosza, przebiegłszy oczyma zagadkowy bilecik, w którym prócz usilnej prośby o przybycie nie było żadnych wyjaśnień.

— Ach! jak to ładnie będzie ze strony pana, — zawołała Liza z przejęciem. — A ja myślałam, że pan nie zechce przyjść. Mówiłam mamie, nie przyjdzie napewno, on myśli o swojem zbawieniu. Jaki pan dobry! kochany! jak się cieszę, że mogę to panu powiedzieć.

— Liza! — strofowała ją matka, uśmiechając się przytem mimowoli.

— To i do nas proszę przyjść, Aleksy Fedorowiczu. Pan nie chce u nas bywać, tymczasem Liza, mówiła mi już dwa razy, że tylko przy panu czuje się dobrze.

Alosza podniósł zdziwione oczy i zarumienił się znów, nie wiedzieć czego, poczem uśmiechnął się mimowoli. Starzec nie zważał już na niego, zajęty rozmową z braci-

szkiem zakonnym, przybyłym z odległego klasztoru, gdzieś aż z Oboszka. Była to natura prosta, o pojęciach ciasnych, ale wiarę miał silną i upartą. Starzec pobłogosławił go i zaprosił na dłuższą rozmowę do celi.

— Jakim sposobem zdołacie sprawiać takie cuda, — pytał z przejęciem braciszek, myśląc o uzdrowieniu Lizy.

— Mówiłem już o tem poprzednio. Przedewszystkiem, polepszenie zdrowia nie jest jeszcze uleczeniem, przytem mogły się do tego przyczynić inne jeszcze powody. Jeżeli zresztą było coś, to tylko z woli Bożej, bo nic się bez woli Bożej nie dzieje. Odwiedźcie mnie, proszę, dziś jeszcze — dodał starzec, zwracając się do braciszka — czasu już mam niewiele, bo chory jestem i dni moje są policzone.

— O nie! nie! Bóg uchowa was długo jeszcze — wołała pani Chachłakow. — Zresztą nie wyglądacie wcale na chorego, ojcze, przeciwnie, zdrowo i wesoło.

— Istotnie, czuję się dziś daleko lepiej, ale wiem, że to chwilowe, znam swoją chorobę i wiem, że uleczoną być nie może. W każdym razie cieszy mnie to bardzo, że wyglądam wesoło, bo Bóg stworzył nas dla szczęścia i kto się czuje w pełni szczęśliwy, ten może śmiało o sobie powiedzieć, że spełnia swój obowiązek i wykonywa przykazania Boże. Wszyscy ludzie sprawiedliwi, męczennicy i święci byli weseli.

— Ach, jak wy to pięknie mówicie, ojcze takie śmiałe, piękne słowa, choć na kamieniu ryć. Ale mimo to szczęście! szczęście! i gdzież ono? Kto może powiedzieć o sobie, że jest na prawdę szczęśliwy? O! skoro byliście tak łaskawi, ojcze, i dopuściliście raz jeszcze do rozmowy z sobą, to raczcie wysłuchać tego, czego nie odważyłam się wypowiedzieć dotąd, tego, co mnie tak męczy, tak męczy już oddawna.

Mówiąc to, egzaltowana dama złożyła błagalnie ręce, patrząc na starca.

— Cóż to być może?

— Cierpię! ach, cierpię z powodu niewiary.

— Nie wierzy pani w Boga?

— O nie, tegobym nie śmiała pomyśleć, ale przyszłe życie, to taka zagadka, że nikt rozwiązać jej nie może. Posłuchajcie mnie, ojcze, wy, uzdrowicielu duszy ludzkiej, ja nie śmiem żądać, abyście mi bezwzględnie wierzyli, ale daję wam najświętsze słowo, że nie przyszłam tu przez zwykłą ciekawość, bo cierpię doprawdy bardzo i dręczę się wątpliwościami, a niemam do kogo się zwrócić. Boże, co sobie o mnie myślicie, ojcze!

I załamała ręce z rozpaczy.

— Niech się pani o to nie troszczy, wierzę najzupełniej w szczerość jej słów.

— O,jakże wam jestem wdzięczna, ojcze! Bo to nieraz zamykam oczy i myślę sobie. Wszyscy niby wierzą, ale skąd się to wzięło? Podobno wiara pochodzi ze strachu, jakiego doznawał człowiek niegdyś, wobec groźnych zjawisk przyrody, a naprawdę, to tam nic niema. Więc jakże? Mam wierzyć całe życie, a potem umrę i nic, nic po mnie nie zostanie, “tylko zielsko wyrosłe na grobie”, jak powiedział któryś poeta. To okropne! Jak odzyskać wiarę? W dzieciństwie wierzyłam bezmyślnie, mechanicznie, ale dziś potrzebuję dowodów, A jak to dowieść? Przyszłam też do stóp twoich, ojcze, prosić o radę. Bo myślę, że jeżeli opuszczę tę sposobność, to mi już nigdy nikt nic nie powie. Tymczasem widzę, że dla innych ludzi to kwestya zupełnie obojętna, nic ich to nie obchodzi. Mamże jedna dźwigać taki ciężar? jak dowieść? jak dowieść? to zabijające.

— Bezwątpienia, to musi być zabijające. Ale dowieść tego niepodobna. Można się jednak utwierdzić w wierze.

— Jakże to?

— Miłością, i to miłością czynną. Trzeba kochać bliźniego swego w czynie, a w miarę tego, jak się oddajemy takiej miłości, wzrasta w nas wiara w Boga i nieśmiertelność duszy. Ci zaś, którzy dochodzą do zapomnienia o sobie, nie doznają już żadnych wątpliwości.

— Miłość czynna! Otóż i znów zagadka— i to jaka jeszcze! Ja tak kocham ludzkość, że niekiedy, wierzcie mi, ojcze, marzę o porzuceniu wszystkiego, nawet mojej Lizy, i gotowa jestem zostać siostrą miłosierdzia. Zamykam oczy, myślę o tem i czuję w sobie nieprzebrane siły. Najstraszniejsze rany nie obudziłyby we mnie wstrętu. Obmywałabym je własnemi rękami, całowałabym je.

— To już bardzo dobrze, że pani takie myśli przychodzą, ale należałoby spełnić wówczas rzeczywiście jaki dobry uczynek.

— Tak, ale czy wytrwałabym długo na takiej drodze? — przerwała z zapałem dama — to mnie właśnie najbardziej męczy. Zamykam oczy i myślę sobie: Co bę-

dzie, jeżeli, naprzykład, chory, któremu się poświęcę, nie odpowie mi wcale wdzięcznością, a przeciwnie, okaże się grymaśny, zły, grubijański — łajać mnie będzie, albo jeszcze skarżyć się na mnie zacznie przed zwierzchnią władzą (jak się to często zdarza w szpitalach). To wówczas co? Z przerażeniem widzę, że nie mogłabym znieść spokojnie niewdzięczności, że pracować zdolna jestem jedynie za zapłatą, że za miłość potrzebuję miłości — inaczej kochać nie jestem w stanie nikogo.

Zdawała się być do najwyższego stopnia przekonana o trafności swoich argumentów, to też po skończeniu swej przemowy spojrzała z tryufem na starca.

— To samo prawie, co pani, mówił mi kiedyś jeden doktór, człowiek już starszy i niezaprzeczenie rozumny.

Mówił to niby żartem, ale nie bez goryczy. "Kocham ludzkość do najwyższego stopnia — powiadał, — ale co mnie samego dziwi, że im bardziej kocham ludzi wogóle, tem mniej lubię ich każdego z osobna. W marzeniach moich dochodzę do tego, że gotów byłbym dać się ukrzyżować dla dobra ludzkości i kto wię czy nie zrobiłbym tego rzeczywiście, gdyby zachodziła konieczność. Wiem jednak z doświadczenia, że w życiu codziennem nie byłbym w stanie przemieszkać paru dni we wspólnym pokoju z przyjacielem. Czyjakolwiek bliższa obecność krępuje już mnie i razi. Zdolny jestem znienawidzieć w ciągu 24 godzin najzacniejszego człowieka za to tylko, że jeden siedzi za długo przy obiedzie, a drugi uciera nosa za często. Słowem, staję się wrogiem wszystkich, którzy mają ze mną styczność, co mi nie przeszkadza coraz goręcej i płomienniej kochać ludzkość całą".

— No i co robić w takim razie? co robić? To może przecież doprowadzić do rozpaczy.

— To też bardzo wiele, że zdaje pani sobie sprawę z usposobienia swego. Chociaż jeśli mi pani to wszystko wyznała jedynie dla uzyskania pochwały za szczerość swoją, to nie doprowadzi to pani wcale do udoskonalenia się w czynnej miłości, pozostanie pani przy swoich marzeniach, a życie przejdzie, jak marny cień. Gdy, przeciwnie, skoro pani przejdzie do czynnej miłości, obawy pani przeminą, znikną niepewności co do przyszłego życia.

— Przerażacie mnie, ojcze, waszą przenikliwością. Przekonałam się dopiero teraz, w chwili, gdym mówiła z wami, że oczekiwałam, wistocie, pochwały z ust waszych za szczerość, z jaką wyznałam niezdolność swą do znoszenia niewdzięczności. To zupełnie, jakbyście mnie podsłuchali, odgadli, nauczyli rozumieć samą siebie.

— W każdym razie pani jest naprawdę dobra, a z tego, co pani o sobie mówi, widocznem jest, że się pani znajduje na dobrej drodze — tylko nie należy z niej schodzić. Staraj się pani przedewszystkiem unikać kłamstwa, a zwłaszcza okłamywania samej siebie. Nie trzeba się również lękać, bo strach jest właśnie najgorszym gatunkiem kłamstwa. Nie lękaj się pani własnej nieudolności w osiągnięciu miłości czynnej, a nawet nie trwóż się pani zbytecznie własnymi złymi postępkami. Żałuję, że nie mogę pani dokładnie określić różnicy, jaka zachodzi między miłością w marzeniu, a w czynie. Miłość w marzeniu wymaga objawów nagłych, szybko wykonalnych, i chce, aby ją wszyscy widzieli. Jest to miłość, która potrafi niekiedy oddać nawet życie w ofierze, byle ofiara nie trwała długo, byle wszyscy widzieli i chwalili, jak na scenie. Miłość zaś czynna — to praca i wysługa, to utrzymanie siebie w karbach, a dla wielu trudna nauka. Za to w chwili, gdy się nam wydaje, że wysiłki nasze są daremne, i że nas nigdy nie doprowadzą do celu, cel ów jest już prawie osiągnięty, a tajemna moc Boża, która wiodła nas i podtrzymywała, objawia się nam w całej swej cudownej potędze. Ale dość już. Daruje, mi pani, że dłużej bawić nie mogę, bo czekają tam na mnie, do widzenia więc.

Dama płakała.

— A Liza! moja Liza! Pobłogosławcie ją przecie, ojcze!

— Nie zasługuje na to — odrzekł żartobliwie starzec — dokazywała tu cały czas i wyśmiewała się z Aloszy.

Rzeczywiście, Liza zauważyła odrazu, że wzrok jej wprowadza Aloszę w zakłopotanie, i że chłopak unika go starannie. Bawiło ją to niezmiernie i umyślnie wpatrywała się w niego ustawicznie, gdy zaś Alosza, podniósłszy oczy, spotykał się z jej wejrzeniem, śmiała się tryumfująco. Alosza schronił się za plecy starca, ale i to nie na wiele się przydało, bo Liza, wychyliwszy się z krzesła, patrzyła wciąż w jego stronę, a gdy udało się jej raz jeszcze podchwycić ukradkowe jego wejrzenie, rozśmiała się tak hałaśliwie, że zwróciło to uwagę starca.

— Ach, ty swywolnico! Czemuż to starasz się go zawstydzić?

Twarzyczka Lizy spoważniała nagle i pokryła się silnym rumieńcem. Oczka jej błysnęły i skarżyć się zaczęła nerwowo, nawpół żałosnym, nawpół gniewnym głosikiem:

— A czemuż on jest taki? czemu zapomniał o wszystkiem? Pierwej przychodził do nas, bawił się ze mną, nosił mnie kiedyś na ręku i uczył czytać, a dwa lata temu, kiedy się ze mną żegnał, mówił, że zawsze będziemy w przyjaźni. A teraz boi się mnie, zbliżyć się nie chce. Czemu nigdy do nas nie przyjdzie, a my z mamą wiemy, że do innych chodzi. Mnie to przecież przykro. On pierwszy powinien przypomnieć sobie i przyjść. I poco włożyliście mu tę długą suknię, w której ruszać się nie może, ani biegać, boby zaraz upadł.

Tu zaśmiała się znów właściwym sobie nerwowym, przewlekłym śmiechem.

Starzec wysłuchał jej z dobrotliwym uśmiechem i pobłogosławił z czułością, ona zaś ujęła go za rękę, którą podnieść chciała do ust i zapłakała nagle.

— Nie gniewajcie się na mnie, ojcze; ja wiem, że jestem głupia i nic nie rozumiem. Alosza dobrze robi, że do mnie przyjść nie chce.

— Przyślę ci go niezawodnie — rzekł stanowczo starzec.

Nieobecność starca w celi trwała jakie dwadzieścia pięć minut. Było już wpół do pierwszej gdy do niej wrócił, a Dymitra Fedorowicza, z którego powodu odbywało się całe zebranie, dotąd jeszcze nie było. Zapomniano jednak o nim prawie zupełnie, a gdy starzec wrócił do celi, zastał gości swoich zajętych bardzo ożywioną rozmową. Toczyła się ona głównie pomiędzy dwoma ojcami zakonnymi i Iwanem Fedorowiczem. Mięszał się wprawdzie do niej i Mjusow, ale mało zwracano na niego uwagi, nie odpowiadając mu wcale; był widocznie na drugim planie, co zwiększało jego rozdrażnienie. Poprzednio już przymawiali sobie z Iwanem Fedorowiczem, który go najwyraźniej lekceważył.

“Było się dotąd conajmniej na wysokości postępowych prądów europejskich, a oto przychodzi młode pokolenie, które nas wyraźnie ignoruje” myślał z goryczą Mjusow.

Stary Karamazow, pamiętny danego słowa, milczał istotnie czas jakiś, radując się w cichości niepowodzeniem Mjusowa, nie wytrzymał jednak długo i, pochylając się do ucha swego antagonisty, począł go znów drażnić przycinkami.

Miałeś przecie odjechać, aby nie kompromitować się w tak marnej kompanii, a teraz, jak widzę, nie ruszysz się stąd, póki im nie pokażesz całego swego rozumu.

— Ty znowu zaczynasz! Właśnie, że zaraz odjadę!

— Odjedziesz, ale ostatni — odrzekł Fedor Pawłowicz, w chwili właśnie wejścia starca.

Spór ucichł na chwilę, ale starzec, usiadłszy na dawnem miejscu, zachęcał uprzejmie do dalszej rozmowy. Alosza, który umiał doskonale rozpoznawać najlżejszą zmianę w twarzy swego mistrza, zauważył jego niezwykłe znużenie. W ostatnich czasach choroba starca pogorszyła się tak, że, skutkiem wycieńczenia sił, ulegał on kilkakrotnym omdleniom. Alosza obawiał się, aby się to i teraz nie powtórzyło, ale widział jednocześnie, że starzec nie chce żadną miarą przerwać zebrania, jakby miał w tem jakiś swój cel ukryty.

— Mówimy tu o ciekawej broszurze Iwana Fedorowicza — objaśnił starca ojciec bibliotekarz. — Rzecz to bardzo ciekawie napisana i przynosi wiele nowego. Tylko kwestya postawiona jest cokolwiek obosiecznie. Jest to odpowiedź na dzieło jednego duchownego o sądach duchownych.

— Nie czytałem pańskiej broszury, ale wiele o niej słyszałem — odrzekł starzec, przyglądając się bacznie Iwanowi.

— Pan stoi tam na ciekawem stanowisku — objaśniał dalej ojciec bibliotekarz — i jest, jak się zdaje przeciwnikiem rozdziału kościoła od państwa.

— To istotnie ciekawe, a na jakiej zasadzie? — spytał starzec Iwana.

Iwan zwrócił się z odpowiedzą do starca i to bynajmniej nie imponująco z góry, jak się tego wczoraj jeszcze obawiał Alosza, ale bardzo skromnie i z uprzedzającą grzecznością.

— Wychodzę z założenia — rzekł on, — że w stosunku kościoła do państwa, takim, jakim on jest dziś pojęty, panować będzie wiecznie zamęt, a to z powodu fałszu, jaki tkwi w samej istocie tegoż stosunku. Kompromis pomiędzy Kościołem, a państwem w takich choćby rzeczach, jak sądy duchowne, jest, mojem zadaniem, niemożliwy. Autor dzieła w tej sprawie, z którym polemizowałem, twierdzi, że Kościół

zajmuje w państwie oddzielne stanowisko, ja zaś jestem zdania, że kościół sam w sobie stanowić powinien państwo, nie zaś zajmować w niem nieznaczny jakiś kącik, i sądzę, że w dalszym rozwoju chrześcijaństwa zmiana taka nastąpić musi.

— Zupełnie słusznie — potwierdził z zapałem ojciec Paisy, uczony milczący zakonnik.

— Ultramontanizm najczystszej wody! — zawołał Mjusow, niecierpliwie przekładając nogę na nogę.

— Autor dzieła o duchownych trybunałach — rzekł ojciec bibliotekarz — wygłasza trzy twierdzenia, które zwalcza pan Karamazow. 1), że żadne publiczne stowarzyszenie nie powinno rozporządzać się obywatelskiemi i politycznemi prawami swoich członków, 2), że władze obywatelsko sądownicze nie należą do Kościoła, jako niezgodne z pojęciem Boskiej instytucyi, 3) wreszcie, że Kościół jest królestwem nie z tego świata.

— Nieprzyzwoita gra słów — przerwał z oburzeniem ojciec Paisy. — Nie rozumiem nawet, jak przedstawiciel duchowieństwa może sobie pozwalać na takie fałszowanie pojęć. Słowa o królestwie nie z tego świata mają w ewangelii zupełnie inne znaczenie. Chrystus Pan ustanowił Kościół na ziemi, musi więc na niej istnieć bez względu na królestwo niebieskie, które, rozumie się, jest nie z tego świata, ale do którego wchodzi się jedynie przez Kościół. Co się tyczy panowania Kościoła, to nastąpi ono niezawodnie pod koniec, jak to mamy przyrzeczone.

Umilkł wreszcie, jakby wstrzymując się od wypowiedzenia dalszych myśli, Iwan zaś wysłuchał go z całym szacunkiem, poczem zwrócił się znów do starca, wyjaśniając mu swoje poglądy.

Słuchano go uważnie, a gdy skończył odpowiedział mu znów ojciec Paisy.

— Tak więc, podług najnowszych teoryi Kościół powinien się z czasem przeobrazić w państwo, zupełnie jakby przechodząc z niższego w wyższy stan rozwoju, i to na to, aby utonąć i zniknąć w tem państwie, ustępując miejsca nauce, duchowi czasu, cywilizacyi itp., jeśli zaś ośmieli się sprzeciwić, to wyznaczy mu się osobny kącik w państwie, ale pod ścisłym nadzorem. Dzieje się to dziś wszędzie w europejskich krajach, ale u nas, w Rosyi, powinno być inaczej, tj. nie Kościół państwem, a państwo ma się stać Kościołem i niczem innem. Czy zrozumiałem pana dobrze? Jeśli tak, to i owszem, "niech będzie".

— Teraz zaczynam rozumieć — przerwał z uśmiechem Mjusow, przekładając znów nogę na nogę. — Ma to więc być urzeczywistnienie jakiegoś nieskończenie dalekiego ideału, piękna utopia o zniesieniu wojny, dyplomacyi, banków itp., coś nakształt chrześcijańskiego socyalizmu; na to zgoda, tylko, że to odległa przyszłość. Ja zaś myślałem, że to kwestya poważna, i że Kościół ma już dziś wziąć na siebie obowiązek sądzenia przestępców, skazywania ich na rózgi, katorgę, a nawet i na śmierć.

— Gdyby nawet i dziś Kościół wziął w swoje ręce ogólną władzę sądownictwa, to napewno nie skazywałby przestępców na karę śmierci; zapatrywania na przestępstwo i karę zmieniłyby się nie odrazu zapewne, ale w każdym razie dość szybko — odparł spokojnie Iwan Fedorowicz.

— Czy pan to seryo mówi? — zagadnął Mjusow, patrząc na niego uważnie.

— Gdyby państwo w samej rzeczy stało się Kościołem, to wystarczyłoby wykluczenie przestępcy ze społeczeństwa i nie zachodziłaby najmniejsza potrzeba ucinania mu głowy. Przestępstwo zaś miałoby zupełnie inny charakter. Dziś jest ono wykroczeniem przeciw państwu jedynie, wówczas byłoby wykroczeniem przeciw Kościołowi; z drugiej zaś strony i stosunek Kościoła do przestępcy musiałby uledz zmianie.

— Cóż to ma być takiego? Znowu zaczynam nie rozumieć — przerwał Mjusow. — Cóż to będzie za wykluczenie? na czem ma polegać? Zdaje mi się, że pan chcesz z nas poprostu zażartować.

— Przecież to już i dziś istnieje — przemówił z kolei starzec, — i dziś Kościół jedynie i religia stanowią hamulec dla przestępcy daleko bardziej, niż państwowe kary, które rozdrażniają tylko serca. Co więcej, jedyną karą prawdziwą, istotną i zatrważającą dla przestępcy, jest uświadomienie własnej winy we własnem sumieniu.

— Jakże to udowodnić? — przerwał z ciekawością Mjusow.

— Zgodzi się pan przecie — rzekł starzec, — że wszystkie te wysyłania na wygnanie, bicie i inne tego rodzaju kary, nietylko nie poprawiają przestępcy, ale go nawet nie przestraszają i nie zmniejszają li-

czby zbrodni. Na miejsce jednego odrąbanego, czy też wydalonego członka społeczeństwa, ukazuje się co najmniej dwóch nowych zbrodniarzów. Dziś Kościół niema prawa sądu; gdyby go jednak posiadał, umiałby dobrze rozpoznać, kto z winnych może być nanowo przyjęty na łono społeczeństwa.

Dziś, wobec srogości kar świeckich, Kościół nietylko nie wyklucza ze swego łona winnego, ale przeciwnie, otacza go szczególniejszą pieczołowitością. Wielki Boże! Cóżby to było, gdyby jeszcze i chrześcijańska społeczność, tj. Kościół, odrzucał od siebie przestępcę, jak go odrzuca świeckie państwowe prawo. Cóżby to było, gdyby jeszcze i Kościół brał udział w karaniu winnego? Musi być przecie ktoś, coby się nad nieszczęsnym użalił. Na Zachodzie, podobno, przestępca nie potrzebuje tego użalenia się, bo współczesna nauka kładzie mu nieustannie w uszy, że przestępstwo jego nie jest bynajmniej zbrodnią, lecz słusznym protestem przeciw niesprawiedliwości. W krajach protestanckich Kościół znajduje się właśnie w stanie przejściowym, przechodząc coraz bardziej z Kościoła w państwo, aby się z czasem w tem państwie zupełnie roztopić. W Rzymie, przed tysiącem już lat, uczyniono z Kościoła państwo. Z tego powodu przestępca sam sie najczęściej nie uznaje za członka Kościoła i nie żąda od niego żadnej pociechy. I u nas w wielu wypadkach dzieje się podobnie, jest jednak instynktowna wiara w sąd Kościoła, któremu przestępca poddaje się prawie bezwiednie. Słusznie też zauważył Iwan Fedorowicz, że gdyby z czasem cała społeczność stała się Kościołem, to nietylko sąd kościelny oddziaływałby na przestępcę silniej i głębiej, niż jakibądź inny, ale też i liczba przestępstw zmniejszyłaby się niezawodnie. Kościół wiedziałby już, jak przywrócić do łaski odrzuconego, podnieść upadającego, lub powstrzymać zamyślającego o zbrodni. Co zresztą, aby się stać mogło choćby pod koniec wieków!

— O tak, niech tak będzie! Niech się tak stanie! — twardo i energicznie potwierdził ojciec Paisy.

— Dziwne, do najwyższego stopnia zadziwiające — zauważył Mjusow, ze źle powstrzymywanem oburzeniem.

— Cóż się tu panu wydaje tak dziwnem? — spytał ostrożnie ojciec bibliotekarz.

— Jakto? — zawołał Mjusow, zrywając się nagle z miejsca. — Usuwa się ze społeczeństwa państwo, a na jego miejsce stawia się Kościół? To już nie ultramontanizm, ale jakiś arcy - ultramontanizm. O czem podobnem nie marzył nawet papież, Grzegorz siódmy.

— Pan przekręca pojęcia — odparł srogo ojciec Paisy. — Nie Kościół stanie się państwem, a państwo zmieni się w Kościół, i w ten sposób chrześcijaństwo zapanuje na całej ziemi. Naszemu to prawosławnemu Kościołowi przypadło w udziale spełnić to wielkie zadanie! Od Wschodu zaświeci gwiazda!

Mjusow znacząco milczał. Cała postać jego wyrażała dumne zamknięcie się w sobie, a uśmiech politowania ukazał się na jego ustach. Alosza przysłuchiwał się całej rozmowie z bijącem sercem i był do głębi wzruszony. Spojrzał mimochodem na kleryka Rakitina i, pomimo jego spuszczonych oczu i nieruchomej postawy, poznał po silnych rumieńcach, pokrywających jego policzki, że i on także nie zajmuje tu stanowiska obojętnego świadka. Alosza domyślał się aż nadto dobrze, co jest powodem jego wzruszenia.

— Pozwólcie mi państwo przytoczyć tu małą anegdotkę, — rzekł wreszcie Mjusow. — Lat temu kilkanaście, zaraz po zamachu grudniowym, zdarzyło mi się spotkać w Paryżu u jednego znajomego mi dostojnika, bardzo ciekawą figurę. Był to, ni mniej ni więcej, tylko tajny urzednik, rozporządzający cały sztabem szpiegów. Człowiek ten, widząc mnie na stopie dobrej znajomości ze swym zwierzchnikiem, rozmawiał ze mną uprzejmie i odpowiadał na ciekawe moje pytania, ostrożnie wprawdzie, jednak w ten sposób, że się mogłem wiele dorozumieć. Między innymi, mówiliśmy z nim o rewolucyjnych socyalistach, których rząd wówczas bardzo prześladował. "Nie obawiamy się zbytnio — mówił ów agent — tych wszystkich socyalistów, anarchistów i rewolucyonistów, o ile są bezwyznaniowi; śledzimy ich i znamy doskonale wszystkie ich kroki. Ale jest między nimi niewielu wprawdzie, ale zawsze troche takich, którzy wierzą w Boga, są chrześcijanami, a jednocześnie socyalistami; ci są najgorsi, to poprostu straszna rasa. Socyalista chrześcijański jest o wiele, o wiele groźniejszy od socyalisty bezwyznaniowca".

— Czy to przymówka do nas, i czy

to nas uważa pan za socyalistów? — zapytał bez ogródek ojciec Paisy.

Zanim jednak Mjusow zdążył odpowiedzieć, wszedł tak oczekiwany Dymitr Fedorowicz, o którym wszyscy jednak prawie już zapomnieli tak dalece, że wejście jego wywołało pewne zdumienie.

* * *

I POCO TAKI CZŁOWIEK ŻYJE NA ŚWIECIE!

Dymitr Fedorowicz był to dwudziesto ośmioletni młodzieniec, wzrostu średniego i przyjemnej powierzchowności wyglądający na cokolwiek starszego, niż był w istocie. Muskularna jego budowa zdawała się zapowiadać znaczną siłę fizyczną, mimo to, twarz jego miała w sobie coś chorobliwego. Policzki jego były zapadłe, cera żółtawa, a duże jego ciemne oczy, cokolwiek wypukłe, patrzyły przed siebie z twardym uporem, połączonym z jakimś nieokreślonym wyrazem. Oczy te miały w sobie to szczególnego, że w chwili nawet, gdy się gniewał, ożywiał, lub cieszył, wzrok jego zdawał się nie mieć nic wspólnego z chwilowym jego nastrojem i zachowywał wyraz zupełnie obcy jego uczuciom. "Trudno poznać, o czem ten myśli" — mawiano o nim. Dziwiono się również nie raz nagłym wybuchom śmiechu, które zdarzały się u niego w chwili właśnie, gdy wyraz posępnej zadumy, panującej w jego oczach, nasuwał patrzącym na niego przypuszczenie, że musiał mieć w tej chwili jakieś ważne zmartwienie.

Co prawda, chorobliwy wygląd i posępne wejrzenie były w obecnych okolicznościach zupełnie zrozumiałe. Wszyscy wiedzieli, albo słyszeli o jego namiętnych sporach z ojcem o należny mu spadek. Wszyscy też znali szczegóły hulaszczego i nieporządnego życia, jakie prowadził w ostatnich czasach.

Opowiadano sobie o nim w mieście wiele charakterystycznych anegdot. Uchodził wogóle za człowieka niezmiernie nerwowego i porywczego.

Wszedł do celi pewnym krokiem, ubrany bez zarzutu, w czarnym zapiętym tużurku, w rękawiczkach i z cylindrem w ręku. Jako niedawny wojskowy nosił starannie utrzymane wąsy, a jego ciemno blond włosy były krótko ostrzyżone.

Zatrzymał się przez chwilę na progu, a obrzuciwszy wzrokiem obecnych, rozpoznał wnet gospodarza w osobie starca i skierował się w jego stronę. Skłonił mu się nisko i poprosił o błogosławieństwo. Starzec powstał z miejsca i pobłogosławił go. Dymitr ucałował z szacunkiem jego rękę, poczem rzekł głosem rozdrażnionym, prawie gniewnym:

— Raczcie mi, ojcze, wybaczyć moje spóźnienie, ale służący mego ojca, Smerdiakow, wskazał mi fałszywą godzinę, mimo, żem go dwa razy o to pytał. Teraz dopiero widzę...

— O, proszę, niech się pan o to wcale nie troszczy, nic się przecie nie stało, żeśmy trochę na pana zaczekali.

— Wdzięczny jestem nad wyraz za pobłażliwość. Co prawda, nie spodziewałem się mniej po znanej waszej dobroci — odrzekł dobitnie Dymitr, poczem skłonił się raz jeszcze i zwrócił się w stronę swego "tatusia". I jemu także złożył bardzo głęboki ukłon, widocznie z góry obmyślany, przez który chciał wyrazić gotowość swą do nieuchylania się od należnego ojcu szacunku.

Fedor Pawłowicz znalazł się po swojemu, tj. na widok syna zerwał się z krzesła i na ukłon jego odpowiedział również prawie nizkim ukłonem, przyczem twarz jego przybrała wyraz poważny i uroczysty, co mu nadawało dziwnie niemiły wygląd.

Dymitr Fedorowicz pozdrowił jeszcze wszystkich obecnych ogólnym ukłonem i zajął jedyne puste krzesło, nieopodal ojca Paisy.

Rozmowa, przerwana na chwilę jego wejściem, ożywiła się nanowo, tylko Mjusow nie miał już ochoty usprawiedliwiać się z uczynionego mu zarzutu.

— Pozwólcie mi państwo nie poruszać tego tematu, który jest dla mnie za ciężki — rzekł z niedbałym uśmiechem światowca — zwróćcie się raczej do Iwana Fedorowicza, z którego wejrzenia łatwo odgadnąć, że ma nam coś ciekawego do powiedzenia.

— Nie tak dalece — odrzekł Iwan, — prócz skromnej uwagi, że zarówno europejski liberalizm, jak i nasz rosyjski dyletantyzm, mieszają zbyt często pojęcia chrześcijaństwa i socyalizmu, z opowiadania zaś Piotra Aleksandrowicza wynika, że podobnej omyłki dopuszczają się również i żandarmi, rozumie się francuscy.

— W takim razie poproszę o pozwolenie opowiedzenia jeszcze jednej anegdoty, dotyczącej samego Iwana Fedorowicza — rzekł Mjusow. — Oto kilka dni temu twierdził on stanowczo w towarzystwie, składającem się przeważnie z dam, że niema na całym świecie nic takiego, coby zmuszało ludzi do kochania się nawzajem, że nie istnieje żadne prawo przyrody, któreby zniewalało człowieka do kochania ludzkości, i że jeżeli jest jeszcze między ludźmi miłość, to tylko dlatego, że wierzą oni w swoją nieśmiertelność. Iwan Fedorowicz dodał jeszcze, że gdyby odebrano człowiekowi wiarę w nieśmiertelność, utraciłby on natychmiast nietylko zdolność do miłości, ale i wszelką siłę żywotną i nie miałby najmniejszej ochoty do przedłużenia bytu świata; że nie byłoby wówczas żadnych praw moralnych i wszystko byłoby dozwolone, nawet ludożerstwo; że każdy uczciwy człowiek, pozbywszy się wiary w Boga i nieśmiertelność, powinien przyjąć za jedyne prawo obowiązujące — bezwzględny egoizm, doprowadzony do tego, co dziś nazywamy występkiem, i że to będzie jeszcze dla niego najszlachetniejsze wyjście. Z tego możecie panowie sami osądzić co jeszcze może nam tu opowiedzieć nasz kochany, ale ekscentryczny i paradoksalny Iwan Fedorowicz.

— Pozwólcie państwo — zawołał nagle Dymitr, — więc, jeżeli dobrze zrozumiałem, występek jest nietylko dozwolony, ale prawnie uznany, jako najszlachetniejsze wyjście dla człowieka nie wierzącego. Czy tak?

— Tak, niezawodnie — potwierdził ojciec Paisy.

— Zapamiętam to sobie.

Wyrzekłszy te słowa, Dymitr umilkł równie nagle, jak się nagle wmieszał w rozmowę. Wszyscy spojrzeli na niego ciekawie.

— Czy to istotnie pańskie przekonanie, że unicestwienie wiary w nieśmiertelność wywołałoby takie skutki? — spytał starzec Iwana.

— Tak, rzeczywiście mówiłem; jeśli niema nieśmiertelności, to niema i cnoty.

— Szczęśliwy pan jesteś, że ta wierzysz, albo też może bardzo nieszczęśliwy.

—Dlaczego nieszczęśliwy? — spytał z uśmiechem Iwan.

— Bo prawdopodobnie sam pan nie wierzysz ani w nieśmiertelność duszy, ani też w to wszystko, coś pan napisał o Kościele i w kwestyi religijnej.

— Być może, ojcze, że macie słuszność, chociaż nie zupełnie żartowałem — przyznał Iwan z nagłem rumieńcem.

— Nie żartowałeś pan zupełnie, to prawda, bo też wątpliwość ta nie jest jeszcze rozstrzygnięta w pańskiem sercu, mimo, że je udręcza. Zresztą i męczennik lubi niekiedy zabawić się męką swoją, jakby z nadmiaru bólu. Tak i pan zabawiasz się artykułami dziennikarskiemi, rozmowami w salonie, mimo, że nie rozstrzygnąłeś pan jeszcze w sobie tej kwestyi, a rozstrzygnięcia jej pragniesz.

— A możeż nastąpić owo rozstrzygnięcie? A zwłaszcza w formie twierdzącej? — zapytał Iwan, patrząc na starca z nieokreślonym uśmiechem.

— Jeśli nie może rozstrzygnąć się twierdząco, to nie rozstrzygnie się też i przecząco; sam pan to czujesz w głębi serca i to pana najbardziej męczy. A przecież powinieneś pan dziękować Stwórcy, że dał ci wzniosłe serce, zdolne do tego rodzaju cierpienia. Bo szukać mądrości i wznosić się do niej, to zadanie życia naszego; obyś mógł je spełnić tu jeszcze na ziemi i niech Bóg błogosławi drogi twoje.

Starzec podniósł rękę, chcąc przeżegnać Iwana, ten zaś, dostrzegłszy to, powstał i zbliżył się do niego, by przyjąć błogosławieństwo, a ucałowawszy jego rękę, powrócił na miejsce.

Postępek ten i całe wogóle zachowanie się Iwana wobec starca było dla obecnych taką niespodzianką, że wszyscy zamilkli pod wrażeniem zdumienia, a nawet pewnego rodzaju podniosłego nastroju. Na twarzy Aloszy odbiło się coś nakształt przestrachu. Tylko Mjusow wzruszył ramionami, a stary Karamazow skoczył ze swego miejsca i podbiegł do starca, wołając:

— Oto mój syn ukochany, kość z kości mojej! Zacny, pełen szacunku syn, że tak rzeknę, drugi Karol Moor ze zbójców Schillera. Tamten zaś, co wszedł przed chwilą, to istny Franciszek Moor, przeciw, któremu szukam waszej opieki. Ja zaś stoję tu jako stary hrabia Moor, der regierende graf von Moor. Osądźcie nas teraz, ojcze, i wysłuchajcie, bo pragniemy nietylko modlitwy, ale i przepowiedni waszych.

— Proszę, zechciej pan mówić bez tych dodatków i nie zaczynaj od obrażania własnych synów — rzekł cichym, zaledwie

dosłyszalnym głosem starzec, który widocznie czuł się coraz słabszy:

— Nieprzyzwoita komedya, którą odrazu przeczułem idąc tutaj — zawołał Dymitr Fedorowicz, zrywając się z oburzeniem. — Darujcie, czcigodny ojcze, — dodał, zwracając się do starca — jam człowiek prosty i nie znam się na formach, nie wiem nawet, jak się mam względem was zachować; to pewna tylko, że oszukano was tutaj, prosząc o pozwolenie zjazdu. Ojcze mój najwidoczniej pragnie skandalu, dlaczego? sam chyba wie najlepiej, musi mieć w tem jakiś swój interes, domyślam się nawet jaki.

— Wszyscy się przeciw mnie zmówili! — krzyczał ze swego miejsca stary Karamazow — wszyscy przeciw mnie, i Mjusow także, tak, i ty przeciw mnie występujesz! — powtarzał, zwracając się w stronę Mjusowa, który bynajmniej nie myślał zaprzeczać. — Oskarżają mnie, żem przywłaszczył sobie pieniądze moich dzieci, i że noszę je w butach! — Są na to przecież sądy! Zwróć się do nich, a wyrachują ci wszystko co do grosza, na podstawie twoich własnych kwiatów. Pokażę się dopiero, że nie ja twoim, a ty moim jesteś dłużnikiem, i to nie na drobną sumę... kilka tysięcy! Mjusow trzyma naturalnie stronę Dymitra, nic dziwnego, to przecież jego krewny. Tymczasem posłuchajcie tylko państwo, co mówią w całem mieście o nadużyciach i hulankach mego syna. Tam, gdzie pierwej służył w wojsku, kupował cnotę dziewcząt, opłacając ją tysiącami rubli. Wszyscy to wiedzą i to w najdrobniejszych szczegółach. Ojcze najświętszy! wystaw sobie, że ten rozpustnik rozkochał w sobie i pozyskał serce szlachetnej dziewicy z dobrego domu, córki swego dawnego pułkownika. Panna piękna, posażna, ojciec zasłużony stary żołnierz, okryty orderami, ozdobiony krzyżem Anny. Skompromitował pannę, bo jest z nią po słowie. Ona teraz sierota, ojca straciła, przyjechała tutaj, a on w jej oczach, pod nosem swojej narzeczonej, romansuje z jedną tutejszą heterą, u której wciąż przebywa. Kobieta ta, mimo swej lekkiej opinii, żyła w poważnym związku z jednym szanownym człowiekiem tak prawie, jak ślubna żona; była to, że tak rzeknę, niedostępna forteca, bo ona jest cnotliwa, święty ojcze, mimo wszystko jest cnotliwa. Otóż Dymitr chce fortecę tę otworzyć złotym kluczem i na to potrzebuje pieniędzy, z tego powodu brawuje tak tu przedemną. Wydał już on i tak całe tysiące na stosunek swój z tą heterą, a wiecie u kogo pożycza pieniądze na ten cel? Czy mam powiedzieć, Mitia?

— Milcz! — krzyknął Dymitr. — Poczekaj przynajmniej niech wyjdę. Nie waż się w obecności mojej plamić imienia tej najszlachetniejszej istoty! Już to samo, żeś śmiał tu o niej wpomnieć, jest dla niej dostateczną zniewagą!

Tchu mu brakło.

— Mitia! Mitia! — upominał łzawym głosem Fedor Pawłowicz, — to już tak masz za nic błogosławieństwo ojcowskie, a cóż to będzie, gdy cię naprawdę przeklnę?

— Bezwstydny obłudnik! — ryknął Dymitr nieludzkim głosem.

— Widzicie państwo! I to tak na ojca! Cóż dopiero z obcymi. Wyobraźcie sobie państwo, że jest tu pewien dymisyonowany kapitan, biedny poczciwy, obarczony rodziną. Został wprawdzie usunięty ze służby, ale cicho, bez rozgłosu, bez żadnych sądów, słowem, zupełnie honorowo. Otóż trzy tygodnie temu Dymitr, spotkawszy tego starca w restauracyi, schwycił go za brodę i wywlókł za tąż brodę na ulicę, gdzie go zbił najokropniej wobec wszystkich przechodniów, a to wszystko z tego tylko powodu, że człowiek ten pośredniczył na moją korzyść w pewnej drobnej sprawie.

— Wszystko łgarstwo! To jest tylko pozór prawdy, a w gruncie rzeczy łgarstwo, — zaprzeczył drżący z gniewu Dymitr. — Nie mam zwyczaju ubarwiać swoich postępków, i przyznaję tu wobec wszystkich, że z kapitanem tym postąpiłem sobie istotnie, jak dziki zwierz. Ale też ten kapitan, ten pośrednik mego ojca, udał się do owej pani, którą tu przed chwilą nazwano heterą, i zaproponował jej, by skarżyła mnie przed sądem za weksle moje, które jej mój ojciec oddawał, a to dlatego tylko, aby mnie zamknięto do więzienia, w razie gdybym się upominał o spadek po matce.

— Zarzucasz mi — mówił dalej, zwracając się do ojca — sympatyę do owej pani, a sam ją przecie namawiałeś, aby starała się mnie przyciągnąć... powiedziała mi to w oczy, śmiejąc się z ciebie. Chcesz mnie usunąć jedynie dlatego, że jesteś zazdrosny, bo sam się narzucasz ze swą miłością owej pani. Wiem to dosko-

nale, bo mi to sama opowiadała, śmiejąc się z ciebie. Słyszysz?! Ona drwi z ciebie! Patrzcie, święci ojcowie, taki jest ów ojciec, gromiący zepsutego syna! Darujcie mi, państwo wszyscy, moje uniesienie, ale wiedziałem odrazu, że tak będzie, byłem pewien, że ten drapieżny człowiek, który jest moim ojcem, po to tylko zwołał to zebranie, aby wywołać skandal. Wszedłem tu z zamiarem podania mu ręki na zgodę, chciałem darować i sam prosić o przebaczenie. Ale skoro obraził on nietylko mnie, ale i ją, najszlachetniejszą z dziewic, której imienia nawet tu nie śmiem wymówić, taką czcią jestem dla niej przejęty, to nie mogłem milczeć dłużej i musiałem odsłonić wam całą prawdę, mimo, że to mój ojciec!

Nie mógł mówić dłużej, gniew dusił go, oczy pałały. Co prawda, wszyscy obecni byli również wzburzeni, wszyscy, prócz starca, zerwali się z miejsc swoich. Ojcowie zakonnicy spozierali surowo, ale milczeli, czekając przemówienia starca. Ten siedział blady i bezsilny, podnosząc niekiedy rękę, jakby chciał coś przemówić i w istocie jeden gest jego przerwałby niezawodnie tę burzliwą scenę. Lecz on sam wyglądał tak, jakby czegoś jeszcze oczekiwał, jakby się chciał o czemś przekonać.

W końcu Mjusow uczuł się dotkniętym w swem poczuciu przyzwoitości i postanowił przemówić.

— Wszyscy tu winni, że doszło do skandalu. Wiedziałem wprawdzie, jadąc tutaj, z kim mam do czynienia, nie przeczuwałem jednak nigdy, że rzeczy wezmą taki obrót. Jakto? Ojciec rywalizuje z synem o względy kokoty i knuje wraz z nią intrygi, by wsadzić tegoż syna do kryminału. Nie! Czegoś podobnego nie spodziewałem się nigdy, zostałem wyprowadzony w pole, jak i inni, oszukany, stwierdzam to, że zostałem oszukany.

— Dymitrze Fedorowiczu! — pisnął raptem stary Karamazow jakimś nieswoim głosem. — Gdybyś nie był moim synem wyzwałbym cię natychmiast na pojedynek, i to na pistolety, na odległość chustki d nosa! Tak Na odległość chustki do nosa! — powtarzał, tupiąc nogami.

Ludzie, którzy całe życie kłamali i grali komedyę, dochodzą z wiekiem do takie doskonałości, że są w stanie płakać na zawołanie i drżeć z objawami najgwałtowniejszego wzruszenia, mimo, że mogliby sobie wybornie szepnąć w tej samej chwili: "I poco, stary komedyancie, kłamiesz bezwstydnie ten twój święty gniew i święte oburzenie?"

Dymitr spojrzał posępnie na ojca z wyrazem nieprzebranej pogardy.

— Marzyłem — mówił cichym, słumionym głosem, — że przyjadę tu z przyszłą żoną moją, aniołem duszy mojej, dla pielęgnowania i osłodzenia jego starości... I cóżem zastał? Lubieżnego rozpustnika i najpodlejszego z komedyantów.

— Na pojedynek cię wyzywam, na pojedynek! — zawołał znów piskliwie stary Karamazow.—A co się ciebie tyczy, szanowny panie Mjusow, chciej wiedzieć o tem, że w całej twojej rodzinie, uważasz, w całej twojej rodzinie nie znajdziesz ani jednej kobiety równie czystej, jak ta, którą przed chwilą ośmieliłeś się nazwać kokotą. Ty zaś, Dymitrze, porzuciłeś dla tej kobiety swoją narzeczoną, czem dałeś dowód, że ta twoja narzeczona nie warta jest podeszwy trzewików tamtej ko-ko-ty.

— Ależ to wstyd! — wyrwało się mimowoli z ust ojca bibliotekarza.

— Wstyd i hańba! — drżącym od wzruszenia głosem krzyknął młody Kałganow.

— I po co taki człowiek żyje na świecie? — rzekł głucho Dymitr, któremu gniew jakby nagle odszedł. Pochylił się tylko jakimś niezwyczajnym ruchem i dodał jeszcze, ukazując ręką na ojca: — Jakże można pozwalać, aby taki człowiek bezcześcił ziemię swoją obecnością?

Słowa te wypowiedział powoli i jakby przez sen.

— Słuchajcie, mnichy! Słuchajcie tego, ojcobójcy! — zawołał stary Karamazow. — Macie odpowiedź na wasze święte oburzenie! Wstyd! hańba! mówicie, a czy wiecie wy, że ta nierządnica, ta kobieta złego prowadzenia, jak ją nazywacie, czystsza jest może i świętsza od was tu wszystkich, co pracujecie nad swojem zbawieniem? Zbłądziła, być może, w młodości, ale kochała wiele, a takiej sam Chrystus przebaczył!

— Chrystus nie o takiej myślał miłości — zaprotestował dobroduszenie ojciec bibliotekarz.

— Jakto nie o takiej? Właśnie, że o takiej, mnichy, o takiejże! Siedzicie tu, karmiąc się kapusta i zdaje wam się, że to wielka zasługa. Zjadacie rybki wędzone

i zdaje wam się, że za tę cenę Boga kupicie i do zbawienia dojdziecie!

— Dość już tego, dosyć! — zabrzmiało ze wszystkich kątów celi.

Nagle burzliwa ta aż do nieprzyzwoitości scena zakończyła się całkiem niespodzianie. Starzec wstał z miejsca, podtrzymywany przez nawpół przytomnego Aloszę, podszedł do Dymitra, a ukląkłszy u nóg jego, pokłonił mu się nisko, uderzając czołem o ziemię. Alosza był tak zdumiony, że nie pomyslał nawet o podniesieniu starca, który powstał o własnych siłach i obejrzał się dokoła, uśmiechając się blado.

— Darujcie! Darujcie sobie wszyscy! — przemówił jeszcze, kłaniając się swoim gościom.

Dymitr stał, jak skamieniały. Co? jemu się pokłonił? jemu? Cóż to znaczy? "Boże mój!" — krzyknął wreszcie i, zakrywszy twarz rękami, wybiegł z pokoju. Za jego przykładem porwali się inni i, nie żegnając się nawet z gospodarzem, wyszli tłumnie, nie ochłonąwszy ze wzruszenia. Ojcowie tylko zakonnicy nie zaniedbali poprosić starca o błogosławieństwo.

— Co może znaczyć ten pokłon? Symbol jaki? — próbował pytać zmieszany Fedor Pawłowicz; nie śmiał jednak zwrócić się do nikogo bezpośrednio.

— Waryaty i dom waryatów! — wołał gniewnie Mjusow. — Słuchaj, twego towarzystwa, Fedorze Pawłowiczu, wyrzekam się, i to już raz na zawsze. Ale gdzież ten braciszek zakonny, co nas tu przyprowadził?

Braciszek oczekiwał właśnie na nich przed gankiem, zapraszając na obiad.

— Zechciejcie, proszę, wytłómaczyć mnie przed ojcem przełożonym, że z zaproszenia jego korzystać nie mogę, ale po tem wszystkiem, co tu zaszło, jest to dla mnie prawdziwem niepodobieństwem — rzekł z rozdrażnieniem Mjusow.

— To wszystko, co tu zaszło, to właściwie ja i moja obecność — podchwycił Fedor Pawłowicz. — Słyszycie, ojcze, to z mego powodu Piotr Aleksandrowicz nie chce przyjąć obiadu u przełożonego. Ależ nie krępuj się, prosze; to ja się usunę i miejsca ci ustapie, obiadować będę w domu, a tobie smacznego apetytu życzę, najdroższy kuzynie.

— Nie jestem pańskim kuzynem i nigdy nim nie byłem. Wstydu pan niema.

— Mówiłem też tak umyślnie, żeby cię zirytować, wiem, że wyrzekasz się kuzynostwa ze mną, mimo, że jesteśmy spokrewnieni, czego w każdej chwili mogę dowieść. Ty także, Iwanie, zostań, wieczorem przyślę po ciebie konie. Tobie, Piotrze Aleksandrowiczu, wypada nawet być u ojca przełożonego, aby go przeprosić za wszystko, cośmy tam z tobą nabroili.

— Naprawdę odjeżdżasz?

— Jakżebym mógł zostać po tem wszystkiem, co zaszło? Musiałbym przepraszać: Panowie, uniosłem się, darujcie... Są ludzie o sercu odważnem Aleksandra Macedońskiego. Inni znów mają tylko biedne tchórzliwe serduszko obitego pudla, ja właśnie jestem z takich, boję się wszystkiego. Jakżebym mógł po takim skandalu ukazywać się na obiedzie i zajadać klasztorne sosy?

— A dyabliż go wiedzą, czy nie udaje — zastanawiał się w myśli Mjusow, śledząc podejrzliwym wzrokiem za oddalającym się komendantem.

Tamten obejrzał się, a widząc, że Mjusow patrzy na niego, przesłał mu od ust całusa.

— Pan także idzie na obiad? — spytał sucho Iwana Mjusow.

— Czemużby nie? Tembardziej, że proszony jestem specyalnie przez ojca przełożonego i to jeszcze wczoraj.

— Co do mnie, ja w samej rzeczy nie czuję się na siłach figurować na tym przeklętym obiedzie — mówił ze wzrastającem rozdrażnieniem Mjusow, zapominając o obecności towarzyszącego im braciszka. — Choć właściwie należałoby się nam usprawiedliwić, a przedewszystkiem wytłómaczyć, że to wszystko stało się nie z naszej winy, że to nie my. Jak pan myśli?

— A oczywiście, trzeba się zastrzedz, że to nie my — odparł Iwan — zresztą ojca mego tam nie będzie.

— Jeszczeby tego brakowało. Przeklęty obiad.

Mimo to, szli wszyscy. Braciszek słuchał, milcząc. Dopiero w pół drogi lasku zauważył skromnie, że ojciec przełożony dawno już czeka, i że spóźniono się o jakie pół godziny. Nic na to nie odpowiedziano, tylko Mjusow spojrzał z nienawiścią na Iwana, mówiąc w myśli: "A ten idzie, jakby nigdy nic nie zaszło. Miedziane czoło i sumienie Karamazowów."

* * *

KLERYK KARYEROWICZ.

Alosza doprowadził swego starca do sypialni i posadził go na łóżku. Sypialnia była mała, zaledwie umeblowana niezbędnemi tylko sprzętami. Łóżko wązkie, żelazne, wysłane tylko wełnianą kołdrą, zamiast materacami. W kącie, pod obrazami, ustawiony był mały ołtarzyk, na którym leżał krzyż i książka Ewangelii. Starzec opadł bezsilny na łóżko, oczy jego błyszczały, a oddech miał ciężki. Usiadłszy, wpatrywać się począł uważnie w Aloszę, jakgdyby mu co leżało na sercu.

— Idź stąd, kochany — przemówił wreszcie — mnie i Porfiry pomoże, a tyś tam potrzebny; idź do ojca przełożonego i usłuż przy obiedzie.

— Pozwólcie mi, proszę, tu zostać — rzekł błagalnie Alosza.

— Tam jesteś potrzebniejszy, tam niema spokoju. Gdyby się znów sztany rozpętały, pomódl się. A wiedz o tem, synu mój (starzec lubił nazywać tak Aloszę), że miejsce twoje nie tutaj. Zapamiętaj to sobie, chłopcze. Skoro tylko spodoba się Bogu powołać mnie do siebie, ty wyjdź z klaszotoru, zupełnie odejdź.

Alosza wzdrygnął się.

— Co tobie? Twoje miejsce nie tutaj, do czasu przynajmniej. Błogosławię cię na długą jeszcze pielgrzymkę po świecie. Dużo jeszcze będziesz musiał przenieść i ożenić się powinieneś, wszystko musisz poznać, zanim tu znowu przybędziesz. Pracy będziesz miał wiele. Wiem, że na tobie można polegać, dlatego posyłam cię w życie. Z tobą jest Chrystus, ty Go strzeż, a On ciebie strzedz będzie. W cierpieniu będziesz, a mimo to, szczęśliwy. To moja ostatnia rada, w cierpieniu szczęścia szukaj i pracuj nieustannie. Zapamiętaj sobie dobrze te słowa, bo mimo, że będę jeszcze obcował z tobą, to już nie dni, ale godziny moje są policzone.

Na twarzy Aloszy odbiło się znów silne wzruszenie, kąciki ust jego drżały.

— Cóż ty znowu? — cicho uśmiechnął się starzec. — Niech ludzie świeccy opłakują swoich zmarłych, my radujemy się, skoro jeden z nas odchodzi do Ojca, radujmy się, i módlmy. Zostaw mnie samego, modlić się jeszcze muszę. Ty idź do nich, czuwaj nad braćmi i to nie nad jednym, a nad obydwoma.

Starzec podniósł rękę, aby go pobłogosławić. Opierać się było niepodobieństwem, mimo, że Alosza bardzo chciał zostać. Miał również ochotę zapytać starca, co znaczył ów pokłon aż do ziemi dla brata Dymitra, miał już nawet to pytanie na języku, ale nie ośmielił się go wymówić. Wiedział, że starzec nie odmówiłby mu sam wyjaśnień, gdyby to uznał za stosowne. A jednak pokłon ten trwożył go mocno. Upatrywał w nim jakieś znaczenie tajemnicze, a może i złowróżbne.

Wyszedłszy z celi starca, Alosza udał się w stronę mieszkania ojca przełożonego, czując się w obowiązku usłużyć przy owym obiedzie.

W drodze serce ścisnęło mu się tak boleśnie, że zmuszony był zatrzymać się chwilę, aby się opanować. W uszach brzmiały mu słowa starca, przeczuwającego bliski swój zgon. Jeśli starzec twierdził coś z całą pewnością, to stać się to musiało niewątpliwie, Alosza wierzył w to święcie. Ale co się z nim stanie, skoro starzec odejdzie? Jak tu żyć, nie widząc go, nie słysząc jego rad? Płakać zabrania i każe iść z klasztoru. Boże wielki!...

Dawno już Alosza nie doznawał równie ciężkiego smutku. Stał, patrząc żałośnie na odwieczne sosny, rosnące na obu stronach leśnej drożyny. Droga ta była nie długa, wynosząca zaledwie 500 kroków i o tym czasie zupełnie pusta. Mimo to, na pierwszym zaraz zakręcie dostrzegł Alosza Rakitina, który widocznie na kogoś oczekiwał.

— Na mnie czekasz? — spytał, zrównawszy się z nim Alosza .

— Oczywiście, na ciebie — rzekł z uśmiechem Rakitin. — Śpieszysz do ojca przełożonego, wiem, wiem. Tam obiad dziś wspaniały, przyjęcie, jakiego nie było od czasu, jak gościli archiereja z generałem Pachotowem. Ja nie pójdę, A ty idź, podawaj im przysmaki, Powiedz mi, proszę cię, Alosza, co znaczyła cała ta blaga? O to cię chciałem spytać.

— Jaka błaga?

— No, z tym pokłonem dla twego brata Dymitra. Ależ to walnął łbem o podłogę!

— Ty mówisz o ojcu Zosimie?

— Tak o ojcu Zosimie?

— Łbem?

— Uważasz, że nie wyrażam się z należytym szacunkiem? No, mniejsza o to. Powiedz w każdym razie, co to znaczy?

— Nie wiem, Misza, sam, co to znaczy.

— Tak. Wiedziałem z góry, że stary ci nie powie. Mądrego w tem tak dalece nic niema, chociaż po swojemu niezła sztuka. Dopiero będą mieli co opowiadać dewoci, dewotki. Rozniesie się to po mieście i okolicy. "Co to może znaczyć?" Podług mnie, stary ma dobry nos, przewąchał zbrodnię, bo, prawdę mówiąc, pachnie u was kryminałem.

— Jaką zbrodnię?

Rakitin chciał widocznie coś jeszcze dodać.

— U was w rodzinie stanie się zbrodnia, zajdzie tam coś między obydwoma twoimi braćmi, a bogatym ojczulkiem. Ojciec Zosima uderzył łbem o ziemię na wszelki wypadek. Cokolwiekby się potem zdarzyło, wszyscy powiedzą: "Święty starzec, przeczuł odrazu, wyprorokował". Choć, co prawda, proroctwa w tem żadnego niema, że ktoś łbem o ziemię stuknął. Nie, powiedzą: to była przenośnia, alegorya, symbol i czort wie, jeszcze co. Przeczuł zbrodniarza, powiedzą, odgadł. Waryaci tak zawsze: W szynku się przeżegna, a w kościół kamieniem ciśnie. Tak ci twój starzec: sprawiedliwego pałką w łeb, a mordercy — pokłon.

— Jaka zbrodnia? Jaki morderca? Co ty? — Alosza stanął, jak skamieniały. Rakitin zatrzymał się również.

— Jaki? Niby sam nie wiesz? Idę o zakład żeś to samo pomyślał przed chwilą. To ciekawe, ty, Alosza, niby zawsze prawdę mówisz, choć przeważnie siedzisz na dwóch stołkach, odpowiedzże mi jasno i szczerze, myślałeś to, czy nie?

— Myślałem — szepnął cicho Alosza, aż się Rakitin zmieszał.

— Co? Ty? Więc i tyś to pomyślał?

— Ja... nie... to nie to, żebym pomyślał — wybełkotał Alosza — tylko jakeś ty przed chwilą zaczął tak dziwnie o tem mówić, to i mnie się zdawało, żem to pomyślał.

— Widzisz, jakeś ty to jasno wyraził. Patrząc dziś na ojca twego i brata, Mitię, przyszła mi myśl o zbrodni.

— Poczekaj, poczekaj! — przerwał trwożnie Alosza — z czegóż ty to wnioskujesz, a potem dlaczego to ciebie tak zajmuje?

— To dwie odrębne kwestye, choć logicznie z sobą związane. Odpowiem na każdą z osobna. Nicby mi podobnego na myśl nie przyszło, gdyby nie to, żem zrozumiał dziś brata twego, Dymitra, z jednego rysu, który go najlepiej maluje. Tacy ludzie uczciwi, ale zmysłowi, mają pewne struny, których lepiej nie przeciągać, bo wówczas taki gotów ojca własnego zamordować. A tu ojciec pijak, hulaka, nie znający granic ni miary. Żaden z nich nie pohamuje się, no, i obaj stoczą się w przepaść.

— Nie, Misza, nie. Jeśli tylko, to, to mi dodałeś odwagi. Do tego nie dojdzie.

— W takim razie dlaczego drżysz cały? Wiesz, co będzie? Twój Mitia — uczciwy człowiek, głupi prawda, ale uczciwy; ale też namiętny, a zwłaszcza zmysłowy; to jest jego charakterystyka, tego mi nie zaprzeczysz. Ojciec przekazał mu swoje podłe zmysłowe usposobienie. To mnie tylko dziwi, żeś ty, Alosza, potrafił przechować swoją dziewiczość. Przecież tyś Karmazow, a w waszym rodzie zmysłowa namiętność dochodzi do stanu ostrego zapalenia. Tamci trzej lubieżnicy śledzą jeden drugiego z nożem w rękawie, no, i muszą się wreszcie stuknąć łbami; a ty między nimi czwarty.

— Ty się mylisz co do tej kobiety; Dymitr pogardza nią — przerwał z wahaniem Alosza.

— Kim? Gruszą? O, nie, bracie! nie pogardza nią bynajmniej. Już skoro porzucił dla niej narzeczoną, to znak, że nie pogardza. Tu, bracie, jest coś, czego ty jeszcze nie rozumiesz. Rozkocha się człowiek w pewnym typie urody kobiecego ciała, albo nawet w jakimś jednym tylko szczególe owej urody (taką rzecz zrozumieć może tylko zmysłowy namiętnik), a wtedy wszystko przepadło. Poświęci dla swej namiętności własne dzieci, zaprzeda ojca i matkę, ojczyznę i społeczeństwo, uczciwym będąc, ukradnie, łagodnym, mordować będzie bez litości. Poeta nasz, Puszkin, opiewał wierszami kobiece nóżki. A są tacy, choć i nie poeci, którzy na kobiece nóżki spojrzeć nie mogą bez drżenia. Tu, bracie, pogarda nic nie pomoże. Chociażby nawet Dymitr pogardził Gruszą, oderwać się od niej nie będzie w stanie.

— Ja to rozumiem — szepnął mimowoli Alosza.

— Doprawdy? Ty rozumiesz? Zapewne, że musisz rozumieć, skoro ci się to tak wyrwało mimowoli z pierwszego słowa — mówił ze złośliwą radością Rakitin. — To w ustach twoich drogocenne wyznanie. No!

proszę toś ty już miał czas rozmyślać o zmysłowej namiętności, ty święty, ty niewinny! Tak! tyś niewinny, cichy, święty... na to zgoda, ale z tem wszystkiem szatani chyba wiedzą, gdzie błądziła już myśl twoja, takie już zgłębiłeś otchłanie. Czysty, a jakieś już bezdenne zwiedzał przepaście. Ja już dawno mam na ciebie oko. Tyś także Karamazow, w całej pełni... bo też, co prawda, i dobór dziedzictwa masz wspaniały! Po ojcu — zmysłowość i rozpusta, po matce — obłąkanie... Cóż tak drżysz? Dlatego, że ci prawdę mówię? A wiesz, Grusza prosiła mnie: "przyprowadź go tu do mnie", ciebie właśnie, "przyprowadź; już ja go z tej sukienki duchownej wywlekę". Prosiła i prosiła... Nie wiem, co w tobie widzi tak ciekawego. Ale wiesz, to w każdym razie nadzwyczajna kobieta.

— Kłaniaj się jej odemnie i powiedź, że nie przyjdę — odparł Alosza z uśmiechem. — A teraz powiedz mi lepiej do końca myśl twoją, a gdy skończysz, opowiem ci swoją.

— I cóż tu domawiać? Historya, bracie, jak świat stara. Jeśli już ty czujesz w sobie żądze i namiętności, cóż dopiero brat twój, Iwan, człowiek tegoż, co ty, pokroju, rozpustnik, podszyty niewiniątkiem. W tem się zamyka rodzinna wasza tragedya Karamazowych. Brat twój, Iwan, pisuje teraz artykuły treści religijnej, mimo, że w głębi duszy jest ateuszem. Robi to przez jakieś głupie, niezupełnie dla mnie zrozumiałe, wyrachowanie. Słowem, popełnia całkiem świadomie podłość. Prócz tego, usiłuje zdmuchnąć narzeczoną bratu, Dymitrowi, i prawdopodobnie uda mu się to wyśmienicie. A co najciekawsze, że zrobi to za przyzwoleniem Dymitra, który ustąpi mu z przyjemnością narzeczonej, byle się jej tylko pozbyć i związać z Gruszą. Mitia zrobi to napewno, mimo całej swej szlachetności. To są ludzie naznaczeni jakiemś fatalnem piętnem, zdają sobie sprawę ze swej podłości, a mimo to, leżą w nią po szyję. Tego szatan nie zrozumie. A jeszcze ci jedno powiem: stary włazi teraz w drogę Miti, stary szaleje za Gruszą i rozum dla niej traci. Z jej tylko powodu zrobił całą tę awanturę w celi starca, za to, że Miusow ośmielił się nazwać ją kobietą złego prowadzenia Wpierw używał jej tylko do swoich, niezupełnie czystych, interesów i spekulacyi, ale dziś zakochany jest, jak kot, robi jej propozycye, niezbyt honorowe oczywiście. W tych warunkach ojciec z synem muszą się wreszcie zetrzeć z sobą. Grusza nie skłania się na niczyją stronę, a drażni obu. Rozgląda się jeszcze w nich, z którym stosunek wygodniejszy. Papa ma wprawdzie pieniążki i można je z niego ciągnąć, ale — nie ożeni się. Mitia, choć goły, zakochany jest do tego stopnia, że gotów jest ożenić się. Tak, gotów porzucić swoją narzeczoną, piękną, bogatą, szlachetnie urodzoną Katarzynę Iwanównę, a ożenić się z byłą kochanką starego kupczyka, rozpustnego chama Samsonowa. A ten twój brat, Iwan, czeka tylko na katastrofę, aby zdobyć Katarzynę Iwanównę, dla której schnie z miłości, a i jej 60,000 nie są przecie do pogardzenia. Ładny kąsek na początek dla takiego chudziaka. Mitia wcale się o to nie gniewa, sam słyszałem, jak upiwszy się w restauracyi, wykrzykiwał na cały głos, że nie jest wart takiej narzeczonej, jak Katarzyna Iwanówna, i że jedynym godnym jej człowiekiem jest nie kto inny, jak brat jego Iwan Fedorowicz. A i Katarzyna nie odrzuci, prawdopodobnie, takiego uwodziciela, jak Iwan; już i dziś waha się między braćmi. Powiedzcie czem was ten Iwan tak oczarował? Co wy sobie, w nim upatrzyliście? Uwielbiacie go, a on drwi sobie z was w najlepsze i bawi się waszym kosztem.

— Skąd ty to wszystko wiesz i dlaczego twierdzisz z całą pewnością? — pytał nachmurzony Alosza.

— A czemu ty, pytając mnie o to, odpowiedzi się boisz? Widocznie sam przyznajesz w duszy, że powiedziałem prawdę.

— Ty Iwana nie znasz, on nie jest wcale chciwy na pieniądze.

— Być może, że i piękność Katarzyny Iwanównej ma dla niego znaczenie, w każdym razie posagiem jej nie gardzi.

— Iwan, to człowiek wyższy, nie goni on za pieniędzmi, ani spokoju szuka. On pragnie poświęcić się jakiejś idei.

— Co znowu za majaczenia? Już to wy, szlachta, jak zaczniecie...

— Ależ. Misza, Iwan ma wzniosłą duszę i umysł głęboki. Pokutuje w nim jakaś wielka myśl, która szuka wyzwolenia. On z tych, którzy nie potrzebują milionów, a szukają wyzwolenia myśli.

— Kradzież literacką popełniasz, mój Aloszka, parafrazujesz słowa starca! — zawołał Rakitin z nietajonym gniewem. — Szukacie w waszym Iwanie jakiejś zagad-

ki, a tam zagadki niema żadnej, a jeżeli jest, to głupia i nie warta zachodu. Sam to zrozumiesz, jak popracujesz trochę mózgiem. Wszystkie te jego artykuły i broszury śmieszne są i niedorzeczne. A słyszałeś jego twierdzenie o nieśmiertelności i cnocie? "Gdzie niema wiary w nieśmiertelność duszy, tam niema i cnoty i wszystko jest dozwolone". A brat twój, Mitia, który wnet woła: zapamiętam to sobie... Bajeczna teorya dla zbrodniarzy. Nie, głupio powiedziałem; nie dla zbrodniarzy, a dla żaków szkolnych i niedowarzonych fanfaronów, blagierów, z jakąś jakoby nierozwikłaną zagadką w mózgu... Same przechwałki... "Z jednej strony nie wypada przyznać się, z drugiej nie wypada nie przyznać się" — nikczemna teorya. Ludzkość znajdzie sama w sobie dosyć mocy, aby żyć dla cnoty bez wiary w nieśmiertelność. Moc tę zaczerpnie z miłości ku swobodzie i powszechnej równości.

Rakitin unosił się, zaczynał już tracić panowanie nad sobą, aż naraz zatrzymał się, jakby sobie coś przypomniał.

— No, dość już tego — rzekł uśmiechajac sie z przymusem. — A ty sie czego śmiejesz? Uważasz, że jestem płytki?

— Nie, tego nie pomyślałem. Mam cię za człowieka inteligentnego. Uśmiechnąłem się, ot tak sobie. Rozumiem, że możesz być rozgoryczony. Z całego zachowania się twego widać, że sam kochasz Katarzynę Iwanównę i zazdrosny jesteś o Iwana.

— I o pieniądze Katarzyny. Czy tak?

— Nie. nie myślałem o pieniądzach. I dla czegóżbym cię miał obrażać?

— Wierze, skoro tak twierdzisz, Ale niech cie dyabli wezmą razem z twoim Iwanem. Czy ty nie rozumiesz, że i bez miłości dla Katarzyny można niecierpieć twego brata? Ciekawy jestem, za co go mam lubić i dlaczego nie mam go obmawiać, skoro on mnie obmawia.

— Nigdy nie słyszałem, żeby cię Iwan obmawiał. On nigdy o tobie nie mówi, ani źle, ani dobrze.

— Ale ja wiem, że pare dni temu u Katarzyny Iwanównej oczerniał mnie w najstraszniejszy sposób. Widzisz, do tego stopnia raczył sie zajmować twoim pokornym sługą. Nie wiem, kto tu jest o kogo zazdrosny?! Powiedział o mnie, że jeśli nie uda mi się w bliskiej przyszłości zostać przynajmniej archimandrytą — udam się niezawodnie do Petersburga i wstąpię do redakcyi jakiego znacznego dziennika, gdzie obejmę dział krytyki; że po upływie lat dziesiątka zostanę właścicielem owego dziennika i redagować go będę w duch liberalno - bezwyznaniowym, z lekkim nawet odcieniem socyalistycznym; odcień ten będzie jednak ostrożny, tak, aby jedni i drudzy mogli mnie mieć za swego, a głównem jego zadaniem będzie tumanienie durniów; że kierunek socyalistyczny nie przeszkodzi mi, bynajmniej, w odkładaniu grosza i puszczaniu go w obieg pod firmą pierwszego lepszego żydowskiego spekulanta, dopóki nie uda mi sie zakupić w Petersburgu wspaniałej kamienicy, do której przeniosę redakcyę. Twój brat oznaczył już nawet miejsce w Petersburgu, gdzie się ta kamienica znajdować będzie; ma to być około nowego kamiennego mostu na Newie, który się podobno buduje.

— Ależ, Misza, to wszystko spełnić się może co do słowa! — zawołał Alosza, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

— Cóż to i ty puszczasz się na sarkastyczne uwagi?

— Nie, nie; ja tylko żartowałem, a właściwie, zupełnie co innego mam na myśli. Powiedz jednakże, kto ci mógł to wszystko opowiedzieć z takimi szczegółami. Przecież nie mogłeś być u Katarzyny Iwanównej w chwili, kiedy Iwan mówił o tobie?

— Ja też tam nie byłem, ale słyszałem wszystko od Dymitra Fedorowicza, a raczej wysłuchałem mimowoli, jak Dymitr opowiadał to Gruszy; ja zaś siedziałem wówczas w jej sypialni, skad nie mogłem wyjść, dopóki Dymitr znajdował się w przyległym pokoju.

— Ach, prawda! Zapomniałem, że Grusza jest twoja krewną.

— Krewna? Grusza ma być moją krewna? zawołał Rakitin, czerwieniejac się z gniewu. — Cóż to?! Czyś zmysły postradał?!

— Zawsze słyszałem, że to twoja krewna — rzekł Alosza.

— Gdzie mogłeś coś podobnego słyszeć? Wy, panowie Karamazowy, robicie bardzo pańskie miny, jako niby szlachta i obywatele, chociaż wszyscy wiedza, że wasz ojciec wysługiwał się po cudzych domach, błaznujac przy cudzych obiadach. Ja jestem sobie biedny popowicz, ale man swój honor i nie mam ochoty uchodzić za

krewnego publicznej dziewki, jaką jest Grusza. Rozumiesz?!

Rakitin był mocno rozdrażniony.

— Nie gniewaj się na mnie, proszę; nic o tem nie wiedziałem. A zresztą, jaka ona tam publiczna... Czy rzeczywiście jest taką? — mówił, rumieniąc się, Alosza. — Mówię ci, słyszałem, że to twoja krewna. Zresztą, bywasz u niej często, a nie raz sam mówiłeś, że nie łączy cię z nią żaden miłosny stosunek. Nie przypuszczałem nigdy, że ty nią pogardzasz. Czy ona wistocie zasługuje na to?

— Jeśli nią pogardzam, to mam widocznie swoje przyczyny, które do ciebie nie należą. A co się tyczy pokrewieństwa, prędzej zostanie twoją kuzynką, dzięki bratu, a może nawet ojcu, bo, niezawodnie, jeden z nich narzuci ci to kuzynostwo. No doszliśmy wreszcie! Ruszajże do swego obiadu... A to co? Czybyśmy się spóźnili? Nie mógł się przecie obiad tak prędko skończyć? Musieli znów Karamazowy coś po swojemu urządzić! Niezawodnie! Widzisz... ojciec twój z Iwanem Fedorowiczem zabierają się do odjazdu... ojciec Izydor wyszedł na ganek i woła coś za nimi... twój miły ojczulek także krzyczy i wymachuje rękami... Mjusow odjeżdża, widzisz go... już jedzie, a za nim leci Maksymow. Ależ to skandal! Obiadu widocznie nie było. Czy nie nabili oni np. ojca przełożonego?... o ile, oczywiście, ich nie wybito, coby się im, zresztą, słusznie należało.

Rakitin nie dziwił się napróżno. Skandal zaszedł tu wistocie, i to niesłychany, niespodziewany. A wszystko stało się w oka mgnieniu.

* * *

SKANDAL.

W chwili, gdy Mjusow wchodził wraz z Iwanem do mieszkania ojca przełożonego, w duszy jego odbywał się proces bardzo naturalny w tak porządnym, subtelnym i kulturalnym człowieku. Uczuł wstyd z powodu zachowania się swego w celi starca, i żałował swego uniesienia. Zrozumiał, że nie należało przecież traktować na seryo takiego człowieka, jak Fedor Pawłowicz, tem mniej tracić z jego przyczyny zimną krew i poniżać się przez to samemu. "Zakonnicy tu przecież nic nie winni — myślał — są to nawet, zdaje się, dość przyzwoici ludzie. Przełożony, o ile słyszałem, pochodzi z dobrej rodziny szlacheckiej, trzeba mu się odwzajemnić uprzejmością. Nie będę zaczynał żadnych z nimi sporów, przeciwnie, postaram się dowieść całem zachowaniem się, że nie mam nic wspólnego z tym Ezopem, z tym starym komedyantem, i podobnie, jak oni, zostałem tylko jego ofiarą."

Co więcej, postanowił zaniechać zupełnie wszelkich procesów z klasztorem i zrzec się raz na zawsze wszelkich pretensyi o wyrąb lasu i łowienie ryb w rzece, co do których nie miał, zresztą, jasnego wyobrażenia, co i jak należało mu się prawnie.

Wszedłszy do jadalni ojca przełożonego, utwierdził się jeszcze bardziej w szlachetnej tej wspaniałomyślności.

Nie była to sala jadalna we właściwem tego słowa znaczeniu, gdyż całe mieszkanie przełożonego składało się z dwóch obszernych pokojów. Ale wszystko tu błyszczało czystością, pełno było wszędzie pięknych i rzadkich roślin i kwiatów; największy zaś powab pokoju, w tej chwili przynajmniej, stanowił przysposobiony do obiadu i prześlicznie nakryty stół. I tu także elegancya polegała głównie na niezmiernej czystości. Błyszczące naczynia, wybornie wypieczony chleb w trzech gatunkach, dwie butelki wina i dwie flaszki wyśmienitego klasztornego miodu, prócz tego szklany dzbanek słynnego na całą okolicę kwasu. Wódki nie było wcale. Rakitin opowiadał później, że obiad ów składać się miał z pięciu potraw; zupy z jesiostra z pierożkami z rybą, ryby gotowanej w jakiś osobliwy, specyalnie klasztorny sposób, kotletów z łososia, lodów i kompotu, a wreszcie kisielu w rodzaju blamanżu. Wszystko to przewąchał Rakitin, który nie omieszkał zajrzeć do kuchni przełożonego, gdzie miał swoje specyalne stosunki. Starał się on mieć wstęp wszędzie i wszędzie zasięgał języka. Serce miał zawsze niespokojne i zawistne. Zdawał sobie sprawę z niepospolitych swych zdolności umysłowych, które jednak cokolwiek przeceniał i miał bardzo wysokie mniemanie o sobie. Był pewien, że będzie w przyszłości znakomitością, ale Alosza, który go nawet bardzo lubił, martwił się zawsze tem, że przyjaciel jego nie jest uczciwy. Rakitin zaś, wiedząc o sobie, że nie ukradłby rzuconych na stole pieniędzy, uważał się tem samem za uosobienie honoru i uczciwości. To był już

jego pogląd, któregoby nietylko Alosza, ale nikt w świecie zmienić nie zdołał.

Rakitin, jako młody nowicyusz, nie mógł być dopuszczonym do paradnego obiadu, natomiast zaproszeni zostali: ojciec bibliotekarz i ojciec Paisy, a z nimi jeszcze jeden starszy zakonnik.

Czekali już oni w jadalni przełożonego w chwili przybycia Mjusowa z Iwanem i Piotra Kałganowa. Prócz nich, znajdował się tam jeszcze, stojący skromnie na uboczu, obywatel z Tuły, Maksymow.

Ojciec przełożony, wysoki, chudy, ale jeszcze silny starzec, o czarnych włosach, przeplecionych siwizną i długiem, poważnem obliczu, wystąpił na środek pokoju dla powitania gości i skłonił się im milcząc. Ci jednak zdecydowali si. tym razem prosić go o błogosławieństwo.

Mjusow zaryzykował nawet ucałowanie ręki przełożonego, ale ten uchylił się od tego nieznacznie; natomiast Iwan i Kałganow dopełnili tym razem wszystkich przepisów powitania, tj. po otrzymaniu błogosławieństwa nie cofnęli się przed najzwyczajniejszem, ordynarnem cmoknięciem w rękę.

— Obowiązkiem naszym jest usprawiedliwić się przed waszą wielebnością — zaczął Mjusow tonem uroczystym, a jednocześnie uprzejmym i pełnym szacunku — z powodu towarzysza naszego, Fedora Pawłowicza. który z zaszczytnego zaproszenia waszej Wielebności korzystać dziś nie może. Towarzysz nasz, ulegając nieszczęsnej swej porywczości. wypowiedział w celi czcigodnego starca Zosimy pare słów nieodpowiednich. których echo doszło już może do waszej Wielebności.

Mówiąc to, Mjusow zerknął ukradkiem na stojących nieopodal zakonników.

— Uznał on natychmiast swój błąd, ale wstydząc się swego uniesienia, nie śmie już stawić się przed waszą Wielebnością; za pośrednictwem mojem i syna swego, Iwana Fedorowicza, prosi o przebaczenie, wyrażając jednocześnie żal swój i szczerą skruchę.

Mjusow umilkł. Wypowiadając pojednawcze to przemówienie, zapomniał najzupełniej o poprzedniem swem rozdrażnieniu. Czuł się przytem zupełnie zadowolony z siebie. To też w tej chwili kocha znów ludzkość całą bez żadnych ograniczeń.

Przełożony wysłuchał go uważnie, skłonił lekko głowę i przemówił w odpowiedzi:

— żałuję mocno, że towarzysz panów nie chce być naszym gościem. Być może, że obcując z nami dłużej, zmieniłby uczucia swoje i pokochałby nas tak, jak my go kochamy. Proszę, zechciejcie panowie zająć miejsca.

Przełożony stanął przed obrazem i czytać zaczął modlitwę, której wszyscy obecni wysłuchali w pełnym szacunku skupienia. Obywatel Maksymow, zwłaszcza, dawał oznaki szczególnego przejęcia, wzdychając i składając pobożnie ręce.

Fedor Pawłowicz tymczasem namyślił się jeszcze raz i postanowił urządzić jeszcze jeden kawał.

Dla ścisłości musimy stwierdzić, że z początku chciał on rzeczywiście odjechać i nie miał zamiaru być na owym obiedzie. Nie dlatego, żeby się wstydził, lub czuł się w jakikolwiek sposób winny — może nawet przeciwnie. Ale, mimo wszystko, czuł jakoś instynktowo, że po tem, co zaszło w celi starca, nie wypadałoby i byłoby mu nawet nieprzyjemnie pokazywać się przy obiedzie. W chwili już jednak, gdy wschodził na stopnie rozklekotanej swej kolaski, przypomniał sobie raptem własne słowa, które wyrzekł w celi starca.

“Zdaje mi się zawsze, wchodząc gdzieś, że wszyscy uważają mnie za błazna najgorszego, najnikczemniejszego z ludzi, robię też wówczas na prawdę różne błazeństwa dla pokazania, że tamci wszyscy gorsi są jeszcze i głupsi odemnie”.

Chciało mu się raptem zemścić na innych za własną obrzydliwość. Przypomniał sobie, jak pytano go kiedyś, za co tak pewnego człowieka nienawidzi, on zaś odpowiedział wówczas: “Człowiek ten nic mi nigdy nie zawinił, za to ja dopuściłem się względem niego wielkiego świństwa i z tego powodu znienawidziłem go”.

Przypomniawszy sobie te słowa uśmiechnął się złym uśmiechem i błysnął oczyma: “jakem zaczął tak i skończę” postanowił w duchu.

Wewnętrzne jego usposobienie dałoby się w tej chwili wyrazić następującemi słowami: “Już się i tak nie zrehamilitujesz w ich oczach, to dosmaruj im jeszcze i pokaż, że się bynajmniej nie czujesz zawstydzony”.

Powziąwszy t a k i e postanowienie, rozkazał woźnicy czekać na siebie, sam zaś wielkiemi krokami skierował się z powrotem do klasztoru i wszedł do mieszkania

przełożonego. Nie wiedział jeszcze dobrze, co zrobi, czuł tylko jedno, że nie panuje już wcale nad sobą, i że przy pierwszej sposobności przekroczy wszelkie granice przyzwoitości; wiedział wszakże, że w każdym razie nie popełni nic takiego, coby go mogło wprowadzić w kolizyę z sadem karnym, bo wogóle potrafił zawsze wstrzymać się od tego rodzaju wykroczeń, co go nieraz samego dziwiło.

Wszedł do jadalni przełożonego w chwili właśnie, gdy ukończono modlitwę i wszyscy zasiadali do stołu. Stanąwszy w progu, obrzucił wzrokiem całe towarzystwo i zaśmiał się przeciągłym, nerwowym, złym uśmiechem.

— Państwo myślicie zapewne, żem już odjechał, a ja tu znów jestem! — wrzasnął na całe gardło.

Wszyscy spojrzeli na niego, nie mówiąc ni słowa i wszyscy poczuli odrazu, że zanosi się tu niewątpliwie na duży skandal. Mjusow wyrwany z błogiego nastroju, w jakim się znajdował przed chwilą, przeszedł w drugą ostateczność i całe jego poprzednie rozdrażnienie powróciło z podwójną siłą.

— Nie! Nie wytrzymam już! Nie mogę! Nie potrafię! — zawołał z rozpaczą. Krew uderzyła mu do głowy, mówić już wiecej nie mógł, bo słowa plątały mu się na języku.

— Czego to on nie może? Czego nie potrafi? — krzyknął Fedor Pawłowicz. — Wasza wielebność! — dodał, zwracając się do przełożonego — czy mogę wejść, czy przyjmiecie mnie do stołu?

— Ależ prosimy z całego serca. Panowie — dodał pojednawczo przełożony — pozwolę sobie prosić was z całej duszy, abyście zaniechali sporów i zasiedli tu z nami w miłości i zgodzie rodzinnej dla spożywania darów bożych.

— Nie! Nie! Nigdy! — krzyczał wychodząc z siebie Mjusow, — Nie mogę zostać!

— Jeżeli Mjusow nie może, to i ja nie mogę, to i ja nie zostanę! Gdzie Mjusow, tam i ja! — krzyczał Fedor Pawłowicz. — Jeśli on odjedzie, to i ja odjadę! — On zostanie — ja zostanę! — Nie ucieszyliście go bardzo, wzywając do zgody rodzinnej ze mną, bo on pokrewieństwa ze mną się wstydzi i przyznać się do niego nie chce. Nieprawdaż, von Zon? Jak się masz, von Zon?

— Czy to do mnie mówicie? — spytał zdumiony Maksymow.

— Oczywiście, do ciebie, do kogóżby innego? Przecież ojciec przełożony nie jest von Zonem.

— I ja nim przecież nie jestem. Nazywam się Maksymow.

— Nie prawda, tyś von Zon. A czy wie wasza wielebność, kto był von Zon? Bohater sławnego kryminalnego procesu, którego zabili i obrabowali w miejscu zepsucia, jak wy niektóre domy nazywacie. Zamordowanego zaszyto do worka i wysłano z Moskwy do Petersburga. A w chwili, gdy się to wszystko działo, grzesznice pląsały i grały na gąślach i klawicymbałach. Sławny to był proces! Tymczasem, pokazuje się, że von Zon nie umarł, albo zmartwychwstał, bo oto stoi przed wami we własnej osobie.

— Co to jest? Co to ma znaczyć? — dało się słyszeć dokoła.

— Chodźmy! — krzyknął Mjusow do Kałganowa.

— O nie, poczekajcie jeszcze trochę — przerwał piskliwym głosem Fedor Pawłowicz. — Mówią o mnie, że zachowywałem się nieprzyzwoicie w celi starca, ponieważ wspomniałem coś o rybkach wędzonych. Mój bliski kuzyn, Mjusow, wyznaje zasadę: "lepsza grzeczność, niż szczerość". Ja przeciwnie, wolę szczerość od grzeczności. Nieprawdaż, von Zon? Posłuchajcie mnie więc, ojcze przełożony. Mój kuzyn, Piotr Aleksandrowicz Mjusow, to skończony egoista.

Przyjechałem tu do was, żeby przypatrzeć się wszystkiemu i wszystko na miejscu zbadać. Tu syn mój, Alosza, na zbawienie zarabia, Ja, ojciec, muszę dbać o syna, to mój obowiązek. Przypatrzyłem się tu wszystkiemu, wysłuchałem po cichu, a teraz pokażę wam ostatni akt przedstawienia. U was tak: kto pada, ten leży, a kto leży, nich już leży na wieki. Czy nie tak? Tymczasem, ojcowie święci, ja upadłem, ale chce powstać. Oburzony jestem na was, świątobliwi ojcowie! Spowiedź, to wielka tajemnica, przed którą ja sam uchylam czoła z największą czcią i gotów jestem na twarz upaść. Tymczasem coście wy ze spowiedzi zrobili? Zaprowadziliście u siebie głośną spowiedź, tam, w celi starca. Ja zaraz o tem do synodu doniosę, a syna mego, Aloszę, odbiorę!

Tu trzeba dodać, że Fedor Pawłowicz słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział w ja-

kim kościele, Były wistocie, i to dawnemi czasy, głuche wieści, ze starcy, mieszkający po klasztorach, wdzierają się w prawa, przysługujące jedynie przełożonym, i że, między innemi, nadużywają tajemnicy spowiedzi. Zatrzuty te jednak upadły już oddawna same z siebie, a w każdym razie nie dotyczyły nigdy miejscowego klasztoru. Mimo to, głupi i złośliwy dyabeł, który opanował w tej chwili Fedora Pawłowicza i ponosił go na jego własnych nerwach, podsunął mu tę starą plotkę, w którą sam wcale nie wierzył.

— Co za nikczemność! — krzyknął Mjusow.

— Powiedziane jest — rzekł przełożony — "a gdy spadną na ciebie zniewaga i upokorzenie i krzywdy wszelkie, wówczas złóż Panu dziękczynienia, że je zesłał dla usunięcia dumy twojej". Tak też i my dziękujemy wam pokornie, drogi nasz gościu.

Mówiąc to, pokłonił się w pas Ferodowi Pawłowiczowi.

— Ta — ta — ta! Stare frazesy! komedye, kłamstwa i pokłony świętoszków. Znam ja was z waszymi pokłonami do ziemi! Pocałunek w usta. a nożem w serce, jak w "Zbójcach" Schillera. Nie lubię fałszu! Szczerości potrzebuję, mnichy! i to nie tak po kawałeczku, ale całej, pełnej prawdy. Poco wy np. pościcie? Czy dla nagrody niebieskiej? Za taką nagrodę to i jabym pościł! To nie sztuka! Nie tak, mnichy! Spróbójcie wy być cnotliwymi, nie czekając na nagrody, starajcie przynosić pożytek społeczeństwu, zamiast zamykać się w klasztorach na chlep gotowy. Ja także, ojcowie, potrafię pięknie mówić. A co tu u was na stole? — dodał, zbliżając się do nakrycia. — Stary portwein, widzę miodek znakomity... Nie bardzo to idzie w parze z wędzonemi rybkami... No, no! Nastawialiście też buteleczek — che — che — che! A któż tu wam tego wszystkiego dostarcza? Oczywiście, chłopi! — Biedny nasz lud przynosi wam grosz ostatni zapracowanemi, strudzonemi rękami, ostatni kawałek chlebą, oderwany od ust rodzinie... wam wszystko znoszą, kosztem nawet potrzeb publicznych. Ciągniecie ostatnie soki z ludzi!...

— To już całkiem nieprzyzwoicie z pańskiej strony — przerwał ojciec bibliotekarz. Ojciec Paisy zaś milczał upornie.

Mjusow rzucił się ku wyjściu, za nim Kałganow.

— No, żegnam was, ojcowie — mówił Fedor Pawłowicz — ja śpieszę za Mjusowem i nigdy tu już do was nie przyjdę, chociażbyście mnie na kolanach błagali. Dałem wam tysiąc rubelków, to się do mnie mizdrzycie! Bądźcie spokojni, więcej nie dodam. Mamże wam jeszcze płacić za krzywdę moją, za upokorzenie moje? Dość mi już złego narobił ten wasz miły klasztorek! Gorzkie łzy wylewałem tu nieraz. Buntowaliście na mnie żonę moją, wyklinaliście mnie na posiedzeniach waszych, oczerniali po całej okolicy! Teraz inne czasy, wiek literatury, wiek kolei żelaznych i statków parowych. Nie dostaniecie już nic odemnie, już nie tysiąc, nie sto, ale ani jednego już rubla, ani kopiejeczki.

Natabene, należy zaznaczyć, że klasztor nie odgrywał nigdy żadnej ważniejszej roli w życiu Karamazowa, nie wylewał on tam gorzkich łez i nigdy nie był wyklinany. Mimo to, mówiąc o owych łzach, tak się rozrzewnił, że czuł się wistocie bliski płaczu i miał prawie łzy w głosie, ale wnet przypomniał sobie, że należy mu się trzymać na stanowisku gniewnem.

Na wszystkie te złośliwe kłamstwa, ojciec przełożony odpowiedział znów pobożną cytatą.

— Powiedziano jest: "Znoście cierpliwie niesprawiedliwe wyrzuty, i nie miejcie w sercu nienawiści do potwarców waszych".

— Ta ta ta! Zawracacie głowę! A to nic nie pomoże, bo i tak nie zostanę, a syna mego, Aloszę, stanowczo zabieram — i to na zawsze.

Iwanie Fedorowiczu, mój przykładny synu, pozwól sobie powiedzieć że i ty powinieneś iść ze mną. Także nie zostawaj von Zon, jedź lepiej, do mnie niedaleko, a zobaczysz, jak wesoło! Zamiast postnego obiadu dostaniesz prosię pieczone z kaszką, koniaczków ci postawię i likierów. Ejże, Von Zon! korzystaj z okazyi!

Wyszedł na ganek, krzycząc i gestykulując. W tej to właśnie chwili zobaczyli go powracających Alosza i Rakitin.

— Aleksy! — zawołał stary — pakuj natychmiast manatki i pościel, i zabieraj się ze mną, żeby tu i śladu po tobie nie zostało.

Alosza stanął, jak skamieniały, przyglądając się w milczeniu całemu zajściu. Sta-

ry Karamazow zgramolił się tymczasem na swój wehikuł, a za nim milczący i posępny Iwan Fedorowicz, który się nawet z Aloszą nie pożegnał.

Na zakończenie nastąpiła jeszcze jedna błazeńska scena, jakby uzupełniający epilog. Oto Maksymow, tak uprzejmie zaproszony przez Fedora Pawłowicza, przybiegł zadyszany w zamiarze skorzystania z zaproszenia, i rozpędził się już do wsiadania, stawiają nogę na stopniu, w chwili gdy stał jeszcze na nim Iwan, a chwytając ręką za dzwiczki, usiłował dźwignąć się do wnętrza powozu.

— I ja! i ja z wami! — wołał urywanym głosem radośnie.—Weźcie mnie z sobą!

— A co? nie mówiłem, że to von Zon? — zawołał z zachwytem Fedor Pawłowicz. — Najautentyczniejszy von Zon, zmartwych powstały.

Słuchajno-no von Zon. — Jakżeś ty się stamtąd wyrwał? I na obiedzie nie zostałeś? No, doprawdy, trzeba mieć na to miedziane czoło. — Puszczaj go, Waniu — dodał do Iwana — niech skacze na bryczkę, poleży sobie na nogach. Będzie nam z nim weselej. Albo... wsadzimy go na kozioł razem z furmanem. — No, krop na kozioł, von Zon.

Ale Iwan, który tymczasem usiadł, milcząc, w powozie, pchnął biednego Maksymowa z taką siłą, że odleciał może na sążeń, cud był prawdziwy, że nie upadł.

— Czego ty znowu? O co ci chodzi? — zawołał Fedor Pawłowicz. Ale powóz ruszył, Iwan zaś nie odpowiedział.

Przecież sam obmyśliłeś cały zjazd — rzekł Fedor Pawłowicz po krótkiem milczeniu, patrząc z ukosa na syna. — Czegóż się teraz złościsz?

— Dość już chyba ojciec narobił niedorzeczności, wartoby odpocząć chwilę — odciął surowo Iwan.

Fedor Pawłowicz zamilkł znów na parę minut, poczem znów zauważył sentencyonalnie.

— Wartoby tak koniaczku golnąć!

Iwan milczał wciąż.

Aloszę zabiorę z klasztoru, mimo, że nie bardzo ci się to uśmiecha, mój przykładny synu, Karolu Moor.

Iwan odwrócił się pogardliwie i przypatrywał się w milczeniu drodze. Obaj nie przemówili już ani słowa do chwili przybycia na miejsce.

III.

NAMIĘTNI W MIŁOŚCI.

W CZELADNEJ.

Dom Fedora Pawłowicza znajdował się w jednej z ubocznych dzielnic, dość daleko od środka miasta. Był to budynek obszerny, wyglądał na zewnątrz bardzo przyzwoicie i schludnie, ściany miał pomalowane szaro, a dach kryty czerwoną blachą. Wewnątrz było tam również obszernie i wygodnie. Oprócz pokoi mieszkalnych, było jeszcze mnóstwo kryjówek, zakamarków, krytych schodów i t. p. — szczury harcowały po tem pustem prawie mieszkaniu, ale stary Karamazow nie miał nic przeciw temu, utrzymując, że "zawsze tak człowiekowi przyjemnie, gdy sam siedzi wieczorami". Miał on istotnie zwyczaj zostawać na noc zupełnie sam, a służbę odsyłał do oficyn, zbudowanych w obrębie podwórza. W oficynach tych mieściła się kuchnia, gdyż Fedor Pawłowicz nie znosił zapachów kuchennych i obiad noszono mu zimą i latem przez dziedziniec. Wogóle dom ten był urządzony na liczną rodzinę i zmieściłby wygodnie pięć razy tyle osób, co obecnie, w chwili bowiem naszego opowiadania, w głównym budynku mieszkał tylko Fedor Pawławicz i Iwanow, w oficynie zaś troje służby, tj. stary Grigor z równie starą żoną Martą, i młody lokaj, Smerdiakow.

Stary Grigor, o którym wspominaliśmy już poprzednio, był to człowiek twardy, nie wzruszony idący uparcie do celu, który sobie postawił, skoro tylko raz cel taki uznał za słuszny. Ogólnie biorąc, był uczciwy i nieprzedajny. Żona jego, Marta, ulegała całe życie żelaznej woli męża. Raz tylko jeden, w czasie uwłaszczenia chłopów, nalegała na niego usilnie, aby porzucić Fedora Pawłowicza i przenieść się do Moskwy dla założenia tam jakiegobądź sklepiku. Ale Grigor postanowił wówczas raz na zawsze, że obowiązkiem jego jest pozostać przy dawnym panu. Twierdził, że baba bredzi, jak każda baba, bo wszystkie są z natury "nieuczciwe" i — został na miejscu.

— Czy ty rozumiesz, co to obowiązek? — pytał surowo Marty.

— Doskonale rozumiem, ale nie widzę wcale, żeby to był jaki dla nas obowiązek zostawać tutaj — protestowała kobieta.

— Możesz sobie nie rozumieć, a przecie zostaniemy. Tymczasem milcz.

Tak się i też stało.

Fedor Pawłowicz wyznaczył im niewielką pensyę miesięczną, którą im zresztą dość regularnie wypłacał. Przytem Grigor wiedział, że ma wpływ na swego pana.

Stary Karamazow, człowiek chytry i bardzo wytrzymały, a nawet twardy w niektórych okolicznościach życia, miewał także momenty niezwykłej słabości, z czego zdawał sobie sprawę; a słabości tej swojej lękał się niezmiernie.

Człowiek tak nieposzlakowanej wierności, jak Grigor, był dla niego niezmiernie drogocennym skarbem. W ciągu długoletniej swej karyery, Fedor Pawłowicz narażał się nieraz na poważne niebezpieczeństwa, z których wybawiał go zwykle Grigor, robiąc mu później surowe uwagi z powodu niewłaściwego jego postępowania. Parę razy groziło mu np. bicie i to nielada bicie, ale to nie było jeszcze najgorsze. Zdarzały się nieraz w życiu jego bardzo zawiłe i skomplikowane trudności i wtedy to zwłaszcza odczuwał on niewypowiedziane zadowolenie z możności oparcia się na blizkiej i tak bezwzględnie wiernej sobie istocie. Prócz tego, będąc pijanym, doświadczał on niekiedy przejmujących wewnętrznych trwóg, "Dusza mi prawie z gardła ucieka" — mawiał wówczas sam o sobie. Miło mu było wtedy wiedzieć, że blizko, choć nie pod jednym dachem, ale tam, w oficynie, znajduje się ktoś przyjazny, oddany, a przytem tak zupełnie inny, niż on: — uczciwy, spokojny nie rozpustny i gotów bronić go w każdej chwili... od czego? sam dobrze nie wiedział, ale od czegoś, czy kogoś strasznego i groźnego. Podobne uczucia uspokojenia budziła w nim także obecność Aloszy, którego w dodatku pokochał i to tak, że sam musiał przed sobą przyznać, że od chwili poznania tego swego najmłodszego syna, zaczyna pojmować rzeczy, dawniej zupełnie dla siebie niezrozumiałe.

Wspominaliśmy już poprzednio, że stary Grigor otaczał szczególniejszą sympatyą i opieką drugą żonę swego pana, t. zw. "Klikuszę." Uczucie to przetrwało i po jej śmierci, i z czasem przeszło w pełne czci uwielbienia, tak, że nie zniósłby najmniejszej lekkomyślnej wzmianki o zmarłej, której pamięć przechowywał wiernie. Wogóle uczucia były w nim dziwnie stałe i uparte, mimo, że nie okazywał ich na zewnątrz. Tak np. trudno było na pozór osądzić, czy kocha żonę swoją, Martę Ignatiewnę, do której był przecież głęboko przywiązany. Kobieta ta, mimo to, że bardzo rozsądna i w sprawach codziennego życia o wiele praktyczniejsza od męża, ulegała mu bezwzględnie od pierwszych dni małżeństwa. Mówili do siebie bardzo niewiele, bo Grigor był z natury bardzo milczący, a żona zastosowała się do niego, zrozumiawszy prędko, że jej małomówność staje się w oczach męża dowodem rozumu. Grigor nie bijał nigdy żony. Zdarzyło mu się to raz jeden tylko w pierwszym roku życia, gdy Marta, młoda jeszcze wówczas kobieta, znajdując się wraz z całą gromadą na poczęstunku we dworze, pozwoliła sobie wyróżnić się z całego grona towarzyszek i odtańczyła jeden taniec nie po wiejsku bynajmniej, ale tak, jak wyuczono ją we dworze, gdy służyła w bogatym domu Mjusowych. Grigor przypatrzył się temu popisowi swojej żony, a gdy wróciła do domu, wybił ją, niezbyt wprawdzie mocno, i targnął parę razy za włosy, dla pouczenia jej o zdrożności jej postępku. Marta też od tego czasu zaniechała popisów tanecznych.

Dzieci nie mieli. W pierwszym roku wprawdzie urodził się im chłopczyk, ale umarł po dwóch tygodniach, a w dodatku miał 6 palców u ręki, co Grigor uważał za jakiś osobliwy znak, tak dalece, że miał wątpliwości, czy dziecko ma być wogóle chrzczone. Po śmierci tego synka, Grigor, który miał zawsze skłonność do pewnego rodzaju mistycyzmu, stał się poważniejszym jeszcze i uroczystszym, niż dawniej. Czytywał bardzo pilnie "żywoty świętych", a także stary zbiór kazań średniowiecznych i przypowieści, pisany w stylu mało zrozumianym i dlatego może szczególnie czczony. Dzieci lubił zawsze bardzo i, jak już wspomnieliśmy poprzednio, wypiastował na własnych rękach wszystkich z kolei synów Fedora Pawłowicza. — W jakiś czas po śmierci swego dziecka, Marta Ignatiewna obudziła się w nocy, a usłyszawszy dochodzący z za okna jakgdyby jęk jakiś, czy płacz, zbudziła strwożona męża. Grigor, wyszedł na ganek, począł nasłuchiwać, a idąc

w kierunku głosu w głąb ogrodu, znalazł w stojącej tam łazience chorą, jęczącą kobietę, Przypatrzywszy się jej bliżej, poznał, że to była znana w całem mieście dziewczyna — niemowa, idyotka, którą żywiono z litości. Nieszczęśliwa blizka już była skonania, obok niej zaś leżał nowonarodzony chłopczyk.

* * *

BIEDNA ELŻBIETA.

Dziewczyna owa nazywała się Elżbieta Smerdiaszcza, a okoliczności, wśród których nastąpiła śmierć jej i urodziny dziecka, wydały się staremu Grigorowi mocno podejrzane. Biedna Elżbietka, jak ją powszechnie zwano, była bardzo małego wzrostu, ale silnej budowy, z twarzą szeroką, rumianą i doskonale idyotyczną. Oczy spokojne, nieruchome, miały wyraz przykry przez bezwzględną swą bezmyślność. Włosy czarne, niezmiernie bujne i pokręcone, jak wełna, były wiecznie zmierzwione i stanowiły jakby olbrzymią czapkę na głowie biednej idyotki. We włosach tych pełno było liści, śmiecia i wszelkiego rodzaju trocin i odpadków — bo też dziewczyna sypiała zawsze na ziemi, w kurzu i błocie. Ojciec jej, chory i biedny mieszczanin Ilja, służył wiele lat u jednego z zamożniejszych gospodarzy miejskich i zapijał się przytem bez pamięci; matka dawno umarła. Dziewczyna zaglądała rzadko do domu, gdyż ojcie wiecznie chory i pijany bił ją bez miłosierdzia. Wolała też wałęsać się po całem mieście, gdzie ją wszyscy znali i lubili, jako Bożą sierotę, Elżbieta chodziła zawsze w zgrzebnej tylko koszuli i nie znosiła na sobie innego odzienia. Nieraz próbowano ją ubrać przyzwoiciej. Chlebodawca jej ojca, a także inni gospodarze miejscy, sprawiali jej suknie, chustki, buty, ale na nic się to nie przydawało. Idyotka pozwalała spokojnie, aby ją ubrano i włożono na jej nogi obuwie, ale następnie odchodziła, najczęściej do progu jakiej cerkwi, gdzie zrzucała z siebie całą nowonabytą odzież i zostawała znowuż w zgrzebnej tylko koszuli.

Zdarzyło się raz, że dostrzegł ją na ulicy nowomianowany gubernator, który, naturalnie, uczuł się bardzo dotknięty w uczuciu przyzwoitości na widok tak niedostatecznego stroju. Objaśniono go, że to istota niepoczytalna, on jednak nakazał surowo, aby ją natychmiast przyodziano i niepozwolono nadal robić z siebie tak niewłaściwego widowiska. Ale gubernator wkrótce odjechał, a Elżbieta została tem, czem była, i nic się ani na włos nie zmieniło w jej obyczajach. Wkrótce ojciec jej umarł, przez co stała się ona jeszcze droższą litościwym duszom, bo, jak wspomnieliśmy wyżej, wszyscy w mieście znali ją i lubili. Wchodziła swobodnie do wszystkich sklepów i domów, a niewyganiano jej nigdzie, owszem, przyjmowano łaskawie i chętnie obdarzano jałmużną. Każdy grosz otrzymany wrzucała zawsze do skarbonek cerkiewnych, a jeśli ją kto poczęstował bułką, albo obwarzankiem, oddawała je natychmiast pierwszemu lepszemu spotkanemu dziecku, albo nawet przechodzącej jakiej pani. Nie odrzucano jej darów, owszem, przyjmowano je nawet z przyjemnością, ona zaś żywiła się wyłącznie czarnym chlebem i wodą. Znana też była z tego, że nigdy nie ruszy pieniędzy.

Przesiadywała nieraz w bogatych magazynach, gdzie w obecności jej liczono nieraz znaczne kwoty i zostawiano je na kantorze, a nikomu nie przyszło na myśl wystrzegać się jej. Sypiała najczęściej pod progiem cerkwi, albo też, przelazłszy przez płot któregobądź miejskiego obejścia, układała się ww czyimbądź ogrodzie. W zimie spędzała zwykle noc u byłych chlebodawców swego ojca, nigdy jednak w izbie, tylko najczęściej w sieni lub krowiarni. Dziwiono się powszechnie, że znosi takie życie, ale widocznie przywykła do niego, bo, mimo, że drobna wzrostem, silna była i zdrowa, Niektórzy utrzymywali, że dziewczyna robi to wszystko przez dumę, ale jak można było o to posądzać nawpół obłąkaną niemowę, która w życiu swojem nie przemówiła ani jednego słowa?

Otóż raz w jasną i ciepłą wrześniową noc, gromadka hulaszczej i podpiłej młodzieży powracała do domu tylnemi uliczkami. Wesoła ta kompania natknęła się na śpiącą pod płotem idyotkę, co dało powód wyuzdanym półgłówkom do robienia najosobliwszych uwag i spostrzeżeń, jeden z nich rzucił nagle pytanie, czy takie oto nieszczęśliwe stworzenie można uważać za człowieka, a przedewszystkiem za kobietę? Większą część oświadczyła się przeciw, ale Fedor Pawłowicz, który zapijał się właśnie wtedy bez granic i miary, po smierci pierwszej swej żony, zaczął z zapałem utrzy-

mywać, że, i owszem, stosunek z taką kobietą jest możliwy, a nawet bardzo oryginalny i pikantyn. Skończyło się na tem, że pijacka kompania odeszła dalej, zostawiając dziewczynę w spokoju, i Fedor Pawłowicz miał także odejść, tak przynajmniej stanowczo utrzymywał.

W kilka miesięcy jednak potem całe miasto spostrzegło ze zgrozą, że Boża sierota, jak ją powszechnie nazywano, znajduje się w stanie w brzemiennym. Wówczas to rozchodzić się poczęły głuche wieści, że nie kto inny, tylko Fedor Pawłowicz dopuścił się występku, że on jest krzywdzicielem. Skąd powstała taka pogłoska niewiadomo, bo z wesołej kompanii, w której się wówczas znajdował, nie został już ani jeden, byli to bowiem przejezdni. Stary Grigor wystąpił wtedy energicznie w obronie swego pana, utrzymując, że grzeszna dziewka sama zawiniła, a wspólnikiem jej musiał być niejaki Karp, zbiegły aresztant, który właśnie wtedy grasował po mieście i dopuszczał się nocnych kradzieży.

Cały ten wypadek nie zmniejszył bynajmniej sympatyi miasta dla biednej Elżbiety — przeciwnie, opiekowano się nią jeszcze bardziej.

Zamożna jedna kupcowa postanowiła nawet wziąć ją do domu na czas słabości. Tak się też stało. Zamknięto ją w ostatnich tygodniach i strzeżono pilnie. Tymczasem, niewiadomo jakim sposobem, dziewczyna wymknęła się ostatniego wieczora i schroniła się do ogrodu Fedora Pawłowicza, gdzie ją znalazł stary Grigor. Jakim sposobem była w stanie przeleźć przez wysoki parkan, będąc już chorą, tego nikt nie mógł zrozumieć. Niektórzy utrzymywali, że ją ktoś przeniósł, inni — że ją przeniosło. Fakt jednak, że znaleziono ją w ogrodzie Fedora Pawłowicza, zwrócił znów na niego podejrzenia.

Stary Grigor wraz z żoną zajął się pilnie ratowaniem Elżbiety, na nic się to jednak nie zdało; nieszczęsna skonała nad ranem, dziecko zaś zostało przy życiu. Wówczas stary Grigor wziął na ręce niemowlę, a zaniósłszy je do swej izby, posadził je na kolanach żony, mówiąc:

— Masz oto Bożą sierotę, zesłaną nam widocznie za wstawieniem się naszego zmarłego niebożątka. Dziecko to urodzone ze świętej i z dyabelskiego syna, ale musimy je przygarnąć. Chowaj je i strzeż, a nie becz po próżnicy!

Marta usłuchała oczywiście, i została zaraz opiekunką i wychowawczynią dziecka, któremu na chrzcie święty dano imię Paweł. Niewiadomo skąd, wszyscy zaczęli go odrazu nazywać Pawłem Fedorowiczem, czemu się zresztą stary Karamazow nie sprzeciwiał, uważając to nawet za dobry żart, mimo, że stanowczo wypierał się ojcowstwa. Postępek jego względem dziecka zrobił w mieście dobre wrażenie, chwalono go za to zajęcie się losem sieroty. W dalszym ciągu Fedor Pawłowicz obmyślił dziecku nazwisko Smerdiakow. Chłopak chował się w domu Karamazowa, między Grigorem a Martą, a dorósłszy, został zdolnym kucharzem. Na razie nic się o nim więcej powiedzieć nie da, za to w dalszym przebiegu opowiadania charakter jego zarysuje się i uwydatni sam z siebie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

SPOWIEDŹ GORĄCEGO SERCA

Alosza wysłuchawszy rozkazu ojca, aby się natychmiast wynosić z klasztoru, stał przez chwilę wahający, poczem udał się do kuchni przełożonego dla zasięgnięcia bliższych szczegółów o zachowaniu się swego papy w czasie obiadu. Dowiedziawszy się o wszystkiem, postanowił zastosować się chwilowo do życzenia ojca i udał się do miasta, jakkolwiek nie brał wcale na seryo krzyków jego i pogróżek, wiedząc, że robione były w uniesieniu. Alosza przekonany był najmocniej, że go ojciec nigdy nie ukrzywdzi i wogóle nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek w świecie był w stanie wyrządzić mu rozmyślnie niesprawiedliwość lub obrazę. Był to dla niego niewzruszony dogmat życia i to właśnie dawało mu taki spokój i równowagę w stosunku do ludzi.

Inna myśl dręczyła obecnie Aloszę. Oto Katarzyna Iwanówna chciała go widzieć; wiedział, że musi pójść do niej, stosując się do jej życzenia, wyrażonego w kartce, wręczonej mu przez Lizę Chachłakow, a myśl o tej wizycie przejmowała go niewypowiedzianą trwogą. Było to dziwne uczucie, z którego natury nie umiał sobie zdać sprawy. Wiedział, że boi się śmiertelnie nie tego, co będzie z nią mówił i co od niej usłyszy, ale jej samej, kobiety imieniem Katarzyna. I nie była to trwoga ogólna przed kobietą. Alosza znał przecie kobiety i obcował z niemi wiele. Kobiety właściwie wychowały go, w ich towarzystwie przebywał przeważnie do czasu wstąpienia do klasztoru. Ale Katarzyna wzbudziła w nim od pierwszego wejrzenia to niepokojące uczucie. Wdział ją dotąd zaledwie parę razy i rozmawiał z nią bardzo niewiele. Uderzająca jej piękność wryła mu się silnie w pamięć, ale wiedział dobrze, że to nie uroda jej jest przyczyną niepokoju, jaki w nim budzi jej obecność. Robiła ona na nim wrażenie pięknej, dumnej i despotycznej kobiety. Wiedział, że jest bardzo szlachetna, niepospolita, wielkoduszna; zdawał sobie sprawę z niezwykle wspaniałomyślnych pobudek jej działania. Wiedział, że pragnie ona z całej duszy wyrwać z toni narzeczonego swego, a jego brata, Dymitra, który przecież ciężko względem niej zawinił. Musiał jej oddać sprawiedliwość pod każdym względem, a mimo to, mróz przechodził mu po kościach w chwili, gdy zbliżał się do jej domu.

Wiedział, że nie zastanie u niej w tej chwili, ani brata Iwana, którego łączyła z Katarzyną serdeczna zażyłość, ani też brata Dymitra. Z tego wynikało, że będzie musiał rozmawiać z nią sam na sam. Wolałby zobaczyć się pierwej z Dymitrem i, nie pokazując mu otrzymanego listu, pomówić z nim cokolwiek; ale wiedział, że nie zastanie go teraz w domu, więc powziął ostatecznie bohaterskie postanowienie i skierował się do domu Katarzyny.

Dla skrócenia drogi, nie poszedł głównemi ulicami, tylko tyłami ogrodów miejskich, skąd siecią ścieżek i zaułków mógł o wiele prędzej dojść do celu. W chwili, kiedy przemykał się tak rozmaitemi ciasnemi przejściami, podniósł głowę instynktowo i natknął się niespodzianie na tak pożądanego brata, Dymitra. Ten stał właśnie za płotem jednego ogrodu i żywemi gestami przyzywał do siebie Aloszę, który też pośpieszył na jego wezwanie.

— Jak to dobrze, żeś mnie spostrzegł — zawołał Dymitr radosnym, ale przyciszonym głosem — o mały włos nie krzyknąłem, widząc cię, a nie chcę robić hałasu. Chodź teraz ze mną.

— Gdzie? — również szeptem odpowiedział Alosza, rozglądając się na wszy-

stkie strony; nie dostrzegłszy jednak nikogo, zapytał zdziwiony:

— Dlaczego zachowujesz takie ostrożności, wszak niema tu nikogo?

— Dlaczego? A lichoż to wie! — odparł pełnym już głosem Dymitr. — Jestem w nastroju tajemniczym i mimowoli natura przystosowuje się do tego i każe mi szeptać, mimo, że nikt nas tu nie słucha.

"Chwała Panu na świecie,
Chwała Panu we mnie!"

Tobie, tobie tylko jednemu powtórzyć to mogę. Tajemnicę ci mam powierzyć!

Ogród, w którym znajdowali się obaj bracia był dość obszerny, kilkanaście morgów zapewne liczący, i obsadzony był z czte rech stron szeregiem drzew; lip, klonów, brzóz itp. W środku zaś znajdował się duży trawnik, raczej łąka, na której koszono corocznie znaczną ilość siana.

Był to ogród owocowy, zarosły malinami, agrestem i innemi jagodami; około domu rosły kwiaty, a w głębi znajdowała się stara zrujnowana altanka, do której Dymitr powiódł swego gościa. Dokoła rosły gęste stare lipy, podszyte krzakami bzu i czeremchy. Altanka miała drewnianą podłogę i daszek, jedno i drugie nawpół spróchniałe, a w środku stał stół drewniany, pomalowany na zielono, naokoło zaś niego takież, również zielone ławki, na których można było jeszcze spocząć. Na stole zauważył Alosza butelkę i kieliszek.

— To koniak! — zaśmiał się Mitia — a ty, widząc to, masz już mnie za pijaka. Porzuć, proszę te złudzenia.

"Nie dawaj wiary czczym pogłoskom tłumu.

"Zaniechaj zwątpień swych"...

— Nie oddaję się bynajmniej pijaństwu, a tylko dodaję sobie smaku, jak mówi ta świnia Rakitin, który niezawodnie zostanie kiedyś radcą stanu i wciąż będzie dodawał sobie smaku. Siadaj, Alosza. Chciałbym cię uścisnąć, ale to tak... aż do uduszenia; bo widzisz... na całym świecie... to... naprawdę... tak... naprawdę ciebie tylko kocham! Ciebie jednego! — Ostatnie słowa wymówił z pewnego rodzaju zapamiętaniem. — Ciebie jednego i pewną ladacznicę, w której zakochałem się na przepadłe. Tylko pamiętaj, że zakochać się — to nie znaczy kochać. Można być zakochanym i nienawidzieć. Zapamiętaj to sobie, póki ci to mówię na wesoło. Siadaj tu za stołem, a ja obok ciebie, patrzeć będę na ciebie i wszystko opowiem; ty zaś siedź i słuchaj, bo godzina mówienia nadeszła. A wiesz, dlaczego mówiłem przed chwilą tak cicho, w tajemnicy? — Bo podsłuchać nas tu mogą niespodzianie niepożądane uszy. Opowiem ci wszystko, dlaczego tak rwałem się do ciebie, tak pragnąłem twojej obecności, tak czekałem na ciebie przez te długie 5 dni! (Wiesz, ja już od pięciu dni pozbyłem się wszelkiego steru). Bo tobie jednemu wszystko powiedzieć mogę, bo tak trzeba, boś ty mi potrzebny, bo jutro spadam z obłoków, bo jutro życie dla mnie kończy się i zaczyna!... Czy czułeś ty kiedy, czy widziałeś we śnie, jak leci się w przepaść?... — Otóż ja tak teraz lecę, ale się nie boję i ty się nie bój. To jest... boję się..., ale przytem tak mi dobrze... nie ,dobrze... tak rozkosznie!... Niech dyabli biorą wszystko, wszystko! Sławmy, bracie... przyrodę. Wszystko jedno. Patrz, jakie to niebo czyste... liście takie zielone... słońce jasne... godzina czwarta po południu... taka cisza... Ty, gdzie szedłeś?

— Do ojca, a przedtem zajść miałem do Katarzyny Iwanowny.

— Do niej i do ojca! Co za szczególny zbieg okoliczności! Przecież ja dlatego właśnie chciałem cię widzieć, dlatego czekałem na ciebie. Pragnąłem ciebie, łaknąłem każdem dotknięciem duszy mojej, a nawet żeber i to po to właśnie, aby cię posłać do ojcą i do niej, do Katarzyny Iwanownej i skończyć już raz tak z nią, jak z ojcem. — Mógłbym tam posłać kogokolwiek, ale nie! Tam trzeba posłać anioła. Czy słyszysz? — anioła. Aż oto ty sam nastręczasz się jako poseł.

— Mnie tam chcesz posłać?? — wyrwało się Aloszy, przyczem twarz jego przybrała jakby bolesny wyraz.

— Czekaj! Tyś to z góry wiedział. Widzę, żeś odrazu wszystko zrozumiał. Ale milcz jeszcze, milcz, nie współczuj, nie płacz.

Dymitr powstał z miejsca i zamyślił się nagle, dotykając palcem czoła.

— Ona musiała wezwać cię sama do siebie, napisała list, czy coś w tym rodzaju, dlatego idziesz do niej, bo czyżbyś szedł inaczej?

— Oto kartka — rzekł Alosza, wyjmując list z kieszeni. Dymitr przebiegł go szybko wzrokiem.

— Więc działałeś podstępnie poza mojemi plecami. O bogowie! Dzięki wam, żeście go sprowadzili na manowce, na których udało mi się schwytać go, jak niegdyś biedny rybak schwytał rybkę. — Słuchaj mnie, Alosza! słuchaj, bracie. Teraz wszystko ci powiem, bo trzeba to przecie raz komuś powiedzieć. Powiedziałem już, wyznałem wszystko aniołowi na niebie, ale teraz powtórzyć muszę jeszcze moje wyznanie aniołowi na ziemi. Tyś anioł ziemski; wysłuchasz mnie, osądzisz i przebaczysz. Tak potrzebuję, żeby mi przebaczył ktoś wyższy, lepszy!

Słuchaj! Gdyby dwa jestestwa, odrywając się nagle od wszystkiego, co ziemskie, ulatywały w nieskończoność — i gdyby jedno z nich odlatując lub ginąc prosiło drugiego: "zrób dla mnie coś, o co nikt jeszcze nikogo nie prosił, chyba na łożu śmierci", to czy mogłoby to drugie nie spełnić takiej prośby, zwłaszcza gdyby to był przyjaciel, brat?

— Ja spełnię, tylko powiedz, powiedz jaknajprędzej — odparł Alosza.

— Jaknajprędzej... Hm. Nie śpiesz się tak, Alosza. — Niepokoisz się i śpieszysz napróżno. Niema się teraz po co śpieszyć. Świat wchodzi na nowe tory. Ach Alosza, jaka szkoda,ześ ty się do zachwytu nie zapamiętał. Co ja głupi plotę? Tyś się wcale nie zapamiętał. Bądź szlachetnym mężem. Czyj to wiersz?

Alosza postanowił czekać. Zrozumiał, że chyba tu znajdzie najważniejsze dla siebie pole działania. Mitia zamyślił się na chwilę, oparł czoło na ręku i milczał czas jakiś.

— Słuchaj, Alosza — rzekł wreszcie. — Ty jeden śmiać się ze mnie nie będziesz! Chciałbym zacząć moją spowiedź hymnem radości Szyllera, tylko, że nie umiem po niemiecku. Nie wyobrażaj sobie tylko, że bredzę coś po pijanemu. — Koniak jest koniak; ale ja bynajmniej pijany nie jestem. — Na to potrzebowałbym przynajmniej dwóch flaszek, a tu niema nawet ćwierci. Silny dziś jestem, bo zrobiłem niezłomne postanowienie.

Nie obawiaj się, nie odbiegam bynajmniej od przedmiotu i nie mam zamiaru być rozwlekłym, ani też duszy na strzępy rwać. Przeczekaj! Jakże to tam? — Tu zamyślił się na chwilę, poczem podniósł głowę i zadeklamowawwł z tryumfem:

Grozą i lękiem zewsząd gnany,
Kryjąc się w grotach górskich skał,
Człowiek pierwotny, troglodyta,
Pustkę, zniszczenie wkoło siał.
Łowom oddany zbrojny, dziki,
Przebiegał leśnych puszczy głąb...
O, biada, wyrzuconym falą,
Na niegościnnych brzegów zrąb!...

Z Olimpu, za porwaną córą,
Ceres bogini śpieszy w ślad,
Aż przed nią w całej swej ohydzie
Ściele się pusty, dziki świat —
Nigdzie schronienia, ni gościny,
Żaden tu czci nie bierze bóg,
Wonnych kadzideł dym ofiarny
Nie płynie znikąd w niebios próg.

Nikt na biesiadny stół nie stawi
Soczystych gron, ni złotych zbóż —
Wszędy pobitych trupów szczątki,
I ofiar krwią dymiący nóż...
Gdzie rzuci okiem niebios córa,
Niosąca zbożny, święty trud,
Wszędy w najgłębszem poniżeniu
Nurza się biedny ludzki ród.

Z piersi Dymitra wyrwało się łkanie; chwycił za rękę Aloszę.

— Przyjacielu! Przyjacielu! Poniżenie człowieka, w którem i teraz żyje. Strasznie wiele człowiek musi cierpieć, strasznie wiele przenieść! Nie myśl tylko, proszę, że masz przed sobą zwykłego chama w oficerskiej skórze, którego jedynem zajęciem jest pić koniak i oddawać się rozpustnym hulankom. Ja, bracie, prawie o tem jednem tylko myślę, o tem poniżeniu człowieka. Nie kłamię, nie przechwalam się, przynajmniej daj Boże, żebym nie kłamał. Widzisz! Ja muszę myśleć o człowieku poniżonym, bo ten człowiek to przedewszystkiem ja.

Człowiek, by wznieść się z poniżenia
I hartem wzmocnić duszę,
Musi z pra-starą matką ziemią
W wieczyste wejść sojusze!

Tylko, widzisz, w tem rzecz, jak tu zawrzeć ten wieczysty sojusz z ziemią? Nie mogę przylgnąć do niej ustami, ani wedrzeć się w jej piersi wnętrze. Cóż, czy chłopem mam zostać, albo pastuchem? Ile razy zdarzyło mi się pogrążyć w brud i błoto rozpusty! (a właściwie to jedno zdarzyło mi się w życiu), tyle razy przychodziły mi na myśl

te wiersze o Cererze i człowieku. Ale te myśli nie twożyły mnie bynajmniej, ani podnosiły. A dlaczego? Bo jestem Karamazow, bo jeśli rzucę się w otchłań, to już zupełnie głową na dół i cieszyć się nawet będę tem doskonałem poniżeniem, a nawet odnajdę w niem pewnego rodzaju piękno. I w największem poniżeniu zaintonuję hymn: "Boże mój! Być może, że jestem podły, nizki, przeklęty..., a przecież i mnie wolno przycisnąć do ust chociażby kraj niebieskiej szaty, w którą przeobleczony jest Bóg mój. Być może, że szatan wlecze mnie w orszaku swoim, a przecież, mimo to, jam twoje dziecię, o Panie, i kocham Cię... odczuwam z tego powodu radość, bez której życie i świat nie miałyby podstawy bytu!... No, ale dość tego! Płakać mi się chce, a ty mi płakać nie przeszkadzaj, Alosza. Być może, że to z mojej strony głupota, z której się wszyscy śmiać będą, tylko nie ty. Powiem ci jeszcze jedno o tych, w których drzemie namiętność, zwierz dziki. Taki ja jestem, i ty także, bracie mój, mimo swego anielstwa. Myśmy wszyscy Karamazowy i we krwi mamy żądze, które niosą burze. I ty także, i w tobie grają namiętności, wbrew twojej woli! A namiętność to burza... więcej, jak burza!... A piękno?! to przecież rzecz straszna i bolesna zarazem. Straszna, bo rozwikłać jej niepodobna, nie wolno nawet, gdyż Bóg rzucił na świat same zagadki. Tu schodzą się ostateczności, a przeciwieństwa istnieją obok siebie. Ty wiesz, bracie, ja uczony nie jestem, a przecież myślałem o tem wiele, Ileż to, ile tajemnic przygniata duszę ludzką, rozwiązywać je musimy sami. Nie mogę znieść tego, że ludzie wyżsi, o sercu szlachetnem i podniosłym umyśle — zaczynają od wielbienia Madonny, a kończą na Sodomie. Ale jeszcze straszniej, jeszcze okropniej, gdy kto z ideałem Sodomy w duszy, marzy jednocześnie o Madonnie i oderwać się od niej nie może, płonąć aż do wnętrza ogniem młodzieńczym... Za wielki, za szeroki zakres dany jest człowiekowi! Szatan jeden wie, dlaczego to, co rozum obrzuca pogardą, przedstawia się sercu, jako rozkosz i piękno najwyższe. Czy jest piękno w Sodomie? O, wierz mi, że jest, i to dla ogromnej większości ludzi. Dlatego to piękno, to rzecz straszna i zagadkowa zarazem... to walka szatana z Bogiem, gdzie polem bitwy są serca nasze. A teraz posłuchaj, opowiem ci fakta, same jądro rzeczy.

Ojciec mówił o mnie tam, w celi starca, że kupowałem za pieniądze cnotę dziewcząt. To kłamstwo i wymysł bydlęcy, nigdy tego nie było, a jeśli było, to nie za pieniądze dobre jako akcesorya, ale motorem działania może być tylko żar wewnętrzny, ogień duszy. Dziś dama, jutro dziewczyna z ulicy — bawić się można równie dobrze z jedną i z drugą. Czasem dawałem pieniądze, bo ostatecznie trzeba przyznać, że biorą chętnie i wdzięczne są. Ale przeważnie wyrzucałem grosz, i to garściami, na muzykę, tańce cyganów... Kobietki lubiły mnie, nie wszystkie zapewne, ale dużo ich, dużo. Ja zaś lubiłem przeważnie zaułki, zakamarki, zakątki..., gdzieś poza światem. Mówię to, oczywiście, w znaczeniu alegorycznem, bo w mieście naszem takich zakątków nie było. Lubiłem, bracie, rozpustę i wszystkie jej odcienia. Cóż dziwnego? Przecieżem Karamazow i żądze zwierzęce hamować w sobie muszę. Raz w pułku naszym urządzono rodzaj kuligu. Pojechaliśmy siedmiu saniami, zaprzężonemi w trójki. Miałem za sąsiadkę młodziutkie dziewczę, córkę ubogiego urzędnika, z którą pozwoliłem sobie na pewne poufałości. Nie sprzeciwiała mi się, owszem, okazała się dostępną, myślała, biedactwo, że zaraz na drugi dzień oświadczę się o jej rękę (uchodziłem za dobrą partyę). Ja tymczasem odsunęłem się od niej i przez całe pięć miesiecy nie przemówiłem do niej ani słowa. Widziałem nieraz, jak śledziła mnie ukradkiem ze swego kącika w sali balowej (tańczyliśmy wówczas dużo). Widziałem błyszczące jej oczy, migotliwy połysk zrozpaczonych, niespokojnych źrenic. Bawiła mnie ta gra. Było to wyrafinowane okrucieństwo, podszepnięte mi przez dziką bestyę Karamazowych, którą żywiłem w sobie. W piątym miesiącu dziewczyna wyszła za mąż za biednego urzędnika i odjechała gniewna na mnie, a może jeszcze zakochana. Żyją podobno dobrze ze sobą, ja zaś nikomu o tem nie powiedziałem, nie zniesławiłem jej. Podły jestem, to prawda i nizkie miewam żądze, ale nieuczciwości nie popełnię. Zarumieniłeś się, Alosza, oczy ci błyszczą. Masz już dosyć brudów. Ale to jeszcze nic, to kwiatki niewinne wobec innych moich wspomnień, a mam ich cały album. Tyle miłości i miłostek... Niech im Bóg da zdrowie tym wszystkim biedaczkom, które mi z kolei na sercu grały. A nie wydałem nigdy żadnej z nich, żadnej nie zniesławi-

łem. Ale dość już tego. Nie myśl, proszę cię, że wezwałem cię tylko po to, aby ci te wszystkie paskudztwa opowiadać, mam w zapasie ciekawsze jeszcze szczegóły. Tylko nie dziw się, że się ciebie nie wstydzę, owszem, rad jestem, że ci wszystko wyznać mogę.

— Ty myślisz — rzekł Alosza — żem się zarumienił z powodu twoich opowiadań? To nie dlatego, bracie. Zarumieniłem się, bo czuję, że i ja jestem taki sam, jak ty.

— Taki sam?! No, toś się trochę zapędził.

— Nie, nie, nie zapędziłem się — przerwał z ogniem — Alosza (widocznie myśl ta dojrzała w nim już dawniej). — Jesteśmy na jednej drodze, tylko, że ja stoję dopiero na pierwszym szczeblu, a ty gdzieś wyżej, może np. na dwunastym. Ale to wszystko jedno, bo kto raz wstąpi, musi już przejść wszystkie stopnie, aż do szczytu.

— Należałoby zatem wcale nie wstępować?

— Oczywiście, kto jest w stanie, kto może się wstrzymać.

— A ty możesz?

— Zdaje mi się, że nie.

— Milcz, Alosza, milcz! Najdroższy mój, chciałbym ręce twoje ucałować... tak z radości. Ta szelma Gruszeńka zna ludzi. Mówiła mi kiedyś, że i ciebie zje prędzej, czy później. Milcz! Milcz! Bo zaraz z zabagnionego trzęsawiska moich podłości przejdziemy do właściwej mojej tragedyi, która jest także zabagnionem trzęsawiskiem. Nasz stary opowiadał dużo o tem, jak za złoto kupowałem niewinność, a przecie nie wie, że zdarzyło się to raz tylko i to nie spełniło się. Była to właśnie moja tragedya, której stary nie zna, bo nie opowiadałem jej nikomu, ty pierwszy dowiesz się o wszystkiem, z wyjątkiem wszakże Iwana. Iwan wie wszystko, dawniej, niż ty. Ale Iwan, to grób.,

— Iwan grób?

— Tak.

Alosza słuchał z nadzwyczajną uwagą.

— Służyłem, jak wiesz, w batalionie liniowym, jako podporucznik, a że byłem wówczas pod nadzorem, trzymano mnie ostro, jak rekruta. Mimo to, całe miasteczko, w którym pułk nasz przebywał, przepadało za mną. Rzucałem pieniądze garściami, wszyscy mieli mnie więc za bogacza, a i ja sam w to wierzyłem. Zresztą i tak miałem szczęście do ludzi. Kiwali głowami na moje wybryki, ale lubili mnie. Za to zwierzchnik mój, stary pułkownik, odrazu mnie znienawidził. Przyczepiał się o byle co, choć, co prawda, nie mógł mi wiele zaszkodzić, bo całe miasto było za mną. Co prawda, sam ściągnąłem na siebie tę niechęć pułkownika, bo umyślnie nie okazywałem mu należnego szacunku i traktowałem go lekko. Robiłem wielkiego pana. Stary był w gruncie dobry człowiek i niesłychanie gościnny. Miał on w swoim czasie dwie żony, które jednak pomarły, a każda z nich zostawiła mu córkę. Pierwsza jego żona pochodziła ze skromnej bardzo sfery i zostawiła mu córkę, również prostą dziewczynę. Ta starsza córka, Agata Iwanówna, miała wówczas 24 lat i mieszkała przy ojcu wraz z ciotką. Ciotka ta była niewypowiedzianie dobra i prosta, siostrzenica również, tylko, że miała o wiele więcej żywości i dowcipu. Był to poprostu cudny charakter kobiecy, nie spotkałem nigdy podobnego. Otóż ta dziewczyna, Agata (nie pasowałby do niej w żaden sposób wyraz panienka), była wcale nie brzydka, czysto rosyjski typ; duża, tęga, ładne oczy, rysy cokolwiek grube. Zamąż nie wychodziła, mimo, że miewała konkurentów, odmawiała im i została panną, nie tracąc bynajmniej na humorze. Zaprzyjaźniłem się z nią bardzo. Tylko nie podejrzewaj, żeby się w tem kryło co innego. Nieraz miewałem z kobietami czysto przyjacielskie sympatye. Gawędziliśmy z sobą wiele. Bywało, kładę jej w uszy rozmaite niemożliwe kawałki, ona się tylko śmieje. Kobiety lubią często takie pieprzne pogawędki, a tu zanotuj sobie jeszcze, że to była młoda panna, tem więcej mnie to bawiło mówić jej dwuznaczniki. Obie z ciotką lubiane były bardzo w całem mieście, mimo, że zachowywały się z pewnwą rezerwą względem eleganckiego świata.

Dla uzupełnienia charakterystyki dodam jeszcze, że Agata miała duży talent modniarki i robiła przyjaciółkom swoim przez grzeczność bardzo ładne rzeczy, za co nie przyjmowała zapłaty, chociaż niekiedy ofiarowywano jej podarki. Stary pułkownik prowadził dom otwarty, wydawał obiady, bale, wieczory — całe miasto bywało u niego. W chwili, gdym przyjechał, całe towarzystwo oczekiwało przyjazdu młodszej córki pułkownika. Miała to być niezrównana piękność, najpiękniejsza z pię-

knych, a kończyła właśnie edukacyę w arystokratycznej pensyi społecznej, skąd miała tu przybyć na czas jakiś. Ta druga córka była to właśnie Katarzyna Iwanówna. Matka jej, a druga żona pułkownika, pochodzić miała z bardzo arystokratycznej rodziny, ale posagu mężowi nie wniosła. Były podobno jakieś nadzieje na spadek, ale na razie panna nie miała ani grosza. Mimo to, gdy przyjechała instytutka (tak ją nazywano), towarzystwo przyjęło ją owacyjnie. Rozrywano ją sobie, urządzając wciąż na jej cześć rozmaite zabawy, na których królowała. Dwie najznakomitsze damy prześcigały się w okazywaniu jej uprzejmości, a za ich przykładem poszło całe miasto. Rozrywano ją sobie poprostu. Wciąż pikniki, teatry amatorskie, żywe obrazy, w których odgrywała główną rolę, dobroczynne rauty... Ja milczę i trzymam się na uboczu, a właśnie wyprawiłem wtedy awanturę, która zwróciła uwagę całej publiczności. Spotkałem ją wreszcie u komendanta batalionu. Katarzyna obrzuciła mnie badawczym wzrokiem; udałem, że tego nie dostrzegam i nie przedstawiłem się jej. Później, w ciągu wieczora, jakby nie pamiętając, przemówiłem do niej słów kilka. Ona spojrzała, krzywiąc pogardliwie usteczka i nie odrzekła ani słowa. — Poczekaj — myślę — odpłacę — ci. Byłem wówczas najgorszego katunku birbantem i sam to doskonale czułem. Czułem również, że Katarzyna nie jest bynajmniej naiwną pensyonarką. Wiedziałem, że to kobieta z charakterem, dumna, szlachetna, posiadająca przytem rozum i wykształcenie, podczas kiedy mnie brakowało jednego i drugiego. Myślisz może, że chciałem starać się o jej względy? — bynajmniej; chciałem ją tylko ukarać za to, że się na mnie nie poznała. Tymczasem prowadziłem dalej swoje hulaszcze życie, aż pułkownik zmuszony był wsadzić mnie na 3 dni do aresztu. Właśnie wtedy ojciec przysłał mi sześć tysięcy rubli, żądając wzamian zrzeczenia się wszystkich dalszych pretensyi, co też i zrobiłem. Co prawda, nie rozumiałem zupełnie tych naszych majątkowych rachunków z ojcem i do dziś nic ich nie rozumiem. Mniejsza zresztą z tem. Otóż, siedząc w areszcie, dowiedziałem się od jednego z moich przyjaciół, że nasz pułkownik ma duży kłopot, że posądzony jest o jakieś niedobory w kasie, z czego skorzystać chcą jego wrogowie, którzy mu przygotowują pasztet. Później krążyć zaczęły pogłoski bardziej szczegółowe; w kasie brakować miało 4,500 rubli. Generał domyślał się tego, zaś pułkownikowi groziła zupełna niełaska i usunięcie ze służby. Wobec takich okoliczności, całe towarzystwo ochłodnęło niesłychanie względem zagrożonej niesławą rodziny, a liczni przyjaciele ulotnili się, jak kamfora. Spotkałem na ulicy siostrę. Kati, Agatę, z którą utrzymywałem zawsze przyjazne stosunki. Zagadnąłem ją też bez ceremonii.

— Cóż tam? podobno ojcu w kasie brakuje?

— Skąd ta wiadomość? Niedawno przecie była wizyta inspekcyjna i generał znalazł wszystko w porządku.

— Wtedy było w porządku, ale dziś nie.

Zlękła się.

— Skąd pan to wie?

— Niech się pani nie lęka, nikomu nie powiem, milczeć będę jak grób. Chciałem pani tylko powiedzieć. Gdyby istotnie brakowało w kasie owych kilku tysięcy rubli, ojcu pani grozi sąd, niesława, więzienie. Na starość nie przeniesie tego. Otóż w razie potrzeby, niech mi pani tylko przyśle swoją siostrzyczkę, to ja jej te pieniądze dam i sekretu święcie dochowam.

— Ach, jaki pan jesteś podły! (tak mi powiedziała). Jaki pan jest zły, podły człowiek! Jan pan śmie?! — Odeszła, strasznie oburzona, ja zaś zawołałem jeszcze za odchodzącą, że sekretu święcie dochowam. Trzeba wiedzieć, że obie te kobiety, Agata i jej ciotka, to były poprostu święte istoty, a Katarzynę ubóstwiały i służyły jej prawie na klęczkach. Mimo to, wiedziałem, że Agata powtórzy naszą rozmowę siostrze, a mnie tego właśnie było potrzeba. Tymczasem przyjechał wistocie nowy major, któremu trzeba było zdać kasę batalionowa. Pułkownik zaniemógł i położył się do łóżka. Doktór pułkowy upewniał wszystkich, że jest istotnie chory, ale ja wiedziałem doskonale, jak rzeczy stoją. Z dawien dawna naczelnik nasz miał zwyczaj powierzać kasę pułkową pewnemu kupcowi, który robił nią rozmaite obroty z grubym dla siebie i pułkownika zarobkiem, a w chwili stanowczej oddawał pieniądze w całości. Kończyło się to zawsze pomyślnie, ale teraz stało się inaczej. Kupiec zagadnięty odpowiedział, że nigdy żadnych

pieniędzy nie brał i brać nie mógł. Dowodu, oczywiście, nie było. Nie pozostawało więc nic pułkownikowi, jak udawać chorego. Siedzi w domu i głowę lodem okłada, a tu przychodzi ordynans z książką, żądając podpisania kwitu na pieniądze, które mają być doręczone w przeciągu dwóch godzin. Pułkownik wstaje, powiadając, że chce włożyć mundur, idzie do swej sypialni, chwyta strzelbę, nabija... przykłada lufę do piersi, a zdjąwszy but z prawej nogi, maca już kurek, aby go przycisnąć. Agata, która domyślała się czegoś i szpiegowała ojca, zakradła się z tyłu, chwyta go w objęcia... strzelba wypaliła w sufit, nie raniąc nikogo. Domownicy się zbiegli i otoczyli zrozpaczonego, trzymając go za ręce. Siedziałem wówczas w domu, a zmrok już zapadł. Gotowałem się do wyjścia i właśnie, dopełniwszy wszystkich szczegółów toalety, naperfumowałem chustkę i wziąłem czapkę do ręki, gdy w tem na progu pokoju stanęła Katarzyna Iwanówna. Na szczęście, nikt jej nie zauważył, nikt nie widział idącej. Dwie staruszki, od których najmowałem mieszkanie, słuchały mnie ślepo i na mój rozkaz milczałyby jak grób.

Katarzyna weszła patrząc prosto na mnie. Oczy jej błyszczały niemal posępną energią, ale kąciki ust drżały, zdradzając wahanie.

— Siostra mówiła mi, że pan dasz cztery tysiące pięćset rubli, jeśli przyjdę po nie sama. Otóż jestem... proszę o pieniądze.

— Mówiła przerywanym głosem, tchu jej zabrakło, a kąciki ust i linie obok zadrżały znów boleśnie... Alosza, słuchasz ty, czy nie?

— Mitia! Przekonany jestem, że powiesz wszystko, całą prawdę! — przerwał wzruszony Alosza.

— Chcesz całą prawdę? Oto, jak było, nie myślę się bronić. Pierwsza moja myśl była, oczywiście, Karamazowa. Wiesz, bracie, ugryzła mnie kiedyś tarantula i cztery tygodnie leżałem w gorączce. Otóż i wtedy, tarantula, dzika bestya żądz, ugryzła mnie w serce. Widziałeś Katarzynę? Wiesz jaka piękna?... Ale w owej chwili piękna była nie tą urodą swoją, ale tem, że była szlachetna, a ja podły — ona wielką ofiarą swoją dla ojca, a ja, robak nikczemny, brudny robak!... A jednak odemnie, plugawego nikczemnika, zależy dziś ona cała, duszą i ciałem.

— Powiem ci szczerze, że pierwsza moja myśl była jak ukąszenie tarantuli, a zawładnęła tak silnie sercem mojem, że o mało mi piersi nie wyciekło, aż mi dech zaparło. Zdawało się, że i wątpliwości żadnej być nie może, i że postąpię z nią, jak robak podły, bez żadnej litości. Oczywiście, na drugi dzień stawiłbym się przed nią i z najwyższym szacunkiem prosiłbym o jej rękę. Niktby o tem nie wiedział, i wszystko skończyłoby się najprzyzwoiciej. Ale w tejże chwili szeptał mi głos wewnętrzny: "Jutro, gdy przyjdziesz się jej oświadczyć, nie obaczysz jej nawet, nie wyjdzie do ciebie, a rozkaże lokajowi wyrzucić cię za drzwi. Możesz osławiać ją potem w całem mieście — nie zlęknie się tego". — Spojrzałem znów na dziewczynę. — "I cóż, że jutro wyrzucą cię za drzwi" — pomyślałem, — "za to dziś twoją jest, korzystaj!" — I nagle zakipiał we mnie straszny gniew i zapragnąłem wypłatać jej daleko gorszą, podlejszą sztukę, prawdziwie świństwo. Coby było, gdybym przemówił do niej z intonacyą kupczyka, odrzucającego zły interes!

— Cztery tysiące? Ależ to żarty, łaskawa pani. Parę set służyć mogę z przyjemnością, ale cztery tysiące, to poważna kwota, której się lekkomyślnie nie wyrzuca. Trudziła się pani napróżno.

Uciekłaby, a ja straciłbym w stosunku do niej wszystko. Ale co za piekielna zemsta?! Wyłbym później całe życie z rozpaczy i zgryzoty, ale na razie ulżyłoby mi to znakomicie. Nigdy jeszcze nie patrzyłem na żadną kobietę z taką nienawiścią, jak na nią w tej chwili. Klnę się na krzyż święty, że przez całe trzy sekundy patrzyłem na nią z nienawiścią, od której jeden już tylko krok do miłości, do najszaleńszej miłości. Podszedłem do okna i przycisnąłem czoło do zimnej szyby, a czułem, jak ognie rozpalone uderzają mi do twarzy. Nie bój się, Alosza, nie wytrzymałem jej długo w niepewności. Odwróciłem się natychmiast prawie, odsunąłem szufladę biurka i pokazałem jej list zastawny na pięć tysięcy rubli, leżący między kartkami francuskiego dykcyonarza. Następnie podałem jej banknot i sam przed nią drzwi otworzyłem z głębokim i pełnym najwyższej czci ukłonem. Ona zadrżała, spojrzała na mnie uważnie, zbladła jak płótno i nagle miękkim, cichym ruchem skłoniła się przedemną, nie mówiąc ani słowa, nie światowym ukłonem wykwin-

tnej panny, ale po chłopsku, do nóg, dotykając prawie czołem podłogi. Potem zerwała się i uciekła.

Gdy się to stało, wyjąłem z pochwy nową szablę i w pierwszej chwili chciałem się zabić, niewiadomo dlaczego, zdaje się z radości.

— Czy ty rozumiesz, że można się zabić z radości? Ale nie zrobiłem tego, a tylko ucałowałem ostrze szabli, i włożyłem ją napowrót do pochwy. Niepotrzebnie ci to opowiadam, i wogóle rozwodziłem się tu zanadto nad wielu szczegółami, chcąc się przed tobą w lepszem wystawić świetle. Ale niech już tak zostanie, niech dyąbli wezmą szpiegów ludzkiego serca. Teraz znasz już moje wielkie zajście z Katarzyną Iwanówną, a oprócz ciebie, wie o niem także Iwan.

Dymitr wstał wzruszony, przeszedł się kilka kroków, ocierając czoło chustką, poczem usiadł znów na kamiennej ławce, nie na dawnem jednak miejscu, a po przeciwnej stronie, tak, że Alosza, chcąc go słuchać uważnie, zwrócić się musiał ku niemu.

— Teraz, — rzekł — znam już połowę twojej historyi.

— Tak, pierwszą połowę znasz i rozumiesz. To był dramat, który się tam rozegrał, ale potem nastąpiła tragedya, która się dzieje tu.

— Tej drugiej zupełnie dotąd nie rozumiem, — rzekł Alosza.

— Gdybym ją sam rozumiał...

— Poczekaj, Dymitrze, tu jedno jest pewne: jesteś przecie jeszcze narzeczony.

— Narzeczonym Katarzyny zostałem w trzy miesiące po wypadkach, które ci opowiedziałem. Nazajutrz powiedziałem sam sobie, że wszystko się skończyło i dalszego ciągu nie będzie. Prosić o jej rękę wydało mi się podłością. Ona ze swej strony nie dała znaku życia przez całe sześć tygodni, tylko odesłała mi przez pokojówkę resztę z pięciu tysięcy rubli, 260 w kopercie, bez słówka od siebie. Przepatrzyłem starannie banknoty, szukając choćby znaczka jakiego ołówkiem, ale nic nie było.

Przehulałem te ostatki tak głośno, że i nowy major musiał mi udzielić nagany, a pułkownik oddał w całości kasę batalionową, ku ogólnemu zdziwieniu. Mimo to, zachorował wkrótce i umarł we trzy tygodnie na rozmiękczenie mózgu. Pochowano go z wojskowemi honorami, po pogrzebie zaś Katarzyna z siostrą i ciotką odjechały do Moskwy. Wtedy dopiero, w sam dzień odjazdu, przysłała mi mały liliowy liścik, na którym nakreśliła słów kilka: "Czekaj pan mego listu. Napiszę. K." — Ot i wszystko. Resztę opowiem ci w dwóch słowach. Tam, w Moskwie wypadki wzięły zupełnie nowy obrót i to z imponującą szybkością. Ciotka Katarzyny, pewna stara generałowa, utraciła naraz swoje dwie najbliższe spadkobierczynie, dwie siostrzenice, które umarły na ospę, obie w jednym dniu. — Spiorunowana tym ciosem staruszka, przyjęła Katarzynę, jak rodzoną córkę, przelała na nią wszelkie prawo zmarłych siostrzenic, przerobiła testament na jej imię, a na razie wyposażyła ją osiemdziesięciu tysiącami rubli. Wtedy otrzymałem z poczty zwrot moich 4,500 rubli, a w w kilka dni potem nadszedł obiecany list. List ten mam tutaj, noszę go zawsze przy sobie. Włożą go ze mną do trumny, chcesz, to ci go pokażę. "Kocham Pana (pisała) bez pamięci. Choćbyś mnie Pan nie kochał, wszystko jedno, zostań Pan tylko mężem moim i nie lękaj się. Krępować Cię w niczem nie będę, będę w domu Twoim, jak sprzęt Twój, jak dywan, po którym stąpasz... Kochać Cię będę wiecznie i strzedz przed Tobą samym". Alosza! Niegodzien jestem powtarzać tych słów podłemi ustami i podłym głosem moim. Ugodził mnie ten jej list głęboko w serce i czuję go po dziś dzień, i ciężko mi, na duszy.

Odpisałem jej natychmiast (jechać wtedy do Moskwy nie mogłem w żaden sposób), łzami żywemi odpisałem. Jednego tylko wstydzić się będę wiecznie, żem wspomniał jej o różnicy naszego położenia, o jej posagu i mojem ubóstwie. Nie powinienem był tego pisać, ale wyrwało mi się z pod pióra. Napisałem jednocześnie do Moskwy, do Iwana, list na sześciu kartkach, w którym mu wszystko wytłómaczyłem i posłałem Iwana do niej. Czego? Czego tak na mnie patrzysz? Wiem, wiem, Iwan zakochał się w niej i kocha się po dziś dzień. Po waszemu zrobiłem głupstwo kapitalne. Ale kto wie, czy dziś to głupstwo nie uratuje nas wszystkich. Czyż nie widzisz, jak ona go ceni, jak go czci prawie? Czyż może porównywasz nas obu? Czuć miłość dla takiego, jak ja, a jeszcze po wszystkiem, co tu zaszło?

— Przekonany jestem, że Katarzyna

kochać może takiego tylko, jak ty, człowieka, nie takiego, jak Iwan.

— Ona cnotę swoją kocha, a nie mnie, — wyrwało się mimowoli Dymitrowi, a oczy jego błysnęły jakby gniewem. Zarumienił się przytem i trzasnął pięścią w stół.

— Przysięgam ci, Alosza, — zawołał, wściekły prawie sam na siebie — przysięgam ci, jak Bóg Bogiem, jak Chrystus Zbawicielem naszym, przysięgam ci, że choć przed chwilą wspomniałem jakby z lekceważeniem o wzniosłych jej uczuciach, to przecież wiem doskonale, że jestem milion razy mniej wart od niej, i że szlachetność jej jest zupełnie szczera i czysta, jak aniołów niebieskich. W tem właśnie tragedya, że ja to wiem napewno. Cóż stąd, że czasem deklamuję o uczuciu. A czy ja tu przed chwilą nie rzucałem deklamacyjnych frazesów, mimo że cierpienie moje jest istotne? Co się zaś tyczy Iwana, to wyobrażam sobie, jak musi kląć los i prawa przyrody, on taki mądry. I komu to dano tu pierwszeństwo nad nim? Takiemu, co będąc już narzeczonym, publicznie, wobec wszystkich oddawał się rozpuście. Nie umiał się powstrzymać nawet w obecności narzeczonej. I takiego przekładają nad niego? Czy to sprawiedliwe? Czy to powinno być? To wszystko dlatego, że panna chce się poświęcić przez poczciwość! Oczywiście, nigdy o czemś podobnem Iwanowi nie wspominałem, ani on mnie. Ale niech się los odwróci. Niech godny zajmie należne mu miejsce, a niegodny usunie się tam, gdzie jest jego miejsce.

Niech się pogrąży we właściwy sobie żywioł, w błoto, w brud, a zrobi to dobrowolnie i z rozkoszą. Zginie tam i utonie, a ona niech idzie za Iwana.

— Zaczekaj, bracie — przerwał niespojnie Alosza. — Jest tu coś dla mnie niejasnego. Tyś jeszcze związany słowem. Jakże możesz rozstać się z narzeczoną, jeśli ona tego nie chce?

— Tak, jestem narzeczonym i to ze wszystkiemi formalnościami. Zaręczyny nasze odbyły się w Moskwie, z wielką paradą, obrazami, błogosławieństwem. Stara generałowa przyjęła mnie bardzo serdecznie, uznała i pochwaliła wybór Kati. A czy dasz wiarę, że się jej Iwan nie podobał? Spędzałem czas w Moskwie na długich rozmowach z Katią, przedstawiając się jej z najlepszej strony, jako człowiek szlachetny, i to całkiem szczerze. Wszystko tam było: "słodkie zmieszanie, czułe słówka." Poruszaliśmy też i wzniosłe kwestye. Ona wymogła na mnie obietnicę poprawy i ja obiecałem. A teraz...

— Cóż?

— A teraz wezwałem cię po to, aby cię posłać do Katarzyny dziś jeszcze. I...

— I co?

— Powiedzieć jej, że już nigdy do niej nie przyjdę, że się jej kłaniam.

— Ale czyż to można?

— Właśnie dlatego, że nie można, posyłam ciebie, bo czyż ja jej to mogę powiedzieć?

— A ty, gdzie pójdziesz?

— W błoto.

— Do Gruszy — zawołał gorąco Alosza. — Więc ten Rakitin miał słuszność, a ja myślałem, że to tylko chwilowe, że przestaniesz do niej chodzić.

— Czyż człowiek zaręczony powinien robić takie rzyczy? A jeszcze mając taką narzeczoną? Pamiętaj, że ja, pomimo wszystko, uczciwość mam. Z chwilą, gdym zaczął chodzić do Gruszy, przestałem się uważać za narzeczonego i honorowego człowieka. Rozumiesz? Cóż tak na mnie patrzysz?

— Ja, widzisz, poszedłem do niej pierwszy raz, żeby ją bić. A to dlatego, że ów kapitan, pośrednik ojcowski, oddał jej mój weksel, chcąc za jej pośrednictwem wymódz na mnie zrzeczenie się wszelkich pretensyi do spadku. Chcieli mnie zastraszyć. Gruszę widziałem już przedtem. Na pierwszy rzut oka niema w niej nic uderzającego. Znałem doskonale historyę jej kochanka, owego starego kupca, który tam, gdzieś leży umierający, ale majątek znaczny jej zostawi. Wiedziałem, że Grusza kocha się w pieniądzach i pożycza je na wysokie procenta, że jest awanturnica i szelma bez żadnych skrupułów. Poszedłem do niej, jak już mówiłem, aby ją zbić i zostałem u niej. Dżuma czepiła się i mnie i zaraziłem się, i zarazę noszę w sobie do dziś dnia, i wiem, że wszystko już skończone i nic innego nigdy nie będzie. Cykl wieków dopełnił się. Taka jest moja historya. Idąc do niej, miałem w kieszeni trzy tysiące rubli. Pojechaliśmy oboje do Mokroje, o 25 wiorst stąd. Sprowadziłem cygańską kapelę, poiłem wszystkich szampanem, chłopów, baby, używaliśmy; a po trzech dniach i grosza nie zostało. A myślisz, żem cokolwiek od nie uzyskał? Nic, ale to zupełnie

nic. Wiesz, ta szelma Grusza ma w sobie coś, co się określić nie da, w każdym ruchu, w każdym przegięciu ciała w nóżce nawet, w małym paluszku u lewej nóżki. Paluszek ten widziałem, a nawet całowałem, ale na tem się też skończyło, przysięgam ci. "Chcesz — powiada — wyjdę za ciebie, tylko przyrzeknij, że bić nie będziesz i pozwolisz mi robić wszystko, co mi się podoba" i śmieje się.

Dymitr wstał z miejsca w najwyższem rozdrażnieniu, którego już pohamować nie mógł, zatoczył się, jak pijany, a oczy mu zaszły krwią.

— I ty naprawdę chcesz się z nią żenić?

— Jeśli tylko ona zechce, ożenię się natychmiast, a jeśli nie zechce, to i tak przy niej zostanę, sługą jej będę.

Słuchaj, Alosza... wiesz ty, ty niewinne dziecko, że to, co dotąd powiedziałem, to jeszcze tylko brednie, i w tem właśnie tragedya. Pamiętaj, że mogłem mieć wprawdzie nizkie namiętności, nikczemne popędy, ale złodziejem, kieszonkowym złodziejem dotąd nie byłem, nie mogę być. Tymczasem dowiedz się, że jednak zostałem nim. Tegoż dnia, kiedym był u Gruszy, Katarzyna wezwała mnie i zleciła pod wielkim sekretem przesłanie trzech tysięcy rubli dla siostry jej , Agaty, do Moskwy. Tak dalece chodziło jej o tajemnicę, że prosiła mnie, abym pojechał umyślnie do okręgowego miasta dla wyprawienia tej przesyłki, inaczej bowiem tu dowiedzianoby się o tem. Otóż te pieniądze strwoniłem na majówce z Gruszą, tam w Mokroje. Katarzynie zaś powiedziałem, żem je wysłał, a tylko zapomniałem jej doręczyć kwitu pocztowego, który, jakoby, mam u siebie w domu. Teraz ty, gdy pójdziesz, ode mnie do Katarzyny, możesz jej powiedzieć, że jestem marny rozpustnik, nie umiejący panować nad żądzami swemi, który powierzone sobie pieniądze stracił na hulanki. Toby jeszcze nic nie szkodziło, gdybyś mógł wręczyć jej ode mnie te trzy tysiące, mówiąc, że jej się kłaniam i proszę, żeby sama je odesłała siostrze. Ale ja tych pieniędzy nie mam.

— Nieszczęśliwy ty jesteś, Mitia, ale nie do tego stopnia, jak ci się wydaje. Nie zabijaj się rozpaczą, drogi mój, nie zabijaj!

— A cóż ty myślisz? Że może sobie życie odbiorę? W tem sęk, że nie, teraz nie, może kiedyś. Teraz pójdę do Gruszy.

— I cóż z nią będziesz robił?

— Mężem jej zostanę, jeśli mnie tylko raczy przyjąć. A gdy przyjmować będzie swoich kochanków, usunę się do drugiego pokoju, kalosze im czyścić będę, samowar nastawiać, na posyłki biegać...

— Katarzyna Iwanówna zrozumie wszystko — rzekł poważnie Alosza. — Ona ma wyższy umysł, zrozumie też całą głębię twego nieszczęścia, pojmie wszystko i przebaczy.

— Nie przebaczy — odparł z goryczą Mitia — w obrazie jest coś, czego żadna kobieta przebaczyć nie może. A wiesz, coby było najlepszem?

— Co?

— Oddać jej trzy tysiące.

— A skądże je wziąć? Poczekaj, ja mam moje dwa tysiące, to ci je dam, a Iwan doda trzeci.

— A kiedyż to nastąpi? Nie możecie przecie tak odrazu podnieść tych pieniędzy, a tu trzeba bezwarunkowo dziś jeszcze być u Katarzyny z pieniędzmi, czy bez nich, i kłaniać się jej ode mnie, bo sprawa już tak stanęła, że dłużej zwlekać niepodobna. Jutro będzie już zapóźno. Idź jeszcze do ojca.

— Do ojca?

— Tak, do ojca najpierw. Jego proś o trzy tysiące.

— Ale, Mitia! on nie da.

— Wiem, że nie da. Wiesz ty, Alosza, co to rozpacz?

— Wiem.

— Słuchaj! prawnie to mi ojciec nic nie wienien, wybrałem już od niego wszystko, Ale moralnie jest moim dłużnikiem. Czy nie tak? Przecież obracając posagiem mojej matki dorobił się majątku. Wiem, że ma przeszło sto tysięcy. Gdyby mi dał teraz te trzy, wybawiłby duszę moją z piekła i policzoneby mu to było za wiele, wiele grzechów. A ja przysięgam, to wielkie słowo. że poprzestanę na tych trzech tysiącach i ojciec nie posłyszy już o mnie. Poraz ostatni daję mu możność być naprawdę ojcem. Powiedz mu, że sam Bóg zsyła mu tę sposobność.

— Mitia! on ci za nic nie da.

—Wiem, że nie da — doskonale wiem. A zwłaszcza teraz. Wiem, że w tych dniach powiedziano mi poraz pierwszy, że to może na seryo. On wie, że z jej charakterem wszystko być może, zna on ją dobrze. Otóż prosta rzecz, że nie zechce ułatwiać mi po-

łączenie się z nią i dawać na to pieniądze, skoro sam kocha się w niej bez pamięci. Więcej ci jeszcze powiem, że od pięciu dni ma trzy tysiące w domu, ułożone pięknie w pakiet, w kopercie zapieczętowanej, przewiązanej różową wstążeczką. Na kopercie tej stoi napis: "Dla mego anioła, Gruszeńki, jeżeli przyjdzie". Sam to wszystko przygotował w największej tajemnicy i nikt nie wie o tem, prócz lokaja, Smerdiakowa, któremu stary ślepo ufa. Trzeci już, czy czwarty dzień czeka na przyjście Gruszy, której dał znać o owym pakiecie, ona zaś odpowiedzała podobno: "Może i przyjdę". Otóż, jeżeli ona naprawdę przyjdzie do starego, czyż będę mógł się z nią żenić? Rozumiesz teraz, dlaczego siedzę tu w sekrecie na straży.

— Na nią czekasz?

— Tak. Mieszka tu dawny mój żołnierz, Tomasz, który tu jest stróżem i korzystam z jego izdebki i siedzę tu bez wiedzy właściciela domu, a nawet bez jego wiedzy.

— A Smerdiakow wie?

— Tak, jeden Smerdiakow; on to właśnie dał mi znać, że stary czeka na Gruszę.

— I on ci opowiedział o pakiecie z trzema tysiącami?

— On, w największym sekrecie. Nawet Iwan o tem nie wie. Iwana posyła ojciec do Czeremaszu, jakoby dla dozorowania wyrębu lasu, ale właściwie chce się go pozbyć, aby go w domu nie było w czasie wizyty Gruszeńki.

— Więc ojciec dziś czeka Gruszy?

— Nie, dziś ona nie przyjdzie, mam na to pewne dane, a i Smerdiakow utrzymuje to samo. Ojciec siedzi teraz pijany za stołem i rozmawia z bratem, Iwanem. Idź, Alosza, i poproś go o te pieniądze.

— Mitia kochany! co ci jest? — zawołał nagle Alosza, zrywając się z miejsca i patrząc uważnie w twarz Dymitra, tak zmienioną, że prawie obłąkaną.

— Nie bój się, nic mi nie jest, jestem zupełnie przytomny i rozumiem, co mówię. Idź do ojca po pieniądze, a ja czekać będę cudu.

— Cudu?!

— Tak, cudu Boskiego. Pan Bóg wie, co się w sercu mojem dzieje, on widzi wszystko i nie dopuści złego. Idź, Alosza, do ojca — idź!

— Pójdę, a ty gdzie będziesz czekał?

— Tutaj. Rozumiem, że prędko wrócić nie możesz, że nie możesz przyjść do ojca i tak prosto z mostu prosić o pieniądze. On teraz pijany. Czekać będę dwie, trzy, cztery godziny, choćby sześć i siedem, — ale pamiętaj, że dziś jeszcze, chociażby o północy, stawić się musisz u Katarzyny Iwanownej, z pieniędzmi, czy bez nich, i powiesz jej, że brat mój kazał się pani pokłonić. Pamiętaj tylko powiedzieć dosłownie: "brat mój kazał się pani pokłonić". Nie inaczej.

— Mitia! Przecież Grusza przyjść może jutro, a jeśli nie jutro, to pojutrze.

— W każdym razie wyśledzę ją i przeszkodzę.

— A jeśli jednak, a jeśli...?

— Jeśli?... to zabiję! żywcem nie ujdzie!

— Kogo zabijesz?

— Starego; jej nie zabiję.

— Bracie, i co ty mówisz?

— Nie wiem, nie wiem, może zabiję, może nie zabiję. Boję się tylko, by w stanowczej chwili nie doprowadził mnie do ostateczności tą swoją wstrętną twarzą. Nienawidzę jego oczu, nosa, podbródka, jego bezczelnego uśmiechu. Boję się tego mego wstrętu, bo mogę nie zapanować nad sobą.

— Pójdę, Mitia, do ojca, pójdę — i wierzę, że Bóg obróci wszystko na dobre, i uchroni od złego.

— A ja siedzieć tu będę i czekać cudu, ale jeśli się nie spełni... to...

Alosza, zamyślony, udał się do ojca.

* * *

PODRZUTEK.

Alosza zastał istotnie ojca za stołem. Obiadowano dnia tego w salonie, mimo, że był w domu osobny jadalny pokój, bardzo przyzwoicie urządzony. Salon umeblowany był po staroświecku i pretensyonalnie. Meble białe, obite czerwonym pół-jedwabnym adamaszkiem, między oknami duże zwierciadła w rzeźbionych ramach, również białych ze złoceniami. Ściany wytapetowane na biało, a w wielu miejscach obdarte, dwa duże portrety z lat trzydziestych, przedstawiające: jeden byłego gubernatora, drugi archiereja, dawno już zmarłych. W kącie kilka obrazów, przed

którymi paliła się zwykle lampa nie tyle z pobożności, co z powodu wstrętu Fedora Pawłowicza do ciemności. Zostawał on nieraz w nocy zupełnie sam, odsyłając służbę do oficyn, a że czuwał długo, do trzeciej i czwartej zrana, i lubił przechadzać się po salonie, wolał więc palić w nim światło.

W chwili wejścia Aloszy obiad miał się już ku końcowi i podawano właśnie czarną kawę z koniakiem i słodyczami. Iwan siedział z ojcem za stołem, a za krzesłami ich stali obaj lokaje: Grigor i Smerdiakow. Panowie i słudzy byli widocznie w doskonałych humorach. Alosza usłyszał jeszcze z przedpokoju piskliwy śmiech ojcowski i poznał po pewnych intonacyach, że ojciec nie jest jeszcze naprawdę pijany, a tylko nieco podchmielony.

— Otóż i on! — zawołał radośnie stary Karamazow, zobaczywszy wchodzącego Aloszę. — Siadaj-że tu z nami, siadaj i napij się czarnej kawy. To przecie postne, a smaczne, a gorące. Koniaczkiem cię nie traktuję, ale likieru napijesz się przecie trochę. Smerdiakow! Idź do kredensu i przynieś likier; stoi tam w szafie, na drugiej półce, na prawo.

Alosza wymawiał się od likieru.

— Wszystko jedno! Przyniosą nie dla ciebie to dla nas — śmiał się Fedor Pawłowicz. — A powiedz, jadłeś ty obiad?

— Jadłem — odparł Alosza, mimo, że jedynym jego posiłkiem była dziś szklanka kwasu, wypita w kuchni klasztornej, — ale kawy napiję się chętnie.

— Kochanież ty moje! Kawy się napijesz? Może ci zagrzać? Chociaż nie, widzę, że kipi. Już to nasz Smerdiakow słynie z kawy, barszczu i kulebiaki. Prawdziwy artysta! Przyjdź-że tu kiedy, chłopcze, na barszczyk, a powiedz wcześnie, to ci każę postny zgotować. Ale, prawda! Toż ja ci kazałem dziś jeszcze wynosić się z klasztoru. Cóż, czy przywiozłeś pościel?

— Nie, nie przywiozłem — uśmiechnął się Alosza.

— Co? Napędziłem ci strachu, gołąbeczku ty mój! Ale tyś wiedział, że cię nie ukrzywdzę, i któżby cię mógł ukrzywdzić? Słuchaj, Iwan, jak patrzę na ten jego uśmiech, to wszystko się we mnie raduje do samego wnętrza. Kocham cię, Aloszku ty mój! Chodź, niech ci dam ojcowskie błogosławieństwo.

Alosza wstał, ale stary zmienił już zamiar.

— Nie, nie, to potem. Siadaj, teraz cię tylko przeżegnam. Będziesz z nas teraz kontent, bo rozmawiamy na ulubiony twój temat. Wystaw sobie, oślica Balaama przemówiła.

Oślicą Balaamową okazał się lokaj Smerdiakow, chłopak milczący i zamknięty w sobie. Był to, jakieśmy już wyżej wspominali, podrzutek, wychowany przez Grigora i Martę. Od dzieciństwa okazywał charakter posępny i okrutne instynkta. Wieszał koty i grzebał je potem z całą ceremonią, nadziawszy na siebie jakąś płachtę, mającą naśladować komżę. Grigor, złapawszy go raz na gorącym uczynku, wysiekł go rózgami, za co dzieciak boczył się na niego przez kilka tygodni. Wogóle nie miał wcale przywiązania do swoich opiekunów, z czego też Grigor zdawał sobie doskonale sprawę. Próbował go uczyć historyi świętej, ale po kilku lekcyach malec tak go wytrącił z równowagi sceptycznemi uwagami, że nauka ta skończyła się znów na karze cielesnej i nigdy do niej nie wrócono. Już przy opowiadaniu o stworzeniu świata chłopak śmiać się zaczął pogardliwie.

— Czego ty? — pytał surowo Grigor.

— A tak sobie. Światło, mówicie, stworzył Bó na pierwszy dzień, a słońce i gwiazdy na czwarty. Jeżeli tak, to skądże się na pierwszy dzień wzięło światło?

— Ot skąd! — huknął Grigor, wymierzając wychowankowi silny policzek.

Oczywiście, że ta metoda nauczania nie poskutkowała i lekcye przerwały się na dobre. W jakiś czas później Smerdiakow, dostał poraz pierwszy epileptycznego ataku. Odtąd choroba ta chwyciła się go i została mu na całe życie. Ataki, mniej lub więcej silne, powtarzały się prawie co miesiąc .Stary Karamazow, który dotąd zachowywał się zupełnie obojętnie względem rosnącego w czeladnej podrzutka, tyle tylko, że tolerował jego obecność, zainteresował się nim naraz żywo. Zawezwał do niego najlepszych lekarzy, kazał go leczyć i zabronił surowo Grigorowi stosowania kary cielesnej. Nic to nie pomogło i Smerdiakow został na całe życie epileptykiem.

Zauważywszy raz, że Smerdiakow kręci się koło szafy z książkami, czytając przez szyby tytuły, Fedor Pawłowicz dał mu klucz od biblioteki, pozwalając czytać, co mu się podobało.

— Dobrze, czytaj, zrobię cię bibliotekarzem. Masz tu na początek. I dał mu "Wieczory na wsi" Gogola.

Malec przeczytał wszystko bez uśmiechu i oddał książkę nachmurzony.

— Cóż, nie podobało się? — spytał Fedor Pawłowicz.

Malec milczał.

— Odpowiadaj, durniu!

— Wszystko to nieprawda — mruknął chłopak.

— To się wynoś do dyabła! Lokajskie ty plemie! A zresztą, chcesz prawdy, masz tu historyę powszechną Smaragdowa. Tu wszystko prawdziwe.

Ale okazało się, że i historya znudziła gruntownie malca. Dano więc pokój dalszemu oświecaniu go. Zato Fedor Pawłowicz wpadł wkrótce na pomysł wykształcenia swego pupila na kucharza. Tym razem wybór okazał się trafny. Smerdiakow, wysłany na naukę do Moskwy, wrócił zupełnie wydoskonalony w swym fachu i gotował wistocie wybornie. Zmienił się wówczas bardzo: postarzał się nagle, wychudł, pożółkł, zato stał się skończonym elegantem, niezmiernie dbałym o czystość i porządek. Całą prawie swoją pensyę zużywał na ubranie, pomady, perfumy i t. p. Kobietami zdawał się pogardzać, jak zresztą całem swem otoczeniem. Ataki epileptyczne powtarzać się zaczęły coraz częściej, co niepokoiło bardzo Fedora Pawłowicza, tembardziej, że w takich razach Smerdiakow nie mógł gotować i zastępowała go w tem Marta.

— Powinienbyś się ożenić, Smerdiakow — mawiał Fedor Pawłowicz. — Chcesz? Wyswatam cię?

Słysząc to, Smerdiakow bladł z gniewu, ale nie odpowiadał ani słowa. Stary Karamazow odchodził, machnąwszy ręką. Zato wierzył bezgranicznie w uczciwość swego kucharza, był zupełnie pewien, że nie byłby on w stanie nic ukraść.

Zdarzyło się raz, że Fedor Pawłowicz, będąc pijany, zgubił 3 sturublowe banknoty, na własnem podwórzu. Gdy opatrzył się na drugi dzień i szukać począł po kieszeniach, dostrzegł nagle zgubione pieniądze na stole. Okazało się, że znalazł je Smerdiakow i odniósł jeszcze wczoraj.

— No, bratku! pierwszy raz widzę takiego jak, ty, człowieka — zawołał zdziwiony Fedor Pawłowicz i darował mu 10 rubli.

Należy dodać, że nietylko wierzył w uczciwość Smerdiakowa, ale go przytem bardzo lubił, mimo, że chłopak patrzył na niego z ukosa, jak na wszystkich, i przeważnie milczał. Patrząc na niego, trudnoby było odgadnąć, o czem myśli. A zdarzało się nieraz, że stawał gdzie na ulicy, lub w ogrodzie i stał tak jakie dziesięć minut, pogrążony, jak się zdawało, w głębokiej zadumie. Fizyonomista, spojrzawszy na niego w owej chwili, powiedziałby, że w oczach jego i twarzy niema żadnej myśli, ani zadumy, tylko jakieś bezpamiętne zapatrzenie się.

Malarz Kramski wymalował obraz podobny, zatytułowany — Zapatrzony. Krajobraz zimowy, las, a przy drodze stoi sam, samiuteńki chłopina jakiś, w łapciach i oberwanym kaftanie. Zdaje się być pogrążony w głębokiej zadumie, a właściwie nie myśli, a tylko zapatrzył się, gdzie bezświadomie. Gdyby go ktoś trącił, spojrzałby tylko, jak ze snu zbudzony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Spytany, o czem myśli, nie umiałby napewno nic odpowiedzieć, a w każdym razie zataiłby głęboko wrażenie, pod jakiem znajdował się w czasie owej zadumy. Wrażenia takie są mu bardzo drogie i gromadzi je wciąż nawpół bezwiednie, aż kiedyś przyjdzie chwila, gdy wrażenia te ujawnią się w niespodzianym jakimś postępku. Człowiek taki może nagle rzucić wszystko i pójść do Jerozolimy, by duszę zbawić, albo też podpali własną wieś, lub zrobi jedno i drugie. Takich lunatyków dużo jest wśród ludu rosyjskiego, i takim był także Smerdiakow. Gromadził on chciwie nieuświadmione jakieś wrażenia, a czynił to prawie bezwiednie.

Okazało się, że w chwili wejścia Aloszy, obecni panowie i słudzy zajęci byli żywo dysputą, wywołaną opowiadaniem starego Grigora o chrześcijańskim żołnierzu, który będąc wzięty do niewoli tureckiej, poniósł śmierć męczeńską, byle nie wyrzec się swej wiary.

— Ciało takiego żołnierza należałoby jaknajprędzej umieścić w jakim klasztorze. Toby się tam dopiero ludzi waliło na odpusty, a pieniędzy nazbieraliby huk.

Ton tej uwagi niepodobał się bardzo staremu Grigorowi, natomiast Smerdiakow uśmiechnął się potakująco.

— Ty się czego śmiejesz? — spytał Fedor Pawłowicz, który lubił pod koniec obiadu poweselić się choćby ze służbą

i umiejętnie podsycał dysputę, podszczuwając na siebie przeciwników.

— A bo, mojem zdaniem, w takich okolicznościach, w jakich się znajdował ów żołnierz, nie byłoby wcale grzechem wyrzec się swej wiary, a potem dobrymi uczynkami okupić chwilową małoduszność — rzekł Smerdiakow decydującym tonem.

— Za takie gadanie pójdziesz ty na samo dno do piekła, i smarzyć się tam będziesz, jak baranina — podchwycił Fedor Pawłowicz.

— Uważaj, bo to na twój temat — dodał, trącając pod stołem Aloszę.

— Co się tyczy baraniny, to pozwoli pan sobie powiedzieć, że nie byłoby w tem żadnej sprawiedliwości — obstawał przy swojem Smerdiakow.

—Słyszycie, on powiada, że nie byłoby w tem sprawiedliwości — zaśmiał się Fedor Pawłowicz.

— Podły on jest! ot co — mruknął posępnie stary Grigor.

Co się tyczy podłości, pozwólcie sobie powiedzieć, że nie może tam być podłości, gdzie niema grzechu — odciął się Smerdiakow. — Sami to musicie przyznać, Grzegorzu Wasilewiczu.

— Ot, kucharskie gadanie! — przerwał pogardliwie stary Grigor.

— Co się tyczy kucharskiego gadania, to pozwólcie sobie powiedzieć, że nie macie powodu tak mnie przezywać. Bo taki człowiek, coby się wyrzekł wiary chrześcijańskiej, tem samem już i odtrącony jest od Kościoła i religii i zrównany z poganami, czy nie tak, Grzegorzu Wasilewiczu?

— Iwan! daj ucho! — zawołał Fedor Pawłowicz.

Iwan spełnił spokojnie żądanie ojca.

— On się tak przed tobą popisuje — szepnął synowi — pochwal-że 'go przynajmniej.

A potem dodał:

— Słuchaj, Iwan! ty może sobie myślisz, że ja ciebie kocham mniej, niż Aloszę, ale to nieprawda, kocham cię tak samo. Chcesz koniaczku?

— Proszę.

Mówiąc to, Iwan pomyślał, że ojciec już i tak porządnie sobie pozwolił. Przysłuchiwał się też ciekawie gadaninie Smerdiakowa.

— Poganin ty jesteś przeklęty już i teraz — zagrzmiał surowo stary Grigor; — jak śmiesz podłym swoim językiem roztrząsać takie święte sprawy?!

— Pozwólcie sobie powiedzieć, Grzegorzu Wasilewiczu, że moglibyście czekać aż skończę, bo nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Otóż, gdybym się wyrzekł wiary chrześcijańskiej, tejże samej minuty, zanimby to nawet usta wymówiły, już za samą myśl taką zostałbym przeklęty od Boga i zrównany z poganami. Czy nie tak?

—Kończ-no, bracie, a prędzej — upominał Fedor Pawłowicz, popijając z lubością koniaczek.

— Otóż, gdybym był już z poganami zrównany za samą myśl tylko wyrzeczenia się Chrystusa, mógłbym już bez żadnego kłamstwa powiedzieć tym, którzyby mnie męczyli, że chrześcijaninem nie jestem, bobym już nim nie był. A jeślibym nie był chrześcijaninem, za cóżby mnie wszechmocny i sprawiedliwy Bóg miał karać? Przecież nie jest to winą, naprzykład, Tatara, że wiary chrześcijańskiej nie wyznaje i nie może być karany jak chrześcijanin — to samo byłoby i ze mną.

Stary Grigor, oszołomiony wymową swego wychowańca, wpatrywał się w niego szeroko otwartemi oczami, z wyrazem twarzy człowieka, który uderzył łbem o ścianę.

Fedor Pawłowicz dolewał sobie kieliszek za kieliszkiem, zanosząc się od śmiechu.

— Aloszka! Aloszka! Słyszysz, jaki to filozof kazuista. A gdzieżeś ty się takiej kazuistyki nauczył? Od Jezuitów może, co? Ale ty się nie martw, Grzegorzu, my tego filozofa w mig rozbijem w proch, na miazgę. Kłamiesz, ty, kłamiesz ciężko, bo jeśli już raz na ciebie spadła klątwa Boża, to ci tego i w piekle nie zapomną i poczęstują cię, jak się należy.

— A ja zawsze przy swojem obstaję, że choćbym się nawet wyrzekł wiary chrześcijańskiej, nie byłby to wcale grzech śmiertelny, a tylko powszedni.

— Kłamiesz przeklęty — syknął Grigor.

— Sami osądźcie, Grzegorzu Wasilewiczu, czy macie słuszność tak mnie łajać. Wiecie dobrze, że napisane jest w piśmie: "Wiara góry przenosi". Otóż gdybyście wy, naprzykład, spróbowali powiedzieć do tej oto góry, co jest w naszym ogrodzie, żeby się ruszyła z miejsca i poszła, nie już do morza, bo to bardzo daleko, ale choćby

tylko naszej rzeczułki, co za ogrodem płynie, to napewno góra wcaleby się nie ruszyła, choćbyście niewiem jak krzyczeli. A nietylko wy, ale w naszych czasach nikt na całym świecie nie potrafi zepchnąć góry w morze, chyba może, gdzieś jakiś jedyny człowiek, żyjący na pustyni, a może najwięcej dwóch się takich znajdzie, którzyby taką rzecz potrafili. To znaczy, że nietylko ja, ale i wszyscy na świecie, nie wierzą naprawdę dobrze. To czyż Bóg, który jest taki miłosierny, zechce karać za to świat, prócz może tych dwóch pustelników?

— Stój! — krzyknął Fedor Pawłowicz w najwyższym zachwycie; — to ty jednak wierzysz, że tam gdzie na świecie jest takich dwóch świętych pustelników, co góry z miejsca poruszą. Ot, masz prawdziwego ruskiego człowieka. Słyszysz, Iwan, zapamiętaj to sobie, bo to charakterystyczna rosyjska cecha.

— Istotnie, słusznie ojciec zauważył. To zupełnie narodowa rosyjska cecha — potwierdził Iwan.

— A ty, Aloszka, co myślisz o tem?

— Wiara Smerdiakowa nie jest wcale taką, jaką ma lud rosyjski — poważnie i twardo zaprzeczył Alosza.

— Ja też nie o wierze mówię, a o tych dwóch pustelnikach, przecież to czysta rosyjska cecha.

— No tak, na to zgoda — uśmiechnął się Alosza.

— A widzisz! — zawołał radośnie Fedor Pawłowicz. — Dukata warte twoje słowo, to o pustelnikach. Ale co się tyczy innych rzeczy, toś, bratku, wszystko skłamał, bo jeżeli my tu nie wierzymy, jak należy, to dlatego tylko, że Bóg mało czasu dał — dwadzieścia cztery godziny w dniu, to prawie niema kiedy się wyspać, a cóż dopiero myśleć o sumieniu i skrusze; ale tam, wobec katów, którzy za wiarę męczyć chcieli, niema już takiej wymówki, bo tam tylko o jednej wierze mowa, a ty się i wtedy tej wiary odrzekać gotów.

Smerdiakow bronił się jeszcze, powtarzając wciąż jedno o górze, której z miejsca przenieść nie zdoła, ale spór ten przestał już bawić starego Karamazowa, który nagle stracił humor i mocno się zasępił.

— Wynoście się stąd wy, filozofy, Jezuity — krzyknął na sługi. — Poszedł precz, Smerdiakow! Obiecanego dukata przyślę ci dziś jeszcze, ale ty idź precz. A ty, Grigor, nie smuć się, idź tam do czeladnej, do swojej Marty, ona cię już utuli. Kanalie! — dodał, kiedy już Grigor i Smerdiakow wyszli z jadalni — chwili spokoju nie dadzą. Smerdiakow teraz wciąż do pokoju leźie. To przez ciebie, Iwan, ty go strasznie zaciekawiasz, czemżeś go tak przynęcił?

— Niczem. Niewiem skąd mu przyszło do głowy otaczać mnie takim szacunkiem. Lokaj i cham, przednia straż postępu, zwłaszcza teraz, kiedy się chwila zbliża.

— Przednia straż, mówisz?

— No, tak! będą i tacy, ale za nimi przyjdą lepsi, gdy nastanie pora.

— A kiedyż ta pora nastanie?

— Zapłonie rakieta, ale może się i nie dopali, lud jeszcze niechętnie słucha takich kuchcików.

— I słusznie. Myśli, to niby taka Balaamowa oślica i myśli, a niewiadomo z czem w końcu wyjdzie.

— Gromadzenie myśli — uśmiechnął się Iwan.

— Słuchaj, co się tyczy Smerdiakowa, to wiem doskonale, że on mnie nie cierpi, jak zresztą wszystkich, ciebie także, choć ci się zdaje, że on cię szacunkiem otacza — Aloszą pogardza. No! ale przynajmniej nie kradnie, plotek nie roznosi, śmiecia, jak to mówią, z domu nie wyniesie, barszcz i kulebiakę świetne gotuje, to się go i trzyma. Czort tam z nim, co prawda i mówić o takim nie warto.

— Pewnie, że nie warto.

— Wogóle jestem tego zdania, że rosyjskiego chłopa należy krótko trzymać. Nasza rosyjska ziemia stoi brzeziną, zniszczysz las, to i ziemi nie stanie. A zresztą chcecie, to wam powiem. Cała ta wasza Rosya, to świństwo, gdybyście wiedzieli, jak ja tej Rosyi nienawidzę, to jest źle mówię, nie Rosyi nienawidzę, a jej obrzydliwości, a zresztą może i Rosyi. Tout cela c'est de la cochonnerie, jak mówią Francuzi.

— Ojciec za wiele pije, możeby już dosyć — przerwał nieśmiało Alosza.

— Poczekaj, jeszcze kieliszek i jeszcze jeden i potem jeszcze jeden, to już będzie koniec. Ale przerwałeś mi, co innego ci chciałem powiedzieć. Słuchaj, Aloszka, nie gniewaj się ty na mnie, że wyłajałem tych twoich mnichów na obiedzie u przełożonego, widzisz, jeżeli Bóg jest na niebie, to zawiniłem i odpowiem za to przed Nim, ale jeżeli niema Boga, to tym twoim mni-

chom tylko głowy poobcinać, bo tylko postęp hamują. Czy nie tak, Iwan? Ty nie wiesz, jak się szarpię temi wątpliwościami. Wierzysz ty, Alosza, że twój ojciec nie zawsze tylko o błazeństwach myśli?

— Wierzę, ojcze.

— Ja wiem, że ty wierzysz. Ty zawsze prawdę mówisz i prosto w oczy patrzysz. Iwan nie taki, o nie, on zarozumiały, wysoko o sobie trzyma. A co do tych klasztorów, to warto już raz z nimi skończyć. Za wiele już tego mistycyzmu na całej rosyjskiej ziemi. Wartoby go zupełnie unicestwić. Coby to srebra i złota wpłynęło do mennicy.

— I po co go unicestwić? — zauważył Iwan.

— Jakto, po co? Ażeby prawda zapanowała wreszcie na ziemi.

— Wszak gdy prawda zapanuje na świecie, ludzie tacy, jak ojciec, zostaną przedewszystkiem ograbieni, a następnie unicestwieni.

— Prawda, masz słuszność, jaki też ze mnie osioł, żem tego odrazu nie zauważył. Jeżeli tak, to niech sobie stoją klasztory, byleby tylko porządni ludzie mogli i nadal siedzieć wygodnie przy stole i delektować się koniaczkiem. Wiesz, Iwan, to już widocznie sam Bóg tak rozporządził. Słuchaj, Iwan, a powiedz mi tylko tak poważnie, na seryo. Czy Bóg jest, czy niema? No i czego się śmiejesz?

— Bo to jest to samo, co twierdził Smerdiakow o dwóch pustelnikach. Znowu czysto rosyjska cecha.

— Czyż to podobne?

— Bardzo.

— To tylko dowodzi, że i ja także jestem typowym okazem rosyjskiego człowieka i ciebie, filozofie, złapię kiedyś na czemś podobnem, obaczysz; o zakład idę, że złapię. A teraz odpowiedz mi, tylko stanowczo. Czy jest Bóg?

— Nie, niema go.

— A ty, Aloszka, powiedz. Jest Bóg?

— Jest.

— Iwan! A nieśmiertelność, czy jest? jakakolwiek? choćby mała, najmniejsza?

— Niema.

— Jak to, żadnej?

— Żadnej.

— Zatem po śmierci nic, zupełnie nic. A może przecie cokolwiek?

— Najdoskonalsze nic.

— Aloszka, a ty. Czy jest nieśmiertelność?

— Jest.

— I Bóg i nieśmiertelność?

— W Bogu nieśmiertelność.

— Hm, więcej jest prawdopodobne, że Iwan ma słuszność.

— Boże mój! ileż to wiary, ile wysiłków zmarnował człowiek napróżno, dla tego złudnego marzenia, i to już od tylu tysięcy lat. — Iwan! poraz ostatni pytam się jest Bóg? czy Go niema?

— Ja poraz ostatni mówię. — Niema.

— I któż zatem bawi się tak ludźmi i w szyderstwo ich obraca?...

— Prawdopodobnie szatan — zaśmiał się Iwan Fedorowicz.

— Więc szatan jest?

— Nie i szatana niema.

— Szkoda. — Cóż u dyabła zrobić z tym, który pierwszy Boga wymyślił? — Powiesić by go na suchej wierzbie, a i to za mało.

— Gdyby nie wymyślono Boga, nie byłoby cywilizacyi.

— Jakto! nie byłoby?

— I koniaczku nie byłoby. — Choć, co się tyczy koniaczku, wartoby go wreszcie zabrać ojcu.

— Poczekaj, poczekaj, kochanku, jeszcze kieliszek. — Obraziłem Aloszę. — Ale ty się, Aloszeńka, na mnie nie gniewaj, — drogi ty, miły chłopcze.

— Nie gniewam się, ojcze. — Znam myśli twoje i wiem, że serce twoje daleko lepsze, niż głowa.

— Boże mój, ja mam mieć serce lepsze od głowy? i znalazł się człowiek, który to uznaje! — Słuchaj, Iwan! Kochasz ty Aloszę?

— Kocham.

— Kochaj go. — (Fedor Pawłowicz był już mocno podchmielony). Słuchaj, Alosza. Postąpiłem sobie grubijańsko z twoim starcem, tam, w celi, — ale byłem wtedy rozdrażniony. — A przecież starzec ten ma bystry rozum. — Nieprawdaż, Iwan? że ma rozum.

— Może i ma.

— Ależ ma, ma go napewno il y a du Pizon la-dedans, to taki rosyjski Jezuita. — I pewien jestem, że i on, jak każda szlachetna jednostka, dręczy się wewnętrznie i kipi gniewem na myśl, że musi udawać i robić z siebie świętoszka.

— Przecież on wierzy w Boga.

— Ani za grosz. — A toś się dopiero na nim poznał. — Przecież on sam wszystkim o tem opowiada, a właściwie nie wszystkim, ale ludziom inteligentnym którzy go odwiedzają — gubernatorowi Szulcowi powiedział wprost, **wierzę, ale nie wiem w co.**

— Czy to być może?

— A właśnie, że tak było. — Ale ja go, mimo to, szanuję. — Jest w nim coś z Mefistofela, albo może z bohatera naszych czasów, Lermontowa.

...Właściwie ten starzec to, człowiek namiętny i to bardzo namiętny; dziś jeszcze nie powierzyłbym mu spokojnie córki swej, ani żony... Jak zacznie opowiadać, no to jest co posłuchać. — Trzy lata temu zaprosił nas na herbatę, i zabawiał opowiadaniem o swej przeszłości. — Pokładaliśmy się wszyscy od śmiechu, przy likierach (likiery przysyłają mu damy). Zwłaszcza jedno opowiadanie o uleczeniu chorej damy, było kapitalne. — Nabroił on niemało za młodych lat. — "Czekajże — powiada, gdyby nie to, że chory jestem na nogi, odtańczyłbym wam pewien taniec." — A kupcowi Dymidowi ukradł sześćdziesiąt tysięcy.

— Jak ukradł?

— A tak. — Kupiec przywiózł mu pieniądze, jak komu dobremu i mówi, przechowaj to bracie, bo u mnie rewizya. — A ten jak schował, tak nie oddał. Ty, powiada, bracie, ofiarowałeś to na cerkiew, ten powiada — podły jesteś. — Chociaż prawda, to nie ten starzec zrobił, a drugi, pomięszałem. — Kłamałem ja wszystko o tym starcu. — Dlaczegoś ty mnie nie powstrzymał, Iwan! Wiedziałeś przecie, że kłamię.

— Wiedziałem, że ojciec sam przestanie.

— To nieprawda, umyślnie to zrobiłeś przez złość do mnie i pogardę. — Ja wiem, że ty mną pogardzasz. — Przyjechałeś tu do mnie i siedzisz w moim domu, a mimo to, pogardzasz mną.

— Pojadę wkrótce. — A na ojca koniak już podziałał.

— Prosiłem cię, na miłość Boga, żebyś jechał do Czeremuszny, a ty nie chcesz.

— Pojadę jeśli ojciec sobie życzy.

— Nie pojedziesz. — Zachciało ci się szpiegować mnie i dlatego nie jedziesz. Zła dusza w tobie siedzi.

Stary nie uspokajał się. Pijaństwo jego doszło do tego punktu w którym najspokojniejsi nawet ludzie odczuwają potrzebę robienia awantur i okazywania swej przewagi.

— Czego się patrzysz na mnie? Jakie ty oczy robisz? Oczy twoje mówią mi wyraźnie "Ty pijane bydlę!" Podejrzliwe i pogardliwe są te twoje oczy. Już ty nie bez przyczyny tu przyjechałeś, masz z pewnością jakieś swoje zamiary. — Dlaczego Alosza patrzy zupełnie inaczej, oczy ma jasne, pogodne. Słuchaj, Alosza, ty nie kochaj Iwana.

— Niech ojciec nie gniewa się na Iwana i przestanie go obrażać — rzekł Alosza z niespodzianą stanowczością.

— No! niech tam już. Ot, głowa boli. Zabierz, Iwan, koniak, trzeci raz już proszę. — Tu zamyślił się nagle, a potem zaśmiał się chytrze i przeciągle. Nie gniewaj się, Iwan, na starego mazgaja. Wiem, że nie lubisz mnie, ale i tak nie gniewaj się. Nie ma mnie, co prawda, i za co lubić. Jedź do Czeremaszny, a ja ci tam potem gościńca przywiozę. Zapoznam cię tam z jedną dzieweczką, która już dawno mam na oku. Boso to jeszcze chodzi, ale ty się takich nie bój, nie lekceważ, mówię ci.

Tu cmoknął w palce.

— Dla mnie... — Ożywił się nagle i jakby oprzytomniał na chwilę, wpadłszy na swój ulubiony temat. — Dla mnie... Ech! dzieci, prosiaki wy moje kochane. Pamiętajcie, że przez całe życie nie zdarzyło mi się spotkać wstrętnej kobiety, takiej niema — to moja zasada.

Wy tego jeszcze rozumieć nie możecie, boście młodzi i mleko płynie wam w żyłach, a nie krew gorąca. — Mojem zdaniem, w każdej kobiecie znaleźć można coś, jej tylko właściwego, czego w żadnej drugiej nie znajdziesz, coś nadzwyczajnego i niezmiernie ciekawego. Trzeba tylko umieć szukać. — W tem sztuka — w tem cały talent.

Tak, tak — dla mnie tylko nie było kobiet brzydkich. Już sam fakt kobiecości stanowi bardzo wiele — prawie połowę. — Nawet w starych pannach odnaleźć nieraz można takie powaby, że wprost nie można wyjść z podziwienia, jakim sposobem inni durnie nie zauważyli tego dotychczas, pozwalając im zestarzeć się. — A taka włóczęga bosonóżna, trzeba wiedzieć, jak się do takiej zabrać. Wpatrywać się w nią trzeba aż do upamiętania, — doprowadzić ją jednocześnie do zachwytu i zawstydzenia, że się w niej, takiej oto czarnuszce, wielki

pan zakochał. — Dlatego wielkie szczęście że na świecie zawsze będą panowie i chamy, że się zawsze znajdzie taka pomywaczka i jej pan, bo to przecie niezbędne do szczęści. Poczekaj-no, Alosza. Wiesz, ja twoją nieboszczkę matkę umiałem także doprowadzić do zdumienia, ale w inny sposób. — Bywało, zwykle nie mówię z nią, aż dopiero, gdy nadejdzie taki szczególny moment, to wprost rozpływam się przed nią, u stóp się jej tarzam, nogi całuję i doprowadzam ją zwykle, jak dziś pamiętam, do jakiegoś dziwnego, nerwowego, drobnego śmieszku, który jej był tylko właściwy.

Później zwykle przychodziły jej ataki nerwowe, wiedziałem, że nazajutrz zacznie bredzić nieprzytomnie, i że ten jej śmiech dzisiejszy nie jest bynajmniej objawem miłosnego zachwytu. — Cóż stąd, że był oszukańczy, gdy zawsze dawał mi złudzenie rozkoszy. Ot, co to znaczy odczuwać we wszystkiem charakterystyczną cechę.

Był tam wówczas w naszej okolicy niejaki Bielawski, taki ładny pan, a przytem bogacz. — Łazić zaczął za nią i do mnie przyjeżdżał. — Otóż raz spoliczkował mnie we własnym domu. Wtedy ona, ta cichutka owieczka, jak wpadnie na mnie, myślałem, że mnie zabije.

— Ty, powiada, spoliczkowany jesteś, w twarz dostałeś.

Ty mnie, powiada, jemu sprzedawałeś. — Jak on śmiał bić ciebie w mojej obecności. — Nie masz prawa zbliżyć się do mnie. Leć, powiada, zaraz do niego wyzwać go na pojedynek... Musiałem ją wtedy wozić do klasztoru na pokutę, ojcowie modlitwy nad nią czytali.

Ale Bogiem się klnę, Alosza, żem nigdy mojej Klikuszy nie ukrzywdził.

Raz tylko może jedyny, było to w pierwszym roku naszego pożycia. Już wtedy modliła się dużo i ze szczególniejszem nabożeństwem obchodziła zwłaszcza święta Matki Boskiej. Wtedy, bywało wypędza mnie od siebie do kancelaryi. Trzeba, myślę, wypłoszyć z niej te mistycyzmy. Widzisz, powiadam, zdejmuję oto ze ściany obraz, ty go uważasz za świętość, a ja niewiele sobie z niego robię i nie boję się. No, myślę ona mnie teraz zabije. A tu biedactwo skoczyło tylko z krzesła, zadrżała, strzepnęła rękami, zakrywszy niemi twarz, runęła jak martwa na podłogę.

Alosza! co to? Co tobie?

Stary zerwał się przerażony, z Aloszą bowiem stało się coś nadzwyczajnego. Z chwilą, gdy zaczęto mówić o jego matce, wyraz twarzy jego zmienił się zupełnie, silne rumieńce wystąpiły mu na policzki, oczy pałały, a usta drżeć zaczęły nerwowo. Stary pijak nie zauważył tego i nie dostrzegł nic, aż do chwili, w której syn jego odtworzył jota w jotę scenę, opowiadaną o biednej Klikuszy. Alosza zerwał się z miejsca, strzepnął rękami, zakrył niemi twarz i opadł na krzesło cały drżący, a z piersi jego wyrwały się bolesne, wstrząsające łkania.

Starego uderzyło przedewszystkiem i przeraziło niesłychane podobieństwo chłopca do matki.

— Iwan! Iwan, wody mu daj, pryśnij na niego. — To zupełnie, jak ona, jota w jotę, jak jego matka. To on tak z powodu matki... z powodu swej matki. To była jego matka, Iwanie.

— Zdaje mi się, że i moja także! — krzyknął Iwan z nieopisanym gniewem i pogardą. Stary drgnął na całem ciele, ale jednocześnie jakby utracił świadomość, że matka mogła być także matką Iwana.

— Jakim sposobem twoja matka? — pytał jakby nie rozumiejąc. — O co ci chodzi? O jakiej matce mówisz? Aha, prawda, ona i twoja była. To, bracie, zaćmienie, cha, cha, cha! — Zaśmiał się przeciągłym, nieprzytomnym, pijackim śmiechem. W tejże chwili dały się słyszeć w sieni krzyki i szamotania się, drzwi się rozwarły nagle i Dymitr Fedorowicz wpadł do pokoju. — Stary Karamazow schronił się za Iwana.

— Zabije! zamorduje! Nie daj mnie, nie daj — krzyknął, wpiwszy się palcami w połę surduta Iwana.

W ślad za Dymitrem wpadli do sali jadalnej Grigor i Smerdiakow, którzy już w sieni stoczyli zaciętą walkę z nieproszonym gościem, usiłując nie wpuścić go do wnętrza. Dymitr zatrzymał się w progu, w celu objęcia okiem położenia. Tę krótką chwilę wyzyskał stary Grigor, okrążywszy stół, zatrzasnął drzwi do dalszych pokoi, a sam stanął przed niemi w postawie obronnej , z rękami skrzyżowanemi na piersiach. Obaczywszy to, Dymitr, ryknął nieludzkim głosem.

— Więc to tak?! Więc ona tam jest! Tam ją ukryli! Precz, podły! — wołał na Grigora, chwytając go wpół i usiłując od drzwi odsunąć. Grigor jednak nie poddawał się, owszem, odtrącił go z siłą. Wtedy Dy-

mitr, oszalały z gniewu, rzucił się powtórnie na starca i wymierzył mu tak silne uderzenie pięścią, że ten powalił się na podłogę, jak podcięty. Dymitr zaś, przestąpiwszy przez leżącego, rzucił się do wnętrza mieszkania.

Smerdiakow, blady i drżący, pozostał w drugim końcu sali, tuląc się do Fedora Pawłowicza.

— Ona jest tu napewno! — krzyczał Dymitr — sam widziałem ją idącą w tę stronę, tylko dognać jej nie mogłem.

Słowa te wywarły szalone wrażenie na Fedorze Pawłowiczu, który w jednej chwili wytrzeźwiał. Przestrach opuścił go zupełnie.

— Trzymajcie go, trzymajcie! — krzyknął — biegnąc za Dymitrem.

Tymczasem Grigor podniósł się wprawdzie, ale był jeszcze zupełnie oszołomiony. Iwan i Alosza pobiegli za ojcem. Z trzeciego pokoju dał się słyszeć brzęk rozbijanego szkła: to Dymitr potrącił w biegu jakąś wazę, nie kosztowną, stojącą na marmurowej podstawie.

— Łapcie go! — krzyczał stary. — Baczność!

Iwan z Aloszą dogonili wreszcie ojca i przyprowadzili go z powrotem do sali jadalnej.

— Po co ojciec ugania się za nim? Ten człowiek gotów was istotnie zamordować, — krzyczał gniewnie Iwan Fedorowicz.

— Aloszeńka! Wania! Więc ona tu jest? Gruszeńka tu jest?! Czy słyszycie? On sam powiada, że ją widział, jak tu biegła.

Tchu mu brakło. Nie spodziewał się Gruszy w tej chwili, to też wiadomość, że może się ona znajdować w jego domu, pozbawiła go prawie przytomności. Drżał na całem ciele i robił wrażenie obłąkanego.

— Przecież ojciec sam wie, że jej niema.

— Mogła wejść przez tylne drzwi.

— W żaden sposób. Przecież drzwi te zamknięte są na klucz, a klucz ojciec ma w kieszeni.

Wtem Dymitr ukazał się znów. Oczywiście, znalazł drzwi szczelnie zamknięte, jak również i okna. Grusza więc nie mogła w żaden sposób wejść do mieszkania. Ujrzawszy syna, Fedor Pawłowicz wpadł znowu w wściekłość.

— Trzymajcie go! — wołał. — Był w moim sypialnym pokoju, pewno ukradł pieniądze.

Wołając to, rzucił się na Dymitra, ale ten w tejże chwili objął go oburącz, podniósł do góry i rzucił o ziemię z taką siłą, że stary krwią się zalał. Iwan i Alosza odciągali brata; Fedor Pawłowicz jęczał głucho.

— Co robisz, waryacie! — krzyknął Iwan; — zabijesz go jeszcze.

— To mu się należy! — wrzasnął Dymitr, sapiąc ciężko. — Zrobię to, jeżeli nie dziś, to jutro. Nie obronicie!...

— Dymitrze! Precz stąd w tej chwili! — krzyknął z siłą Alosza.

— Alosza jedyny, powiedz, tobie tylko uwierzę, była ona tu, czy nie?!

— Przysięgam, że nie była i nikt tu jej nie widział.

— Ależ ja ją sam widziałem... Więc ona... Zaraz się dowiem, gdzie poszła. Bywaj zdrów, Alosza. Naturalnie teraz, ani słowa staremu o pieniądzach. A do Katarzyny Iwanówny idź zaraz i pamiętaj, pokłoń się jej odemnie, tylko pamiętaj, pokłoń się. Powiedz jej wszystko, co tu zaszło.

Tymczasem Iwan i Grigor podnieśli starego i posadzili go w fotelu. Twarz miał zakrwawioną, ale był całkiem przytomny i przysłuchiwał się ciekawie krzykom Dymitra w nadziei, że dowie się coś o Gruszy. Dymitr wybiegł, spojrzawszy z nienawiścią na ojca.

— Strzeż się, starcze! — zawołał jeszcze na odchodnem. — Niczego nie żałuję i przeklinam ciebie i wyrzekam się ciebie na zawsze.

— Ona musi tu być! Smerdiakow, Smerdiakow, słyszysz?! — chrypiał stary, przyzywając Smerdiakowa.

— Niema jej tu, niema, szalony starcze! — krzyknął gniewnie Iwan. — Hola, Smerdiakow! Wody! Bandaży! Omdleje jeszcze z upływu krwi. Ruszże się, Smerdiakow!

Zakrzątnięto się koło skaleczonego, a obmywszy i obandażowawszy ranę, rozebrano go i ułożono w sypialni. Stary, osłabiony pijaństwem, zasnął prawie natychmiast. Iwan i Alosza wrócili do sali, skąd Smerdiakow wynosił szczątki potłuczonej wazy, Grigor zaś stał przy stole, pogrążony w tępej zadumie.

— Chodź i ty położyć się — zwrócił się do niego Alosza. — Trzeba ci także przyło-

żyć zimne okłady, brat cię przecie mocno uderzył.

— Uderzył mnie, uderzył, — powtórzył posępnie Grigor.

— Nie tylko ciebie, ale i ojca, — zauważył Iwan z lekkiem skrzywieniem.

— Ja go kąpałem w wanience, kiedy był maleńki, a on mnie sponiewierał, — powtarzał Grigor.

— Do dyabła! Gdybym go nie był oderwał od starego, to już niewiele brakowało, a byłby go zamordował, — szepnął Iwan bratu.

— Brońże nas od takiego nieszczęścia! — żachnął się Alosza.

— Dlaczego: broń Boże, — szepnął dalej Iwan. — I owszem, niech się żrą gady, to najlepsze, co mogą uczynić.

Alosza wzdrygnął się.

— Oczywiście, nie dopuszczę do zbrodni, jak dziś nie dopuściłem. Zostań przy ojcu, Alosza, ja wyjdę trochę przejść się, głowa mnie boli,

Alosza przyszedł do sypialni ojca, gdzie spędził przeszło godzinę. Po niejakim czasie Fedor Pawłowicz otworzył oczy i wpatrywał sie długo w Aloszę, nie mówiąc ani słowa! Widocznie przypomniał sobie coś i zbierał myśli. Nagle niezwykłe wzruszenie odbiło sie na jego twarzy.

— Alosza — szepnął niespokojnie, — gdzie Iwan?

— Wyszedł na powietrze, bo go głowa boli.

— Słuchaj-no, podaj mi zwierciadło.

Alosza zdjął z komody małe, okrągłe zwierciadło i podał je ojcu. Stary wziął je i przypatrywał się uważnie zmienionej swojej twarzy: nos miał mocno spuchnięty, a pod lewą brwią zakrzepłą krew, przyschniętą do czoła.

— Alosza kochany, co mówił Iwan? Ja się Iwana boję, więcej, niż tamtego. Ciebie jednego nie boję się, ty synu mój jedyny!

— Niech się ojciec Iwana nie boi, on się czasem unosi i gniewa, ale broni ojca.

— Alosza, a tamten, gdzie? Czy do Gruszy pobiegł? Aniele drogi, powiedz mi prawdę, była tu Grusza, czy nie była?

— Nikt jej nie widział. To widocznie ktoś zmyślił.

— Słuchaj, jak myślisz, czy się z nią Mitia ożeni?

— Ona za niego nie pójdzie.

— Nie pójdzie! Prawda! Ależ tak, nie pójdzie, z pewnością, że nigdy nie pójdzie! — wołał stary w najwyższym zachwycie. Nie można mu było na razie sprawić większej przyjemności, jak wygłaszając to twierdzenie. — Chwycił rękę Aloszy i przycisnął ją sobie do serca.

— Chłopcze drogi! Ten obraz święty Matki Bożej, wiesz, ten, co należał do matki twojej, daruję ci, weź go sobie. A i do klasztoru wracaj, przeszkadzać ci nie będę. Głowa boli... Powiedz, Alosza, bądź mi Aniołem niebieskim, powiedz prawdę.

— Zawsze to samo, czy była Grusza? — pytał smutnie Alosza.

— Ach, nie to, nie, wierzę ci przecie. Chodzi o co innego. Postaraj się zobaczyć ją, Gruszę i spytaj jej, ale to jaknajprędzej, kogo woli: mnie, czy jego? Albo lepiej nie pytaj, tylko sam staraj się rozpoznać. Pójdź do niej zaraz. Cóż, możesz, czy nie możesz?

— Jeśli ją zobaczę, to spytam, — bąknął Alosza zmieszany.

— Nie, ona tobie nie powie — przerwał stary. — To ziółko. Całować ciebie zacznie i powie, że ciebie tylko chce. To fałszywa, bezwstydna obłudnica. Nie, ty nie powinieneś iść do niej.

— Ja to samo myślałem, ojcze, tobie nie było dobrze, tobie całkiem nie było dobrze.

— A gdzież tamten ciebie posyłał? Krzyczał przecież wychodząc: "idź tam".

— Do Katarzyny Iwanowny.

— Pieniędzy chciał?

— Nie, to nie o to.

— On teraz niema, ani grosza. Słuchaj, Alosza, ja poleżę tutaj i zastanowię się, a ty teraz idź, jutro rano, jak przyjdziesz, powiem ci może coś. Cóż, przyjdziesz?

— Przyjdę.

— A pamiętaj, przyjdź, niby tak sam z siebie, nie mów nikomu, że cię wzywałem, a zwłaszcza Iwanowi — dobrze?

— Dobrze.

— Bywaj zdrów, aniele drogi. Nie zapomnę ci tego nigdy, żeś się dziś za mną ujął.

— Jutro powiem ci coś, tylko się wpierw namyślę.

— Jakże się ojciec czuje?

— Jutro wstanę i nic mi nie będzie, czuję się zupełnie dobrze.

Wyszedłszy na podwórze, Alosza zobaczył brata, siedzącego na kamiennej ławce pod murem. Iwan zapisywał coś ołówkiem

w swoim notatniku. Alosza powiedział mu, że ojciec czuje się lepiej, i że pozwolił mu spędzić noc w klasztorze.

— Alosza drogi, — rzekł Iwan z niezwykłą serdecznością, — takbym chciał jutro z tobą pomówić, przyjdziesz?

— Jutro muszę być u pani Chachłakow i u Katarzyny Iwanowny, o ile jej dziś nie zastanę.

— Ty idziesz teraz do Katarzyny, aby się jej od Dymitra pokłonić.

Alosza zdziwił się.

— Domyśliłem się wszystkiego z jego gadania, — rzekł Iwan — Dymitr widocznie polecił ci pójść do Katarzyny i powiedzieć jej, że.., że... chce z nią zerwać.

— Bracie, jak się to wszystko skończy, między ojcem, a Dymitrem?

— Trudno to przewidzieć. Może na niczem. Ta kobieta, to zwierzę. W każdym razie starego należy nie wypuszczać z domu, Dymitra zaś nie wpuszczać.

— Bracie, — rzekł Alosza, — pozwól zadać sobie jeszcze jedno pytanie. Czy wogóle człowiek ma prawo wydawać o drugich sąd, czy warci są oni, czy nie warci żyć?

— Pocóż tu mieszać kwestye wartości, tego rodzaju zagadnienia rozstrzygają się zwykle w sercach ludzkich na zupełnie innych podstawach. Co się zaś tyczy prawa, któż niema prawa pragnąć.

— Jakto! nawet śmierci drugiego człowieka?

— A choćby! Poco kłamać samemu sobie? Mówisz to wszystko z powodu moich słów o pożerających się gadach. Pozwól więc teraz, abym ja z kolei zadał ci jedno pytanie. Czy uważasz mnie za zdolnego, podobnie jak Dymitr, do przelania krwi szalonego starca, który jest naszym ojcem?

Iwanie, co ty mówisz? Ja i Dymitra o nic podobnego nie posądzam.

— Dziękuję ci i za to, — uśmiechnął się Iwan. — Otóż wiedz, że bronić go będę zawsze, co się tyczy pragnień moich, zostawiam im i nadal zupełną swobodę. Do widzenia więc, do jutra, a proszę cię tylko nie patrz na mnie, jak na złoczyńcę.

Bracia uścisnęli sobie dłonie tak serdecznie, jak jeszcze nigdy dotąd. Alosza uczuł, że Iwan zrobił pierwszy krok do zbliżenia, i że musi mieć do tego jakieś własne powody.

* * *

RYWALKI.

Alosza wyszedł z domu ojca w stanie niezwykłego rozstroju. Czuł, że umysł jego jest w tej chwili rozbity i jakby rozdrobiony, czuł również, że nie chciałby za żadną cenę poddać się skupieniu owych rozproszonych myśli, dla wydobycia idei przewodniej z dopiero co przeżytych wrażeń i tylu męczących przeciwieństw. Nad wszystkiem górowała obawa, czem skończy się wreszcie spór o tę straszną kobietę, pomiędzy ojcem jego i Dymitrem. Poraz pierwszy był świadkiem starcia się z sobą tych dwóch, i doszedł do wniosku, że bardziej nieszczęśliwym, a nawet najnieszczęśliwszym jest przedewszystkiem brat Dymitr, nad którym unosić się zdawało nieprzebłagane fatum. Dziś również wyszły na jaw inne okoliczności, dawniej nieznane Aloszy, a które wydały mu się niejasne i zagadkowe. Brat Iwan, którego przyjaźni tak gorąco pragnął, zrobił dziś ku niemu jakby pierwszy krok, a jednak Alosza czuł, że postępek ten brata wzbudził w nim przedewszystkiem obawę. Naodwrót, Katarzyna Iwanowna, której przed chwilą jeszcze lękał się tak mocno, wydała mu się naraz jedyną ucieczką, mimo, że poselstwo do niej stało się jeszcze trudniejsze wobec niemożności zwrócenia jej owych trzech tysięcy. Była już siódma godzina wieczorem, gdy Alosza zbliżał się do mieszkania Katarzyny, która zajmowała jeden z najparadniejszych domów, położonych na głównej ulicy miasta. Alosza wiedział, że mieszka ona pod opieką dwóch ciotek, które, jak opowiadano. ulegały we wszystkiem woli swojej pupilki, i bawiły przy niej chyba dla względów etykiety. Katarzyna zdawała sprawę ze swych czynności jedynie owej bogatej generałowej, której miała być spadkobierczynią. Dama owa mieszkała stale w Moskwie, a Katarzyna obowiązana była pisywać do niej dwa razy tygodniowo, donosząc szczegółowo o wszystkiem.

Gdy Alosza wszedł do przedpokoju, oznajmiając swoje przybycie przez służącą, która mu drzwi otworzyła, usłyszał w przyległym salonie gwar kilku głosów kobiecych. następnie szelest spódniczek i odgłos szybkich kroków, jakgdyby kilka kobiet wybiegło nagle z pokoju. Zdziwiło go mocno, że jego przybycie wywołać mogło takie zamieszanie. Wprowadzono go jednak

niezwłocznie do salonu. Był to obszerny pokój, umeblowany bogato i wykwintnie, w stylu wielkomiejskim. Znajdowało się tam mnóstwo kanapek, sof, fotelików, mniejszych i większych stolików, a przy oknie akwaryum. — Alosza dostrzegł w półmroku na jednej z kanapek zostawioną tam widocznie przed chwilą jedwabną okrywkę, na stoliku stały niedopite filiżanki z czekoladą, biszkopty, ciastka, wino i cukierki. Alosza domyślił się, że trafił na jakieś przyjęcie, zmarszczył się, mocno niezadowolony. Ale w tej chwili szybkim i pewnym krokiem weszła do salonu Katarzyna, i z radosnym, rozpogodzonym uśmiechem podała obie ręce Aloszy. Jednocześnie służąca wniosła dwie zapalone świece i postawiła je na stole.

— Dzięki Bogu! To wreszcie pan, cały dzień modliłam się o to, aby pan przyszedł.

Piękność Katarzyny uderzyła już dawniej Aloszę, gdy widział ją poraz pierwszy, wprowadzony do jej domu przez brata, Dymitra, na wyraźne jej żądanie. W czasie tych pierwszych odwiedzin nie rozmawiał z nią wcale, gdyż Katarzyna dostrzegłszy jego zmieszanie, umyślnie nie zwracała się do niego, rozmawiając cały czas wyłącznie z narzeczonym. Alosza też milczał, ale patrzył pilnie i spostrzegał wiele. Uderzyła go przedewszystkiem swoboda, i doskonała pewność siebie dumnej dziewczyny. Zauważył, że wielkie jej, czarne, pełne ognia, oczy, doskonale harmonizują z bladym, cokolwiek nawet żółtym, kolorytem jej twarzy, o rysach pociągłych nieco, nawet wydłużonych. W tych jej oczach przecież, jako też w delikatnych liniach prześlicznie zarysowanych ust, było coś, w czem się można było kochać bez pamięci, kto wie jednak, czy na długo. Takie było pierwsze wrażenie Aloszy, które wypowiedział bratu jasno i bez ogródki, na usilne pytania Dymitra, jak mu się jego narzeczona podoba.

— Będziesz z nią zapewne szczęśliwy, chociaż może nie bardzo spokojnem szczęściem.

— Tak, tak, masz słuszność bracie, ona jest z tych, co się przed losem nie ukorzą. Sadzisz może, że nie będę jej wiecznie kochał?

— Nie, owszem, może być, że będziesz ją wiecznie kochał, tylko może nie zawsze będziesz się czuł szczęśliwy.

Alosza wypowiedział te słowa rumieniąc się i zły był na siebie, że ulegając prośbom brata, zgodził się na wypowiedzenie swoich "głupich" myśli, bo myśli te wydały mu się istotnie głupie, skoro je tylko wygłosił. W dodatku czuł się dziwnie zmieszany tą koniecznością wydania własnej opinii o kobiecie.

Tym razem od pierwszego wejrzenia, rzuconego na wybiegającą na jego spotkanie Katarzynę, uczuł Alosza coś na kształt wyrzutów sumienia, i zdało mu się, że musiał się omylić w pierwszym o niej sądzie. Zamiast poprzedniej pychy i samowoli, dojrzał w jej twarzy szlachetną tylko energię i jasną młodzieńczą wiarę we własne siły. Już z pierwszych jej słów odgadł Alosza, że zdaje ona sobie sprawę z doniosłości tragicznego konfliktu, jaki zaszedł pomiędzy nią, a kochanym przez nią człowiekiem, i że prawdopodobnie wie wszystko. Mimo to z oczu jej bił taki blask, i taka jasna wiara w przyszłość, że Alosza uczuł się względem niej winnym i skruszonym i uznał się za zwyciężonego. Katarzyna przejednała go zupełnie i pociągnęła ku sobie.

Prócz tego, zauważył, że znajduje się ona chwilowo w nadzwyczajnem podnieceniu, graniczącem z egzaltacyą.

— Tak pragnęłam przybycia pana, bo wiem, że pan jeden powie mi prawdę, całą prawdę.

— Ja przyszedłem..., tj. on mnie przysłał — bąknął zmieszany Alosza.

— Więc to on pana przysyła? przeczułam to odrazu, teraz już wiem wszystko — zawołała Katarzyna z ogniem. — Poczekaj pan! poczekaj. Wpierw ja panu powiem, jak i dlaczego chciałam pana widzieć. Widzi pan, ja może wiem o tem wszystkiem znacznie więcej, niż pan, i nie wiadomości potrzebuję, a zupełnie czego innego. Chcę, aby mi pan powiedział szczerze, bez ogródek, zupełnie szczerze, choćby nawet brutalnie, choćby jaknajbrutalniej, własne swoje zdanie, a właściwie ostatnie wrażenie, jakie pan odniósł z widzenia się z nim. To będzie nawet lepiej, niż gdybym ja sama, (której on już widzieć nie chce) rozmawiała z nim bezpośrednio. Czy rozumie pan teraz, czego od pana chcę? No, mów pan! proszę, z czem on tu pana przysyła. (Jak ja z góry wiedziałam, że on tu pana przyśle). No! mówże pan, mów!

— On polecił mi pokłonić się pani i ka-

zał powiedzieć... że... już nigdy tu nie przyjdzie, i kazał pokłonić się.

— Pokłonić się? czy tak powiedział? tak się wyraził?

— Tak.

— A może tylko przypadkiem, bezwiednie użył tego wyrażenia, ot, jak się mówi pierwsze lepsze słowo.

— Nie, polecił mi wyraźnie, abym powiedział, że się pani kazał pokłonić, trzy razy mi to powtórzył i upominał bardzo, abym nie zapomniał.

Twarz Katarzyny Iwanówny oblała się żywym rumieńcem.

— Pomóż mi pan, proszę, Alosza! — wybuchła nagle — bardzo, bardzo potrzebuję pańskiej pomocy. Powiem panu całą moją myśl, a pan osądzi, czy mam słuszność. — Słuchaj pan. Gdyby Dymitr polecił pokłonić mi się, ot tak, bez myśli, nie podkreślając wyrazu, nie kładąc nacisku na wyraz "pokłonić się", to znaczyłoby, że wszystko skończone. — Ale jeśli polecił panu powtórzyć go kilkakrotnie, to widocznie musiał być niesłychanie podniecony, prawie nieprzytomny. Powziął postanowienie, przed którem się sam zatrwożył. — Odszedł odemnie nie spokojnym, pewnym krokiem, ale jak człowiek, który się w przepaść rzuca. — Słowem, podkreślanie tego słowa mogło być z jego strony brawurą.

— Tak, tak, — potwierdził gorąco Alosza. — Myślałem zupełnie to samo.

— A jeżeli tak, to on jeszcze nie jest stracony, mimo, że jest w rozpaczy i można go jeszcze ocalić. — Poczekaj pan! a czy mówił jeszcze panu coś o pieniądzach, o trzech tysiącach?

— Nie tylko mówił, ale to jest prawdopodobnie główna przyczyna jego rozpaczy. Mówił, że zgubiony jest na honorze, a więc już i tak wszystko jedno — odrzekł z zapałem Alosza, czując, że zbawcza nadzieja wstępować zaczyna w jego serce, i że może istotnie jest jeszcze jakiś ratunek dla jego brata. — Ale czy wie pani całą prawdę o tych pieniądzach — dodał, urywając nagle.

— Wiem już dawno i to dokładnie. Telegrafowałam do Moskwy, pytając, i dowiedziałam się, że pieniądze wcale nie nadeszły. Wiedziałam, że ich nie wysłał, ale milczałam. — Postawiłam sobie jeden tylko cel. Niech się on raz dowie, kto mu jest najwierniejszym przyjacielem. On mi wierzyć nie chce. Patrzy na mnie tylko, jako na kobietę, a nie chce widzieć we mnie człowieka. Cały tydzień męczyłam się myślą, co zrobić, żeby on się mnie nie wstydził utratą trzech tysięcy. Niech się wstydzi sam przed sobą, przed ludźmi, ale nigdy przedemną. Wszakże się Boga nie wstydzi, gdy Mu wszystko wyznaje. — Dlaczego on nie wie, że gotowa jestem dla niego znieść wszystko. Jak on może o tem nie wiedzieć? po wszystkiem, co między nami zaszło. Ja go chcę uratować raz na zawsze. Dlaczego nie wahał się powiedzieć wszystko panu, a mnie nie? czyż dotąd nie zasłużyłam przynajmniej na tyle zaufania. — Ostatnie słowa wymówiła ze łzami, które się jej nagle z oczu puściły.

— Czuję się jeszcze w obowiązku — dodał drżącym głosem Alosza — opowiedzieć pani, co zaszło przed chwilą pomiędzy nim, a ojcem. — Tu opisał szczegółowo całą scenę, jak go Dymitr posłał do ojca po pieniądze, a potem sam wpadł niespodzianie i ojca skaleczył, polecił mu jeszcze raz potem wszystkiem pokłonić się Katarzynie. — A teraz poszedł znów do tej kobiety, — dodał cicho Alosza.

— A panu się zdaje, że ja nie zniosę myśli o tej kobiecie, i on to samo myśli. A przecież... — tu Katarzyna roześmiała się nerwowo. — Przecież... się z nią nie ożeni. — Czyż może Karamazow podlegać wiecznie jednej i tej samej namiętności? Bo to nie miłość, to szał. — A zresztą, nie ożeni się z nią, bo ona sama za niego nie pójdzie, — dodała ze szczególnym uśmiechem.

— Może się jednak i ożeni — odrzekł niepewnie Alosza, spuszczając oczy.

— A ja panu mówię, że się nie ożeni. Ta dziewczyna to anioł. — Pan jeszcze nic nie wie! — zawołała Katarzyna z niezwykłym zapałem. — To wszystko jak baśń czarodziejska! Ta kobieta to czarodziejka, ale przytem dobra, uczciwa, szlachetna. — Cóż pan tak na mnie patrzy? jakby się pan dziwił i niczemu nie wierzył. — Agrypino Aleksandrowna! aniele drogi! — zawołała nagle przezedrzwi do przyległego pokoju — wejdź pani, proszę, to przyjaciel, to Alosza Fedorowicz, który jest we wszystko wtajemniczony. Niech mu się pani pokaże.

— Właśnie czekam tylko na wezwanie — dał się słyszeć miękki, dźwięczny głos kobiecy, brzmiący przesadną może trochę słodycza.

Podniosła się portyera i we drzwiach

ukazała się Grusza we własnej osobie, rozradowana i uśmiechnięta. — Ałosza uczuł, jakby mu się coś wewnątrz przewróciło. Wlepił w nią oczy i oderwać ich nie mógł. Więc to ma być owa straszna kobieta, to "zwierzę" jak ją przed pół godziną jeszcze nazwał brat Iwan. Na pierwszy rzut oka była to zupełnie zwyczajna kobieta, prawda, że ładna i miła, ale podobna do tysiąca innych i ładnych i miłych. Ładna była istotnie bardzo, bardzo, w typie czysto rosyjskim.

Wysoka, chociaż trochę niższa od Katarzyny Iwanówny, która była niezwykle wysokiego wzrostu, pełna, o ruchach miękkich, płynnych, nacechowanych tą samą szczególniejszą słodyczą, jaka brzmiała w jej głosie. — Weszła do pokoju, nie jak poprzednio Katarzyna, pewnym i śmiałym krokiem, ale wsunęła się raczej, tak cicho i miękko, że nie słychać było wcale odgłosu jej kroków. Miękko opadła na fotel i miękko otuliła się swoim kosztownym czarnym jedwabnym szalem, przysłaniając nim śnieżno-białą szyję i mocne, szerokie ramiona. Miała lat 22 i wyglądała na ten wiek. Twarz miała cokolwiek za szeroką i dolną szczękę jakby trochę naprzód wysuniętą.

Górna warga była zupełnie cienka, dolna znacznie grubsza wydatna i jakby spuchnięta. Za to prześliczne bujne kasztanowate włosy, ciemne sobole brwi i przepiękne szaro-niebieskie oczy, na tle śnieżno białej cery o bladoróżowych refleksach, zwróciłyby na nią uwagę najobojętniejszego przechodnia i zostałyby mu na długo w pamięci. Aloszę uderzył przedewszystkiem dziecięco naiwny, prawie dobroduszny wyraz jej twarzy. Podeszła do stołu, pogodna, patrząc przed siebie, jak dziecko, które się czemś bardzo raduje i jest czegoś bardzo ciekawe; widok jej radował wprost duszę — i Alosza to czuł.

Było w jej urodzie jeszcze coś, nad czem Ałosza nie mógł, czy nie chciał się zastanawiać. Oto pod tymi miękkimi, cichymi, niemal kocimi ruchami, pod tym czarnym jedwabnym szalem, czuć było młode, świeże, jędrne kształty Wenus Milońskiej, w cokolwiek może grubszych zarysach. Wprawdzie wytrawny znawca kobiecej piękności przepowiedziałby niezawodnie, że około trzydziestego roku życia ta uroda, tak dziś ponętna i kwitnąca, przestanie być harmonijna, rozleje się w nadmiernej otyłości, że rysy zgrubieją, skóra na czole i powiekach pokryje się przedwczesnemi zmarszczkami, a na świeżą, delikatną twarz wystąpią piegi i plamy. Słowem, była to uroda przelotna i krótkotrwała, jaką spotyka się aż nazbyt często między rosyjskiemi kobietami. Aloszy, oczywiście, nic podobnego na myśl nie przychodziło; ale mimo, że oczarowany widokiem Gruszy, zapytywał sam siebie z pewnym niesmakiem, dlaczego ta kobieta przeciąga tak niemiłosiernie głoski i słowa, i nie chce mówić naturalnie. Robiła to najwidoczniej umyślnie, znajdując dziwne upodobanie w takim sposobie mówienia.

Było to, prawdopodobnie, złe nawyknienie świadczące o jej pochodzeniu z niższych sfer towarzyskich, i fałszywem pojmowaniu dystynkcyi. Ta nienaturalność i przesada sprzeczały się dziwnie z naiwnym i pogodnym wyrazem twarzy i dziecięcym jej wzrokiem. Katarzyna posadziła ją obok siebie i ucałowała kilkakrotnie uśmiechnięte jej usteczka. Wyglądało to, jakby się w niej sama zakochała.

— Posłuchaj pan — rzekła do Aloszy — widzimy się dziś z nią poraz pierwszy. Dawno ją chciałam poznać i chciałam sama iść do niej, ale ona uprzedziła mnie i przyszła tu na pierwsze wezwanie. Wiedziałam z góry, że my się z sobą zrozumiemy i naprawimy wszystko. Serce mi to mówiło. Wszyscy mi odradzali ten krok, ale ja przeczuwałam, że się to na dobre obróci i nie omyliłam się. Gruszeńka wyjaśniła mi wszystko, zleciała tu, jak dobry anioł, przynosząc spokój i szczęście.

— Pani nie pogardziła mną — zaszczebiotała śpiewnie Gruszeńka, ze swym pogodnym, dziecięcym uśmiechem.

— Zabraniam ci mówić takie słowa, czarodziejko urocza! Pogardzać tobą? Za karę pocałuję jeszcze raz te słodkie usteczka, jakby spuchnięte od pocałunków, ot tak, jeszcze i jeszcze. Popatrz pan na jej uśmiech, Alosza Fedorowiczu, popatrz na tego anioła, serce się raduje na jej widok.

Alosza zarumienił się i zadrżał lekko.

— Psujecie mnie, miła pani — zadzwoniła znów Gruszeńka, — a ja może całkiem nie warta jestem waszych pieszczot.

— Nie warta! ona nie warta! — zawołała z ogniem Katarzyna—posłuchaj pan, Alosza Fedorowiczu, i dowiedz się, kogo masz przed sobą. Mamy wprawdzie kapryśną, samowolną główkę, ale przytem dumne,

szlachetne serduszko. Mamy swój honor i szlachetne uczucia. Skrzywdzono nas niegdyś. Był pewien młody człowiek, także oficer, dla którego nasza Gruszeńka gotowa była poświęcić wszystko i wszystko przynieść w ofierze. Człowiek ten nie wart był takich uczuć, a może był tylko lekkomyślny, dość, że porzucił ją i ożenił się z drugą. Działo się to już pięć lat temu. Teraz owdowiał, napisał, że tu przyjedzie. I Gruszeńka będzie znów szczęśliwa, bo przez całe pięć lat jego tylko kochała i była bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

I któż ją potępi, skoro nikt nie zdołał zdobyć jej wzajemności? Ten stary kupiec nie może być przecie brany w rachubę, to był raczej przyjaciel, ojciec, opiekun, zastał ją opuszczoną, w stanie blizkim rozpaczy, chciała się już topić. Ten starzec uratował ją wówczas, uratował ją.

— Bardzo wy już mnie bronicie, miła pani — zaśpiewała Gruszeńka — może już zanadto.

— Bronić? Pocóż tu bronić? o tem nawet mowy niema. Gruszeńko, aniele mój, daj mi rączkę. Popatrz pan na tę rączkę, na tę cudną, maleńką, prześliczną rączkę, ona mi szczęście przyniosła, z martwych wskrzesiła, to też wycałować ją muszę, ot tak, tak, tak!

I całować zaczęła z uniesieniem rzeczywiście prześliczną, zanadto może nawet wypieszczoną rączkę Gruszeńki.

— Co za przesadne uniesienie — przemknęło przez głowę Aloszy, który przypatrywał się tej scenie z niepokojem.

Gruszeńka nie usuwała bynajmniej ręki, śmiejąc się nerwowym śmiechem, i śledząc uważnym wzrokiem "miłą panią". Widocznie było jej bardzo przyjemnie, że składano jej takie hołdy.

— Nie zawstydzicie mnie wcale, miła pani, całując mnie w rękę przy Aloszy Fedorowiczu — odezwała się nagle.

— Czy ja cię chciałam zawstydzić — odrzekła Katarzyna, cokolwiek zmieszana — jakże mnie mało znasz kochanie.

— Może i wy nie znacie mnie dobrze, miła pani, jestem daleko gorsza, niż myślicie. Mam niedobre serce i samowolna jestem. Ot, tak tylko, dla śmiechu, zbałamuciłam Dymitra Fedorowicza.

— Za to teraz uratujesz go pani, powiesz mu wszystko, że kochasz drugiego, że ten drugi ożeni się z tobą, dałaś mi przecie słowo.

— Nie, ja nigdy nie dawałam słowa, to pani sama to wszystko mówiła, a ja nic.

— Chyba źle panią zrozumiałam — szepnęła Katarzyna, blednąc.

— Ach nie, droga moja, anielska panienko, ja wam nic nie obiecałam — przemówiła Gruszeńka cicho, spokojnie, z jednakim zawsze dziecinnym, radosnym uśmiechem. — Ot, widzicie teraz sama, miła pani, jaka jestem paskudna i grymaśna. Może co i obiecałam pierwej, a teraz zachciało mi się inaczej.

Teraz myślę sobie, że może mi się jeszcze kiedy Mitia spodoba, bo już raz kiedyś podobał mi się przez całą godzinę. Ot, może zaraz pójdę do niego i powiem mu, żeby się już u mnie na zawsze został; widzicie, miła pani, jaka jestem niestała.

— Pierwej mówiła mi pani zupełnie... zupełnie co innego — szepnęła Katarzyna.

— Acha! pierwej, kiedy ja mam takie głupie, miękkie serce. — Jak sobie pomyślę, ile już on przezemnie przecierpiał, może go pożałuję, a wtedy co?

— Nie spodziewałam się tego.

— Ot, jaka pani dobra i szlachetna, nie to, co ja. Gotowa mnie pani teraz znienawidzić za mój brzydki charakter. Pani miła, aniele drogi, pozwólcie mi waszej ślicznej raczki — prosiła najsłodszym w świecie głosem i, mówiąc to, ujęła z wielkiem poważaniem rękę Katarzyny. — Ot ja, miła pani, pocałuję panią w rękę, jak pani mnie całowała. Za trzy pocałunki powinnam oddać trzysta, żeby się skwitować. Tak już i musi być i jeśli się Panu Bogu podoba, to może stanie się wszystko po waszej woli, panienko. Ale po co te obietnice i gadania, co ma być, to i tak będzie. Ot jaką to śliczną macie rączkę, panienko miła, śliczności, i samiście piękna, jak zorza.

Podniosła powoli do ust rękę Katarzyny, ze szczególniejszym zamiarem skwitowania się z owych pocałunków. Katarzyna nie usuwała ręki w trwożnej nadziei, że może istotnie ta dziwna dziewczyna zrobi ostatecznie wszystko po jej woli, wpatrywała się też z natężeniem w oczy Gruszeńki, dostrzegając w nich zawsze ten sam jasny, pogodny, dziecięco-naiwny wyraz. "Może też ona rzeczywiście taka dziecinna" — przemknęło jej przez głowę — i nadzieja wstąpiła znów do jej serca. Gruszeńka tymczasem, jakby w zachwycie nad cudną rączką anielskiej panienki, przysunęła ową rę-

kę blizko do ust i nagle zatrzymała się na chwilę, jakby nad czemś rozmyślając.

— A wie pani co, śliczna panienko — zaśpiewała przeciągle najsłodszym swoim tonem — nie pocałuję pani w rękę.

— I zaśmiała się drobnym, dziecinnym śmieszkiem.

— Jak pani chce. Co to znaczy? — pytała z drżeniem Katarzyna.

— A ot, niech już tak i zostanie, i zapamiętajcie to sobie, miła panienko, żeś ty mnie w rękę całowała, a ja ciebie nie.

— I w oczach jej, zwróconych na Katarzynę, błysnęło coś, czego w nich pierwej nie było.

— Arogantka! — zawołała Katarzyna, która nagle zaczęła pojmować, i zerwała się gwałtownie z miejsca.

Nie śpiesząc się, podniosła się też i Gruszeńka.

— Opowiem jutro Miti, jak pani całowała mnie po rękach, a ja pani nie. Ot, będzie się śmiał.

— Precz stąd, podła łotrzyco!

— Ach, jaki wstyd mówić takie słowa, zupełnie wam to nie przystoi, miła panienko.

— Precz stąd! poszła mi z oczu, dziewko przedajna! — krzyczała Katarzyna, posiniała z gniewu, a każdy rys jej twarzy drżał z oburzenia.

— Zaraz przedajna. A ty sama, panienko, czy nie biegałaś po kawalerskich mieszkaniach dla pieniędzy, sprzedawałaś ty się nie gorzej odemnie, myślisz, że nie wiem o tem?

Katarzyna krzyknęła głucho i byłaby się niechybnie rzuciła na Gruszę, gdyby nie to, że ją Alosza siłą powstrzymał.

— Ani kroku! — zawołał stanowczo — ani słowa. Niech pani do niej nie mówi nic, ona sama pójdzie.

W tejże chwili wpadły do salonu obie ciotki Katarzyny i pokojówka, zwabione krzykiem.

— Ależ pójdę, naturalnie, że pójdę — przemówiła Grusza, otulając się swą okrywką. — Alosza drogi, odprowadź mnie, proszę.

— Idź pani stąd, idź, tylko prędko — prosił błagalnie Alosza.

— Alosza miły, odprowadź mnie, proszę, ja tobie, drogi gołąbeczku, mam coś bardzo ważnego do powiedzenia. Całą tę scenę urządziłam umyślnie dla ciebie, odprowadź-że mnie, kochany, odprowadź!

Alosza odwrócił się, załamując ręce. Grusza zaśmiała się przenikliwie i wybiegła z pokoju.

Katarzyna dostała ataku nerwowego, spazmatyczne łkanie wydzierało się z jej piersi, wszyscy krzątali się koło niej, usiłując ją uspokoić.

— Uprzedziłam cię z góry — mówiła jedna z ciotek, — że to się źle skończy. Nie znasz takich kobiet ,niema co się z niemi wdawać, a o tej opowiadają najgorsze rzeczy.

— To żmija! — wołała Katarzyna. — Dlaczegoś mi pan przeszkodził, Alosza Fedorowiczu, byłabym ją spoliczkowała.

Nie mogła już zapanować nad sobą, mimo obecności Aloszy ,a może też i nie chciała.

— Pletniami taką wysmagać! publicznie na rynku!

Alosza zwrócił się ku drzwiom.

— Ach Boże! — wołała Katarzyna — a on jaki nikczemny, jaki nieludzki. Opowiedział tej dziewce wszystko, co zaszło między nami w ów przeklęty, po tysiąc razy przeklęty, dzień. "Sprzedawałaś się, miła panienko" — śmiała mi to powiedzieć. Pański brat, to podły człowiek, Alosza Fedorowiczu.

Alosza chciał coś odpowiedzieć, ale nie znalazł, ani słowa, tylko serce ściskało mu się z bólu.

— Żegnam pana, idź pan już, idź, a przyjdź jutro. Nie potępiaj mnie pan; sama jeszcze niewiem, co z sobą zrobię. Taki ból, taki wstyd.

Alosza wyszedł na ulicę chwiejnym krokiem, jemu również na płacz się zbierało — wkrótce dogoniła go służąca Katarzyny.

— Panienka zapomniała oddać panu ten list od panny Chachłakow.

Alosza wsunął machinalnie do kieszeni mały różowy liścik.

* * *

JESZCZE JEDNA STRACONA REPUTACYA.

Odległość klasztoru od miasta nie wynosiła więcej, jak wiorstę z okładem. Alosza szedł śpiesznie po tej drodze, pustej już zupełnie, o tej godzinie. Była już prawie noc, tak, że w odległości kilkudziesięciu kroków nie odróżniało się prawie przedmiotów. W połowie drogi na rozstaju, rósł samotny,

rozłożysty wiąz, pod którym czerniła się w tej chwili jakaś postać ludzka. Postać ta, za zbliżeniem się Aloszy, oderwała się od drzewa i rzuciła się ku niemu, krzycząc:

— Pieniądze lub życie!

— To ty Mitia? — pytał zdziwiony Alosza, wzdrygnąwszy się mimowoli.

— Cha, cha! Nie spodziewałeś się tu mnie spotkać. Myślałem, gdzieby najlepiej na ciebie czekać, i doszedłem do przekonania, że chyba tu, na tych rozstajnych drogach i nie zawiodłem się. No, mówże teraz prawdę, zdepcz mnie jak robaka. Ale co tobie?

— Nic, bracie, to tak z niespodzianego wrażenia. Ach Mitia! ta krew ojca; — tu Alosza zapłakał wreszcie, na co mu się już dawno zbierało, czuł, że ma duszę starganą.

— Tyś o mało ojca nie zabił, a teraz jesteś w stanie żarty stroić.

— Uważasz, że takie zachowanie się jest nieprzyzwoite, nie licuje z położeniem?

— O nie. Ja tak sobie.

— Poczekaj. Patrz jaka noc, ciemna, mroczna, ponura, wiatr naniósł chmur, gwiżdże posępnie. Stanąłem tu pod wiązem, czekając na ciebie, i Bóg mi świadkiem, myślę po co się dłużej męczyć? na co czekać? Jest drzewo, stryczek ukręcić łatwo z chustki, koszuli, z czego bądź trzeba raz skończyć i uwolnić ziemię od takiego ciężaru, nie bezcześcić jej dłużej takiem istnieniem. Naraz słyszę, ty idziesz. Boże! przecie na świecie jest człowiek blizki, drogi, którego kocham, którego jedynie kocham. I tak mi byłeś drogi w tej chwili, taki miły, że chciałem ci się rzucić na szyję. Nagle przyszła mi głupia myśl. "Nastraszę go" — i krzyknąłem. Daruj mojej głupocie, to tylko tak z wierzchu, a w duszy mam taki podły niesmak. No, mniejsza z tem, powiedz teraz co mówiła Katarzyna? nie oszczędzaj mnie, proszę, mów wszystko, pogardza mną, oburzona?

— Ach nie to, tam zupełnie co innego zaszło, wystaw sobie, zastałem obie razem.

— Kogo z kim?

— Katarzynę z Gruszą.

Dymitr osłupiał.

— To być nie może, — zawołał. — Bredzisz chyba. Grusza u Katarzyny?

Alosza opowiedział bratu wszystko, co zaszło. Opowiadanie to nie było może płynne i składne, ale dało Dymitrowi zupełnie jasne wyobrażenie o szczegółowem przebiegu zdarzeń. Słuchał on z brwią namarszczoną i wzrokiem upornie w jeden punkt wlepionym, a twarz jego w miarę następujących po sobie wrażeń, stawała się z posępnej mroczna i prawie groźna; tembardziej też niespodzianką było, gdy w usposobieniu jego nastąpił dziwny przeskok, zacięte usta rozwarły się twarz rozjaśniła i wybuchł nagle serdecznym, niepohamowanym śmiechem, który przez dłuższą chwilę nie pozwolił mu słowa przemówić.

— Więc nie pocałowała jej w rękę i uciekła do domu, — wykrzykiwał z jakimś niezdrowym zachwytem, któryby można było nazwać nieszlachetnym, gdyby nie to, że nie było w nim nic sztucznego. — A tamta przezwała ją żmiją! smagaćby ją chciała publicznie. Na to zgoda, sam jestem tegoż mniemania, o niej. To królowa bezczelności, najpiekielniejsza z piekielnic, całą ją masz w tym postępku z Katarzyną, w swoim rodzaju geniusz. Więc powiadasz że pobiegła do domu. Alosza drogi, pójdę i ja do niej. Zgadzam się najzupełniej, że taką wartoby zgładzić, ale pójdę.

— A Katarzyna Iwanówna? — pytał smutnie Alosza.

— I tę widzę tu jak na dłoni, ten jej pomysł, taki cud czterech, czy tam pięciu części świata. Na taki krok się ważyć mogła tylko ona jedna, ta sama Katieńka, co jako pensyonarka jeszcze, nie zawahała się biedz do mieszkania brutalnego, nieokrzesanego oficera, dla wzniosłej idei uratowania ojca. Co za duma! Co za żądza niebezpieczeństw, jaka chęć mierzenia się z losem. Ciotka ją, mówisz, wstrzymała. Ta ciotka to wielka dama, rodzona siostra owej generałowej moskiewskiej. Tylko, że mężulek coś tam przeskadzał w kasie skarbowej i pozbawił ją przez to mienia i stanowiska.

Ona wiec wstrzymała Katarzynę, a ta się uparła. "Wszystko musi uledz przedemną, wszystkich oczaruję, nawet Gruszę".

Z pewnością wierzyła w to, sama sobą się zachwycała, kogoż teraz winić? Ty myślisz, że ona z wyrachowaniem była taka czuła dla Gruszy, bynajmniej, musiała się w niej naprawdę rozkochać. To jest nie w niej, a w swojej idei, w swojem marzeniu, dlatego, że to jej myśl, jej marzenie. Alosza drogi, powiedzże ty, jak mogłeś wyjść cało z rąk takich kobiet? zawinąłeś poły i drapnąłeś. Cha, cha, cha!

— Bracie drogi, nie zwróciłeś, zdaje mi się uawgi na jedno, że skrzywdziłeś ciężko Katarzynę, opowiadając Gruszy o jej postępku. Ta rzuciła go jej w oczy brutalnie, mówiąc, że biega po kawalerskich mieszkaniach i urodę za pieniądze sprzedaje. — Aloszę raziło to niezmiernie, że Dymitr zdaje się być ucieszony, poniżeniem Katarzyny.

— Ba! — nachmurzył się Dymitr, który wistocie nie zwrócił uwagi na ten ustęp opowiadania Aloszy, mimo, że ten powtórzył wszystko, nawet wykrzyknik Katarzyny; "a pański brat, to podły człowiek". — Może ja wistocie opowiadałem to kiedyś Gruszy. Ach, tak, przypominam sobie teraz, było to w Mokroje, gdzieśmy z nią jeździli na majówkę, byłem wtedy zupełnie pijany.

To jest niezupełnie. — Płakałem tedy na głos i na klęczkach czciłem obraz Kati; łkałem jak dziecko i Gruszeńka rozumiała wtedy wszystko, wszystko pojmowała i płakała wraz ze mną. — Tak, wówczas pojęła wszystko, a teraz... "Kindżał w serce". Baby tak zawsze. — Zasępił się i zamyślił.

— Tak! podły jestem niewątpliwie, z płaczem, czy bez płaczu, taką rzecz powtórzyć, to zawsze podłość. — Powtórz to Kati, jeśli jej to zrobi przyjemność, że przyznaję jej najzupełniejszą słuszność i sam się uważam za nikczemnika. — A teraz bywaj zdrów, dość już tego gadania, nic dobrego nie mamy sobie do powiedzenia. Ty idź swoją drogą, ja swoją. — I widzieć cię więcej już nie pragnę, chyba kiedyś, w ostateczną godzinę. — Uścisnął mocno dłoń Aloszy i odszedł ku miastu w niewesołym nastroju, z głową smutnie zwieszoną. Alosza patrzył za nim, nie chcąc prawie wierzyć, że go już brat zupełnie opuścił.

— Poczekaj, Alosza! Jeszcze słowo, tobie jednemu zrobię to wyznanie — zawołał nagle Dymitr, wracając raz jeszcze. — Przypatrz mi się dobrze, chcę, żebyś wiedział, że tu przygotowuje się gorsza, straszniejsza podłość, niż wszystko to, com dotąd popełnił. (Mówiąc to "tu", uderzył się w piersi tak mocno, jakgdyby to coś gnieździło się dosłownie w piersi jego pod ubraniem, czy w kieszeni). — Znasz już mnie — mówił dalej — i wiesz, jaki ze mnie nikczemnik, a przecież to, com uczynił dotąd, nie da się w niczem porównać z nikczemnym zamiarem, który teraz, w tej chwili, rozwija się i dojrzewa we mnie. I wiedz o tem, że jest jeszcze w mojej mocy zatrzymać to, co się stać ma i nie dać temu spełnić się. — A przecież nie wstrzymam, nie przeszkodzę, zapamiętaj to sobie. — Mówiłem ci już o wszystkiem, a przecież o tem wspomnieć nie mogłem, bo przecież i ja także mam swój wstyd i za wiele to było nawet na moje wytarte czoło. Mógłbym jeszcze uzyskać część przynajmniej utraconej czci, ale nie zrobię tego. Otchłań i noc, to jedno, co mi zostaje. Bliżej ci nic objaśnić nie myślę, dowiesz się i tak w swoim czasie. Męty i piekło! — Bądź zdrów i nie módl się za mnie, bo o to nie dbam, a zresztą, to zbyteczne, całkiem zbyteczne. Nie troszcz się o mnie wcale, idź mi z oczu.

I odszedł, tym razem już na dobre, Alosza zaś udał się w stronę klasztoru. — "Co on mówił?" — myślał. — Miałżebym go już nigdy nie widzieć? To być nie może. Zobaczę go zaraz jutro i dowiem się, co to ma znaczyć.

Obszedłszy naokoło budynek klasztorny, Alosza dostał się do pustelni. Otworzono mu zaraz, mimo, że zazwyczaj o tak późnej godzinie nie wpuszczano tu już nikogo. — Serce ścisnęło mu się boleśnie gdy wchodził do celi starca. I po co? po co opuścił on tę cichą samotnię? po co go starzec w świat posłał? Tu cisza i świętość, a tam zamęt i mroczne ciemności, wśród których człowiek gubi się odrazu i błądzi.

W celi starca znajdowali się kleryk Porfiry i ojciec Paisy, który zachodził tam co godzinę dla zasiągnięcia wiadomości o zdrowiu świątobliwego Zosimy. Alosza usłyszał z przerażeniem, że ukochany mistrz jego ma się coraz gorzej. — Nie mógł dziś nawet odbyć zwyczajnej nauki z braćmi, którzy zgromadzili się u niego co wieczór, zdając sprawę z całodziennych postępków i przyjmując rady jego i błogosławieństwo.

— Osłabł bardzo, objaśniał Aloszę półgłosem ojciec Paisy — trudno go rozbudzić, a zresztą i nie trzeba. Przed chwilą otworzył oczy i prosił, aby zanieść błogosławieństwo jego braciom, prosząc wzamian o modlitwy. Jutro ma się raz jeszcze spowiadać. Pytał o ciebie. Powiedzieliśmy mu, żeś poszedł do miasta. — "Na tom ja go i posłał — rzekł. — Jego miejsce, do czasu, w świecie".

Widocznie przeczuwa coś o twoim losie. Z miłością o tobie wspominał i bardzo się o ciebie troszczył — to wielki zaszczyt dla ciebie. Tylko, jeżeli przeznacza ci miejsce w świecie do czasu tylko, to znaczy, że wrócisz do świata, jak by na próbę tylko i przez posłuszeństwo świętemu starcowi, nie zaś na ziemskie uciechy.

Ojciec Paisy wyszedł. Alosza nie miał już żadnych wątpliwości, że starzec jest blizki zgonu, choć mógł jeszcze pożyć jaki dzień lub dwa. Postanowił też sobie, w duchu, że jutro ani na chwilę nie wydali się z klasztoru i zostanie przy swoim starcu aż do ostatniego mometu. Serce jego zapłonęło znów synowską miłością i gorzko sobie wyrzucał, że tam, w mieście, zapomnieć mógł choćby na chwilę o tym, którego zostawia w klasztorze na progu śmierci, że mógł choć na jedno mgnienie oderwać myśl od tego, którego czcił i kochał nad wszystko w świecie. Wszedł do sypialni chorego i ukląkł przy jego łóżku i oddał mu pokłon aż do ziemi. Starzec spał, oddech miał równy, miarowy, a twarz zupełnie spokojną.

Alosza wrócił do pierwszego pokoju, w którym tegoż ranka jeszcze odbywała się owa narada. Nie rozbierał się prawie, a tylko zdjął obuwie, poczem ukląkł i modlił się długo i gorąco. Nie prosił on Boga o rozproszenie trosk swoich, a tylko błagał, aby wrócony mu był uświęcający serce spokój, który dotąd wypełniał zawsze jego duszę, w godzinach wieczornej modlitwy, niosąc oczom jego lekki spokojny sen. Ukończywszy modlitwę, zamierzał już ułożyć się na wąskiej skórzanej kanapce, która stanowiła zwykłe jego posłanie, gdy naraz natrafił przypadkiem na zapomniany w kieszeni różowy bilecik, doręczony mu przez pokojówkę Katarzyny. List ten pochodził od panny Chachłakow, tej samej chorej panienki, która przyjeżdżała poprzednio z matką szukać ratunku w modlitwach starca.

"Alosza Fedorowiczu! — pisała ona. — Piszę do pana ten list, w sekrecie przed wszystkimi, nawet przed mamą, chociaż wiem bardzo dobrze, że to źle. Ale nie mogłabym żyć dłużej, gdybym nie powiedziała panu, co się dzieje w mojem sercu, o czem nikt, prócz nas dwojga, wiedzieć nie powinien. Ale jakże ja będę mogła mówić panu o tem. — Powiadają, że papier rumienić się nie może, ale to nieprawda, bo rumieni się on teraz tak samo, jak ja, pisząc te słowa. Alosza drogi, ja pana kocham jeszcze z dziecinnych lat, tam, w Moskwie, gdzie pan był zupełnie inny, niż teraz.

Kocham pana nad życie całe. Wybrałam ciebie sercem na to, aby żyć razem z tobą, aż do starości i razem życie zakończyć; pod warunkiem, oczywiście, abyś pan wyszedł z klasztoru. Co się tyczy tego, żeśmy za młodzi, poczekamy na siebie tyle lat, ile trzeba, a przez ten czas ja wyzdrowieję, chodzić będę, a nawet tańczyć. Niema żadnej wątpliwości. Widzi pan, jak ja wszystko obmyśliłam, jednego tylko wyobrazić sobie nie mogę, co pan sobie pomyśli, przeczytawszy ten list. Prawda, że ja wciąż śmieję się i żartuję, jeszcze dziś rano rozgniewałam pana, ale, mimo to, upewniam pana, że zanim wzięłam pióro do ręki, modliłam się przed obrazem Bogarodzicy, a i teraz modlę się i o mało nie płaczę.

Moja tajemnica w twoich rękach; jutro, gdy pan przyjdzie do nas, sama nie wiem, jak panu w oczy spojrzę. Ach, Aleksy Ferodowiczu! co to będzie, jeżeli ja nie potrafię się powstrzymać i roześmieję się na głos, jak waryatka. Wtedy będziesz mnie uważał za złą dziewczynę i nie uwieżysz w mój list. Dlatego błagam cię na wszystko, miły, jeśli masz litość nademną, nie patrz mi w oczy, gdy wejdziesz do nas, bo ja może się na prawdę roześmieję; aż mi się zimno robi, gdy to pomyślę, dlatego też, gdy pan do nas przyjdzie, proszę nie patrzeć na mnie przez jakiś czas, a lepiej patrz pan na mamę lub okno. Ot i napisałam do pana list miłosny, Boże mój co ja zrobiłam! Nie pogardzaj mną, Alosza, a jeżeli zmartwiłam cię, przebacz. Teraz tajemnica mojej reputacyi, na wieki już może zgubionej, jest w twojem ręku. Będę dziś napewno płakała. Do widzenia. Do tego strasznego widzenia się, którego się tak bardzo lękam.

Liza.

P. S. Przyjdź pan jutro, koniecznie, koniecznie, koniecznie!"

Alosza czytał ze zdziwieniem; przeczytał dwa razy, zamyślił się, a potem rozśmiał się cichym, słodkim śmiechem.

Wzdrygnął się jednak natychmiast, gdyż śmiech ten w obecnych warunkach wydawał mu się grzechem. Po chwili jednak uśmiechnął się znów błogo, złożył powoli list, wsunął go do koperty, przeżegnał

się i położył spać. Zamącenie ducha, jakiego wpierw doświadczał, znikło w jednej chwili.

"Boże, zmiłuj się nad nami wszystkimi, chroń cierpiących i błądzących, wskaż im drogi, jakiemi kroczyć mają. Ty, który jesteś miłością, możesz ich wszystkich radością obdarzyć". Takie słowa szeptał nawpół już senny Alosza, żegnając się raz po raz, aż wreszcie zasnął głęboko snem niewinności.

II.

Ostatnie chwile sprawiedliwego.

Nazajutrz, bardzo wcześnie, przed świtem jeszcze, obudzono Aloszę. Starzec już nie spał, a mimo, że się czuł bardzo osłabiony, wyraził chęć przejścia z łóżka na fotel. Był zupełnie przytomny. Twarz jego, mimo wycieńczenia, miała wyraz pogodny, prawie radosny, wzrok jaśniał blaskiem wewnętrznej błogości. — "Nie przeżyję już pewnie nadchodzącego dnia" — rzekł do Aloszy, poczem zażądał spowiedzi i komunii. Spowiednikiem jego, był, jak zazwyczaj, ojciec Paisy. Po przyjęciu przez starca świętych sakramentów, schodzić się zaczęli do jego celi ojcowie i braciszkowie zakonni, a za nimi i reszta klasztornej społeczności. Starzec żegnał się ze wszystkimi i wszystkich całował. Z powodu natłoku, odwiedzający zmieniali się kolejno. Alosza stał obok siedzącego w fotelu starca, który wciąż mówił i nauczał.

— Tyle lat mówiłem, nauczając was, — rzekł z uśmiechem, — że już dziś mówienie i nauczanie stało mi się nałogiem, od którego powstrzymać się nie mogę, tak, że obecnie mimo cierpienia mego trudniejby mi było milczeć, niż przemawiać. — Alosza słuchał z natężeniem, starając się wszystko zapamiętać. Starzec mówił dość jeszcze mocnym głosem i nie starał się bynajmniej o zwięzłość, owszem, mówił dużo i obszerniej o wielu, wielu rzeczach, jakgdyby chciał wypowiedzieć raz jeszcze na łożu śmierci wszystko, o czem nauczał przez całe życie, prócz tego chciał jakby podzielić się z obecnymi wewnętrzną radością i uniesieniem, wypełniającem jego serce. — Kochajcie się wzajemnie, mówił, — i kochajcie lud Boży. — Nie sądźcie, że jesteśmy lepsi od ludzi świeckich, dlatego żeśmy się zamknęli w murach klasztornych, przeciwnie, każdy, który tu przyszedł, uprzytomnił sobie widocznie, że gorszym jest od innych, gorszym od wszystkiego na ziemi. Im dłużej zakonnik przebywa w murach klasztornych, tem dokładniej uświadomić sobie powinien tę sprawę, w przeciwnym razie nie miał tu poco przychodzić. Dopiero, gdy zrozumie, że nietylko gorszym jest od ludzi świeckich, ale powinien się czuć winnym za wszystkich i za wszystko, za wszystkie ludzkie grzechy pojedyncze i ogólne, wtedy dopiero cel życia zakonnego jest osiągnięty. Bo wiedzcie o tem, najmilsi, że bezwarunkowo, każdy z nas powinien się czuć winnym za wszystkich ludzi na ziemi i to nietylko z powodu wszechludzkiego grzechu, ale za każdego pojedyńczego człowieka. Doskonała świadomość tego obowiązku jest dopiero koroną życia zakonnika. Wtedy dopiero serca nasze zdolne będą wznieść się do miłości ogólnej, nieskończonej, bezgranicznej. Wtedy dopiero, każdy z was znajdzie w sobie dość siły na zdobycie miłością świata i zmycie łzami swemi grzechów jego. Wnikajcie w głąb serc waszych i badajcie nieustannie sumienia wasze. Nie lękajcie się grzechów własnych, nawet poznawszy je, bylebyście tylko szczerze za nie żałowali. Powtarzam, nie bądźcie pyszni, ani wobec małych, ani wobec wielkich. Nie miejcie w sercach waszych nienawiści względem tych, którzy was odrzucają, ani dla tych, co hańbią was i spotwarzają. Nie miejcie nienawiści do ateuszów, fałszywych proroków, materyalistów, nawet wtenczas, gdy są źli, gdyż w dzisiejszych czasach jest też wśród nich wielu dobrych. Módlcie się tylko za nich, mówiąc: "Boże zmiłuj się nad tymi, za których się nikt nie modli i wybaw tych, którzy się do ciebie zwracać nie chcą". Dodać przytem musicie: "Nie w pysze serca megu modlę się do Ciebie, Panie, gdyż sam najlichszym i najgrzeszniejszym się czuję". Kochajcie lud Boży i nie pozwólcie obcym przybyszom rozszarpywać trzody waszej, gdyż przyjdą oni teraz zewsząd i zabiorą wam owieczki wasze, jeżeli zgnuśniejecie w lenistwie i hardości, a przedewszystkiem w chciwości. Nieustannie objaśniajcie ludowi słowa ewangelii, w złocie i srebrze nie kochajcie się i nie posiadajcie ich. Wierzcie i stójcie nad sztan-

darem Bożym, a wznoście go jak najwyżej!"

Starzec mówił wiele jeszcze w podobny sposób, zatrzymując się chwilami, jakby chciał sił zaczerpnąć, był przytem wciąż jakby w uniesieniu. Wszyscy słuchali go uważnie i usiłowali zapamiętać słowa jego.

A gdy Alosza opuścił na chwilę celę starca, uderzony został widokiem ogólnego wzruszenia i podniesienia ducha, jaki panował wśród zgromadzonych dokoła celi i pustelni. Wszyscy jakby oczekiwali z natężeniem na coś wielkiego, co spełnić się musiało w chwili śmierci starca.

Wyczekujący ten nastrój był wprawdzie pewnego rodzaju lekkomyślną zuchwałością, mimo to ulegli mu nawet najpoważniejsi i najsurowsi ojcowie. Alosza wywołany został tajemniczo z celi przez jednego z przybyłych tylko co z miasta braciszków, który przynosił mu od pani Chachłakow list, zawierający wiadomość dziwną, która jeszcze bardziej przyczyniła się do podtrzymania owego gorączkowego podniecenia, panującego wśród obecnych.

Oto wśród kobiet, które znajdowały się w pustelni, prosząc o błogosławieństwo starca, znajdowała się pewna staruszka, wyczekująca na syna, od którego zdawna żadnych nie miała wiadomości, tak dalece, że chciała już dać na mszę za jego duszę. Starzec gromił ją za to, a potem, pisała pani Chachłakow, "jakby czytając w księdze przyszłości", zapowiedział jej, że syn jej wkrótce napisze, a nawet sam powróci. Zapowiedź ta, a raczej proroctwo, spełniło się cudownie prędko, staruszka bowiem, wróciwszy do domu, zastała list od syna, który, jak się okazało, był już w drodze i za parę tygodni miał ją powitać.

Pani Chachłakow żądała stanowczo i uroczyście, aby Alosza zawiadomił natychmiast przeora i braci o zdarzeniu tem, które uważała za cud. "Wszyscy! wszyscy powinni się o tem dowiedzieć" — wołała w końcu listu, który pisany był naprędce, a z każdego wiersza jego przebijało niesłychane wzruszenie piszącej.

Gdy Alosza zwrócił się do braci dla obwieszczenia im treści listu, zastał ich bardzo poruszonych, gdyż, jak się pokazało, wiedzieli już o wszystkiem. Rakitin uprzedził go i sam zwiastował cudowną wieść ojcu Paisemu, tak, że Aloszy pozostało już tylko odczytanie listu pani Chachłakow, stanowiącego jakby dokument. Wówczas nawet tak skryty i nieufny człowiek, jak ojciec Paisy, nie mógł się wstrzymać od objawów radości. Oczy jego zapłonęły, a na ustach ukazało się coś, nakształt uśmiechu.

— Nie to jeszcze ujrzymy! — wyrwało się mimowoli z ust jego.

— O tak! — wtórzyli braciszkowie — ujrzymy nietylko to, ale i więcej jeszcze.

Ale ojciec Paisy nachmurzył się znów i prosił usilnie obecnych, aby nikomu o niczem nie wspominali, dopóki się rzecz cała nie udowodni. "Bo — dodawał — świeccy ludzie bywają bardzo lekkomyślni, a zresztą stać się to mogło przypadkowo tylko, samo przez się". Mówił tak, aby nie mieć sobie nic do zarzucenia, widoczne było jednak, że sam jest pod silnem wrażeniem, co zauważyli wszyscy obecni.

W mgnieniu oka wiadomość o cudzie rozeszła się po klasztorze, dowiedziało się też o nim wielu gości, zgromadzonych na nabożeństwie; najbardziej wzruszony zdawał się być wczorajszy pątnik, braciszek z dalekiego północnego klasztoru. Był on wczoraj wraz z innymi u starca, stał obok pani Chachłakow w chwili, gdy ta dziękowała za uzdrowienie córki, zapytywał też wówczas z przejęciem:

— Jak odważacie się robić takie rzeczy?

Pątnik ów odwiedził tegoż dnia niejakiego ojca Ferraponta, nawpół mnicha, nawpół pustelnika, który mieszkał w samotnej celi za klasztorną pasieką, a odwiedziny te wywarły na nim piorunujące, wprost straszne, wrażenie. Ojciec Ferapont był zawziętym przeciwnikiem starca Zosimy, i wogóle nie uznawał instytucyi starców, uważając ją za szkodliwy nowomodny wymysł. Był to przeciwnik bardzo niebezpieczny, bo wszyscy prawie braciszkowie stali po jego stronie, a i postronni szanowali go bardzo za jego wielką pobożność i umartwienia, jakim się poddawał. Zachowywał on najściślejszy post i milczenie, a przytem miał opinię człowieka jakby trochę "nawiedzonego", co nie szkodziło mu, bynajmniej, owszem, zwiększało jego urok. Ferapont nie wchodził nigdy do celi starca Zosimy. Mimo, że mieszkał przy klasztorze, nie wymagano od niego spełniania wszystkich reguł, uwzględniając nienormalny stan jego umysłu. Liczył on przeszło 75 lat; mieszkał w starej, nawpół rozwalonej drewnianej celi, zbudowanej jeszcze w XVIII wieku, dla pewnego, wielce także zasłużo-

nego w postach i modlitwach zakonnika, ojca Jony, który przeżył 105 lat, i o którego czynach krążyły do dziś dnia po klasztorze bardzo ciekawe legendy. Ojciec Ferapont wywalczył sobie zaledwie przed siedmiu laty prawo mieszkania w tej samotnej celi, a właściwie chałupie, która wewnątrz wyglądała na kaplicę, z powodu, że ściany jej zawieszone były ogromną ilością obrazów, przed którymi paliły się olejne lampki. Podtrzymywanie tego nieustannego światła było jednym z ważniejszych obowiązków ojca Ferapnta.

Opowiadano o nim (a było to istotną prawdą), że żywił się on jedynie chlebem i wodą, dostawiano mu dwa funty chleba co trzy dni i przynoszono codzień dzban świeżej wody. Owe cztery funty chleba na tydzień, i święta proskura, przysyłana mu regularnie co niedzielę przez przełożonego, stanowiły cały jego posiłek. Na mszy bywał rzadko. Za to widywano go nieraz klęczącego przez cały dzień na modlitwie w swojej pustelni. Z pątnikami mówił bardzo niewiele i to zwykle krótko, sucho i prawie szorstko. Zdarzało mu się jednak niekiedy rozgadać z przybyszami; tedy miał zwyczaj umieszczać w rozmowie jakieś jedno dziwne słowo, niezrozumiałe dla słuchających, a potem na żadne prośby i zaklęcia nie chciał wyjaśniać znaczenia tego słowa, które też pozostawało zagadką. Nie miał wyższych święceń duchownych i był tylko prostym braciszkiem. Wśród okolicznego ludu rozpowszechniona była pogłoska, że ojciec Ferapont utrzymuje stosunki z niebieskimi duchami i z nimi jedynie się brata; pątnik z Obdorska, dostawszy się do pasieki, odnalazł celę ojca Ferapnta, kierując się wskazaniami pasiecznika, również ponurego i milczącego staruszka.

— Może i przemówi co do was, jako, że jesteście zdaleka, a może sie i niczego oo niego nie doprosicie — objaśniał pasiecznik, wskazując mieszkanie samotnika.

Odborski braciszek, jak sam później opowiadał, zbliżał sie do mieszkania Ferapnta z uczuciem wielkiego strachu. Późno już było i zmrok zapadał. Ferapont siedział na kamiennej ławce, przed progiem swej celi, a nad głową jego szumiał stary, rozłożysty wiąz. Braciszek oddał pokłon aż do ziemi świątobliwemu starcowi i poprosił go o błogosławieństwo.

— Czy i ja mam tobie pokłony oddawać? — przemówił ojciec Ferapont. — Wstań!

Braciszek wstał.

— Przyjmij błogosławieństwo i siadaj przy mnie, a skąd to ciebie przyniosło?

Braciszek, podniósłszy oczy na Ferapnta, zdumiony był niezmiernie młodym jeszcze, bardzo krzepkim wyglądem pustelnika, o którego podeszłych latach słyszał poprzednio.

Starzec był wysoki, silny, trzymał się prosto, a, pomimo podeszłych lat, włosy i broda jego były zaledwie posrebrzone siwizną. Budowę miał atlety i wszystko zapowiadało w nim ogromną siłę fizyczną. Oczy miał duże, szare, błyszczące, osadzone na wierzchu głowy i rażąco wypukłe. Odzież jego składała się z długiego kaftana z grubego sukna, podpasanego sznurem. Z pod kaftana ukazywała się zczerniała od brudu płócienna koszula, której miesiącami całymi nie zdejmował, na nogach miał stare, prawie rozpadające się chodaki.

Na zapytanie starca skąd przybywa, objaśnił obdorski braciszek, że przysłany jest z klasztoru świętego Sylwestra.

— Wiem, bywałem u tego waszego Sylwestra; a jakże wy tam żyjecie? posty zachowujecie? — pytał Ferapont.

Braciszek opowiadać zaczął i szczegółowo objaśniać.

— W czasie wielkiego postu mamy post ścisły w piątki i środy, we wtorki i czwartki, otrzymują bracia biały chleb, kluski z miodem, lub kapustę kwaszoną, w sobotę biały barszcz i kaszę grochową, a w niedzielę nawet rybę suszoną. Na wielkim zaś tygodniu, od poniedziałku aż do wielkiej soboty pożywamy tylko chleb i wodę, i to nie codzień, bo od piątku aż do godziny trzeciej po południu w sobotę nie jemy wcale, a i wtedy dostajemy po niewielkim tylko kąsku chleba i po czarze wina. Nawet i we Czwartek Wielki nie spożywamy nic gotowanego, bo powiedziano jest na Łabodzkim soborze, "że nie przystoi bezcześcić całego czterdziestodniowego postu, łamiąc go w ostatnim tygodniu we czwartek". — Ot, jak u nas poszczą; ale cóż to znaczy w porównaniu z wami, święty ojcze? Wy przecie cały okrągły rok, a nawet w święto Zmartwychwstania, żywicie sie tylko chlebem i wodą — dodał z podziwem obdorski braciszek. — Zaprawdę, wielka i zadziwiająca jest wstrzemięźliwość wasza.

— A jagody?! — zawołał Ferapont, kładąc osobliwy nacisk na g.

— Jakto jagody?

— Ja od chleba ich ujść mogę. Pójdę w las to i jagodami przeżyję a ci tam od chleba swego nie ujdą, z czartem się bratają. Powiadaja, poganie, że post to nic nie znaczy, pycha tylko i złość przemawia przez nich.

— Och! to prawda — westchnął braciszek.

— A widziałeś tam u nich czartów? — spytał nagle ojciec Ferapont.

— U kogo? — pytał nieśmiało braciszek.

— A u tych tam, z klasztoru. Rok już mija, jak byłem u przełożonego. Widziałem ich wtedy dużo, każdy ma swego czarcika. U jednego siedzi pod "rasą", u drugiego w kieszeni, tylko różki wyglądają. Mnie to się "zły" taki boi. Niejeden to i na szyi takie licho nosi, a nie widzi, a nie widzi...

— A wy widziecie? — dopytywał braciszek.

— Pewnie, że widzę, nawskroś widzę. Jakiem wychodził od przełożonego, tom jednego we drzwiach zadławił. Został tam, pewno już i zginął, a ci tam nic nie wiedzą. Tobie, jako przybyszowi z dalekich stron, prawdę objawiam.

— Straszne słowa wasze — mówił braciszek, uśmiechając się coraz bardziej. — A powiedzcie, wielki i błogosławiony ojcze, czy prawda, co o was sława niesie, że z duchami niebieskimi w spółce żyjecie, że nawiedzają was?

— A bywa, bywa, że zlatują.

— A w jakiejże postaci?

— W postaci ptaka.

— To pewnie duch święty w postaci gołębiej.

— To nie duch święty, to świętoduch. Taki pojawić się może w postaci każdego ptaka, raz przyleci jaskółką, to znowu szczygłem, albo zimorodkiem.

— A jakże wy poznacie, że to, naprzykład, nie zimorodek?

— A bo mówi.

— Jakże on mówi, jakim językiem?

— Ludzkim.

— A cóż on takiego mówi? — dopytywał braciszek, w którego sprytnych oczach pojawiło się niedowierzanie.

— Ot dziś mówił, że przyjdzie taki dureń i dopytywać będzie niewiadomo o co. Zanadtoś, bracie, ciekawy.

— Bolesne słowa wasze — odrzekł, kręcąc głową, braciszek.

— A widzisz to drzewo? — pytał po krótkim milczeniu ojciec Ferapont.

— Widzę, błogosławiony ojcze.

— Dla ciebie to drzewo, a dla mnie całkiem co innego.

— Cóż takiego? — szepnął zaciekawiony braciszek.

— Bywa nieraz, w nocy... Widzisz te dwa sęki... to nieraz w nocy ręce do mnie wyciąga, jak ramiona krzyża, i szuka mnie temi rękami, ja widzę to i drżę cały — i straszno mi wtedy, straszno, och straszno!

— Czego straszno, jeżeli to krzyż święty?

— A jak porwie, tak i do nieba poniesie.

— Żywego?

— A cóż to nie słyszałeś o proroku Eliaszu? Tak i mnie zrobić może, obejmie i poniesie.

Skoro obdorski braciszek powrócił do wskazanej mu na nocleg celi, myśl o rozmowie ze starym pustelnikiem przejmowała go dziwnemi uczuciami. Mimo pewnego niedowierzania, ciemny i prostaczy jego umysł lgnął bardziej do ojca Feraponta, niż do starca Zosimy. Słowa Feraponta były wprawdzie czasem dziwne i bez związku, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie się w nich ukrywa głębsze znaczenie. Zresztą, taki wielki "postnik" mógł przecie wistocie widywać rzeczy dziwne i niebywałe. Przytem braciszek jeszcze przed przybyciem do klasztoru usposobiony był bardzo nieprzychylnie dla instytucyi starców, o których słyszał wiele złego, jakkolwiek nie stykał się z nimi osobiście, zaś z praktyk religijnych cenił on najwyżej surowe zachowywanie postów, a któż pod tym względem dorównać mógł ojcu Ferapontowi?

Wiadomość o cudzie, dokonanym, jakoby, przez ojca Zosimę, wywarła i na nim także ogromne wrażenie i wprawiła go znów w niepewność. To też wśród tłumów, oblegających celę starca, migała wciąż figurka obdorskiego gościa; zauważył go także Alosza, mimo, że niebezpieczny stan ukochanego mistrza pochłaniał prawie wyłącznie jego uwagę.

Naraz wezwano go do łoża chorego.

Alosza przybiegł natychmiast; starzec za zbliżeniem się jego podniósł znużone powieki i wpatrzył się uważnie w twarz młodzieńca.

— Czekają tam na ciebie, synu? — spytał.

Alosza zmieszał się.

— Czy przyrzekłeś komu ze swoich, że stawisz się u nich dzisiaj?

— Wistocie, przyrzekłem ojcu, braciom, innym jeszcze.

— A widzisz, w takim razie idź tam koniecznie. Nie lękaj się, nie umrę, zanim nie przekażę ci ostatnich słów, jakie wypowiem tu na ziemi. Tobie jednemu je powiem, bo wiem, że mnie kochasz. A tymczasem idź tam, gdzie cię potrzebują, nie zwlekaj.

Alosza pokłonił się starcowi i postanowił załatwić jaknaśpieszniej wszystkie swoje sprawy w mieście, aby tu znów powrócić. Obietnica starca, że jemu tylko przekaże ostatnie swoje zlecenia, napełniła duszę jego nieskończoną radością. W dodatku i ojciec Paisy, wziąwszy go na stronę, po opuszczeniu celi starca, przemawiał do niego, jak jeszcze nigdy w życiu, udzielając rad i napomnień, które wywarły na nim głębokie wrażenie.

— Pamiętaj, młodzieńcze — rzekł nagle bez żadnego wstępu, — że świecka nauka rozłożyła i i rozdrobniła wszyskto, co zawierają księgi święte, tak, że z tej analizy nie zostało nic zgoła. Ale przecież całość ta stoi przed ich oczyma niewzruszona i niezmienna, i wrota piekielne nie przemogą jej. Żyje ona i dziś, jak żyła wieków dziewiętnaście, i odnaleźć ją można zarówno w porywach duchowych pojedyńczych ludzi, jak i mas ludowych. Ciż sami nawet, którzy wyrzekli się chrześcijaństwa i bunt przeciw niemu podnieśli, nie zdołali w całej mądrości swej nic lepszego, ani wyższego wynaleźć, nad obraz, jaki Chrystus ukazał ludziom przed dawnymi jeszcze wiekami.

Wszystko inne było tylko próbą nieudaną i poronioną. Zapamiętaj sobie, młodzieńcze, te słowa moje, wyrzeczone na pożegnanie, bo z woli starca swego musisz iść w świat, a pokusy, jakie się w świecie spotyka, bywają tak ciężkie, że często nie w sile człowieka przenieść je i zwyciężyć.

Z tymi słowy błogosławił go ojciec Paisy. Alosza, wyszedłszy z klasztoru, rozpamiętywał je sobie i uczuł, że w surowym tym i skrytym starcu odnalazł nagle przyjaciela i życzliwego przewodnika. Może to ojciec Zosima polecił mu go, umierając. Słowa te, poważne i rozumne, świadczyły o gorącem sercu ojca Paisego, który uzbroić chciał powierzoną sobie duszę młodzieńca przeciw walkom i wahaniom, i zabezpieczyć go od złego najsilniejszą, jaką mógł wybrać zaporą.

III.

ALOSZA W ŚWIECIE.

Alosza udał się najpierw do ojca. Wchodząc do jego mieszkania, przypomniał sobie, że mu ojciec usilnie zalecał, aby się do niego zgłosił w sekrecie przed bratem Iwanem. Wszelkie ukrywanie się wstrętne było usposobieniu Aloszy, mimo to, z przyjemnością dowiedział się od otwierającej mu drzwi Marty, że Fedor Karamazow jest sam. W chwili wejścia syna siedział on przy stole w pantoflach i starym paltocie, przeglądając jakieś rachunki. Wyglądał okropnie po wczorajszem pobiciu, nos miał spuchnięty, na czole i na twarzy ogromne guzy i siniaki, czoło obwiązane czerwoną chustką. Wszystko to nadawało mu dziwnie przykry i złośliwy wygląd. Stary czuł to sam, spojrzał też niechętnie na wchodzącego Aloszę.

— Kawa zimna! — zawołał do niego już od progu — sam dziś poprzestaję na postnej tylko polewce; czegożeś przyszedł?

— Chciałem się dowiedzieć o zdrowiu ojca — odrzekł Alosza.

— Tak, a prócz tego sam cię wczoraj prosiłem, abyś przyszedł. Ale to wszystko głupstwo, napróżnoś się fatygował. Wiedziałem odrazu, że przyjdziesz.

Mówił to wszystko niechętnie, jednocześnie powstał z miejsca, i spojrzał mimochodem w lustro, poprawiając czerwoną chustkę, którą miał przewiązane czoło.

— Czerwona zawsze lepsza, niż biała, nie wygląda się przynajmniej tak szpitalnie — zauważył sentencyonalnie.

— Iwana niema — mówił dalej — poleciał odbijać narzeczoną Dymitrowi. Po to on i przyjechał, i po to tylko siedzi — dodał, spozierając z ukosa na Aloszę.

— Czy sam to ojcu mówił? — spytał Alosza.

— Dawno już mówił. A jak myślisz, może on tu przyjechał, żeby mnie zarżnąć? Musi mieć jakiś interes, skoro tu siedzi.

— Cóż to? Dlaczego ojciec mówi takie rzeczy? — pytał rozżalony Alosza.

— O pieniądze nie prosi. Prawda, że nie dałbym ani szeląga. Tak, tak, mój miły Aleksy, mam zamiar długo jeszcze na świecie pożyć, i dlatego każda kopiejka jest dla mnie droga i potrzebna, a tem potrzebniejsza, im dłużej żyć będę.

Nie jestem jeszcze wcale stary, mam dopiero pięćdziesiąt siedem lat, i mam zamiar przynajmniej jeszcze dwadzieścia lat używać życia, jak na tęgiego zucha przystało. Potem już, gdy zeszkapieję, pieniądze będą mi tembardziej potrzebne, dlatego zbieram je teraz, grosz do grosza. A ty, mój panie synu, dowiedz się, że do końca żyć będę w tem, co wy nazywacie grzechem i obrzydliwością. Wszyscy pioruny niby ciskają na takie życie, a sami nic lepszego nie robią, tylko inni skrycie, a ja otwarcie, i za tę moją szczerość wszyscy się na mnie rzucają. A twojego raju, Alosza, to ja wcale nie pragnę, takiemu człowiekowi, jak ja, na nic taki raj niepotrzebny.

Co do mnie, nie dbam wcale o to, co się ze mną stanie po śmierci, wiem, że zasnę i już się nie obudze. Chcecie, to mnie wspominajcie, a nie — to niech was dyabli wezmą. To moja filozofia. Dobrze mówił wczoraj Iwan, chociaż byliśmy wszyscy pijani. — Iwan to chłystek. żadnej on tam niema nauki, ani wykształcenia. Milczy i uśmiecha się i zdaje mu się, że to wielki rozum — tem tylko wygrywa. —

Alosza słuchał, milcząc.

— Czemuż to panicz nie raczy rozmawiać ze mną, a jeżeli mówi, to zawsze coś niedomawia. Podły ten twój Iwan. A z Gruszą ożenię się i to wkrótce. Kto ma pieniądze, ten może mieć wszystko, czego zechce. Iwan się boi, żebym sie z Gruszą nie ożenił, i namawia do tego Mitię. Niby to, żeby mnie od Gruszy ustrzedz. (Czy się jemu zdaje, że ja jemu pieniądze zostawię, jeżeli się z Gruszą nie ożenię). A wszystko dlatego, że się chce z narzeczoną Miti ożenić, bo to bogata panna, takie ma wyrachowanie. Podły ten twój Iwan.

— Ojciec bardzo rozdrażniony, to po wczorajszem przejściu. Możeby się ojciec położył?

— Ot! ty, mówisz mi takie rzeczy, a ja się na ciebie nie gniewam. żeby tak Iwan, tobym mu nie darował. Przy tobie tylko przychodzą na mnie dobre chwilę, bo widzisz, ja jestem zły człowiek.

— Ojciec nie jest zły, tylko trochę spaczony, — uśmiechnął się Alosza.

— Słuchaj, ja tego rozbójnik,a Mitię, mógłbym dziś jeszcze wsadzić do więzienia. Wprawdzie, według dzisiejszych modnych zasad, ojciec i matka to przesąd, ale kopać starca, ciskać nim o podłogę, za włosy targać i to w jego własnym domu, a w dodatku krzyczeć przy świadkach, że się go zabije... słowem, gdybym chciał, mógłbym natychmiast twego Mitię pod klucz wsadzić.

— Ale ojciec nie chce.

— Iwan odradza. Ja na rady Iwana pluję, ale i sam nie chcę.

Tu pochylił się ku Aloszy i szepnął mu poufnie.

— Gdybym tego łajdaka do więzienia wsadził, onaby się dowiedziała i poleciałaby zaraz do niego, pocieszać.

Przeciwnie, gdy się dowie, jak on mnie, słabego starca, skatował, ukrzywdził, po ziemi włóczył, to gotowa przyjść do mnie, obaczysz. Już ja ją znam, taki ma charakter, wszystko na przekór. Chcesz koniaczku. Wiesz, kawa zimna, ale dodać do niej ćwierć kieliszka, będzie delicya.

— Nie, dziękuję. Bułeczkę zjem, jeśli ojciec pozwoli, a koniaku niech ojciec nie pije, zwłaszcza teraz.

— Masz słuszność, koniak szkodzi, ale kapeczkę przecie można.

Mówiąc to, otworzył szafkę, nalał sobie kieliszek koniaku i wypił go, potem zamknął szafkę i klucz do kieszeni schował.

— Od kieliszka nie zginę.

— Ot, już ojciec znowu dobry.

— Ja dla ciebie i bez koniaczku dobry, bo cię kocham, a z podłymi tom podły. Iwan nie chce jechać do Czeremaszny, a dlaczego? Szpieguje mnie, chce wiedzieć, ile dam Gruszy, gdy do mnie przyjdzie. Ja Iwana nie rozumiem. Nie wiem nawet, skąd się taki mógł wziąć. On niema takiej duszy, jak my. — Nie zostawię mu nic. Nawet testamentu nie zrobię. A twego Mitię zgniotę, jak robaka, trzaśnie mi pod nogą, jak uduszony tarakan, ten twój Mitia, którego kochasz. żeby go tak Iwan kochał, tobym się bał, ale on nikogo nie ko-

cha. Iwan to nie nasz człowiek, tacy ludzie, jak on, to nie nasi ludzie, ot, pył przydrożny, powieje dobry wiatr, to i rozmiecie wszystko.. . Wczoraj, kiedym ci kazał przyjść, miałem na myśli jedno głupstwo. Chciałem dać Miti trochę pieniędzy, jaki tysiączek lub dwa, posłałbym mu przez ciebie, pod warunkiem, żeby ten szubrawiec z pod ciemnej gwiazdy odjechał stąd, na pięć, albo lepiej na 50 lat i żeby się całkiem Gruszy wyrzekł.

— Ja... ja... go spytam. — Gdyby tak trzy tysiące, to by on może...

— Kłamiesz. — Niema potrzeby pytać, bo rozmyśliłem się i nic nie dam, bo jeszcze gotów głupi czekać na to. A cóż ta jego narzeczona, ta Katarzyna Iwanówna, której mi nawet pokazać nie chciał. Pójdzie za niego, czy nie?

Musisz wiedzieć, bo tyś sam do niej chodził.

— Ona się go za nic nie wyrzeknie.

— Ot, w jakich kochają się te delikatne panienki, hulaków podłych im potrzeba, tacy się podobaja. Oj, żebym miał jego lata i taką twarz, jaką wtedy miałem, bo byłem od niego przystojniejszy w dwudziestu ośmiu latach, daleko przystojniejszy, tobym także zwyciężał... ot, kanalia taki, ale Gruszy i tak nie dostanie! nie; w pył go obrócę, a Gruszy nie dam.

Słowa te znów go podrażniły.

— I ty także idź stąd, nie masz tu dziś co robić — rzekł szorstko.

Alosza wstał, aby się z nim pożegnać i pocałował go w ramię.

— A ty czego? — zadziwił się stary, — na wieki się żegnasz, czy co? Zobaczymy się jeszcze.

— Ależ nie, to tak sobie.

— I ja tylko tak sobie — spojrzał na niego stary. — A ty słuchaj! — krzyknął jeszcze za nim, — przychodź jutro, koniecznie jutro. Obiad ci postny każę zrobić, umyślnie dla ciebie — jutro! słyszysz — koniecznie.

A gdy Alosza wyszedł na dziedziniec, wychylił się przez okno i jeszcze raz to samo powtórzył. Potem zbliżył się do szafki, gdzie znajdował się koniak, nalał sobie jeszcze pół kieliszka, wypił i znów szafkę zamknął i włożył klucz do kieszeni.

— Więcej nie będę, — mruknął i poszedł do sypialnego pokoju, a czując się osłabionym, położył się i natychmiast zasnął.

“ Bogu dzięki, ojciec nie pytał mnie o Gruszę — pomyślał Alosza, — jeszczebym musiał wygadać wczorajsze moje z nią spotkanie”. Wogóle myśli jego nie były wesołe. — Ojciec był rozdrażniony i wciąż zawzięty na Dymitra, tamten, prawdopodobnie, również nie ochłódł przez tę noc, owszem, ukrzepił się w swej nienawiści i miłości. Jakby to odszukać Dymitra i wpłynąć na jego usposobienie? Tymczasem drobny, na pozór, wypadek, zmienił na chwilę bieg jego rozmyślań. Idąc do pani Chachłakow, Alosza spotkał na zakręcie ulicy gromadkę chłopców, powracających ze szkoły. Były to jeszcze dzieci po 8, 9 lat, szli gwarnie, niosąc książki w tornistrach, zawieszonych na plecach, lub też w torebkach skórzanych, przewieszonych przez ramię. — Alosza lubił dzieci i chętnie z niemi obcował, teraz więc zatrzymał się, chcąc zawiązać z nimi rozmowę. Zauważył, że gromadka malców, przechodzących obok niego, naradza się nad czemś z ożywieniem, każdy z nich przytem miał w ręku kamyk, niektórzy z nich po dwa. — Za rynsztokiem zaś, z przeciwnej strony ulicy, stał odosobniony chłopak, ubrany również w mundurek szkolny, drobny był i blady i wyglądał najwyżej na lat dziesięć, a może i na mniej. Malec wpatrywał się bystro w gromadkę towarzyszów szkolnych, z którymi widocznie się poróżnił. Alosza, zbliżywszy się do chłopców, zwrócił sie do jednego z nich, rumianego, kędzierzawego blondynka, który, jak zauważył, miał torebkę zawieszoną z lewego boku.

— Gdy ja chodziłem do szkoły, to nosiliśmy zwykle torebkę z prawego boku, bo łatwiej tak było wydostawać z niej wszystko — zaczął. Mówił takim tonem, jakim przemawia się do kogoś równego sobie wiekiem, co zresztą jest jedynym sposobem zdobycia ufności dzieci. Alosza zrobił to z góry powziętym planem, czuł instynktem, że tak będzie najlepiej.

— On “mańkut”, dlatego nosi z lewej strony, — odpowiedział natychmiast jeden z malców, reszta zaś otoczyła ich, przysłuchując się; sześć par błyszczących ocząt wpatrywało się w Aloszę.

— On i kamienie potrafi rzucać lewą ręką, — dorzucił drugi malec.

W tejże chwili kamyk, ciśnięty zręczną i pewną ręką, ugodził zlekka małego mańkuta. — To chłopak z za rynsztoka rozpoczynał bitkę.

— Bić go! Smurow, oddaj mu! — wołali chórem chłopcy, ale Smurow, nie czekając zachęty, odpłacał za swoje, cisnąwszy kamyk, który nie trafił i upadł gdzieś z boku. Przeciwnik jego miał obie kieszenie paltocika wypchane kamieniami, rzucił też natychmiast jeden z nich i trafił Aloszę w plecy.

— On umyślnie pana uderzył, on wie, że pan, Karamazow — zawołali chpocy. — No! teraz my na niego wszyscy razem, no! dalej, żywo! — I sześć pocisków poleciało za rynsztok w stronę chłopca, jeden kamyk ugodził go w głowę tak, że upadł, ale zerwał się natychmiast i odpowiadać zaczął. — Przez chwilę bójka trwała bez przerwy, okazało się, że wszyscy chłopcy mają w kieszeni kamienie.

— Jak możecie! Jak wam nie wstyd sześciu na jednego — zawołał Alosza i zagrodził sobą chłopca, tak że 3, czy 4 kamienie ugodziły w niego, zamiast w malca.

— On pierwszy zaczął, — krzyknął przenikliwie jeden z chłopców, on podły, Krasotkina w klasie skaleczył scyzorykiem, aż krew pociekła trzeba go nabić.

— Za co? sami go drażnicie.

— A ot! on znowu kamieniem w was chce cisnąć, on pana zna i rzuca teraz nie w nas, a w pana. — No! dalej! my znów w niego. — I zaczęła się znów wymiana pocisków, tym razem bardzo szkodliwa dla dzieciaka, gdyż jeden z kamyków uderzył go mocno w piersi, chłopak zapłakał z bólu i uciekać zaczął w górę ulicy.

— Aha! stchórzył, zmyka! — wołali z tryumfem chłopcy.

— Pan jeszcze nie wie, jaki on podły, takiego mało zabić — zawołał z zapałem jeden z chłopców, starszy od innych, który widocznie rej wodził.

— Cóż on takiego zrobił? Skarżył na was? — Malcy spojrzeli po sobie z uśmiechem.

— Pan idzie tą samą drogą, co on. — Proszę go tylko spytać, czy lubi miotełki? Niech pan spróbuje.

— Nie spytam go o to, bo widocznie wy go tem pytaniem drażnicie. — Ale pomówię z nim i dowiem się może, za co go tak nienawidzicie.

— I owszem, niech się pan spyta — zaśmieli się chłopcy.

Alosza poszedł swoją drogą, a chłopcy wołali za nim:

— Oho! on się pana nie przestraszy i dźgnie pana scyzorykiem, jak Krasotkina. — Alosza zbliżał się do chłopaka i ujrzał przed sobą blade, chude dziewięcioletnie dziecko, z twarzyczką podługowatą i czarnemi błyszczącemi oczkami. — Ubrany był biednie w wyszarzany paltocik, połatane na kolanach spodeńki i dziurawe buciki, których otwory zasmarowane były atramentem. Malec, poznawszy po wyrazie twarzy Aloszy, że ten go bić nie będzie, przestał się boczyć i sam nawet zaczął rozmowę.

— Ja jeden , a ich sześciu, a przecież ich przepędziłem.

— Jeden kamień musiał cię mocno uderzyć: — zapytał Alosza.

— Za to ja dałem Smurowowi po głowie — pochwalił się malec.

— Oni mnie tam powiedzieli, że ty mnie znasz i umyślnie kamieniem cisnąłeś, czy to prawda? — spytał Alosza. Chłopak spojrzał chmurnie.

— Daj mi pan spokój, nie zaczepiaj mnie, — nachmurzył się, błysnąwszy złemi oczyma.

— Pójdę już sobie i nic ci nie powiem, chociaż tamci mnie nauczyli, czem ciebie można rozdrażnić.

Zaledwie się odwrócił, chłopak cisnął w niego znów z całej siły kamieniem, wołając z urąganiem: — Mniszek! — klasztorny sługa w skarbowych majątkach. — Alosza znów powrócił.

— A ładnie to tak z tyłu napadać! widać tamci prawdę o tobie mówili. — Chłopak zdawał się jeszcze czekać na coś, ale widząc, że Alosza nie zamierza go wcale skarcić, rzucił się na jego rękę i ugryzł go w palec aż do kości, z dzikością podrażnionego zwierzątka.

Alosza z trudnością wydostał palec z pomiędzy ostrych ząbków rozjuszonego dziecka, krew popłynęła obficie. — Malec stał, nie ruszając się z miejsca.

— Widzisz, jakieś mnie mocno ukąsił, — przemówił Alosza, obwijając palec chustką, — a przecież ja ciebie nie znam i nic ci złego nie zrobiłem. A może zrobiłem co dawniej, tylko zapomniałem, bo przecieżbyś mi za darmo tak nie dokuczał.

Zamiast odpowiedzi, chłopak rozpłakał się na głos i uciekać zaczął ulicą, biegnąc jak najszybciej i wciąż głośno płacząc. Alosza postanowił sobie odszukać go koniecznie i dowiedzieć się coś bliższego, odłożył

to jednak na później bo teraz śpieszyć musiał do pani Chachłakow.

Szybkim krokiem pośpieszył do pani Chachłakow, która mieszkała we własnym domu, pięknym, murowanym, jednym z naj wspanialszych w mieście. Gdy wszedł, pani Chachłakow wybiegła sama na jego spotkanie.

— Czy dostał pan list, który pisałam do pana, donosząc o cudzie? — pytała z pośpiechem.

— Dostałem.

— A czy go pan wszystkim pokazał? Rozpowszechnił pan tę cudowną wiadomość? wszakże on matce syna powrócił.

— On umrze dzisiaj — odparł Alosza.

— Słyszałam, wiem — O Boże! czemuż nie mogę raz jeszcze z nim pomówić, ani go widzieć. Tak pragnę podzielić się z panem wszystkiem, co obecnie czuję — z panem, czy wogóle z kimkolwiek, chociaż nie, przedewszystkiem z panem. Prócz tego, Katarzyna Iwanówna jest w tej chwili u mnie.

— Ach, jak to dobrze, zobaczę ją więc tutaj, bo kazała mi koniecznie przyjść do siebie.

— Wiem, wiem o wszystkiem, co było wczoraj, słyszałam z najdrobniejszymi szczegółami o tem okropnem przejściu z tą straszną kobietą, z tą bachantką. C'est tragique! Gdybym była na miejscu Katarzyny, to doprawdy niewiem, niewiem cobym zrobiła. A ten pański brat, Dymitr, cóż to za okropny człowiek! W dodatku wyobraź sobie pan, tam, w salonie, siedzi pański brat, to jest oczywiście nie Dymitr, ale tamten drugi, ten wspaniały, rozumny Iwan, i rozmawiają z Katarzyną; a gdybyś pan wiedział o czem? Zamęczają się dobrowolnie, to, mówię panu, poprostu szarpanie się, szamotanie bez wyjścia; doprawdy, trudno uwierzyć; gubią siebie sami, niewiadomo po co i na co, delektują się swojem udręczeniem. Tak pragnęłam, tak pożądałam pańskiej obecności; chcąc panu wszystko opowiedzieć, to poprostu jak w bajce. Ale, ale, co najważniejsze, o mało nie zapomniałam — z mojej Lizy robi się histeryczka. Dziś, gdy posłyszała, że pan idzie, dostała histerycznego ataku. Skąd? dlaczego?

— Przepraszam! to z mamy robi się histeryczka — przerwał z drugiego pokoju przenikliwy głosik Lizy, a w głosie tym drgał jakby z trudnością powstrzymywany śmiech.

Alosza spojrzał w stronę drzwi cokolwiek uchylonych, po za którymi znajdowała się Liza w swoim fotelu.

— Niemądra jesteś, Lizo, z takiem gadaniem, a przytem wyobraź pan sobie, znowu chora. Całą noc miała gorączkę. Ledwom się doczekała doktora Herzenschube, który powiedział, że nic nie rozumie, że trzeba poczekać. Ten Herzenschube nigdy nic nie rozumie. Jakieś pan wszedł, Liza krzyknęła, dostała ataku nerwowego i kazała się przewieźć do drugiego pokoju.

— Bardzo przepraszam mamę, ale ja wcale nie wiedziałam, że on przychodzi i wcale nie dlatego kazałam się przewieźć do drugiego pokoju.

— A to już nieprawda, Lizo, doskonale wiedziałaś, że Aleksy Fedorowicz idzie, bo kazałaś Julii stać na straży.

— Mamo kochana! doprawdy, że to dowcipnie z twojej strony mówić takie rzeczy. Jeżeli chcesz poprawić swoją opinię, to zechciej, droga mamo, powiedzieć wielmożnemu panu Aleksemu Fedorowiczowi, że to niedowcipnie z jego strony przychodzić tu po tem, co wczoraj zaszło, kiedy tu i tak wszyscy się z niego śmieją.

— Co ty wygadujesz, Lizo, zanadto już sobie pozwalasz, licząc na moją pobłażliwość; któż się tu z niego śmieje. Ja uradowana jestem, że zechciał przyjść — taki mi jest potrzebny, taki niezbędny. Ach, Aleksy Fedorowiczu, gdybyś pan wiedział, jaka jestem nieszczęśliwa.

— Cóż się mamie takiego zdarzyło?

— Cicho bądź, Lizo! Te twoje ciągłe kaprysy, to roztrzepanie, przytem ta wieczna choroba i ten wieczny Herzenschube, który nigdy nic nie rozumie. A ten cud! Panie kochany, gdybyś pan wiedział, jak mnie to wzruszyło, jak do głębi wstrząsnęło. Przytem jeszcze ta tragedya w salonie między tymi dwojgiem, zresztą, to nie tragedya, a komedya, w każdym razie to wszystko męczy mnie strasznie. Powiedz pan, Aleksy Fedorowiczu, czy starzec Zosima dożyje jutra — Boże mój, zamykam oczy i myślę sobie: wszystko złuda, złuda.

— Przepraszam panią — przerwał Alosza — czy mógłbym prosić o kawałeczek płótna dla owinięcia skaleczonego palca?

Alosza pokazał ukąszony palec; krew przeszła na chustkę, i pani Chachłakow, zobaczywszy ranę, krzyknęła i zakryła oczy.

— Boże! jaka straszna rana.

Gdy Liza usłyszała ten wykrzyknik,

otworzyła natychmiast drzwi, przed któremi znajdował się jej fotel na kółkach.

— Chodź pan! chodź pan tu do mnie prędko — wołała natarczywie i rozkazująco Liza. — Boże mój! jak pan mógł stać tyle czasu i nic nie powiedzieć, a ty, mamo, jak mogłaś na to pozwolić, mógł przecie omdleć z upływu krwi — przedewszystkiem wody, jaknajprędzej wody, palec trzeba przemyć i zanurzyć w chłodnej wodzie.

— Może posłać po Herzenschubego? — pytała pani Chachłakow.

— Mama mnie zabija tym swoim Herzenschubem. Julia niech wody przyniesie, tylko prędko, mamo, na miłość Boga, prędko, bo mi się już słabo robi.

— Ależ to drobnostka — protestował Alosza, nie mogąc powstrzymać tego nadmiaru gorliwości.

Za chwilę Julia przyniosła wode, w której Alosza palec zanurzył .

— Mamo! na miłość Boga, trzeba przynieść bandaż i tę białą wodę do ran, nie wiem jak się tam ona nazywa. Stoi duża butelka w sypialnym pokoju. w szafce na prawo. Mamo prędzej, prędzej.

— Zaraz, zaraz, przyniosę sama, tylko nie krzycz tak, Liza, i nie lękaj się. Widzisz, z jaką siłą ducha Aleksy Fedorowicz znosi swoje cierpienie.

Pani Chachłakow wyszła, Liza została sama z Aloszą.

— Przedewszystkiem opowiedz mi pan, gdzieś się mógł tak skaleczyć, a potem pomówimy o innych rzeczach. No, mów pan!

Alosza uczuł instynktem, że Liza śmielsza jest w nieobecności matki.

Opowiedział więc jej naprędce, ale jasno i dokładnie, całe zajście swe z chłopcami, powracajacymi ze szkoły. Liza, wysłuchawszy opowiadania, klasnęła w ręce.

— Jak pan mógł! jak można zadawać sie z takimi smarkaczami! Na to trzeba być takim jak pan dzieciakiem; postąpił pan jak studencik, jak sztubaczek z najniższych klas. Ale, mimo to, postaraj się pan dowiedzieć coś o tym złośliwym malcu, a potem opowiedz mi wszystko. (Gromiła go i dawała polecenie, jakby już miała jakieś do niego prawo). — No, a teraz powiedz pan, czy możesz pogadać ze mną o tamtej rzeczy, czy ból nie przeszkadza.

— Nic mnie już nie boli.

— To dlatego, że trzyma pan palec w zimnej wodzie, ale ona zaraz ogrzeje się. Julia! biegnij prędko do piwnicy i przynieś lodu i świeżej wody. No, teraz, kiedy jesteśmy sami, oddaj mi pan ten list, który do pana wczoraj napisałam. Tylko prędko, zanim mama powróci.

— Nie mam przy sobie tego listu.

— To nieprawda! Byłam pewna, że tak mi pan odpowiesz, ale to nieprawda, pan go masz w kieszeni.

— Zostawiłem go w domu.

— Nie powinieneś pan obchodzić się ze mną, jak z dzieckiem, po moim liście. To był tylko żart, głupi żart, którego żałowałam przez całą noc. Nie gniewaj się pan na mnie, ale, proszę bardzo, oddaj mi mój list, a jeżeli zostawiłeś go pan w domu, to proszę mi go dziś przynieść, koniecznie, koniecznie.

— Dziś, to niemożliwe; gdy wrócę do klasztoru, to nie wyjdę już przez jakie trzy lub cztery dni, bo starzec Zosima....

— Cztery dni, co za głupstwo. Powiedz pan, czyś się pan bardzo ze mnie śmiał?

— Wcale się nie śmiałem.

— Dlaczego?

— Bo uwierzyłem w list zupełnie poważnie.

— Pan mnie obraża.

— Ani troszeczkę. Przeczytawszy list, postanowiłem sobie odrazu, że wszystko się tak stanie, jak tam pani ułożyła. Po śmierci starca Zosimy wyjdę z klasztoru, wstąpię na uniwersytet i zdam wszystkie egzamina, a potem ożenię się z tobą i kochać cię będę. Nie miałem jeszcze wprawdzie czasu myśleć o tych rzeczach, ale pewny jestem, że lepszej żony nie znajdę, a starzec kazał mi się ożenić.

— Ja przecież jestem kaleka, w wózku mnie wożą — zaśmiała się Liza, a twarz jej pokryła się rumieńcem.

— Czuwać będę nad tobą i sam cię będę woził, chociaż pewien jestem, że do tego czasu wyzdrowiejesz.

— Pan oszalał — mówiła nerwowo Liza — jak można brać na seryo głupi żart. Ale otóż i mama, w samą porę. Czemu mama tak długo siedziała, zawsze się mama musi spóźnić.

— Ach, nie krzycz, Liza, tylko proszę cię, nie krzycz, mam już dosyć twoich awantur. Schowałaś tak bandaże, że znaleźć ich nie mogłam. Posądzam cię, że zrobiłaś to umyślnie.

— Nie mogłam przecież przewidzieć, że ten pan przyjdzie ze skaleczonym palcem, chociaż, gdybym wiedziała, możebym na-

prawdę schowała, jak to mama przypuszcza. Mamusiu, aniele, stajesz się naprawdę bardzo dowcipna.

— Jak ty się, Lizo, zachowujesz? jak wyrażasz, choćby teraz, o skaleczonym palcu naszego gościa. Ach, Aleksy Fedorowiczu, wszystko to, razem wzięte, zabija mnie — i ona, i ten Herzenschube.

— Niech mama da spokój biednemu Herzenschubemu. Proszę sobie wyobrazić, że szanowny pan Aleksy Fedorowicz pobił się z chłopakami na ulicy, i jeden z tych smarkaczy ukąsił go w palec. Sam taki dzieciak, a chce się teraz żenić; nie śmiechże to takiemu żenić się? Powiedz, mamo.

— Skądże ty o tem wiesz? i co cię to obchodzi? to wcale nie dla ciebie rozmowa, a przytem, ten chłopak mógł być wściekły.

— Gdzież mama widziała wściekłych chłopców?

— Mógł go przecie ukąsić wściekły pies i skutkiem tego chłopak rzuca się na ludzi; nie byłoby w tem nic dziwnego. Jak ona panu doskonale obandażowała rękę, jabym tak nigdy nie potrafiła. Czujesz pan jeszcze ból?

— Daleko mniejszy.

— A nie masz pan wodowstrętu? — pytała Liza.

— Dosyć już tego, Liza. Być może, że wymknęło mi się niepotrzebnie o tym wściekłym chłopcu, a ty już korzystasz z tego i na wszystkie strony nicujesz moje powiedzenie. Aleksy Fedorowiczu, Katarzyna Iwanowna dowiedziała się, że pan jest tutaj i gorąco pragnie widzieć się z panem.

— Ach, mamo! idź do niej sama, on jeszcze nie może, zanadto go boli.

— Ależ nie, mogę zaraz pójść — przeczył Alosza.

— Zaraz pójść! — a! tak — to pan taki.

— Cóż to złego. Chcę obaczyć jaknajprędzej Katarzynę Iwanownę, bo mam do niej pilny interes, a przytem muszę dziś wcześnie wrócić do klasztoru.

— Weź go, mamo, stąd, i to jaknajprędzej. Idź pan, idź rozmawiać z Katarzyną, a potem możesz wracać prosto do swojego klasztoru, a do mnie możesz się już wcale nie trudzić, spać chcę, nie spałam przecie całą noc.

— Niestety, to tylko żart z twojej strony, ale gdybyś ty naprawdę zasnęła.

— Jeżeli pani chce, to zostanę tu na jakie trzy minuty jeszcze, może nawet na pięć, wyjąkał Alosza.

— Na pięć minut! Boże, co za szczęście! Zabierz go, mamo, zabierz stąd tego potwora.

— Oszalałaś, Lizo, co ty wygadujesz? taka dziś jesteś rozkapryszona. Widzi pan, boję się jej sprzeciwiać, żeby znowu nie dostała ataku. Chociaż, kto wie, może naprawdę jest senna. Jak wy na nią cudownie działacie, Aleksy Fedorowiczu.

— O, to mama ładnie powiedziała, niech cię uściskam.

— Najchętniej, złoto moje. Posłuchaj pan — szeptała tajemniczo pani Chachłakow, wyszedłszy z Aloszą — pójdź pan i sam zobacz, co się tam dzieje w salonie — najdziwniejsza w świecie komedya. Ona kocha pańskiego brata, Iwana, a wmawia w siebie i w drugich, że kocha Dymitra. To rozpacz, doprawdy. Chodźmy tam do nich, może doczekamy się jakiego rozsądnego końca.

W chwili, gdy weszli do salonu, rozmowa Iwana i Katarzyny kończyła się już widocznie. Katarzyna była mocno wzburzona, Iwan zaś wstawał już, aby się pożegnać. Wyglądał blado, co Alosza zauważył z niepokojem. Alosza rozstrzygnąć chciał wreszcie ważną dla siebie i niepokojącą go oddawna zagadkę. Od niejakiego czasu słyszał wciąż z różnych stron, że Iwan kocha Katarzynę i chce ją odbić bratu Dymitrowi. Myśl o tem współzawodnictwie między braćmi, którzy obaj byli mu drodzy, trapiła go mocno, mimo, że Dymitr utrzymywał sam, że Iwan godniejszy jest Katarzyny od niego, że miłość ich ku sobie byłaby mu bardzo na rękę. Dlaczego? Czyżby chciał żenić się z Gruszą? Byłby to, zdaniem Aloszy, krok rozpaczliwy. Prócz tego, jeszcze do wczorajszego wieczora Alosza wierzył święcie, że Katarzyna kocha do zapamiętania Dymitra, takim, jak jest, pomimo całą dziwaczność takiej miłości. W czasie jednak sceny z Gruszą, coś mu z tej pewności odpadło, scena ta śniła mu sie przez całą noc, a gdy się nad ranem obudził, pomyślał o tem wszystkiem, że to tylko szarpanie się, a teraz pani Chachłakow użyła tegoż wyrażenia, określając uczucia Katarzyny. Przytem uparte i stanowcze twierdzenie pani Chachłakow, że Katarzyna kocha Iwana, a tylko oszukuje sama siebie, zmusza sie do miłości dla Dymitra, zrobiło na nim silne wrażenie. "A może to w istocie

prawda. Ale w takim razie, jakież jest położenie Iwana?" Alosza czuł instynktem, że taki charakter, jak Katarzyny, musi panować i rządzić, a rządzić mogłaby może Dymitrem, nigdy Iwanem. Dymitr, nie zaraz może, ale w przyszłości, ukorzyć się mógł przed nią i czuć się z tem szczęśliwym, Iwan nigdy. Iwan nie ukorzyłby się przed nią, a przytem ukorzenie takie nie dałoby mu szczęścia. Wszystkie te przypuszczenia i wątpliwości przemknęły mu się przez głowę w chwili, gdy wchodził do salonu. Na domiar przychodziło mu czasem do głowy jeszcze jedno. A jeżeli wogóle nie zdolna jest nikogo kochać? Myśli takie odganiał od siebie, strofując się sam za nie. Cóż ja wiem o miłości i o kobietach, jakie prawo mam wydawać sąd o rzeczach, których nie rozumiem".

A przecież wydawało mu się koniecznem wyrobić sobie jakieś własne zdanie, zdawał sobie bowiem sprawę z niesłychanej doniosłości tej rywalizacyi między braćmi. Wczoraj Iwan, mówiąc o ojcu i Dymitrze, wyraził się o nich; "niech się żrą gady". Zatem w oczach Iwana Dymitr jest gadem. Czy zawsze miał o nim takie mniemanie? czy może dopiero od czasu poznania Katarzyny słowa te wyrwały mu się mimowoli, tem ważniejszy stanowiły dokument. Jeśli tak, to cóż będzie w przyszłości? czy w rodzinie ich nigdy nie będzie spokoju? A, co najważniejsza, po czyjej tu być stronie, kogo żałować? czego dla każdego z nich pragnąć wśród tych strasznych przeciwieństw? można się tu było łatwo splątać i zgubić, a Alosza nie znosił takiego stanu niepewności, gdyż miłość jego miała charakter czynny. Kochać biernie nie umiał, kochając musiał natychmiast brać czynny udział i pomagać, a do tego trzeba sobie było postawić jasny cel i dążyć do niego. A jak tu postawić sobie jasny cel tam, gdzie wszystko niejasne jest i splątane, jak znaleźć słowo zagadki?

Obaczywszy wchodzącego do salonu Aloszę, Katarzyna ucieszyła się bardzo i wstrzymała oddalającego się Iwana.

— Minutę jeszcze, zostań pan jeszcze minutę. Chciałabym usłyszeć koniecznie zdanie tego oto człowieka, któremu tak bardzo wierzę. Niech pani posłucha, także — dodała, zwracając się do pani Chachłakow. Posadziła Aloszę obok siebie, pani Chachłakow usiadła naprzeciw.

— Wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi, drogimi, bliźnimi ludźmi, — zaczęła gorąco głosem, w którym drgały zły. Alosza uczuł odrazu wielkie dla niej współczucie, a serce jego zwróciło się znów ku niej.

— Aleksy Fedorowiczu, pan byłeś wczoraj świadkiem tej okropnej sceny, widziałeś wszystko. Pan tego nie widziałeś, Iwanie Fedorowiczu, ale on widział. Co pomyślał o mnie, niewiem? ale to wiem, że gdyby to, co wczoraj, powtórzyło się dzisiaj, to postąpiłabym zupełnie tak samo, w każdym szczególe, w każdem słowie, w każdym ruchu. Pan musisz pamiętać moje ruchy, Aleksy Fedorowiczu, pohamowałeś jeden z nich. — Tu Katarzyna zarumieniła się mocno.

— Otóż oznajmiam panu, Aleksy Fedorowiczu, że nie jestem zdolna do rezygnacyi. Co się tyczy miłości mojej, sama już nie wiem, czy go kocham, czuję obecnie nad nim litość, a to zły znak, gdybym go kochała, powinnabym go raczej nienawidzieć. — Głos jej zadrżał i łzy zawisły jej na rzęsach. Alosza uczuł, że dziewczyna jest w tej chwili zupełnie szczera i mówi prawdę.

— Tak, ona już nie kocha Dymitra, — pomyślał.

— Doskonale mówisz — zawołała pani Chachłakow.

— Poczekajcie, nie skończyłam jeszcze — mówiła Katarzyna. — Nie powiedziałam tego, co najważniejsze. Oto tej nocy powzięłam postanowienie, może ciężkie dla siebie, ale którego na pewno nie zmienię. Drogi mój, kochany, wielkoduszny doradca, głęboki znawca serc ludzkich, jedyny przyjaciel, jakiego mam na świecie, Iwan Fedorowicz, zna moje postanowienie i nie sprzeciwia mu się, owszem, utwierdza mnie w niem i pochwala.

— Tak jest, znam to postanowienie i pochwalam je — przemówił cicho, lecz stanowczo Iwan Fedorowicz.

— Ale pragnęłabym jeszcze usłyszeć zdanie Aloszy, przebacz mi pan, Alosza Fedorowiczu, że tak poufale pana nazywam. Chcę, aby Alosza powiedział mi tu w obecności życzliwych mi świadków, czy mam słuszność, czy nie? Alosza! bracie drogi (bo będę cię zawsze uważała za brata) — mówiła w najwyższem uniesieniu, chwytając rozpalonemi dłońmi chłodne jego ręce, — czuję, że to tylko, co pan mi doradzi, co pan postanowi, uspokoi mnie

i pogodzi z losem. Przeczuwam to sercem.

— Niewiem, o co mnie pani chce zapytać, — odparł Alosza z zapłonioną twarzą, — wiem tylko, że życzę pani daleko, daleko lepiej, niż sobie samemu, tylko ja się tak nic nie rozumiem na tych rzeczach, — dodał pośpiesznie.

— Na tych rzeczach! Ach, Aleksy Fedorowiczu, na tych rzeczach, mówi pan. Tu chodzi przedewszystkiem o honor i powinność i o coś wyższego może jeszcze nad powinność. Przeczuwam sercem to coś niezmożonego, co mnie ku sobie ciągnie i wlecze mnie za sobą. Powiem zresztą w dwóch słowach. Gdyby się on nawet ożenił z tą, tą bezwstydną dziewczyną, której nigdy nie przebaczę, to ja i tak nie opuszczę go. Nigdy, nigdy go nie opuszczę — mówiła z wysiłkiem, w jakiejś sztucznej, wymęczonej egzaltacyi. — To nie znaczy, żebym się wciąż za nim wlokła, narzucała mu swoją obecność.

O nie, nie! odjadę stąd i mieszkać będę w innem mieście, ale przez całe moje życie śledzić będę nieustannie za każdym jego krokiem. Gdy będzie nieszczęśliwy z tamtą, co niewątpliwie prędko nastąpi, niech przyjdzie do mnie, a znajdzie wówczas we mnie siostrę, tylko siostrę, i tak na wieki. Wtedy przekona się wreszcie, że ta kochająca siostra przyniosła mu w ofierze całe swoje życie. Zdobędę sobie wreszcie jego ufność, nie będzie się wstydził wyznać mi wszystko, — wołała w zapamiętaniu, — będę mu, jak Bóg, do którego modli się z ufnością, tyle mi przynajmniej został winien za swoją zdradę, za wszystko, com przez niego wycierpiała... Niechże on wie, niech zawsze pamięta, że wiecznie, przez całe życie, pozostanę wierną danemu słowu, mimo, że on je złamał. Ja mu będę... ja będę przyczyną jego szczęścia, środkiem, i że tak powiem, narzędziem jego szczęścia, maszyną, fabrykującą jego szczęście. I tak przez całe życie i on to musi wiedzieć, musi wiedzieć o tem przez całe życie. Takie jest moje postanowienie, a Iwan Fedorowicz rozumie je i pochwala.

Tchu jej brakło. Prawdopodobnie miała zamiar wyrazić swoją myśl spokojniej, prościej, z większą godnością, ale podniecenie, w jakiem się znajdowała, poniosło ją trochę za daleko, i wypowiedziała się zanadto bezwzględnie i bez zastrzeżeń. Przemawiała przez nią obrażona duma i chęć odwetu za wczorajsze upokorzenie.

Uczuła to sama i twarz jej spochmurniała, oczy błysnęły gniewem. Alosza obserwował ją pilnie i zauważył wszystkie te zmiany. Iwan zaś dodał, jakby uzupełniając jej mowę.

— W każdej inne kobiecie postępowanie takie wydaćby się mogło nienaturalne i sztuczne, ale pani ma słuszność, jako istota wyjątkowa: Niewiem, czem umotywować moje przekonanie, ale pewien jestem, że pani ma słuszność, — i że postanowienie pani jest zupełnie szczere.

— Być może, ale to skutek wczorajszej urazy — wymknęło się pani Chachłakow, która widocznie miała zamiar nie mieszać się do rozmowy, nie mogła się jednak wstrzymać od wygłoszenia, tej zresztą bardzo trafnej, uwagi.

— Tak, tak — przerwał niechętnie Iwan, niezadowolniony widocznie jej uniesieniem się. — W każdej innej kobiecie mógłby to być chwilowy poryw, wrażenie przelotne ,ale to, co dla innej byłoby tylko pusto brzmiącym frazesem, staje się w ustach Katarzyny Iwanownej świętem i wieczno trwałem postanowieniem. Będzie to trudny, ciężki może, ale wiernie spełniany obowiązek. Odtąd — dodał, zwracając się bezpośrednio do Katarzyny — pani stanie się jednym ciągiem poświęceń i bolesną kontemplacyą własnej ofiary, własnej cnoty i własnej niedoli. Ale z czasem cierpienie pani złagodzone zostanie dumnem poczuciem spełnionej ofiary i życie pani upłynie na słodkiem rozpamiętywaniu własnego tryumfu z powodu wypełnienia, rozpaczliwego może, ale w każdym razie śmiałego i dumnego postanowienia. — Wypowiedział to wszystko dobitnie, nie starając się nawet ukryć złośliwej i ironicznej intencyi.

— Boże, jakie to wszystko nienaturalne — zauważyła znów pani Chachłakow.

— A pan, Aleksy Fedorowiczu, jakie jest pańskie zdanie? muszę je znać koniecznie, koniecznie, — wołała Katarzyna, zalewając się łzami.

Alosza, zmieszany, powstał.

— To nic, to nic, — mówiła Katarzyna, wciąż płacząc, — zdenerwowana jestem i zmęczona wczorajszą nocą, ale w obecności dwóch takich przyjaciół, jakimi wy obaj dla mnie jesteście, czuję się silniejsza i rześwa. bo wiem, że wy mnie nigdy nie opuścicie.

— Bardzo mi przykro, ale prawdopo-

dobnie jutro będę musiał odjechać do Moskwy, i to na nieszczęście, na długo, zmuszony więc jestem opuścić panią, — przemówił nagle Iwan.

Katarzyna zmieniła się nagle do niepoznania, łzy tak obfite przed chwilą znikły, gdzieś bez śladu, wyraz twarzy stał się z początku dziwnie chłodny, a potem jakby rozpogodzony.

— Pan wyjeżdża do Moskwy, ach jak dobrze — zawołała, a potem dodała, jakby poprawiając się. — Nie to dobrze, że pan wyjeżdża, tego przecież nie mogłam myśleć, o co mnie zresztą taki przyjaciel, jak pan, posądzać nie może. — Owszem, ogromnie mi będzie przykro utracić pana na czas jakiś, ale to się wybornie składa, że pan będzie mógł wyjaśnić osobiście siostrze mojej i ciotce wszystko, co się tu stało. Właśnie dręczyła mnie myśl, jak ja im to wszystko napiszę, a teraz przyjdzie mi to o wiele łatwiej, skoro wiem, że pan potrafi im przedstawić rzecz całą uwzględniając ich wrażliwość — mówiąc to, podała obie ręce Iwanowi, ściskając serdecznie jego dłoń. Alosza zdumiony był niesłychaną szybkością, z jaką ta przed chwilą jeszcze rozżalona i bezradna dziewczyna, przedzierzgnęła się w wytrawną i panującą nad sobą damę, pokrywającą światowym uśmiechem wewnętrzne swoje wrażenia.

— W tej chwili napiszę do ciotki — skończyła Katarzyna i zrobiła ruch, jakby chciała wyjść z salonu.

— A Alosza? Pragnełaś przecie tak bardzo usłyszeć zdanie Aleksego Fedorowicza — zauważyła pani Chachłokow. tonem cokolwiek zjadliwym; — zapomniałaś już o tem widocznie.

— Wcale nie zapomniałam — broniła się Katarzyna — i zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani jest dziś tak wrogo dla mnie usposobiona i to w takiej chwili. Przeciwnie, nigdy goręcej nie pragnęłam usłyszeć z ust jego wyroku, do którego zastosuje się napewno. Oto do jakiego stopnia cenię jego zdanie. Proszę, mów pan, Aleksy Fedorowiczu, z niecierpliwością oczekuję słów pańskich.

— Nigdyby mi nic podobnego na myśl nie przyszło, nie rozumiem tego zupełnie — zawołał gorąco Alosza.

— Czego pan nie rozumie?

— On zapowiada, że jedzie do Moskwy, a pani woła natychmiast, że to bardzo szczęśliwie; mówi to pani umyślnie, a za chwilę znów upewnia go pani, że owszem, przykro jej bardzo tracić przyjaciela, a i to także nieszczerze, zupełnie jakby pani odgrywała rolę w teatrze.

— W teatrze? Cóż to jest? cóż to znaczy? — zawołała Katarzyna, osłupiała z oburzenia, czarne jej brwi zmarszczyły się gniewnie.

— Upewnia go pani o swojej przyjaźni, a jednocześnie cieszy się pani jego wyjazdem — mówił dalej Alosza, nie tracąc odwagi.

— Nie rozumiem, do czego to zmierza.

— Ja sam nie wiem, ale mam w tej chwili jakby objawienie. Wiem, że takich rzeczy nie należy mówić, ale mimo to, powiem, muszę powiedzieć. Pewny jestem prawie, że pani nie kocha brata mego, Dymitra, a może go pani nawet nigdy nie kochała; on także nie kocha pani, ma tylko dla pani duży szacunek. Ja, doprawdy, sam się dziwię, że odważam się takie rzeczy mówić, ale trzeba, żeby ktoś przecie powiedział prawdę, a nikt nie chce.

— Jaką prawdę?! — krzyknęła Katarzyna, a w głosie jej czuć było już histeryczne rozdrażnienie.

— Taką oto — omówił Alosza tonem człowieka, który zdecydował się na trudny i ryzykowny krok, — że trzeba sprowadzić tu brata mego, Dymitra; gotów jestem w tej chwili sam pójść po niego, i niech on weźmie panią za rękę i odda tę rękę Iwanowi, bo pani dręczy Iwana, dlatego tylko, że go pani kocha, i dręczy pani sama siebie miłością dla Dymitra, którą pani w siebie wmówiła, a która jest dla pani męką i wysiłkiem, a przedewszystkiem kłamstwem.

Alosza umilkł.

— Pan... pan oszalał — szepnęła Katarzyna, blada i z zaciętemi gniewnie usty.

Iwan rozśmiał się na głos, a wstawszy z miejsca, wziął Alosze za rękę.

— Omyliłeś się, mój dobry Alosza — rzekł z wyrazem twarzy, jakiego Alosza nigdy jeszcze u niego nie zauważył. Był to wyraz jakiś młody, szczery, prawie dobroduszny. — Katarzyna Iwanowna nie kochała mnie nigdy, ani przez chwilę. Wiedziała, że ja kocham, mimo, żem jej nigdy o tem ani słowem nie wspomniał, ale nie śniło się jej nawet odpłacać mi miłością. I przyjacielem jej nie byłem nigdy, ani przez jeden dzień; za dumna jest na to, aby potrzebowała czyjejś przyjaźni. Trzymała mnie przy sobie, by mścić się na mnie za wszy-

stkie zniewagi, jakie jej wyrządził i wyrządza Dymitr, bo w stosunku ich ze strony Dymitra były same tylko zniewagi, i to od pierwszego spotkania. Bo już pierwsze ich ze sobą spotkanie zostało w jej sercu jako wspomnienie obrazy. Taką już jest. Ja musiałem tylko wciąż wysłuchiwać wynurzeń jej o miłości dla Dymitra.

Odjeżdżam więc, a przed odjazdem upewniam panią, i niech pani wierzy, że serce pani należy wyłącznie do Dymitra. Kocha go pani tem więcej, im bardziej on panią obraża i znieważa. Kocha go pani takim, jak jest, a gdyby się zmienił, przestałabyś go pani natychmiast kochać. To wysiłek dumy, potrzebny pani dla uwydatnienia wierności swej, w przeciwieństwie do jego zdrady. Nie obeszło się tu, zapewne, bez upokorzeń i poniżenia, ale i te płyną u pani wyłącznie z dumy. Młody jestem i kocham panią bardzo. Wiem, że się takich rzeczy nie mówi, i że o wiele przyzwoiciej i godniej byłoby z mojej strony, odejść, nie mówiąc ani słowa, a i dla pani byłoby to może mniej obrażające. Ale wyjeżdżam daleko, i na długo, na wieki, bo nie wrócę już tu nigdy... Nie chce być dla pani jeszcze jednem źródłem nadmiernych i szarpiących wysiłków... Niemam nic więcej do powiedzenia. żegnam panią, Katarzyno Iwanówno, i proszę, nie miej pani do mnie żalu, bo ukarany jestem gorzej, niż pani, choćby dlatego, że więcej już pani nie zobaczę. Proszę, nie podawaj mi pani ręki na pożegnanie, nie, nie, za bardzo mnie pani dręczyła, i to całkiem świadomie, bym mógł pani teraz przebaczyć. Potem, kiedyś — może. Dziś nie byłbym w stanie dotknąć ręki pani.

“ Den Dank o Dame, begehre ich nicht” — dodał z gorzkim uśmiechem, zdradzając się całkiem niespodzianie przed Aloszą, że i on także czytuje poezye i potrafi je zacytować. Potem wyszedł, nie żegnając się nawet z gospodynią domu, panią Chachłakow.

Alosza załamał ręce.

— Iwanie! — zawołał, biegnąc za bratem — wróć! Iwanie! Ach, nie, on teraz nie wróci, za nic nie wróci — powtarzał zrozpaczony. — To moja wina, ja zacząłem. Iwan mówił to wszystko tak złośliwie, niesprawiedliwie, tak niedobrze. On powinien koniecznie wrócić... koniecznie... — powtarzał nawpół nieprzytomny.

Katarzyna wyszła z pokoju.

— Nic się nie stało, i nic pan złego nie zrobił — szepnęła Aloszy pani Chachłakow, a w głosie jej czuć było szczery zachwyt, Dołożę wszelkich starań, aby Iwan nie odjechał. — Radość błysnęła w jej oczach, ku wielkiemu zgorszeniu Aloszy.

Katarzyna Iwanówna weszła znów do salonu, niosąc w ręku dwa pieniężne banknoty.

— Mam do pana wielką prośbę — rzekła, zwracając się do Aloszy, tonem tak równym i spokojnym, jakby przed chwilą nic nadzwyczajnego nie zaszło. — Przed tygodniem brat pański Dymitr popełnił czyn bardzo zły i niesprawiedliwy. Oto w jednej z tutejszych podrzędnych restauracyi spotkał się z pewnym starym dymisyonowanym oficerem, do którego miał jakąś urazę. Rozgniewawszy się na niego, Dymitr Fedorowicz wywlókł starca za brodę przy wielu świadkach, i wlókł go tak dłuższy czas po ulicy jeszcze, wśród śmiechu i drwin gawiedzi.

Podobno mały synek tego oficera, uczeń tutejszej szkoły ludowej, biegł za nim, płacząc, prosząc i błagając wszystkich o pomoc. Oczywiście, wszyscy się śmieli i nikt na malca nie zwrócił uwagi.

Daruj mi pan, Aleksy Fedorowiczu, ale nie jestem w stanie mówić spokojnie o tym jego postępku, na który tylko taki człowiek, jak on, mógł się zdobyć, w namiętnej wściekłości i gniewie. Poprostu nie znajduję słów na wyrażenie swoich uczuć. Zasięgnęłam informacyi o tym pokrzywdzonym starcu i dowiedziałam sie, że to bardzo biedny, nieszczęśliwy człowiek. Wyrzucono go ze służby, niewiem już dobrze, za co — obarczony jest liczną rodziną, ma dzieci chore, żona obłąkana. Trudni się jakiemś przepisywaniem, ale właściwie nic prawie nie zarabia. Pomyślałam sobie wtedy o panu. To jest, chciałam prosić... Doprawdy, niewiem jak to powiedzieć — chciałam prosić pana, żeby pan był tak dobry i poszedł sam do tego biedaka. Nazwisko i adres ja panu dostarczę. I tak delikatnie, ostrożnie, jak tylko pan jeden potrafi...

Alosza zarumienił się.

— Trzeba mu oddać te pieniądze. Niech pan nie myśli, żebym chciała płacić pieniędzmi za obrazę. Nie, ale pan to już potrafi, mój dobry panie, tak oddać żeby on mógł przyjąć. Nie od Dymitra przecież, ale odemnie, jego narzeczonej. On biedak,

potrzebuje. Trzeba zaraz, jaknajprędzej. Do widzenia.

Tu odwróciła się i wyszła tak szybko, że Alosza nie zdążył odpowiedzieć jej ani słowa. A tak miał ochotę coś odpowiedzieć. Chciał prosić o przebaczenie, obwinić siebie, powiedzieć co bądź, bo serce miał przepełnione.

Ale Katarzyny już nie było, a pani Chachłakow ujęła go za rękę i wyprowadziła prawie przemocą.

— Dumne serce, ale szlachetna, dobra, wielkoduszna istota. Gdyby pan wiedział, jak serdecznie ją kocham, zwłaszcza czasami. A czy pan wie, że my wszystkie ja, obie ciotki Katarzyny, nawet Liza, od miesiąca błagamy ją i namawiamy, jak możemy, żeby już raz porzuciła tego waszego Dymitra, który o nią wcale nie dba, i żeby została żoną Iwana Fedorowicza, który jest rozumny, niepospolity, doskonale wychowany człowiek, a przytem kocha ją nad wszystko w świecie. Tak pragnę, żeby się to wreszcie stało, i głównie dlatego nie wyjeżdżam stąd.

— Ale ona znów płakała, uraziłem ją — wołał Alosza.

— Nie wierz pan kobiecym łzom, Aleksy Fedorowiczu, w takich razach jestem zawsze po stronie mężczyzn.

— Psujesz go, mamo — zadźwięczał z za drzwi przenikliwy głosik Lizy.

— Ach nie, to moja wina, ja jestem przyczyną wszystkiego — powtarzał niepocieszony Alosza w przystępie szalonego zawstydzenia z powodu swego wystąpienia w sprawie miłości Iwana i Katarzyny.

— Ależ przeciwnie, postąpiłeś pan, jak anioł, jak anioł, powiadam panu — uspokajała go pani Chchłakow.

— Mamo? W czemże to on postąpił, jak anioł? — pytała Liza.

— Patrząc na to wszystko, wyobraziłem sobie nagle, że ona kocha Iwana, i powiedziałem to głupstwo. Cóż teraz będzie?

— Kto? Kogo? Mamo, czy chcesz mnie zabić? — nalegała Liza. — Pytam, pytam, a nikt mi nie odpowiada.

— W tejże chwili wbiegła pokojówka.

— Katarzyna Iwanowna zasłabła, dostała ataku, płacze.

— Ach, mamo, i mnie niedobrze, i ja dostanę ataku — wołała Liza.

— Liza, na miłość Boga, nie krzycz, nie dobijaj mnie. W twoich latach nie możesz jeszcze wszystkiego wiedzieć. Jak wrócę od Katarzyny, to opowiem, co możesz wiedzieć. Dostała ataku, ach Boże, jak to dobrze, to doskonale, tak właśnie powinno być. Liza! biegnij i powiedz tam, że zaraz będę, że za chwilę tam będę... Katarzyna sama sobie winna, że Iwan tak wyszedł, ale on nie pojedzie, już ja go zatrzymam. Liza! na miłość Boga, nie krzycz. Acha, prawda, że to nie ty krzyczysz, tylko ja. Daruj swojej matce, ale taka jestem teraz szczęśliwa, szczęśliwa!

A czy uważałeś pan, Alosza, jak Iwan przemówił młodo, tak jakoś z zapałem, jak chłopak naprawdę młody, czujący. Ja myślałam, że jest on tylko mądry uczony, profesor, a on postąpił sobie, jak młodzieniec, gorąco, popędliwie, tak sympatycznie, i jeszcze ten wierszyk niemiecki przytoczył. Ślicznie to było. Teraz idź pan, Aleksy Fedorowiczu, spełnić polecenie Katarzyny. Załatw je pan jaknajprędzej i powracaj tutaj.

Pani Chachłakow wyszła nareszcie, Alosza zaś chciał przed wyjściem zamienić parę słów z Lizą.

— Za nic, za nic — wołała Liza. — Nie wchodź pan teraz do mnie. Powiedz mi tylko przez drzwi, co zrobiłeś pan, jak anioł. To jedno chcę wiedzieć.

— Zrobiłem wielkie głupstwo, Lizo. Bądź zdrowa.

— Jak pan śmiesz wychodzić — wołała Liza.

— Daj pokój, Lizo, mam poważne zmartwienie, zupełnie poważne.

I wybiegł z pokoju.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

CZĘŚĆ TRZECIA

I.

NĘDZARZE.

Alosza był istotnie poważnie zmartwiony. Nie mógł sobie darować wystąpienia swego, które uważał za zuchwałe i niedorzeczne.

— O Boże — myślał — starzec posłał mnie w świat dla pogodzenia i uspokojenia zwaśnionych, tak to spełniłem jego rozkaz? Cóż stąd, że działałem szczerze i z dobrymi zamiarami, to nie dosyć, trzeba przedewszystkiem mieć rozum i umiejętność życia.

Tak był zbolały, że nie potrafił nawet żartować z własnych błędów.

Spełniając polecenie Katarzyny, udał się na ową wskazaną sobie odległą uliczkę, poszukując skrzywdzonego przez Dymitra starca. W opowiadaniu tem uderzył go najbardziej szczegół o płaczącym malcu, który usiłował oswobodzić ojca z rąk prześladowcy. Przeczucie mówiło mu, że musiał to być niezawodnie ten sam dzieciak, który się dziś tak wrogo względem niego zachował. Rozmyślając o tem wszystkiem, co zaszło, postanowił nie trapić się napróżno tem, czego już odwołać nie można, ale działać czynnie i, o ile można, najpożyteczniej, a co ma być, niech będzie. Po drodze wstąpił do brata, Dymitra, którego jednak nie zastał. Gospodarz jego, tj. pewien stary stolarz, żona jego i syn, przyjęli Aloszę niechętnie i podejrzliwie. Na pytanie, gdzie się Dymitr znajduje, odpowiedzieli mu, że już trzeci dzień w domu nie nocuje, i że zgoła nie wiedzą, gdzie jest. Widocznie trzymali sie ściśle z góry otrzymanych instrukcyi. Alosza próbował dać im do poznania, że wtajemniczony jest w życie brata. Zagadywał o Grusze, i o ustronie, w którem Dymitr zwykł był na nią oczekiwać, nic to nie pomogło, zachowywano się względem niego z niezmienną powściągliwością. "Widocznie kochają tu Dymitra, — pomyślał sobie — to dobrze."

Wreszcie odnalazł mieszkanie byłego oficera, które znajdowało się w pochyłym, nawpół zrujnowanym podmiejskim domku. Dopytawszy się z trudnością o niego głuchej jego gospodyni, zastukał do drzwi, które mu wskazano. Po dziesięciu prawie sekundach głos jakiś opryskliwy i gniewny odpowiedział mu z wnętrza:

— A kto tam? i czego?

Alosza otworzył wtedy drzwi i przekroczył próg izby, bardzo nawet obszernej, ale niesłychanie zastawionej rozmaitymi sprzętami i rupieciami. Na lewo wznosił się ogromny rosyjski piec. Od pieca ku lewej ścianie przeciągnięty był sznur, na którym rozwieszone były rozmaite łachmany. Po obu stronach izby pod ścianami stały dwa łóżka, zasłane szynelkowemi kapami. Na jednem z nich znajdował się cały stos poduszek, coraz to mniejszych, na drugiem jedna tylko mała poduszeczka. Okna miały szyby stare, zielone, tęczowe aż od starości, przepuszczały też bardzo mało światła, a były tak szczelnie zamknięte, że nie dawały wcale przystępu powiewom świeżego powietrza, to też w izbie duszno było i ciemno.

Pod jednem oknem stał stół drewniany prosty, kuchenny, na którym znajdowała się patelnia z resztkami jajecznicy, przy tem nadgryziona kromka chleba, prócz tego butelka piwa z niedopitemi resztkami na dnie. Na krześle, obok jednego z łóżek, siedziała kobieta o wyglądzie damy, ubrana w perkalową suknię. Twarz miała chudą i żółtą, policzki zapadłe i wszystko w niej zdradzało wielkie wycieńczenie i chorobę. Przedewszystkiem jednak uderzył Aloszę wzrok biednej "damy", wyrażającej jednocześnie jakby zdziwienie i dumę. Alosza zauważył, że przez ciąg rozmowy jego z go-

spodarzem domu, dama wodziła wciąż za nimi swemi wielkiemi czarnemi oczami, przenosząc pytający wzrok z jednego na drugiego. Obok niej stała młoda dziewczyna, dość brzydka, o rudych włosach, ubrana ubogo, ale starannie; ta patrzyła niechętnie i chmurnie na wchodzącego Aloszę. Obok drugiego łóżka siedziało na krześle nieszczęśliwe jakieś pokrzywione stworzenie. Była to także młoda dziewczyna, garbata i bez nóg, której nogi uschły, jak potem objaśniono Aloszę. Kule, których widocznie używała, stały obok niej za łóżkiem. Biedna kaleka miała niezwykle piękne i dobre oczy, któremi spojrzała na Aloszę spokojnie i łagodnie. Przy stole siedział, kończąc jajecznicę, mężczyzna lat około 55, mały, chudy, wątły z ryżemi włosami i takąż bródką. Był to widocznie gospodarz domu, który za wejściem Aloszy zerwał się z miejsca i pośpieszył na jego spotkanie.

— Mnich po kweście, rzeczywiście ładnie się wybrał, — przemówiła opryskliwie ruda dziewczyna, stojąca pod oknem.

— Mylisz się, moja córko, — przerwał rudy jegomość. — Pozwól pan, swoją drogą, zadać sobie pytanie, co mogło sprowadzić pana w nasze nizkie progi? — dodał, zwracając się do Aloszy.

Alosza spojrzał na niego uważnie. Człowieka tego widział poraz pierwszy. Twarz jego łączyła w sobie wyraz krańcowej popędliwości, zmieszanej w dziwny sposób z widoczną trwożliwością. Wyglądał on na człowieka, który zdolny był długo wysługiwać się i znosić, ale mógł też nagle wybuchnąć protestem. Albo, lepiej jeszcze, robił wrażenie kogoś, który ma niezmyśloną ochotę uderzyć swego gościa, a jednocześnie okropnie się tego boi. W dźwiękach przyciszonego jego głosu, słychać było jakby rozpaczliwy humor, nie zupełnie normalny, a w intonacyi, z jaką wspomniał o "nizkich progach" czuć było coś jednocześnie trwożliwego i wyzywającego.

Po wejściu Aloszy, skoczył na jego powitanie tak gwałtownie, że Alosza cofnął się, mimowoli, o krok w tył. Ubrany był ów jegomość w stary, zniszczony nankinowy paltot, i jasne niegdyś poplamione, nasiaste spodnie z jakiejś bardzo cienkiej i wiotkiej materyjki.

— Jestem Aleksy Karamazow, — przedstawił się Alosza.

— Mam honor domyślać się — odciął gospodarz, dając do poznania, że i bez przedstawienia wie, z kim ma do czynienia.

— Pragnąłem jednak dowiedzieć się, co właściwie mogło skłonić...

— Przyszedłem tu... To jest w samej rzeczy chciałbym pomówić z panem słów parę, jeśli pan pozwoli.

— W takim razie "zechciej pan zająć miejsce", tak przynajmniej mówią zwykle w teatrze, w salonowych komedyach. — Mówiąc to, były oficer wysunął na środek pokoju prosty, drewniany stołek, który wskazał Aloszy, sam zaś usiadł naprzeciw, na drugim, podobnym, tak blizko, że dotykał prawie kolanami kolan Aloszy.

— Jestem Śniegirow, — mówił przedstawiając się, — były sztabs kapitan rosyjskiej piechoty, co prawda, trochę skompromitowany, ale zawsze były oficer. Należałoby raczej nazwać sie panem Sumitonow, bo od drugiej połowy życia zacząłem się ludziom sumitować, do czego człowiek, żyjący w poniżeniu, bywa często zmuszony.

— Słuszna uwaga, — uśmiechnął się Alosza.

— Widzę, że pan pojmujesz moje położenie i okazujesz mi pewne zainteresowanie, czem jednak mogłem wzbudzić taką ciekawość? bo żyjemy tu na stopie skromnej, nieodpowiedniej do przyjmowania wizyt.

— Przyszedłem tu w tej samej sprawie.

— Jakto w tej samej? — przerwał niecierpliwie Śniegirow.

— W sprawie zajścia, jakie pan miał z bratem moim Dymitrem.

— Jakiego zajścia? No — tu chodzi o owe miotełki. — Mówiąc to, Śniegirow przysunął sie tak blizko, że przycisnął kolanami swego gościa, a wargi zaciął tak, że wyglądały jak dwie wązkie niteczki.

— O jakich miotełkach pan mówi? pytał Alosza.

— To on, pano, z pewnością przyszedł się na mnie skarżyć — przemówił z za firanki dziecinny głosik, w którym Alosza poznał głos dzisiejszego swego napastnika. — Ja go dziś w palec ukasiłem. — W tej chwili firanka się rozsunęła i ukazał się za nią wtulony w kącie pod obrazami chłopak, okryty studenckim swym paltocikiem i jeszcze jednem starem, watowem okryciem.

Malec był widocznie chory, a po błyszczących oczach poznać można było, że

ma gorączkę. Patrzył na Aloszę zupełnie inaczej, niż zrana, śmiało i spokojnie, a wzrok ten zdawał się mówić. — "teraz się ciebie nie boję, w domu mi nic nie zrobisz".

— To on pana w palec ukąsił? — zawołał były oficer, zrywając się z krzesła.

— Tak. Spotkałem go na ulicy, bijącego się z sześciu chłopakami, którzy rzucali na niego kamieniami. Zbliżyłem się do niego. pytając o przyczynę, ale on i we mnie cisnął kamieniem, a potem ukąsił mocno w palec, nie wiem za co.

— Różgami go wysiekę, tak rózgami, — wołał Sniegirow.

— Ja się wcale nie skarżę, i nie pragnę bynajmniej, abyś go pan rózgami siekł. — Opowiedziałem tylko jak było.

— A to pan sobie wyobrażał, że ja go naprawdę wysiekę, że ja dla pańskiej przyjemności siec będę rózgami swego małego Iljuszkę? — mówił były oficer, zwracając się ku Aloszy takim ruchem, jakby zamierzał się na niego rzucić.

— Boleję niewymownie nad pańskim ukąszonym palcem, ale raczej uciąłbym sobie sam cztery palce tym samym nożem, zanimbym tknął mojego Iljuszkę. Cztery ucięte palce zaspokoiłyby, prawdopodobnie, pańską, zupełnie słuszną, żądzę zemsty. — Mówił to bez tchu prawie, a każdy rys jego twarzy drgał pod wpływem hamowanego rozdrażnienia.

— Zdaje mi się, że już wszystko rozumiem, — odparł cicho Alosza. — Synek pański, to dobry syn, kocha ojca, i rzucił się na mnie, jako na brata krzywdziciela. Tak, teraz wszystko rozumiem. Ale brat mój, Dymitr, żałuje teraz swego postępku, wiem o tem i gotów jest przyjść tutaj, albo lepiej jeszcze, spotkać się z panem w tej samej restauracyi. gdzie pana ukrzywdził, i prosić o przebaczenie.

— To jest, wyszarpał mnie za brodę, a teraz uniewinni się z tego postępku i tem wszystko zakończy i załagodzi. Czy tak?

— O nie, on zrobi wszystko, czego pan od niego zażąda.

— Taak. — A jeśli ja zażądam, żeby padł przedemną na kolana, w tej samej restauracyi, albo na środku miejskiego rynku, to on i to zrobi.

— Tak, choćby i to.

— Taak. — Poniżył mnie, a teraz gotów się sam poniżyć. Prawdziwie zaczynam teraz dopiero oceniać wielkoduszne uczucia pańskiego brata. Pozwól pan teraz, że go przedstawię pozostałym członkom mojej rodziny. Oto moja progenitura: dwie córki i syn. Gdy umrę, któż ich kochać będzie? A wzamian, póki żyję, któż, prócz nich, zdolny byłby kochać takie brzydkie indywiduum, jakiem ja jestem? Wielkie są sprawy Boskie i z Boskiego to zrządzenia każdy człowiek w moim rodzaju ma jednak kogoś do kochania, tak potrzeba.

— Ach tak, to święta prawda — potwierdził Alosza.

— Niechże ojciec da pokój, przyjdzie pierwszy lepszy dureń, a ojciec się przed nim wywnętrza — krzyknęła nagle ruda dziewczyna, stojąca pod oknem.

— Hamuj się, moja córko, i nie zdradzaj braku edukacyi, strofował ją stary tonem pozornie gniewnym, w istocie jednak patrzył na nią wzrokiem pełnym uznania. — To już taki nasz familijny charakter, — dodał, zwracając się do Aloszy. — Należymy do tych, co to: "W całej przyrodzie i wszechświecie nic błogosławić nie są zdolni".

— A teraz pozwól pan, że go jeszcze zapoznam z małżonką moją, Anną Piotrówną. Pamiętaj pan tylko, że to dama, dama bez nóg, to jest ma nogi, ale chodzić nie może. Rozpogódź oblicze. Anno Piotrówno, oto przedstawiam ci Aleksego Fedorowicza Karamazowa.

— A teraz wstań, panie Aleksy Fedorowiczu — zawołał nagle, chwytając Aloszę za rękę i podnosząc go z całkiem niespodziewaną gwałtownością. — Należy wstać, przedstawiając się damie. Słuchaj mameczko! — dodał, zwracając się do obłąkanej — oto jest pan Karamazow, nie ten, co to wiesz, i tam dalej, ale brat jego, który przybywa tu z różdżką pokoju i pojednania. Pozwól Anno Piotrówno, aby ucałował czcigodną twą rączkę.

Mówiąc to, ucałował rękę żony z pełną czci tkliwością.

Ruda dziewczyna odwróciła się ze wzgardą od tej sceny, twarz zaś obłąkanej zawsze równie uroczysta i pytająca, wyrażała w tej chwili uprzejmą łaskawość.

— Zechciej pan usiąść, panie Czarnomazow, — przemówiła.

— Karamazow, duszko, nie Czarnomazow — poprawił Śniegirow. — My prości ludzie — dodał szeptem, w charakterze objaśnienia.

— No! Karamazow, czy jak tam, a dla mnie Czarnomazow, niech siada. A powiedz, panie, dlaczego on pana z krzesła podniósł. Dama, powiada, bez nóg, to nieprawda, mam nogi, tylko spuchnięte, jak wiadra, a sama wyschłam, jak tyczka, kiedyś to ja byłam, a teraz ot sucha jestem, jakbym igłę połknęła.

— My prości, prości ludzie — dodał znów Śniegirow.

— Ach, ojcze! przestań — przemówiła, milcząca dotąd, garbata dziewczyna.

— Pajac! — burknęła niecierpliwie ruda.

Obłąkana bredzić coś zaczęła długo i bez związku, przypominając widocznie czasy, gdy mąż jej był jeszcze członkiem armii, a w domu ich goszczono wojskowych dygnitarzy; w końcu utrzymywać zaczęła, że nikt jej obecnie nie kocha, prócz małego Iljuszki, i rozełkała się na dobre.

— Cicho, mateczko! cicho, gołąbku! — uspokajać ją zaczął Śniegirow, gładząc ją po twarzy i ocierając jej łzy serwetą.

Aloszy zdało się, że i sam ma łzy w oczach.

— Cóż, widziałeś pan? słyszałeś? — rzekł opryskliwie, zwracając się do Aloszy.

— Widziałem i słyszałem — szepnął ten.

— Papo! papo! cóż się z nim zadajesz, porzuć go, papo! — zawołał nagle malec, podnosząc się z pościeli i wpatrując w ojca gorączkowo błyszczącemi oczami.

— Niechże ojciec raz przestanie wyprawiać głupie błazeństwa, które do niczego nie prowadzą — krzyknęła ze swego kąta rudowłosa dziewczyna i tupnęła gniewnie nogą.

— Mówisz zupełnie słusznie, Barbaro Mikołajówno, i natychmiast spełnię twoje żądanie. Weź pan swoją czapeczkę, Aleksy Fedorowiczu, a i ja zrobię to samo i wyjdziemy na ulicę, aby swobodnie pogadać, bo tu jakoś rozmowa nie idzie. Ale zapomniałem cię jeszcze zapoznać z mojemi córkami. Ta, co siedzi na krześle i nic nie mówi, to Nina Mikołajówna, anioł w ludzkiem ciele, zesłany śmiertelnikom, jeżeli jesteś pan w stanie zrozumieć takie rzeczy; a ta ot, co nóżką na mnie tupnęła, a przed chwilą nazwała mnie pajacem, to Barbara Mikołajówna, również anioł w ludzkiem ciele. A teraz chodźmy.

Mówiąc to, ujął za rękę Aloszę i wyprowadził go z izby.

— Tu świeże powietrze — mówił, wyszedłszy na podwórze, — a tam, w naszych salonach, cokolwiek duszno, i to pod każdym względem. Przejdźmy się panie kochany, i pogadajmy, bo pragnąłbym bardzo zainteresować pana.

— Ja także mam do pana interes, tylko nie wiem jak zacząć — zauważył Alosza.

— Oczywiście, że musisz pan mieć jakiś interes, inaczej nie byłbyś do nas zajrzał. A może to tylko skarga na malca; tam nie mogłem panu wszystkiego opowiedzieć, ale teraz opiszę panu całą tę scenę. Widzi pan, miotełka moja (tak chłopcy ze szkoły nazwali moją brodę) gęstsza była tydzień temu. Wywlókł mnie pański brat, Dymitr Fedorowicz, za brodę z restauracyi na ulicę, ot tak, bez żadnej przyczyny, nie w humorze był, a ja mu się w tej chwili pod rękę nawinąłem. A właśnie przechodzili ulicą chłopcy, powracający ze szkoły, a z nimi mój mały. Jak mnie zobaczył w takim stanie, rzucił się ku mnie. “Papo! — woła — papo!” i chwyta, obejmując rączkami, chce wyrwać z rąk mego prześladowcy i woła do niego: “puść go pan, daruj, to mój tatuś!” Tak wołał i za rękę go chwycił, i w rękę całował. Pamiętam, o! pamiętam, jaką miał wtedy twarzyczkę, nie zapomnę, póki życia.

— Klnę się na wszystko, — zawołał Alosza — że brat mój przeprosi pana i da panu najpełniejsze zadośćuczynienie, chociażby publicznie, na klęczkach, w tem samem miejscu, inaczej on mnie nie brat.

— Aha! więc to dopiero w projekcie, nie wprost od niego, ale skutkiem szlachetności pańskiego serca. Trzeba było odrazu powiedzieć. Wobec tego i ja powiem panu o wysoce szlachetnej i rycerskiej propozycyi, jaką mi zrobił pański brat. Gdy ochłonął trochę i wypuścił mnie, powiada: “ty oficer i ja oficer; jeśli znajdziesz porządnego człowieka, który ci zechce służyć za sekundanta, to przysyłaj i wyzwij na pojedynek, przyjmę i bić się z tobą będę, chociaż ty szubrawiec”. Tak mi powiedział. Zaprawdę, rycerski duch. Odeszliśmy wtedy z Iljuszką, a obraz ten, ilustrujący nasze szlacheckie drzewo genelogiczne, pozostanie już wyryty na zawsze w jego młodocianej pamięci.

Sam pan raczyłeś być u mnie, widziałeś, co się dzieje w moich salonach. Trzy damy: jedna bez nóg garbata, druga bez nóg waryatka nieprzytomna, a trzecia, no ta i z nogami, i z rozumem, studentka, do Petersburga się znowu rwie, aby tam, nad brzegami Newy, wywalczać prawa dla rosyjskiej kobiety. Nie mówię już o Iljuszce moim; dziewięć lat ma chłopiec. Jeżeli umrę, co stanie się z całą tą biedotą? Pytam pana — co? Jeśli go wyzwę na pojedynek, a on mnie zabije, co z nimi będzie? A jeśli nie zabije, tylko skaleczy i zrobi niezdolnym do pracy, a gębę zostawi, co źreć będzie chciała, któż gębę tę nakarmi? Kto wszystkich ich wyżywi? Czy Iljuszka, zamiast chodzić do szkoły, ma iść żebrać po ulicy?

Oto czem byłby dla mnie ten pojedynek, głupie słowo i nic więcej.

— On pana przeprosi, na rynku, publicznie, do nóg się panu pokłoni — zawołał Alosza z ogniem.

— Chciałem go pozwać do sądu za obrazę, — opowiadał dalej Śniegirow, — ale przejrzyj pan nasz kodeks, a sam się przekonasz, że nie wielebym wskórał za moją krzywdę. Przytem Agrypina Aleksandrówna Grusza, dowiedziawszy się o tem, wpadła na mnie; "Ani myśl o tem — krzyczała — jeśli ty go pozwiesz do sądu, to tak obrócę sprawę, że łajdactwo twoje na jaw wyjdzie i wszyscy się dowiedzą, że Mitia bił ciebie za twoje łotrostwo". To wyszło przecie z jej rozkazu i z polecenia Fedora Pawłowicza, ja byłem tylko narzędziem w ich ręku. "Do tego — mówi Grusza — nie dam ci już żadnego zarobku, a i kupcowi memu powiem, żeby cię do niczego nie używał. A trzeba panu wiedzieć, że mi już teraz tylko ich dwoje zostało, ona i ten kupiec, jej stary — innych klientów nie mam. Ojciec pana, Fedor Pawłowicz, zawziął się także na mnie z pewnych postronnych przyczyn i nietylko roboty mi nie daje, ale jeszcze chce mnie przed sądem oskarżyć. Dla tych to różnych powodów przycichłem i krzywdy swojej nie dochodzę.

A teraz pozwól pan siebie zapytać, czy mój Iljuszka mocno pana w palec ugryzł?

— Bardzo mocno! Nic dziwnego, mścił się na mnie, jako na Karamazowie, za ojca. Ale o to mniejsza, trzeba raczej zwrócić uwagę na jego bójki z kolegami; oni go jeszcze kiedy zabiją, te głupie dzieci; nie rozumieją, a kamień leci, gdzie chce. W głowę go jeszcze trafi.

— Już i trafił, nie w głowę wprawdzie, a w piersi. Ma duży siniak powyżej serca; przybył, płacząc, a teraz stęka i chory jakiś.

I wie pan, on się sam jeden na wszystkich rzuca, jednego malca scyzorykiem skaleczył. Krasotkin, zdaje się, jego nazwisko.

— To niedobrze. Stary Krasotkin, to znaczny urzędnik, z tego może być bieda. Jabym też radził panu, aby go przez jakiś czas do szkoły nie posyłać, przynajmniej dopóki mu gniew nie przejdzie.

— Gniew? — podchwycił Śniegirow — tak, masz pan słuszność, w takiem małem stworzeniu tkwi ogromny gniew. Poszło to stąd, że dzieci w szkole drażnić go poczęły, naśmiewając się z tej mojej miotełki. Chłopcy w szkołach bywają często okrutni. Wogóle dzieci bywają takie; każde zosobna aniołek z nieba, ale w gromadzie bezlitośne są i złe. Zaczęli go prześladować, aż Iljuszka mój uczuł w sobie szlachetny, odważny duch. Inny chłopak, mniej dobry syn, wstydziłby się ojca, zapierał, on, przeciwnie, ujął się za mną. Co on już wycierpiał wtedy na ulicy, gdy zobaczył mnie tak wleczonego, i prosił za mną, wołając: "to tatuś, mój tatuś", to już tylko Bóg wie jeden i ja, ojciec. I tak to dzieci nasze, to jest nie wasze, ale nasze, dzieci biedaków, poznają wcześnie samą istotę rzeczy, jak mój Iljuszka w dziewięciu latach. Już wtedy, na ulicy, gdy na krzywdę ojca patrzał, a prześladowcy jego zmiłowania prosił, poznał mój chłopczyk prawdę, która przylgnęła do niego już na wieki i przeniknęła go nawskroś. Dzieci bogaczy przeżyją nieraz całe życie, a przepaści takiej nie zgłębią. Mój Iljuszka cały dzień nic do mnie nie mówił, tylko w kącie siedział, niby lekcyi się ucząc, a wciąż raz poraz z kąta ku mnie spozierał. W nocy gorączki dostał i bredził. Na drugi dzień ja, ot tak, z żałości, upiłem się — zwyczajnie, grzeszny człowiek, i niech się pan nie gorszy, hałasowałem trochę, a nawet żonę szturchnałem, choć ja ja, biedaczkę, bardzo kocham. U nas, w Rosyi, zawsze tak — ludzie dobrzy są wogóle i wogóle pijacy. A tymczasem w szkole chłopcy dokuczać już zaczęli Iljuszce. Przyszedł do domu blady; pytam,

co mu jest? on nic. Wziąłem chłopca za rękę i wyszliśmy na przechadzkę po tej samej drodze, którą teraz idziemy; my z nim tak codzień spacerujemy. Rączka jego w mojem ręku jakaś chłodna, a oczka mu świecą. "Papo!", mówi. "A co, synku??" "Jak on tam ciebie wtedy?" "Cóż robić, synku, mówię, przeszło już." "Ty się z nim, papo, nie gódź. Chłopcy w szkole mówią, że on ci da dziesięć rubli to mu wszystko darujesz." "Nie Iljuszka, mówię, nie wezmę od niego pieniędzy." Uchwycił moją rękę i całować zaczął. "Papo, mówi, wyzwij ty jego na pojedynek; oni mówią, żeś ty tchórz, do pojedynku nie staniesz, a dziesięć rubli weźmiesz." Wtedy ja mu o pojedynku powiedziałem mniej więcej to, co panu przed chwilą. "Papo, mówi, ty się i tak z nim nie gódź; jak wyrosnę, wyzwę go i zabiję."

Ja, zawsze ojciec, wyłożyłem mu prawdę; że grzech zabijać, nawet w pojedynku. Tymczasem codzień przychodził ze szkoły zbity, i pan masz słuszność, że nie można go tam dłużej posyłać. "Papo, pyta mnie, gdyśmy znowu poszli na spacer, czy bogaty zawsze musi być silniejszy?" "Tak, synku, mówię, bogaty na tym świecie zawsze silniejszy". "To ja wzbogacę się, mówi, albo lepiej jeszcze oficerem zostanę, pójdę na wojnę i wszystkich zwyciężę, a tedy nikt już nie będzie śmiał." Widzi pan, jaki już proces odbył się w jego duszyczce przez te kilka dni, kiedy tylko o tej zemście marzył i w gorączce o niej bredził. To znów mówi mi: "Papo! jakie to nasze miasto brzydkie, pojedźmy do innego miasta, gdzie nas nikt nie zna". "Pojedziemy mówię, Iljuszka, pojedziemy, jak tylko pieniądze mieć będę", i zabawiam go tem, jak to konia sobie kupimy i wózek, posadzimy matkę i siostrę, a sami iść będziemy obok wózka, i czasem tylko po kolei przysiądziemy. Widzę, że to dobry pomysł, myśl dziecku odwraca. Chłopiec zawsze lubi o koniu pogwarzyć, konik mu towarzyszem od urodzenia. Ale nie na długo i to pomogło.

Na trzeci dzień widzę, chłopak milczy, napróżno o koniku i wózku zagaduję, już go to nie zajmuje, ani cieszy. Obaśmy smutni. Zimno jakoś i szarą jesienią powiało. Doszliśmy z Iljuszka do tego oto kamienia, a na niebie chmury się zbierają, migają błyskawice, grzmi raz po raz, a wicher niesie nam piasek prosto w oczy. Wtedy nagle, jak się mój mały rzuci na mnie, rączkami obejmie i ściśnie, łzami się zalał, nie łzy to były, a strumienie, którymi mi całą twarz obryzgał. Trzeba panu wiedzieć, że taki hardy dzieciak długo milczy i łzy w sobie tłumi, ale jak się już raz rozpłacze, to inaczej, jak drugi. Tuli się do mnie, drżąc jak w febrze. "Tatuniu, mówi, tatuniu, jak on ciebie poniżył, sponiewierał. Tatuniu! mój tatusiu!" Rozpłakałem się i ja, siedząc na tym kamieniu. — "Iljuszka, mówię przez łzy, Iljuszka mój!" Nikogo wtedy tu nie było. Bóg jeden widział nas. Podziękuj pan bratu swemu, Aleksy Fedorowiczu, i pamiętaj, że ja mego chłopca dla twojej satysfakcyi bić nie będę.

Pod koniec powrócił znów do swego dawnego, drwiąco-gniewnego tonu, mimo to, Alosza uczuł, że biedak ma do niego zaufanie, i że nikomu innemu nie powiedziałby tego wszystkiego, z czem się przed nim wywnętrzył. To dodało mu trochę odwagi, bo dusza drżała już w nim od łez.

— O! jakżebym chciał pogodzić się z pańskim synkiem! — zawołał. — Gdybyś pan mógł mi to jakoś ułatwić.

— Ale owszem, owszem — bąknął Śniegirow.

— Ale ja nie po to przyszedłem. — mówił dalej. — Posłuchaj pan, proszę. Mój brat, ten Dymitr, obraził także ciężko narzeczoną swoją, jedną z najszlachetniejszy kobiet, jakie znam. Prawdopodobnie słyszałeś pan o niej. Sądzę, że mam prawo wtajemniczyć pana w nasze rodzinne stosunki, a nawet powinienem to zrobić, bo ona to właśnie, owa narzeczona, dowiedziawszy się o krzywdzie pańskiej, poleciła mi przyjść panu z pomocą. Ona, tylko, nie Dymitr, który ją porzucił i obraził. Słowem, pomoc ta pochodzi tylko od niej, od osoby skrzywdzonej równie ciężko, jak pan, i przez tegoż, co pan, człowieka. To jakby ofiara siostry, która chce przyjść bratu z pomocą. Prosiła mnie usilnie, bym nakłonił pana do przyjęcia od niej tych dwustu rubli, bo wie o pańskiem ciężkiem położeniu. Nikt o tem wiedzieć nie będzie i nikt tego postępku źle nie zrozumie. Oto są pieniądze i klnę się Bogiem, że pan je powinien przyjąć, chyba, że na świecie panuje tylko nienawiść, braterstwo ma być już tylko czczym wyrazem. Pan to pojmujesz, bo duszę masz szlachetną, pan powinien przyjąć.

Mówiąc to, Alosza podawał mu dwusto rublowe banknoty, których widok wywarł na biednego Śniegirowa wprost piorunujące wrażenie. W pierwszej chwili było to tylko zdziwieniem na myśl, że ktoś mógł mu pośpieszyć z pomocą i to tak znaczną.

— To dla mnie, dla mnie? tyle pieniędzy? od czterech lat, nie miałem w ręku tak znacznej sumy. I mówi pan, że przysyła to, jak siostra, i to naprawdę, naprawdę?

— Przysięgam panu, że tak powiedziała, dając mi to zlecenie.

— Posłuchaj mnie pan, gołąbku, posłuchaj.

A jeżeli przyjmę, czy nie będziesz mnie pan uważał za nikczemnika, czy w oczach twoich nie stanę się podłym? Aleksy Fedorowiczu, pan powiada, że ona mi to przysyła, jak siostra, ale gdy przyjmę, czy nie uczuje dla mnie w duszy pogardy? jeśli ja przyjmę, co?

— Och nie, nie, na zbawienie duszy mojej klnę się, że nie.

— Posłuchaj pan, Aleksy Fedorowiczu, posłuchaj, bo przyszła wreszcie taka godzina, że trzeba mnie wysłuchać. Pan nawet wyobrażenia nie masz, czem mogą być dla mnie te pieniądze, — wołał biedak przechodząc stopniowo w stan jakiegoś bezładnego, dzikiego prawie uniesienia. Mówił urywanie, szybko, bez tchu prawie, jakby się lękał, że mu nie dadzą wszystkiego wypowiedzieć. — Czy pan to pojmuje, że w takim razie mógłbym podleczyć trochę mameczkę (to znaczy moją żonę) i Ninę, tego mego anioła garbatego. — Przyjeżdżał tu do nich doktór Herzenszube, tak z dobroci serca, oglądał obie, nic powiada, nie rozumiem, ale przepisał im lekarstwa, wody mineralne i wanny. Ale to wszystko kosztuje, wziąłem recepty i położyłem na półce pod obrazem, i tak leży. Nina biedaczka cała zreumatyzowana, bóle ma straszne, po nocach nie śpi, ale nie jęczy, stara się być cicho, żeby nam nie zawadzać. Kąska prawie jedzenia brać nie chce, żeby nam zostało więcej, powiada, że ona nieużyteczna, ciężarem nam jest, że nie warta, abyśmy jej służyli, a miły Boże, któż wart jeśli nie ona? ona swoją anielską rezygnacyą spokój nam z nieba przyzywa, gdyby nie ona, piekło u nas byłoby w domu, nawet tamtą studentkę ułagodzić potrafi. A i tamtej nie sądź z pozoru, przyjechała do nas na wakacye z Petersburga, odłożyła 16 rubli, zarobionych lekcyami, na drogę powrotną, a myśmy te pieniądze zabrali i przeżyli, ją zaprzęgliśmy, osiodłali do najcięższej pracy, istna katorga. Ona jest jedna zdrowa, więc wszystko sama robić musi, siostrę i matkę, opatruje, a matka biedna obłąkana, kapryśna co niemiara.

Z tymi dwustu rublami mogę już rozpocząć kuracyę moich biedaczek, mogę pozwolić sobie na żywienie rodziny mojej mięsem, mogę studentkę moją do Petersburga wyprawić. Mój Boże! to przecież marzenie.

Alosza był uszczęśliwiony, że mógł być sprawcą tylu pomyślności, że biedak zgadzał się na ich przyjęcie.

— Poczekaj pan, Aleksy Fedorowiczu, — mówił dalej Śniegirow, z jednakiem zawsze podnieceniem — mamy jeszcze jedno marzenie z Iljuszką. Kupić wózek i konia karego, koniecznie karego, taki się tylko Iljuszce podoba, i pojechać do pewnego miasta w sąsiedniej gubernii, gdzie mam znajomego adwokata, który przyrzekł mi dać u siebie posadę. Gdybym tam przyjechał, możeby naprawdę przyrzeczenia dotrzymał. O Boże, gdyby się tylko udało odzyskać pewien dłużek, moją należność, którą tu mam, to możeby i wystarczyło na podróż i zagospodarowanie się,

— Ależ wystarczy napewno, — dodał Alosza — Katarzyna Iwanowna da i więcej, jeśli będzie potrzeba, a i ja mam swoje pieniądze, niech pan z nich bierze, co będzie potrzeba, jak od brata. I wie pan, nie można nic lepszego wymarzyć, jak to przeniesienie się do innego miasta, zwłaszcza dla synka pana to jedyny środek, i to nie trzeba zwlekać, śpieszyć się trzeba, aby być jeszcze przed zimą. — Alosza był uradowany, że miał ochotę paść w ramiona Śniegirowa, gdy naraz spojrzał na niego. Twarz byłego oficera miała w tej chwili jakiś twardy i dziki wyraz, wyciągnął on szyję wydął wargi i poruszał niemi bezdźwięcznie.

— Co panu? — spytał Alosza, który wzdrygnał się na ten widok.

— Ja! nic, to jest pan, Aleksy Fedorowiczu — mruczał Śniegirow, patrząc na niego dziwnie, — chce pan? to panu pokażę jedna sztukę.

— Jaką sztukę? — pytał Alosza.

— Sztukę? Ot, taką sztukę — szepnął Śniegirow, krzywiąc wargi w lewą stronę i przymrużając lewe oko. — Oto jaką! patrz pan.

To mówiąc, zmiął w garści oba storu-

blowe banknoty, które trzymał był przez cały czas rozmowy za jeden różek, cisnął je z rozmachem na ziemię i wdeptał z całej siły w piasek.

— Ot! wasze pieniądze! Macie wasze pieniądze! macie wasze pieniądze! — powtarzał wciąż, prostując się przed Aloszą w postawie pełnej niewysłowionej dumy.

— Powiedz pan tym, którzy cię tu przysłali, że Śniegirow nie przyjmuje pieniędzy za sponiewieraną cześć swoją! — wołał, robiąc ręką w powietrzu szeroki ruch. Powiedziawszy to, odwrócił się i zaczął iść ku domowi. Uszedłszy parę kroków, zatrzymał się, jakby chciał coś powiedzieć, poszedł jednak dalej, ale za chwilę zatrzymał się znów i zwrócił się do Aloszy z całkiem już odmiennym wyrazem twarzy. Twarz ta wyrażała rzewne wzruszenie, a w oczach jego błyszczały łzy.

— A cóżbym, cóżbym ja powiedział mojemu chłopczykowi, gdybym od was te pieniądze przyjął? — rzekł cicho, wracając się znów ku domowi. Potem odszedł równym i spokojnym krokiem. Alosza wiedział, że tym razem już nie wróci, poszedł więc w stronę miasta, aby zdać sprawę Katarzynie Iwanównie z powierzonego sobie zlecenia.

II.

ZA I PRZECIW

Pani Chachłakow wybiegła znów na spotkanie Aloszy, tym razem bardzo strapiona stanem zdrowia Katarzyny, która po ataku nerwowym wpadła w omdlenie, a potem, jakby dostała gorączki i bredzić zaczęła nieprzytomnie. Sprowadzono obie ciotki i posłano po doktora Herzenszube. Alosza wysłuchał tych wiadomości z niepokojem, chciał jednak opowiedzieć pani Chachłakow całe zajście ze Śniegirowem, ale ta przerwała mu żywo.

— Idź pan teraz do Lizy i tam czekaj na mnie, teraz nie mam głowy do niczego. Nie masz pan pojęcia, jak mnie moja Liza zdziwiła i ucieszyła; wystaw pan sobie, skoro pan teraz wyszedł, dziewczynka moja zaczęła ze mną rozmawiać tak dobrze, rozumnie, serdecznie, a przytem tak poważnie ,żem jej nie poznawała.

A to wszystko z pańskiego powodu.

Wystaw pan sobie, nie może sobie darować, że dokuczała panu podobno dziś i wczoraj, że żartowała z pana, ogromnie poważnie zmartwiona, do łez prawie. Co prawda, nie miała nigdy takich skrupułów z mego powodu, choć zwykle uwagi moje w żart obraca. — Boć może, że ja ją trochę psuję, ale to takie rozumne dziecko. Ona ogromnie ceni pańskie zdanie, Aleksy Fedorowiczu, pan mógłbyś mieć na nią doskonały wpływ. Tak wspominała czasy dzieciństwa swego w Moskwie, mówiła, że pan był jej jedynym, prawdziwym przyjacielem. A jakie robiła spostrzeżenia z powodu sosny, która u nas w ogrodzie rośnie. "Pamiętam, mamo, mówi, tę sosnę, stoi pewno taka sama, drzewa nie zmieniają się, to nie ludzie". Mówię panu, nadzwyczajne dziecko. Ale idź pan teraz do niej, Aleksy Fedorowiczu. Ja z tem wszystkiem poprostu zmysły tracę. A trzeba panu wiedzieć, że już dwa razy w życiu chorowałam ciężko na nerwy, ledwo mnie wyleczono.

— Liza! — zawołała, pukając do jej drzwi — przyprowadzam ci tu Aleksego Fedorowicza, którego tak ciężko obraziłaś, który jednak, mimo to, nie gniewa się na ciebie.

— Merci, maman, proszę, wejdź pan, Aleksy Fedorowiczu.

Alosza wszedł. Liza zmieszała się na jego widok i mocno poczerwieniała. Najwyraźniej była czemś zażenowana, i, jak to zwykle bywa w takich razach, mówić poczęła szybko o rzeczach postronnych, dla odwrócenia uwagi od przedmiotu, który ją wyłącznie zajmował.

— Mama opowiedziała mi wszystko o tych dwustu rublach i o tym biednym pokrzywdzonym człowieku. Pan wie, jak mama opowiada jedno drugiego się nie trzyma. Mimo to, zrozumiałam wszystko i płakałam, słuchając; cóż się dzieje z tym biedakiem, i czy przyjął pieniądze?

— Właśnie, że nie przyjął — odpowiedział Alosza — i to cała historya — mówił, jakby był pochłoniety myślą dlaczego Śniegirow nie chciał przyjąć wsparcia. Liza jednak zauważyła doskonale, że Alosza także unika jej wzroku i ma coś innego na sercu. Po chwili jednak opanował się i wpadł znowu w ton zupełnie swobodny, który się udzielił i Lizie. Dawno już, jeszcze w cza-

sach dzieciństwa, było u nich w zwyczaju opowiadać sobie wzajemnie wszystko, co ich spotkało, co przeżyli lub przeczytali. To też i teraz, pod świeżem wrażeniem, Alosza opowiadał z przejęciem historyę nieszczęśliwej rodziny, a zwłaszcza odmalował Lizie, nieżmiernie żywo, obraz małego Iljuszki. Gdy doszedł do tego, jak Śniegirow podeptał ofiarowane sobie pieniądze, Liza klasnęła w dłonie.

— Jakto, więc pan nie oddał? jak można było? trzeba było koniecznie pobiedz za nim i oddać.

— Nie, Lizo, lepiej, że się tak stało — odparł Alosza, wstając z krzesła i przechadzając się w zamyśleniu po pokoju.

— Co za lepiej? A oni tam teraz bez chleba z głodu zginą.

— Nie zginą, bo jutro zaniosę im te pieniądze i oni przyjmą, zobaczysz, że przyjmą — mówił zadumany Alosza, zatrzymując się przed Lizą. — Bo widzisz, Lizo, ja tu sam popełniłem jedną omyłkę, ale ta omyłka wyjdzie na dobre.

— Jakim sposobem? dlaczego na dobre?

— Widzisz, ten człowiek jest z natury nieśmiały, a charakter ma miękki, prawie słaby, przytem on jest z tych wstydliwych biedaków, dla których męczarnią się staje, jeśli wszyscy, którzy się z nim stykają, okazują gotowość świadczenia im dobrodziejstw. Niewiem na czem to polega, ale i starzec mi to mówił i ja sam zauważyłem już to nieraz w stosunku z biednymi ludźmi. Otóż obrażającem już było dla niego to, że sam niewiedząc kiedy, zaczął mi się szczerze ze wszystkiego spowiadać, a w dodatku okazał tak wielką radość z powodu niespodziewanej pomocy. Bo z początku ucieszył się bardzo tymi pieniędzmi. Gdyby radości tej nie okazał i robił miny pełne godności, możeby się później tak nie rozgniewał. Ale to człowiek dobry i szczery, radości ukryć nie umiał, choć czuł nawpół świadomie, że okazać jej nie powinien.

Był już więc niezadowolony z siebie. Gdy zaś jeszcze w dodatku ja mu zaproponowałem pomoc pieniężną, to dopełniło miary; a skądże i ten przychodzi do świadczenia mi dobrodziejstw? pomyślał wtedy i podeptał pieniądze, ale to się nawet lepiej stało.

— Dlaczego lepiej?

— Dlatego, Lizo, że gdyby on pieniędzy tych nie odrzucił, to już w kilka chwil potem uczułby się poniżony, upokorzony, potępiałby siebie i prawdopodobnie odniósłby na drugi dzień dwieście rubli i nie przyjąłby ich. A teraz, przeciwnie, gdy odszedł dumny i zadowolony z siebie, gdy dowiódł, że już ma godność i ambicyę i płacić sobie za krzywdy nie pozwoli, to może znów, powróciwszy do domu, rozmyślać zacznie nad swoją nędzą i mimowoli przyjdzie mu jednak na myśl, ileby mógł przynieść ulgi swojej rodzinie, gdyby pieniądze te istotnie posiadał. Myśl ta nurtować go będzie coraz bardziej do jutra, a wtedy ja powrócę i już daleko łatwiej będzie powiedzieć mi: "Weź pan, przyjmij tę pomoc i daruj nam", a on się zgodzi.

— To prawda! — zawołała Liza. — Taki pan młody, a tak pan umie zrozumieć wszystko, co się u kogo w duszy dzieje, jabym nigdy nie potrafiła.

— Teraz przedewszystkiem trzeba tak wszystko urządzić, żeby on rozumiał, że się go traktuje na równej z nami stopie, a właściwie na wyższej — mówił Alosza dalej, idąc za biegiem swych myśli.

— Na wyższej! prześlicznie! Aleksy Fedorowiczu, mów pan dalej, mów.

— Może się niewłaściwie wyraziłem, ale to nic.

— Ależ nic, naturalnie, że nic, nie gniewaj się na mnie, Alosza drogi; czy pan wie, ja dotąd nie tak pana ceniłam, to jest ceniłam, ale na równej stopie, a teraz będę na wyższej. Miły, nie gniewaj się, ja nie rozumiem, jestem dziecinna, ale spytam cię o jedno: czy to nie jest lekceważenie, prawie pogarda, że my tak śmiało twierdzimy, iż pieniądze te przyjmie?

— Nie, Lizo, niema w tem żadnej pogardy — odpowiedział Alosza, jakgdyby przygotowany już był na to pytanie. — Jakaż tu może być pogarda, jeżeliśmy wszyscy tacy sami, jak on, niczem nie lepsi, a przynajmniej nie bylibyśmy z pewnością lepsi w jego położeniu? Bo nie wiem, jak ty Lizo, ale ja doskonale zdaję sobie sprawę, że mam duszę marną i grubą; tamten zaś człowiek przeciwnie, ma niezawodnie duszę bardzo subtelną. Przytem wiesz, Lizo, mój starzec mówił mi raz: "Niektórych ludzi strzedz się trzeba i pilnować, jak dzieci, z innymi obchodzić się należy, jak z chorymi w szpitalach".

— Jak z chorymi! Prześliczna myśl, Aleksy Fedorowiczu; zabieraj się więc do

roboty i postępuj z ludźmi, jak z chorymi.

— Chciałbym, Lizo, chciałbym, ale niewiem, czy potrafię, bywam często niecierpliwy, a także brak mi daru spostrzegawczego. No! ale dość już o tem, pomówimy teraz o naszych interesach.

— Nie uwierzysz, nie uwierzysz pan, jaka jestem szczęśliwa.

— Jak to dobrze, Lizo, że ty tak mówisz.

— Pan jest taki dobry, taki dobry, tylko troszeczkę pedant, mimo, że nie wygląda pan wcale na pedanta. A teraz, proszę, uchyl pan trochę drzwi i zobacz, czy mama nas nie podsłuchuje — dodała Liza nerwowym szeptem.

Alosza spełnił jej życzenie.

— Chodź pan tu blizko i siadaj koło mnie — mówiła dalej Liza, rumieniąc się coraz bardziej. — Daj mi pan teraz ręce, ot tak.

Widzi pan, musze się teraz panu przyznać, że mój wczorajszy list pisany był wcale nie na żarty, ale całkiem seryo. — I zakryła oczy dłonią. Widać było, że wyznanie to kosztowało ją wiele. Potem nagle ujeła rękę Aloszy i pocałowała ją trzykrotnie.

— Ach! Lizo, jak to dobrze — zawołał z radością Alosza — i ja tak byłem pewny, że pisałaś to na seryo.

— Patrzcie go! był pewny! — mówiła Liza z radosnym śmiechem, odsuwajac rękę Aloszy, której jednak nie wypuszczała ze swej dłoni. — Ja go w reke całuję, a on przyjmuje to spokojnie i mówi, że to bardzo dobrze.

Liza obwiniała tu Alosze niesłusznie, gdyż był on także bardzo zmieszany.

— Chciałbym podobać ci sie zawsze, Lizo, tylko niewiem, jak sie do tego wziąć — wyjąkał niepewnie, rumieniac się.

— Ach, mój drogi, jesteś zimny i impertynent — wołała Liza. — Raczył wybrać mnie za małżonkę i odrazu uspokoił sie — zaraz był pewien, że to wszystko na seryo.

— Czyż to źle, że wziąłem to na seryo? — zaśmiał sie Alosza.

— Przeciwnie, to dobrze, to, doskonale — odrzekła Liza, patrząc na niego tkliwie i radośnie; a gdy nie wypuszczała wciąż jego ręki, Alosza pochylił się nad nią i pocałował ją w same usta.

— A to co znowu? Co panu jest? — krzyknęła Liza, tak, że Alosza zupełnie stracił rezon.

— Nie gniewaj się, jeżeli źle się stało, ale powiedziałaś, że jestem zimny, a mnie zachciało się pocałować ciebie, widzę teraz, że zrobiłem głupstwo.

Liza śmiała się, ukrywszy twarz w dłoniach, ale po chwili spoważniała i spojrzała na Aloszę prawie surowo.

— Nie! Z pocałunkami poczekajmy jeszcze, bo oboje tego jeszcze nie umiemy. Powiedz mi pan lepiej, dlaczego mnie pan bierze, taką chorą, głupią dziewczynę, pan taki rozumny, myślący, taki niepospolity. Ach! Alosza drogi, jak ja się czuję szczęśliwa, choć zupełnie nie warta jestem ciebie.

— O nie mów tego, Lizo. Więc to już postanowione; w najkrótszym czasie wystąpię z klasztoru, a jeśli mam się ożenić, jak mi starzec rozkazał, to gdzież znajdę lepszą żonę, jak ty. Ja to już wszystko obmyśliłem; przedewszystkiem znamy się od dzieciństwa, następnie, ty masz mnóstwo zalet, jakich mi brakuje. Masz weselszą duszę, niewinna jesteś, podczas kiedy ja wiele, wiele już rzeczy zblizka poznałem. Niepróżno jestem Karamazow, że śmiejesz się i żartujesz często ze mnie, to nic, bo robisz to tak miło, jak dziecko, a przytem umiesz myśleć, jak święta męczennica.

— Jakto, jak święta?

— A tak, Lizo. Ta uwaga twoja, czy nie jest to pogardą z naszej strony dla tego biedaka, że pozwalamy sobie analizować jego duszę. Takie spostrzeżenie może zrobić tylko ktoś, co już cierpiał i cierpieć potrafi. Musiałaś ty już wiele przemyśleć, siedząc w swoim krześle.

— Daj mi rękę, Alosza, czemu mi ją usuwasz? — mówiła Liza głosem cichym, osłabionym ze wzruszenia i radości. — Powiedz, powiedz mi, proszę, jakie sprawisz sobie ubranie, gdy się pozbędziesz klasztornego habitu?

— Nie pomyślałem jeszcze o tem.

—Dla mnie to bardzo ważna kwestya. Musisz mieć granatowy aksamitny tużurek, białą pikową kamizelkę i miękki popielaty kapelusz. Powiedz mi pan, coś sobie pomyślał, gdy ja sie wyparłam mojego listu, czy pan uwierzył?

— Nie, Lizo, nie uwierzyłem.

— Coraz lepiej, co za nieznośny człowiek z pana.

— Nie uwierzyłem ani przez chwilę, a tylko udawałem, że wierzę, ażeby ci zrobić przyjemność.

— Coraz gorzej, to jest coraz lepiej... A wiesz, co ja sobie myślałam: "jeżeli on odda mi mój list, to znaczy, że nic nie rozumie i nie kocha mnie wcale, głupi, nierozumny chłopak." Ale pan zostawił list w domu, bo pan przeczuwał, że będę go chciała odebrać. Czy tak?

— Wcale nie tak. List ten miałem i mam przy sobie, w tej oto kieszeni, patrz, tylko nie bierz go do rąk.

Mówiąc to, pokazał jej list zdaleka.

— A to ładnie, to pan skłamał przed chwilą.

— Skłamałem, aby list przy sobie zatrzymać. Zanadto mi jest drogi, abym ci go oddał. — to już na wieki i nigdy go nikomu nie oddam.

Liza patrzyła na niego z zachwytem.

— Alosza! — zaszczebiotała — pójdź do drzwi i zobacz, czy mama nie podsłuchuje.

— Mogę zajrzeć, ale dlaczego, Lizo, podejrzywasz własną matkę o tak nizki postepek?

— Jaki tam nizki? Nic w nim niema nizkiego. To prawo matki podglądać i podsłuchiwać, co robi jej córka i bądź pan pewien, Aleksy Fedorowiczu, że skoro tylko zostanę matka i bede miała taką córkę, jak ja, to podsłuchiwać ją i podglądać będę.

— Ależ, Lizo, to niedobrze.

— Co niedobrze? Byłoby niedobrze, gdyby to sobie była taka zwyczajna, towarzyska rozmowa, ale tu córka zamknęła się sam na sam z młodym człowiekiem... Przygotuj się na to, Alosza, że skoro się tylko pobierzemy, otwierać będę i czytać wszystkie twoje listy, podglądać cię i podsłuchiwać. Jesteś pan uprzedzony.

— Niech i tak będzie, Lizo, skoro chcesz, ale zawsze to niеładnie.

— Och! Z jaką pogarda pan to mówi, ale dajmy temu pokój, nie będziemy się przecie już kłócili. Powiem panu lepiej odrazu, co myślę. — Podsłuchiwać jest bardzo źle, i pan masz słuszność, a nie ja, ale mimo to, ja będę zawsze podsłuchiwała.

— Jak chcesz, i tak niczego się nie dosłuchasz, — zaśmiał się Alosza.

— A będzie-że mi pan ulegał we wszystkiem? bo i to trzeba z góry postanowić.

— Z przyjemnością, Lizo, z wyjątkiem rzeczy zasadniczych. Bo pamiętaj, że gdybyś była innego zdania, niż ja, w sprawach ważnych, to ja, mimo to, postąpię, jak mi powinność każe.

— Tak być powinno. I wiedz o tem, że ja nietylko w ważnych, ale i w najdrobniejszych rzeczach, ulegać panu będę we wszystkiem, i to z całą rozkoszą, i to przez całe życie, przysięgam panu, — wołała gorąco Liza. — Nie dość na tem, przysięgam na wszystko, że nie będę pana nigdy podpatrywała, ani podsłuchiwała, choćbym niewiem jak chciała, i listu żadnego nie otworzę, ponieważ pan uważałbyś to za rzecz nieszlachetną. — Nie wiem, czy to moje przywidzenie, ale zdaje mi się, że pan musisz mieć także jakieś tajemne, ukryte zmartwienie, oprócz tych wszystkich kłopotów i trosk, o których mówiliśmy.

— Istotnie, mam ukryte zmartwienie. Widzę, Lizo, że kochasz mnie naprawdę skoro to odgadłaś.

— Jakież to? czy moge wiedzieć? — pytała Liza z niesmiałą prośbą.

— Potem ci powiem, Lizo, potem — mówił niepewnie Alosza. — Teraz nie zrozumiałabyś może, a może i ja sam tego nie rozumiem.

— Ja, prócz tego, wiem, że pan się martwi braćmi i ojcem.

— Tak, braćmi zwłaszcza, — szepnął Alosza sam do siebie.

— Nie lubię pańskiego brata, Iwana, — zauważyła nagle Liza.

— Uwaga ta zdziwiła Aloszę, ale nie podniósł jej.

— Bracia moi gubią się, ojciec także, a w dodatku gubią drugich wraz z sobą. To już taka żywiołowa siła Karamazowych, jak mówi ojciec Paisy. Siła żywiołowa, a przytem jakaś niesamowita. Czy unosi się nad nią duch Boży? niewiem, ale wiem, że i ja także jestem Karamazow — i we mnie także tkwi owa siła. — A jeszcze opuszcza mnie teraz jedyny, najlepszy mój przyjaciel, najwyższy duch, jakiego ziemia wydała. O, gdybyś wiedziała, Lizo, jak silne łącza nas węzły duchowe? Odchodzi, a ja zostanę sam.

Przyjdę też, Lizo, do ciebie i w przyszłości bedziemy żyli razem.

— O! tak, razem, razem, od dziś żyć będziemy razem przez całe życie.

— Słuchaj, Alosza! pocałuj mnie jeszcze, teraz pozwalam.

Alosza pocałował ją.

— A teraz idź! Bóg z tobą — mówiąc to, pożegnała go. — Idź do starca i bądź z nim, póki jeszcze żyje, i tak zatrzymałam cię tu za długo. Modlić się dziś będę za niego i za ciebie, Alosza, i będziemy szczęśliwi, prawda, że będziemy szczęśliwi?

— Zdaje się, że będziemy, Lizo.

Wyszedłszy od Lizy, Alosza nie uważał za stosowne zajść do pani Chachłakow, i zamierzał udać się prosto do domu, nie żegnając się z nią wcale. Zaledwie jednak wstąpił na korytarz, matka Lizy stanęła nagle przed nim. Z pierwszych jej słów Alosza odgadł, że czeka tu na niego umyślnie.

— Aleksy Fedorowiczu, — rzuciła się na niego pani Chachłakow, — Co za niedorzeczność! co za dziecinne mrzonki! mam adzieję, że nie będziecie się niemi długo bawili.

— Tylko niech jej pani tego nie mówi, — rzekł Alosza, — oddziałałoby to na nią bardzo niekorzystnie.

— To przynajmniej rozumne słowo. To znaczy, że pan się nie chciał sprzeciwiać jej fantazyom, ze względu na stan jej zdrowia.

— O bynajmniej. Rozmawiałem z nią najzupełniej seryo — zaprzeczał stanowczo Alosza.

— Tu niema mowy o żadnem seryo, bo, po pierwsze, od dziś nie przyjmę pana ani razu u siebie, a po drugie, wyjadę stąd i ją z sobą zabiorę. Wiedz pan o tem.

— I po co? — mówił Alosza. — Przecież to jeszcze nie prędko, za lat parę, a może i więcej. Czekać na siebie musimy.

— Prawda, to prawda, a przez te parę lat możecie się jeszcze dziesięć razy poróżnić, a nawet rozejść. Boże, jak ja sobie z tem wszystkiem dam radę. Czekałam tu na pana umyślnie, jak w komedyi, gdzie nieraz najważniejsze sprawy załatwiają się w kurytarzu. Teraz rozumiem te noce bezsenne Lizy i jej histeryczne ataki.

Słyszałam wszystko, coście do siebie mówili, ledwo ustałam pod tymi drzwiami. Boże mój, zakochana córka, to śmierć dla matki, choć w grób się położyć. A przedewszystkiem, oddaj mi pan jej list, i to natychmiast, natychmiast!

— O nie, nie zrobię tego. Niech mi pani lepiej powie, jak zdrowie Katarzyny Iwanownej?

— Wciąż nieprzytomna. Obie jej ciotki stoją nad nią, wołając och! i ach! Posłałam po doktora Herzenszube, ale on tak się zląkł, że nie wiedziałam już, co z nim począć, i chciałam sprowadzić do niego innego jakiego doktora. Odwieźli go do domu w mojej karecie. A teraz na domiar wszystkiego jeszcze, pan i Liza z tym listem swoim. Zaklinam pana na miłość dla wielkiego, konającego starca, pokaż mi ten list, ja przecież jestem matka, muszę widzieć. Możesz mi go pan nie oddawać, ale pokaż mi go tak, bym go mogła przeczytać.

— Nie, nie pokażę choćby nawet ona pozwoliła. Jutro jeśli pani sobie życzy, mogę przyjść i pomówimy o tem, a teraz dowidzenia.

I Alosza wybiegł na ulicę.

* * *

SMERDIAKOW W ZALOTACH.

Aloszy ciążyła głównie jedna myśl. Oto chciał znaleźć za wszelką cenę brata, Dymitra, który się najwidoczniej przed nim ukrywał, i pomówić z nim stanowczo. Nie dobrze wiedział, co ma właściwie bratu powiedzieć, ale zdawało mu się, że musi koniecznie zrobić coś dla zapobieżenia katastrofie, którą przeczuwał. Nie umiałby zdać sobie sprawy, na czem polegać będzie owa katastrofa, czuł jednak, że musi ona nastąpić, jeśli się nie zrobi coś dla powstrzymania nadchodzącego niebezpieczeństwa. “Chociażby nawet dobroczyńca mój umarł bezemnie, to przynajmniej wyrzucać sobie nie będę, że mogąc ocalić kogoś i złe usunąć, obowiązku tego zaniedbałem, czyniąc zaś tak, postępować będę podług wielkich słów jego”.

Postanowił więc udać się do owego ogrodu, w którym wczoraj spotkał się z Dymitrem, i oczekiwać tam na niego w tej samej altance, chociażby nawet musiał spędzić noc poza obrębem klasztoru. Spełnił też dokładnie ten plan, a przelazłszy przez płot, w tem samem miejscu co wczoraj, dostał się milczkiem do altanki, i usiadł w oczekiwaniu, nie zdradzając obecności swojej przed właścicielami posiadłości, którzy, jak się zdawało, byli po stronie Dymitra, i mogli mu przeszkodzić w tem spotkaniu. Nie upłynął i kwadrans, w czasie którego zaczęły już nachodzić Aloszę smutne

i bezbarwne myśli, towarzyszące zwykle niepokojącemu oczekiwaniu, gdy naraz, gdzieś w pobliżu, usłyszał on dźwięki gitary. O jakie dwadzieścia kroków od niego znajdowała się w krzakach stara pozieleniała ławka, na której siedziały w tej chwili dwie ludzkie postecie. Na razie nie mógł ich dojrzeć wyraźnie, usłyszał tylko męski głos, który słodkim falsetem śpiewał miłosne kuplety:

Nieprzemożona siła,
Z tobą mnie wiąże, miła,
Niechże Bóg wielki w niebie
Połączy mnie i ciebie.

Połączy mnie i ciebie. — Głos ucichł. Był to tenor męski, o zabarwieniu i pokroju lokajskiem, takim też był i ton śpiewanej piosenki. Wówczas dał się słyszeć i drugi głos kobiecy, o brzmieniu nieśmiałem i jakby wstydliwem.

— Dlaczego to pan tak dawno u nas nie był, Pawle Fedorowiczu? — pogardza pan widać naszą chatą.

— Nie, wcale — odpowiedział głos męski łaskawie, ale nie bez pewnej dumy, świadczącej o poczuciu własnej wyższości. Widocznie mężczyzna miał tu przewagę, kobieta zaś dopraszała się względów. Alosza poznał po głosie, że to był Smerdiakow, towarzyszką zaś jego musiała być córka właścicielki tej chałupy, do której należał ogród wraz z altanką. Alosza przypomniał sobie, że widywał ją w kuchni swego ojca, gdzie Marta, żona Grigora, częstowała ją zwykle zupą, a nawet udzielała jej małą porcyę na domowy użytek. Dziewczyna ubierała się z pańska i nosiła powłóczyste suknie, które sobie poprzywoziła z Moskwy.

— Lubię nad wyraz wszystko, co wierszem napisane, zwłaszcza, jeśli kto ładnie śpiewa. Czemu pan przestał, Pawle Fedorowiczu?

Głos męski zabrzmiał znowu:

Niźli carska korona,
Milsza mi ulubiona,
Niechże więc Bóg na niebie,
Połączy mnie i ciebie.

— Przeszłym razem pan to jeszcze lepiej śpiewał, jeszcze piękniej wychodziły te cudne wierszyki.

— Wiersz głupstwo, — zawyrokował surowo Smerdiakow.

— Ach nie! ja przepadam za wierszami.

— Głupstwo! mówię pani. I coby to było, gdybyśmy wszyscy zaczęli mówić wierszami? choćby nawet za rozporządzeniem i nakazem władz. Dużobyśmy się nagadali, co?

— Jaki pan uczony i wszystko rozumiejący, — przymilał się coraz czulej głos kobiecy.

— Nie tobym ja jeszcze umiał, i nie to potrafił, gdyby nie los nieszczęśliwy, który mnie od dzieciństwa prześladuje.

O! gdyby nie to, to niezawodnie wyzwałbym na pojedynek i zabił pistoletem każdego, ktoby śmiał utrzymywać, że gorszy jestem od innych, dlatego, że urodziłem się bez ojca, i miałem za matkę włóczęgę nazwiskiem Smerdiaszcza. — Tymczasem oni tam, w Moskwie, raz wraz oczy mi pochodzeniem mojem wypiekali. A to z łaski Grigora, który wszystkim o niem opowiadał. Grigor irytuje się na mnie i powiada, że ja powstaję przeciw własnemu urodzeniu. — Ale ja, co prawda, dałbym się był chętnie zabić jeszcze w żywocie matki, byleby na ten świat wcale nie przychodzić.

Na targu nawet opowiadają sobie tutejsi ludzie, a pierwsza matka pani powtarzała wszystkim ze zwykłą swoją niedelikatnością, że matka moja miała kołtun na głowie i była karlicą, tak, jakby nie można było powiedzieć poprostu, po ludzku, że była sobie małego wzrostu. Ale czyż to rosyjski prostak jest w stanie zrozumieć delikatne uczucia człowieka wykształconego, chamskie dusze! pojąć nie mogą delikatnych uczuć człowieka z edukacyą i wykształceniem, a to wszystko skutkiem rosyjskiej ciemnoty. Od dzieciństwa, od lat najmłodszych, znosić nie mogłem tutejszego wysłowienia się, jak usłyszę, bywało, jakie ordynarne słowo, to wprost na ścianę się drapię.

— Inaczejby pan mówił, gdyby pan był wojskowym, takim np. huzarem, albo podoficerem. — Wyjąłby pan wtedy szabelkę z pochwy, aby Rosyi naszej bronić.

— Nietylko nie pragnę wcale być wojskowym, Maryo Kondratiewno, ale życzyłbym sobie, aby wojsko zostało zniesione.

— A jakby nieprzyjaciel przyszedł, któżby nas wtedy bronił?

Słowom tym towarzyszyło prawdopodobnie czułe, powłóczyste spojrzenie.

— To już, jak kto uważa.

— Ale pan to zupełnie zagraniczny człowiek, wygląda pan, jak jaki szlachetny cudzoziemiec, Muszę to panu powiedzieć w oczy, choć może i nie wypada.

— Chce pani wiedzieć, to powiem pani, że, co się tyczy rozpusty, to zagraniczni ludzie zupełnie podobni są do naszych, szelmy jedni i drudzy. Tylko, że tam przynajmniej, chodzą w lakierowanych trzewikach, a nasi babrzą się w swoich cuchnących brudach i dobrze im z tem. Rosyjskich ludzi należy trzymać pod batem, jak słusznie mówił Fedor Pawłowicz, chociaż on jest waryat, również, jak wszyscy jego synowie.

— Przecież pan sam mówił, że szanuje pan Iwana Fedorowicza.

— Tak, a on mnie nazwał cuchnącym lokajem. Im się zdaje, że ja należę do burzycieli, ale bardzo się mylą, gdybym tylko miał w kieszeni pewną sumę, tobym pojechał w świat i słuchby po mnie zaginął. Przecież Dymitr Fedorowicz rozumem i konduitą gorszy jest od każdego lokaja, nic nie robi, nic nie umie, a mimo to, każdy go szanuje, Ja jestem sobie prosty kucharz, ale przecież gdybym chciał, tobym mógł założyć kawiarnię i resturacyę na pierwszej ulicy w Moskwie, bo gotuję znakomicie i nie znalazłbym równego sobie w całej Moskwie, chyba między cudzoziemcami. Dymitr Fedorowicz, to goły chłystek, a przecież gdyby wyzwał na pojedynek jakiego hrabskiego syna, to tenby mu zaraz stanął, nie to, co mnie, — a dlaczego? czemże on lepszy jest odemnie, czy dlatego, że tysiąc razy głupszy? A ileż to on pieniędzy przemarnował bez żadnej potrzeby!

— To musi być ładnie wyzwać kogoś na pojedynek, — zauważyła Marya Kondratiewna.

— Dlaczego?

— Tak straszno i tak walecznie, osobliwie, kiedy dwaj młodzi oficerowie palą do siebie z pistoletów. to musi ślicznie wyglądać, jak obraz malowany. Jaka szkoda, że nie pozwalają panienkom patrzeć na to. — Zarazbym pobiegła.

— Dobrze temu, co patrzy, ale jak komu prosto w mordę mierzą, to taki musi się głupio czuć. Pani zarazby uciekła, Maryo Kondratiewno.

— A pan, czyby uciekł?

Smerdiakow nie raczył odpowiedzieć, za to po chwili dały się słyszeć dźwięki gitary.

Choć przyjdzie cię rzucić
Nie będę się smucić,
Tęsknej piosnki nucić.
Pójdę w świat daleki,
Zapomnę na wieki,
Zapomnę na wieki.

Tu zaszedł niespodziewany wypadek, a mianowicie: ukryty w altance Alosza kichnął na cały głos.

Głosy przycichły, Alosza wstał i zbliżył się do siedzących na ławce. Był to w istocie Smerdiakow i Marya Kondratiewna, córka miejscowej gospodyni. Smerdiakow ubrany był z niesłychaną elegancyą, wypomadowany, i w lakierowanych trzewikach, towarzyszka jego, młoda jeszcze dziewczyna, nie brzydka, z twarzą trochę za szeroką, usianą gęsto piegami, ubrana była w niebieską suknię z parołokciowym trenem.

— Czy prędko wróci brat mój, Dymitr? — spytał spokojnie Alosza.

Smerdiakow podniósł się zwolna, Marya Kondratiewna zrobiła toż samo.

— Skądże ja mogę mieć jakieś wiadomości o Dymitrze Fedorowiczu? nie jestem przecie jego stróżem, — rzekł Smerdiakow, cedząc zwolna słówko po słówku, z wyraźnem lekceważeniem.

— Myślałem, że wiecie, gdzie jest obecnie, — objaśnił Alosza.

— Niewiem nic o krokach Dymitra Fedorowicza i wiedzieć o nich niechcę.

— A jednak brat mówił mi wyraźnie, że dajesz mu znać o wszystkiem, co się dzieje w domu, i że przyrzekłeś go zawiadomić o dniu przybycia Agrypiny Aleksandrówny.

Smerdiakow zmierzył go spokojnym wzrokiem i rzekł wcale nie zmieszany.

— A jakimże sposobem pan raczył wejść tutaj, skoro brama już od godziny zamknięta, — pytał, patrząc uważnie na Aloszę.

— Przelazłem przez ogrodzenie prosto z ulicy, i czekałem w altanie, mam nadzieję, że mi pani tego za złe nie weźmie — usprawiedliwiał się uprzejmie przed Maryą Kondratiewną. — Musze dziś koniecznie przyłapać mego brata, Dymitra.

Czyż może pan o to pytać? — odrzekła Marya Kondratiewna, bardzo ujeta uprzejmym tonem Aloszy — Dymitr Fedorowicz

przychodzi także często tą samą drogą, i sami nawet niewiemy kiedy.

— Czekam na niego niecierpliwie, bo chcę się z nim widzieć w bardzo ważnej sprawie.

— On się nam nie spowiada z tego, gdzie bywa, — objaśniała Marya Kondratiewna.

— Jestem tutaj z wizytą u znajomych, — zaczął dalej Smerdiakow, — a i tu prześladują mnie pytaniami o pana Dymitra i Fedora Pawłowicza, tak, jakbym mógł wiedzieć, kto do nich przychodzi, a kto nie, pan Dymitr już i tak raz mi śmiercią groził.

— Jak to śmiercią?—zadziwił się Alosza.

— To przecie nic dziwnego z takim charakterem, jak pan Dymitr, sam pan przecie widział wczoraj, czego się może dopuścić. "Jeśli, powiada, Grusza przyjdzie kiedy na noc do ojca, nie żyć już tobie na świecie". Ja się pana Dymitra boję, a gdyby nie to, dawnoby już trzeba dać znać policyi, a to Bóg wie, co tu jeszcze zdarzyć się może.

— Wczoraj jeszcze powiedział: "w moździerzu cię utłukę" — dodała Marya Kondratiewna.

— To już taki jego sposób mówienia, — uspokajał ją Alosza. — Gdybym się zobaczył z Dymitrem, wspomniałbym mu i o tem.

— Tyle tylko mogę powiedzieć, — dodał Smerdiakow, jakby po namyśle, — że Iwan Fedorowicz posyłał mnie dziś rano do pana Dymitra bez listu, a tylko kazał mi powiedzieć, że czekać będzie na niego w restauracyi na rynku, gdzieby chciał z nim razem zjeść obiad. Pana Dymitra w domu nie było, powtórzyłem więc to gospodyni, która mówiła, że był ale wcześnie wyszedł. Może być więc, że obaj pańscy bracia obiadują w tej chwili w restauracyi, bo pana Iwana w domu nie było, a Fedor Pawłowicz przed godziną już zjadł obiad, a teraz położył się i śpi. — Prosiłbym tylko najusilniej, żeby pan nie wspominał panu Dymitrowi, żem to wszystko opowiadał, boby mnie napewno zamordował. Co się tyczy tego, że bywam tu z wizytą u sąsiadki, to chyba mam do tego prawo.

— Więc brat Iwan zapraszał Dymitra do restauracyi "Stołeczny gród"? — pytał ciekawie Alosza.

— Tak, proszę pana.

— To bardzo ważna wiadomość, dziękuję wam, Smerdiakow. Natychmiast tam pobiegnę.

—Tylko niech pan, nie mówi, że to odemnie.

— Bądź spokojny, wpadnę tam jakby wypadkowo.

— Proszę, niech pan zaczeka, furtkę otworzę — proponowała uprzejmie Marya Kondratiewna.

— Nie trzeba, bliżej przez płot — zawołał Alosza i wybiegł z ogrodu tą samą drogą, jaką wszedł. Wiadomość o braciach poruszyła go mocno, postanowił koniecznie się z nimi widzieć, nie wypadało mu, wprawdzie, zachodzić do restauracyi w stroju kleryka, mógł jednak wywołać brata na korytarz i tam się z nim porozumieć. Zaledwie też doszedł do rynku, i zbliżył się do kamienicy, w której mieściła się restauracya, gdy wychylił się do niego przez okno otwarte brat. Iwan.

— Alosza! możesz tu przyjść?

— Nie wypada, mi ze względu na strój.

— Właśnie zamówiłem osobny gabinet, wejdź, a ja zbiegnę na twoje spotkanie i wprowadzę cię.

Za chwilę obaj bracia siedzieli przy stole restauracyjnym, gdzie Iwan obiadował sam.

* * *

POZNANIE BRACI.

Pokoik, w którym znajdował się Iwan, nie był to właściwie osobny gabinet, lecz tylko miejsce przy oknie, odgrodzone od reszty sali parawanami, w każdym razie można tam było zachować incognito w stosunku do ogółu publiczności, której zresztą nie było tu wiele. Z dalszych dopiero sal dochodziły gwarne głosy, słychać było odkorkowywanie butelek i stuk kul bilardowych, tam widocznie koncentrowało się hulaszcze życie wesołych klientów, tu znajdował się tylko bufet i paru emerytów, pijących spokojnie herbatę, których sylwetki odcinały się niekiedy na ścianach ogrodzenia. Alosza wiedział, że Iwan niechętnie bywa w knajpach i nie lubi życia restauracyjnego, przyszedł widocznie dla Dymitra, który się jednak nie stawił na umówionem miejscu.

— Każę ci zaraz podać potrawę z ryby, nie żyjesz przecie samą herbatą — zawołał Iwan, widocznie uszczęśliwiony obecnością Aloszy. Sam skończył już był obiad i popijał go herbatą.

— Każ dać, i owszem, istotnie przegłodziłem się trochę, ale potem i herbaty nie odmówię, — odparł wesoło Alosza.

— A konfitury wiśniowe, pamiętasz, jakieś je lubił będąc dzieckiem.

— Toś tego nie zapomniał? lubię je, co prawda, i teraz.

Iwan zadzwonił na chłopca i kazał podać wyżej wymienione dania.

— Słuchaj, Alosza, pamiętam ja wszystko pamiętam cię doskonale od lat jedenastu, ja miałem wówczas piętnaście; dla chłopców w tym wieku to duża różnica i dlatego nie byliśmy towarzyszami! Nie jestem nawet pewien, czy czułem jakie przywiązanie do ciebie wtedy, gdy wyjeżdżałem do Moskwy, a gdyś i ty się tam dostał, widzieliśmy się z sobą zaledwie jeden raz. A teraz siedzimy tu obaj czwarty już miesiąc, a właściwie nie rozmawialiśmy z sobą. Wyjeżdżam jutro, to też, siedząc tu przed chwilą, myślałem sobie, jakby to dobrze było zobaczyć cię jeszcze i pożegnać się z tobą przed rozstaniem, a tu widzę, idziesz.

— Więc pragnąłeś mnie widzieć?

— O! bardzo. Chcę zapoznać się z tobą na dobre, dać się tobie poznać już raz na zawsze i pożegnać cię. Rozstajemy się a mojem zdaniem, najlepsza to chwila do zaznajomienia się z sobą. Przez sałe trzy miesiące czułem wciąż na sobie pytający twój i wyczekujący wzrok, badałeś mnie wciąż, a tego nienawidzę i dlatego nie zbliżałem się do ciebie. Ale w końcu nauczyłem się ciebie szanować. "Ten umie stać mocno przy swojem". Mówię to całkiem poważnie. Ty umiesz twardo stać przy swojem, a takich ludzi lubię, bez względu na to, przy czem stoją. Od tego czasu twój pytający wzrok przestał mi ciężyć, przeciwnie, polubiłem go. Bo ty, Alosza, kochasz mnie, niewiem za co.

— Tak, kocham cię. Brat Dymitr mówi o tobie. "Iwan grób", ja mówię Iwan zagadką; choć od dzisiejszego rana, mniej już jesteś zagadkowy.

— Dlaczegoż to?

— A nie pogniewasz się na mnie?

— Nie.

— Bo dziś dopiero spostrzegłem, że ty jesteś jeszcze bardzo młody, całkiem młody, świeży chłopak, żółtodzióbek, jeśli się za to określenie nie obrazisz.

— Nie, bynajmniej, przeciwnie podziwiam jasną przenikliwość twego spostrzeżenia. Bo czy uwierzysz, że od chwili rozstania się mego z tobą, tam, u niej, o tem tylko myślałem, o tej mojej wielkiej, chłopięcej prawie młodości. I czy wiesz, co mówiłem sobie, siedząc tu przed chwilą?... Chociażbym nawet utracił wiarę w życie, choćbym się zawiódł na ukochanej kobiecie, i stracił wszelkie złudzenia co do praw rządzących światem, choćbym doszedł do przekonania, że nie ład i harmonia, a przeklęty jakiś bezładny, piekielny chaos, rządzi przebiegiem zdarzeń, to, mimo to, chcę żyć i raz przywarłszy ustami do brzegów puhara, nie oderwę się od niego, aż dopóki nie wychylę wszystkiego do dna, choćby spaść miały na mnie wszystkie nieszczęścia i rozczarowania tego świata.

Do trzydziestu lat młodość moja pokona wszystko, potem, być może, puhar odrzucę i odejdę, gdzie? niewiem, tak mi się przynajmniej zdaje. Zapytywałem siebie, czy jest na świacie taka rozpacz, takie nieszczęście, taka klęska, któreby mogły zagłuszyć we mnie tę nieskończoną, bezmierną, nieprzyzwoitą, może, żądzę życia, a przecież to charakterystyczna cecha Karamazowych, i ona tkwi niezawodnie w tobie, również, jak we mnie, ale dlaczego ma być podłą? Żyć chcę i żyć będę, chociażby wbrew wszelkim prawom logiki. Mogę nie wierzyć w cel i porządek wszechrzeczy, a, mimo to, drogie mi będą rozwijające się na wiosnę pączki zieleni, i niebo błękitne, i niektórzy ludzie, i niektóre ludzkie porywy, w których wartość dawno, być może, przestałem już wierzyć, a które jednak czcić muszę starym nałogiem, i kocham je z całego serca.

Przynieśli ci twój obiad, jedz, bracie, na zdrowie, świetnie tu przyrządzają tę rybę.

Jadę do Europy, Alosza, i wiem z góry, że jadę na cmentarz, ale na drogi, święty cmentarz. Drogocenni tam spoczywają zmarli. Tam każdy kamień świadczy o minionem życiu, pełnem ognia i wiary namiętnej w swoją prawdę, w swoją walkę, w swoją naukę. I wiem z góry, że padnę twarzą na owe kamienie i płakać będę gorącemi

łzami, wiedząc, że opłakuję cmentarze, prochy i popioły, a, mimo to, płakać będę nie z żalu, a ze szczęścia, że łzy takie wylewać mogę. Upoję się własnym zachwytem. Kocham pączki wiosenne i niebo błękitne! ot co! To nie rozumem, nie logiką, a wnętrznościami i żywotem kocha się własne siły żywotne. Rozumiesz ty co, Alosza, z tej mojej gadaniny?

— Rozumiem wszystko, Iwanie. Wnętrznościami własnemi i żywotem kochać należy. Przepięknie to powiedziałeś. Życie kochać należy nad wszystko na świecie.

— Jakto? życie samo kochać bardziej, niż jego istotę?

— Tak, stanowczo tak. Kochać je, zanim się je zrozumie, kochać poza wszelką wyrozumianą logiką, a wtedy dopiero pojmie się jego sens. Dokonałeś już połowy dzieła, skoro kochasz jego połowę, a będziesz zbawiony.

— Cóż to? już mnie zbawiać zaczynasz? Możem przecie jeszcze nie zgubiony. A na czemże polega ta twoja druga połowa?.

— Na tem, byś mógł wskrzesić twoich zmartych, którzy, być może, jeszcze nie skonali. Daj herbaty. Rad jestem, że rozmawiamy ze sobą.

— Widzę, że jesteś w natchnieniu, lubię, nad wyraz lubię, takie gorące wyznanie wiary w ustach nowicyusza. Czy to prawda, że rzucasz klasztor?

— Tak. Mój starzec kazał mi iść w świat.

— W takim razie spotkamy się jeszcze w świecie, może w chwili, gdy zacznę odrywać wargi od puhara życia.

Tak przynajmniej zamierzam około trzydziestego roku. Ojciec nasz nie chce odrzucać puharu dziś jeszcze, chce czerpać z niego do siedemdziesięciu lat. Ten stoi jak mur przy swoich pożądaniach, używanie to jego hasło, chociaż kto wie, czy po trzydziestu latach zostaje już co innego człowiekowi. W każdym razie, sądzę, że do siedemdziesięciu lat to za długo, szlachetniej i godniej jest skończyć na trzydziestu, zachowuje się przynajmniej jakiś cień dostojności, chociażby to było tylko złudzenie. Nie widziałeś ty Dymitra?

— Nie, za to widziałem Smerdiakowa. — Tu Alosza opowiedział szczegółowo bratu przypadkowe swoje spotkanie z kucharzem ojca.

Słuchając tego, Iwan spochmurniał.

— Co ci jest? — spytał Alosza. — Czy to Smerdiakow cię drażni?

— Ach nie, nie o to idzie, dyabli go bierz. Ale istotnie chciałem się widzieć z Dymitrem, teraz już nie czas — odrzucił niechętnie Iwan.

— Więc ty naprawdę jutro wyjeżdżasz?

— Tak.

— A cóż będzie z Dymitrem? co z ojcem? jak się to między nimi skończy? — pytał trwożnie Alosza.

— A ty wciąż swoje. Cóż ja? cóż mnie to obchodzi? czy jestem stróżem brata Dymitra? — odrzekł z rozdraźnieniem Iwan. — Kainowa odpowiedź Bogu, na zapytanie o brata, pomyślałeś to zapewne w tej chwili. Ale czyż w samej rzeczy nie mam prawa uchylić się od tego stróżowania. Skończyłem swoje interesa i jadę. Nie myślisz chyba, jak drudzy, że zazdrosny jestem o Dymitra, i usiłuję mu odbić jego "krasawicę", Katarzynę Iwanównę. Do dyabła! mogłem mieć przecie swoje własne sprawy, skończyłem je i jadę. Tak, skończyłem je dziś rano, widziałeś sam, byłeś świadkiem.

— U Katarzyny Iwanównej?

— Tak, u niej. Miałem z nią swoje własne rachunki, nie mające nic wspólnego z Dymitrem. Co mnie do Dymitra? Swoją drogą, sam wiesz, że Dymitr tak postępował, jakby był ze mną w zmowie. Nie proszony, zrzekł się i przelewał na mnie swoje prawa do Katarzyny, błogosławił nas. Śmiechu warte! Nie! O nie! Gdybyś mógł wiedzieć, Alosza, jaki ja się teraz czuję swobodny. Przed chwilą miałem ochotę postawić szampana, aby święcić pierwszą godzinę odzyskanej wolności. Tfu! Pół roku prawie dźwigać taki ciężar, a teraz pozbyłem się go odrazu. Sam się jeszcze wczoraj nie domyślałem, że to mi tak łatwo, tak lekko przyjdzie.

— Mówisz o swojej miłości, Iwanie?

— O miłości? Tak, jeśli chcesz. Kochałem się w tej waszej panience instytutce, kochałem się w niej i dręczyłem się, ona mnie dręczyła, aż naraz wszystko znikło. Pamiętasz, z jakiem uniesieniem mówiłem tam u niej, a skorom wyszedł, roześmiałem się na głos. Nie wierzysz może? Mówię ci to całkiem szczerze.

— I teraz mówisz o tem dziwnie wesoło, — zauważył Alosza — wpatrując się

uważnie w istotnie rozpogodzoną twarz Iwana.

— Dlaczego ja nie wiedziałem, że jej wcale nie kocham? Che! che! che!

A przecież gdybyś wiedział, jak mi się strasznie podobała, jak mi się podoba dziś jeszcze. Mimo to, tak mi łatwo rozstać się z nią. Myślisz może, że fanfaronuję.

— Nie. Ale może nie była to wcale miłość.

Alosza! — zaśmiał się Iwan. — Daj pokój wszelkim rozumowaniom o miłości, tobie to nie przystoi. A! jakieś to wtedy wyskoczył. Zapomniałem uściskać cię za to. "Kocha mnie, mówiłeś i dlatego dręczy, wie, że ją kocham, a miłość Dymitra, to tylko przymus". Wszystko to prawda, a w tem tylko trudność cała, że ona potrzebuje na to piętnastu, a może dwudziestu lat, aby się przekonać, że nie kocha Dymitra, a tylko mnie, którego dręczy, a może i nigdy się tego nie domyśli, pomimo wczorajszej nauczki. To też i lepiej, że odjadę i porzucę ją raz na zawsze. Ale, ale, a co się z nią teraz dzieje? Co zaszło, skorom odszedł?

Alosza opowiedział mu o zasłabnięciu Katarzyny, która dotąd leży w gorączce.

— Czy nie kłamie ta Chachłakowa?

— Zdaje się, że nie.

— Wartoby sprawdzić. Co prawda z ataku nerwowego nikt nie umarł. Przeciwnie, to łaska Boska dla kobiet, te ich ataki nerwowe. Nie pójdę tam. Poco leźć znowu?

— Pocóż jej powiedziałeś, że nie kochała cię nigdy?

— To tak umyślnie, mój drogi. No! każmy sobie podać szampana i pijmy na oswobodzenie moje. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy.

— Nie, bracie — odrzekł Alosza — nie będziemy pili, bo mi czegoś smutno.

— Zauważyłem to odrazu, że ci coś jest.

— Więc ty naprawdę wyjeżdżasz jutro rano?

— Nie powiedziałem, że koniecznie rano, ale może i tak będzie. Czy wiesz, dlaczego przyszedłem tu dzisiaj? Poprostu nie mogę już wytrzymać z naszym starym taki wstrętny. Dawnobym już odjechał, byle go tylko nie widzieć. Ale dlaczego ty się tak niepokoisz moim odjazdem? Mamy jeszcze moc czasu do rozmówienia się, wieczność, powiadam ci, nieskończoność.

— Jeśli wyjeżdżasz jutro, jakaż tu nieskończoność?

— A cóż nas to obchodzi? — zaśmiał się Iwan. — I tak znajdziemy czas na powiedzenie sobie tego, co mamy wypowiedzieć. Bo powiedz prawdę, Alosza, pocośmy się tu zeszli, czy po to, aby gadać o miłości mojej dla Katarzyny, o ojcu, o Dymitrze, o zagranicy, o cesarzu Napoleonie. — Czy po to?

— O nie.

— Widzisz. Rozumiesz równie dobrze, jak ja, pocośmy tu przyszli.

Niech świat trudzi się codziennymi potrzebami, my młodzi, żółtodzióbki, jak nas nazywają, inny cel mamy przed sobą. Cała młoda Rosya, o jednem tylko marzy: jak rozwiązać odwieczne ogólne zagadnienia, w przeciwieństwie do starych, którzy tylko praktyczne sprawy mają na względzie. Dlaczego ty np. patrzyłeś na mnie całe trzy miesiące z tak niespokojnem wyczekiwaniem.

Czy wierzę? w co wierzę? jak wierzę? Oto co mówiły mi twoje oczy przez całe długie trzy miesiące. Czy nie tak?

— Być może — uśmiechnął się Alosza, — ale czy nie żartujesz teraz, Iwanie?

— Nie do żartów mi. Nie chciałbym przecież obrazić drogiego mego braciszka, co śledził mnie tak badawczo przez całe trzy miesiące. Popatrz na mnie, Alosza, i przyznaj, że pominąwszy to, że ty jesteś klerykiem, jesteśmy obaj zupełnie tacy sami. Dwaj młodzi, bardzo młodzi chłopcy, jakich tysiące spotyka się dziś w Rosyi. A co robią dziś takie rosyjskie chłopaki? Zejdą się w restauracyi ludzie, którzy się nigdy przedtem nie widzieli i prawdopodobnie nigdy się widzieć nie będą. Zasiądą w kącie przy stoliku i mówić będą o wszech światowych zagadnieniach, o wierze, o nieśmiertelności, ci zaś, którzy nie wierzą, o socyaliźmie, o anarchiźmie, o przetworzeniu i zreformowaniu ustroju społecznego, słowem, poruszać będą wciąż te same odwieczne pytania, tylko od drugiego końca, że tak powiem; czy nie tak? Tak się dziś zabawia oryginalna rosyjska młodzież.

— Tak — odparł Alosza z łagodno-orzenikliwym uśmiechem. — Takie kwestye zajmują dziś naszą młodzież, choćby z drugiego końca, jakieś powiedział, ale to dobrze i tak być powinno.

— Słuchajno, Alosza. Nie jest to wcale rzecz mądra być takim rosyjskim młodzieńcem, a nawet, prawdę powiedziawszy, trudno sobie wyobrazić coś głupszego, jak to nieustanne rozwiązywanie zadań. A mimo to, jest tu pewien chłopak, który się temu oddaje, a którego serdecznie kocham.

—Bardzo to ładnie wyprowadziłeś — uśmiechnął się Alosza.

— No, bracie, zaczynajmy więc, a od czego zaczniemy, czy może od wiary?

— O wierze wypowiedziałeś się już wczoraj, tam, u ojca — zauważył Alosza, patrząc badawczo na brata.

— Powiedziałem wczoraj, że nie wierzę umyślnie, żeby cię podrażnić. Jakże ci oczy błysnęły! Ale dziś co innego, dziś mówić będę poważnie, bo chcę się z tobą zejść. Nie miałem dotąd przyjaciela, sprobuję, czy ty nim być możesz? No więc, przypuśćmy, że wierzę. Nie spodziewałeś się tego — co!

— Nie bardzo. Ale może i teraz drwisz tylko?

— To samo zarzucano mi parę dni temu, tam w celi starca. Czy ja wierzę? Przecież już w XVIII-tym wieku, powiedział stary grzesznik Voltaire: "Si Dieu n'existent pas il faudrait l'inventer". Nie o to chodzi, czy kto wierzy. To tylko dziwne, że taka święta, rzewna, konieczna i przemądra myśl mogła wejść do mózgownicy tak dzikiego i złośliwego bydlęcia, jakiem jest człowiek. Tam, na Zachodzie, stawiają ludzie różne hypotezy, ale nasza rosyjska młodzież wyprowadza z nich natychmiast nieomylne pewniki. Oni potrzebują dogmatów, i to nietylko młodzież, ale profesorowie nasi i uczeni, którzy są bardzo podobni do młodzieży. Świat, jak wiadomo, stworzony został podług praw Euklidesa, a umysł ludzki pojmować może jedynie trzy wymiary przestrzeni. A przecież znajdowali się i znajdują jeszcze matematycy i filozofowie, którzy podają w wątpliwość, czy istotnie świat stworzony został podług trójwymiarowych praw Euklidesa. Co więcej ośmielają się marzyć, że dwie linie równoległe, które podług praw Euklidesa na ziemi zejść się nie mogą, schodzą się może jednak, gdzieś tam, w nieskończoności. Otóż ja, w pokorze ducha, przyznaję, że umysł mój niezdolny jest do rozstrzygania tego rodzaju kwestyi. Umysł mam Euklidowski, ziemski, i dlatego nie poważam się wyrokować o sprawach poza ziemskich. I tobie też, bracie, radzę, nie zagłębiaj się w sprawdzanie pojęć, niezgodnych z wyobrażeniami naszymi, o ustroju rzeczy trójprzymiarowym.

I tak, uznaję z całego serca, uznaję potęgę, mądrość i wielkość Bożą. Wierzę także w cel, jakkolwiek zupełnie dla nas niepojęty, istnienia wszechrzeczy, w porządek, ład i wieczystą harmonię, w którą zlejemy się kiedyś wszyscy i w rozmaite inne jeszcze pewniki (dość chyba słów wypowiedziano już na ten temat). Więc, prawdopodobnie, jestem już chyba na dobrej drodze. A przecież, wystaw sobie, że w ostatecznym rezultacie nie uznaję jednak tego świata, stworzonego tak harmonijnie i celowo. Wiem, że istnieje, a mimo to, nie uznaję go wcale. Zechciej zrozumieć, że ja na istnienie takiego świata zgodzić się nie mogę.

Gotów jestem wierzyć, jak dziecko, że przyjdzie czas, gdy wszystkie ludzkie cierpienia rozwieją się gdzieś i znikną, gdy cała bolesna i krzywdząca komedya sprzeczności życiowych roztopi się gdzieś i zaginie, jak złudny miraż, twór nizkiego i małostkowego ducha, atomistycznego ludzkiego rozumu, opartego na prawach Euklidesa. Ufam, że gdzieś, pod koniec, w chwili dopełnienia się wiecznej harmonii, odsłoni się i objawi coś tak wielkiego i cennego, co starczy na zaspokojenie wszystkich serc, na ukojenie wszelkich oburzeń, na odkupienie, a nawet usprawiedliwienie wszelkich występków ludzkich, wszelkiej przelanej krwi, co starczy nietylko na przebaczenie, ale nawet na usprawiedliwienie wszystkiego, co się ludziom zdarzyło. Niech! niech się tak stanie, a jednak wtedy nie uznam i nie przymę tego, co było przedtem, i uznać tego nie mogę. Choćby nawet dwie równoległe linię zeszły się z sobą w przestrzeni, choćbym to widział na własne oczy, to faktu tego nie przyjmę i nie uznam. To moja teza, to moje wyznanie wiary; chciałeś je przecie znać, Alosza. Umyślnie zacząłem rozmowę naszą tak zupełnie głupio, a jednak doprowadziłem ją do tej spowiedzi, bo wiem, że musisz, że chcesz wiedzieć, czem żyje brat twój, którego kochasz. Powiedziałem.

Iwan zakończył długą swoją przemowę ze szczególnem i niezwykłem u siebie przejęciem.

— A czemuż zacząłeś tak "głupio", jak

się wyraziłeś? — pytał Alosza, patrząc w zamyśleniu na brata.

— Po pierwsze, żeby to było czysto po rosyjsku, bo nasze rosyjskie rozmowy muszą się zawsze głupio zaczynać, a po drugie, że im głupiej, tem bliżej celu. Głupota jest jasna i nieprzebiegła, rozum zaś wykręca się i zasłania; rozum podły jest, a głupota uczciwa i prosta. Odsłoniłem ci głąb rozpaczy mojej, a im głupiej to się stało, tem dla mnie lepiej.

— Czy zechcesz mnie objaśnić, dlaczego ty nie uznajesz świąta? — pytał Alosza.

— Oczywiście, że tak, niema w tem żadnej tajemnicy, i do tego właśnie zmierzałem — odparł Iwan. — Nie chcę ja ciebie zgorszyć, braciszku drogi, ani zachwiać cię w podstawach, na których stoisz. Przeciwnie ,sam pragnąłbym uleczyć się obcowaniem z tobą.

Mówiąc to, Iwan miał na ustach uśmiech prawie dziecięcy, jakiego Alosza nigdy wprzód u niego nie zauważył.

* * *

BUNT.

— Muszę ci zrobić jedno wyznanie — mówił dalej Iwan. — Nigdy zrozumieć nie mogłem, jak można kochać swoich bliźnich, bliskich. Właśnie niepodobieństwem jest kochać bliskich swoich, raczej już dalekich. Czytałem gdzieś, że wielki jakiś święty przygarnął kiedyś do łoża swego umierającego wędrowca i ogrzewał własnym oddechem cuchnące jego rany. Przekonany jestem, że zrobił to z musu, z wielkim wysiłkiem, jako narzucony sobie obowiązek. Człowiek, który chce być kochany, musi się ukrywać, gdy zaś pokaże prawdziwą twarz swoją, miłość znika.

— Mówił mi to nieraz starzec Zosima — zauważył Alosza — mówił także, że odsłonięcie się człowieka niszczy często miłość w niedoświadczonych sercach. Mimo to, wierz mi, że jest wśród ludzi dużo Chrystusowej prawie miłości, sam widziałem, Iwanie.

— Ale ja nie widziałem, a dokąd nie zobaczę, nie pojmę. i ze mną wielu ludzi. I niewiem, czy pochodzi to ze złych skłonności, które wykluczają miłość, czy też taka jest wogóle natura ludzka. Mojem zdaniem, miłość Chrystusowa, to cud, którego się na ziemi nie spotyka. Prawda, że On był Bogiem, a my bogami nie jesteśmy. Nn. ja, cierpieć mogę nieskończenie, a nigdy drugi człowiek dowiedzieć się nie może, do jakiego stopnia cierpię, poprostu dlatego, że to drugi człowiek, nie ja a prócz tego, rzadko człowiek zgadza się na to, aby uznać cierpienie drugiego, jakby to była wyższość jaka lub ranga. A dlaczego, jak myślisz, cierpienia tego nie uzna? Bo np. jeden ma jakieś kalectwo, drugi głupią twarz, a trzeci nastąpił mu na nogę. Przytem są różne gatunki cierpień. Na cierpienie poniżające, upokarzające, np. głód fizyczny, zgodzi się bliźni mój i dobroczyńca, ale w cierpienie wyższego gatunku, dla idei np., nie uwierzy nigdy, a przynajmniej rzadko. Bo np. twarz moja wyda mu się zupełnie inną, niż ta, którą, jak sobie wyobraził, mieć musi człowiek cierpiący dla idei. Niema wtedy dla mnie żadnego współczucia, i to nie ze złego serca. Ubodzy, zwłaszcza ze sfer inteligentnych, nie powinni nigdy osobiście prosić o jałmużnę, raczej za pośrednictwem gazet. Znosimy jeszcze żebraków, takich, jakch się widuje na scenie, w balecie, gdzie pląsają z wdziękiem w jedwabnych łachmanach, tam jeszcze można ich lubić — no, nie kochać; ale dość o tem.

Chciałem mówić o cierpieniach ludzkich wogóle, ale może wystarczy, gdy wspomnę tylko o cierpieniach dzieci. Bo przedewszystkiem dzieci kochać można nawet zblizka, nawet gdy są bardzo brudne i brzydkie (choć zdaje mi się, że dzieci nigdy nie bywają brzydkie). Powtóre, starsi nietylko, że są wstrętni i niegodni miłości, ale jeszcze umieją się mścić. Zakosztowali już z drzewa złego i dobrego, i kosztują nadal z niego, dzieci zaś niczego jeszcze nie zakosztowały i są, do czasu niewinne. Lubisz dzieci, Alosza, nieprawda? dlatego też rozumiesz łatwo, dlaczego o nich, mianowicie, mówić zamierzam. Jeżeli i one cierpieć muszą na ziemi, to karane są za winy ojców swoich, którzy jabłka zakosztowali, ale wyrok taki, pochodzący z tamtego świata, niezrozumiały jest zupełnie dla naszego ziemskiego serca. Istota niewinna, a w dodatku tak bezbronna, nie powinna cierpieć za drugiego. Popatrz na mnie, Alosza, ja także lubię bardzo dzieci. I zanotuj to sobie, że nawet dzikie, okrutne, zmysłowe, takie

Karamazowskie natury, kochają często dzieci i to bardzo.

Dzieci, do lat siedmiu, ogromnie się różnią od starszych, jakby zupełnie inne istoty, inne natury. Czy wiesz, znałem jednego mordercę, rozbójnika z zawodu, który w ciągu swojej karyery wymordowywał nieraz dla rabunku całe rodziny, wśród których znajdowały się, oczywiście, i dzieci. Ten sam zbójca, siedząc w więzieniu, przepadał poprostu za dziećmi; całe godziny spędzał w oknie, patrząc na zabawy dziecinne, a jednego chłopaczka przywabił nawet do siebie i zaprzyjaźnił się z nim bardzo. Ty nie wiesz, dlaczego to mówię, Alosza. Głowa mi cięży i czuje się smutny.

— Mówisz to jakoś dziwnie — zauważył niespokojnie Alosza, — jakby w szaleństwie.

— Opowiadał mi niedawno jeden Bułgar — mówił dalej Iwan, jakby nie słysząc uwagi Aloszy, — jak tam u nich Turcy popełniają mordy i okrucieństwa, obawiając się ogólnego powstania Słowian. Palą i mordują, gwałcą kobiety i dzieci, przybijają ćwiekami za uszy pojmanych więźniów, trzymają ich tak do rana, a następnie wieszają. różne inne okropne popełniają występki. Nieraz się słyszy o zwierzęcem okrucieństwie ludzi, ale to porównanie jest zupełnie niesprawiedliwe i zanadto krzywdzące dla zwierząt. Zwierzę nie potrafi przecie nigdy popełniać tak wyrafinowanych i artystycznych okrucieństw, jak człowiek. Tygrys rzuca się szarpie, gryzie i nic więcej. Nie przyszłoby mu nigdy na myśl przybijać kogoś gwoździami za uszy, choćby to nawet umiał zrobić. Nie przyszłoby mu na myśl wyrzynać dzieci z żywotów matek, lub też podrzucać je w górę i łapać na ostrza pik, jak to robili żołnierze i to w obecności matek. W tem właśnie cała rozkosz okrucieństwa, że w obecności matek. Albo taki obraz. Dzikie żołdactwo w przystępie wesołości chce się zabawić, otaczają kołem drżącą z przerażenia matkę z małem dziecięciem na ręku. Zabawiają dziecię, śmiejąc się do niego i doprowadzają je rzeczywiście do śmiechu, wtedy taki artysta dzikości mierzy w dziecię pistoletem tuż, tuż przy jego twarzyczce, dziecię wyciąga radośnie rączki do świecącej błyskotki, a żołdak spuszcza kurek i kula rozrywa i roztrzaskuje uśmiechniętą twarzyczkę. Prawda, ładny obraz?

— I po co to wszystko, bracie? — pytał Alosza.

— Bo myślę, że jeżeli szatan istnieje, to człowiek stworzył go na podobieństwo swoje.

— Więc uznajesz szatana?

— Umiesz zręcznie chwytać mnie za słówka, ale nie o to chodzi. Jestem kolekcyonista dyletant i zbieram sobie rozmaite anegdotki i ciekawe fakty, a mam już ich spory zapas. Nie jesteśmy wprawdzie mahometanami i przybijanie gwoździami więźniów za uszy nie jest u nas dozwolone, ale mamy my swoje, rosyjskie, narodowe rózgi i pletnie, to już czysto nasze i nie może być nam odjęte. Za granicą prawo nie pozwala na bicie, ale wynagrodzono to sobie innemi sposobami, a są one dla nich równie charakterystyczne, jak dla nas rózgi i pletnie. Mam bardzo charakterystyczną broszurkę, przełożoną z francuskiego, opisującą fakt jeden, który się zdarzył w Szwajcaryi. Był tam chłopak jeden, imieniem Ryszard, dziecko nieślubne, które rodzice podarowali górskim pastuchom alpejskim. Dziecko miało wówczas lat sześć, a pastuchy wcześnie zaczęli go używać do pracy, i nie poczuwali się, bynajmniej, do obowiązku żywienia go i odziewania. Dziecko posyłano od siedmiu lat na pastwisko z trzodą, a gdy głodny był, skradać musiał jedzenie świniom, a za to chłostano go, złapawszy na gorącym uczynku. Nie uczono go niczego, rósł sam, jak dzikie zwierzątko. Gdy dorósł i nabrał sił, zarabiać zaczął dzienną pracą, a zarobione pieniądze przepijał, nie umiałby nawet użyć ich inaczej. Ostatecznie ograbił i zamordował jakiegoś starca, a sąd ujął go i skazał na śmierć. Tam nie bawią się w sentymentalizm. W więzieniu dopiero rzuciły się na niego całe tłumy pastorów i rozmaitych członków towarzystw dobroczynnych.

Nauczyli go czytać i pisać, wtajemniczyli w zasady wiary, nastawali na niego, przekonywali, doradzali, aż wreszcie udało się im doprowadzić go do wyznania. Ryszard napisał sam do sądu zeznanie, w którem obwinia siebie i ogłasza, że żył dotąd, jak zwierzę, ale nakoniec i na niego spłynęło światło niebieskie. Na to poruszyła się cała Genewa, wszystko, co było w mieście znakomitszego i zajmowało się dobroczynnością, zwaliło się do więzienia, całowano, ściskano biednego Ryszarda, mówiono mu

bracie, ciesząc się jego nawróceniem, a biedny Ryszard wylewał łzy wzruszenia, powtarzając za innymi: "żyłem dotąd w ciemności, podobny zwierzęciu nieczystemu, ale i na mnie spłynęło teraz światło i łaska i umrę w Panu." Przychodzi wreszcie dzień spełnienia wyroku; dobroczynne damy i członkowie stowarzyszeń śpieszą tłumnie na miejsce egzekucyi; czy może wydrzeć chcą nieszczęsnego ze szponów świeckiej sprawiedliwości? O nie, bynajmniej. "Umieraj, Ryszardzie, umieraj bracie nasz, to najpiękniejszy dzień twego życia", a i on sam, cokolwiek niepewny, osłabiony wzruszeniem, powtarzał za nimi: "To najpiękniejszy dzień mego życia". I kładą głowę jego na rusztowaniu, a bracia jego, członkowie stowarzyszeń i dobroczynne damy, patrzą z zachwytem, jak głowa ta, odcięta nożem gilotyny, stacza się po stopniach szafotu. Prawda, że to charakterystyczne, a fakt to zupełnie prawdziwy, który zaszedł niedawno w naszym wieku, opisano go w osobnej broszurze, którą stowarzyszenia protestanckie przełożyły na różne języki i rozpowszechniano ją wraz z dziennikami. W ten sposób dostała się do rąk moich. U nas wprawdzie nie mordują ludzi śród takich okoliczności, ale za to mamy, jak już wyżej wspomniałem, nasze własne, narodowe, rosyjskie bicie. Jest śliczny wiersz Niekrasowa, bardzo znamienny. Rosyjski chłop bije konia, to takie nasze, któż tego nie widział. Biedne zwierzę, obarczone ciężarem nad siły, ugrzęzło w błocie i nie może ruszyć z miejsca, chłop bije go zapamiętale, bezrozumnie, siecze go po oczach, po jego biednych, smutnych oczach, wie, że zwierzę ruszyć nie jest w stanie, ale bije, siecze bez ustanku. "zdychaj, a ciągnij"; bije go po jego biednych, łzawych oczach i zwierzę ostatnim wysiłkiem szarpie się i wyciągnęło wóz i poszło dalej drżące, zatraciwszy oddech, poruszając się bezładnie, dzięki tylko sile nabytego rozpędu. Prawdziwie i strasznie oddał to Niekrasow; ale to tylko koń; konia na to ma człowiek, aby miał kogo siec. Nasi potrafią i lepiej. Wszak Tatarzy zostawili nam knut w dziedzictwie. Można przecie siec i ludzi. Naprzykład pewna inteligentna, wykształcona para, siekła własne dziecko, córeczkę siedmioletnią, siekli ją rózgami, mam to zapisane z najdrobniejszymi szczegółami. Ojciec używał rózgi z kolcami, to się lepiej czuje. A trzeba ci wiedzieć, że są usposobienia, które w miarę bicia rozgrzewają się, zapalają za każdem uderzeniem; dochodzą do namiętności, biją minutę, dwie, trzy, pięć, dziesięć minut, dziecko krzyczy, wreszcie słabnie i krzyczeć już nie może. Sprawa przyszła przed sąd, rodzice najmują adwokata. Niedarmo lud nasz nazywa adwokata "abłakat" (przedajne sumienie).

Adwokat podniósł wrzawę w obronie swojego klienta; sprawa taka protsa, zwyczajna, familijna, ojciec skracił dziecko, czyż nie wstyd sprawę taką wytaczać przed sądem. Sędziowie przysięgli, zupełnie przekonani, uniewinniają dręczyciela, publiczność wyje z zachwytu z powodu tak sprawiedliwego wyroku. Szkoda, że mnie tam nie było, zaproponowałbym składkę na stypendyum imienia tego wzorowego ojca. Piękny obraz. Prawda? Ale mam jeszcze lepszy; dużo, dużo dokumentów udało mi się zebrać z życia naszych rosyjskich dzieci. Pewni rodzice, ludzie ze sfer inteligentnych, wykształceni, cywilizowani, znienawidzili własne dziecko, pięcioletnią dziewczynkę. Wspominałem ci już, że są usposobienia, znajdujące specyalną przyjemność w dręczeniu dzieci. Poza tem w stosunku do ludzi dorosłych mogą być uprzejmi, delikatni, ogładzeni, jak przystało na ludzi cywilizowanych, przejętych europejską kulturą. Dzieci tylko dręczyć potrafią, to jest ich sposób lubienia dzieci. Właśnie ta zupełna bezbronność, anielska ufność i łatwowierność, jaką tu spotykają, rozbudza w nich zwierzęce instynkty. Bo w każdym człowieku tai się zwierz złości i pożądania, zwierz spuszczonych z łańcucha żądz i chorób nabytych w rozpuście, taki zwierz budzi się i rozżera widokiem krwi i krzykiem dręczonych ofiar. Ową biedną pięcioletnią dziewczynkę poddawali ci dobrze wychowani rodzice wszelkiego rodzaju torturom. Bili ją bez żadnej przyczyny, deptali nogami, tak, że całe ciało pokryte było czarnymi sińcami, zamykali w zimne, mroźne noce w miejscach ustępowych na kilka godzin, utrzymując, że nie jest dość porządną itp. I to matka robiła, własna matka, i zdolna była zasypiać spokojnie przy rozpaczliwych krzykach biednego dziecka, zamkniętego w nikczemnym, smrodliwym zakątku. Zastanów się teraz, co mogło czuć takie biedne, bezradne stworzenie, nie będące jeszcze w stanie zrozumieć, co się z niem dzieje. Jak tłukło się drobnymi rączynami

w dziecinną wątłą pierś, wzywając Boga na pomoc. Czy wytłómaczysz mi teraz, bracie ty mój, pokorny i słodki sługo Boży, na co i po co potrzebne są takie potworności? Czy wistocie po to, aby się człowiek nauczył odróżnić zło od dobra?

— I po co? po co to piekielne poznanie zła i dobra, jeżeli się ma ono nabywać takim kosztem, cały bezmiar poznania nie opłaci owych rozpaczliwych łez dziecka, wzywającego napróżno pomocy. Ty cierpisz, Alosza, słuchając takich opowiadań, to nad twoje siły. Jeżeli chcesz — przestanę.

— To nic, ja chcę cierpieć, — wyszeptał z trudem Alosza.

— Jeszcze jeden, jeden ci tylko przytoczę przykład, bardzo charakterystyczny, fakt, którego opis czytałem w jednym z naszych roczników archiwalnych w "Ruskiej Starinie". Działo się to w pełnym rozkwicie chłopskiej pańszczyzny, gdzieś w początku XIX-go stulecia. Żył wówczas na wsi pewien generał, z rodziny ziemiańskiej, skoligacony z najbogatszem obywatelstwem okolicznem. Należał on do licznych tych, którzy przekonani byli, że mają najpełniejsze prawo życia i śmierci, nad swymi poddanymi. Dużo takich było wówczas w Rosyi. Żył więc ów generał w swoim majątku, liczącym dwa tysiące dusz (poddanych). Uboższych sąsiadów traktował z góry, uważając ich za swoich pieczeniarzy i błaznów, trzymał niezmiernie liczną psiarnię do polowania i całe setki psiarczyków umundurowanych i konnych.

Otóż jedno z dzieci, będących na służbie, chłopak ośmioletni, skaleczył kamieniem w nogę ulubioną charcice pana generała. — "Cóż to, pies mój kuleje?" — woła grzmiącym głosem samowładca — objaśniają mu przyczynę.

"Któryż, to chłopak? brać go!" — brzmi rozkaz, — i biorą dzieciaka, zamykają go na całą noc w jakiejś piwnicy. Rankiem, skoro świt, wyjeżdża generał na polowanie. Wsiadł na konia, dokoła niego goście, rezydenci, służba, leśnicy, dojeżdżacze, wszystko konno, dalej sfory psów gończych. — Wyprowadzają chłopca, ranek jesienny, drżysty, chłodny, dzień bardzo dobry do polowania. Generał rozkazuje rozebrać chłopca do naga, dzieciak drży oszołomiony, prawie bezprzytomny ze strachu. — "Gonić go", — komenderuje generał, "biegaj! biegaj!" — wołają psiarki i dojeżdżacze, i chłopak biegnie. — "Huź! ha! huź! ha!" — krzyczy generał i wypuszczają na chłopca wszystkie psy, spuszczone ze smyczy; rozszarpały go psy w oczach matki, rozszarpały na strzępki dzieciaka.

Generała wzięli pod kuratelę. A ty, jak myślisz, Alosza, rozstrzelać takiego, co? Mów, Alosza.

— Rozstrzelać! — szepnął, blady, jak ściana, Alosza, krzywiąc usta dziwnym jakimś uśmiechem i podnosząc nieśmiały wzrok na brata.

— Brawo! — zawołał w ekstazie Iwan — brawo! — Ty, słodki kleryk, rozstrzelać każesz. — A widzisz! taki to szatan czai się i w tobie, Aleksy Karamazow.

— Powiedziałem głupstwo — ale...

— Otóż to! — pochwycił Iwan — to ale... pamiętaj, Alosza, że głupstwa potrzebne są na świecie, bez takich głupstw wiele rzeczy wcaleby nie zaszło, możeby się wogóle nic na świecie nie zrobiło. Wiem, to wiem.

— Cóż ty wiesz?

— Ja nie rozumiem, — ja nie chcę nic rozumieć, dawno już przestałem rozumieć. Trzymam się tylko faktów i postanowiłem przy nich zostać.

— Dlaczego trzymasz mnie tak długo w niepewności, powiedz raz, co masz powiedzieć, — zawołał Alosza prawie z goryczą.

— Powiem! o! powiem, do tego przecież zdażam, — odrzekł Iwan. — zanadto mi jesteś drogi, abym cię chciał utracić; nie odstapię cię twemu starcowi Zosimie.

Iwan zamilkł na chwilę, a twarz jego stała się bardzo posępna.

— Słuchaj — mówił dalej, — wspomniałem tylko o cierpieniach dzieci, aby rzecz moja bardziej uwydatnić, o innych łzach ludzkich, któremi ziemia nasza przesiąknieta jest nawskroś, nie powiem już, ani słowa. Robak jestem i przyznaię w najgłębszej pokorze, że nie rozumiem i nie zrozumiem nigdy, dlaczego życie nasze jest takie, a nie inne. Człowiek, oczywiście, sam sobie winien, dano mu raj na ziemi, a on zapragnął swobody i wykradł ogień z niebios, wiedząc z góry, że ściąga na siebie nieszczęście, zatem żałować go nie należy. Prosty mój, marny, Euklidowski rozum, mówi mi tylko: na ziemi jest cierpienie, a winnych właściwie niema — i wszystko wypływa logicznie jedno z drugiego. Cóż

stąd? cóż mi stąd, że to wszystko wiem, kiedy ja się na świat tak stworzony zgodzić nie mogę. Ja domagam się zadośćuczynienia, i to nie, gdzieś, kiedyś, tam, w przyszłem życiu, ale tu, na ziemi, koniecznie je widzieć muszę. Muszę je widzieć sam, a gdybym umarł przedtem, pragnę być wskrzeszony, aby to jednak ujrzeć, inaczej czułbym się skrzywdzonym. Nie zgadzam się na to, aby cierpienie moje służyło jako nawóz dla użyźnienia jakiejś przyszłej harmonii. Ja widzieć muszę czasy, w których trwożliwa łania uśnie spokojnie obok lwa drapieżnego, a morderca trzymać będzie w objęciach ofiarę swoją, gdy wszystko zleje się w ogólnej harmonii i przebaczeniu, a wszyscy zrozumieją, dlaczego działo się to wszystko, co się działo. Ale wtedy jeszcze sprawa cierpień dziecinnych byłaby dla mnie niepojętą i nierozwikłaną zagadką i nie zrozumiałbym nigdy, dlaczego i one także przyczyniać się miały do użyźnienia jakiejś przyszłej szczęśliwości.

Rozumiem, że jeśli ludzie solidarni są w grzechu ,to podobnież solidarność panować powinna i w zadośćuczynieniu za grzech, ale solidarności tej nie uznają dla dzieci. Jeśli prawdą jest, że i one odpowiadać muszą za grzechy ojców swoich, to prawda ta jest nie z tego świata i dla mnie niepojęta. Może wprawdzie utrzymywać jaki błazen, że dzieci także dorosną, kiedyś, grzeszyć będą, zatem i one powinny być karane, ale wszakże ten ośmioletni chłopak nie dorósł, zaszczuli go psami, gdy był jeszcze dzieckiem, cóż z takim począć? O! Alosza mój, nie mam zamiaru bluźnić, wyobrażam sobie doskonale, jaki dreszcz powszechnej radości przeniknie świat cały w chwili, gdy wszystko na niebie i na ziemi zleje się w jeden pochwalny hymn, i wszystko, co kiedy żyło i żyć będzie zawoła chórem "sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, Panie, boś odkryłeś nam wreszcie ścieżki twoje". I wtedy matka zamordowanego dziecięcia zespoli się uściskiem z mordercą i wszystko troje zawoła jednym głosem: "Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, o Panie". I wszystko będzie już wówczas zbadane i wyjaśnione. — Otóż widzisz, ja takiego rozwiązania przyjąć nie mogę i zastrzegam się przeciw niemu i protestuję dopóki jeszcze żyję na ziemi.

Ja nie chcę, żeby matka przebaczyła katowi swego dziecięcia, ona niema prawa przebaczać, niech mu daruje własne łzy swoje i macierzyńskie cierpienia, ale nikt i nic nie daje jej prawa przebaczać mordercy tortur zadanych jej dziecku, a jeśli niema przebaczenia, gdzież owa harmonia? A czyż jest istota, któraby takie rzeczy przebaczyć mogła? Nie chcę powszechnej harmonii, jeśli ma być kupiona takim kosztem, cała ta harmonia nie warta owych łez, i cierpień dziecięcych. Zresztą może być, że ja jestem w błędzie, ale ja chcę przy błędzie moim pozostać. Niczemu nie zaprzeczam, tylko twierdzę, że ta przyszła ogólna szczęśliwość za drogo jest oceniona na moją kieszeń i dlatego udziału w niej brać nie chcę i bilet wejścia zwracam. Uważasz, zwracam bilet, bo jestem człowiek uczciwy, a cena dla mnie za droga.

— Ależ to bunt! bracie, — zauważył cicho Alosza.

— Bunt? Nie chciałbym od ciebie słyszeć tego słowa, buntem przecież żyć nie można, a ja żyć chcę. Zresztą, powiedz, gdybyś mógł stworzyć i zapewnić ludziom sam tę powszechną ogólną szczęśliwość, dla której jednak niezbędne byłoby i konieczne zadręczenie jednej tylko sieroty, choćby takiego oto biednego dziecka, torturowanego przez własnych rodziców, czy zgodziłbyś się za taką cenę zostać architektem szczęśliwości, okupionej cierpieniem choćby tej jednej tylko istoty?

— Nie, nie zgodziłbym się — odrzekł Alosza.

— A czy przypuszczasz, że ludzie, dla którychbyś zgotował ową szczęśliwość, zgodziliby się przyjąć ją i korzystać z niej wieki całe, korzystać ze szczęścia, opartego na niewinnie przelanej krwi zamordowanego dziecka.

— Nie, i tego nie przypuszczam — odparł Alosza, którego oczy błysnęły nagle. — Ale sam pytałeś przed chwilą, czy jest na świecie istota, któraby mogła i miała prawo przebaczyć wszystko i za wszystkich? Zapomniałeś, bracie, że jest ktoś, co ma do tego prawo, bo sam przelał krew niewinną, za wszystko i za wszystkich. Zapomniałeś o Nim, do którego i dziś w każdej chwili zawołać możesz: "Panie! sprawiedliwe są zrządzenia Twoje i drogi Twoje".

— Nie, bracie, nie zapomniałem o Nim, o Tym Jedynym bezgrzesznym i o Jego niewinnie przelanej krwi. Nie, nie zapomniałem. Dziwno mi, tylko, żeś tak późno dopiero wspomniał o Nim, bo zwykle twoje

"wszystkie spory i dysputy" od Niego się zaczynają i zasłaniają się Jego imieniem. A czy wiesz, że ja napisałem na ten temat poemat cały.

— Ty napisałeś poemat? — pytał zdziwiony Alosza.

— Nie, właściwie nie napisałem, — uśmiechnął się Iwan. — W życiu swojem nie skleiłem dwóch wierszy, ale poemat ten wyśniłem, wymarzyłem, mam go w głowie. Mógłbym ci go w każdej chwili przeczytać, właściwie wypowiedzieć, gdybyś chciał posłuchać.

— Ale owszem, posłucham chętnie.

— Poemat mój nazywa się "Wielki Inkwizytor".

* * *

NIEJASNE TRWOGI.

Iwan Fedorowicz rozstawszy się z Aloszą, udał się do domu ojca. Po drodze zauważył, że napadła go jakaś dziwna, niewytłómaczona, a z każdą chwilą rosnąca troska. Nie to było dziwne, że doświadczał tego uczucia, zdarzało mu się to przecie i dawniej, ale, co mu najbardziej ciężyło, to, że nie mógł sobie zdać sprawy, na czem troska owa polega. Przechodził myślą rozmaite przyczyny, które stan ów wywołać mogły, rozumiał, że wzruszyła go rozmowa z Aloszą, w której on, co milczał lata całe, raczył wreszcie przemówić i wypowiedział tyle, jak mu się zdawało, błahych niedorzeczności. A przecież to nie to. I nie obawa przed nieznaną przyszłością, w którą zamierzał się rzucić, zrywając z wszystkiem, co go dotąd wiązało. Napróżno szukał przyczyn, wyjaśniających mu stan jego ducha, nic znaleźć nie mógł. Postanowił wreszcie wcale nie myśleć. Ale i to go nie zaspokoiło. Najbardziej mu to dolegało, że owa dokuczliwa i dręcząca troska, miała jakiś charakter czysto zewnętrzny. Było to wrażenie, jakie się ma, gdy się o czemś zapomniało, a mimo to, ma się to wciąż w pamięci, przy najbardziej ożywionej rozmowie lub pochłaniających zajęciach. Stoi to wciąż przed oczyma i niepokoi, jak opuszczona chustka lub książka, wyjęta z szafy. Uczucie dziwnie drażniące, a niedające się jasno określić.

Wreszcie Iwan Fedorowicz doszedł do domu swego ojca, zawsze równie rozdrażniony i niespokojny i na piętnaście może kroków przed bramą uświadomił sobie nagle, co było przyczyną jego niepokoju. Na ławeczce przed bramą siedział lokaj Smerdiakow, używając wieczornego chłodu. Od pierwszego wejrzenia, rzuconego na niego, pojął naraz Iwan, że nie kto inny, tylko ten oto człowiek jest tem czemś, co tkwi w jego duszy i powoduje całą jego troskę, bo dusza jego znosić go nie może. Naraz stało mu się wszystko zupełnie jasnem. Przypomniał sobie, że od chwili, gdy Alosza opowiedział mu spotkanie swoje ze Smerdiakowem, coś złowrogiego i posępnego wżarło się w jego serce i wywołało w nim głuchy gniew. Potem, w czasie długiej rozmowy z Aloszą, postać Smerdiakowa usunęła się w cień, jakgdyby przyczajona gdzieś na dnie jego duszy w czasie jednak powrotu do domu, zapomniane wrażenie zaczęło znów wychodzić na jaw, wysuwając się na pierwszy plan. "Jakim sposobem ten podły łajdak może mnie do tego stopnia obchodzić", — myślał z gniewem Iwan. Rzeczywiście, w ostatnich czasach, a zwłaszcza w ostatnich dniach, Iwan uczuwać zaczął dziwną niechęć do Smerdiakowa, zaczął go prawie nienawidzieć, A jednak w pierwszych czasach pobytu jego w domu ojcowskim, postępował zupełnie inaczej. Smerdiakow wydał mu się ciekawym, a nawet bardzo oryginalnym typem. Rozmawiał z nim chętnie i upoważnił do pewnego rodzaju poufałości. Dziwiły go wprawdzie pewne, jakby chwilowe, zboczenia, a raczej jakiś niepokój wewnętrzny, trapiący widocznie nieustannie tego człowieka. Roztrząsał z nim jednak niektóre kwestye filozoficzne i bawił się jego uwagami na temat np. stworzenia świata i wątpliwości, jakie mu się pod tym względem nasuwały, dostrzegł jednak wreszcie, że nie chodzi tu bynajmniej o żądaną filozofię, i że na dnie wszystkiego tkwi w nim przedewszystkiem bezwzględny egoizm i obrażona miłość własna. Nastąpiły później rodzinne sceny w domu Karamazowych, gwałtowne spory o Gruszę, o Dymitra. Smerdiakow brał w tem wszystkiem żywy udział, nie można się jednak było domyśleć, czego się tu właściwie spodziewa dla siebie i czego pragnie. Zadawał niekiedy pytania napozór nielogiczne i bez związku, potem milkł nagle i nikt nie mógł odgadnąć, do czego te pytania prowadziły. Wszystkie te spostrzeżenia, razem wzięte zrażały Iwana do Smerdiako-

wa, a przedewszystkiem drażnił go poufały ton i szczególniejszego rodzaju zaufanie, jakiem go ten zaczął obdarzać. Nie uchybiał wprawdzie nigdy należnym mu względom, ale stanął z nim na takiej stopie, jakgdyby panowało między nimi tajemnicze porozumienie i solidarność w czemś, wiadomem tylko im obu. I teraz Iwan przejść chciał obok Smerdiakowa, nie zwróciwszy na niego uwagi, ale ten podniósł się z ławki na jego widok, i po tym jednym ruchu poznał Iwan, że Smerdiakow czeka na niego umyślnie i chce mu coś powiedzieć. Mimowoli zatrzymał się, zły sam na siebie, i ze wstrętem i odrazą spojrzał na Smerdiakowa, nie mogąc jednak przejść mimo. Ten patrzył na niego, przymrużywszy znacząco swe oko, jak gdyby chciał mu powiedzieć: "Nie przejdziesz ty, nie pogadawszy ze mną, bo dwaj rozumni ludzie mają sobie zawsze coś do powiedzenia".

Iwan Fedorowicz zadrżał.

— Precz łotrze! Czy masz mnie za swoją kompanię, durniu! — przemknęło mu przez głowę, ku największemu jednak swemu zdziwieniu nie wypowiedział wcale tych słów, ale zupełnie co innego.

— Czy ojciec śpi? czy się zbudził? — spytał zupełnie spokojnie, i sam nie wiedząc dlaczego to robi, usiadł na ławce.

Smerdiakow stał naprzeciw i patrzył na niego wyzywająco, prawie surowo.

— Śpi jeszcze, — odparł Smerdiakow takim tonem jakby chciał dodać: " co, widzisz, żeś pierwszy do mnie przemówił". — Bardzo się panu dziwię — mówił dalej, przymykając zwolna powieki i rysując końcem lakierowanego trzewika rozsypany po ścieżce piasek.

— Czegóż sie to dziwisz? — spytał porywczo Iwan, a jednocześnie uczuł z odrazą, że jest niesłychanie ciekawy, co mu powie Smerdiakow, i że nie odejdzie stąd, póki się tego nie dowie.

— Czemu pan nie jedzie do Czeremaszny? — odpowiedział Smerdiakow, mrużąc porozumiewawczo lewe oko, jakby chciał dodać: "sam wiedzieć musisz, jeśliś rozumny człowiek, dlaczego powinieneś wyjechać" — uśmiechnął się przytem znacząco.

— Czegóż to mam jechać do Czeremaszny? — pytał zdziwiony Iwan. Smerdiakow milczał chwilę.

— Przecież sam Fedor Pawłowicz prosił tak pana o to — dodał niedbale, jakby nie przywiązując żadnej wagi do tej odpowiedzi.

— Mów-że raz, do trzystu dyabłów, czego ci trzeba! — krzyknął gniewnie Iwan, przechodząc nagle od uprzejmości do grubiaństwa.

— Nic mi nie trzeba, tak tylko wypadło z rozmowy — rzucił Smerdiakow.

Nastąpiło milczenie, trwające blisko minutę. Iwan czuł, że powinien zostać i zgromić surowo Smerdiakowa. Ten zaś stał przed nim, jakby na to tylko oczekiwał.

W końcu Iwan zrobił ruch, jakby chciał wstać z ławki, ale Smerdiakow podchwycił natychmiast sposobność i zaczął mu się zwierzać.

— Jestem w bardzo przykrem położeniu mówił, cedząc powoli słówko po słówku. — I sam niewiem, jak sobie poradzić.

Przy tych słowach westchnął, a Iwan usiadł znów na ławce.

— Oni obaj są jak dzieci, jak małe chłopaki, sam nie wiem, co z nimi począć mówił dalej Smerdiakow. — Pan wie, że mówię to o pańskim ojcu i o panu Dymitrze. Ot teraz np., ojciec pański wstanie i pocznie zaraz pytać. A, gdzie ona? Czemu nie przyszła? Niby Agrafia Aleksandrówna. I tak do północy, a nawet i po północy. A gdy nie przyjdzie, (a ona, zdaje się, niema wcale zamiaru przyjść), to jutro znów rzuci się na mnie Fedor Pawłowicz i znów pytać zacznie "czemu nie przyszła?" tak, jakby to była moja wina, że ona nie przychodzi. A jeżeli przyjdzie, to pan Dymitr wpadnie tu natychmiast z pistoletem w ręku. "Ty kuchciku szelmowski", pocznie krzyczeć na mnie, "jeśli nie dopilnujesz i pozwolisz jej tu przyjść, łeb rozwalę, na miejscu zabiję, zobaczysz". Na drugi dzień znowu to samo, znów Fedor Pawłowicz męczyć mnie zacznie, czemu nie przyszła? dlaczego nie przyszła? kiedy przyjdzie? I pogniewa się na mnie, jakby to była moja wina, i tak z każdym dniem gorzej, Tamci kłócą się z sobą, a może się na mnie skrupić.

— A pocóżeś wmieszał się w nieswoje sprawy — przerwał gniewnie Iwan.

— Jak mogłem się nie wmieszać, kiedy oni sami mnie wplątali. Jeśli pan chce wiedzieć prawdę, to ja z początku nie odezwałem się, ani słówkiem, ale oni sami zaczęli się mnie zwierzać i posługują się mną, jak

swoim. Wciąż słyszę jedno i pewno się z tego rozchoruję, ot może być, że jutro dostanę długiego ataku.

— Co to ma znaczyć?

— Ataki epileptyczne trwają często długo, kilka godzin, a nawet i cały dzień. Raz, gdy upadłem na strychu, leżałem bezprzytomnie całe 3 dni, padaczka powracała wciąż. Wtedy Fedor Pawłowicz posłał po doktora Herzenszube, a ten przykładał mi lód do głowy, a także wewnętrzne zapisał mi lekarstwo.

— Przecież nie można wiedzieć z góry, kiedy przyjdzie atak epileptyczny. Jakże to możesz zapowiadać, że zachorujesz jutro i to na 3 dni — pytał ciekawie Iwan.

— Wiadomo, że tego nie można przewidzieć.

— Zresztą wtedy spadłeś ze strychu, więc to był wyjątkowy wypadek.

— Codzień chodzę na strych, więc mogę tam codzień upaść, albo może mi się to przytrafić w piwnicy.

Iwan popatrzył na niego długo.

— Pleciesz od rzeczy i trudno zrozumieć, o co ci chodzi. Ale czy nie zamierzasz ty jutro udawać poprostu choroby? — pytał Iwan głosem przyciszonym i jakby groźnym.

Smerdiakow patrzał w ziemię i przestępował z nogi na nogę, bawiąc się końcem buta. Po chwili podniósł głowę i spojrzał z uśmiechem na Iwana.

— A gdybym nawet rzeczywiście udał chorobę, a taką sztukę łatwo można urządzić, mając doświadczenie. To i cóż, miałbym przecie prawo ratować się w ten sposób. Bo gdyby Agrafia Aleksandrówna przyszła rzeczywiście do pańskiego ojca, to pan Dymitr nie mógłby się mnie czepić, wiedząc, że leżę chory, a inaczej gotów mnie zabić.

— Cóż u dyabła! — zawołał gniewnie Iwan, krzywiąc się z niesmakiem. — Cóż się tak trzęsiesz nad tem swojem życiem, na które nikt nie godzi. Chciażby Dymitr groził ci kiedy, tylko słowa bez znaczenia, wiesz dobrze, że ci nic nie zrobi, zabije, być może, ale nie ciebie.

— Zabije on i mnie i to jak muchę — upierał się Smerdiakow. — A powtóre boję się, żeby mnie nie posądzano o konszachty z nim, gdyby się coś przytrafiło pańskiemu ojcu.

— Dlaczegożby miano cię posądzać?

— A dlatego, że ja mu wydałem w sekrecie tajemnicę umówionych znaków.

— Jakie znaki? Komuś je wydał? tłómacz się jaśniej, do stu dyabłów.

— Muszę się przyznać, — mówił Smerdiakow, z pedantycznym spokojem, — że między mną a Fedorem Pawłowiczem są umówione znaki. Niewiem, czy pan zauważył, że od kilku dni Fedor Pawłowicz zamyka się w nocy na wszystkie zamki i nikogo do siebie nie puszcza, nawet Grigora Wasilewicza. Ja jeden mam wstęp do niego i pomagam mu przy rozbieraniu się, chociaż także nocuję w oficynie. Wszystko to dlatego, że ojciec wasz wyczekuje co dzień przyjścia Agrafii Aleksandrównej i nie chce, aby mu kto wtedy przeszkodził. Czeka jej z dnia na dzień i jest formalnie pomieszany na tym punkcie! Mnie polecił czuwać codzień do północy, a gdy ją dostrzegę, dać mu znać, stukając trzy razy do okna. Oprócz tego, w razie, gdyby zaszło coś nadzwyczajnego, gdyby np. wpadł nagle Mitka, jak on go nazywa, to mam inne znaki umówione. Fedor Pawłowicz boi się bardzo pana Dymitra, dlatego myśli, że Grusza przyjść może tylko w sekrecie przed nim. Tymczasem te umówione znaki znane są teraz i p. Dymitrowi.

— Jakim sposobem?

— Ja mu je odkryłem.

— Jak śmiałeś?

— Wydałem je ze strachu. Jakżebym ośmielił się ukrywać coś przed Dymitrem Fedorowiczem, który codzień nalegał mnie. “Ty mnie, powiada, oszukujesz, ty przedemną coś ukrywasz, ręce i nogi ci połamię.” Tak tedy wydałem mu te znaki, żeby się przekonał, że mu wszystko donoszę i nie oszukuję go.

— Ale pamiętaj, że gdyby Dymitr chciał skorzystać z tej wiadomości i próbował dostać się tu w nocy, ty nie odważ się go wpuszczać.

— A jeżeli będę miał właśnie wtedy atak epileptyczny, jakże go będę mógł wtedy nie wpuścić, a i tak nie wiem, czybym się ośmielił stawić opór takiemu zawziętemu człowiekowi.

— Cóż u dyabła, skądże ty masz taką pewność, że przyjdzie na ciebie atak epileptyczny? Drwisz ze mnie, czy co?

— Jakżebym śmiał drwić. Nie do śmiechu mnie teraz, kiedy w ciągłym strachu żyję. Mam przeczucie, że dostanę ata-

ku; to można przeczuć i jestem pewien, że przyjdzie.

— A choćbyś i dostał ataku, może cię wtedy zastąpić Grigor, a on już z pewnością Dymitra nie wpuści.

— Kiedy, bo widzi pan, ja Grigorowi umówionych znaków wydać nie mogę bez wiedzy Fedora Pawłowicza, a przytem Grigor teraz także jakiś nieswój i Marta, leczy go swojem lekarstwem, tj. ziołami, których sekret sama tylko zna. Zioła to bardzo mocne, a gdy się oboje napiją, bo i ona pije dla kompanii, to walą się jak kłody i śpią jak zabici; z pewnością też nie usłyszą, gdyby kto wchodził.

— Cóż to za brednie opowiadasz mi. Wygląda to, jakbyś wszystko umyślnie ukartował! Tobie ma przyjść na zawołanie atak epileptyczny, ci tam znowu leżeć mają bez pamięci, cóż to wszystko znaczy? — zawołał Iwan, groźnie marszcząc brwi.

— Dlaczegóżbym ja miał coś umyślnie układać, kiedy to wcale nie odemnie zależy, a od Dymitra Fedorowicza. Nie mogę przecież przewidzieć, co mu na myśl przyjdzie i co zechce zrobić, a ja go przecież umyślnie na ojca nie nasyłam.

— A pocóż ma Dymitr przychodzić tutaj, a jeszcze ukradkiem, skoro, jak sam twierdziłeś, Grusza tu wcale nie przyjdzie, jak się to staremu marzy — mówił Iwan, blady z gniewu. — Gadaj mi zaraz, jakie masz myśli ukryte?

— Przecież pan sam dobrze wie, po co tu pan Dymitr może przyjść, i niepotrzeba tu żadnych myśli ukrytych. A po co wpadł wczoraj, szukając Gruszy po wszystkich pokojach? Skoro się dowie, że ja leżę chory i nie mogę mu o niczem donosić, wpadnie tu sam, żeby się osobiście przekonać. W dodatku wie on doskonale, że Fedor Pawłowicz trzyma pod poduszką wielką kopertę zapieczętowaną trzema pieczęciami, w której znajdują się trzy tysiące rubli; na kopercie zaś stoi napis, umieszczony własną ręką Fedora Pawłowicza: "Mojemu aniołowi, Gruszeńce, jeśli zechce przyjść". Kopertę tę trzyma już dawno pod poduszką, a parę dni temu dopisał na niej jeszcze: "Dla mego kurczątka".

— Brednie! — krzyknął Iwan z wściekłością prawie. — Dymitr nie będzie kradł pieniędzy ojcowskich i ojca dla pieniędzy nie zamorduje. Może go zabić w przystępie zazdrości o Gruszę, ale nigdy dla pieniędzy.

— Pan Dymitr ogromnie teraz potrzebuje pieniędzy, pan nawet nie domyśla się, jak bardzo ich potrzebuje — zauważył Smerdiakow, z wielkim spokojem i nadzwyczajną pewnością siebie. — Przytem on uważać będzie te trzy tysiące jako swoją własność. Sam mi nieraz mówił, że mu ojciec jeszcze tyle winien; a przytem trzeba wiedzieć, że jeżeli Agrafia Aleksandrówna zechce, to wyda się za Fedora Pawłowicza, a ona może zechcieć, a choć ja mówię, że nie przyjdzie tu, to kto wie, czy się jej nie zachce zostać naprawdę panią Karamazow.

Za pana Dymitra nie pójdzie, bo wie, że pieniędzy niema, ale za Fedora Pawłowicza — to co innego; sam słyszałem, jak rozmawiała o tem ze swoim kupcem, tym Samsonowem; śmieli się oboje i mówili, że byłby to wcale nie głupi interes. A gdyby się tak stało, to wtedy ani pan, ani bracia pana, Dymitr Fedorowicz i Aleksy Fedorowicz, nie dostaliby nic po ojcu, bo Agrafia Aleksandrówna przepisze zaraz na swoje imię cały majątek Fedora Pawłowicza i wszystkie kapitały. A przeciwnie, gdyby ojciec panów umarł bezżenny, to każdemu z synów zostawi po czterdzieści tysięcy, nawet Dymitrowi, którego tak nienawidzi.

Coś, jakby nerwowe drganie, przebiegło po twarzy Iwana Fedorowicza.

— Pocóż to radzisz mnie jechać teraz do Czeremaszny? — pytał z tłumionym gniewem — co chcesz przez to powiedzieć? Czy się tu na co zanosi?

— A właśnie — cicho, ale dobitnie potwierdził Smerdiakow, patrząc uważnie na Iwana.

— Co właśnie? — spytał Iwan, hamując się z trudnością, a w oczach jego błysnął gniew.

— Mówię tak, bo mi pana żal. Na pańskiem miejscu rzuciłbym wszystko i nie mieszałbym się do takich interesów. I po co panu tu siedzieć? — pytał Smerdiakow, patrząc prosto w oczy Iwana, poczem obaj zamilkli na chwilę.

— Z ciebie, jak widzę całkowity idyota i skończony szubrawiec— sarknął gniewnie Iwan, powstając z ławki i kierując się do drzwi wchodowych; ale w tej chwili stało się z nim coś dziwnego. Zatrzymał się nagle i zwróciwszy się w stronę Smerdiakowa, zacisnął pięści i przez jedną chwilę, krótkie mgnienie oka, miał szaloną chęć rzucić się na niego i powalić na ziemię .Tamten zauważył ten ruch i cofnął

się całem ciałem w tył. Chwila jednak przeszła bez szkody dla Smerdiakowa, Iwan zaś zawrócił się bez słowa i wstępować zaczął na ganek.

— Jutro rano jadę do Moskwy, ot i wszystko — objaśnił nagle Iwan. Nieraz potem dziwił się, jakim sposobem i skąd przyszło mu na myśl zawiadamiać o zamiarach swoich Smerdiakowa.

— To i lepiej — podchwycił ten — tego się właśnie spodziewałem, tylko, że i w Moskwie mogą pana niepokoić telegramami, w razie, gdyby się coś zdarzyło.

Iwan Fedorowicz zatrzymał się znowu i spojrzał badawczo na Smerdiakowa, ale w tym zaszła nagła zmiana. Dotychczasowy ton niedbałej poufałości znikł, gdzieś bez śladu, natomiast twarz jego i postawa wyrażały natężoną uwagę i oczekiwanie, połączone z nieśmiałą uniżonością. "Czy nie powiesz mi coś jeszcze? czy nie dodasz czego?", zdawał się mówić wzrok jego, wpatrzony w Iwana.

— A cóż to! czy i z Czeremaszny nie mogą mnie tak samo wezwać!? — krzyknął Iwan, sam nie wiedząc dlaczego głos podnosi.

— Z pewnością, że i w Czeremasznie mogą pana niepokoić — szepnął Smerdiakow, nie spuszczając oczu z Iwana.

— Tylko, że z Moskwy dalej, oszczędzasz więc widocznie moją kieszeń, nastając na wyjazd do Czeremaszny.

— Właśnie tak — wycedził niedbale Smerdiakow, cofając się nieznacznie w tył, jakby się chciał uchylić, w razie, gdyby się Iwan na niego rzucił. Ale ten roześmiał się tylko na głos, ku wielkiemu zdziwieniu Smerdiakowa, a śmiech ten brzmiał jeszcze długo, wtedy jeszcze, gdy Iwan znikł za drzwiami ganku. Ktoby patrzył wówczas na jego twarz, nie dojrzałby wcale na niej wesołego wyrazu, usprawiedliwiającego ten śmiech, a i on sam nie umiałby sobie zdać sprawy, co się z nim właściwie dzieje. Szedł jak w gorączce.

* * *

MIŁO JEST POMÓWIĆ Z ROZUMNYM CZŁOWIEKIEM.

Wszedłszy do sali jadalnej, Iwan obaczył ojca, siedzącego przy stole. Machnął gniewnie ręką i zawołał: "Idę prosto do siebie, proszę mnie nie zatrzymywać". I przeszedł mimo, starając się nie patrzyć na Fedora Pawłowicza. Nienawidził w tej chwili starego i nie umiał tego ukryć. To też takie bezceremonialne okazanie niechęci było u niego czemś tak niezwykłem, że Fedor Pawłowicz uczuł się zdziwiony. Czekał on rzeczywiście na syna, chcąc podzielić się z nim jakąś wiadomością, widząc się tak jednak straktowanym, zamilkł i powiódł tylko drwiącym wzrokiem za odchodzącym.

— On co taki? — spytał Smerdiakowa, który w ślad za Iwanem wkroczył do sali.

— A gniewa się, kto go wie, czego — odparł tamten z przekąsem.

— A niech się złości zdrów, a ty podawaj prędko samowar, a sam się wynoś. A co tam, czy nie słychać co nowego?

I rozpoczęły się pytania, na które przed chwilą właśnie żalił się Smerdiakow Iwanowi.

W pół godziny potem w domu było ciemno, drzwi zaryglowano i tylko zwaryowany starzec chodził niecierpliwie po sali, oczekując umówionych znaków, tj. stuknięcia w okiennice, i zaglądał wciąż w ciemne okna, za któremi panowały pustka i noc.

Późno już było, gdy się Iwan położył, a i on także zasnąć nie mógł, pogrążony w myślach. Trudnoby było w tej chwili zajrzeć do tej duszy, bo to, co się w niej działo, nie było myśleniem, a raczej jakiemś chaostycznem kotłowaniem. Iwan czuł sam, że utracił w tej chwili realne podstawy rozumowania, a przytem przychodziły mu jakieś dziwne, nieoczekiwane pragnienia. Naprzykład uczuł naraz niewypowiedzianą ochotę wstać z łóżka i pójść do Smerdiakowa, aby go przyzwoicie nabić, za co jednak, sam nie wiedział. Chyba za to jedno, że nienawidził go w tej chwili, jak najgorszego wroga. Z tej drugiej strony ogarniała go jednocześnie tchórzliwa nieśmiałość i niemoc, od której tracił prawie fizyczne siły. Czuł ból głowy i zawrót w niej, coś wrogiego i nienawistnego gryzło mu duszę. Chwilami nienawidził nawet Aloszę za rozmowę, jaką z nim miał niedawno, nienawidził także samego siebie. O Katarzynie jakby zupełnie zapomniał, i sam się temu dziwił, bo pamiętał przecież, że gdy wczoraj, po rozmowie z nią, zapowiedział swój wyjazd do Moskwy, coś mu w duszy szepnęło: "nie wyjedziesz, i nie tak ci łatwo będzie oderwać się od niej, jak to fanfaronujesz". Długo jeszcze, długo wspominał

Iwan Fedorowicz tę noc, a wspominał ją ze szczególniejszą odrazą i wstrętem. Jedno, mianowicie, wparło mu się w pamięć, że wstawał parę razy, wychodził aż na schody i słuchał z natężeniem, co się dzieje tam, na dole, gdzie chodził jego ojciec. Wsłuchiwał się w te kroki uważnie, a zarazem trwożliwie, jakby się lękał, aby go kto nie złapał na tej czynności podsłuchiwania. Postępek ten nazywał i później, przez całe życie, najnikczemniejszym czynem, jakiego się kiedy dopuścił. Nasłuchiwał tak z biciem serca długo i ciekawie, a nie czuł w tej chwili najmniejszej urazy do ojca, tylko wielką, chorobliwą prawie, ciekawość, co też on robi w tej chwili. Wyobrażał sobie, jak chodzi, zagląda w ciemne okna, czekając na znaki, i robiło mu to szczególną przyjemność.

Gdy w końcu wszystko ucichło i Fedor Pawłowicz przestał chodzić, położył się też i Iwan, z mocnem postanowieniem zaśnięcia. Zasnął też istotnie i przespał całą noc spokojnie i bez marzeń, ale obudził się wcześnie, bo o siódmej zrana.

Za obudzeniem sie Iwan poczuł w sobie przypływ niepospolitej energii, zerwał się szybko i ubrał, a pierwszą myślą jego było zabrać się do pakowania rzeczy. Wyciągnął kuferek i torbę podróżną i zaczął układać odzienie. Bieliznę, właśnie wczoraj odebrał od praczki, nic więc nie stawało na przeszkodzie. Iwan aż uśmiechnął się na myśl o nagłym swoim wyjeździe, w który wczoraj sam jeszcze nie wierzył; bo mimo, że zapowiadał go Katarzynie, Aloszy, a na ostatku Smerdiakowi, nie miał w gruncie najmniejszego zamiaru wykonać tej zapowiedzi. Właśnie co tylko skończył pakowanie kuferka, gdy weszła do pokoju Marta, zapytując, jak zwykle, czy będzie jadł śniadanie u siebie, czy też na dole. Iwan zdecydował się na to ostatecznie i zeszedł na dół w usposobieniu rzeźwem, prawie wesół. Pozdrowił ojca z niezwykłą uprzejmością, zapytał go nawet o zdrowie, chociaż, co prawda, nie czekając na odpowiedź, zapowiedział, że za godzinę wyjeżdża już zupełnie, i poprosił o konie. Stary przyjął wiadomość o wyjeździe syna bez najmniejszego zdziwienia. Nie silił się bynajmniej na wyrażenie jakiegokolwiek żalu z powodu tego rozłączenia. Natomiast zakłopotał się bardzo na myśl, że ten nagły wyjazd psuje mu plany co do pośrednictwa Iwana w sprawie sprzedaży jednego z jego lasów.

— Czemużeś mi wczoraj nie powiedział, — wołał na syna, — przygotowałbym wszystko i zajechałbyś do Czeremaszny zastąpić mnie przy tej sprzedaży, chociaż, co prawda, to i dziś jeszcze mógłbyś mi to załatwić. Proszę cię, zrób mi tę łaskę i zajedź tam po drodze, wszak to niewielkie zboczenie.

— Niemożliwe, pociąg do Moskwy wychodzi o godzinie siódmej wieczór, a do stacyi osiemdziesiąt wiorst.

— Więc pojedziesz tam jutro, a nie, to pojutrze, a dzisiaj jedź do Czeremaszny, trafia mi się doskonały kupiec na drzewo, a w dodatku nie tutejszy, nie boi się konkurencyi Masłowych. Tamci dawali mi zeszłego jeszcze roku tylko 8 tysięcy, a ten od razu na stół kładzie 11 tysięcy, a może da i 12. Zabawić ma tylko tydzień, niema więc czasu do stracenia. Jest tam, wprawdzie, jeden pop znajomy, który obiecał mi zająć się tym interesem, ale zawsze to nie to, co swój.

— To niech ojciec napisze do tego popa.

— Kiedy, bo widzisz, ten pop to złoty człowiek, ale nie umie patrzeć, nie potrafi doglądać, uczciwy bardzo i powierzyłbym mu na słowo najznaczniejszą sumę, ale ma dziwne przyzwyczajenie, łże, powiadam ci, jak najęty. Niedawno np. opowiadał, że mu żona umarła, i że ożenił się z drugą, tymczasem nie było w tem i słowa prawdy, jego żona wcale nie umarła, żyje i ma się doskonale, i bije męża regularnie po trzy razy na dzień. Tak więc i teraz nie można być pewnym, czy to wszystko prawda o tym kupcu, i czy on wistocie daje te 12 tysięcy, trzeba jechać na miejsce i przekonać się.

— Ja się tam na nic nie przydam, nie znam się na tego rodzaju interesach, i z pewnością nie dopatrzę.

— Poczekaj już, ja ci ułatwię, nie potrzebujesz na nic patrzeć, a tylko uważaj na Gorstkina, tak się nazywa ów pop. Brodę ma ryżą, długą, cieniutką, i na brodę jego tylko uważać trzeba. W oczy mu, broń Boże, nie patrz, po oczach nic nie poznasz, ciemna woda, kałuża. Ale, jeżeli brodę szarpnie i mówi, niby ze złością, to znaczy prawda wszystko, interes czysty, jeżeli zaś tę swoją brodę gładzi, a uśmiecha się, to już na pewno łże. Otóż rozmówisz się z nim i dasz mi znać, a wtedy już ja sam przybędę jeśli jest po co.

— Niech ojciec daruje, doprawdy, nie mogę.

— Ach, Boże! nie mógłbyś to raz ojcu dogodzić, nie zapomniałbym ci tego. Do Wenecyi śpieszysz? Nie rozwali się ta twoja Wenecya, przez dwa dni. Posłałbym może Aloszę, ale widzisz, on w takich sprawach do niczego, a ty mądry jesteś, oko masz, chociażeś dotąd jeszcze drzewem nie handlował. I cóż to trudnego dojrzeć tylko, czy popina szarpie bródkę, czy nie.

— Cóż to? Sam mnie ojciec pcha do tej przeklętej Czeremaszny, — krzyknął Iwan z gniewnym uśmiechem.

Stary nie zauważył, czy nie chciał zauważyć gniewnego tonu, a podchwycił tylko uśmiech.

— Więc jedziesz, co? Zgoda.

— Nie wiem, w drodze się to rozstrzygnie.

— Po co w drodze? możesz się przecie zaraz zdecydować. Zdecyduj się, gołąbku. Napiszę ci zaraz list do mego popa, a odpowiedź twoją on mi już sam przyśle i konie ci do stacyi da. Potem już cię zatrzymywać nie będę, leć sobie do swojej Wenecyi.

Stary był uradowany. Napisał natychmiast list do popa, posłał po konie, zakąskę kazał podać z koniakiem. Wogóle, gdy stary wpadał w dobry humor, stawał się nadzwyczaj wylany, dziś jednak, jakby się hamował i niewiele mówił, jakby mu brakowało tematu. Zauważył to Iwan. "Dokuczyłem mu widać porządnie", — pomyślał. Gdy wreszcie konie już zajechały i przyszło do ostatniego pożegnania, Fedor Pawłowicz, jakby się opamiętał, rzucił się do uścisku, chcąc syna serdecznie pożegnać, ale Iwan, dostrzegłszy to, podał mu ostatecznie rękę, nie chcąc się wdawać w żadne zbyteczne, jego zdaniem, czułości.

— No! z Bogiem! z Bogiem! — wołał za nim stary, a przyjedź jeszcze, kiedy do mnie, zawsze rad będę, Bóg z tobą!

Iwan Fedorowicz wsiadł na tarantas.

— Bywaj zdrów, Iwan! a nie wspominaj mnie źle, — krzyknął jeszcze raz stary.

Wszyscy domownicy wyszli również na ganek, aby pożegnać odjeżdżającego, Grigor, Marta i Smerdiakow. Iwan dał każdemu z nich po 10 rubli. Smerdiakow wskoczył na stopień tarantasa, poprawiając coś w siedzeniu.

— Ot, widzisz, że jadę do Czeremaszny — rzucił mu nagle Iwan, a wyrwało mu się to tak niewiadomo skąd, zupełnie, jak wczoraj, zaśmiał się przytem nerwowo. Nieraz potem wspominał ten śmiech i tę chwilę.

— Prawdę widać mówią ludzie, że miło jest pomówić z rozumnym człowiekiem, — odrzekł z naciskiem Smerdiakow. Tarantas ruszył, Iwanowi smutno było z początku na duszy, ale gdy znalazł się wśród rozległych pól na gościńcu, zrobiło mu się naraz lżej. Patrzył chwilę na zboże i drzewa zielone, na stada ptaków wędrownych, przelatujące mu nad głową, i uczuł się szczęśliwym, zawiązał rozmowę z powożącym chłopakiem i prowadził ją z zajęciem. Po chwili zaprzestał, ale czuł, że i tak dobrze mu jest. Świeże, czyste, chłodne powietrze, orzeźwiło go i krzepiło. Stanęli mu na chwilę w oczach Katarzyna i Alosza, uśmiechnął się do nich cicho, potm zdmuchnął drogie widziadła, które rozwiały się w przestrzeni. "Przyjdzie jeszcze czas i na nich", pomyślał. Przyjechał wreszcie na stacyę, gdzie miano zmienić konie. Wysiadł z tarantasu i rozpytywał się o odległość Czeremaszny, wydało mu się za daleko.

— Słuchaj, bracie, — spytał woźnicy — czy zdążyłbyś jeszcze na pociąg do Moskwy o siódmej wieczór.

— Akurat dojedziemy. Czy zaprzegać?

— Zaprzęgać i to migiem, a czy nie będzie który z was w mieście, dziś lub jutro?

— Jakże nie, Mitry wybiera się.

— Chodź tu Mitry! A znasz ty Fedora Pawłowicza Karamazowa?

— Jakżeby nie. Znamy go tu wszyscy.

— No, to dam ci list. A masz tu na czarkę, bo on to cię tam niekoniecznie opatrzy.

— Wiadomo, że nie — zaśmiał się Mitry. — Bóg zapłać wielmożnemu panu, list oddam napewno.

O siódmej wieczór Iwan wsiadł do wagonu, jadącego do Moskwy. "Precz z oczu wszystko przeszłe, — pomyślał; — co było, skończone już i na wieki. Nie chcę już ani głosu, ani wieści z dawnego życia. Nowe życie, nowy świat! tam śpieszyć, a nie oglądać się za siebie. Ale zamiast radości, uczuł w duszy taki mrok, a w sercu jego zawyła taka rozpacz, jakiej w życiu jeszcze nie doznawał. Przedumał tak całą noc, nie zmrużywszy oka, dopiero o świcie, w Moskwie, przyszedł jakby do siebie.

— Podły jestem! — syknął przez zęby.

Po odjeździe syna Fedor Pawłowicz poweselał i czuł się szczęśliwy przez całe dwie godziny, popijając wciąż koniaczek. Naraz zdarzył się wypadek, bardzo dla wszystkich nieprzyjemny. Oto Smerdiakow dostał epileptycznego ataku, schodząc do piwnicy i spadł po schodach, aż na dno, gdzie znaleziono go w kurczach i pianą na ustach. Szczęściem, Marta, znajdująca się wówczas w pobliżu ,usłyszała znany sobie dobrze krzyk epileptyka, i pośpieszyła mu z pomocą. W pierwszej chwili myślano, że chory musiał sobie coś złamać, lub nadwyrężyć, ale nic podobnego nie zaszło. "Bóg strzeże widocznie", zauważyła Marta. Wyniesiono go z trudem z piwnicy, w czem dopomagał sam Fedor Pawłowicz, bardzo przejęty wypadkiem. Posłano nawet po doktora Herzenszube, który orzekł, że atak musiał być niezwyczajnie silny i niebezpieczny, i polecił odpowiednie lekarstwa. Chorego ułożono w oficynie, obok mieszkania Marty i Grigora. Cały dzień następny był dla Fedora Pawłowicza szeregiem niepowodzień. Marta gotowała obiad, skutkiem czego zupa miała smak pomyj, a kurczęta wysuszone były do tego stopnia, że niepodobna było ich ugryźć, pod wieczór zaś doniesiono mu, że Grigor, który już od kilku dni był nieswój, zaniemógł tak mocno, że się musiał również położyć. Zniechęcony tem wszystkiem Fedor Pawłowicz wypił herbatę, jak mógł najwcześniej i zamknął się na noc, zupełnie sam w domu. Czas schodził mu na trwożnem oczekiwaniu. Pochodziło to stąd,, że właśnie tego dnia spodziewał się już napewno przybycia Gruszeńki, przynajmniej Smerdiakow zapewniał go jeszcze zrana, że tym razem obiecała napewno przyjść. Serce niepohamowanego starca tłukło, jak młotem, chodził po pustych pokojach i nasłuchiwał. Należało być ostrożnym, bo nieopodal ukrywać się mógł gdzieś Dymitr.

To też trzeba było otworzyć drzwi natychmiast po usłyszeniu umówionych znaków (Smerdiakow upewniał go, że zawiadomił Gruszę, jak ma zastukać), bo broń Boże, mogłaby się czem zastraszyć, a w takim razie uciekłaby do domu. Niepokoił się więc stary, ale też nigdy serce jego nie kąpało się w tak słodkiej nadziei, bo tym razem można już było twierdzić napewno, że upragniona Grusza nadejdzie.

III.

Chrześcijański mnich.

ŚMIERĆ STARCA.

Gdy Alosza wchodził do celi starca, z sercem pełnem bólu i trwogi, oczom jego przedstawił się widok, który go wprawił w zdumienie. Zamiast zastać ukochanego mistrza blizkim już zgonu i nieprzytomnym, jak się tego obawiał, obaczył go siedzącego w fotelu, z twarzą znużoną, wprawdzie, ale pogodną otoczonego przyjaciółmi, z którymi wiódł ciche rozmowy. Znajdowali się tam ojciec bibliotekarz i ojciec Paisy, jako też paru innych jeszcze zakonników, bardziej oddanych starcowi. Ojciec Paisy nie był wcale zdziwiony pomyślną zmianą, jaka zaszła w stanie zdrowia chorego, wierzył on bowiem święcie w każde słowo Zosimy, a ten zapowiedział był jeszcze zrana, że nie odejdzie z tego świata, zanim się raz jeszcze nie pożegna z najbliższymi sobie. Między tymi znajdował się jeden jeszcze zakonnik, człowiek prosty, pochodzenia chłopskiego, najpokorniejszy z pokornych i najcichszy z cichych. Nie miał on żadnego wykształcenia, umiał zaledwie czytać i pisać, a miał wygląd człowieka na wieki zastraszonego czemś niesłychanie wielkiem i strasznem, o wiele przewyższającem jego biedny rozum. Dawnemi już bardzo czasy, przed jakimi czterdziestu laty, on i starzec Zosima odbywali razem długie wędrówki po kraju, zbierając kwestę na ubogi klasztor Kostromski, w którym sami rozpoczynali duchowną swą karyerę.

Wszyscy ci goście okrążyli starca, cisnąc się w jego szczupłej celi. Poczynało już zmierzchać, a cela oświetlona była tylko światłem lampek i świec płonących przed obrazami. Ujrzawszy Aloszę, który zdziwiony stał w progu, starzec uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

— Witaj mi, ty mój cichy, drogi chłopcze. Wiedziałem, że przyjdziesz.

Alosza postąpił bliżej, skłonił się do ziemi starcowi i zapłakał. Coś mu się rwało w sercu, a dusza trzepotała się w nim, jak ptak strwożony. Chciało mu się łkać na głos.

— Co tobie? Wstrzymaj się jeszcze z opłakiwaniem mnie — uśmiechnął się starzec, kładąc rękę na głowie Aloszy. — Ot, widzisz, siedzę jeszcze i rozmawiam. Kto wie, pożyję może jeszcze długo, jak mi tego wczoraj życzyła ta dobra, wesoła pątniczka z Wyszhory, z małą córeczką na ręku, Elżbietka jej na imię. Zmiłuj się, Boże, nad nią i nad jej córeczką, Elżbietą — mówiąc to, przeżegnał się. — Ojcze Porfiry — dodał, zwracając się do jednego z obecnych zakonników, — czy zanieśliście jej dar podług mego polecenia?

Ojciec Porfiry objaśnił, że zaniósł parę szóstaków, ofiarowanych przez poczciwą kobietę, rodzinie pogorzelców, która straciwszy cały dobytek w ogniu, żyła z ludzkiego miłosierdzia.

— Wstań miły! — mówił starzec do Aloszy — niech spojrzę na ciebie. Byłeś-że u swoich? widziałeś brata?

Aloszy wydało się to dziwne, że starzec pyta tak stanowczo o jednego tylko brata. Którego jednak miał na myśli?

— Widziałem jednego z braci — odpowiedział.

— Pytam o starszego, tego któremu onegdaj oddałem pokłon do ziemi.

— Tego nie widziałem. Nie mogłem go w żaden sposób znaleźć — rzekł Alosza.

— Znajdźże go koniecznie i to śpiesznie, idź zaraz jutro i szukaj go, a może uda ci się jeszcze uprzedzić coś strasznego, co nad nim wisi. Ja onegdaj jego przyszłemu cierpieniu pokłon oddałem.

Urwał nagle i jakby się zamyślił. Słowa jego brzmiały dziwnie. Słysząc je, ojciec bibliotekarz i ojciec Paisy, zamienili między sobą znaczące spojrzenia. Alosza nie mógł znieść niepewności.

— Ojcze mój i nauczycielu! — pytał wzburzony — słowa twoje są ciemne. Jakież to cierpienie grozi memu bratu?

— Nie pytaj za wiele. W oczach jego widziałem rzecz straszną, jakgdyby zapowiedź przyszłego jego losu. Taki wyraz zdarzyło mi się widzieć raz tylko lub dwa razy w życiu, a za każdym razem miałem wrażenie, jakby człowiek taki gotował w tej chwili swój przyszły los — i los ten, niestety, spełnił się co do joty. Posłałem ciebie do brata, Alosza, bo zdawało mi się, że twoja braterska obecność może mu być pomocą. Ziarno pszeniczne, rzucone w ziemię, pozostaje samo, jeśli nie zamrze, gdy zaś zamrze, wydaje plon obfity. Zapamiętaj to sobie, Alosza.

Błogosławiłem ja ciebie nieraz w myśli za obecność twoją — mówił starzec z cichym uśmiechem. — Myślę o tobie, że wyjdziesz z tych murów i przebywać będziesz długi czas w świecie jako wędrowiec tylko. Dużo będziesz miał przeciwników, ale i wrogi twoje nawet kochać cię będą. Wiele nieszczęść przyniesie ci życie, mimo to jednak, błogosławić je będziesz, a co ważniejsza, nauczysz także drugich błogosławić je. Taki już jesteś. Ojcowie moi i nauczyciele — mówił dalej, zwracając się do obecnych zakonników, — nigdy nie zwierzyłem się nikomu, dlaczego widok tego młodzieńca był tak miły sercu mojemu, on sam nawet o tem nie wie. Teraz dopiero powiem. W zaraniu dni moich miałem starszego brata, który zgasł młodo w oczach moich, mając lat siedemnaście. W ciągu późniejszego żywota mego przekonałem się wielokrotnie, że ten brat mój zesłany mi był jako zapowiedź i wskazówka mego losu. Gdyby nie on, nigdybym nie wstąpił na zakonną pielgrzymią drogę, na której zeszło mi życie.

Brat ten mój był mi jakby objawieniem przyszłego losu mego jeszcze w latach dziecinnych, aż oto dziś, na schyłku dni moich, Aleksy Karamazow jest mi jakby powtórzeniem tego samego zjawiska. Jest on tak podobny do zmarłego młodzieńca, który był bratem moim, że zdaje mi się niekiedy, jakby to ten sam brat przybył odwiedzić mnie raz jeszcze przed śmiercią, a podobieństwo to jest nie tyle zewnętrzne, ile raczej duchowe. Dlatego to miłowałem tak Aleksego ponad wszystkich innych, którzy mnie otaczali.

Starzec mówił jeszcze długo i tak szczegółowo, jak jeszcze nigdy dotąd, o młodości swej i pierwszych wrażeniach, jako też o wypadkach, które wpłynęły na dalszy przebieg jego życia. Słowa te spisał później Alosza, który wsłuchiwał się w nie chciwie i stąd zostały one przechowane w klasztornem archiwum, stanowiąc ciekawy materyał do biografii tego niezwykłego człowieka.

Śmierć starca nastąpiła tegoż dnia jeszcze, zupełnie nagle i niespodziewanie dla otaczających. Opowiadano później, że na pięć minut jeszcze przed zgonem nic nie zapowiadało tak blizkiego końca.

Starzec uczuł nagle ból w piersi przy-

cisnął rękę do serca, wszyscy obecni skoczyli ku niemu, ale on, nie przyjmując niczyjej pomocy, osunął się zwolna na ziemię i, upadłszy na twarz w radosnym zachwycie, modląc się cicho i uśmiechając, Bogu ducha oddał.

Wieść o tym zgonie rozeszła się natychmiast po klasztorze, przyjaciele zmarłego i starsi między bracią klasztorną pośpieszyli dla oddania mu ostatniej posługi. Nazajutrz, wczesnym rankiem, grobowa wieść dotarła do miasta, wywołując ogromne wrażenie. Tłumy ludzi popłynęły w stronę klasztoru, chcąc raz jeszcze oglądać zwłoki światobliwego człowieka, który przez tyle lat, był dla nich ucieczką i źródłem pociechy w różnorodnych ich utrapieniach. Wówczas zaszła pewna okoliczność, zupełnie nieoczekiwana, która napełniła zgrozą i smutkiem serca oddanych druchów i czcicieli zmarłego.

* * *

MŁODOŚĆ STARCA ZOSIMY.

Szczegóły biograficznez życia starca Zosimy spisane zostały później przez Aloszę, który starał się oddać je najwierniej i najdokładniej, tak, jak je słyszał wraz z innymi braćmi klasztornymi z ust samego mistrza.

"Mili bracia i nauczyciele moi — mówił starzec. — Urodziłem się w dalekiej północnej części naszego kraju, w mieście W. Ojciec mój, niezamożny szlachcic, nie piastował żadnego urzędu, a odumarł mnie, gdy byłem jeszcze dwuletniem dzieckiem i nie pamiętam go wcale. Zostawił on matce mojej drewniany dom w mieście, w którym mieszkaliśmy, i kapitalik, również niewielki, ale wystarczający na utrzymanie. Było nas dwóch to jest ja i starszy brat mój. Marek. Był to chłopak dobry i zdolny, ale bardzo skryty i zamknięty w sobie. Ze mną i z matką nigdy prawie nie rozmawiał, uczył się dobrze, ale kolegów unikał i nie żył bliżej z żadnym. Na pół roku przed ukończeniem gimnazyum zaprzyjaźnił się bardzo z pewnym uczonym, bawiącym chwliowo w naszem mieście. Człowiek ten, który także bardzo polubił Marka i gościł go u siebie chętnie, wywarł na niego ogromny wpływ, a przedewszystkiem osłabił w nim zupełnie wiarę i wszelkie uczucia religijne. Przychodzi, naprzykład, wielki post, a Marek nie chce pościć i śmieje się z tego, mówiąc, że to wszystko brednie, nikomu na nic niepotrzebne. Gadania takie trwożyły bardzo i martwiły matkę moją i gorszyły naszą służbę, a nawet i mnie samego. Służby mieliśmy wówczas czworo, a byli to wszystko ludzie ze wsi, kupieni za pieniądze od znajomego ziemianina. Jak dziś pamiętam, że matka moja sprzedała za sześćdziesiąt rubli starą naszą kulawą kucharkę, a na jej miejsce przyjęła wolną najmitkę — takie to obyczaje panowały wówczas w Rosyi. W tym czasie właśnie brat mój zaziębił się, a że był zawsze wątłej budowy, rozwinęła się w nim choroba piersiowa, a wezwany doktór skonstatował galopujące suchoty. Matka zaczęła płakać i nieśmiało bardzo, aby go nie strwożyć, prosiła brata, aby się wyspowiadał; ten w pierwszej chwili rozgniewał się i stanowczo odmówił, ale po namyśle doszedł do przekonania, że musi być widocznie niebezpiecznie chory, skoro matka nakłania go do spowiedzi. Około kwietniej niedzieli zachorował tak ciężko, że nie mógł już wstawać z łóżka i zdecydował się na spowiedź. "Ja to, mateczko, wyłącznie dla ciebie robię, aby uradować cię i uspokoić" — mówił, a matka zalewała się łzami, z radości i z bólu razem.

"Widać blizki już koniec jego — myślała — skoro taka w nim zaszła przemiana." — Od tego czasu kaszel męczył go wciąż, zwłaszcza w nocy, mimo to, budził się zrana i z trudem przechodził na fotel, na którym spędzał dnie całe. Pamiętam go, jak siedział cichy, słodki, a mimo, że tak chory, twarz miał wesołą, pogodną. Dziwna w nim zaszła duchowa przemiana. Bywało, przyjdzie do pokoju stara niańka i pyta: "Pozwolisz, gołabeczku, zaświecić lampę przed obrazem?" (dawniej nie pozwalał). A on na to: "Zaświeć, kochana, zaświeć, miła, byłem ja gorszy od zwierza, żem ci dawniej na to nie pozwalał, ty chwalisz Boga, paląc lampki przed obrazami, a ja cieszę się twoją radością i tak jednemu Bogu służymy." Dziwne się nam wydawały takie słowa; słuchając ich, matka wychodziła do swojego pokoju i zalewała się łzami z żalu nad nim, wracając zaś, obcierała oczy i starała się nadać swej twarzy wyraz wesoły.

"Nie płacz, matko — mówił, widząc to — dość ja jeszcze pożyję na świecie i wami się nacieszę, bo życie dobre jest, wesołe, radosne." "Jakaż tobie radość, synku mój — odpowiadała matka — kiedy cię całą noc gorączka pali, a kaszel mało ci piersi nie rozerwie." "Matko, — odpowiadał — życie to raj i wszyscy żyjemy w raju, tylko wiedzieć o tem nie chcemy."

Dziwiliśmy się tym słowom jego i płakaliśmy wszyscy ze wzruszenia, a on z każdym dniem stawał się pogodniejszy, radosny, a dziwnie słodki i miękki dla otoczenia swego. "Matko miła! — mówił, — radości ty moja, wiedz o tem, żeśmy tu na świecie wszyscy winni, jeden przed drugim i jeden za drugiego, a ja chyba najwinniejszy ze wszystkich". Matka uśmiechała się przez łzy na te słowa, mówiąc: "I skądże to ty masz być najbardziej winny; tam zbójcy, mordercy, a cóżeś ty zdołał dotąd nagrzeszyć? i czasu na to nie miałeś". "Mateczko! szczęście moje! sam nie wiem, jak ci to wytłómaczyć, ale czuję, że tak jest, czuję to aż do udręki". Przekomarzał się nieraz z doktorem, który go leczył. Niemiec to był, nazywał się Eisenschmidt. "Doktorze! — mówił — pożyję ja jeszcze dzień jaki?" "Nie dzień, ale całe jeszcze miesiące i lata, pożyjesz pan — odpowiadał doktór. — "Po co lata? po co miesiące? — mówił brat mój, — dzień jeden wystarczy ,aby przekonać się. jak dalece życie jest piękne. Byle nie swarzyć się z sobą, nie przechwalać byle czem. Pójść gwarnie w ogród kwiecisty i wziąwszy się za ręce, cieszyć się, kochać nawzajem i błogosławić życie". "Nie z tego już świata wasz syn, mówił doktór do matki, gdy odprowadzała go do sieni, z choroby wpada w taką egzaltacyę". Okna jego pokoju wychodziły na ogród nasz, duży, cienisty, zarosły staremi drzewami. Z wiosną pączki ukazały się na drzewach i ptaszki wiosenne zleciały się gromadnie, świergocąc mu pod oknem. On wtedy i ptaszków skrzydlatych o przebaczenie prosił. "Darujcie, mi ptaszkowie Boży — mówił, składając ręce, — bo i przed wami winien jestem". Takiej mowy już nikt z nas zrozumieć nie mógł. "Dokoła mnie — mówił — wszystko żyło w chwale Bożej, ptaszki, drzewa, łąki zielone, modre niebiosa, ja jeden nurzałem się w poniżeniu, i nie przyczyniłem niczemu chwały, ani krasy". "Zanadto już siebie obwiniasz — mówiła płacząc matka". "To z radości tak, matko, nie z żalu, choćbym i nie był winien, chciałbym zawinić, aby mi wszyscy przebaczyć mogli, w tem raj — czyż nie tak, matko?" Raz, pamiętam, wbiegłem do jego pokoju w godzinie wieczornej, gdy słońce już zachodziło, oświecając ukośnemi promieniami wszystko dokoła. Zawołał mnie do siebie, a ująwszy za ramiona, wpatrywał się we mnie długi czas z miłością, trwało to dobrą minutę. Wreszcie rzekł: "Idź, dziecko, baw się, wesel, trzeba, żebyś żył za mnie." Pobiegłem do ogrodu i bawiłem się, a później nieraz wspominałem ze łzami, jak to on kazał mi żyć za siebie. Wiele jeszcze mówił takich rzeczy dziwnych i przepięknych, chociaż wówczas jeszcze dla mnie niejasnych. Wreszcie zgasł w trzecią niedzielę po Wielkiej nocy, do ostatka zupełnie przytomny, a gdy już nawet mowę stracił, to jeszcze uśmiechał się do nas, obejmując nas pełnym miłości wzrokiem. W całem mieście mówiono wiele o tej jego niezwykłej śmierci, a i na mnie wywarła ona wstrząsające w rażenie, które wprawdzie zatarło się z czasem, na to jednak, aby później odżyć i zmartwychwstać.

Gdy zostałem jedynakiem, sąsiedzi i przyjaciele doradzać zaczęli matce, aby oddała mnie do korpusu kadetów do Petersburga, matka długo się wahała, nie chcąc się ze mną rozstać, zgodziła się jednak wreszcie, dla mego ,jakoby, szczęścia. Zawiozła mnie więc do stolicy i umieściła w owym zakładzie, nie widziałem jej już więcej, bo wkrótce potem umarła, z żalu za nami obydwoma. Z domu rodzinnego wyniosłem drogocenne wspomnienia, jakie zresztą każdy prawie człowiek wynosi z lat dziecięcych, o ile w rodzinie panuje choć względny spokój i zgoda. W korpusie kadetów, w Petersburgu, przebyłem lat 8, zapomniałem tam wiele z dziecinnych wrażeń, chociaż nie wszystkie, natomiast nabrałem nowych przyzwyczajeń i wyobrażeń, stałem się jakby zupełnie innym człowiekiem, istotą dziką, brutalną i bezmyślną. Nauczono nas zewnętrznej ogłady i francuskiego języka, a służących nam w korpusie żołnierzy uważaliśmy wszyscy za bydło i obchodziliśmy się z nimi odpowiednio. Gdyśmy zostali oficerami, gotowi byliśmy przelewać krew za honor naszego pułku, o istotnym zaś honorze i poczuciu godności nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, gdyby zaś nam kto

określił właściwą istotę honoru, roześmielibyśmy się mu w oczy, a ja pierwszy, byłem bowiem najwrażliwszy z moich towarzyszów.

Odziedziczywszy kapitał po matce, byłem niezależny majątkowo, korzystałem też z tego, prowadząc życie hulaszcze i bezmyślne, nie odmawiając sobie żadnego używania i płynąc pełnemi żaglami rozbujałej młodości. To jedno było dziwnem, że nie straciłem zamiłowania do książek, owszem, czytałem dużo i chętnie, biblii tylko nie otwierałem nigdy, mimo, że miałem ją zawsze przy sobie i woziłem z sobą wszędzie, jako pamiątkę po matce i zmarłym bracie. Po czterech latach takiego życia, stojąc z pułkiem swoim w pewnem mieście, zakochałem się w pannie pięknej, rozumnej i szlachetnej. W domu jej rodziców przyjmowano mnie chętnie i uprzejmie, a że uchodziłem za bogatego, pewien byłem, że w razie oświadczyn, nie spotkałaby mnie odmowa. Znacznie dopiero później przekonałem, się, że uczucie moje dla tej panny, nie było właściwie miłością, a uznaniem i czcią dla niepospolitych jej zalet i charakteru, wtedy jednak myślałem inaczej. Ciężko mi jednak było rozstać się z hulaszczem, kawalerskiem życiem, z tego powodu odkładałem krok stanowczy. Zdarzyło się w tym czasie, że wysłano mnie z pułkiem na dwa miesiące do sąsiedniego powiatu, gdy zaś wróciłem, panna, którą kochałem, była już żoną innego.

Wypadek ten dotknął mnie bardzo, tem więcej, że, jak się pokazało, panna owa była już dawno zaręczona i ja sam spotykałem nieraz w jej domu dzisiejszego jej męża, nie domyślając się, jaki stosunek ich łączy. Uczułem w duszy wielki gniew i wstyd na myśl, żem tyle razy zdradzał się z moją miłością tam, gdzie prawdopodobnie drwią tylko ze mnie. Postanowiłem wtedy zemścić się. Pamiętam teraz, że postanowienie to było dla mnie samego ciężkie, bo będąc dość lekkomyślnym z natury, nie byłem w stanie zatrzymać się dłużej myślą nad jednym przedmiotem, tembardziej gniewać się długo ,mimo to, podtrzymywałem się sztucznie w mojej urazie. Dopiąłem swego i spotkawszy się w towarzystwie mego szczęśliwego współzawodnika, obraziłem go ciężko, a potem wyzwałem na pojedynek. Tamten wyzwanie przyjął, bo był mi także niechętny, i wyrażał się zawsze o mnie lekceważąco wobec żony, obawiał się więc nie stracić w jej oczach, gdyby wyzwanie odrzucił. Pojedynki były wprawdzie surowo zakazane, mimo to jednak, była jakby moda na nie, zwłaszcza między wojskowymi. W wigillię spotkania, które miało się odbyć za miastem, o godzinie siódmej zrana, powróciłem do domu wieczorem, rozbestwiony i dziki, i rozgniewawszy się na posługującego mi żołnierza, uderzyłem go z całej siły dwa razy w twarz, tak, że krwią się zalał. Czy uwierzycie mili, że mimo, że działo się to już 40 lat, temu, wspomnienie to prześladuje mnie i przepełnia bólem i wstydem po dziś dzień. — Położyłem się potem, a przespawszy 3 godziny, obudziłem się, gdy już dniało. Zerwałem się z pościeli i otworzyłem okno, które wychodziło na ogród. Patrzę, słońce wschodzi, ciepło, pięknie, ptaszki śpiewają, mimo to czuję w duszy coś dziwnie tłoczącego — i jakby upokarzającego. Co to być może? — myślę. — Czy krew, którą mam przelać? czy obawa śmierci? — nie, zupełnie nie to, cóż więc? i wreszcie doszedłem, że boli mnie tak i cięży wczorajszy mój czyn — pobicie mego ordynansa. Stanęło mi wszystko w oczach jak żywe — widzę go, jak patrzy na mnie i oczu zmrużyć nie śmie, a ręce trzyma przysobie, bezbronny wobec zwierzęcej mojej brutalności. — Jakto? — myślę — i to człowiek poważa się postępować w ten sposób z drugim człowiekiem, ależ to zbrodnia! — i jakby igła ostra przeszyła mi serce. Stoję, jak obłąkany, a tu słoneczko świeci, muszki brzęczą, ptaszki świergotem Boga chwalą. Zakryłem obu rękami oczy i stanął mi w pamięci zmarły mój brat, który w ostatniej swej chorobie z taką słodyczą i wdzięcznością przyjmował każdą oddaną sobie przysługę, tak stokrotnie za nią dziękował, powtarzając wciąż: "czyż godzien jestem, abyście mi służyli". Nie wytrzymałem i rzuciłem się na łóżko, łkając głośno. Nagle rozjaśniła się w umyśle moim cała prawda i zrozumiałem dopiero, co zamierzam uczynić. Idę zabijać człowieka dobrego, rozumnego, szlachetnego, który mi właściwie nic nie zawinił, a mordując jego, unieszczęśliwiam kobietę, którą kochałem — jaki w tem wszystkiem sens? Przemyślałem tak długi czas z twarzą ukrytą w poduszkach, aż wszedł kolega mój, oficer, który miał być sekundantem. Zerwałem się prawie nieprzytomny, nie wiedząc, o co chodzi, a ko-

lega mój zabrał mnie z sobą i siedliśmy w dorożkę. "Poczekaj chwilę, — mówię do kolegi, — wpaść muszę jeszcze do domu, bo zapomniałem sakiewki." Powróciłem szybko do mieszkania i pobiegłem do izdebki mego żołnierza, Afanasia. "Bracie! — mówię — wczoraj uderzyłem cię tak mocno, daruj mi." On wzdrygnął się i spojrzał na mnie, jak wystraszony, nic nie rozumiejąc. Widzę, że to mało, mało. nie wystarcza, więc jak byłem w epoletach i pełnym mundurze oficerskim, upadam mu do nóg, uderzając czołem o ziemię. — "Przebacz! bracie, przebacz". Wtedy i on zupełnie już rozrzewnił się. — "Wasza wysokość! Panie, ojcze, jakże tak można, czyżem ja godzien?" — i jak ja wczoraj, zakrywszy rękami oczy, odwrócił się do okna i płakać zaczął. Wybiegłem i skoczyłem szybko w dorożkę. — "Wieź! bracie — wołam. — Pogromiciela wieziesz" — i wpadłszy w nadzwyczajny humor, śmiałem się, żartowałem, stałem się dziwnie rozmowny. — "Brawo! — mówi kolega — chwat z ciebie, umiesz nosić mundur." Przyjechaliśmy na miejsce spotkania, gdzie oczekiwano już na nas. Ustawiono nas w odległości dwunastu kroków od siebie. Mój przeciwnik miał pierwszy strzał. Stałem, patrząc mu śmiało w oczy, strzał chybił, kula drasnęła mi tylko lekko ucho. Gdy przyszła na mnie kolei, zwróciłem lufę pistoletu w przeciwną stronę i strzeliłem w las. — "Tamtędy twoja droga" — wołam..

Zwróciłem się następnie do mego przeciwnika z prośbą o przebaczenie. "Daruj mi pan, postąpiłem jak głupiec, obrażając pana, a następnie zmuszając do tej strzelaniny. Stoisz pan tysiąc razy wyżej odemnie, co zechciej powtórzyć osobie, którą obaj czcimy nad wszystko na świecie". On się prawie rozgniewał. "Pocóżeś pan zaczynał, skoro nie miałeś zamiaru skończyć?" "Wczoraj byłem głupi — odparłem wesoło, — dziś zrozumiałem". "Wierzę we wczorajsze, — odpowiedział tamten, — ale wątpię, czy dziś przyniosło jakąś zmianę". — "I na to zgoda — wołam — zasłużyłem w pełni na tę nauczkę". — "Dość tego! będziesz pan strzelał, czy nie". — "Nie będę — odpowiadam, — a pan strzelaj jeszcze raz, jeśli masz ochotę, chociaż lepiej byłoby nie strzelać". — Wtedy i sekundant oburzył się na mnie.

"Cóż to za postępowanie! hańbisz pułk. Stojąc na mecie, nie wolno wdawać się w przeproszenia, gdybym wiedział, nigdybym się w to nie wdał". Ja się tylko śmieję. "Panowie — mówię, — czy taka osobliwość spotkać człowieka, który uznawszy własną niedorzeczność, usprawiedliwia się przed tym, którego obraził?"

"Tak, ale nie na stanowisku i to w czasie pojedynku" — dodaje znów mój sekundant. — "Zapewne, że tak, bo należało mi to zrobić wprzódy, — odopowiadam, — należało nie dopuścić do pierwszego strzału, i nie doprowadzać uczciwego człowieka, do śmiertelnego grzechu. Ale samiśmy w ten sposób życie urządzili, że niepodobieństwem było tak postąpić, bo uznanoby mnie za tchórza i nikt by nie przywiązywał wagi do słów moich." Chciałem mówić jeszcze dłużej, ale nie mogłem, tak mi było dobrze, lekko na duszy, taki się czułem szczęśliwy. "Postąpiłeś pan bardzo rozumnie i uczciwie, w każdym razie oryginalny z pana człowiek" — przemówił wreszcie mój przeciwnik. "żartuje pan teraz ze mnie, ale w każdym razie przyjdzie jeszcze czas, że mnie pan szczerze pochwali' — odparłem, śmiejąc się. Przeciwnik mój chciał mi podać rękę,. ale powstrzymałem go mówiąc. — "Przyjdzie jeszcze na to czas, gdy zasłużę na pański szacunek." Wróciliśmy do domu, po drodze sekundant mój łajał mnie, ale ja ściskałem go ze śmiechem i nie broniłem się wcale. Tegoż dnia jeszcze koledzy pułkowi złożyli na mnie sąd. "Mundur splamiłeś, prosząc o przebaczenie na mecie". Byli jednak i tacy, którzy mnie bronili. "Wytrzymał odważnie pierwszy strzał, nie okazał się więc tchórzem". "Ale stchórzył przed drugim strzałem", — mówili przeciwnicy. "Gdyby tak było, skorzystałby ze swojej kolei, mógł przecie strzelić i zranić przeciwnika, a on pistolet odrzucił, to nie był brak odwagi, tylko oryginalność". Słuchałem tego wszystkiego patrząc na nich wesoło, a potem mówiąc: "Drodzy moi, nie troszczcie się o wyrok, bo ja już i tak postanowiłem opuścić wojsko i wstąpić do zakonu." Gdy to usłyszeli, roześmiali się wszyscy co do jednego. "Czemużeś nam tego odrazu nie powiedział? teraz się wszystko wyjaśnia, do mnicha sąd wojenny niema prawa". Od tego czasu pokochali mnie wszyscy, nawet przeciwnicy moi i oskarżyciele, każdy miał dla mnie miłe słowo, żałować mnie nawet poczęli, i starali się zmienić moje postanowienie. Taż sama

zmiana zaszła i w usposobieniu miejscowego towarzystwa. zapraszano mnie i goszczono wszędzie, żartowano, niby ze mnie, ale naogół polubili mnie wszyscy. Sprawa naszego pojedynku została zatuszowana przez władze, które patrzyły przez spary na to zajście, tembardziej, że nie było właściwie przelewu krwi.

Słuchano teraz chętnie wszystkiego, co mówiłem, uważając mnie za człowieka wielce oryginalnego. "Nie jesteście w stanie pojąć wielu rzeczy — mówiłem im, — bo świat na inne teraz wszedł drogi, tak, że uważamy kłamstwa za prawdę i jedni od drugich kłamstwa się tylko domagamy. Ot, ja np. raz w życiu postąpiłem uczciwie, to zaczęliście mnie uważać za cokolwiek niespełna rozumu, mimo, że jesteście mi życzliwi, śmiejecie się ze mnie". Naraz podniosła się z grona dam młoda osoba, której obecności nie zauważyłem, bo towarzystwo było liczne, i dopiero teraz spostrzegłem, że jest to moja dawna ukochana, z której przyczyny był pojedynek. "Pozwól pan sobie powiedzieć, — rzekła mi, — że ja pierwsza nietylko, że się z pana nie śmieję, ale mam dla pana najwyższy szacunek i wdzięczność, za to, co pan zrobił". Zbliżył się i mąż jej, a za nim wielu innych, a wszyscy okazywali mi wielką serdeczność, przedewszystkiem jednak zwrócił na siebie moją uwagę pewien podżyły jegomość, którego dawniej nie spotkałem, mimo, że znałem go z nazwiska. Człowiek ten zajmował w naszem mieście wybitne stanowisko i słynął z dobroczynności. Ofiarował był znacznie sumy na dom sierót i szpital, a spełnił także wiele cichych dobrych uczynków, które wyszły na jaw dopiero po jego śmierci. Otóż ten pan odwiedził mnie pierwszy, rozmawiał ze mną długo i ciekawie o wszystko dopytywał. "Słuchałem pana, — mówił, — z wielkiem zajęciem i zapragnąłem poznać się z panem bliżej, aby dowiedzieć się bliższych jeszcze szczegółów, jeśli mi pan ich zechce udzielić. "Uważać to będę za najwyższy zaszczyt i przyjemność, — odparłem uprzejmie, w tejże chwili jednak uczułem, że widok gościa mego budzi we mnie dziwne uczucie, jakby nagłego lęku, czego już i pierwej doświadczyłem, gdy nas z sobą zapoznawano. Pochodziło to, być może, z powodu, że był to człowiek starszy, o wyrazie twarzy bardzo poważnym, i jakby surowym, tak sobie przynajmniej to wówczas tłómaczyłem. "Widzę w panu ogromną siłę charakteru, — mówił dalej mój gość, — bo nie lękałeś się pan służyć prawdzie, mimo, że mógłbyś ściągnąć przez to na siebie ogólną pogardę i lekceważenie. Co pan czułeś w chwili, gdy odrzuciwszy pistolet, prosiłeś o przebaczenie swego przeciwnika? musiało to pana wiele kosztować?"

"Zaraz panu objaśnię i powiem, to, czego innym nie mówiłem." — Tu opowiedziałem zajście moje z żołnierzem moim Afanasjem, jakiem go najpierw spoliczkował, a potem do ziemi mu się pokłoniłem, o przebaczenie prosząc. "Zrozumie pan, że chwila pojedynku była już dla mnie lżejszą, bo pierwszy krok jest najtrudniejszy, a reszta poszła mi już zupełnie łatwo, a nawet radośnie". Wsłuchiwał się pilnie, patrząc na mnie bardzo życzliwie. "Wszystko to nadzwyczaj jest ciekawe — mówił, — przyjdę tu jeszcze, aby pomówić z panem". Odtąd przychodził do mnie codziennie i zaprzyjaźniliśmy się z sobą bardzo, gdyby nie to, że dopytywał mnie o wszystko, pragnąc dowiedzieć się o mnie każdego szczegółu, nie opowiedział mi zaś nigdy nic o sobie, tak, że postać jego była dla mnie zagadką.

"To pewna, że życie jest rajem, — mówił raz — sam już o tem dawno myślałem, wierzę w to mocno, również, jak pan, a może i więcej jeszcze, a dlaczego, to się wkrótce pokaże." Słuchając tego, myślałem, że powie mi już teraz swoją tajemnicę, bo dawno przeczuwałem, że tajemnicę jakąś mieć musi. "Raj każdy z nas nosi w sobie mówił dalej, — kryje się on i we mnie, a jeśli zechcę, objawi się jutro, i odtąd szczęśliwy już będę na całe życie.

To także doskonale pan powiedziałeś, że każdy człowiek winien jest za wszystko i za wszystkich, dziwno mi prawie, że mogłeś myśl taką objąć w całej pełni. Gdyby ludzie raz już zrozumieli taką prawdę, to Królestwo niebieskie zapanowałoby na ziemi, nie w marzeniu, jak teraz, a w rzeczywistości".

— A czy nastąpi to kiedy? czy stanie się? nie jest-że to tylko marzeniem? — pytałem z niepokojem.

— Jakto? więc i pan nie wierzysz; wieścisz taką rzecz, a sam wiary nie masz? Otóż, wiedz pan o tem, że stanie i spełni się to, jak je nazywasz marzenie, nie

wpierw jednak, aż zakończy się okres ludzkiego odosobnienia.

— Jakiego odosobnienia? — pytałem.

— Takiego, jakie panuje dziś na świecie osobliwie teraz, w naszych czasach. Dziś każdy usiłuje odosobnić się jak najbardziej od innych, i osiągnąć sam w sobie pełnię życia; wysiłki te zaś zamiast do pełni życia, doprowadzają go tylko do pełnego samobójstwa. Dziś oddala się jeden od drugiego i kryje się do swojej nory, i kryje zazdrośnie, to, co posiada, i to, co w nim jest, a odsuwając się od ludzi, odstręcza ich także od siebie. Gromadzi samotnie bogactwa, i sądzi z tego powodu, że jest silny i zabezpieczony, a niewie szalony, że robiąc tak, pogrąża się, samochcąc, w samobójczą niemoc. Przyjdzie jednak czas, gdy powieje prąd inny i ludzie dziwić się będą, że siedzieli tak długo pogrążeni w ciemności i światła nie widzieli. Zanim się to stanie, powinni ludzie, chociaż pojedyńczo, wychodzić z odosobnienia, chociażby nawet postępowanie takie wydawało się innym szaleństwem, w ten sposób tylko ocalą od zatraty myśl wielką.

Na takich to górnych i płomiennych rozmowach schodziły nam całe wieczory. Odsunąłem sie nawet skutkiem tego od towarzystwa, gdzie już zresztą i tak popularność moja zaczynała się zmniejszać, zaczynałem już wychodzić z mody. Nowy mój towarzysz zaciekawiał mnie coraz bardziej, bo, prócz uroku jego towarzystwa, zaczynałem domyślać się w nim jakiejś tajemnicy, a i on sam dawał mi niekiedy do poznania, że tajemnica taka istnieje, i że mi ją sam kiedyś odkryje. "Czy wie, pan? — mówił mi raz, — że zajmuja się już w mieście nasza przyjaźnią, i dziwią sie bardzo, że odwiedzam pana tak często. Mniejsza o to zreszta, i tak wkrótce wszystko się wyjaśni". Czasem gość mój ulegał dziwnemu podnieceniu, wtedy zwykle zrywał się nagle i wychodził. Czasem znowu zdawało sie, że już tuż, tuż, za chwilę, powie to coś, co mu na sercu leży, a on zmieniał nagle przedmiot rozmowy i zagadywał o czembądź innem. Żalił się też coraz częściej na ból głowy. Aż raz, całkiem niespodzianie, wśród płomiennej rozmowy o ogólnych zagadnieniach, pobladł nagle i z dziwnie zmienioną twarzą, wpatrywał się we mnie uporczywie.

— Co panu jest? — zawołałem. — Czy pan nie chory?

— Ja... wie pan co? ja zabiłem człowieka.

Rzekłszy to, uśmiechać się zaczął, blady był przytem, jak ściana. Czego się on uśmiecha? pomyślałem, a myśl ta pochłonęła moją uwagę więcej jeszcze, niż to jego wyznanie.

— Co pan?... Co pan to...! — krzyknąłem. A on mi na to, zawsze z bladym uśmiechem:

— Widzi pan, tak mi trudno było powiedzieć pierwsze słowo, ale gdy je raz wyrzekłem pójdę prawdopodobnie dalej.

Długo mu nie wierzyłem, mając go za obłąkanego, ale, gdy przychodząc do mnie dzień po dniu, opowiadał mi wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, musiałem w końcu uznać za prawdę ów fakt straszliwy.

Straszna bo też była to zbrodnia. Ów powszechnie szanowany, dobroczynny filantrop, zamordował był przed czterema laty młodą kobietę, bogatą i piękną wdowę, w której się sam szalenie kochał. Powziąwszy ku niej namiętną miłość, oświadczył się o jej rękę, ale ona kochała innego, odmówiła też i wzbroniła nawet wstępu do siebie. Przestał bywać, ale namiętność nie wygasła w nim wcale. Znając dokładnie rozkład mieszkania owej pani, zakradł się tam w nocy przez dach, nie bacząc na niebezpieczeństwo, w sposób niesłychanie ryzykowny i wszystko powiodło mu się nadspodziewanie. Z dachu dostał się na strych, a stamtąd, po drabince, do wnętrza sieni, skąd łatwo już było dobrać sie do mieszkalnych pokoi. Dnia tego, jakby umyślnie, dom był pusty, bo służące rozbiegły się bez pytania; wszedł wiec bez przeszkody do jej sypialni. Nie zbudziła się, a widok śpiącej rozbudził z większą jeszcze siłą gorejącą w nim namiętność. Po chwili, na wspomnienie doznanej odmowy, zawrzał w nim straszny gniew i wówczas rzucił się do niej, jak pijany, i wepchnął jej nóż w serce tak szybko i z taką siłą, że nie wydała głosu.

Wtedy dopiero zrozumiał, co się stało. Z bezprzykładną przytomnością umysłu i piekielnem wyrachowaniem urządził wszystko tak, aby podejrzenie padło na służbę. Zabrał sakiewkę swojej ofiary, otworzył kluczem komodę i wydobył z niej klejnoty i gotówkę, zostawiając papiery wartościowe na wysokie sumy, tak właśnie, jakby postą-

pił ciemny sługa, nie znający się na wartości takich rzeczy. Dokonawszy tego, wyszedł tą samą drogą, jaką wszedł, nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Gdy nazajutrz podniosła się trwoga z powodu tak zuchwałej zbrodni, podejrzenie padło na zbiegłego stróża zamordowanej, który oddawał się pijaństwu i odgrażał się nieraz po pijanemu, że nie pozwoli na to, aby go jego pani oddała do wojska. (Prawo wyboru rekruta należało wówczas do właścicieli ziemskich). Nigdy zaś, ani przedtem, ani potem nikomu na myśl nie przyszło posądzać o jakikolwiek współudział w zbrodni tak ogólnie szanowanego człowieka. Zbiegłego stróża znaleziono na gościńcu spitego bez pamięci, w dodatku ręce miał zakrwawione (on wprawdzie twierdził, że miał krwotok z nosa, nikt jednak mu nie uwierzył). Słowem, wszystkie poszlaki mówiły przeciw niemu.

Aresztowano biedaka i zaczęto go sądzić, ten jednak zachorowawł na jakąś niebezpieczną gorączkę i umarł w kilka dni. Wobec tego, sprawa została umorzona, a sąd i opinia, publiczna przekonane były, że nie kto inny, tylko zmarły, był sprawcą morderstwa. Opowiadał mi dalej mój nowy przyjaciel, że z początku nie doznawał żadnych wyrzutów sumienia z powodu popełnionej zbrodni, a tylko bolał i rozpaczał nad śmiercią ukochanej kobiety i nad tem, że mordując ją, zamordował własną miłość. Niepokoiło go trochę uwięzienie niewinnego sługi, ale gdy ten umarł, zanim został osądzony i ten skrupuł ustąpił. Ukradzione pieniądze zwrócił w formie hojnych darów ofiarowanych na dobroczynność. Z czasem zapomniał prawie o zamordowanej, przywiązał się do innej pięknej i rozumnej kobiety, ożenił się z nią miał dzieci i spodziewał się, że nowe obowiązki przytłumią w nim do reszty bolesne wspomnienia, stało się jednak przeciwnie. Już w pierwszym roku pożycia zaczął sobie zadawać pytanie, co będzie, jeśli żona, która go kocha, dowie się o jego zbrodni. Gdy dowiedział się, że ma zostać ojcem, mówił sobie w duszy: "daję życie, a życie odjąłem".

I tak wciąż dalej wyrzuty występować zaczęły z coraz to większą siłą. Dzieci rosły, chciałoby się popieścić je, ucieszyć się niemi, a jakże tu patrzeć na ich niewinność? jak uczyć tego, co dobre, skoro się samemu krew przelało? Zaczęły go nawiedzać sny straszne, krew zamordowanej ofiary coraz wyraźniej wołała o pomstę. Nie mogąc znieść tej męki wewnętrznej, myślał chwilami o samobójstwie! Wtedy dopiero świtać mu zaczęła myśl, a raczej mrzonka, która wydawała mu się z początku szaleństwem i niemożliwością, ale z czasem owładnęła nim zupełnie, tak, że oderwać się od niej nie mógł.

"A gdyby tak stanąć, gdzieś w miejscu publicznem i ogłosić całemu światu, że jestem mordercą." Uwierzył w końcu z całego serca, że postępek taki wybawiłby go i uleczył na wieki, ale jednocześnie uczuł, że nie będzie miał odwagi spełnić to, co postanowił. Wtedy właśnie zaszedł wypadek z moim pojedynkiem, który zdecydował go ostatecznie. Dziś gotów jest zrobić wyznanie.

— Jakże to? — pytam zdziwiony — mogłażby tak drobna okoliczność wpłynąć na krok tak stanowczy?

— Postanowienie moje tworzyło się we mnie i dojrzewało przez całe trzy lata — odrzekł prawie surowo. — Pański pojedynek był tylko ostatniem ziarnkiem, przeważającem na szali.

— Nikt panu nie uwierzy, choćbyś pan zrobił wyznanie.

— Złożę dowody.

Zapłakałem wówczas i zacząłem go ściskać.

— Jedno tylko — dodał jeszcze, zwracając się do mnie, jakby wszystko odemnie tylko zależało. — żona, dzieci... żona umrzeć może z żalu, a na dzieci spadnie hańba splamionego imienia, i jaka pamięć po mnie zostanie w ich sercach?

Milczałem.

— A jak tu rozstać się z nimi? i to już na zawsze, na zawsze...

Siedziałem bez słowa, szepcząc w myśli modlitwę. Powstałem wreszcie, a było mi straszno.

— Idź pan — rzekłem — i powiedz całą prawdę; wszystko minie, prawda tylko jest wieczna. Dzieci zrozumieją, gdy wyrosną, ile wielkości duszy było w pańskim postępku.

Pożegnał mnie wtedy i odszedł, zdecydowany, jakoby, na wszystko. Mimo to, przez dwa tygodnie jeszcze przychodził do mnie dzień po dniu, przysposabiając się niby, do stanowczego kroku. Zmęczył mnie wówwczas bardzo. Czasem przychodził w dobrem usposobieniu, mówiąc:

— Wiem dobrze, że skoro tylko wy-

znam prawdę, ziemia stanie się dla mnie rajem. Czternaście lat żyłem w piekle. Takie cierpienia... przyjmę, je chętnie i od tej chwili żyć zacznę.

Teraz nietylko bliźnich, ale dzieci własnych kochać nie śmiem.

Wtedy odchodził jakby pocieszony, a nazajutrz wracał w zupełnie już innym nastroju, przychodził blady, gniewny i mówił drwiąco:

— Cóż pan tak na mnie patrzy? Ciekawość pana bierze, czym już złoży wyznanie. Nie tak to łatwo, jak się panu zdaje. Może i wcale tego nie zrobię. Co? czy zrobi pan wtedy na mnie doniesienie do policyi?

Bałem się wówczas spojrzeć na niego, zmęczony byłem śmiertelnie, a duszę miałem pełną łez, sen nawet odbiegł mnie zupełnie.

— Idę prosto od żony — mówił dalej. — Czy pan rozumiesz, co to jest żona, dzieci. Gdy wychodzę, wołają za mną: "Dowidzenia, tatusiu, powracaj prędko, to będziesz nam czytał bajeczki". Nie, takich rzeczy pan nie możesz zrozumieć, cudza bieda rozumu nie uczy.

Oczy mu błysnęły, usta zadrżały, uderzył z taką siłą pięścią w stół, że wszystko podskoczyło.

— I po co robić taką rzecz? po co? Czy to potrzebne? czy to się komu na co przyda? Nikt przecie za mnie nie cierpi, nie został ukarany. Ów sługa,, na którego było podejrzenie, umarł z choroby. Za krew przelaną odpokutowałem całem życiem mąk. Gotów jestem zresztą męczyć się tak przez długie jeszcze życie, byle nie zgubić żony i dzieci. Byłożby to sprawiedliwe, żeby one za mnie cierpiały? Gdzież ta prawda? Powiedz pan co mam robić? rządź losem moim.

— Wyznaj pan — wyszeptałem prawie bez głosu, ale ostro i dobitnie. Wziąłem potem ze stołu książkę z ewangelią i odczytałem mu niektóre ustępy. Słuchał uważnie, ale potem uśmiechnął się gorzko.

— I cóż stąd? — mówił — to wszystko bardzo piękne, ale któż pisał te książki: ludzie, tacy, jak my.

— Duch święty! — zawołałem.

— Łatwo panu bajać — rzekł z półśmiechem, patrząc na mnie prawie już z nienawiścią. — Żegnaj pan — dodał jeszcze — może już tu wcale nie przyjdę; zobaczymy się chyba w raju — i wyszedł.

Ja wówczas padłem na kolana i modliłem się za niego gorąco. Trwało to pół godziny. Naraz ktoś zastukał do drzwi; był to gość mój, który znowu powrócił. Zdziwiłem się, bo zdarzyło mu się to pierwszy raz, a była już późna godzina w nocy.

— Skądże pan? — spytałem.

— Ja, nic, zapomniałem tu coś, zdaje mi się, chustkę od nosa, ale choćbym i nic nie zapomniał, to i tak pozwól pan usiąść na chwilę. Usiądź-że i pan — rzekł do mnie.

Usiadłem obok niego i przez kilka chwil patrzyliśmy na siebie, milcząc. Naraz on wstał, uścisnął mnie i pocałował.

— Zapamiętaj to sobie — rzekł z naciskiem — zapamiętaj te moje powtórne odwiedziny, nie zapomnisz o nich nigdy.

Pierwszy raz powiedział do mnie: ty.

Nazajutrz był dzień jego imienin obchodzony zwykle uroczyście, przyjęciem, na którem bywało całe miasto. Tak się też stało i teraz. Goście zeszli się bardzo licznie. Po kolacyi wyszedł on na środek sali, trzymając w ręku papier, na którym opisał najformalniejsze zeznanie, złożone władzom, a władze te znajdowały się w tej chwili w jego domu i były jego gośćmi. Odczytał zebranym u siebie gościom dokładny opis zbrodni, z najdrobniejszymi szczegółami. "Wykreślam się i wykluczam z pośród ludzkiego społeczeństwa — mówił — Bóg mnie nawiedził i pragnę cierpieć." Przedstawił następnie dowody, tak długo starannie ukrywane, jako to rozmaite klejnoty zamordowanej, fotografię jej narzeczonego i list jej, pisany do tegoż narzeczonego, list nieskończony, który znalazł na jej biurku i ukrył wraz z innymi. I cóż się stało? Obecni, zdumieni w pierwszej chwili, doszli naraz do przekonania, że to halucynacya, mania chorobliwa, dowód umysłowego zboczenia. Nikt nie uwierzył. A że w kilka dni później zachorował ciężko, i doktorowie rozpoznali rozstrój nerwowy, podejrzenie tembardziej odwróciło się od niego. Badano i mnie i rozpytywano, ale, oczywiście, nic nie wydałem.

Gdy chciałem odwiedzić chorego, wzbronili mi do niego dostępu. Żona jego, zwłaszcza, bardzo była na mnie zażalona. "To pan — mówiła — rozstroił go do tego stopnia; bywał wprawdzie i dawniej rozdrażniony ,ale pan doprowadził go do tej strasznej choroby, pan zgubił go temi ciągłemi gadaniami; w ostatnim miesiącu nie wycho-

dził prawie od pana." I nietylko żona, ale miasto całe powstało przeciw mnie. "To wszystko przez pana", mówiono. Milczałem i nawet temu byłem rad, widząc w tem miłosierdzie Boże nad żałującym. Wreszcie dopuścili mnie do niego, bo sam tego usilnie żądał, chcąc się ze mną pożegnać. Wszedłszy, poznałem odrazu, że nietylko dni, ale godziny jego są policzone. Osłabiony był, żółty, ręce mu drżały, ale wyraz twarzy pogodny miał i promienny.

— Spełniło się — rzekł do mnie — dawno już pragnąłem widzieć pana. Czemu nie przychodziłeś?

Nie powiedziałem mu, że nie dopuszczono mię do niego.

— Bóg ulitował się nademną i przyzywa mnie do siebie. Czuję, że śmierć nadchodzi, ale radość w duszy i spokój, którego nie zaznałem od tylu lat. Teraz dopiero odważam się kochać i pieścić moje dzieci. Nie uwierzył mi nikt, ani żona, ani sędziowie moi, to też i dzieci nie uwierzą, ani dziś, ani w przyszłości. Takie już miłosierdzie Boże nademną.

Nie mógł już mówić, ale jeszcze ściskał gorąco dłoń moją, patrząc na mnie rozpromienionym wzrokiem.

Nie długo trwała nasza rozmowa, którą i tak przerywano ciągle zaglądaniem jego żony, zdążył mi jednak powiedzieć jeszcze jedno.

— A pamiętasz ty, jakiem wpadł do ciebie w nocy i prosiłem cię potem, abyś nie zapomniał o tej chwili? A wiesz ty, po co ja wówczas przyszedłem? Chciałem cię zabić

Wzdrygnąłem się, a on mówił dalej:

— Wyszedłszy wtedy od ciebie, błądziłem po ulicach i pasowałem się z sobą. Nienawidziłem cię wówczas do tego stopnia, że prawie już znieść tego nie mogłem. Teraz, myślałem, on jeden jest sędzią moim, przez niego nie mogę już uniknąć jutrzejszej męki, bo on wie wszystko. I nie tego się bałem, abyś doniósł o mnie władzom; ta myśl, ani na chwilę nie postała mi w głowie, ale czułem, że nie będę ci śmiał w oczy spojrzeć, jeśli zbrodni mej publicznie nie wyznam. I chociażbyś był nawet daleko, to sama myśl, że żyjesz, gdzieś i czujesz dla mnie pogardę, stała mi się nieznośną. Znienawidziłem cię, jakbyś ty sam był przyczyną mego nieszczęścia. Wróciłem wtedy do ciebie, i, jak pamiętasz, sam usiadłem i tobie siąść kazałem. Na stole twoim leżał kindżał, którym chciałem cię zabić.

Siedzieliśmy tak parę minut obok siebie. Nienawidziłem cię wówczas bez miary i pragnąłem z całych sił zemścić się za moje cierpienia. Ale Bóg poskromił szatana, goszczącego w mojem sercu. Wiedz, tedy, że nigdy nie byłeś tak blizki śmieci.

W parę dni potem chory umarł. Pogrzeb jego był wspaniały i całe miasto prze prowadzało go do grobu. Nad trumną wygłoszono pochwalne mowy, ubolewając nad chorobą, która skróciła dni jego. Całe miasto powstało przeciw mnie; oburzenie było tak wielkie, że przestano mnie zupełnie przyjmować. Prawda, że po pewnym czasie ten i ów przypomniał sobie dziwne wyznanie zmarłego i zaczął przypuszczać, że mogło być w niem coś prawdy. Zaczęto mnie znów odwiedzać i badać, ale ja nie powiedziałem słowa, a wkrótce wyjechałem zupełnie.

W pięć miesięcy potem byłem już na drodze, którą mi Pan wskazał w swojem miłosierdziu, a nieszczęsnego, którego cierpień byłem powiernikiem, wspominam po dziś dzień w modlitwach moich."

Tu kończą się notatki Aloszy z życia starca Zosimy. Następują jeszcze poszczególne wskazówki, dotyczące różnych zagadnień moralnych, cenne rady i napomnienia, które przez długie lata, służyć miały Aloszy, jako pokarm duchowy i oparcie w wątpliwych i trudnych chwilach.

* * *

ROZCZAROWANIE.

Po śmierci starca najbliżsi przyjaciele zmarłego, tj. ojciec Paisy i ojciec bibliotekarz, zajęli się przysposobieniem ciała do pogrzebu, według starodawnych, uświęconych obyczajów. Nakreślono mu na czole, na piersiach, na rękach i na nogach Krzyż święconą wodą, przyobleczono go w zakonne szaty i włożono do trumny, przygotowanej już dawno, za życia jeszcze zmarłego. Trumnę ustawiono w tej samej salce, w której starzec za życia przyjmował swoich gości, gdzie tak niedawno jeszcze próbował przywrócić porozumienie w rodzinie Karamazowych.

Nad ciałem jego miały być wciąż czy-

tane ewangelie, czego podjęli się znaczniejsi wśród braci zakonnej. Ojciec Paisy, który był najgorętszym i najserdeczniej przywiązanym przyjacielem starca, chodził frasobliwie, troszcząc się o wszystko i zarządzając, aby wszystko stało się z jaknajwiększą powagą i dostojnością. Jak już wspomnieliśmy wyżej, wieść o śmierci starca rozeszła się już wszędzie i tłumy pielgrzymów z ludu, a nawet i z inteligencyi, napływać zaczęły do klasztoru. Wśród tego tłumu zauważył odrazu ojciec Paisy nastrój, który go niecierpliwił i drażnił. Wszyscy ci ludzie podnieceni byli jakiemś gorączkowem oczekiwaniem czegoś nadzwyczajnego i cudownego, i domagali się prawie, aby się im to coś natychmiast objawiło. Wielu poprzywoziło z sobą chore dzieci, oczekując uzdrowienia, inni przybyli poprostu tylko z ciekawości, która przybierała chorobliwe prawie rozmiary. Usposobienie to publiczności wydało się ojcu Paisemu niestosowne i lekkomyślne. Świeccy zachowywać się mogą z tak niewłaściwą natarczawością, chociaż w głębi duszy i sam oczekiwał i pragnął czegoś, czegoby bliżej określić nie umiał, a co miałoby być, jakby dopełnieniem i uwieńczeniem tego życia, pełnego ofiar i wyrzeczenia się samego siebie. Najbardziej podejrzanymi wśród publiczności wydali mu się Rakitin i Obdoszkin, braciszek, których wszędzie było pełno. Zaglądali oni wszędzie i wszystko śledzili, tak dalece, że na ich widok nasuwała się mimowoli myśl o czemś, podobnem do szpiegowania.

Rakitin, jak się później okazało, wysłany był rzeczywiście przez panią Chachłakow, która poleciła mu donosić co pół godziny o wszystkiem, co zajść mogło w obrębie murów klasztornych. Poczciwa dama zrobiła to z najlepszych chęci, wiedziona, co prawda także ciekawością, chociaż natury świątobliwej, a Rakitin, który umiał ze wszystkiego korzyść wyciągnąć, chętnie się podjął tego polecenia. Naraz ojciec Paisy przypomniał sobie Aloszę, którego już od kilku godzin nie widział, i w tejże chwili prawie ujrzał go siedzącego na jednej z mogił na cmentarzu, okalającym pustelnię. Zbliżywszy się, obaczył, że Alosza zakrył twarz obiema rękami, a wstrząsające ciałem drganie świadczyło o cichych, ale gorzkich łzach jego.

— Uspokój się, synu drogi — przemówił do niego tkliwie — czegoż ty? Nie płacz, a raduj się, czyż nie wiesz, że dla niego najszczęśliwszy to dzień, czyż zapominasz, gdzie jest w tej chwili.

Alosza odjął na chwilę ręce od twarzy, ukazując nabrzmiałe od płaczu oczy i twarz, rozżalona, jak u dziecka; ale po chwili zakrył oczy i znów płakać zaczął.

— Niech zresztą i tak będzie. Chrystus ci zesłał te łzy twoje dobre i święte — posłużą ci one do radości i duchownego wesela.

Słowa te rzekł już prawie do siebie, odchodząc i myśląc z miłością o płaczącym młodzieńcu.

Tymczasem odprawiano panichidy za duszę zmarłego, a nad ciałem jego czytano nieustannie ewangelie. A w miarę, jak zbliżało się południe, wśród wchodzących i wychodzących z salki, w której wystawione były zwłoki, powstawały jakieś szepty, trwożne i niepewne z początku, potem coraz wyraźniejsze, aż nareszcie rzecz, o której mówiono z początku cicho i prawie w nią nie wierząc, stała się naraz głośną, jawną i wzbudziła powszechną boleść, zgrozę, a wśród wielu nawet zgorszenie. Fakt to był sam przez się nic nieznaczący i nie wartoby go było nawet wspominać, gdyby nie to, że wywarł on także silny wpływ na umysł Aloszy i zachwiał go z początku, a potem jeszcze bardziej utwierdził w przekonaniach, którym pozostać miał wierny i to już przez całe życie. Oto zwłoki zmarłego, umieszczone w małej, dusznej celi, w której zaniedbano nawet pootwierać okien, rozkładać się zaczęły o wiele wcześniej, niż się tego spodziewano. Był to fakt sam w sobie zupełnie naturalny, ale zupełnie sprzeczny z tem, czego się spodziewano i wyczekiwano, jak to już wyżej wspomnieliśmy, w tak gorączkowem podnieceniu. Wieść rozeszła się szybko między wierzącymi i niewierzącymi. Niewierzący uradowali się, co się zaś tyczy wierzących, to znaleźli się między nimi tacy, którzy się jeszcze bardziej uradowali, niż niewierzący, bo, jak zwykł był mawiać starzec, jeszcze za życia "ludzie chętnie patrzą na upadek i poniżenie sprawiedliwego." Przypominano sobie, że z poprzednimi starcami działo się zupełnie inaczej, jeden z nich, mianowicie, wielce świątobliwy i który żył do stu lat, miał być po śmierci piękniejszy, niż za życia, twarz jego jakby się rozjaśniła w trumnie, a ciało i po trzech dniach jeszcze nie zdradzało naj

mniejszego śladu rozkładu, tu zaś, mimo, że i doba jeszcze nie upłynęła od chwili zgonu, woń i zaduch zgnilizny rozchodziły się już, rażąc uczucia obecnych. Ojciec Paisy, który bez przerwy czytał ewangelię, zauważył już zmianę, jaka zaszła w odwiedzających. Zamiast przejętych czcią pielgrzymów, pragnących złożyć hołd pamięci świętego, ukazywały się rozmaite nieznane figury, a przebywszy chwil kilka, jakby dla naocznego przekonania się o czemś, wychodziły szybko, aby podzielić się nowiną z innymi, którzy czekali u progu. Z miasta napłynęło dużo takich, którzy przybyli jedynie przez ciekawość, bez której nie byliby się wcale ukazali w klasztorze. Dotąd zachowywano się jeszcze z odpowiednim szacunkiem, ale już od czasu do czasu dawały się słyszeć takie uwagi, jak: "To widoczny sąd Boży", "Pan Bóg chciał pokazać". "Skąd się to mogło wziąć? gdyby był tłusty, ale to skóra tylko i kosteczki". Napróżno ojciec Paisy zbywał wszystko pogardliwem milczeniem, a drugi przyjaciel zmarłego, ojciec bibliotekarz, przekładał zgorszonym, że fakt rozkładu ciała niema najmniejszego związku ze świątobliwością nieboszczyka, nikt go nie słuchał i słuchać nie chciał. Podnieśli też głos i tacy z pośród braci zakonnej, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami samejże instytucyi starców, uważając ją za szkodliwe nowatorstwo. "Nową modę zaprowadzał", "ciału dogadzał, jadł naprzykład konfitury wiśniowe z herbatą", "na kolana przed nim padali, a on przyjmował to, jako sobie należne" i zarzutom tego rodzaju końca nie było. Słuchał ich uważnie obdorski braciszek, wzdychając głęboko i znacząco kiwając głowa. "Słusznie widać mówił wczoraj ojciec Ferapont" — powtarzał sobie w duchu, a właśnie w tejże chwili ojciec Ferapont ukazał się między innymi. I do jego pustelniczej celki dostała się wiadomość o tak widocznym sądzie Bożym nad zmarłym, a udzielił mu jej, prawdopodobnie, wczorajszy jego gość z Obdórka. Ojciec Paisy, znający dobrze środowisko, wśród którego przebywał zdawał sobie sprawę z tego nagłego przełomu opinii, i przeczuwał, co dalej nastąpi spokojnie i bez trwogi. Wkrótce też w sieniach, obok celi zmarłego, powstał gwar i szum, naruszający spokój i powagę należną domowi żałoby. Szum ten i hałas robili ludzie, towarzyszący tłumnie ojcu Ferapontowi, którzy jednak zatrzymali się u progu, z wyjątkiem obdorskiego braciszka. Drzwi od celi otwarły się naoścież z wielkim hałasem, a na progu stanął ojciec Ferapont z podniesioną groźnie prawicą.

— Przegnam nieczystą siłę! — zawołał i żegnać zaczął wszystkie ściany i kąty izdebki. — Precz stąd, szatanie! — powtarzał za każdym razem, a towarzyszący mu tłum patrzył na to z najwyższem uznaniem, i człowiek, który do niedawna jeszcze uchodził za wpółobłąkanego, urósł naraz w ich oczach do rozmiarów potężnego pogromcy duchów piekielnych. Stał w grubej swojej szacie, podpasanej sznurem, z piersią odkrytą, obrosłą siwym włosem, nogi miał bose, a za każdym ruchem jego dzwoniły żelazne łańcuchy, które nosił pod szatą.

Widząc, co się dzieje, ojciec Paisy zaprzestał czytania ewangelii i wystąpił naprzeciw wchodzących.

— Pocoście tu przyszli, czcigodny ojcze? — spytał surowo. — Dlaczego naruszacie spokój tej celi,, dlaczego burzycie i buntujecie lud wierny?

— Po co przyszedłem? po co? jakaż to wiara wasza? — zawołał z nieprzytomnem zapamiętaniem Ferapont. — Gości tu waszych przegnać muszę, czarty nieczyste zagnieździły się po kątach waszych, policzyć tu ich przyszedłem i wypędzić.

— Z nieczystą siłą walczyć chcesz, a sam jej może służysz — odparł spokojnie i bez trwogi ojciec Paisy. — Któż z nas śmiałby wyrzec o sobie jam święty! Czy może ty, ojcze?

— Lichy ja jestem, a nie święty, nie siądę też i nie spocznę i pokarmu do ust nie wezmę, dokąd pokłonu Bogu nie oddam — zagrzmiał Ferapont. — Ale wy tu wiarę świętą gubicie. Patrzcie na tego oto nieboszczyka — mówił, zwracając się do stojącego za progiem tłumu. — Postów nie zachowywał, strawę gotowaną jadał, ciału grzesznemu dogadzał, karmiąc je słodyczami. Ot i pokazał Bóg i sąd nad nim objawił; a jaki teraz wstyd! jaki srom!

— Lekkomyślne słowa twoje, ojcze! — zawołał podniesionym głosem ojciec Paisy. — Umiesz ty posty zachowywać i umartwienia sobie zadawać, ale duszę masz lekkomyślną, jak chłopię świeckie, małoduszne i bezrozumne. Wyjdź stąd natychmiast, rozkazuję ci.

— Wyjdę ja, wyjdę! — odparł Ferapont, cokolwiek zmieszany, nie zaniechaw-

szy jednak złości swojej. — Uczeni wy, mędrce! wynosicie się nade mną, maluczkim, rozumem waszym; mało ja miałem nauki, skorom tu przyszedł, a i tej się wyrzekłem, uchronił mnie Bóg od uczoności waszej.

Ojciec Paisy stał niewzruszony, górując nad przeciwnikiem swoim powagą i spokojem. Ferapont wahał się chwilę, ale wreszcie cofać się zaczął, zstępując powoli po schodach i spozierając z pod oka na trumnę starca. Nagle zmienił ton i przemawiać zaczął żałośliwie i łzawo:

— Nad takim oto przesławne kanony i śpiewy święte odprawiają, a nademną biednym, gdy zdechnąć przyjdzie, jaką tam ledwie modlitwę odmówią. Taka dola.

Mówiąc to, zeszedł szybko ze schodów, a na jego widok tłum, stojący w dole, zakołysał się niepewny.

Ojciec Paisy wyszedł za odchodzącym i zatrzymał się na ganku, uważając, co się stanie, ale zaciekły Ferapont nie skończył jeszcze. Oddaliwszy się na jakie 20 kroków od ganku, odwrócił się w stronę zachodzącego słońca, a rozpostarłszy szeroko ręce, runął, jak podcięty, na ziemię, wydając przeogromny krzyk.

— Zwyciężył Bóg mój! Chrystus zwyciężył, zachodzącemu słońcu zwycięstwo dał!— zawołał, poczem łkać zaczął, jak dziecko, a konwulsyjne drgania wstrząsały jego ciałem.

Na ten widok tłum rzucił się ku niemu, rozległy się krzyki i wołania, wielu ryknęło płaczem, jakiś obłęd ogarnął wszystkich.

— Ot kto święty! ot kto sprawiedliwy! — wołano zewsząd. — Takiemu starcem być — odezwało się kilka głosów, ale inni zaraz zaprzeczyli.

— Nie starcem jemu być, on i bez tego święty, nieczyste siły pokonał. Nowomodnych wymysłów naśladować nie będzie.

I niewiadomo, na czemby się to skończyło, gdyby nie rozległ się głos dzwonu, wzywającego na nabożeństwo. Wszyscy zaczęli się żegnać i znaczna część obecnych pośpieszyła w stronę cerkwi. Podniósł się też i ojciec Ferapont i posunął do swojej celi, mówiąc wciąż do siebie, ale już zupełnie bez związku. Towarzyszyło mu jeszcze trochę ludzi, ale już w znacznie mniejszej liczbie, a ci rozeszli się w końcu, zostawiając zdziwaczałego starca jego ascetycznym rozmyślaniom.

Widząc, że się burza uspokoiła ojciec Paisy powierzył czytanie ewangelii ojcu bibliotekarzowi, a sam opuścił ściany pustelni ze smutkiem w duszy. I sam nie wiedział, skąd pochodzi ciężar, gniotący mu serce. Nie mogła go przecie zachwiać, ani wytrącić z równowagi wrzawa obałamuconej tłuszczy, a jednak czuł, że coś mu niedostaje i mąci wewnętrzny jego spokój. Po głębszym namyśle odszukał przyczynę tego stanu duszy; oto wśród falującego tłumu, towarzyszącego ojcu Ferapontowi, dostrzegł wśród innych zmienioną twarz Aloszy i do tego czasu czuł w sercu dotkliwy ból. "Czyżby ten chłopak obchodził mnie do tego stopnia?" — pytał gniewny sam na siebie.

W tejże chwili Alosza przechodził w pobliżu i mimowoli spotkały się ich wejrzenia. Alosza odwrócił szybko oczy i spuścił je ku ziemi, a z tego jednego ruchu poznał ojciec Paisy, jaka przemiana odbywała się w duszy młodego nowicyusza.

— Czy i ty zgorszyłeś się? i ty trzymasz z ludźmi małej wiary? — pytał z goryczą.

Alosza zatrzymał się i spojrzał przelotnie na ojca Paisego, ale wnet odwrócił oczy i stał bokiem do pytającego, nie zwracając ku niemu twarzy.

— Gdzież tak śpieszysz? — mówił dalej ojciec Paisy — czy to na nabożeństwo dla służby Bożej?

Alosza nie dał i na to żadnej odpowiedzi.

— Cóż to? z pustelni odchodzisz? i to tak nagle, bez pytania, bez błogosławieństwa?

Alosza spojrzał znów na pytającego z dziwnym i nad wyraz gorzkim uśmiechem, potem machnął ręką i, nie rzekłszy słowa, wybiegł za wrota.

— Wrócisz ty jeszcze, wrócisz — szepnął za odchodzącym ojciec Paisy i poszedł w swoją stronę.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

CHWILA ZWĄTPIENIA.

Nie omylił się ojciec Paisy, spodziewając się, że jego ukochany chłopiec powróci z czasem do dawnej wiary i ufności dziecięcej, a czytał on przytem trafnie w duszy młodzieńca, odgadując właściwą przyczynę tego jego upadku na duchu. Nie podzielał on, oczywiście, lekkomyślnej niestałości tłumu, nie o cuda mu chodziło, jakkolwiek uważał je za fakt możliwy i godny świętości ukochanego jego mistrza, który przez tak długi czas przedstawiał dla niego bezsporny ideał ludzkiej doskonałości. Ale tu naruszona została wyższa sprawiedliwość, której tak bardzo domagało się i pożądało serce jego. Oto ten, który powinien był być wyniesiony ponad wszystkich na ziemi, ten najgodniejszy z godnych i najsprawiedliwszy ze sprawiedliwych, zamiast zasłużonej czci i uwielbienia, wydany został na wzgardę, śmiech i poniżenie. I za co? Kto to sprawił? Kto mógł tak osądzić? Za co ta niesława? Skąd ten przedwczesny rozkład, przeciwny prawom natury? — jak utrzymywali z urąganiem zwolennicy Ferapontа. Jakiem prawem ci ludzie, o tyle marniejsi, o tyle niżsi, przyznają sobie prawo sądzenia i potępiania i wierzą, że prawo to posiadają?

Gdzie Opatrzność? Gdzie moc jej i potęga? dlaczego w takiej właśnie chwili zataja prawa swoje, podporządkowując je ślepym, głuchym i niemym prawom przyrody? Uczucia te i wątpliwości były zupełnie naturalne w wieku Aloszy i przy gorącem jego usposobieniu i źleby nawet było, gdyby ich nie był doznał. Bo i cóżby to była za młodość, któraby w pierwszej godzinie bólu, spowodowanego krzywdą najdroższych i najświętszych swych uczuć, nie potrafiła zdobyć się na oburzenie, kierując się jedynie rozsądkiem, który niczemu się nie dziwi i wszystko potrafi wytłómaczyć?

Pod wrażeniem doznanych wstrząśnień, Alosza, wybiegłszy z pustelni, rzucił się twarzą na ziemię i leżał tak nieruchomy, pod cieniem olbrzymiego wiązu. Prócz wszystkich innych trosk, przypominały mu się i występowały coraz wyraźniej szczegóły wczorajszej jego rozmowy z Iwanem. Nie poddawał się im bezwzględnie, ale jednak wspomnienia te gryzły mu i trawiły duszę, przepełniając ją jadem goryczy.

W takim stanie znalazł go przechodzący Rakitin i zatrzymał się zdumiony.

— Ty tu, Alosza? — zapytał, a po chwili dodał: — Więc i ty? więc i ty także? — tu urwał, ale po pewnem drgnięciu Aloszy odgadł, że ten słyszy go i rozumie pytanie. Wtedy zdumienie znikać zaczęło z twarzy Rakitina, a na ustach jego ukazał się drwiący uśmiech.

— Słuchaj! — mówił dalej. — Szukam ciebie przeszło od dwóch godzin. Co ty tu robisz? co za niedorzeczności wyprawiasz? Popatrz-że choć na mnie.

Alosza usiadł, oparłszy się plecami o drzewo, nie płakał, ale twarz jego wyrażała dotkliwe cierpienie, a w oczach jego widniał wyraz rozdrażnienia. Nie patrzył przy tem na Rakitina, a gdzieś w przestrzeń.

— Wiesz! Tyś się coś strasznie zmienił, gdzież się podziała twoja słodycz? gniewasz się na kogo? obrazili cię?

— Przestań! — przerwał mu Alosza, nie patrząc wciąż na niego i machnąwszy niecierpliwie ręką.

— Taki to jesteś? zupełnie jak inni śmiertelnicy, a tak długo uchodziłeś za anioła. Wiesz co, Alosza, dziwię się tobie, ja, com się już oddawna przestał dziwić. Miałem cię dotąd za inteligentnego człowieka.

Alosza spojrzał wreszcie na niego z roz-

targnieniem, jakby nie rozumiejąc jego słów.

— Czy to naprawdę taka rozpacz z powodu, że twój starzec gnije, więc tyś sobie naprawdę wyobrażał, że on będzie robił jakieś cuda po śmierci? — zawołał Rakitin z najwyższem zdumieniem. — Więc ty naprawdę wierzysz w takie rzeczy?

— Wierzyłem, wierzę, chcę wierzyć i będę wierzył, mało ci jeszcze, — krzyknął z rozdrażnieniem Alosza.

— Ależ i owszem, jak chcesz, gołąbku. Tfu! Dziś jeszcze trzynastoletni nawet sztubak nie dałby się złapać na takie błazeństwa. Więc tak się na pana Boga obraziłeś? Twojemu świętemu nie przyznali rangi, orderu nie dali, co? Więc to tak? Przeciw Bogu się buntujesz.

Alosza spojrzał na niego przeciągle, zmrużywszy oczy, a w oczach tych błysnęło coś, co nie było jednak gniewem na Rakitina.

— Nie buntuję się przeciw Bogu, tylko świata jego nie uznaję — przemówił Alosza z niedobrych uśmiechem.

— Jakto? nie uznajesz jego świata — zastanowił się Rakitin — cóż to znowu za brednie? — Alosza nic nie odrzekł.

— No! dosyć już tych głupstw, przystąpmy lepiej do rzeczy, powiedz no, jadłeś ty co dzisiaj?

— Nie pamiętam, zdaje się, że jadłem.

— Musisz się przedewszystkiem czemś pokrzepić, aż żal patrzeć jak wyglądasz. Nie spałeś całą noc, a potem wszystkie te historye w klasztorze. Posłuchaj, mam przy sobie kiełbasę, którą kupiłem w mieście na wszelki przypadek. Ale prawda, ty kiełbasy nie jadasz.

— Owszem dawaj.

— Oho! więc to już tak — zupełny, jak widzę, bunt, barykady. No, bracie, tego nie trzeba lekceważyć. Chodź teraz do mnie, pociągniemy wódeczki, tylko na to się pewnie nie zgodzisz. Będę pił.

— No! no! brawo, świetnie. Mniejsza zresztą o kiełbasę i wódkę, ale takie usposobienie nie codzień się trafia. Chodźmy bracie, żywo.

Alosza wstał i podążył za Rakitinem.

— Ot! żeby to mógł widzieć brat twój, Iwan. On podobno jedzie jutro do Moskwy.

— A jedzie — potwierdził obojętnie Alosza.

Wzmianka o Iwanie przywiodła mu nawet na pamięć brata Dymitra i jakąś jego sprawę, nie cierpiącą zwłoki, ale i to wrażenie znikło wkrótce, ustępując miejsca zupełnej obojętności.

Wiesz, ten twój Iwan nazwał mnie kiedyś dziurawym workiem bezdarnego liberalizmu, a i ty dałeś mi parę razy do poznania, że uważasz mnie za człowieka nieuczciwego, obaczymy teraz, jak wygląda inteligencya twego braciszka i twoja uczciwość (słowa te wymówił prawie szeptem). Tfu! A wiesz ty, że doniosłem Chachłakowej o wszystkiem, co się działo w klasztorze, a ona mi natychmiast odpisała (ona ma pasyę do zapisywania i odpisywania). Otóż ni mniej, ni więcej odpisała mi, że się nie spodziewała, aby tak szanowny starzec, jak Zosima, był w stanie tak postąpić. Uważasz "postąpić", tak się wyraziła. Powinienbym teraz pójść do niej. Ale wiesz co! — tu zatrzymał się, nie śmiejąc wypowiedzieć swej myśli. — Wiesz, gdzie najlepiej byłoby nam pójść?

— Wszystko mi jedno, pójdę, gdzie chcesz.

— Więc chodźmy do Gruszy. Cóż? pójdziesz? — pytał niepewnym głosem Rakitin.

— Chodźmy do Gruszy, — odpowiedział Alosza z takim spokojem i gotowością, że aż Rakitin nie mógł tego pojąć i odskoczył zdziwiony.

— No, proszę! — zawołał i, ująwszy mocno pod rękę Aloszę, poszedł z nim szybko gościńcem w stronę miasta.

— Ależ to rada będzie Gruszeńka, bardzo rada, — powtarzał idąc.

Co prawda, nie zależało mu wcale na uradowaniu Gruszeńki. Był to człowiek praktyczny, człowiek seryo, który nie robił nic bez celu. Tu miał cel dwojaki, nacieszyć się upadkiem Aloszy, który z wyżyn świętości zejść miał między grzeszniki, a potem osiągnąć pewną korzyść materyalną, którą mu ten krok mógł przynieść.

* * *

GRUSZA.

Gruszeńka mieszkała w samym środku miasta, w domu pewnej kupcowej, od której wynajmowała niewielkie oficyny. Kupcowa ta była bliską krewną Samsonowa, pewnego przyjaciela i opiekuna Gruszy. Przywiózł on ją tu przed czterema laty z okoli-

cy, jako 18-letnią dziewczynę, nieśmiałą, biedną, wynędzniałą i zahukaną. Ludzie mówili, że stary umieścił umyślnie faworytę swoją w domu krewnej, aby mieć na nią oko. Ale wkrótce nadzór okazał się zbytecznym i zostawiono jej zupełną swobodę. O poprzedniem jej życiu wiedziano bardzo niewiele. Były głuche wieści, że jako siedemnastoletnia dziewczyna uwiedziona została i porzucona przez pewnego oficera, i że ją taką znalazł Samsonow w wielkiej nędzy i poniżeniu. W ciągu tych czterech lat, szczupła, nędzna i zabiedzona sierota przedzierzgnęła się niespodzianie w świeżą, kwitnącą i pewną siebie miejską lwicę, a piękna była w typie czysto rosyjskim.

Opowiadano o niej, że jest to kobieta śmiała, energiczna, dumna, popędliwa, a przytem ostrożna, skąpa i znająca doskonale wartość pieniędzy. Twierdzono przytem, że dostęp do niej jest bardzo trudny, i że dotąd nikt, prócz starego Samsonowa, nie posiadł jej względów, choć nie brakło ubiegających się o nie.

Wszelkie zabiegi kandydatów i wielbicieli nie doprowadzały do niczego, tak, że niejeden wycofać się musiał, nietylko nic nie uzyskawszy, ale jeszcze wyśmiany przez rezolutną kobietkę. Opowiadano także, że w ostatnich czasach Grusza puściła się na finansowe spekulacye, do których okazała się bardzo uzdolnioną, tak, że nawet z tego powodu posądzono ją o pochodzenie żydowskie. Nie dawała wprawdzie na lichwę, ale za to trudniła się skupowaniem weksli po zniżonej cenie, po kopiejce nieraz za rubla, a następnie umiała je odzyskiwać we właściwej wartości. W operacyach tych pomagał jej czynnie Fedor Pawłowicz Karamazow.

Stary Samsonow, legalny opiekun Gruszy, był to człowiek bardzo bezwzględny, tyran własnej rodziny, przytem bogaty i kutwa. Z początku miał on zamiar trzymać także mocno w klubach swoją protegowaną, ale niezadługo bezwiednie sam jej wpływowi uległ.

Gruszeńka potrafiła wkrótce wyemancypować się zupełnie, utrzymując go jednocześnie w przekonaniu, że jest mu bezgranicznie wierną. Stary skąpiec, od którego nikt grosza uzyskać nie mógł, wydzielił jej kapitalik, osiem tysięcy rubli, którym pozwolił jej swobodnie obracać, a nawet sam jej w tych obrotach pomagał. "Z ciebie mądra baba, — mówił, dając jej te pieniądze, — potrafisz tem wojować, ale pamiętaj, że grosza już odemnie nie dostaniesz". — Wogóle stosunek Gruszy z jej kupcem, jak go nazywano, był przez cały czas ich pożycia, zupełnie szczery i przyjacielski.

Gdy Fedor Pawłowicz całkiem dla siebie niespodzianie zakochał się namiętnie w Gruszy i oświadczył się jej ze swą miłością, stary Samsonow śmiał się tylko, nie przywiązując do tego najmniejszej wagi, gdy jednak w ostatnich czasach pojawił się na horyzoncie i Dymitr, stary przestał się śmiać i wystąpił prawie surowo z poważnem napomnieniem. "Jeśli masz wybierać z dwóch, to bierz ojca, a tylko pilnuj, żeby się stary łajdak z tobą ożenił, a przed ślubem zapis ci zrobił — z młodym niema się co zadawać, bo z tego nic nie wyniknie". Takie rady udzielał pupilce swojej stary Samsonow, czując się już chorym, i w istocie śmierć zabrała go w pięć miesięcy po tych wypadkach. Wszyscy w mieście wiedzieli o gorącem współzawodnictwie ojca i syna Karamazowych, ubiegających się o względy Gruszy, nikt jednak nie znał prawdziwej natury tych stosunków, tak dalece ,że nawet obie służące Gruszy zeznawały później w sądzie, że pani ich przyjmowała u siebie Dymitra Karamazowa jedynie ze strachu, bo ten groził jej wciąż, że ją zabije.

W chwili, gdy Rakitin i Alosza, weszli do mieszkania Gruszy, w pokojach jej panował wieczorny półmrok, ona zaś leżała na kanapie, pogrążona w myślach. Ubrana była w czarną, jedwabną suknię, lekko wyciętą, a na ramionach zarzuconą miała białą, koronkową chusteczkę, spiętą na piersiach kosztowną broszą. W stroju tym było jej bardzo do twarzy. Widocznie czekała na kogoś z niecierpliwością, twarz miała bladą, oczy błyszczące, ręce założyła pod głowę, a końcem bucika uderzała nerwowo o poręcz kanapy. Usłyszawszy kroki wchodzących, podniosła się na wpół i spytała zaniepokojona:

— Kto tam?

— To nic, proszę pani, to nie on, inni panowie przyszli — odpowiedziała jej pokojówka, która otworzyła drzwi Aloszy i Rakitinowi.

— Co jej takiego? — mruknął Rakitin, wprowadzając Aloszę do salonu.

Gruszeńka zerwała się za ich wejściem i to z takim pośpiechem, jakby się czegoś

lękała. Grube pasmo kasztanowatych włosów osunęło się jej na lewe ramię, nie zwróciła na to uwagi, patrząc bystro na wchodzących.

— Ach! to ty, Rakitin, — zawołała — przestraszyłeś mnie, wchodząc tak niespodzianie, ale kogóż to przyprowadziłeś, ze sobą? Boże jedyny! patrzcie jaki gość! — krzyknęła, poznawszy Aloszę.

— Każno podać światło — rozkazał Rakitin tonem człowieka, żyjącego na stopie poufałej zażyłości, upoważniającej do gospodarowania tu, jak u siebie.

— Światła! prawda. Fenia, podaj świece. Więc jednak udało ci się go przyprowadzić — mówiła, a obróciwszy się do zwierciadła, zaczęła poprawiać szybko włosy. Zachowywała się jednak jakby z przymusem.

— Cóż to? Czy ci nie dogodziłem? — pytał Rakitin z urazą w głosie.

— Nie to, tylkoś mnie przestraszył.

— Alosza, gołąbku miły, ty się mnie nie lękaj, — mówiła z ponętnym uśmiechem, — nie masz pojęcia, jaka ci jestem rada. Przestraszyłeś mnie Rakitka, bo widzisz, myślałam, że to Dymitr wdarł się tu gwałtem. Wyprowadziłam go dziś w pole, mówiąc, że cały wieczór spędzę w Kuźmy Kuźmicza, mego staruszka, i wymusiłam na nim słowo honoru, że mi wierzyć będzie. Ja bo widzisz, co tydzień chodzę do mego kupca i robię mu rachunki. Nikomu nie wierzy, tylko mnie. Zamykamy się na klucz, on rachuje na szczotach, a ja zapisuję.

Mitra uwierzył, a ja siedzę w domu i czekam pewnej wiadomości. Fenia! — zawołała na pokojówkę, — wybiegnij no za bramę i zobacz, czy niema tam gdzie Dymitra Karamazowa, gotów jeszcze szpiegować mnie i podpatrywać, śmiertelnie się tego boję.

— Nikogo niema, proszę pani, ja co minutę wybiegam i pilnuję, bo się sama na śmierć boję.

— Zamknij drzwi na klucz, i story pozapuszczaj, gdyby, broń Boże, zobaczył przez okno światło, zaraz by tu przyleciał. Wiesz, Alosza! okropnie się boję twego brata, Mitry. — Mówiła to wszystko głosem podniesionym, bardzo wzburzona.

— Skądże to nagle boisz się tak Dymitra; dawniej tego nie bywało, przeciwnie, robołaś z nim, co sama chciałaś, tańczył, jak mu zagrałaś.

— Mówiłam ci już, że czekam pewnej wiadomości, złotej dla mnie wieści, o której Mitra nie powinien wiedzieć. Czuję, że nie uwierzył w to, abym naprawdę siedziała u Kuźmy Kuźmicza, z pewnością czai się gdzieś i wypatruje, co robię. Kazałam mu iść i poleciłam, żeby przyszedł do mnie o północy, tymczasem posiedziałam u mego staruszka jakie dziesięć minut, a potem tylnemi uliczkami wróciłam prędko do domu. Okropnie się bałam, żeby mnie Dymitr nie przydybał w drodze.

— Wybierasz się gdzie, żeś taka wystrojona? — badał Rakitin. — Ciekawie dziś wyglądasz.

— Tyś sam ciekawy, Rakitin. Mówiłam ci już, że czekam pewnej wiadomości, a gdy ją dostanę, wyfrunę natychmiast stąd i tyleście mnie widzieli.

— A gdzież to się tak wybierasz?

— Zanadto jesteś ciekawy, prędko się zestarzejesz.

— Patrzcie! jaka rozpromieniona! a wystroiłaś się, jak na bal.

— Dużo ty wiesz, jak się na balach stroją.

—A może ty wiesz?

— Pewnie, że wiem, widziałam jeden bal, gdy Kuźma Kuźmicz żenił swego syna, zaprosił mnie i posadził na galeryi w wsali balowej, patrzyłam stamtąd, jak tańczą. Ale co ja tu tracę czas na gadanie z Rakitką, kiedy taki gość mnie odwiedził, istny królewicz. Alosza, gołąbku, patrzę na ciebie i oczom własnym nie wierzę. Czyż to być może, żebyś ty mnie odwiedził, żebym cię miała u siebie? Prawdę mówiąc, nigdym się tego nie spodziewała. Chociaż, co prawda, nie bardzo to wszystko w porę, ale i tak rada ci jestem serdecznie. Siadaj, kochanie, na kanapie, ot tu, koło mnie. Miesiączku ty mój złoty. Ech! ty Rakitko, żebyś ty mi był go wczoraj przyprowadził, byłoby zupełnie co innego, ale i tak rada jestem. Może zresztą i lepiej, że to nie wczoraj. — Siadła obok Aloszy na kanapie i patrzyła mu w oczy z zachwytem. Nie udawała teraz bynajmniej, była w istocie rozradowana, oczy jej płonęły, usta śmiały się, ale jakoś dobrodusznie, wesoło. Alosza nawet nie przypuszczał, żeby twarz jej mogła mieć taki serdeczny, szczery wyraz. Wogóle wytworzył sobie o niej zupełnie inne wyobrażenie, a wczorajsze jej zachowanie się u Katarzyny utwierdziło go w tem

mniemaniu. Zdziwiony był też, znajdując dziś w niej zupełnie inną istotę, i mimo cężkiego bólu, który go pochłaniał, oczy jego spoczęły na niej, z przyjemnością. Zachowanie jej zmieniło się również na korzyść. Wczorajsza przesada i obłudna słodycz zniknęła dziś gdzieś bez śladu, nie miała już tych kocich poruszeń, i zmanierowanych gestów, wszystko w niej stało się naraz proste, żywe, naturalne.

— Boże mój, jak się to wszystko dziwnie układa — mówiła dalej — i czemu ja się tak cieczę przyjściem Aloszy? Powiedzcie, bo doprawdy sama niewiem.

Czemu? A ileż to razy prosiłaś, abym go przyprowadził, musiałaś mieć w tem jakiś cel.

— Pewnie, że miałam cel, ale teraz to już przeszło, nie pora na to, ugościć go tylko chcę, nic więcej. Ja teraz jestem lepsza, niż byłam. Siadaj i ty, Rakitka, czego stoisz? A! tyś już sam usiadł, zapomniałam, że Rakitka nigdy o sobie nie zapomni. Patrz na niego, Aloszka, siedzi tam naprzeciw nas, urażony, że ty dziś jesteś na pierwszym planie. Obraził się na mnie Rakitka, a niema o co. Ja dziś dobra jestem. A czego ty siedzisz taki smutny? Aloszka, boisz się mnie, czy co? — pytała, zaglądając mu w oczy z uśmiechem.

— Smutek ma, rangi nie przyznali, o to się dąsa — drwił Rakitin.

— Jakiej rangi?

— A jego starcowi, nie może się z tem pogodzić, że jego starzec śmierdzi.

— Co to znaczy: śmierdzi? Zawsze musisz gadać jakieś głupstwa, obrzydliwości same. Milczałbyś, durniu. Aloszka drogi, pozwolisz mi na kolana? ot tak. — Mówiąc to, wskoczyła migiem na kolana Aloszy, przymilając mu się, jak pieszczona koteczka i obejmując go czule za szyję. — Już ja ciebie rozweselę, mój ty skromny chłopaczku. Powiedz, naprawdę, czy pozwolisz mi posiedzieć u siebie na kolanach? Nie zechcesz, to zeskoczę.

Alosza siedział milczący, bojąc się prawie poruszyć. Słyszał doskonale każde jej słowo, ale nie odpowiadał nic, jakby głos w nim zamarł. Nie było to jednak skutkiem wrażenia, o jakie podejrzywać go mógł taki np. Rakitin, przyglądający mu się złośliwie ze swego miejsca. Wielki ból, który miał w duszy, zagłuszał w nim tak całkowiecie wszelkie inne uczucia, że gdyby mógł zdawać sobie sprawę z tego, co się z nim działo w tej chwili, zrozumiałby, że nigdy nie był lepiej zabezpieczony przeciw wszelkiej pokusie i zgorszeniu. Nie rozumiejąc dobrze swego stanu, uczuwał on jednak pewne zdziwienie, doznając uczucia zupełnie dla siebie nowego, które rodziło się w nim w tej chwili Znikł gdzieś bez śladu ów bezgraniczny strach, jaki budziła w nim dawniej każda kobieta, a przedewszystkiem ta, która siedziała w tej chwili na jego kolanach, obejmując go za szyję. Czując ciepło jej uścisku, nie był ani odrobinę wzruszony, a tylko myślał o niej z pewnego rodzaju życzliwą ciekawością.

— Daj pokój tym głupstwom! — krzyknął ze swego miejsca Rakitin — a lepiej każ podać szampana, jakieś mi to dawno przyrzekła; zakład wygrany.

— A prawda, prawda. Wiesz, Alosza, ja mu za ciecie obiecałam szampana, prócz innych rzeczy. Niech będzie szampan. Fenia, biegaj do piwnicy i przynieś butelkę szampana z tych, które tu Mitra niedawno przysłał. Choć skąpa jestem, ale nie pożałuję tej butelki, oczywiście, nie dla takiego grzyba, jak ty, Rakitka, a dla niego, dla mego królewicza. Chociaż zupełnie co innego mam teraz w głowie, ale i tak ucieszę się trochę z wami, co tam! pohulać się chce.

— Cóż takiego możesz mieć w głowie? o czem ciągle wspominasz? jakiej to czekasz wiadomości? Cóż to, sekret? — pytał ciekawie Rakitin, udając, że nie słyszy docinków, jakich mu nie szczędziła Grusza.

— Ech! żaden sekret, wiesz i ty dobrze, o co chodzi — odpowiedziała Grusza, wciąż przytulona do Aloszy. — Oficer jedzie, wiesz, mój oficer.

— Słyszałem coś o tem, ale czyżby był tak blizko?

— Jest już w Mokroje i stamtąd przyśle mi wkrótce posłańca z listem. Czekam tu właśnie na to.

— Oho! a czemuż to zjechać się chcecie w Mokroje?

— Długoby o tem gadać. Niech ci wystarczy to, co wiesz.

— A cóż na to Mitra? Czy wie?

— Jeszczeby też? Oczywiście, że nie wie, gdyby wiedział, toby mnie zamordował. Chociaż i tak nie boję się go teraz, nie boję. A ty, Rakitka, nie wspominaj mi o Dymitrze, bo mi się koło serca niedobrze robi; nie chcę o nim teraz myśleć, wolę patrzeć na Aloszę. Uśmiechnijże się do mnie, gołąbku, na radość, na szczęście moje.

A co! uśmiechnął się i popatrzył mile. A! wiesz, Alosza, ja myślałam, że zagniewałeś się na mnie za to, co zrobiłam onegdaj, tam, u tej waszej panny. Zła byłam wtedy, jak pies, ot co! Ale i tak nie żałuję, że się tak stało, było to niby źle, a przecie dobrze — mówiła jakby do siebie, zamyślona. — Mitra opowiadał mi potem, że krzyczała za mną: "rózgami ją oćwiczyć". Prawda, że ją ciężko obraziłam. Zaprosiła mnie i myślała, że dam się nabrać, przekupić mnie chciała swoją czekoladą. Dobrze się stało, dobrze! Tylko boję się wciąż, czy ty, Alosza, za to na mnie nie gniewasz?

— A wiesz co? — mówił Rakitin, seryo zdziwiony — ona się ciebie naprawdę boi, takiego kurczaka.

— Dla ciebie on kurczak, bo ty sumienia niemasz, Rakitka, ot co! Ja, co innego, ja, widzisz, kocham go z całej duszy. Czy uwierzysz, Alosza, że cię kocham.

— Ach, ty bezwstydna! Słyszysz, Alosza ona ci się z miłością oświadcza.

— Ao bo go kocham.

— A twój oficer, a wiadomość, na którą czekasz?

— To co innego, a to co innego.

— Czysto babskie rozumowanie.

— Ty mnie nie drażnij, Rakitka! — podchwyciła z ogniem Grusza — ja kocham Aloszę całkiem inaczej. Prawda, że pierwej miałam na myśli zupełnie co innego, bo ja czasem bywam podła, ale teraz patrzę na ciebie, Alosza, jak na własne sumienie. Myślałam ja o tobię nieraz już i dawniej i mówiłam sobie: "ot! jak taki musi mną pogardzać", i wtedy, jakiem wybiegła od tej panny, myślałam to samo. Mitia powie, bo on wie o wszystkiem. On to rozumie. Wierzysz mi, Alosza, że jak patrzę na ciebie, to mię wstyd bierze i brzydzę się sama sobą, i sama nie wiem, kiedy to przyszło.

Weszła Fenia i postawiła na stole tacę z odkorkowaną butelką szampana i trzema kieliszkami.

— Szampana przynieśli — zawołał Rakitin — wypij z nami, Agrafio Aleksandrówno. Już i tak w głowie ci szumi, jak wypijesz, gotowaś puścić się w taniec. Bierz kieliszek, Alosza! pokaż, żeś i ty zuch, a tylko za czyje zdrowie pić będziemy czy na wrota niebieskie?

— Jakto, na wrota niebieskie?

Grusza wzięła kieliszek, Alosza również podniósł go i usta umoczył, ale zaraz postawił znów na tacy.

— Nie! lepiej dajmy temu pokój — uśmiechnął się cicho.

— A przechwalałeś się — zawołał Rakitin.

— Kiedy tak, to i ja pić nie będę, podchwyciła Grusza, nawet mi się nie chce. Pij, Rakitka, sam, całą butelkę. Jak Alosza nie, to i ja.

—Cóż za cielęce czułości — oburzył się Rakitin. — On przynajmniej ma zmartwienie, a ty co? On przeciwko swemu Bogu się zbuntował, kiełbasą się napchał.

— Cóż to znowu?

— Jego starzec umarł dziś, starzec Zosima, ten święty.

— Co? — zawołała Grusza — starzec Zosima umarł! Panie Boże! a ja nic o tem nie wiedziałam. — Przeżegnała się pobożnie. — A ja co robię! Boże mój!

— Mówiąc to, zeskoczyła z kolan Aloszy i usiadła obok niego na kanapie.

Alosza spojrzał na nią zdumiony i jakiś jasny błysk przemknął po jego twarzy.

— Słuchaj, Rakitin! Ty mnie nie drażnij, opowiadając, żem się przeciw Bogu memu zbuntował, nie chcę mieć w sercu gniewu przeciw tobie, więc i ty staraj się być dla mnie dobry.

Utraciłem skarb, jakiegoś ty nigdy nie posiadał, dlatego też nie masz prawa sądzić mnie. Patrz lepiej na nią, widzisz, jak umiała oszczędzić mi bólu. Szedłem tu do niej, przekonany, że spotkam złą duszę, i sam grzechu szukałem, bo zły byłem i nikczemny w owej chwili, ale znalazłem w niej siostrę serdeczną, znalazłem skarb duszy kochającej, umiała mnie ustrzedz od złego. Tak, Agrafio Aleksandrówna, tyś mnie ustrzegła i odrodziła mi duszę.

Usta Aloszy zadrżały i zamilkł, nie mogąc mówić dalej.

— Patrzcie — zaśmiał się Rakitin — znalazł w niej wybawicielkę. Słyszysz?! Ty zbawiłaś go niby, ty, co chciałaś go połknąć.

— Milcz. Rakitin! — krzyknęła gwałtownie Grusza — milczcie obaj. Teraz powiem wszystko. Zamilcz i ty, Alosza, bo mi wstyd słuchać twoich dobrych słów. Ja nie jestem taka, jak myślisz, zła jestem, o zła... Ale ty, Rakitka, nie mów nic, bo to, co mówisz o mnie, to podłe łgarstwo. Prawda, że wpierw miałam zamiar, jak ty mówisz, połknąć go, ale teraz, to zupełnie co innego,

i żebym cię więcej nie słyszała z takiem gadaniem.

— A to się oboję rozczulili, chwila jeszcze, a beczeć zaczną, zbiesili się, czy co? Zupełnie dom waryatów — syknął.

— O, tak! płakać mi się chce — przemówiła Grusza wzruszonym głosem. — Siostrą mnie nazwał i nigdy mu tego nie zapomnę. A widzisz Rakitka, zła jestem i grzeszna, a przecież przydałam się choć raz na coś, jak ta baba, co dała cebulę ubogiemu.

— Jaka baba? co za cebula? zwaryowałaś do reszty!

Rakitin nie mógł wyjść ze zdumienia, patrząc na nich oboje i gniewało go to, że zrozumieć ich nie może. Nie zdawał sobie sprawy, że tak Alosza, jak Grusza przechodzili właśnie w tej chwili wrażenia, do głębi wstrząsające ich duszę, i że był to dla nich moment, decydujący o przyszłem ich życiu, jaki się nie często trafia. Ale o ile Rakitin czuły był i przenikliwy na wszystko, co dotyczyło go osobiście, o tyle okazywał się tępym i gruboskórnym tam, gdzie chodziło o ocenienie uczuć i wrażeń innych ludzi. Pochodziło to zapewne w znacznej części z młodości jego i niedoświadczenia, ale przedewszystkiem z wielkiego egoizmu.

— Widzisz, Alosza — mówiła Grusza, śmiejąc się nerwowo — pochwaliłam się przed Rakitinem, żem raz w życiu zrobiła dobry uczynek. Przed tobą chwalić się nie będę, tylko ci za to bajkę opowiem, śliczną bajkę, którą opowiadała mi kiedyś Matrena, ta sama, co jest teraz u mnie kucharką.

“Była sobie raz jedna zła baba, okropnie zła, i umarła, i nie zostało po niej ani jednego dobrego uczynku. Chwycili ją też dyabli i wrzucili do ognistego jeziora. Tymczasem jej Anioł stróż stoi i myśli sobie, jakby też dobry jej jaki uczynek wydobyć, żeby go Bogu opowiedzieć. Przypomniał sobie wreszcie i mówi Bogu: “Ona, powiada, zerwała kiedyś w ogrodzie cebulę i podała ją ubogiemu”. A pan Bóg na to: “Weź, powiada, tę cebulę i podaj jej, niech się za łodygę uchwyci, to może ją z piekła wyciągniesz, ale gdyby się łodyga urwała, to baba zostanie tam, gdzie jest”. Pobiegł tedy Anioł do baby i podał jej cebulę. “Masz, powiada, babo cebulę, uchwyć sie za łodygę, to cię może z piekła wyciągnę”. Baba chwyciła, a nawet ciągnie ją ostrożnie, pomaleńku ,i już prawie wyciągnął. Ale jak pomiarkowały inne dusze grzeszne co się święci, zaczęły chwytać się za cebulę, może i one wylecą. A baba, jak to zawsze była przeokropnie zła, złościć się zaczęła i fikać nogami. “To moja, powiada, cebula, nie wasza, po co się pchacie”. Zaledwo to powiedziała, gdy ułamała się łodyga i spadła z babą na same dno ognistego jeziora i smarzy się tam po dziś dzień. A Anioł zapłakał tylko i odszedł.”

Otóż widzisz, Aloszka, opowiedziałam ci tę bajkę dlatego, że ja sama jestem tą złą babą, i tyle w życiu zrobiłam dobrego, co ona, gdy cebulę podała. Nie nazywaj mnie więc dobrą i niechwal mnie, bo tylko do wstydu doprowadzisz. Słuchaj, Alosza, tak bardzo chciałam przywabić ciebie, że obiecałam Rakitinowi dwadzieścia pięć rubl, jeśli mi ciebie przyprowadzi. Poczekaj, Rakitka, zaraz ci je dam.

Pobiegła szybkim krokiem do biurka i wyjęła z szuflady dwudziestopięcio rublowy banknot!

— Co za dziecińśtwo — protestował zażenowany Rakitin.

— Weź, Rakitka, weź, wszakże to dług mój. Przyjmiesz, przyjmiesz, sam przecież o to prosiłeś — i rzuciła mu banknot.

— Naturalnie, że przyjmę — zawołał Rakitin, źle ukrywając zmieszanie — wiadomo przecie, głupi, daje, mądry bierze.

— A teraz cicho mi bądź, Rakitka, bo to, co teraz mówić będę, nie dla twoich uszu. Siadaj sobie tam w kątku i milcz. Tyś nie nasz, i nie kochasz nas wcale.

— Za cóżbym miał was kochać? — odparł zgryźliwie Rakitin.

Pieniądze otrzymane od Gruszy wsunął do kieszeni, ale w gruncie był mocno niezadowolony, bo wstyd mu było otrzymywać je w obecności Aloszy. Miał widocznie nadzieję, że Grusza da mu je później, gdy zostaną sami; to też dotąd zachowywał się względem niej o ile mógł najuprzejmiej, udając, że nie rozumie jej pogardliwych przymówek, ale teraz rozgniewał się na dobre.

— Za cóż to mam was kochać? cóżeście mi dobrego zrobili?

— Można kochać ot tak, za nic, tak, jak Alosza.

— Skądże ty wiesz, że cię Alosza tak kocha? czem ci tego dowiódł?

Grusza wystąpiła na środek pokoju, z twarzą pałającą i błyszczącemi oczami i poczęła mówić z wielkiem wzburzeniem,

a w głosie jej czuć już było cokolwiek histeryczne rozdraźnienie.

— Ty nas nie rozumiesz, Rakitka, więc milcz, siedź tam cicho w kącie i nie odzywaj się, ty lokajska duszo. A przedewszystkiem zabraniam ci mówić do mnie: "ty"! skąd u ciebie taka poufałość? A teraz, Alosza, powiem ci całą szczerą prawdę, żebyś wiedział, jaka ja jestem nikczemna. Tobie jednemu powiem, nie dla Rakitina powiem, a dla ciebie. Chciałam cię rzeczywiście znębić, tak dalece, że przekupiłam Rakitina, żeby mi ciebie przyprowadził. Znam ciebie już oddawna; ty, bywało, przejdziesz koło mnie, ani spojrzysz, a ja patrzyłam w ciebie, jak w tęczę, i twarz twoją dawno nosiłam w sercu, jak żywą. "Pogardza mną — myślałam — spojrzeć nawet nie chce." I takie miałam uczucie, którego zrozumieć nie mogłam, bałam się ciebie poprostu, a zła byłam sama na siebie. "Cóż bać się mam takiego dzieciaka, uwiodę go, a potem śmiać się z niego będę, wydrwię", taka myśl prześladowała mnie. Słuchaj, Alosza, wierz czy nie wierz, ale przysięgam, że z tych, którzy tu do mnie przychodzą, nikt odemnie nic nie otrzymał, nikt, prócz tego starego kupca, któremu zaprzedana jestem i związana z nim. Sam dyabeł nas połączył i tak zostało, ale zresztą nikt nie śmiał.

Ale ciebie jednego chciałam mieć, tobie się oddać, ale tylko na śmiech, aby cię później wydrwić. Widzisz, jaka ze mnie podła suka, a tyś mnie siostrą swoją nazwał. Aż oto teraz przyjeżdża ten, który mnie uwiódł i skrzywdził; a wiesz ty, czem był dla mnie ten człowiek? Pięć lat temu, gdy mnie tu przywiózł Kuźma Kuźmicz, uciekam, bywało, od ludzi, kryję się gdzieś w kąt, żeby mnie nikt nie widział, taka biedna, głupia, sama i płaczę, bywało, płaczę, nocami całemi we łzach tonę i myślę: "A gdzież on teraz? co robi? żartuje tam pewnie z drugą, śmieje się ze mnie. O, żeby go tylko zobaczyć gdzie, spotkać, to już ja mu odpłacę" Poduszka, bywało, od łez mokra, a gdy pomyślę o tem wszystkiem, serce mi się rwie, i gniewem go moim żywię. "Odpłacę mu, już ja mu odpłacę" — o tem tylko myślałam. A gdy sobie pomyślę, że i tak mu nic zrobić nie mogę, a on tam pewnie całkiem już o mnie zapomniał, to zrywam się z pościeli i padam na ziemię i płaczę na głos do rana i trzęsę się cała od łkań. Nazajutrz, gdy wstanę, to zła jestem, jak pies, i gdybym mogła, zgubiłabym wszystkich. A potem zaczęłam zbierać pieniądze, chciwa się zrobiłam, bez litości, utyłam, rozumu nabrałam, a przecie nie przestałam myśleć o tem samem, i nikt nie wie, nikt nie domyśla się, że i teraz, gdy noc nastanie, zgrzytam zębami i płaczę całą noc i myślę tylko: "już ja mu odpłacę, już ja odpłacę". Słuchaj, Alosza, czy ty to rozumiesz? Aż oto miesiąc temu przychodzi do mnie list od niego, od tego, który mnie skrzywdził. Owdowiał i jedzie do mnie, bo chce się ze mną zobaczyć. Aż mi dech w piersiach zaparło. "Boże mój! — myślę sobie — przyjdzie tu, a jak tylko gwizdnie na mnie, jak na psa, polecę, jak pies wierny, łasić mu się pokornie." Myślę i sama sobie nie wierzę. Powiedz mi, proszę, Alosza, czy to podłość? czy ja jestem podła? czy polecieć do niego, czy nie? I taki mnie żal bierze, taki gniew, gorszy jeszcze, niż pięć lat temu. Widzisz teraz, jaka jestem niestała, jaka bez ambicyi. I teraz, kiedyście tu weszli z Rakitką, leżałam i myślałam o losie swoim i nikt wiedzieć nie może, nikt nie pozna, co mam w takiej chwili w sercu. Alosza drogi, poproś ty tej panny, aby mi darowała, bo nikt nie wie, co się w sercu mojem dzieje, pojadę może, ale nóż z sobą wezmę.

Wypowiedziawszy to wszystko, Grusza, nie mogąc już zapanować nad sobą, rzuciła się na kanapę, twarzą do poduszki, i płakać zaczęła na głos.

Alosza wstał z miejsca i podszedł do Rakitina.

— Misza — rzekł łagodnie Alosza — ty się nie gniewaj na nią, mimo, że cię obraziła ;widzisz sam, co się z nią teraz dzieje, nie można żądać od niej za wiele, trzeba mieć litość...

Alosza powiedział to z głębi serca, czuł konieczną potrzebę wypowiedzenia się; zwrócił się do Rakitina, ponieważ ten był obecny, ale gdyby go nie było, powiedziałby to samo, choćby sam do siebie. Ale Rakitin spojrzał na niego drwiąco i Alosza urwał natychmiast.

— Napchał się gadaniną swego starca, teraz wszystko na mnie wyładowuje, Boży człowiek, świętoszek — mruknął z nienawiścią Rakitin.

— Nie śmiej się, Rakitin, i nie dotykaj zmarłego; wyższy on był od wszystkich na ziemi i niewolno mówić o nim w ten sposób — zawołał Alosza z siłą. — Nie

miałem wcale zamiaru potępiać cię, bo i czemże ja sam jestem, ostatni z ostatnich. Z czem tu szedłem? duszę chciałem zgubić i nie broniłem się tej myśli. Niech tam! myślałem sobie w małoduszności mojej. A ona po pięciu latach męki potrafiła wszystko zapomnieć, wszystko darować, na pierwsze serdeczne słowo. Krzywdziciel jej powraca i przyzywa ją do siebie, a ona przebacza mu i śpieszy ku niemu z radością. O ileż lepsza jest i wyższa miłością od nas obu.

To dla mnie nauka na całe życie. Chyba nie słyszałeś wszystkiego, co mówiła, inaczej zrozumiałbyś, że trzeba jej przebaczyć, w duszy tej kryć się może prawdziwy skarb.

Alosza umilkł. Rakitin, pomimo gniewu swego, patrzył na niego zdziwiony, nie spodziewał się nigdy, aby Alosza mógł się zdobyć na tyle siły i stanowczości.

— Ot! znalazł się adwokat. Zakochałeś się w niej, czy co? Ciesz się, Agrafio Aleksandrówno, pokonałaś pobożnością, zakochany w tobie po uszy.

Grusza podniosła głowę od poduszki i spojrzała na Aloszę ze słodkim uśmiechem, odwracając ku niemu twarz, wilgotną od łez.

— Zostaw ty go, Alosza, — rzekła — cherubinie ty mój, znalazłeś też komu mówić takie słowa. Michale Osipowiczu, — mówiła dalej zupełnie innym tonem, zwracając się do Rakitina — chciałam cię przed chwilą prosić o przebaczenie za to, że wyłajałam cię, a teraz już nie chcę, przepraszać cię nie będę. Chodź tu, Alosza, siądź przy mnie, — przyzywała go ruchem ręki — powiedz mi ty, czy kocham jeszcze mego uwodziciela, czy go nie kocham. Płakałam tu przed chwilą, wciąż zapytywałam siebie: kocham go? czy nie. Osądź ty, Alosza, jak ty powiesz, tak będzie — przebaczyć mu, czy nie?

— Wszak tyś już przebaczyła — uśmiechnął się Alosza.

— To prawda — potwierdziła Grusza, jakby w zamyśleniu — podłe serce. Ech! — porwała ze stołu pełny kieliszek, wychyliła go duszkiem, potem cisnęła nim o ziemię, aż rozbił się z głośnym brzękiem. Na twarzy jej błysnął niedobry uśmiech.

— A może jescze nie przebaczyłam — krzyknęła groźnie, przymykając oczy i jakby szepcząc coś do siebie. — Może to dopiero serce moje myśli o przebaczeniu. Pasować się jeszcze będę z sercem mojem. Widzisz bo, Alosza, ja pokochałam pięcioletni ból i pięcioletnie łzy moje, pokochałam je słusznie, więcej może, niż jego...

— Nie chciałbym być w jego skórze — zauważył Rakitin.

— I nie będziesz, Rakitka, nie będziesz nigdy. Taki, jak ty, dobry do tego, żeby mi buciki czyścił, na taki tylko użytek mogłabym cię przyjąć; nie dla ciebie taka, jak ja, a może i nie dla niego.

— Nie dla niego? a pocóżeś się tak wystroiła? — drażnił ją szyderczo Rakitin.

— Dlaczego? Chcesz wiedzieć dlaczego? A może jeszcze zrzucę to wszystko z siebie. Chociaż nie, przyjdę do niego, siądę obok, oczaruję go, rozkocham, niech wie, jaka ja dziś jestem, niech widzi. Nie taka byłam dawniej. Porzucił mnie biedną, niezgrabną, płaczliwą dziewczynę. Widzisz, jaka ja teraz jestem, powiem mu, bywaj zdrów, wielmożny panie, nie dostaniesz odemnie nic. “Po brodzie ciekło, w gębie nic nie było”. A potem zobaczymy. Pozrzucam z siebie te stroje, twarz sobie sama zeszpecę, i pójdę jałmużny prosić, albo do służby pójdę, najcięższe roboty robić, a Kuźmie oddam te wszystkie pieniądze, które mi dał, a resztę mu odrobię, jak prosta najmitka? Tak zrobię, tak. Myślicie, że mnie na to nie stać. Zrobię tak, zrobię, a tamtego przepędzę, i widzieć mnie nie będzie.

Ostatnie słowa wymówiła blizka już płaczu, nie wytrzymała też i znów opadła na poduszkę, zakrywając sobie twarz i płacząc głośno.

Rakitin wstał.

— Czas już na nas, — rzekł — mogą nas nie wpuścić do klasztoru.

—Grusza zerwała się z miejsca.

— Jakto! Ty już odchodzisz, Alosza, i zostawiasz mnie znów samą, cóż się ze mną teraz stanie. Rozstroiłeś mnie całą, stargałeś serce, a teraz zostawiasz mnie znów samą na całą noc.

— Nie może przecie u ciebie nocować, a zresztą, jeżeli chcesz koniecznie, to niech zostanie, pójdę i sam — drwił złośliwie Rakitin.

— Milcz ty z twoją złością — krzyknęła rozgniewana Grusza. — Nie usłyszałabym nigdy od ciebie takich słów, jakie on do mnie mówił.

— Cóż on ci takiego nadzwyczajnego powiedział? — pytał Rakitin.

— Nie wiem, nie wiem, nic nie wiem,

a czuję tylko, że on mi całkiem serce przemienił. On pierwszy, on jedyny użalił się nademną. I czemużeś ty, cherubinie, nie przyszedł do mnie wcześniej, całe życie czekałam na takiego, jak ty — mówiąc to, upadła przed nim na kolana. — Wiedziałam, że przyjść musi ktoś, kto mi przebaczy i pokocha mnie nietylko za hańbę moją.

— Cóż ja zrobiłem nadzwyczajnego? — odpowiedział jej z uśmiechem Alosza, pochylając się nad nią i ujmując jej ręce. — Tyle chyba, co owa baba z bajki, co podała cebulę ubogiemu, nic więcej.

Nagle dał się słyszeć w sieni hałas i szum. Słysząc to, Grusza skoczyła na równe nogi, dziwnie zalękniona. W tejże chwili pokojówka Fenia wpadła z krzykiem do salonu:

— Proszę pani! proszę pani! przyjechał posłaniec z listem — wołała wesoło — jest tarantas, zaprzężony w trójkę, właśnie konie wyprzegają, a oto list, proszę pani, oto list!

Mówiąc to, machała tryumfalnie listem, który trzymała w ręku.

Grusza porwała list i pobiegła z nim do światła; list był krótki, kilka wierszy tylko, które przeczytała szybko.

— Woła mnie — szepnęła, blednąc i krzywiąc usta w bolesnym uśmiechu. — Gwizdnął na mnie, a ja lecę, wierna, jak pies.

Stała tak chwilkę, niepewna, aż krew uderzyła jej do twarzy i oblała ją gorącym rumieńcem.

— Jadę! — zawołała — jadę! Przepadajcie pięć lat łez i udręczeń, żegnaj mi, Alosza, los mój rozstrzygnięty, Idźcie stąd, idźcie wszyscy, niech was tu nie widzę. Leci Grusza, leci na nowe życie. A nie wspominajcie mnie tu źle, nawet ty, Rakitka, może na śmierć idę. Uf! czuję się jakby pijana. — Wbiegła szybko do swojej sypialni.

— Teraz już jesteśmy niepotrzebni, zabierajmy się stąd. Mam już powyżej uszu tych babskich awantur — zauważył Rakitin.

Alosza dał się machinalnie wyprowadzić. Na dziedzińcu stał dopiero co wyprzężony tarans, biegano tu i tam z latarniami, prowadzono nową trójkę koni. Zaledwie Alosza i Rakitin, zeszli ze schodów, Grusza otworzyła okno swojej sypialni i zawołała za nimi:

— Słuchaj, Aloszeńka, powiedz bratu swemu, Miti, żeby mnie źle nie wspominał i żalu do mnie nie miał, a także powiedz mu, że Grusza podłemu się oddaje, a jego, szlachetnego, odrzuciła, a dodaj jeszcze, że go Grusza kochała jednego wieczora przez całą długą godzinę, niech o tem pamięta i niech godzinę tę wspomina przez całe życie, tak mu Gruszeńka rozkazuje.

Ostatnie słowa wymówiła ze łzami w głosie, potem zastrzasnęła okno.

— Hm, hm, — mruknął, śmiejąc się, Rakitin — zarzyna poprostu twego brata, Dymitra, i jeszcze każe mu pamiętać o sobie przez całe życie, ładna historya.

Alosza nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał. Szedł obok Rakitina zupełnie machinalnie, jakby w zapomnieniu. Rakitina coś ukłuło, jakby ktoś dotknął palcem świeżej jego rany. Idąc tak obok Aloszy uświadomił sobie, że zetknięcie się jego z Gruszą zakończyło się zupełnie inaczej, niż tego pragnął.

— Ten oficer Gruszy już nie jest wcale oficerem, porzucił wojsko i służy przy komorze celnej, gdzieś na granicy Chin. Stracił, podobno, posadę, a dowiedział się, że ta zbiła sobie kapitalik, więc do niej powraca. Niema w tem żadnego cudu.

Alosza wciąż milczał, jakby nie słysząc.

— A! — mówił dalej Rakitin, coraz bardziej gniewny — cóż ty dziś grzesznicę nawróciłeś. Błądzącą naprowadziłeś na drogę cnoty, siedem biesów z niej wygnałeś. Otóż i cud się spełnił, oczekiwany cud, możesz być zadowolony.

— Przestań, Rakitin — odezwał się wreszcie Alosza.

— Wzgardę mi okazujesz za te dwadzieścia pięć rubli, "za złoto brata zaprzedałem." Ale słuchaj, tyś nie Chrystus, a ja nie Judasz.

— Zapomniałem już o tem, tyś sam przypomniał.

Ale Rakitin rozgniewał się już na dobre

— Niech was wszystkich dyabli wezmą — wszystkich razem i każdego zosobna. I po co ja się u dyabła z tobą wodzę. I znać cię już nie chcę od dziś. Ruszaj sobie sam swoją drogą.

I zawrócił nagle w inną ulicę, zostawiając Aloszę samego wśród ciemności. Alosza zboczył za miasto i drogą przez pola udał się do klasztoru.

* * *

UKOJENIE.

Późno już było, gdy Alosza powrócił do klasztoru i furtyan wpuścił go bocznemi drzwiczkami. Ostrożnie i cicho wszedł on do celi starca, gdzie ojciec Paisy czytał ewangelię nad trumną zmarłego. Ojciec słyszał, że Alosza wchodzi, nie podniósł jednak oczu; Alosza zwrócił się w kąt, obok drzwi, i ukląkł na modlitwę. Smutek miał jeszcze w sercu, ale jednocześnie było mu jakoś słodko i dziwnie. Miał znów przed sobą trumnę, zawierającą tak drogie mu zwłoki starca, i, padłszy na kolana, modlił się do nich, jak do świętości. Przez otwarte okno płynęło do celi świeże i chłodne powietrze wieczorne, przyciszony głos ojca Paisego, czytającego ewangelię, brzmiał dziwnie kojąco, kołysząc mu duszę, jakby do snu. Powoli przestał się modlić i słuchał bezwiednie ustępów czytanej ewangielii, które wpadały mu w ucho, budząc w nim szereg myśli i wyobrażeń następujących po sobie wpół świadomie jakby i sennie. "I oto Jezus i uczniowie Jego znaleźli się na godach w Kanie Galilejskiej", czytał ojciec Paisy.

— Gody! cóż to gody — snuło się po głowie Aloszy — ona także ma teraz gody, przebaczy i będzie szczęśliwa, chociaż mówiła gorzkie słowa. Gorzkie słowa potrzebne są bolejącym duszom, ujmują ciężaru ludziom, bez nich byłoby im jeszcze gorzej. A Rakitin zeszedł z gościńca i poszedł na kręte ścieżki, zawsze tak z nim będzie, dopóki pamiętać będzie każdą urazę. "I rzekła Jezusowi Matka Jego — oto im wina zabrakło".

Ach, to Kana Galilejska, pierwszy cud Syna Bożego — pomyślał Alosza. — Więc nie ból, a radość ludzką uświęcił Bóg pierwszym cudem swoim. Kto kocha ludzi, kocha też i radość ich, mawiał ojciec Zosima. "Bez radości żyć niepodobna, mówił brat Mitia. "Nie przyszła jeszcze godzina moja, odrzekł Jezus Matce". Musiały to być gody jakichś biednych, bardzo biednych l u d z i, w i d o c z n i e byli biedni, skoro im wina zabrakło. I poznała Boskie serce Matka Jezusa, że Syn Jej zeszedł na ziemię nietylko dla wielkich poświęceń, ale, że dostępne mu będą i proste, ciche, dziecięce radości ludzkie. I stopniowo zapadał Alosza w jakiś stan pół senny, pół świadomy.

Cóż to, skąd rozjaśniła się tak żałobna cela, zalewają ją promienie światła, czy i tu gody? Widocznie. Oto siedzą biesiadnicy, a wśród nich i on, niema już trumny, on siedzi wraz z innymi, aż oto dostrzegł mnie, wstał i idzie ku mnie. I zbliżył się ku niemu on sam, ojciec Zosima, szczupły, wątły starzec, z twarzą pokrytą drobnymi zmarszczkami, śmiejąc się cicho i radośnie, więc i on na godach, i on wezwany na biesiadę?

— Tak, tak, wezwany i ugoszczony — rozległ się nad nim znany głos, — a gdzieżeś ty się ukrywał, synu miły, że cię dopiero teraz ujrzałem, chodź i ty do nas.

Starzec ujął za rękę Aloszę i ten podniósł się z klęczek.

— Weselimy się — mówił starzec — pijemy wino nowe, wiecznego wesela, patrz ilu tu biesiadników.

I czemuż dziwisz się, widząc mnie tutaj. Nie wiele dobrego zrobiłem na ziemi, co najwyżej podałem cebulę, jak ta baba z bajki, ale i za to dozwolono mi biesiadnikiem być na godach tych. A i ty, mój cichy, słodki chłopcze, uczyniłeś dziś to samo, cebulę podałeś biednej istocie, to już początek, wstąpiłeś na drogę swoją idź że po niej i dalej, zaczynaj dzieło twoje.

Coś płonęło w sercu Aloszy i wypełniało duszę jego, aż do bólu. Wyciągnął ręce przed siebie krzyknął na głos i zbudził się.

I znowu trumna i cichy poważny głos czytający ewangelię. Nie słuchał już tego czytania Alosza, ale zbliżył się pewnymi krokami do trumny, ocierając się przytem plecami o ojca Paisego. Mnich podniósł na chwilę wzrok od książki, zatrzymując go na twarzy Aloszy, ale natychmiast spuścił oczy, rozumiejąc, że w duszy młodzieńca odbywać się musi w tej chwili ważna jakaś przemiana. Alosza patrzył jakie pół minuty na trumnę i leżące w niej zimne zwłoki starca, który w martwych rękach trzymał święty obrazek, a na głowie miał mniszą czapkę, uwieńczoną ośmiokątnym krzyżem.

Przed chwilą jeszcze słyszał głos jego i głos ten brzmiał mu dotąd w uszach, wsłuchiwał się weń jeszcze i czekał nowych dźwięków, nagle jednak odwrócił się szybko i wyszedł z celi. Nie zatrzymał się na ganku, ale zeszedł na dół, dusza jego przepełniona zachwytem pożądała swobody i przestrzeni. Nad głową jego rozesłała się nieskończona dal usianego gwiazdami widno-

kręgu, na którym zarysował się od zenitu do poziomu, na wpół jeszcze widzialny szlak mlecznej drogi. Cicha, świeża i nieskończenie spokojna noc oblekła ziemię, dokoła kwitły w klombach rozkoszne kwiaty jesienne. Cisza niebieska zlewać się zdawała, z sennym spokojem ziemi. Alosza stał długi czas i wsłuchiwał się w tę ciszę, aż nagle, sam nie wiedząc czemu, padł twarzą na ziemię i całować ją począł, płacząc i obejmował ją uściskiem, przysięgając, że kochać ją będzie na zawsze i po wieki wieków. Chciało mu się przebaczyć i darować wszystko wszystkim i za wszystkich i modlić się chciał za wszystkich, nie za siebie nie! za niego modlić się będą drudzy. Jednocześnie czuł, że w duszy jego rodzi się i kształtuje coś pewnego, mocnego i niewzruszonego, jak ten strop niebieski, co się nad głową jego wznosił. Coś, jakby nowa jakaś idea, królować zaczynała w jego umyśle. Padł był na ziemię, jako niedojrzałe chłopię, a powstał, z niej, jako mąż uzbrojony i zabezpieczony na wszystkie zmiany losu. Uświadomił to sobie i czuł natychmiast: "Ktoś nawiedził duszę moją w owej godzinie", opowiadał później sam, wspominając ową pamiętną dla siebie noc. W trzy dni potem opuścił mury klasztorne, zgodnie z wolą swego starca, który polecił mu żyć w świecie.

II.

KŁOPOTY DYMITRA.

Tymczasem Dymitr Fedorowicz, któremu Gruszeńka przesyłała ostatnie pożegnanie, nie domyślał się wcale zmiany, zaszłej w jej życiu. Był on wtedy zupełnie pochłonięty własnymi kłopotami, a niechcąc widzieć się, ani stykać w tej chwili z żadnym ze swoich braci, zatarł wszelki ślad po sobie, zniknął nawet na parę dni z miasta, bez względu na podejrzliwość swą względem Gruszy, której zwykle nie zostawiał, ani jednej godziny bez czujnego nad nią nadzoru. Słyszał on wprawdzie, podobnie, jak inni, o oficerze owym, który był pierwszym uwodzicielem Gruszy, nie wiedział przecież nic o jego powrocie i nie przeczuwał w nim wcale niebezpiecznego współzawodnika. Dręczyła go przedewszystkiem rywalizacya z ojcem, bo wierzył święcie, że Fedor Karamazow gotów jest ofiarować Gruszy legalne małżeństwo, nie domyślając się, że stary rozpustnik zdobył jej względy za cenę trzech tysięcy rubli. Zauważył wprawdzie w ostatnich czasach widoczną zmianę w usposobieniu Gruszy, widział w niej niezwykłe wzruszenie, niepewność i jakby wahanie poprzedzające jakąś decyzyę. Był jednak pewien, że się tak pomiędzy nim, a ojcem waha, i że lada chwila wypowie stanowcze słowo. Dusza zamierała w nim ze szczęścia na myśl, że przyjdzie chwila, gdy Grusza powie mu: "bierz mnie, jam twoja na wieki", a on porwie ją natychmiast i uwiezie na skraj świata. Ożeni się z nią potajemnie i żyć będą z sobą, nie znając nikogo i przez nikogo nieznani, a wtedy, o wtedy, rozpocznie się nowe życie. Życie dobre, szlachetne, cnotliwe, nie marzył o innem. Zdawało mu się, jak wielu w jego położeniu, że byle zmienić miejsce, ludzi, otoczenie, wszystko obróci się na lepsze, wszystko odnowi się w nim, odświeży i odrodzi. Tak się stać miało, gdyby Grusza dała mu przychylną odpowiedź. Co będzie jednak, jeśli mu powie: "Idź precz, nie chcę żyć z tobą, zostanę żoną Fedora Pawłowicza". Co wtedy? co? O tem Dymitr nie chciał wcale myśleć i nie przygotował planów na taki wypadek. Śledził tylko Gruszę, szpiegował ją w nieustannem podnieceniu, ale nie myślał o żadnym gwałtownym czynie, nie przygotował się do zbrodni, wolał wierzyć, że los rozstrzygnie na jego korzyść i da mu szczęście, o którem marzył. Inna jeszcze obawa dręczyła go niepomiernie. Jeżeli Grusza zgodzi się na życie z nim i odda mu miłość swoją, skąd weźmie środków na wywiezienie jej stąd i rozpoczęcie tego nowego, cnotliwego życia? Nie miał już najmniejszej nadziei, aby mógł otrzymać coś od ojca, a na inne dochody liczyć nie mógł. Wiedział, że Grusza ma własny kapitał, ale wszystko wzdrygało się w nim na myśl, aby mieli oboje korzystać z tych pieniędzy.

Już i tak dręczyły go te trzy tysiące, które był winien Katarzynie. "Podły już jestem w oczach jednej, teraz i druga zacznie mną pogardzać", myślał z rozpaczą. Czuł, że przedewszystkiem powinien oddać dług Katarzynie Iwanownie, i że wpierw niema prawa myśleć o rozpoczęciu nowego

życia z Gruszą, ale skąd wziąć te pieniądze? i kto mu je da? Zaczął snuć na ten temat najdziwaczniejsze plany, bo, jak wszyscy ludzie bez myśli i marnotrawni, którzy całe życie tracili tylko grosz, nie miał najmniejszego wyobrażeńa o sposobie, w jaki się go zdobywa, a marzył chwilami, że upragnione trzy tysiące zlecą mu same jak z nieba.

W końcu powziął oryginalny zamiar zwrócenia się do opiekuna Gruszy, kupca Samsonowa. Znał go zaledwie z widzenia i nigdy z nim nie rozmawiał, ale, niewiadomo skąd, wyobrażał sobie, że stary z przyjemnością przyjmie projekt ustalenia losu Gruszeńki, przez zapewnienie jej małżeństwa z człowiekiem, należącym do wyższych sfer towarzyskich. Nie przeczuwał, że Samsonow uważał Fedora Pawłowicza za małżonka o wiele odpowiedniejszego dla swojej pupilki.

Pomysł udania się do Samsonowa, jakkolwiek dziwny z pozoru, wypływał z wielkiej prostoduszności Dymitra, który mimo swoją gwałtowność i awanturniczość, był w gruncie naiwny i łatwowierny. Wiedział on doskonale o stosunku starego kupca do Gruszy, ale mimo to, wyobraził sobie, że w ostatnich czasach stosunek ten stał się czysto ojcowski, i że Kuźma Kuźmicz chory i już blizki grobu, żałuje zapewne serdecznie za dawne przewinienia i zechce naprawić je, ile możności przyczyniając się do ustalenia losu Gruszy.

Po rozmowie z Aloszą na gościńcu, Dymitr spędził noc bezsenną, rozmyślając nad sposobami zdobycia tak niezbędnych dla siebie trzech tysięcy, nazajutrz zaś, ubrawszy się starannie, udał się około godziny dziesiątej przed południem do mieszkania Kuźmy Kuźmicza. Dom starego kupca stary był, obszerny i posępny. Na dole mieszkali dwaj jego synowie z żonami i dziećmi, na pierwszem piętrze pomocnicy handlowi, zajęci w jego sklepie, całe zaś drugie piętro zajmował sam dla siebie, a zył samotnie z jedną tylko starą służącą i chłopcem do usług, który przesiadywał stale w przedpokoju. Gdy oznajmiono mu wizytę Dymitra Karamazowa, nie chciał go przyjąć i dopiero na kilkakrotne usilne nalegania, dał mu wstęp do siebie i wyszedł nawet na jego spotkanie do wielkiej sali. Sala ta była urządzona i umeblowana z czysto kupieckim komfortem, ze stropów sufitu zwieszały się trzy wielkie kryształowe świeczniki na ścianach wisiały duże zwierciadła, pod ścianami zaś stały całe szeregi mahoniowych krzeseł i foteli obitych jaskrawo.

Mitia zerwał się na widok wchodzącego i podszedł do niego szybko, swoim żołnierskim, miarowym krokiem. Samsonow wskazał z powagą krzesło swojemu gościowi, sam zaś siadł naprzeciw niego na kanapie.

— Czego pan odemnie potrzebuje? — spytał bez wstępu, zwracając się do Dymitra.

Dymitr mówić począł prędko, nerwowo z żywą gestykulacyą, widać było że chwyta się tego środka, jak ostatniej deski ratunku, a jeśli się nie uda, to chyba w wodę skoczyć , nic innego nie pozostanie.

Zrozumiał to odrazu Samsonow, mimo że nie dał tego wcale poznać po sobie, a twarz jego pozostała spokojna, chłodna i niezmienna.

— Szanowny pan musiał zapewne słyszeć o zatargach moich z ojcem moim, Fedorem Pawłowiczem, który pozbawić mnie chce należnego mi spadku po matce, — mówił Dymitr. — Gotów jestem wszystkie pretensye moje odstąpić za trzytysiące rubli. Muszę koniecznie ubić dziś jeszcze całą sprawę. Zwróciłem się do pana, jako do największego kapitalisty w naszem mieście, w nadziei, że mi pan nie odmówi. Przytem czuję się w obowiązku oświadczyć panu, że żywię zupełnie poważne i pełne czci uczucia dla osoby, którą pan otacza prawdziwie ojcowską opieką, to jest dla Agrafii Aleksandrówny. Nie przyszedłbym tu nigdy, gdyby nie to, że wiem, iż ten stosunek jest czysto ojcowski. Dla niej to, głównie dla niej, potrzebuję tych pieniędzy, a po wyrazie szanownej pańskiej twarzy widzę, żeś pan zrozumiał i pojął, o co mi chodzi. Gdybyś pan, broń Boże, nie zrozumiał, nie pozostaje mi nic innego, jak życie sobie odebrać.

Kuźma Kuźmicz wytrzymał go chwilkę w niepewności, potem zaś odrzekł tonem, nie znoszącym zaprzeczenia.

— Pan daruje, ale ja się takimi interesami nie trudnię.

Mitia uczuł, że się nogi pod nim uginają.

— Jakże to? — wyjąkał, — nie? w takim razie zgubiony jestem.

— Pan daruje.

Mitia stał nieporuszony, patrząc gdzieś w przestrzeń, na twarzy starego kupca błysnęło coś, jakby przez głowę jego przemknęła jakaś nowa myśl.

— Ja sam w takie interesa wchodzić nie mogę — mówił z dwuznacznym uśmiechem Samsonow, — bo widzi pan, zaraz sądy, adwokaci i cała bieda, ale jest tu pewien człowiek, któryby może nie odmówił.

— Boże mój! Któż to taki? od śmierci mnie uratujecie, wskazując mi go.

— On nie tutejszy, targuje teraz las w Czeremaszni i dawno się zna z pańskim ojcem, niech pan do niego pojedzie i pokaże mu swoje dokumenta.

— Genialna myśl, — zawołał zachwycony Dymitr — on targuje Czeremasznę, a ja mu pokażę wszystkie prawa własności, bo Czeremaszna jest właściwie moja. Jakże wam wdzięczny jestem za radę waszą, Kuźmo Kuźmiczu.

— Niema za co, — odparł drwiąco kupiec.

— Ależ! pan nie wie, pan nie wie, co to dla mnie znaczy, przeczucie miałem, zwracając się do pana. Dziękuję panu stokrotnie. — Mówiąc to, chwycił rękę Samsonowa, chcąc go serdecznie uściskać, ale tyle złośliwości błysnęło w tej chwili w oczach starca, że nawet Dymitr spostrzegł to i cofnął sie mimowoli. Po chwili jednak skarcił sam siebie za niepotrzebną podejrzeliwość i mówił dalej z zapałem.

— To dla niej, to dla niej wszystko, Kuźmo Kuźmiczu, wdzięczny wam będe do śmierci za dobrą radę, — i, nie czekając dłużej, wybiegł z pokoju, w zamiarze odszukania kupca Ligajewa, którego mu wskazał Samsonow.

Faktem jest, że Kuźma Kuźmicz, od dawna był nieprzychylnie usposobiony dla kapitana, jak nazywano Dymitra w domu Gruszy. Teraz zaś łatwowierność jego i głupie przypuszczenie, że on Samsonow, dopomagać mu będzie w połączeniu się z Gruszą, doprowadziły go do wściekłości. Postanowił więc zadrwić z tego hołysza, który ośmielał się zwracać do niego z niedorzecznymi swemi planami i to w imię miłości swej dla Gruszy, podał mu więc projekt jeszcze bardziej niedorzeczny i nieprawdopodobny, który Dymitr przyjął za drobą monetę, ku wielkiej uciesze swego przeciwnika. Po odejściu jego stary Samsonow, blady z gniewu, polecił surowo służbie, aby nikt nie ważył się wpuszczać do domu tego zwaryowanego oberwańca, potem uczuł się niedobrze i posłał po lekarza.

Dymitr, powróciwszy do domu, przypomniał sobie, że musi nająć konie pocztowe, a niema na to ani grosza. Pochwycił więc stary srebrny zegarek i zaniósł go do żyda zegarmistrza ,który, ku wielkiemu jego zdziwieniu, dał mu za niego aż sześć rubli.

— Nie spodziewałem się nigdy tyle dostać, — zawołał uszczęśliwiony.

Wogóle wszystko wprawiało go teraz w nerwowy jakiś zachwyt. Powróciwszy do domu, pożyczył jeszcze trzy ruble od swoich gospodarzy byli to ludzie biedni i prości, ale lubili bardzo Dymitra i oddali mu chętne ostatni swój grosz.

Dymitr postępował z nimi zawsze bardzo przyjacielsko, wtajemniczał ich we wszystkie swoje projekta i traktował zupełnie na równej stopie. Byli też bardzo do niego przywiązani i nie zdradziliby go za nic w świecie.

Kiedy po wielu trudnościach dostał się wreszcie Dymitr do chatki leśnika, w której, podług wskazówek Samsonowa, znajdował się ów kupiec, okazało się, że był to zupełnie kto inny. Nazywał się zupełnie inaczej, a co, najważniejsze, pijany był, jak bela i spał na ławie leśnika tak twardym snem, że dobudzić się go nie było można. Dymitr rzucił się na niego, szarpał, ciągnął, podnosił głowę, to nogi, bił go prawie, ale na nic to się nie zdało. Pijak mamrotał pół sennie jakieś niejasne przekleństwa, ale nie powracał do przytomności, W końcu Dymitr, rad nie rad, zdecydował się spędzić noc w chacie leśnika, usiadł więc na ławie i przy mdławym blasku łojowej świeczki śledził z niecierpliwością stan śpiącego.

Nagle przyszło na myśl Dymitrowi, że tam może Grusza zdecydowała się już na krok stanowczy i kto wię, może w tej chwili właśnie wchodzi do domu jego ojca. Na takie przypuszczenie skoczył na równe nogi, wzburzony do głębi.

— To dopiero byłaby tragedya — mruknął, zgrzytając zębami i podszedł machinalnie do śpiącego na ławie chłopa, patrząc uważnie na jego twarz.

Była to twarz chuda i długa, zakończona rudą bródką i okolona gęsto ryżymi kudłami. Dymitr czuł w tej chwili nienawiść do śpiącego pijaka, wszystko go w nim drażniło, a zwłaszcza darować mu nie mógł tych ryżych kudłów. Począł go znowu budzić również bezskutecznie, jak pierwej, aż

wreszcie uczuł sam silny ból głowy i zmęczony usiadł na ławce.

— Boże, jak to wszystko głupio wypadło — zawołał z rozpaczą, — dać chyba pokój wszystkiemu i wracać do domu. Chociaż nie! Po to przecie przyjechałem, żeby się z nim rozmówić, poczekam więc do rana.

Usiadł znów na ławce i usnął sam, nie wiedząc kiedy, po upływie jednak dwóch godzin zbudził go nieznośny już zupełnie ból głowy. Domyślił się wtedy, że w izbie, opalanej drzewem panuje silny czad, i że on sam o mały włos na śmierć się nie zaczadził. Pijany zaś chłop leżał spokojnie i chrapał na całą izbę. Dymitr pobiegł szybko na drugą stronę, gdzie spał stróż leśny, rozbudził go i zawiadomił o tem, że w izbie panuje czad, co tenże przyjął z najzupełniejszym spokojem.

— Ależ ten kupiec umrze, może już umarł, — wołał przerażony Mitia.

Stróż zupełnie się tem nie wzruszył, otworzył wprawdzie drzwiczki od pieca i okno, lecz potem, nie troszcząc się o los śpiącego, powrócił do siebie i sam zasnął. Dymitr więc, rad nie rad, zajął się ratowaniem pijaka. Przywlókł z sieni ceber z wodą, zmoczył sobie głowę, a następnie zaaplikował okłady na głowę mniemanego kupca, w końcu, ulegając znużeniu, ułożył się na ławie i z wolna zapadł w głęboki sen.

Gdy zbudził się, był już jasny dzień. Kupiec siedział przy stole, na którym stał dymiący samowar i zdążył już opróżnić pół flaszki wódki. Mitia skoczył ku niemu, chcąc wreszcie przedstawić swój interes, ale domyślił się wnet, że przeklęty pijak jest znowu zupełnie nieprzytomny i nie zdolny do prowadzenia jakichkolwiek rokowań. Chłop wytrzeszczył na niego oczy, patrząc przed siebie z najzupełniejszą obojętnością, a nawet, jak się zdawało Miti z obrażającem lekceważeniem Mimo wszystko, spróbował porozumieć się z nim.

— Słuchajcie! — zaczął. — Jestem Dymitr Karamazow, najstarszy syn starego Fedora Pawłowicza, którego las targujecie.

— Kła... miesz... — wybełkotał pijak, dzieląc sylaby i wymawiając każdą z nich ze szczególnym naciskiem.

— Jakto kłamię? — zawołał Dymitr. — znacie przecie Fedora Pawłowicza.

— Kła... miesz... ty, bo ja żadnego twojego Fedora... nie znam.

— Przecież las u niego targujecie, las, upamiętajcież się, na miłość Boga.

— Kłamiesz... ty, — powtarzał chłop z pijackim uporem, na który nie było żadnego środka.

— Ależ słuchajcie, przecież to nie żarty, mam ważny interes, bardzo dla was dogodny.

— Oho! znam ja ciebie, tyś ten farbiarz z miasta, wiem.

— Ależ nie, mylicie się, jestem Dymitr Karamazow, właściciel Czeremaszni.

— Aha! pewnie! — mruczał pijak, gładząc ryżą brodę — ładna sztuka, podkupić mnie chcecie, a gdzież to takie prawo, żeby na to pozwalało, podły ty jesteś, ot! co!

Dymitr był w rozpaczy, czuł, że się mu w oczach ciemno robi, stracił napróżno tyle czasu, teraz dopiero rozjaśniło mu się w głowie, że Samsonow zażartował sobie z niego i umyślnie go tu przysłał. A cóż ona tymczasem? Co Grusza? Boże wielki. Pijak spoglądał na niego z bezrozumnym uśmiechem. Kiedyindziej byłby go niezawodnie Mitia nabił, ale w tej chwili czuł się tak wyczerpany, że nic podobnego na myśl mu nie przyszło. Po chwili namysłu wziął paltot i kapelusz i wyszedł z izby. Dokoła, jak okiem sięgnąć, był tylko las i las, drogi nie znał, o dostaniu koni, i mowy być nie mogło. Szedł więc na los szczęścia, aż trafił na jakąś ścieżkę, która go wreszcie doprowadziła do gościńca. Wpadł w tak wielką apatyę, że nic nie czuł, nawet urazy, a tylko myśl o konieczności dostania trzech tysięcy tkwiła niewzruszenie w jego mózgu.

Nareszcie spotkał przejeżdżający wózek polowy, na który się wprosił i dojechał tak do stacyi kolejowej, skąd dostał się już natychmiast do miasta. Przybywszy, pobiegł, oczywiście do Gruszy. Grusza oczekiwała właśnie wtedy listu od swego oficera, pragnęła też za wszelką cenę pozbyć się Dymitra. Wymyśliła też natychmiast konieczność wizyty u Samsonowwa, kazała się Dymitrowi odprowadzić i poleciła mu przyjść po siebie o godzinie dwunastej, w nocy. Mitia zgodził się na to chętnie, rad był nawet, że Grusza przesiedzi ten wieczór u Kuźmy Kuźmicza, nie pójdzie w takim razie do jego ojca: "Byleby tylko nie łgała, — pomyślał, — zdawało mu się jednak, że tym razem nie łże. Wogóle w stosunku do ukochanej kobiety

miał on tego rodzaju usposobienie, że wierzył jej ślepo, póki ją widział, z chwilą zaś, gdy się z nią rozstawał, najczarniejsze podejrzenia opadały go natychmiast. Przychodziły mu na myśl najokropniejsze posądzenia, że go zdradza, że go wogóle niegdy nie kochała, i t. p. Z chwilą zaś, gdy spojrzał na jej drogą, uśmiechniętą twarz, na te oczy ukochane, patrzące na niego tak życzliwie, pozbywał się wszelkich złych myśli, odradzał się i odżywał w jej obecności i z radosnym zawstydzeniem potępiał sam siebie za krzywdzącą nieufność. Odprowadziwszy Gruszę, pobiegł do swego mieszkania, a wtedy podejrzliwość wróciła natychmiast. A jeżeli Grusza, korzystając z wczorajszej jego nieobecności, odwiedziała jego ojca? Trzeba iść do Smerdiakowa, aby go wybadać. Zazdrość opanowała go na nowo.

Zazdrość, cóż to jest? "Otello nie był zazdrosny, przeciwnie, to człowiek ufający", jak słusznie mówi Puszkin, to jedno spostrzeżenie daje chlubne świadectwo o głębokiej znajomości serca ludzkiego naszego wielkiego poety. Otello stracił poprostu normalny światopogląd, a duszę miał zmęczoną tem, że mu zniszczono jego ideał. Ale nie był to człowiek nieufny, nie umiał szpiegować, śledzić, podpatrywać. Musiano go tego uczyć, naprowadzać na takie pomysły. Musiano rozniecać w nim podejrzenia najwymyślniejszymi środkami. Inaczej zazdrośnik. Niepodobna wyobrazić sobie, do jakiego stopnia poniżenia i upadku dojść może najszlachetniejsze serce, jeśli raz zostanie wydane na łup prawdziwej zazdrości.

Można mieć umysł podniosły, czysty, serce zdolne do niepospolitej i bezinteresownej miłości, a jednocześnie podpatrywać z ukrycia, podsłuchiwać pod edrzwiami, przekupywać najpodlejszych ludzi i korzystać z ich doniesień, słowem, zanurzać, się w bagnie najwstrętniejszego szpiegostwa. Otello nie byłby nigdy w stanie pogodzić się z faktem zdrady, nie chodziło o przebaczenie, on nie mógłby się ze zdradą pogodzić. Nie tak zazdrośnik, nie podobna nawet wyobrazić sobie, z jakiemi rzeczami zżyć się on może i pogodzić, jakie gotów jest przebaczyć. Zazdrośnik przebacza prędko, i kobiety doskonale o tem wiedzą. Zazdrośnik może darować bardzo szybko (rozumie się, po okropnej scenie, wyprawionej z początku), najoczywistszą zdradę, uściski i pocałunki, na które sam patrzył. Przebaczy wszystko, byle mógł uwierzyć, że to napewno ostatni raz, że rywal jego zniknie natychmiast z horyzontu, pojedzie np. na kraj świata, albo, że on sam będzie mógł uwieźć ukochaną kobietę, gdzieś tak daleko, gdzie jej żaden rywal nie doścignie. Oczywiście, że zgoda ta i przebaczenie trwać mogą tylko czas pewien, bo gdyby nawet straszny rywal znikł rzeczywiście, to zazdrośnik znajdzie bardzo prędko drugiego, z którym powtórzą się te same objawy. Zdawałoby się, że miłość, której tak potrzeba strzedz i podpatrywać, nie wiele jest warta, ale prawdziwy zazdrośnik nigdy tego nie pojmuje, mimo, że, jak wyżej wspomniałem, zazdrość spotkać można często wśród ludzi niepospolitych sercem i umysłem. Ich niepospolite umysły rozumieją doskonale, jak wstrętna i upadlająca jest rola szpiega, a mimo to, nie czują wcale swego poniżenia, w chwili, gdy np. ukryci w jakiejś komorze, podsłuchują i podpatrują z natężeniem, co robi ta, która jest przedmiotem ich miłości i nie doznają wcale z tego powodu wyrzutów sumienia.

Takim typowym zazdrośnikiem był Dymitr Karamazow. Dopóki bawił przy Gruszy, dopóki ją widział, zazdrość znikała, gdzieś bez śladu, potępiał i gardził sam sobą za poniżającą go podejrzliwość i pełen był najszlachetniejszej ufności. To jednak znaczyło tylko, że miłość jego opierała się nie wyłącznie na zmysłowym pociągu, rozbudowanym np. pewnem przegięciem ciała, jak sam opowiadał Aloszy, ale miała szlachetniejszy podkład. Z chwilą za to, gdy się rozstawał z Gruszą, Mitia zaczynał ją natychmiast posądzać o najniższą i najpodlejszą zdradę, podpatrywał ją, szpiegował i nie doznawał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. I teraz zazdrość zakipiała w nim z całą potęgą. Zdawało mu się, że musi śpieszyć jaknajprędzej do niej i nakłonić ją do wyjazdu, ale przedewszystkiem należało zdobyć owe upragnione trzy tysiące, a właśnie po drodze z Czeremaszni, ułożył sobie nowy plan, w którym pokładał ostatnią nadzieję. Plan ten polegał na tem, aby zwrócić się do pani Chachłaków i prosić ją o pożyczkę na prawach Dymitra do części Czeremaszni. Zdawało mu się, że ta mu nie odmówi, a nadzieje jego opierały się na dość oryginalnem rozumowaniu, które go jednak nie zawiodło. Wiedział doskonale,

że pani Chachłakow nie znosiła go poprostu, a to głównie dlatego, że był narzeczonym Katarzyny Iwanówny. Pani Chachłakow ułożyła sobie, że Katia zostać musi żoną Iwana Fedorowicza, który jest prześlicznie wychowany i ma takie dystyngowane maniery, manier zaś Dymitra nienawidziła z całego serca. Dymitr wiedział o tem i żartował sobie nieraz z nerwowej damy, twierdząc, że przedewszystkiem ona sama jest bardzo źle ułożona, ale teraz wyrozumował sobie, że skoro pani Chachłakow tak pragnie za wszelką cenę rozerwać zaręczyny jego z Katią, to powinna mu dopomódz do oddalenia się stąd na zawsze.

Wchodząc do mieszkania pani Cachłakow, uczuł jednak Dymitr nurtujący go niepokój. A co będzie, jeśli i ta odmówi? Czuł z matematyczną pewnością, że to już ostatnia nadzieja, a jeśli i ta zawiedzie, nie pozostanie mu nic innego, jak chyba ograbić kogoś. Z bijącem sercem zadzwonił do mieszkania, otworzono mu natychmiast, a pani Chachłakow kazała go prosić do salonu. Mitia pomyślał, że musiano tu chyba czekać na niego i przeczucie go nie zawiodło..

— Czekałam właśnie na pana — zawołała pani Chachłakow, wybiegając na jego spotkanie — i sama niewiem dlaczego, od rana już byłam pewna, że pan napewno dziś przyjdzie.

— To istotnie zadziwiające — zauważył Mitia siadając. — Ale muszę szanowną panią uprzedzić, że sprowadza mnie tu interes niesłychanej dla mnie wagi, chodzi mi właśnie...

— Wiem, wiem, to przecież ogromnie ważna sprawa, nie mógł pan przecież nie przyjść po tem, co zaszło z Katarzyną, z matematyczną pewnością wiedziałam, że pan przyjść musi, bo, co się tyczy cudów, ale, ale, czy słyszałeś pan o starcu Zosimie?

— Pani szanowna, sprowadza mię tu, niestety, realna strona życia, chciałbym właśnie opowiedzieć pani, że...

— Ach, tak, masz pan słuszność, realna strona życia, ja jestem teraz wyłącznie za realizmem nauczona doświadczeniem. Ale czy słyszał pan o śmierci starca Zosimy?

— Jakto! czy umarł? Pierwszy raz słyszę, — zauważył Mitia, i momentalnie pomyślał, jak śmierć tę przyjmie brat jego, Alosza.

—Dziś w nocy umarł i wyobraź pan sobie....

— Pani! — przerwał Mitia, — wyobrażam sobie tylko jedno, że znajduję się teraz w położeniu tak rozpaczliwem, że jeśli mnie pani z niego nie wybawi, to wszystko klapnie, a ja pierwszy klapnę. Przepraszam panią za trywialne wyrażenie, ale jestem jak w gorączce — i...

— Ach wiem, wiem, że pan musisz być w gorączce, nie może być inaczej, wiem z góry wszystko, co mi pan może powiedzieć, och, bo ja jestem doskonałym znawcą serc ludzkich, a i lekarz ze mnie doświadczony, lekarz dusz, oczywiście. Los pański interesuje mnie bardzo, śledzę go oddawna.

— Jeżeli z pani doświadczony lekarz, to ze mnie nie mniej doświadczony pacyent — zauważył Mitia, który usiłował napróżno przerwać potok wymowy, płynący z ust pani Chachłakow, — jeżeli zaś szanowna pani tak śledzi los mój, to może zechce pani losowi temu dopomódz i właśnie dla tego, jeżeli pan pozwoli, spróbuję przedstawić pani, że....

— Ależ tak, co się tyczy pomocy, nie jednemu ja już dopomogłam. Niewiem, czy zna pan męża kuzynki mojej, Bołbasowej, byli już bliscy ruiny, ale jakiem mu doradziła, aby się zajął racyonalną hodowlą koni, natychmiast stanął na nogi. Czy zna się pan na hodowli koni, Dymitrze Fedorowiczu?

— Nie mam o tem najmniejszego wyobrażenia, łaskawa pani — zawołał Mitia z nerwowym rozdraźnieniem. — Na miłość Boską, niech mi pani pozwoli przedstawić sobie w dwóch słowach cały mój plan, jestem w rozpaczliwem położeniu. — Mitia obawiając się, żeby zacna dama znowu nie puściła wodzy swojej wymowie, usiłował ją przekrzyczeć. — Przyszedłem tu prosić panią o pożyczenie mi trzech tysięcy rubli, a jako zastaw, ofiaruję moje papiery, które chcę...

— O tem potem — zawołała pani Chachłakow żywo gestykulując — ja już z góry wiem wszystko, co mi pan powie. Panu potrzeba trzech tysięcy, ale ja mogę dać panu więcej, o wiele więcej, ja zbawić pana mogę, Dymitrze Fedorowiczu, tylko musi mnie pan posłuchać.

Mitia zerwał się.

— Pani najlepsza — wołał — jaka pani dobra! Ratuje mnie pani od śmierci,

od samobójczej śmierci... wdzięczność moja...

— Ja dam panu więcej, stokroć więcej, niż trzy tysiące — wołała pani Chachłakow, patrząc z promiennym uśmiechem na Dymitra.

— Stokroć więcej? Tyle nie trzeba. Zupełnie mi wystarczy trzy tysiące, które ja, z mojej strony, zabezpieczę pani na dobrach moich; zaraz pani wytłómaczę cały plan mój, który...

— Poczekaj pan, Dymitrze Fedorowiczu, co powiedziałam, spełnię — rzekła pani Chachłakow, z wspaniałomyślną łaskawością osoby, świadczącej dobrodziejstwa. — Co pan myśli o kopalniach złota, Dymitrze Fedorowiczu?

— O złotych kopalniach? Łaskawa pani, nigdy w życiu o nich nie myślałem.

— Ale za to ja pomyślałam o nich za pana, i obmyśliłam wszystko. Śledzę już pana cały miesiąc z tą myślą; nawet chód pański nadaje się do tego przedsięwzięcia. Ile razy też przechodził pan tędy, mówiłam sobie: to energiczny człowiek, któryby wybornie się mógł zająć kopaniem złota i znalazłby go z pewnością bardzo wiele.

— Jakto? po chodzie moim pani to poznała uśmiechnął się Mitia.

— A jakże! po chodzie. Czyżby pan przeczył temu, że po ruchach można poznać doskonale charakter człowieka? Nauki przyrodnicze potwierdzają to. O! ja od dziś jestem realistką, Dymitrze Fedorowiczu. Od czasu tej historyi z ojcem Zosimą, historyi, która mnie tyle kosztowała, stałam się skończoną realistką i chcę zająć się praktyczną realną działalnością. Uleczona jestem na zawsze z idealizmu. "Dość już tego", jak mówi Turgeniew.

— O tak, pani, ale cóż będzie z tymi trzema tysiącami, które mi pani łaskawie raczyła obiecać.

— Nie miną one pana — przerwała mu z decyzyą pani Chachłakow — zupełnie, jakby je pan miał w kieszeni, i to nie trzy tysiące, a trzy miliony. Ja wskażę panu pańskie przeznaczenie. Pejedziesz pan do kopalni złota zarobisz pan tam miliony, a powróciwszy tutaj, staniesz się pan działaczem społecznym, podniesiesz nas wszystkich, podźwigniesz. Czy mamy już wszystko zostawić żydom? Będziesz pan zakładał rozmaite przedsiębiorstwa, staniesz się ojcem ubogich, którzy błogosławić będą twoje imię. Ministeryum finansów zwróci niezawodnie uwagę na pana i staniesz się pan jego prawą ręką. Ogromnie mnie boli upadek naszego przemysłu, Dymitrze Fedorowiczu. Mało kto zna mnie z tej strony.

— Najłaskawsza pani! — usiłował jej przerwać Dymitr. — Bardzo być może, że zastosuję się do jej rady i udam się do tej kopalni złota. Przyjdę tu nawet kiedyś umyślnie, aby tę sprawę z panią omówić. Ale teraz trzy tysiące, te trzy tysiące, które mi pani tak wielkodusznie przyrzekła, gdyby można je dostać dziś jeszcze, bo, widzi pani, ja niemam czasu.

— Dość tego, Dymitrze Fedorowiczu — przerwała mu stanowczo dama—wpierw daj mi kategoryczną odpowiedź. Jedziesz pan, czy nie jedziesz do tych kopalni?

— Jadę, pani, z pewnością pojadę, ale przedtem, ale teraz...

— Poczekaj pan chwilę — krzyknęła z radością pani Chachłakow i zwróciła się do biurka, które stało nieopodal. Zaczęła wysuwać i przeglądać niezliczone szufladki, a Dymitr pewien był, że wręczy mu za chwilę tak pożądane pieniądze.

— Trzy tysiące — myślał, zamierając prawie z radości — i to tak na poczekaniu, bez żadnych wekslów i podpisów. Prawdziwie szlachetna kobieta i postępuje sobie ze mną całkiem po dżentelmeńsku, gdyby tylko mniej trochę mówiła.

— Mam wreszcie! — zawołała tryumfalnie pani Chachłakow, zwracając się do Miti. — Patrz pan, czego szukałam.

To mówiąc, wydobyła z jednej z szufladek srebrny medalik, zawieszony na sznureczku.

— To z Kijowa — objaśniała go dalej — święcony w cerkwi Świętej Barbary, wielkiej męczennicy. Pozwól pan, że sama włożę panu na szyję ten medalik, wraz z błogosławieństwem na nową drogę życia.

— I w samej rzeczy, włożyła Dymitrowi na szyję medalik, starając się zasunąć mu go za kołnierzyk, w czem jej zresztą dopomagał sam Mitia. W końcu połączonym ich usiłowaniom udało się umieścić medalik na właściwem miejscu, tj. pod koszulą na piersiach.

— Teraz możesz już pan śmiało jechać — zaopiniowała gorliwa dama, siadając.

— Ależ pani, tak jestem wzruszony, że nie umiem nawet wyrazić pani mojej wdzięczności. Ale gdyby pani wiedziała, jak mi bardzo pilno, każda chwila jest droga. Ta kwota, którą mi pani przyrzekła w wielko-

duszności swojej czy mogę na nią liczyć? Pani musiała słyszeć, że kocham pewną osobę, mimo, że zaręczony jestem z Katią, chciałem powiedzieć z Katarzyną Iwanówną. Otóż dla niej, dla niej to właśnie potrzebne mi owe trzy tysiące, bo Katię dawno już zdradziłem. Wiem, że postępowanie moje z Katią było nieludzkie i niehonorowe, może więc pani sama pogardza mną za to, że pokochałem tę kobietę, ale ja bez niej żyć nie mogę. I dlatego właśnie te trzy tysiące...

— Przestań pan, Dymitrze Fedorowiczu — przerwała pani Chachłakow — a przedewszystkiem zostaw pan w spokoju wszystkie kobiety. Kobiety panu teraz zupełnie niepotrzebne jedynym pańskim celem powinny być kopalnie złota. Jedź pan tam, a skoro powrócisz sławny i bogaty, znajdziesz bez trudności towarzyszkę życia. Będzie to kobieta nowoczesna, postępowa, bez uprzedzeń i przesądów, bo przez ten czas rozwiązana zostanie niezawodnie kwestya emancypacyi kobiet i ukaże się nowy typ kobiety.

—Ależ, pani łaskawa, chodzi tu zupełnie o co innego — wołał Dymitr, składając błagalnie ręce.

— Ale właśnie, że o to, wyłącznie o to — przeczyła z zapałem pani Chachłakow. — Pan sam pragniesz tego i pożądasz, mimo, że sobie tego jeszcze nie uświadomiłeś. Ja się ogromnie interesuje kwestyą kobiecą, Dymitrze Fedorowiczu; przyszłe stanowisko kobiety i udział jej w życiu politycznem, to mój ideał. Mam przecież córkę, Dymitrze Fedorowiczu. Mało mnie pan dotąd znasz z tej strony. Pisałam nawet w tej sprawie do naszego znakomitego pisarza Szczedryna, króciutki list, dwa wiersze, bezimienny:

“Przyjm pan gorący uścisk i pocałunek serdeczny za wszystko, coś napisał o kobiecie współczesnej; wytrwaj pan dalej na tej drodze”. Podpisałam się poprostu: “Matka”. Wahałam się chwilę, czy nie lepiej byłoby podpisać: “Współczesna Matka”,, ale potem zdecydowałam się zostawić poprostu: “Matka”; więcej w tem prostoty i piękna, nieprawdaż, Dymitrze Fedorowiczu? Ale co panu?

— Pani! — zerwał się gwałtownie Dymitr składając ręce w bezsilnej rozpaczy. — Doprawdy, na płacz mi się zbiera i jeśli pani zwlekać jeszcze będzie z tem, co mi pani tam wielkodusznie...

— Powiem! Zapłacz pan, Dymitrze Fedorowiczu, łzy nie uwłaczają mężczyźnie, przeciwnie, łzy takie zaszczyt panu przynoszą, świadcząc o przepięknych uczuciach pańskiej duszy. Obmyjesz łzami własną przeszłość, a potem radować się będziesz wraz ze mną. Nieprawdaż?

— Ależ pani — jęknął Mitia — po raz ostatni błagam i pytam, czy będę mógł otrzymać dziś jeszcze tę obiecaną kwotę? A jeżeli nie, to kiedy mam się zgłosić po pieniądze?

— Po jakie pieniądze, Dymitrze Fedorowiczu?

— Po te trzy tysiące, które mi pani tak wspaniałomyślnie przyrzekła.

— Trzy tysiące rubli? O nie! nie mam tych pieniędzy u siebie — odparła pani Chachłakow ze spokojnem zdziwieniem.

Mitia osłabł.

— Jakto nie? Przed chwilą przecie pani wyraziła się o nich, że już je mam jakby w kieszeni.

— Ach nie, to pan mnie źle zrozumiał, Dymitrze Fedorowiczu, zupełnie mnie pan nie zrozumiał. Ja miałam na myśli to, co pan zarobi w kopalniach złota. Prawda, przypominam sobie teraz, że obiecałam panu więcej, o wiele więcej, niż trzy tysiące, ale to zawsze mając jedynie na myśli kopalnie złota.

— A pieniądze, a trzy tysiące! — krzyknął z rozpaczą Dymitr.

— Jeśli pan liczył na jakieś pieniądze, to się pan zupełnie omylił. Ja wcale teraz nie mam pieniędzy, Sama zmuszoną byłam pożyczyć u Mjansowa siedemset rubli; nie, nie, a choćbym nawet i miała, tobym ich panu nie dała, Dymitrze Fedorowiczu. Po pierwsze, nie pożyczam nikomu pieniędzy, bo to najlepszy sposób zrobienia sobie nieprzyjaciół; po drugie panu specyalnie nie dałabym ani grosza, a to dla własnego pana dobra, bo gotówby się pan wyrzec wyprawy do kopalni złota, które są jedynym dla pana zbawieniem.

— A do wszystkich dyabłów! — ryknął Mitia, waląc z całej siły pięścią w stół.

— Jezus, Marya! — wrzasnęła pani Chachłakow i ze strachu cofnęła się w kąt pokoju.

Mitia splunął jeszcze na pożegnanie i wybiegł pędem, zostawiając osłupiałą jego zachowaniem się damę. Biegł szybko, jak obłąkany, przez puste i ciemne ulice miasta, bijąc się raz po raz w piersi. To

bicie się w piersi miało u niego pewne specyalne znaczene, określające pewien stan jego ducha. Znaczyło to, że nosi w piersi poniżenie, tak strasznie dławiące jego duszę, że skoro tylko nie uda mu się dostać trzech tysięcy dla zwrócenia ich Katarzynie, nie pozostanie mu nic innego, jak życie sobie odebrać. Pomimo ogromnej swojej siły fizycznej, Mitia był w tej chwili tak wyczerpany nerwowo, że po wyjściu swem od pani Chachłakow zalał się łzami, jak małe dziecko, i szedł tak, a raczej biegł, wycierając oczy pięściami. W tym stanie natknął się nagle na coś całem ciałem; to coś wydało z siebie piskliwy jęk i Dymitr przekonał się, że ma przed sobą starą służącą, którą widział u Samsonowa.

— Matko Boska, o małoście mnie nie rozgnietli, gdzie tak gonicie, jak niespełna rozumu — jęknęła stara.

— Jakto? to wy? — pytał Mitia, oprzytomniawszy nagle.

— A skądże to znacie mnie, gołąbeczku? — przemówiła staruszka, zupełnie już innym tonem — nie mogę was poznać w tych ciamnościach.

— Wy służycie u Kuźmy Kuźmicza? — pytał Dymitr.

— A jakże, gołąbeczku, od niego idę, bo mi kazał list zanieść do Prochorycza.

— Powiedzcież matko, czy jest tam u was jeszcze Agrafia Aleksandrówna? Sam ją do waszego pana odprowadziłem.

— Była, była, ale już poszła. Opowiadała coś Kuźmie Kuźmiczowi, że się strasznie śmiali, a potem odeszła.

— Jakto? odeszła! — krzyknął Mitia — a gdzież poszła?

— Do domu pewnie; posiedziała może dziesięć minut i poszła sobie.

— Kłamiesz, jędzo przeklęta! — wrzasnął Dymitr, wstrząsając gwałtownie staruchą, która krzyknęła przerażona, ale zanim zdołała się opamiętać, tamten już znikł bez śladu. Skierował się, oczywiście, do mieszkania Gruszy i wpadł prosto do kuchni, gdzie Fenia wraz z matką swą Matreną przyjęła go z nieopisanym przestrachem. Upłynęło już cztery godziny od wyjazdu Gruszy do Mokroje; obie sługi bały się bardzo wizyty kapitana, to też na jego widok Fenia krzyknęła nieswoim głosem.

— Krzyczysz! — ryknął Dymitr — gdzież więc ona? mów! — A potem nagle zwalił się jej do nóg, wołając:

— Na rany Chrystusa, mów, gdzie ona?

— Panie miły! gołąbku! Dymitrze Fedorowiczu, nie wiem, nic nie wiem i nic powiedzieć nie mogę. Samiście przecie z nią wyszli, od tego czasu nie wróciła.

— Kłamiesz! — krzyknął Mitia — juz po strachu twoim widzę, że kłamiesz; gdzie ona?

Rzucił się do wyjścia. Fenia i jej matka rade były, że się na tem skończyło; śledziły za nim z niepokojem. Uderzyło ich to, że Dymitr wybiegając, pochwycił ze stołu mosiężny tłuczek, znajdujący się w moździerzu i schował go do kieszeni.

— Zabije kogoś, jak Bóg miły — szepnęła zalękniona Fenia.

* * *

MORDERSTWO.

Dymitr pewien był, że Grusza znajduje się u Fedora Pawłowicza, tam też i sam pośpieszył. Zdawało mu się, że uchwycił nić całej intrygi, a w głowie szumiało mu, jak wichrem. Posądzał wszystkich o zaprzedanie się ojcu, nawet Smerdiakow wydał mu się niepewnym, to też nie poszedł do przyjaciółki jego, Maryi Kondratiewny, której ogród służył mu zwykle jako punkt obserwacyjny. Obrał zupełnie inną drogę i, okrążywszy ogród ojca, dostał się do niego od tyłu, przełażąc przez płot, w miejscu, gdzie, według opowiadań, przedostała się tam niegdyś Elżbieta Smerdiaszka, matka Smerdiakowa. — Z wysokości parkanu Dymitr dojrzał oświecone okna domu. — "W sypialni światło, rzekł sam do siebie, zatem ona tam jest" — skoczył do ogrodu i ukrył się tam, zachowując się jaknajciszej, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. — Spokój i milczenie panowały wszędzie, a noc była tak cicha, że nie słychać było najlżejszego nawet szmeru wiatru.

"Byle kto nie usłyszał mego skoku" — pomyślał, — "zdaje się nie". — Postał minutę, a potem zaczął cicho stąpać po trawie, przekradając się w stronę okna. — Pod samym oknem rosły gęste krzaki bzu i kaliny, tam postanowił się ukryć, co mu się wkrótce udało. Przyczaił się więc, wstrzymując dech w piersiach. "Trzeba przeczekać" — pomyślał. — "Jeżeli słyszeli

kroki moje i nadsłuchują, trzeba ich przekonać, że się im ten szelest przesłyszał. Byle tylko nie kaszlnąć, ani kichnąć".

Przeczekał dwie minuty, ale serce biło mu tak mocno, że się prawie dusił. — "Nie wytrzymam dłużej" pomyślał, trzeba spojrzeć przez okno.

Stał w tej chwili za krzakiem, którego przednia część oświecona była blaskiem światła, płynącym z okna sypialni Fedora Pawłowicza. — "Jaka czerwona kalina" — pomyślał niewiadomo skąd Mitia. — Cicho, ostrożnie, podkradł się ku oknu, a wspiąwszy się na palcach, spojrzał do wnętrza. — Widać było, jak na dłoni, całą sypialnię Był to niewielki pokój, przedzielony w poprzek parawanem, który Fedor Pawłowicz mianował z pompą "chińskim". "Oto chiński parawan, — pomyślał sobie, — a za nim Grusza". Przyglądać się zaczął uważnie postaci ojca. Stary rozpustnik ubrany był w jedwabny pasiaty szlafrok, którego Mitia nieznał, przepasany był jedwabnym sznurem zakończonym kutasami, poły szlafroka odchylone na piersiach, odkrywały cienką koszulę śnieżnej białości, ze złotymi spinkami, na głowie miał Fedor Pawłowicz czerwoną chusteczkę, tę samą, w której go widział Alosza. "Wystrojony" — pomyślał Dymitr. — Stary stał blisko okna widocznie zamyślony, i jakby nasłuchiwał. Nie usłyszawszy nic, zbliżył się do stołu i nalał sobie kieliszek koniaku, który wychylił. Odetchnął potem całą piersią, a zbliżywszy się ze światłem do zwierciadła, począł się sobie uważnie przypatrywać. Prawą ręką poprawiał czerwoną przepaskę na czole, — i dotykał guzów i siniaków, które mu jeszcze nie znikły.

"Widocznie jest sam" — pomyślał Mitia. — W tej chwili Fedor Pawłowicz odszedł od zwierciadła i zbliżył się do okna, zaglądając w ogród. Mitia w jednej chwili odskoczył w tył. "Więc może ona ukryta za parawanem, może już śpi" ukłuło go w serce. Fedor Pawłowicz odstąpił od okna i siadł przy stole z twarzą widocznie zafrasowaną, oparłszy głowę na ręku. "Niema jej, gdyby była, wyglądałby inaczej" — pomyślał Dymitr. — Jakaś głupia, bezmyślna złość zakipiała w nim na przypuszczenie, że Gruszy niema. Umysł miał w tej chwili dziwnie jasny, i zdawał sobie sprawę ze wszystkiego z najściślejszą dokładnością. Ale troska z powodu niewiadomości i niepewności rosła w nim z każdą chwilą.

"Jest ona tu wreszcie? czy niema jej?" — pomyślał ze wściekłością w duszy i powziąwszy zaraz stanowcze postanowienie, stuknął w okno podług umówionego ze Smerdiakowem sposobu, najpierw dwa razy cicho, a potem trzy razy głośno, stuk, stuk, Tak właśnie miała dawać znać o sobie Grusza, w razie, gdyby przybyła. Słysząc te uderzenia stary Karamazow wzdrygnął się cały potem skoczył ku oknu, otworzył je szybko i rozpatrywać się począł w ciemności.

Mitia, oczywiście, usunął się w cień.

— Gruszeńka! — wołał drżącym pół szeptem Fedor Pawłowicz! — czy to ty?

Odezwijże się, mamoż ty moja! Aniele drogi. — Był strasznie wzruszony i zadyszany.

— Więc niema jej. — uspokoił się Mitia.

— Gdzieżeś ty! — wołał stary, wychylając głowę na prawo to na lewo. — Chodźże tu, chodź, prezent ci śliczny przygotowałem, zaraz pokażę.

— Mówi o trzech tysiącach, — pomyślał Dymitr.

— Gdzież jesteś? gdzie! rybko ty moja, może pod drzwiami, czekaj, zaraz otworzę. — I stary posunął się ku drzwiom. Mitia nie spuszczał go z oka. Nienawistny profil starego rysował się wyraźnie na tle oświeconej szyby. Obrosły jego podbródek, haczykowaty nos, rozchylone lubieżnym uśmiechem usta. Mitia uczuł w sercu dziki gniew, połączony z nieopisanym wstrętem. Było to uczucie, o którem mówił Aloszy, w chwili gdy ten robił mu wyrzuty mówiąc: "Jak możesz nawet mówić, że byłbyś w stanie ojca zabić?"

— Nie wiem — odparł wówczas Mitia, może go zabiję, a może nie zabiję, ocję się wstrętu mego i nienawiści dla jego twarzy i jego bezwstydnego uśmiechu.

Tych samych uczuć doświadczał i teraz.

— Bóg sam czuwał nademną, — opowiadał później Mitia, przypominając tę chwilę.

W tym samym czasie ocknął się ze snu stary Grigor i mimo, że czuł silny ból krzyża, ubrał się i wyszedł na ganek oficyny. Być może, czujne sumienie starego sługi poczęło mu robić wyrzuty, że zostawia dom bez nadzoru w tak niebezpiecznych czasach.

Smerdiakow leżał w przyległej izdebce, wśród powtarzających się ataków epileptycznych. Grigor obaczył odrazu, że okno od sypialni Fedora Pawłowicza oświecone jest i otwarte. Cóż to może znaczyć? nie lato przecie — mruknął sam do siebie. W tej chwili, w odległości jakich czterdziestu kroków, przebiegła w poprzek ogrodu jakaś postać ludzka. Widząc to Grigor pośpieszył w głąb ogrodu, a znając widocznie miejscowość lepiej, niż zbieg, przeciął mu drogę, w chwili właśnie, gdy ten usiłował przeleźć przez parkan. Uciekającym był, oczywiście, Dymitr, który stał już na parkanie, Grigor wspiął się i obiema rękami uchwycił go za nogę, krzycząc na cały głos:

— Ojcobójca!

— W tejże chwili jednak padł na ziemię, jak gromem rażony. Mitia zeskoczył z parkanu i pochylił się nadleżącym. W ręku trzymał jeszcze mosiężny tłuczek, który machinalnie rzucił na trawę. Tłuczek potoczył się dalej na środek ścieżki. Mitia dotknął ręką głowy starca, była ona cała we krwi. Chciał koniecznie dowiedzieć się, czy rozwalił mu czerep na śmierć, czy też ogłuszył go tylko, ale krew ciepła oblała obficie drżące jego palce, nie pozwalając mu rozpoznać głębokości rany. Wyjął machinalnie chustkę z kieszeni i począł nią bezmyślnie obcierać zranioną głowę Grigora, oczywiście, bez żadnego skutku, chustka tylko przemokła na wskroś krwawą posoką. "Boże wielki i czemuż to właśnie on, — szepnął Dymitr, jakby się ocknąwszy. — No, teraz już wszystko jedno, upadł stary i leży". Wdrapał się szybko na parkan, skoczył na ulicę i począł szybko biedz. Niektórzy zapóźnieni przechodnie, opowiadali później, że widzieli człowieka przebiegającego niezmiernie szybko ulice miasta.

Dymitr pobiegł, oczywiście, do mieszkania Gruszy. Pokojówka jej, Fenia, zaklęła na wszystko stróża, aby nie wpuszczał do bramy kapitana. Ale zdarzyło się tak, że stróż wezwany został do gospodyni, a miejsce jego zastępował bratanek, który lubił Dymitra za jego sute napiwki i wpuścił go natychmiast.

Chłopak, wiedząc, że Dymitr był częstym gościem Gruszy, nie omieszkał uwiadomić go, o jej wyjeździe.

— Gdzież wyjechała? — pytał Dymitr.

— Do Mokroje.

— A poco?

— Tego nie mogę wiedzieć. Podobno do jakiegoś oficera, który ją tam zaprosił i konie po nią przysłał.

Dymitr, nieprzytomny, rzucił się do kuchni, szukając Feni. Dziewczyna szykowała się właśnie do snu wraz z babką; obie kobiety, polegając na przyrzeczeniu stróża, że nie wpuści kapitana, zaniedbały zaryglować drzwi Dymitr rzucił się przeto ku Feni i chwycił ją za gardło.

— Gadaj mi zaraz! gdzie ona? z kim pojechała do Mokroje! — wrzasnął jak obłąny.

Ach powiem gołąbku, powiem wszystko, nic nie zataję, — jęczała zdławionym głosem Fenia, — na wpół żywa ze strachu. — Pojechała tam do oficera.

— Do jakiego oficera? — ryknął Mitia.

— Do tego swojego, pierwszego, co to był pięć lat temu, a potem ją rzucił, a teraz znów powrócił.

Dymitr puścił gardło Feni i stał teraz przed nią, blady i bez słowa. Po oczach tylko jego można było poznać, że do najdrobniejszego szczegółu i wszystkiego się domyślił. Biedna Fenia, zmartwiała ze strachu, siedziała w postawie obronnej, z wyciągniętemi przed siebie rękami, wpatrując się rozszerzonemi źrenicami w twarz swego prześladowcy. Dymitr stał przed nią nieruchomy, mając twarz i ręce uwalane we krwi, widocznie biegnąc szybko, ocierał pot z czoła zakrwawioną chustką, i stąd zostały mu czerwone plamy na czole i prawym policzku. Usposobienie jego zmieniło się nagle z gruntu, zapomniał o poprzedniem swojem uniesieniu, które przerazić tak musiało obie kobiety i w martwem jakiemś osłupieniu opadł na krzesło obok Feni. Siedział tak pogrążony w myślach i wszystko rozjaśniło mu się nagle, jak na dłoni. Wszakże wiedział doskonale o tym oficerze, sama Grusza opowiadała mu o nim kilka razy, czytał nawet jego list, przysłany przed miesiącem. Jakim sposobem mógł tak gruntownie o tem zapomnieć. Więc cały miesiąc prowadziła się ta cała sprawa, przy nim i w jego oczach prawie, a on niczego się nie domyślał i nie zwrócił na to uwagi. Dlaczego? dlaczego tak zupełnie nie troszczył się o tego oficera, on, tak namiętnie zazdrosny o każdego innego.

Naraz zwrócił się do Feni i cicho, łagodnie, jak dziecko potulne, zadawać jej zaczął pytania. Ona też odpowiadała mu z dziwną gotowością, jak gdyby chcąc przed

stawić mu całą prawdę, o ile można najwierniej. Nie chciała przytem wcale robić mu przykrości, owszem, przeciwnie, w głosie jej czuć było jakby chęć złagodzenia tego, co mogło mu być niemiłe. Opowiedziała więc o wizycie Aloszy i Rakitina, i przyjazd trójki z Mokroje i jak pani jej, odjeżdżając, poleciła jeszcze przez okno powiedzieć Dymitrowi, że kochała go przez całą godzinę, i że nakazuje mu, aby o tem nie zapominał. W końcu Fenia ośmieliła się już tak dalece, że nie wahała się spytać wprost:

— Dlaczego pan ma ręce zakrwawione, Dymitrze Fedorowiczu, całe we krwi.

— We krwi, — odpowiedział machinalnie Dymitr, patrząc na swoje ręce, natychmiast jednak zapomniał znów i o rękach swoich i o pytaniu Feni i pogrążył się powtórnie w martwą zadumę. Upłynęło może jakich dwadzieścia minut od chwili, gdy wpadł tutaj, a siedział jeszcze zamyślony, tylko z twarzy jego znikł wyraz pierwotnego osłupienia, a miejsce jego zajęła jakby nowa jakaś myśl, lub raczej silne jakieś postanowienia.

Wstał nagle z miejsca i uśmiechnął się dziwnie.

— Panie! co się panu stało? — pytała znów Fenia, tym razem jakby ze współczuciem, pokazując na jego ręce.

Dymitr spojrzał znów na swoje ręce.

— To krew Feniu, — rzekł, patrząc na nią z dziwnym wyrazem — ludzka krew. O Boże, i pocóż została przelana?

— Widzisz — mówił dalej, patrząc na nią jakby chciał jej dać do odgadnięcia jakąś zagadkę. — Ja taki jeden wysoki płot... przeszkoda... rozumiesz. Otóż jutro, nim słońce wejdzie... Mitieńka Karamazow przeszkodę tę przeskoczy. Nierozumiesz Feniu, co to za przeszkoda, mniejsza z tem i tak jutro usłyszysz o mnie i wszystko zrozumiesz. A teraz bywaj zdrowa. Nie będę nikomu zaporą, usunę się, potrafię się usunąć. Żyj radości moja! Kochała mnie godzinę, a ty kochaj na wieki Mitieńko, tak mnie nazywała, pamiętasz?

Z tymi słowami wyszedł z kuchni, a Fenia przeraziła się tem jeszcze bardziej, niż poprzednio jego wejściem. W dziesięć minut potem Dymitr wchodził do mieszkania młodego Perchotina, owego urzędnika, który pożyczył mu dziesięć rubli na zastaw pistoletów. Perchotin zabierał się właśnie do wyjścia i Dymitr zatrzymał go w progu.

— Co panu jest? — zawołał, dostrzegłszy krew na jego twarzy.

— Przychodzę po pistolety, — mówił śpiesznie Dymitr, — przynoszę panu pieniądze, dług mój, który z wdzięcznością zwracam. Tylko proszę, dajcie mi prędko moje pistolety, Piotrze Iliczu.

Perchotin wpadał w coraz to większe zdumienie. W rękach Miti ujrzał sporą pakę banknotów, które ten trzymał przed sobą jakby na pokaz. Chłopak posługujący, który otwierał drzwi Dymitrowi, opowiadał potem, że ten, wchodząc do przedpokoju, trzymał w ten sam sposób banknoty, widocznie niósł je tak przez całą ulicę. Nikt przecie nie obchodzi się tak z pieniędzmi. Były to same tęczowe storublówki, a według późniejszych zeznań Perchotina, musiało ich być, sądząc na oko, jakich dwa lub trzy tysiące. Sam Dymitr Fedorowicz był w jakiemś wyjątkowem nienormalnem podnieceniu. Odpowiadał w sposób urywany i zagadkowy i wyglądał na człowieka bardzo czemś rozradowanego.

— Co się panu stało? — zawołał znów Piotr Ilicz, przypatrując się swemu gościowi, — wszędzie krew, czy się pan skaleczył, spójrz pan na siebie. — To mówiąc ujął go za ramiona i postawił przed zwierciadłem.

Mitia, obaczywszy krwawe plamy na twarzy, gniewnie brwi zmarszczył.

— Tego jeszcze brakowało! — mruknął ze złością i szybko przełożył banknoty z prawej, do lewej ręki, poczem sięgnął do kieszeni po chustkę.

Wtedy pokazało się, że chustka jest cała przesiąknięta krwią, ale to tak, że nie było na niej ani jednego białego miejsca. Krew była nie zupełnie jeszcze zaschnięta, zgęszczona i lepka. Dymitr z gniewem rzucił zakrwawioną chustkę na podłogę.

— Cóż u dyabła! Nie mógłbyś pan mi dać jakiej suchej szmatki do obtarcia?

— A! więc pan nie jesteś skaleczony, a tylko poplamiłeś się, w takim razie najlepiej byłoby umyć się odrazu. Oto umywalnia, znajdziesz tu wszystko, co potrzeba.

— A! dobrze, ale gdzież ja tymczasem to zostawię, — odpowiedział Mitia, wskazując bezradnie na banknoty, które trzymał w ręku i patrzył pytająco na Percho-

tina, jakgdyby on jeden mógł doradzić mu skutecznie, co ma robić z pieniędzmi.

— Wsuń pan je do kieszeni, albo połóż tu na stole, nikt nie ruszy.

— Do kieszeni, a tak, dobrze. Chociaż nie, to wszystko głupstwo, — zawołał, jakby nagle oprzytomniawszy. — Najpierw skończymy z pistoletami, oddaj mi je pan, bo mi są bardzo potrzebne, a to pańskie pieniądze. Tylko śpieszmy, bo mi bardzo pilno. — I wyjął z pakietu jedną sturublówkę, którą podał Perchotinowi.

— Nie będę mógł nawet wydać panu reszty — zauważył tamten. Czy nie masz pan drobniejszych pieniędzy?

— Nie mam, — odparł Mitia, odwracając kilka banknotów, jakby się chciał upewnić o prawdzie słów swoich. — Cóż teraz będzie? — Zwrócił znów pytające wejrzenie na Perchotina.

— Skądże się pan tak nagle zbogacił? — zauważył ten. — Poczekaj pan, poślę chłopca do sklepu Płotnikowa, tam późno zamykają, będą więc nam mogli zmienić. Chodź-no tu, Misza! — zawołał na chłopca.

— U Płotnikowa! wyborna myśl! — zawołał Mitia, jakby wpadłszy nagle na dobry pomysł. — Słuchaj, Misza, mówił — zwracając się do chłopca, biegnij do Płotnikowa i powiedz mu, że Dymitr Fedorowicz kazał mu się kłaniać i zaraz sam tam będzie. Niech każe przygotować trzy tuziny flaszek szampana, tak samo, jak przeszłym razem, kiedyśmy jeździli do Mokroje. Wtedy wziąłem z sobą cztery tuziny — objaśnił Perchotina, poczem znów zwrócił się do chłopca, wydając mu polecenia. — Niech przygotuje jeszcze sery, pasztet strasburski, szynkę, kawior, tak za sto, lub sto dwadzieścia rubli. Niech dodadzą jeszcze kawonów, dwa lub cztery, czekolady, lodowatego cukru, kilka funtów pomadek, tak samo, jak wtedy, tak, na trzysta rubli, razem z szampańskiem. Nie zapomnij tylko. Misza! Misza mu na imię? — pyta Perchotina.

— Ależ poczekaj pan, — przerwał mu tamten, słuchając z niepokojem i patrząc na niego badawczo. — Pójdź pan lepiej sam, on nie spamięta i coś poplącze.

— Poplącze, niezawodnie poplącze, — potwierdził Dymitr. — Słuchaj Misza! uściskam cię za fatygę, jeżeli nic nie zapomnisz. Pamiętaj, szampan grunt, a prócz tego koniak, czerwone wino, białe wino, tak samo, jak wtedy, oni już będą wiedzieli, dziesięć rubli ci dam, jeśli się sprawisz dobrze.

— Ależ, posłuchaj pan — przerwał już niecierpliwie Perchotin, — niech on tylko pieniądze zmieni i powie, aby nie zamykano sklepu, dokąd pan przyjdzie. Resztę załatwi pan sam.

— Masz tu sto rubli i biegnij na jednej nodze do Płotnikowa, aby ci je zmienił, tylko prędko. No, marsz, — nakazywał Perchotin Miszy. Wyprawił on umyślnie chłopca, dostrzegłszy że ten przygląda się Dymitrowi Karamazow, rozwarłszy oczy i usta, patrząc z niemałem zdziwieniem na zakrwawione jego ręce, w których ściskał banknoty.

— No! a teraz trzeba się wreszcie umyć, — przemówił surowo Piotr Ilicz, — połóż pan pieniądze na stole, albo je wsuń do kieszeni, ot tak, a teraz chodźmy, zdejmujże pan wpierw surdut.

I pomagał mu sam w zdjęciu tużurka, aż naraz zawołał znów:

— Patrz pan i na tużurku krew.

— To nie na tużurku, a tylko w jednem miejscu, koło rękawa, a także tam, gdzie była chustka, przesiąkło z kieszeni. Siadłem na chustce, gdym był u Feni i krew przesiąkła, — objaśnił poufnie Dymitr.

—Piotr Ilicz słuchał nachmurzony.

— Cóż to właściwie jest? czy się pan znów z kim szamotał, — mruknął Perchotin. — Dymitr zaczął się myć. — Perchotin stał nad nim i dolewał mu wody z dzbanka, przypilnował go, żeby dobrze ręce namydlił. Wogóle zaczynał brać górę nad Dymitrem, który uległ mu bezwiednie.

— Została jeszcze krew za paznokciami, oczyść je pan dokładnie, a teraz umyj pan twarz, zwłaszcza tu, koło ucha. A koszula? czy pan w takiej pojedzie? Także zakrwawiona. — Gdzie się pan właściwie wybiera?

— Prawda, i na koszuli krew — zauważył Mitia.

— Więc ją pan zmień na świeżą.

— To zbyteczne, pod tużurkiem nie będzie widać, zawinę mankiet, wsunę do rękawa. — O tak, widzi pan.

— Ale teraz powiedz pan wreszcie, co się to właściwie stało? Czy się pan znowu z kim pokłócił i poturbował kogoś, jak wtedy, owego kapitana w restauracyi "Stołeczny ogród".

— E! głupstwo! — żachnął się Dymitr.

— Jakto głupstwo?

— Staruchę jedną potrąciłem na rynku.

— Staruchę?.

— Starucha jednego, — krzyknął Dymitr w samo ucho Piotra Ilicza, zupełnie, jakby ten był głuchy.

— Mówże pan, raz do dyabła, starucha, czy staruchę? i wybił pan go, czy zabił?

— Pogodziliśmy się, najpierw potłukliśmy się trochę, ale rozeszliśmy się w najlepszej przyjaźni, przebaczył mi, napewno przebaczył, gdyby był wstał, toby mi nigdy nie darował. Tylko na dyabła mu było zaczynać, słyszycie, Piotrze Iliczu, na dyabła to mu było potrzebne.

— Że też pan ma ochotę z każdym zadzierać, jak wtedy, z owym kapitanem, bić się, albo hulać. ot, co panu w głowie. — Pocóż teraz te trzy tuzyny szampana? gdzie się pan z nimi wybiera?

— E! co tam! dawaj pan pistolety, niemam czasu na gadanie, dalibóg, ani chwilki czasu. — Ale gdzież to moje pieniądze? — pytał z przestrachem, szukając po kieszeniach.

— Odłożyłeś je pan sam na stół, oto leżą. — Dziwna rzecz, dziś z rana zostawiłeś pan pistolety swoje za marnych dziesięć rubli, a teraz rzucasz tysiącami. Cóż to? Kopalnie złota odszukałeś?

— A! kopalnie złota! Możebyś pan chciał do tych kopalni należeć, powiedz tylko, a jest tu jedna dama, która ci natychmiast wyliczy trzy tysiące na koszta podróży, tak kocha ona te kopalnie. Mnie dała trzy tysiące, bylem tam pojechał. Znasz pan Chachłakową?

— Z widzenia tylko, więc to ona dała panu te trzy tysiące? tak, odrazu gotówką? — pytał z niedowierzaniem Perchotin.

— Pójdź pan do niej jutro, skoro tylko boski Febus wypłynie na niebiosa w słonecznym swym rydwanie, pjódź pan i spytaj, czy dała mi te pieniądze. Sprawdź pan to na miejscu.

— Nie znam pańskich stosunków z tą panią, jeżeli pan twierdzi, że to ona dała panu trzy tysiące, niemam powodu wątpić. — I cóż, jedzie pan rzeczywiście na Sybir? do tych kopalni. Czy może pieniążki swoją drogą, a jazda swoją drogą. Gdzież się pan naprawddę wybiera?

— Do Mokroje.

— Ależ to noc.

— A cóż to szkodzi? Maciek miał, Maciek stracił, było nie było.

— Jakto nie było, kiedy pan masz przecie kieszenie wypchane pieniędzmi.

— Ja też nie o pieniądzach mówię, tylko o kobiecej stałości. "Kobieta zmienną jest", śpiewał Król Franciszek pierwszy, a ja z nim.

— Nie rozumiem pana.

— Masz mnie pan za pijanego?

— Jeszcze gorzej.

— Pijany nie jestem, tylko duszę mam pijaną, pijaną duszę, rozumie pan?

— Chcesz pan nabić pistolety?

— Chcę — odparł Mitia, który rzeczywiście zaczął je ładować, sypiąc proch do panewki pistoletu, potem wziął we dwa palce kulę, którą tam wsadzić zamierzał i przypatrywał się jej pod światło.

— Cóż się pan tak przygląda tej kuli?

— Gdybyś pan miał zamiar wpakować sobie kulę w łeb, tobyś się jej także przyglądał.

— Poco?

— Zawsze to interesująca wiedzieć, jak wygląda kula, która nam w mózgu ugrzęznie. E! zresztą to głupstwo, wszystko na świecie głupstwo. A teraz daj mi pan kawałek papieru.

— Poco!

— Napisać chcę parę słów.

Wziął istotnie ze stołu arkusz papieru, napisał parę wierszy, złożył papier w czworo i wsunął go do kieszeni kamizelki. Pistolety włożył do pudła, zamknął je na klucz, potem spojrzał na Perchotina, i, uśmiechnął się w zamyśleniu:

— No! już koniec — chodźmy teraz.

— A dokąd? Czy to pan naprawdę zamierza wpakować sobie kulę w uszy? — pytał z niepokojem Perchotin.

— Głupstwo kula! Ja kocham życie, wiedz o tem, Piotrze Iliczu, niech żyje życie! i złotowłosy Febus, dawca Boskiego światła! Powiedz mi lepiej, Piotrze Iliczu, czy potrafiłbyś ty usunąć się?

— Jakto usunąć się?

— Zostawić wolne przejście drogiej istocie i znienawidzonemu człowiekowi, zostawić wolne przejście i to tak dalece, żeby ten znienawidzony stał się naraz miłym.

I powiedzieć im, idźcie swoją drogą, Bóg z wami. A ja...

— A pan?

— Dość tego, chodźmy.

— Na Boga! muszę chyba komuś powiedzieć, żeby was wziął w opiekę. Po co pan właściwie jedziesz do tego Mokroje?

— Kobieta, przyjacielu! kobieta! niechże to wystarczy i dalej w drogę.

— Posłuchajcie mnie, Dymitrze Fedorowiczu, jest w panu jakaś dzikość, a mimo to, serce do pana lgnie, to też niepokój mnie bierze.

— Dzięki, bracie, i za to. Dzikość jest we mnie, mówisz, a tak, dziki ze mnie, zupełnie dziki człowiek, zawsze to powtarzam. Ale oto i Misza, zapomniałem o nim zupełnie.

Wbiegł zdyszany Misza, niosąc paczkę zmienionych pieniędzy i zaraportował, że w sklepie Płotnikowa wszystko zamówił i wszystko zapakują już — rybę, kawior, wino itd. Dymitr wziął z rąk chłopca pieniądze, dziesięć rubli wręczył Perchotinowi, a drugą dziesięciorublówkę rzucił chłopcu.

— Nie pozwalam! — krzyknął Perchotin — nie zniosę tego, ażebyś pan w moim domu wyrzucał pieniądze za okno; jutro znów będziesz bez grosza i szukać będziesz kilkurublowej pożyczki. Jakże pan chowasz te pieniądze, wyglądają z bocznej kieszeni, zgubisz je niezawodnie.

— Słuchaj-no, mój drogi, jedź ze mną do Mokroje.

— A ja tam po co?

— Posłuchaj, każę odkorkować butelkę szampana i wypijemy razem. Nigdyśmy jeszcze razem nie pili, co?

— Wybierałem się właśnie do restauracyi "Stołeczny gród", jeżeli pan chce, chodźmy tam razem.

— Tam? nie — wypijemy raczej u Płotnikowa, w gabinecie od tyłu. A chcesz, to ci zadam jedną zagadkę.

— Słucham.

Mitia wyjął z kieszeni kamizelki złożony wczworo arkusik, rozwinął go i oddał Perchotinowi.

"Za życie moje, za całe życie, karę sobie wymierzam".

Przeczytawszy te słowa, Perchotin zaniepokoił się znów.

— Muszę przecież powiedzieć komuś o tem pójdę zaraz i powiem — zawołał.

— Nie zdążysz, bracie, chodźmy lepiej napić się. No, w drogę.

Sklep spożywczy Płotnikowa znajdował się o parę kroków od mieszkania Perchotina, na zbiegu dwóch ulic.

Była to pierwszorzędna firma w naszem mieście, magazyn bardzo zasobny i doskonale zaopatrzony. Dostać tam można było wszystkiego, nie gorzej, niż w stolicy, i to w najlepszych gatunkach. Wina, owoce, cukry, kawior, pasztety itd. Pięciu subjektów usługiwało na wyścigi gościom, a kilku chłopców biegało nieustannie z posyłkami. Chociaż w ostatnich czasach okolica zubożała, gdyż wielu bogatszych mieszkańców i podmiejskich właścicieli ziemskich rozjechało się, przez co ruch handlowy się zmniejszył, magazyn Płotnikowa był po dawnemu w stanie rozkwitu i rozwijał się z każdym rokiem. Oczekiwano tam w tej chwili z niecierpliwością Dymitra Karamazowa. Miano tu jeszcze w świeżej pamięci jego wyprawę do Mokroje kilka tygodni temu, gdy nakupił towaru za kilkaset rubli odrazu i to za gotówkę, na kredyt, oczywiście, nicby mu nie dali.

Tak samo, jak dziś, trzymał wtedy w ręku paczkę storublowych banknotów i rozrzucał je na prawo i lewo, zakupując niesłychaną ilość zbytkownego towaru. Nikt, oczywiście, nie troszczył się i nie pytał, na co mu to było potrzebne. Opowiadano sobie potem w całem mieście, że Mitia przez jedną noc i jeden dzień przehulał trzy ytsiące rubli w towarzystwie Gruszy w Mokroje, i że za powrotem nie miał już ani grosza przy duszy, i goły był, "jak go matka na świat wydała", jak się wyrażano obrazowo. Opowiadano sobie również ze śmiechem, że w hulance tej brał udział cały tabor cyganów, którzy tam przypadkiem nocowali, że cyganie wyciągnęli od Dymitra niesłychaną ilość pieniędzy i wypili z nim nieskończoną ilość najprzedniejszych win, że częstował on szampańskiem chłopow, baby i dziewki wiejskie i opychał ich cukierkami, kawiorem i strasburskim pasztetem, i że za to wszystko nie otrzymał od Gruszy nic, albo bardzo niewiele, co najwyżej pozwoliła mu się pocałować w nóżkę.

Gdy Mitia z Piotrem Iliczem wchodzili do magazynu Płotnikowa, stała już przed progiem dostatnia telega, zaprzężona w dzielną trójkę koni.

Siedzenie wysłane było dywanem, wokoło uprzęży przymocowane były brzęka-

dła i grzechotki, które za każdem poruszeniem łbów końskich dzwoniły srebrnym brzękiem. Na koźle siedział pocztowy woźnica, Andrzej.

Skądże tak nagle wziął się tu ten zaprząg? — pytał Piotr Ilicz.

— Zamówiłem go po drodze, idąc do pana, — objaśnił Dymitr — ostatnim razem jeździł tam ze mną Timofiej, ale dziś — fiut! poleciał już przedemną, wioząc pewną zwodnicę, którą pragnę dogonić. Słuchaj-no, Andrzej, nie spóźnimy się jeszcze?

— Tamci przyjadą o godzinę wcześniej, nie więcej, a może i mniej, jak godzinę — odparł pośpiesznie Andrzej. — Timofiej wiezie panią, nie wasza to jazda, Dymitrze Fedorowiczu, gdzie im do was, nie wytrzymaliby — upewniał z ogniem Andrzej, nie stary, rudy parobek, w rosyjskiej koszuli i kaftanie, zarzuconym z fantazyą na lewe ramię.

— Pięćdziesiąt rubli dam na wódkę, jeżeli przywieziesz na czas.

— Bądźcie spokojny, Dymitrze Fedorowiczu, tamci przyjadą może na pół godziny przed nami, na małe pół godzinki.

Mitia tymczasem wydawał polecenie w sklepie, ale szło to jakoś niesporo, bezładnie, tak, że Piotr Ilicz uczuł się w obowiązku dopomódz mu.

— Ogółem zapakujcie wszystko na czterysta rubli — rozkazał Mitia. — Cztery tuziny szampana, ani butelki mniej.

— Po co pan bierze tyle? po co? Zaczekaj pan, a to co za paczka? Przecież tu niema czterech tuzinów?

Słysząc to, starszy subjekt objaśnił go z najuprzejmiejszym uśmiechem, że paczka ta zawiera tylko pół tuzina butelek szampana, także trochę zakąsek, serów i cukrów, na pierwszy ząb niejako. Paczkę tę zabiera z sobą Dymitr Karamazow, właściwy zaś transport pojedzie osobno, naładowany na drugi wózek, który przybędzie na miejsce najpóźniej za małą godzinkę.

— Byleście się tylko nie spóźnili — nakazywał Mitia. — Pamiętajcie włożyć dużo karmelków i pomadek, dzieciaki w Mokroje przepadają za karmelkami — dodał z ogniem.

— Mniejsza o karmelki, ale po co te cztery tuziny szampana? wystarczyłby zupełnie jeden — upominał Perchotin, i tak zrzędził, tak się mordował, że udało mu się jednak ocalić całe sto rubli. Mitia zgodził się na zakupienie towaru tylko za trzysta rubli.

— Dyabli was bierz! — zawołał wreszcie Perchotin. — I po co ja się w to wdaję? Chcesz, to wyrzucaj pieniądze.

— Nie zrzędź, stary mruku, — zawołał Mitia — chodź lepiej tu ze mną, napijemy się razem.

I pociągnął go do osobnego gabinetu za sklepem, gdzie postawiono im natychmiast butelkę wina.

— Jedź lepiej ze mną do Mokroje, tyś kochany, miły towarzysz. Takich jak najwięcej.

Usiedli obaj na wyplatanych krzesłach, przed małym stoliczkiem, nakrytym brudną serwetką. Zaproponowano im jeszcze ostrygi — świeże ostrygi, tylko co odpakowane.

— Do dyabła z ostrygami, niczego nam nie potrzeba — opędzał się Perchotin.

— Nie trzeba ostryg, nie mam na nie ochoty — potwierdził Mitia. — Wcale mi się jeść nie chce. Wiesz, bracie, — dodał z przejęciem — zawsze nienawidziłem nieporządku.

— Któż go lubi? ale po co ten szampan? dla bab i dziewek? złość bierze patrzeć.

— Ach! ja nie to miałem na myśli, wyższy porządek, wyższy ład, którego we mnie niema. Całe moje życie było jednym nieporządkiem, trzeba więc raz zrobić z tem porządek. Kalambury, bracie, tworzę, co?

— Brednie, nie kalambury.

— Chwała Najwyższemu na wysokościach,
Chwała Najwyższemu we mnie.

— Wierszyk ten wyrwał mi się z pod serca, jak łza jedna. Miałem go wciąż na myśli wtedy, gdym owego kapitana z restauracyi wyrzucił.

— Skądże raptem o nim?

— Skąd? Głupstwo! Wszystko musi mieć swój koniec i w rezultacie wszystko się musi wyrównać.

— To prawda. Ale po co pan bierze pistolety?...

— I pistolety głupstwo — pij pan lepiej, a głowy sobie niczem nie zaprzątaj. Kocham życie, kocham je nad wyraz, aż obrzydliwość bierze. Wypijemy, bracie, toast na cześć życia, na chwałę jego. Za-

dowolony jestem z siebie — dlaczego? nie wiem. Wiem, żem podły, a przecież cieszę się sam sobą. Chociaż nie, dręczy mnie to, że podły jestem. A z tem wszystkiem, błogosławię Stwórcę i dzieło Jego i cieszę się, żem Jego stworzeniem. Trzeba jednak unicestwić raz podłego robaka, który sobie i innym życie brudzi. Pijmy więc, bracie, na cześć życia, cóż może być w świecie lepszego, droższego, nad życie — nic, nic. Pijmy więc na cześć jego — i na cześć królewny stworzenia.

— I owszem, pijmy na cześć królewny twojej.

Trącili się kieliszkami. Mitia, pomimo podniecenia, smutny był w głębi duszy i troska ta przejawiła się w nim mimowoli.

— Misza! — zawołał nagle na chłopaka Perchotina — chodź-no i ty tu, tu, bliżej, wypijesz kieliszek na złotowłosego Feba, gdy się jutro ukaże.

— Dajże mu pan pokój! — krzyknął z niezadowoleniem Piotr Ilicz.

— Nie gniewaj się i pozwól niech wypije, dłużej mnie zapamięta.

— Ech!

Misza podszedł do stolika, wypił kieliszek, a potem uciekł szybko.

— Zapamięta mnie — zauważył Mitia. — Kobieta, bracie, tak, kocham kobietę, bo to królowa życia. Ech! tęskno mi, smutno, Piotrze Iliczu. Pamiętasz ty Hamleta. "Tak mi smutno, tak smutno, Horacyo", mówi biedny Jorik. To może ja jestem biedny Jorik, a właściwie czerep jego.

Piotr Ilicz słuchał, milcząc. Zamilkł też i Mitia.

— Cóż to za piesek? — spytał nagle, wskazując na ładnego bonończyka, który się kręcił po sklepie.

— To gospodyni naszej, Barbary Aleksandrówny. Zapomniała go, trzeba jej odnieść.

— Zupełnie taki sam był w naszym pułku, tylko miał tylną nóżkę złamaną. Powiedz pan, Piotrze Iliczu, czy nie zdarzyło ci się kiedy co ukraść?

— Cóż to za pytanie?

— Widzisz, tak ukraść rzecz cudzą, komuś z kieszeni. Nie skarbowe pieniądze, bo te wszyscy kradną, pan z pewnością także...

— Wynoś się pan do dyabła z takiemi uwagami.

— Ale cudze pieniądze, wprost z kieszeni, z sakiewki, co?

— Ukradłem raz matce dziesięć groszy miałem wtedy lat dziewięć; leżały na stole, wziąłem i schowałem.

— No i cóż?

— A nic, nosiłem trzy dni, potem zrobiło mi się wstyd i oddałem.

— No i cóż?

— Wybili naturalnie. Cóż pan o to pytasz? A sam ukradłeś co kiedy?

— Ukradłem — podchwycił przebiegle Mitia.

— Cóż pan ukradłeś? — pytał ciekawie Perchotin.

— Dziesięć groszy matce, gdy miałem lat dziewięć, po trzech dniach zawstydziłem się i przyznałem. — Rzekłszy to, Mitia wstał.

— Proszę pana, czy nie czas już na nas? — zapytał Andrzej, stając na progu.

— Oczywiście, że czas, jedziemy natychmiast. Słuchajcie jeszcze — wołał, zwracając się do chłopców sklepowych. — Kieliszek wódki dla Andrzeja i kieliszek koniaku, także dla niego. Pudło z pistoletami włożyć mi pod siedzenie. Bywaj pan zdrów, Piotrze Iliczu, a nie wspominaj źle.

— Wraca pan przecie jutro.

— Bez wątpienia.

— A rachunek? Czy go pan zaraz zapłaci? — pytał z ukłonem subjekt.

— Rachunek, a naturalnie, zaraz.

Wsunął rękę do kieszeni, a wyjąwszy swoją paczkę banknotów, odłożył trzy storublówek, i rzucił je na ladę. Andrzej, pokrzepiony koniaczkiem, skoczył szparko na kozioł — cały personel odprowadzał go z ukłonami. Nagle, całkiem niespodzianie, ukazała się Fenia, która z krzykiem i płaczem rzuciła się Dymitrowi do nóg.

— Ojcze! gołąbku! — krzyknęła Fenia. — Niegub ty jej, Agrafii Aleksandrównej. Powiedziałam wam całą prawdę. I jego nie gub, on przecież jej jest, dawniejszy, pierwszy, ożeni się z nią teraz, za żonę weźmie. Po to i przyjechał. Z Sybiru, aż wrócił. Panie miły Dymitrze Fedorowiczu, nie gubcie cudzego życia, nie róbcie im krzywdy.

— No! no! To się tam takie rzeczy święcą, — narobi on im tam bigosu! — mruknął sam do siebie Perchotin. — Teraz już wszystko rozumiem, wszystko jasne jest, jak na dłoni. Słuchajcie no! Dymitrze Fedorowiczu, oddajcie mi proszę pistolety wasze, i to natychmiast, jeśli chce-

cie, bym was miał za człowieka. Proszę was, dajcie!

— Pistolety? Poczekaj gołąbku, wyrzucę je sam po drodze, nie miej obawy, — odpowiedział Mitia. — A i ty Fenia nie lękaj się i nie klękaj przedemną. Od tej chwili Mitia już nikogo nie zgubi, nikogo już nie zatraci ten głupi człowiek. Ale poczekaj no! — krzyknął jeszcze za nią, wsiadłszy już na telegę. — Obraziłem cię, Feniu, przed godziną, tam u was w domu, byłem dla ciebie zły, daruj mi teraz, o przebaczenie proszę. A zresztą, jak nie chcesz przebaczyć to obejdzie się. Teraz już wszystko jedno, zupełnie wszystko jedno. No, teraz ruszaj Andrzej, ruszaj żywo!

Andrzej ruszył, dzwonki zabrzęczały.

— Bywaj zdrów, Piotrze Iliczu, tobie ostatnia łza — zawołał jeszcze Dymitr.

— Nie pijany niby, a przecie nie przy zdrowych zmysłach, — pomyślał Piotr Ilicz, w chwili, gdy trójka, uwożąca Dymitra Karamazowa, ginęła mu już z oczu. Z początku chciał zostać jeszcze czas jakiś na miejscu, aby dopilnować ładowania zakupionego przez Mitię towaru, — domyślał się bowiem, że skorzystają z jego nieobecności i włożą mu o wiele mniej, niż mu się należało. Po chwili jednak rozgniewał się sam na siebie za podobną myśl. Splunął i poszedł do restauracyi grać w bilard.

— Sympatyczny chłopak, ale głupi... — mruczał sam do siebie po drodze. Słyszałem coś i ja o tym dawnym oficerze Gruszeńki. No jeżeli przyjechał to trudno. Ach! poco te pistolety? Choć zresztą, cóż mnie to u dyabła obchodzi? Czy ja im swat? czy brat? Burda będzie, to i cóż stąd — upiją się, potłuką się, a później pogodzą, co mnie do tego. Napisał, że "karę sobie wymierza za całe życie", ależ nie raz wykrzykiwał to samo po pijanemu i nic z tego nie wynikło. Teraz, co prawda, nie pijany, "pijany duszą", powiada. Ee! brednie to wszystko! Przecież nie opiekunem jego jestem. Musiał się jednak z kimś dobrze poszturchać. Twarz i ręce we krwi, i chustka także. Ciekawym jednak, z kim? W restauracyi muszą wiedzieć, to mi powiedzą. Tfu, do dyabła! i ja mam krew na rękawie. Ee! Plunąć chyba.

Przyszedł do restauracyi w najgorszym humorze, przy bilardzie jednak poweselał, a przegrawszy parę partyi, rozmawiać zaczął z towarzyszami o tem, co widział. Opowiadał o pieniądzach, które napłynęły, niewiadomo skąd, Dymitrowi Karamazow i o tem, że ten pojechał znów do Mokroje, przehulać wszystko, co miał, z Gruszą. Wiadomość ta zainteresowała ogromnie wszystkich, przerwano nawet grę, dopytując się o szczegóły. I dziwna rzecz, nikt się nawet nie śmiał, ale traktował całą sprawę bardzo seryo.

— Trzy tysiące! skąd mógł je wziąć?

Przypuszczenie o tem, że dała je pani Chachłakow, przyjęto z wielkiem niedowierzaniem.

— A czy nie ograbił przypadkiem swego starego?

— Nie tak przecie łatwo o trzy tysiące.

— Chwalił się tu przecież głośno, że ojca zabije i wspominał o trzech tysiącach. — Piotr Ilicz, słuchając tych uwag, stał się naraz bardzo skąpym i wstrzemięźliwym w odpowiedziach. — Nie wspomniał ani słowem o krwi, którą Mitia miał na twarzy i rękach, a przecież, idąc tu miał zamiar i to powiedzieć, pytając, z kim się mógł pobić.

Zaczęto nową partyę i rozmowa o Dymitrze urwała się, — ale po skończeniu onej partyi, Perchotin grać już nie chciał i wyszedł z restauracyi, sam nie wiedząc czemu.

Wyszedłszy ,zatrzymał się chwilę na rynku, jak gdyby wahając się i uczuł nagle gwałtowną ochotę udania się do domu Fedora Pawłowicza, by się dowiedzieć, czy tam co nie zaszło. — Pomyślał jednak, że to nie wypada. "Nachodzić cudzy dom, z powodu głupich urojeń, narobić hałasu, to skandal — co mnie oni obchodzą?"

W najgorszem usposobieniu poszedł ku domowi, ale nagle przyszła mu na myśl Fenia. "Gdyby tak ją pociągnąć za język, dowiedziałbym się wszystkiego". I chęć zobaczenia Feni wzmogła się w nim z taką siłą, że zawrócił prawie już z pół drogi i poszedł do mieszkania Gruszy. — Zastukał do zamkniętej bramy, a odgłos tego kołatania rozlegał się ostro w nocnej ciszy, tak, że Perchotin uczuł mimowolny lęk. — Mimo to, nikt się nie odezwał, widocznie cały dom już spał. Znowu skandal, — pomyślał Piotr Ilicz, — rozbudzę cały dom niewiadomo dlaczego. Mimo to, powtórzył stukanie raz drugi i trzeci, i to z taką siłą, że narobił hałasu na całą ulicę. Dostu-

kam się przecie, dostukam! — powtarzał z gniewnem zapamiętaniem — i uderzenia w bramę następowały jedno po drugiem, z coraz to większą siłą.

* * *

HULANKA W MOKROJE.

Tymczasem Dymitr leciał, jak wiatr, drogą do Mokroje.

Odległość wynosiła dwadzieścia wiorst z okładem, ale dzielna trójka Andrzeja wiozła z taką szybkością, że można było napewno liczyć, że na czas przybędą. — Ta szybka, bajeczna jazda otrzeźwiła Mitię, Noc była świeża, chłodna, ani jednej chmurki na niebie, gwiazdy błyszczały, jak szczerozłote, a była to ta sama prawie chwila, gdy Alosza, upadłszy twarzą na ziemię, przysięgał kochać ją na wieki wieków. Dymitrowi jednak smutno było bardzo na duszy; pomimo tysiącznych sprzeczności tak gryzących które, ciężyły mu na sercu, serce wyrywało się przedewszystkiem do niej, do tej królewnej swego życia, którą śpieszył pożegnać po raz ostatni. To jedno było dziwne, że Dymitr nie czuł najmniejszej urazy do tego nowego, nieznajomego człowieka, który zabierał mu Gruszę. Każdego innego znienawidziłby strasznie i prawdopodobnie nie obeszłoby się znów bez rozlewu krwi. — Temu jednak, pierwszemu jej, temu jednemu, nie zrobiłby nigdy nic złego, nie miał względem niego żadnych wrogich uczuć. "To ich prawo, święte niezaprzeczone prawo pierwszej miłości. O człowieku tym Grusza nie była w stanie zapomnieć przez całe pięć lat, jego więc jednego kochała i nikt niema prawa stawać między nimi".

Takie były uczucia jego w tej chwili. Usunąć się z drogi i niezakłócać nikomu szczęścia. Postanowienie to powziął odrazu, skoro tylko Fenia oznajmiła mu powrót pierwszego kochanka Gruszy. Jedynego, który miał do niej prawo. Mimo to, na dnie tych uczuć jego i postanowień tkwił przedewszystkiem głęboki, bezbrzeżny smutek, dochodzący do rozpaczy. Były chwile, gdy chciał zatrzymać Andrzeja i wyskoczyć z telegi, aby, przyłożywszy sobie pistolet do skroni, skończyć już raz z tem wszystkiem nie doczekawszy świtu. — Ale myśl ta przemknęła mu tylko, jak iskra, a tymczasem trójka leciała, jak wicher, pożerając przestrzeń. W miarę zbliżenia się do celu powracała znów myśl o niej, o tej kobiecie, która mu była fatalnem wcieleniem losu i czuł znów jedno tylko, że pragnie zobaczyć ją jeszcze choćby raz tylko jeden, choćby zdaleka. "Ona tam teraz jest z nim — myślał, — muszę przecie zobaczyć co się z nią dzieje" i nigdy dotąd nie budziły się w nim tak tkliwe uczucia, będące dla niego samego niespodzianką.

— I zginę! — zawołał mimowoli, nie panując już nad myślą swoją.

Lecieli tak już prawie godzinę — Mitia milczał, a i Andrzej, mimo, że był chłop rozmowny, nie odzywał się do niego, ani słowem, poganiając swą trójkę. Naraz Mitia zawołał z nagłym niepokojem.

— Andrzeju! a co będzie? jeżeli już śpią.

Przyszło mu to nagle do głowy, a dotąd ani pomyślał o tem.

— A pewnie, że musieli się już pokłaść — odparł Andrzej.

Mitia zachmurzył się, zły był. I cóż będzie w samej rzeczy, jeśli on przyjedzie, miotany takiemi uczuciami, a oni tam śpią.

— Ona śpi, a może już...— Niedobry gniew zakipiał mu w sercu.

— Popędzaj, Andrzeju! żywo! — Krzyknął, wychodząc prawie z siebie.

— A może się jeszcze nie pokładli, — przemówił po chwili namysłu Andrzej, — Tymosza mówił, że się tam dużo państwa zjechało.

— Gdzie? na stacyi pocztowej?

— Nie na stacyi, a w zajezdznym domu, u Płastunowa.

— Jakto?! więc dużo tam jest ludzi, i któż taki? — pyta Mitia zatrwożony niespodziewaną wieścią.

— Mówił Tymofiej, że jest tam dwóch panów z miasta, tutejszych niby, i dwóch przyjezdnych zdaleka, a może i kto jeszcze. W karty zaczęli grać, to może jeszcze i nie śpią.

— W karty mówisz?

— Dopiero jedenasta godzina, więc może jeszcze nie śpią.

— Jedźże Andrzeju! prędzej, prędzej — naglił Mitia.

— Proszę wielmożnego pana, — przemówił nagle Andrzej, — nie chciałbym was tylko rozgniewać, ale widzicie...

— Cóż takiego?

— Tam dopiero co Eudoksya Makarówna do nóg wam padła, prosząc za swoją panią i za kimś jeszcze, żeby ich niby nie gubić, a ja, za przeproszeniem wielmożnego pana, wiozę was do nich, to i sumienie odezwało się. Tak jakoś głupio to niby powiedzieć, ale boję się, żeby uchowaj Boże, co złego.

Mitia skoczył z siedzenia i chwycił go zaramiona.

— Słuchaj ty! Furman jesteś, powozić umiesz?

— Umiem.

— Widzisz! to ty rozumiesz, co to znaczy usuwać się komuś z drogi, dać wolny przejazd? Po to właśnie jadę. Nie bój się, mordować nikogo nie będę, grzech ludzi mordować, nie wolno nikomu życia psuć, a jak się samemu sobie zepsuło, to możesz się sam ukarać. A jak komu życie zgubiłeś, kara cię i tak nie minie. — Wszystko to wyrwało się z ust Miti, jednym tchem, prawie mimowoli. Andrzej, choć trochę zdziwiony takiem zachowaniem się wiezionego pana, podtrzymał jednak rozmowę, mówiąc:

— Prawdę rzekliście, Dymitrze Fedorowiczu, grzech człowieka mordować, jak i wszelkie inne stworzenie. Ot! choćby i konia. Bywa taki, co je okrutnie morduje i biczem gna, choć bydlę siły niema, a przecie gna je i gna prosto przed siebie.

— Aż się do piekła zagna — przerwał mu nagle Dymitr, chwytając go znów za ramiona.

— Słuchaj Andrzej! ty prosta duszo, powiedz, pójdzie Dymitr Karamazow do piekła, czy nie pójdzie? tak po waszemu.

— Niewiem tego, to już od was zależy Dymitrze Fedorowiczu. Bo to, proszę wielmożnego pana, powiadają u nas tak: "Skoro syn Boży na krzyżu rozpięty Bogu ducha oddał, to prosto z krzyża wstąpił do piekieł, i oswobodził stamtąd wszystkich grzeszników. — I powstał wielki lament w piekle, bo się dyabły trapiły, że już nikt więcej nie przyjdzie i piekło będzie stało puste. Wtedy Zbawiciel rzekł: Nie lamentujcie dyabły, bo przyjdzie ich tu do was jeszcze wielu. Wszyscy panowie i rządcowie, a najbardziej sędzie i bogacze, tylu ich będzie, że się prawie w piekle nie zmieszczą. I tak będzie po wieki wieków, aż znów do was stąpię". Takie im słowo powiedział.

— Podanie ludowe, wspaniała legenda, a ściągnij-no lewą.

— Tedy widzi pan, jak już komu piekło sądzone, to się tam dostanie — mówił dalej Andrzej, — ściągając lewą. — Ale my tu wszyscy, Dymitrze Fedorowiczu, znamy was, jak niby małe dziecko. Choć się czasem i zgniewacie, ale Pan Bóg wam pewnie odpuści, bo serce macie, jak mała dziecina.

— A ty Andrzeju odpuścisz mi?

— Cóżbym wam miał odpuszczać, nicieście mi złego nie zrobili.

— Ale za innych, za wszystkich, Ty jeden za wszystkich. Ot tu, zaraz na gościńcu, odpuścisz? mów, duszo prosta.

— Och, panie wielmożny, straszno doprawdy słuchać, taka dziwna mowa wasza.

— Ale Mitia słów tych nie słyszał i dziko, nie przytomnie modlić się zaczął półszeptem:

— Panie, Boże mój! przyjmij mnie do siebie, mimo bezprawia moje i nie sądź mnie, o Panie! nie sądź, bom już sam siebie osądził. Nie sądź bo kocham cię, Panie, i kochać będę choćby z głębi piekieł i tak po wieki wieków. Tylko pozwól mi jeszcze kochać tu na ziemi godzin parę, tylko do świtu. Bo widzisz sam, że kochać ją muszę i nie mogę jej nie kochać. Powiem jej tylko: "Miałaś prawo mnie odtrącić i nie troszcz się o tego, który był twoją ofiarą i nic sobie nie wyrzucaj."

— Mokroje! — zawołał Andrzej, ukazując przed siebie biczem.

Mokroje czerniło się już rzeczywiście przed okiem dojeżdżających. Była to ogromne wieś, licząca 2,000 mieszkańców, składająca się z mnóstwa chat i domków, rozrzuconych na znacznej przestrzeni. W tej chwili wszyscy już spali, gdzieniegdzie tylko błyszczały światełka w oknach chat.

— Jedź, Andrzej! prędzej, — zawołał raz jeszcze Mitia, cały w gorączce.

— Tu jeszcze nie śpią, — przemówił Andrzej, wskazując biczem na zajezdny dom Płastunowa, gdzie w sześciu oknach, wychodzących na ulicę, błyszczały jarzące światła. Dom ten stał przy samym wjeździe do wsi.

— Nie śpią, — potwierdził radośnie Mitia, — Grzmij! Andrzej! dzwoń, z bicza trzaskaj. Niech słyszą, że zajeżdżamy. Niech wiedzą, kto jedzie i jak jedzie. — Andrzej puścił w cwał spienioną swoją trójkę i osadził ją przed gankiem z brzę-

kiem i trzaskiem. Dymitr wyskoczył natychmiast z telegi, a w tejże chwili gospodarz zajazdu, który w istocie zabierał się już do snu, wyszedł na ganek, aby zobaczyć, kto zajeżdża o tej porze z takim szumem i hałasem.

— Tryfonie Borysiczu! To ty? — Oberżysta przechylił się, aby lepiej widzieć, aż poznawszy gościa, zbiegł na jego spotkanie ze schodów, z oznakami najwyższego zachwytu i uniesienia.

— To wy, ojcze! Dymitrze Fedorowiczu! Was że to oglądają oczy moje!

Ów Tryfon Borysicz, był to chłop zdrowy i silny, o twarzy pełnej i chmurnym wy razie oczu, który jednak rozpromieniał się jak pod wpływem różdżki czarodziejskiej na widok gościa, budzącego w nim nadzieje dobrego zysku. Z miejscowymi chłopami za to twardy był i nieużyty i traktował ich z góry. Nosił się po rosyjsku, w czerwonej koszuli i kabacie bez rękawów. Grosza uciułał już niemało, ale marzył wciąż o wzniesienie się na wyższe stanowisko. Połowę miejscowych chłopów miał w kieszeni, wszyscy mu byli coś dłużni.

Dzierżawił od właściciela ziemię, a trochę jej i kupił. Ziemię tę uprawiali mu chłopi za długi, z których nigdy nie mogli wyjść. Był on wdowcem i miał cztery dorosłe córki, z których jedna była już także wdową i mieszkała u niego z dwojgiem dzieci. Za utrzymanie musiała mu się wywdzięczać, pracując jak czarna wyrobnica. Druga córka wydana była za mąż do miasta, za urzędniczka, wysłużonego jakiegoś pisarza. Była to chluba rodziny i z tego powodu fotografia jej i męża w mundurze urzędniczym zdobiła ściany gościnnego pokoju. Dwie młodsze córki ubierały się w dnie świąteczne w zielone i niebieskie suknie,, skrojone po miejsku, z długimi ogonami i ukazywały się tak przystrojone w cerkwi i na przechadzce. Za to w dnie powszednie budzone były skoro świt i w krótkich spódniczkach z miotłami w ręku, spełniały wszystkie posługi koło domu i służyły gościom.

Pomimo uzbieranych już tysiączków, Tryfon Borysicz nie gardził żadnym zyskiem i lubił tego powodu takich gości, jak Dymitr, którego jedna wizyta przynosiła mu odrazu parę setek rubli. Wybiegł więc na jego spotkanie i wprowadzał go na ganek z wielkimi honorami.

— Ojcze! Dymitrze Fedorowiczu! Raczyliście więc znowu do nas zawitać!

— Poczekaj, Tryfonie Borysiczu — zaczął Mitia. — Przedewszystkiem mów mi zaraz, gdzie ona?

— Niby Agrafia Aleksandrówna! — podchwycił natychmiast usłużny gospodarz. — A jest, jest tutaj.

— Z kim? z kim?

— A są tu z nią jacyś przejezdni. Jeden urzędnik jakiś, zdaje się z Sybiru. On to posyłał po nią. A drugi towarzysz jego, ubrany po miejsku. Trudno poznać, co za jeden.

— Cóż, bogaci? hulają?

— Jakie tam hulanie, niebardzo tam widać u nich bogato.

— Nie bardzo, mówisz. A któż jest więcej.

— Dwóch panów z miasta. Jechali z Czarnej i zatrzymali się tu przejazdem.

— Jeden taki młody, student zdaje się, pana Mjusowa siostrzeniec, nie pamiętam, jak się nazywa, a drugi obywatel Maksymow, na odpuście był w klasztorze waszym, a teraz jedzie gdzieś razem z tamtym młodym.

— Więcej już nikogo niema?

— Nikogo.

— Czekajno jeszcze! Tryfon Borysicz. Mów-no teraz jeszcze jedno! najważniejsze. Cóż ona? jak?

— Niedawno przyjechała i siedzi tam z nimi.

— Wesoła? śmieje się?

— Niebardzo tam ona śmieje się, nawet zdaje się niewesoła. Siedzi i temu młodemu włosy rękami rozgarnia.

— Oficerowi?

— Tam niema żadnego oficera. Ona zresztą nie jemu, a temu siostrzeńcowi pana Mjusowa włosy gładzi. Zapomniałem tylko, jak się nazywaw.w

— Kałganow.

— A tak, tak, Kałganow.

— Dobrze, sam zresztą zobaczę. A w karty grają?

— Grali, a teraz przestali. Herbatę już także wypili. Nalewki kazał podać ten przyjezdny urzędnik.

— Czekaj, Tryfon Borysicz. Czekaj miły, sam zobaczę. A teraz odpowiadaj mi jedno. Cyganie są?

— Niema już cyganów, ani słychu Dymitrze Fedorowiczu. "Naczalstwo" wypędzić kazało. Ale za to żydy są, na cymba-

łach umieją grać i na skrzypcach, to przyjdą zaraz, można posłać.

— Posłać! — zawołał z ogniem Mitia, — natychmiast po nich posłać. A dziewki do śpiewu zawołać, tak, jak wtedy. Zwłaszcza Maryę, Arynę i Stefanię. Dwieście rubli dam za chóry.

— Za takie pieniądze zbudzę panu całą wieś, choćby już i spać legli. A czy to mało, ojcze? grubym, nieokrzesanym takim chłopom, tyle pieniędzy dawać. Ech! wy już takie cygara dawaliście im, tym muzykom. Takim zbójom. A dziewki te ich brudne, śmierdzące, robactwo ich oblazło. Po co ich wołać. Ja dla pana własne córki pobudzę i kopiejki za to nie wezmę. Spać się już coprawda, pokładły. Ale ja ich dla pana kolanem w plecy, to się pozrywają i noc całą śpiewać będą. Nie to, co wtedy, żeście tych prostaków szampańskiem poili. Ech, żal się Boże.

Zapomniał szanowny Tryfon Borysicz, że sam wówczas schował pod stołem pół tuzina butelek szampana i zatrzymał je jako swoją własność, a znalazłszy na ziemi storubłowy banknot, podjął go szybko i schował do kieszeni, gdzie też i pozostał.

— Tryfon Borysicz! — mówił Mitia. — Pękł nam wtedy niejeden tysiączek, pamiętasz?

— Oj, pamiętam gołąbku. Jak tu nie pamiętać. Chwalić Boga, trzy tysiączki zostawiliście u nas w Mokroje.

— A teraz będzie to samo. — Objaśnił go Dymitr i, wyjąwszy z kieszeni swoją paczkę banknotów, podsunął ją pod nos oberżyście.

— A teraz słuchaj! i żebyś mi wszystko co do joty zrobił, jak każę. Za godzinę przybędzie tu wożek, pełen zapasów — wino, ciastka, zakąski, wszystko to natychmiast wypakować i przynieść do gospody. Tymczasem wziąć tę paczkę, co jest u Andrzeja na koźle, otworzyć natychmiast i szampan na stół podać. — Ale przedewszystkiem dziewki zawołasz! słyszysz! dziewki!, a zwłaszcza Maryę, żeby przyszła. — Zwrócił się do telegi i wyjął z pod siedzenia futerał z pistoletami.

— Teraz tobie zapłacić muszę za drogę mówił do Andrzeja. — Masz tu 15 rubli za przyjazd, a tu pięćdziesiąt na wódkę, jakiem przyrzekł. Za gotowość, za przyjaźń twoją, żebyś pamiętał o Dymitrze Karamazowie.

— Boję się, proszę pana, — zawahał się Andrzej, pięć rubli na szklankę herbaty przyjmę, jeżeli łaska, więcej nie, Tryfon Borysicz niech będzie świadkiem — niech się wielmożny pan nie gniewa, jeżeli głupie słowo powiedziałem.

— Czegoż się ty boisz? — pytał Mitia, obrzucając go wzrokiem. — No, w takim razie idź do dyabła, a masz tu pięć rubli i rzucił mu pieniądze. A teraz słuchaj, Tryfon Borysicz, wprowadź-no mnie cicho do gospody, tak by tamci nie widzieli żebym mógł na nich spojrzeć. — Gdzie oni siedzą? czy w błękitnym pokoju? — Tryfon Borysicz spojrzał niespokojnie na Mitię i jego pistolety, spełnił jednak żądanie. Wprowadził go ostrożnie do sieni, a sam wszedł do pierwszej izby, przyległej do tej, w której siedzieli goście i wyniósł z niej światło. Potem wprowadził cichutko Mitię, ustawił go w ciemnym kącie, tak, że ten mógł doskonale widzieć, co robią ci, których śledził. Ale Mitia nie wytrzymał długo w swoim ukryciu, zobaczył Gruszę i serce zaczęło mu się tłuc w piersiach, a w oczach pociemniało. — Grusza siedziała przy stole, a obok niej bardzo przystojny chłopak, młodziutki Kałganow. Grusza trzymała go za rękę i patrzyła mu w oczy, śmiejąc się, on zaś zdawał się opowiadać towarzystwu coś bardzo zabawnego. — Naprzeciw nich siedział na krześle gruby Maksymow, z drugiej zaś strony Gruszy, na kanapie — on, ten jej pierwszy, a z nim drugi jakiś nieznajomy.

Dymitr spojrzał uważnie na tego, którego uważał za swego rywala. Był to sobie gruby człowieczek, o szerokiej twarzy, widocznie niewielki wzrostem, palił fajkę i wydawał się czegoś zagniewany. Towarzysz jego zato cienki był, jak tyczka i nadzwyczajnie wysoki. — Dłużej nie chciał patrzeć i czuł w sercu chłód i oddech miał zaparty, postanowił wejść tam do nich, co też natychmiast uskutecznił.

— Ach Boże! — krzyknęła na jego widok Grusza, która go pierwsza zobaczyła.

Mitia szybko i wielkimi krokami zbliżył się do stołu.

— Panowie! — zaczął tak głośno, że prawie krzycząc, ale jąkając się przytem za każdem słowem — ja, nic. — Niech się pani nie boi! — zawołał nagle do Gruszy, która cofnęła się gwałtownie w tył z krzesłem i uczepiła się konwulsyjnie obu rękami ramienia Kałganowa. Ja... nie jadę tak-

że, wolno chyba podróżnemu zabawić tu z wami do rana, tylko do rana. — Z ostatniemi słowami zwrócił się do otyłego człowieczka, siedzącego na kanapie, z fajką w zębach, jakgdyby prosząc o pozwolenie.

— Pan daruje, — odparł tamten z godnością, ale my tu jesteśmy prywatnie, są przecież inne pokoje.

— Ach, to wy, Dymitrze Karamazow! — zawołał wtedy Kałganow. — O co pytacie? siadajcie tu z nami i koniec.

— Jak się macie, Kałganow, zawsze mówiłem, że z ciebie złoty, nieoszacowany człowiek, — odrzekł Dymitr, ściskając jego rękę.

—Aj! aj, co robicie, palce mi połamiecie, — zaśmiał się Kałganow. — Jak można tak mocno ściskać?

— On tak zawsze, — odezwała się wreszcie Grusza, z trochę jeszcze niepewnym uśmiechem. Doszła widocznie do przekonania, że Mitia nie będzie robił awantur, ale wpatrywała się w niego z ciekawością i niepokojem, nie wyobrażała sobie bowiem nigdy, że w ten sposób postąpi, czekała więc, co dalej będzie.

— Witam szanownego pana — odezwał się słodko gruby Maksymow. Mitia rzucił się do niego z wielką serdecznością.

— A i pan tutaj, bardzo, bardzo rad jestem, że pana widzę. Panowie... ja...

Tu znów zwrócił się do jegomościa z fajką, uważając go widocznie za główną personę.

— Leciałem tu jak strzała. Chciałem ostatni dzień i ostatnią godzinę mego życia spędzić w tem miejscu, w tem samem zupełnie miejscu, gdzie i ja także gościłem moją królowę. Daruj pan, — krzyknął znów, — przyleciałem tu, ale się nie bójcie. To ostatnia noc moja, wypijemy na zgodę. Zaraz tu wino przyniosą, pozwolisz, panie. Chce mi się wina, muzyki, szumu, gwaru. Niech będzie to samo, co wtedy. Niech wspomnę dzień radości mojej w tę ostatnią noc. — Ostatnie słowa uwięzły mu w gardle. Chciał coś jeszcze mówić, ale nie mógł i tylko tłumione jakieś krzyki wydzierały się z jego ust. Obcy pan patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jeżeli moja królowa niema nic przeciw temu — zaczął wreszcie.

— Co tam królowa! jaka królowa, dajcie już raz z tem pokój, — przerwała niecierpliwie Grusza. — Śmiesznie mi patrzeć na was i słuchać tego gadania. Siadaj, Mitia, tylko proszę cię, nie przestraszaj mnie niczem. Coś ty tam widział. Nie będziesz tak? co nie będziesz? jeżeli tak, to rada ci jestem.

— Ja, ja! Mnie się lękać? — zawołał nagle Mitia, wyciągając ku niej ręce. — O! możesz pani przejść, przejść mimo, nie stanę na zawadzie. — I potem ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, a nawet własnemu, zalał się nagle łzami, a opadłszy na krzesło chwycił za poręcz, jakby się go chciał trzymać.

— Ot, jaki ty jesteś! ot jaki! — zawołała zmieszana Grusza. — On i dawniej tak. Przyjdzie czasami do mnie, nagada coś, czego zrozumieć nie można, a raz tak samo płakał, jak teraz, nie wstyd, że to?... Gdyby choć było czego płakać — dodała z naciskiem.

— Ja... ja nie płaczę, — zwrócił się nagle Mitia i po chwili wybuchnął nerwowym, donośnym, wstrząsającym śmiechem.

— A teraz znowu to! No! Mitia, uspokój się — upominała go Grusza. — Bardzo jestem kontenta, żeś przyjechał, słyszysz, bardzo. Ja chcę, żeby on tu siedział z nami, — zawołała rozkazująco, jakby do całego towarzystwa, ale było widocznem, że słowa te odnosiły się wyłącznie do jegomościa z fajką, Chcę tego, chcę. A jeżeli on odjedzie, to i ja pojadę — dodała z błyszczącemi oczami.

— Wola mojej królowej jest dla mnie rozkazem, — odparł z galanteryą obcy pan, całując Gruszę w rękę. Proszę pana do naszej kompanii — rzekł uprzejmie do Miti. Ten chciał wystąpić znów z jakąś przemową, ale zamiast tego, wyrwało mu sie całkiem co innego.

— Wypijemy panie! co — zawołał niespodzianie.

Wszyscy się roześmieli.

— Chwała Bogu! — zawołała Grusza. — A ja już lękałam się, że on znów z jakąś mówką wyskoczy. Siadaj Mitia i nie waż mi się występować z żadnemi oracyami. A jeżeli przywiozłeś ze sobą szampana, to doskonale. Nie znoszę tych nalewek. Najbardziej cieszy mnie, żeś sam przyjechał. A skąd wziąłeś te pieniądze? Schowaj że je.

Mitia, który wciąż jeszcze trzymał w ręku swoje banknoty, zmieszał się uwagą Gruszy i schował je szybko do kieszeni, czerwieniąc się przytem mocno. W tej-

że chwili wszedł gospodarz, niosąc na tacy parę odkorkowanych butelek i kieliszki. Mitia wziął jedną z butelek, ale tak był roztargniony, że nie wiedział, zda się, co ma z nią począć, wyręczył go więc Kałganow i ponalewał wszystkim pełne kieliszki.

— Przynieśno jeszcze parę butelek! — zawołał na gospodarza Mitia, przyczem pochwycił z tacy jeden kieliszek i wychylił go pierwszy, nie pamiętając, że przed chwilą proponował obcemu panu wspólny toast, na zgodę. Po wypiciu wina nastąpiła w nim nagle zupełna zmiana. Z twarzy jego znikł bez śladu tragiczny i beznadziejny wyraz, z jakim był wszedł do pokoju, a natomiast pojawił się na jego ustach uśmiech naiwny i prawie dziecięcy, i patrzył przed siebie radosnym i nieśmiałym wzrokiem wybitego pieska, który na nowo przypuszczony został do łaski i wpuszczony do pokoju. Rozglądał się dokoła wesoło i jakby z wdzięcznością, a krzesło swoje przysunął do krzesła Gruszy, na którą patrzył z nieukrywanym zachwytem. Powoli przypatrywać się też zaczął z większą uwagą obu nowopoznanym panom. Pan, który siedział na kanapie, raził go cokolwiek swoją niedbałą postawą i fajką, której nie wypuszczał z ust.

— Cóż zresztą! — pomyślał — to bardzo dobrze, że on pali fajkę, widać tak trzeba.

Na obrzękłej, prawie już czterdziestoletniej twarzy owego pana tulił się malusieńki nosek, pod którym sterczały pretensyonalnie wywinięte do góry, farbowane widocznie wąsiki. Wszystkie te szczegóły nie wzbudzały w Miti najlżejszej odrazy, nawet peruka, licho widocznie zrobiona, której dwa kosmyki opadały na czoło, nie wydała mu się wcale rażącą. “Peruka, więc bardzo dobrze, to widocznie konieczne”, pomyślał znowu. Drugi nieznajomy, znacznie widać młodszy od swego towarzysza, siedział pod ścianą, przysłuchując się w milczeniu rozmowie i nie mieszając się wcale do towarzystwa. Ten uderzył tylko Mitię nieproporcyonalnie wysokim wzrostem. “Jak wstanie, sięgnie niezawodnie głową sufitu”, pomyślał. Przemknęło mu też przez głowę, że musi to być niezawodnie przyjaciel i obrońca siedzącego na kanapie pana, jak gdyby stróż bezpieczeństwa jego osoby. Ale i to wydało się Miti bardzo odpowiednie. Nie zrozumiał wprawdzie dokładnie zagadkowego tonu Gruszy, ale uczuł, że przebaczyła mu już, jest znowu dla niego łaskawa. Pozwoliła mu przytem siedzieć przy sobie, co wprawiło go w bezmierny zachwyt, a gdy obaczył, że raczyła umoczyć usta w winie, uczuł się u szczytu szczęścia. Dziwiło go tylko ogólne milczenie, które zapanowało nagle. Powiódł po towarzystwie oczyma, które zdawały się mówić: “I czemuż siedzicie tak panowie, lepiej zacznijcie jaką rozmowę.”

— Kałganow, jakby odgadując myśl jego, przemówił, ukazując na Maksymowa.

— Śmieliśmy się wszyscy z niego, bo plecie banialuki i kłamie, jak najęty.

Mitia spojrzał na Maksymowa i wybuchnął także krótkim, nerwowym śmiechem.

— Wyobraź pan sobie, opowiadał, że służył niegdyś w kawaleryi i miał ogromne powodzenie u kobiet. Mógłże on kiedy służyć w kawaleryi?

Kałganow rozumiał doskonale stosunek Miti do Gruszy, domyślał się też, jakie miało znaczenie przybycie nieznajomego pana. Mało go to jednak zajmowało i daleko lepiej bawił się towarzystwem Maksymowa i jego zmyślonemi opowiadaniami. Z Gruszą i towarzyszami jej spotkał się tu przypadkowo. Gruszę znał już dawniej i był nawet u niej parę razy, ale nie podobał się jej wtedy — dziś zato spoglądała na niego bardzo łaskawie, obsypując go względami, zwłaszcza do czasu przyjazdu Miti. Nie robiło to na nim jednak żadnego wrażenia. Kałganow był jeszcze bardzo młody, niespełna lat dwadzieścia. Miał bardzo sympatyczną twarz, z gęstwiną ciemno-blond włosów nad czołem i ślicznemi niebieskiemi oczyma. Zachowywał się i weselił jak dzieciak, mimo to oczy jego miały wyraz głęboki i rozumny, a chwilami patrzał nimi tak, jakgdyby nie słyszał nic z tego, co się naokoło niego działo, marząc o czemś dalekiem i bardzo swojem. To znów cieszył się bardzo i zapalał z powodu jakiejś drobnostki.

— Wyobraź pan sobie, wożę się z nim już cztery dni, od czasu, kiedy go pański brat wyrzucił z kolaski, tam w klasztorze. Zainteresował mnie wówczas i wziąłem go z sobą, ale kłamie tak bezwstydnie, że odwiozę go z powrotem.

— Kłamie? doprawdy, to bardzo zabawne — zawołał Mitia, którego wszystko radowało.

— Wyobraź pan sobie, był dwa razy żonaty — mówił dalej Kałganow.

— Nieinaczej — upewniał Maksymow. — Pierwsza moja żona oszukała mnie jeszcze przed ślubem: była kulawa, a taiła się z tem; podskakiwała wciąż, a ja myślałem, że to z wesołości. Po ślubie dopiero przyznała się. "Nóżkę — powiada — złamałam, jeszcze dzieckiem będąc, gdy skakałam przez rowy na łące."

— Teraz, podobno, prawdę mówi — zaśmiał się głośno Kałganow — a cóż pańska druga żona?

— Druga uciekła po ślubie z francuskim elegantem, a przedtem przepisała na siebie cały mój majątek i tak mnie zostawiła. "Tyś — powiada — człowiek wykształcony, dasz sobie radę i bez tego". To też wielebny jeden archirej powiedział mi raz, mówiąc o moich żonach. "Jeśli pierwsza twoja żona miała chód trochę niepewny, to zato druga okazała się aż nadto zwinna".

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kałganow zwłaszcza radował się jak dziecko, aż łzy mu w oczach stanęły.

— Posłuchajcie państwo — wołał. — Prawda, że kłamie, ale robi to jakoś poprostu, naturalnie, i za to go lubię. Niema w tem podłej chęci zysku, idzie mu to samo z siebie, taki już specyalny ma talent. Utrzymuje jeszcze — mówił dalej — że Gogol jego właśnie przedstawił w powieści "Martwe dusze". Pamiętacie państwo, jest tam pewien ziemianin Maksymow, którego niejaki Nodrow wysiec kazał rózgami, za co osądzony został w następnych słowach: "Za wyrządzenie obywatelowi Maksymowi czynnej zniewagi, przez wysieczenie go rózgami, w stanie nietrzeźwym". Tylko, że daty się nie zgadzają, bo to było w 1820 roku. No cóż, wysiekli pana, czy nie? — nalegał Kałganow z wielkim zapałem.

Trudno było zrozumieć, czemu cieszyły go tak bardzo brednie, które opowiadał Maksymow, Mitia jednak podzielał jego zachwyt przez sympatyę dla miłego chłopaka. Zato obcy panowie okazywali najwyższe znudzenie i lekceważącą pogardę.

— Która godzina? — zapytał jeden. Okazało się jednak, że żaden z nich nie posiadał zegarka.

— Czemu psujecie zabawę drugim? — krzyknęła Grusza z widocznem rozdrażnieniem. — Jeżeli was to nie bawi, to nie powód jeszcze, aby się drudzy mieli na śmierć zanudzać. No, czemuż zamilkliście? Opowiadaj dalej — wołała do Maksymowa.

Miti zaczęło się wreszcie w oczach rozjaśniać, zaczął rozumieć.

— Niema co tak bardzo opowiadać — podchwycił Maksymow z widocznem jednak zadowoleniem. — I ludzie i wypadki są przez Gogola zmyśleni, a właściwie przedstawieni w sensie alegorycznym.

— Za cóż was jednak wysiekli? — nalegał Kałganow.

— A! to zupełnie za co innego. Nie podobało się im to, że byłem uczeńszy od nich. Piliśmy razem w restauracyi, w licznem towarzystwie, a ja zacząłem sypać francuskiemi cytatami, które oni wzięli do siebie.

— I za to cię wysiekli?

— A za to, za wykształcenie moje. I za takie rzeczy ludzie mogą skrzywdzić niewinnego.

— E! dajcie temu spokój — przerwała Grusza. — Myślałam, że będzie co ciekawego, a to! — machnęła ręką z pogardą.

Słysząc to, Mitia przestał się natychmiast śmiać, jeden zaś z przybyłych powstał i chodzić zaczął po pokoju wielkiemi krokami, z miną człowieka, który znalazł się w niewłaściwej dla siebie kompanii.

— A ten się znów czego rozchodził? — syknęła ze złością Grusza.

— Możebyśmy znów zaczęli partyjkę — zaproponował Maksymow.

— Doskonała myśl — podchwycił Mitia. — Dawajcie karty i zaczynajmy.

— Późno już — zaprotestował pan z fajką.

— O tak, nie czas już zaczynać — potwierdził długonogi jego towarzysz.

— Cóż to znowu? — krzyknęła Grusza, na dobre już rozgniewana — dlaczegóż to dla was późno? Siedzą jak mruki i drugim jeszcze psują zabawę.

— Widzę, że bogini moja nie łaskawa dziś na mnie i to mnie smutkiem napełnia — przemówił sentymentalnie pan z fajką. — A zresztą, gotów jestem w każdej chwili — dodał, zwracając się do Miti.

— Dobrze, dobrze — zawołał Mitia, wydobywając z kieszeni swoje banknoty. — Mam zamiar przegrać do pana dużo, dużo, pieniędzy. Bierz więc pan karty i zakładaj bank.

— Najlepiej wziąć karty od gospoda-

rza, innemi grać nie będę — rzekł srogo mały pan.

— Od gospodarza? Bardzo dobrze. Podawać karty — rozkazał Mitia.

Płastunow zjawił się natychmiast, niosąc nierozpieczętowaną talię kart, zawiadomił też jednocześnie Mitię, że chóry ze wsi już nadeszły, a i żydkowie z cymbałami przybędą niebawem. Wtedy Mitia wybiegł do przyległej izby dla wydania rozporządzeń. Widząc to, gruby Maksymow pośpieszył także za nim.

— Pożycz mi pan pięć rubli — szepnął do Miti — chciałbym także postawić coś na kartę.

— Ależ, wybornie — zgodził się Mitia — masz pan tu dziesięć i zaczynaj, a gdybyś przegrał przychodź pan do mnie, dam zaraz więcej.

— Dziękuję — wołał radośnie Maksymow i pobiegł śpiesznie do sali, gdzie zasiadano już do gry.

— Na miejsca, panowie! — zapraszał jeden z przybyłych panów.

— Nie będę grał — odezwał się Kałganow — przegrałem dopiero co pięćdziesiąt rubli, dosyć na raz.

— Nie miał pan szczęścia, ale karta może się odwrócić — zachęcał wysoki pan.

— Ile stawiacie panowie? — pytał Mitia.

— Nie wiem jeszcze, może sto, może dwieście — odparł pan z fajką.

— Choćby milion — zaśmiał się Mitia. — Ja na początek stawiam dziesięć rubli.

— A ja rubelka na kobietkę, na damę czerwienną — dodał Maksymow i, wysuwając z niepokojem swoją damę, przeżegnał się skrycie pod stołem.

Wygrali obaj. Mitia podwoił stawkę. I szło tak dalej, ale zaczął przegrywać.

— Przestań pan grać — zawołał nagle Kałganow.

— Dlaczego? dlaczego? — bronił się Mitia, podwajając wciąż stawkę. — Owszem, idźmy dalej.

— Przegrał pan dwieście rubli, czy stawiasz drugich dwieście? — pytał jeden z panów.

— Stanowczo nie pozwolę panu grać dłużej — obstawał Kałganow.

— Cóż znowu? dlaczego? — upierał się Mitia — owszem, jedźmy dalej.

— Ależ! Pluń pan i rzuć! Wiem przecie, co mówię — nalegał Kałganow.

Mitia patrzył na niego zdumiony.

— Rzuć kartę Mitia, bo może on ma racyę, a zresztą i tak dosyć przegrałeś — odezwała się Grusza dziwnym jakimś głosem. Obaj obcy panowie powstali z miejsc, mocno obrażeni.

— Żartujesz pan — przemówił pan z fajką, czerwony z gniewu.

— Jak pan śmiesz — zawołał podniesionym głosem wysoki pan.

— Tylko nie krzyczeć i nie skakać sobie do oczu, jak koguty — krzyknęła Grusza.

Mitia spojrzał na nią i dostrzegł w jej twarzy coś, co go zastanowiło. Przyszła mu widocznie jakaś nowa myśl, bo zbliżył się do małego pana z fajką i, klepiąc go po ramieniu, zaproponował:

— Panie, dwa słowa, chodźmy do przyległego pokoju.

— Cóż takiego? — pytał ten.

— Zaraz się pan dowiesz, chodź tylko ze mną.

Mały pan zgodził się pod warunkiem jednak, aby wysoki jego towarzysz był także świadkiem rozmowy.

— Ależ i owszem, bardzo dobrze, jako stróż bezpieczeństwa — szydził Mitia.

— A wy gdzie? — pytała trwożnie Grusza.

— Za minutę wrócimy — zapewniał Mitia. I nagle na twarzy jego ukazała się odważna pewność siebie i wiara w przyszłość. Zupełnie inaczej wyglądał, gdy przed godziną tu wchodził. Przeszli do sypialni gospodarza, gdzie w kącie, na stoliku, paliła się mała świeczka. Usiedli tam naprzeciw siebie, wysoki pan stał przy nich, założywszy ręce z tyłu.

— Czem mogę służyć? — zapytał mały pan.

— Nie będziemy dużo gadali, w dwóch słowach wszystko skończę. Oto pieniądze — mówił, wydobywając z kieszeni swoje banknoty — trzy tysiące. Bierz je pan i jedź z nimi gdzie chcesz.

Pan utopił pytający wzrok w twarz Miti.

— Trzy tysiące? — pytał, porozumiewając się oczyma ze swym towarzyszem.

— Trzy, panie, trzy. Widzę, żeś ty rozumny człowiek. Bierz trzy tysiące i wynoś się do wszystkich dyabłów, wraz ze swym towarzyszem. I to na wieki, rozumiesz pan, na wieki. Oto temi drzwiami możecie panowie wyjść. Jeżeli palto macie, lub futra, to je wam zaraz wyniosę.

Konie wam zaprzęgnę i bądźcie zdrowi. A!

Mitia czekał niecierpliwie odpowiedzi, nie wątpił o dobrym jej skutku. Coś bardzo stanowczego przemknęło po twarzy pana z fajką.

— A pieniądze?

— Pieniądze tak. Tu pan dostaniesz pięćset rubli jako zadatek. A dwa tysiące pięćset dostaniesz pan w mieście. Przysięgam na honor.

Przyjaciele znów spojrzeli po sobie, twarz starszego przybrała wyraz surowy.

— Siedemset dam zaraz, do ręki, — nalegał Mitia z niepokojem, bo czuł, że sprawa jego gorszy bierze obrót. — Reszta leży u mnie w domu, nie wierzycie panowie? przysięgam, że mam ją przygotowaną.

Wówczas obaj panowie spojrzeli na niego z pogardą, w poczuciu obrażonej godności.

— I cóż jeszcze? — spytał ironicznie starszy.

— Fe wstyd! nie spodziewałem się — i splunął z oburzeniem, za jego przykładem splunął też i wysoki jego towarzysz.

— Spluwacie? — zawołał Mitia, bo się wam zdaje, że więcej wyciągniecie od Gruszy. — Oszusty!

Starszy pan poczerwieniał strasznie i wyszedł szybko, jakoby nie chcąc już słyszeć o niczem, za nim wyniósł się i jego przyjaciel — Mitia zmieszany postępował za nimi. Pewien był, że obaj powtórzą natychmiast wszystko Gruszy. Tak się też i stało. Starszy zbliżył się do niej i stanął przed jej krzesłem w teatralnej pozie.

— Panno Agrypino — zaczął — jestem do żywego doknięty. — Ale Grusza przerwała mu niecierpliwie.

— Daj mi pan spokój z Agrypiną. — Nazywam się Agrafia, albo lepiej jeszcze Grusza. — Proszę nie przekręcać mego imienia.

— Proszę pamiętać, pani Agrafio, że przybyłem tu z zamiarem zapomnienia o przeszłości, gotów byłem wszystko przebaczyć, wszystko darować. — Słysząc to Grusza skoczyła z miejsca w najwyższym gniewie.

— Ty mnie darować? ty mnie przebaczyć? jak śmiesz mówić mi takie rzeczy?

— Tak jest, pani Agrafio, chciałem rzucić zasłonę na przeszłość, i wziąć cię za żonę, bo nie jestem człowiekiem ciasnym.

— Ale tu spotykam kochanków twoich, którzy wprowadzają mnie w zdumienie. Oto ten pan — mówił, wskazując na Mitię — proponował mi trzy tysiące, bylebym cię odjechał.

— Co, pieniądze za mnie dawał — krzyknęła Grusza, oburzona. — Mitia! czy to prawda? Jakżeś ty śmiał? Czy mnie można sprzedawać?

— Słuchaj pan, — wołał Mitia — ona czysta i bez skazy, nigdy nie byłem jej kochankiem.

— A ty? jak śmiesz mnie bronić? kto ci dał do tego prawo? Jeżeli byłam czysta, to nie z cnoty, ani z obawy przed Samsonowem, a dla tego, żeby módz temu oto powiedzieć, że jest podły. I on naprawdę pienię dzy za mnie nie wziął?

— Ale chciał, chciał, tylko wszystko odrazu, całe trzy tysiące, a ja mogłem mu dać tylko siedemset rubli jako zadatek — podchwycił szybko Mitia.

— Rozumiem teraz. Dowiedział się, że mam pieniądze, i dla tego przyjechał i żenić się chce ze mną.

— Panno Agrypino jestem człowiekiem honorowym i chciałem cię wziąć za małżonkę, ale spotykam, zamiast mojej dawnej Gruszy, kobietę zupełnie nową, upartą i bezwstydną.

— A to się wynoś tam, skądeś przyjechał! nikt cię tu nie zatrzymuje — krzyknęła Grusza do ostatka wzburzona. — Acha! głupia! jakaż ja byłam głupia, żeby się pięć lat tak zadręczać z jego powodu. — Czyż to o niego mi chodziło? urazę moją kochałam i mękę moją, a nie jego. — Czyż to on zresztą? Wygląda na swego własnego ojca. Skądżeś ty wziął tę perukę? — Tamten był sokół, a to kogut ociężały. — Tamten śmiał się i piosnki mi śpiewał, a ten! I dla niego pięć lat łez i męczerni! Och! głupia jestem marna i przeklęta kobieta.

Opadła na krzesło, zakrywszy twarz rękami W tej chwili dał się słyszeć w sąsiedniej izbie wiejski chór zebranych już tam dziewek. Rozbrzmiała skoczna, wesoła, hulacka pieśń.

— Cóż to? Sodoma? — zawołał z oburzeniem wysoki pan. — Gdzie gospodarz! Proszę mi to zaraz rozpędzić na cztery wiatry.

Gospodarz, który dawno już zaglądał przeze drzwi, słysząc, że goście się kłócą, wszedł natychmiast do izby.

— A cóż to panu potrzeba i czego pan krzyczy? — Zwrócił się do obcego pana, tonem dziwnie aroganckim.

— Bydlę! — wrzasnął obrażony.

— Niewiem, kto bydlę — odparł zuchwale Tryfon Borysicz. — Jakiemi kartami graliście tylko co? — Ja przyniosłem nierozpieczętowaną talię, a wy jej nie ruszyliście i graliście znaczonemi kartami. — Za to na Sybir można pójść, tak samo, jak za fałszowanie pieniędzy. Oto są moje karty — dodał, wydobywając je z za poręczy kanapy, gdzie były zatknięte — wy nie panowie, a szachraje.

— Boże! jaki wstyd — jęknęła Grusza, rumieniąc się istotnie ze wstydu — boże jedyny, jaki się z niego człowiek zrobił!

— Ja także widziałem, jak jeden z tych panów dwa razy kartę przesunął — dodał Kałganow.

— I mnie się coś zdawało, ale nie byłem pewny — dorzucił Mitia. Nie skończył jeszcze gdy młodszy z obcych przybyszów stanął przed Gruszą, wygrażając jej pięścią i rzucił jej obelżywe wyzwisko! Zaledwie się to stało Mitia rzucił się na niego i, objąwszy go obu rękami wyniósł do sypialnej izby, tej samej, gdzie się przed chwilą układali. — Powrócił natychmiast wołając: — Kanalia wydzierał mi się z rąk, ale nie wróci już tu, na pewno, o! nie wróci.

Stanął przy drzwiach, przytrzymując jedną ich połowę, drugą zaś uchylił, wzywając gestem starszego pana. — Niechże i pan będzie łaskaw, proszę bardzo, wolna droga — zachęcał.

— Dymitrze Fedorowiczu — zauważył Tryfon Borysicz — odbierzcie im wpierw pieniądze któreście do nich przegrali, przecież to jak kradzione.

— Ja im daruję moje pięćdziesiąt rubli — zawołał Kałganow.

— A ja moje dwieście — dodał Mitia — niech służą im na pociechę.

— Mitia! tyś dzielny chłopak — zawołała Grusza, a jakaś dziwna nuta zadźwięczała w jej głosie.

Starszy pan, purpurowy z gniewu, wahał się jeszcze, nie tracąc jednak godnej swojej postawy.

— Pani! jeżeli chcesz, możesz jeszcze pójść ze mną, jeżeli nie, bywaj zdrowa — przemówił patetycznie do Gruszy.

Po wszystkiem, co zaszło, nie stracił jeszcze nadziei, że Grusza pójdzie za nim. — Tak wysokie było jego mniemanie o sobie.

I poważnie, spokojnie, jak przystało, na człowieka z charakterem, przeszedł do sąsiedniej izby.

— Zamknij ich na klucz, — radził Kałganow. Ale w tejże chwili klucz zazgrzytał w zamku, przybysze zamknęli się sami od wewnątrz.

— A to doskonale! — krzyknęła za nimi Grusza. — Tędy ich droga.

Teraz dopiero hulanka rozpoczęła się na dobre. — Gruszeńka zażądała pierwsza, żeby jej podano wina. — Pić chcę! upić się do niepamięci! — wołała. — Jak wtedy! pamiętasz Mitia, gdyśmy się z sobą poznawali. — Mitia był jak w gorączce, ale przeczuwał już swoje szczęście. — Grusza tymczasem posyłała go wciąż pod rozmaitymi pretekstami. — Idź tam do nich, traktuj, powiedz! niech się weselą! niech tańczą! Niech tańczy wszystko, żywe i nieżywe, jak wtedy! — Była wciąż w najwyższem podnieceniu. Mitia biegał na wszystkie strony, spełniając jej polecenia. W jednaj izbie śpiewały chóry — w drugiej rozpoczęły się tańce przy dźwiękach żydowskiej muzyki.

Gruszeńka usiadła na progu, między dwoma izbami, skąd mogła jednocześnie przypatrywać się tańcom i słuchać chóralnych śpiewów. Dymitr postawił jej tam krzesło aby wszystko odbyło się zupełnie tak samo, jak wtedy. Dziewki zgromadziły się w komplecie, a co najważniejsza, nadciągnął tak oczekiwany wózek z zapasami. Mitia uwijał się i miotał na wszystkie strony. Do izby wchodził, kto chciał. Chłopi przejezdni, wszystkie baby ze wsi, rozbudzone ze snu wiadomością o wspaniałem ugoszczeniu, takiem samem, jak wtedy. Mitia pozdrawiał wszystkich, witał się ze znajomymi mu z poprzedniej hulanki, całował chłopów w oba policzki, częstował ich i poił. Co chwila kazał otwierać butelki z coraz to nowymi gatunkami wina. Dziewki piły z ochotą szampana, chłopi nie smakowali w niem i raczyli się chętniej koniakiem, rumem i gorącym ponczem. Mitia kazał ugotować parę kociołków czekolady i nastawić trzy samowary, które kipieć miały przez całą noc, do herbaty i ponczu. Tłum zwiększał się coraz bardziej, zrobiło się szumnie, głośno, bezładnie, i to właśnie zachwycało Mitię czuł się zupełnie

w swoim żywiole. Im szaleniej, nieporządniej szła zabawa, tem się czuł szczęśliwszy i weselszy. Rozdawał pieniądze chłopom na każde żądanie, gotów, zda się, opróżnić dla każdego całą swoją kasę.

Na szczęście, zacny Tryfon Borysicz krążył wciąż koło niego, czuwając i strzegąc go po swojemu. On jeden nie był pijany, wychyliwszy jedną tylko szklaneczkę ponczu, i w chwilach stanowczych występował z rozsądną interwencyą, powstrzymując i ograniczając lekkomyślne marnotrawstwo swego gościa. Nie dawał mu obdarowywać chłopów kosztownymi cygarami, a zwłaszcza pieniędzmi, i załamywał ręce na widok bab i dziewek, zapijających czekoladę i likiery i opychających się cukierkami.

— Co robicie, Dymitrze Fedorowiczu? — wołał zgorszony. — Brudne to wszystko, robaczywe, taką kolanem w plecy, to jeszcze powinna sobie za honor uważać, a nie łakociami się obżerać. — Ale Mitia nie słuchał tego, a tylko troszczył się wciąż o Andrzeja, który go tu przywiózł. — Gdzie Andrzej? — wołał żałośnie i słabym już głosem. — Wyrządziłem mu obrazę i muszę go przeprosić. Zawołajcie mi go.

Kałganow boczył się z początku, śpiewy i tańce nie zachwycały go wcale, a i pić nie chciał. Pomału jednak, po jednym i drugim kieliszku szampana rozchmurzył się zupełnie i spacerował wielkimi krokami po izbach, z nieodstępnym Maksymowem. Gruszeńka, także już cokolwiek podchmielona, ukazywała wciąż na Kałganowa, wołając do Miti:

— Patrz tylko, jaki on śliczny, cudny chłopak, powiadam ci.

Słysząc to, Mitia biegł do Kałganowa, ściskał go i całował, jak również grubego Maksymowa. Przeczuwał już swoje szczęście. Wprawdzie Grusza nic mu jeszcze nie powiedziała, ale widocznem było, że ma już coś na myśli, a tylko się powstrzymuje. Naraz ujęła go mocno za rękę i przyciągnęła do siebie. Sama siedziała wówczas na krześle w progu.

— Słuchaj, Mitia! Jakieś tu przyjechał, coś ty sobie myślał? Chciałeś ustąpić mnie tamtemu, czy naprawdę?

— Szczęścia twego gubić nie chciałem — jąkał Mitia, nieprzytomny prawie ze szczęścia. Ale ona nie takiej chciała odpowiedzi.

— No! idź, wesel się — odsyłała go od siebie — a nie smuć się, zaraz cię znów zawołam.

I on odchodził, ona zaś siedziała, słuchając śpiewów, ale goniła za nim wzrokiem wszędzie, gdzie się obrócił. Po kilku minutach przyzywała go znowu.

— No, siadaj teraz koło mnie, — rozkazywała — powiedz, jakże to było wczoraj, gdyś się dowiedział o moim wyjeździe. Kto ci pierwszy powiedział?

I Mitia opowiadał bezładnie, porywczo, opowiadając, zaś, chmurzył się często i brwi marszczył.

— Czego się chmurzysz? — pytała.

— To nic! Zostawiłem tam jednego chorego biedaka, o! gdyby on wyzdrowiał, gdyby mógł wyzdrowieć, dziesięć lat życia oddałbym za to.

— Bóg tam z nim! z tym twoim chorym. Więc miałeś zamiar zastrzelić się dziś o świcie? I czego- czego? Głupi, szalony chłopcze! Ale nie bój się, ja lubię takich waryatów — bełkotała cokolwiek już ociężałym językiem. — Więc tybyś dla mnie na wszystko się ważył. I naprawdę chciałeś się zastrzelić jutro? Czekaj! ja ci jutro takie słówko powiem, ja wiem, tybyś wolał dzisiaj, ale nie, poczekaj do jutra, a teraz idź tam do nich, baw się.

Potem przyzwała go raz jeszcze, jakgdyby niespokojna.

— Słuchaj, tobie coś jest, smutny jesteś, już ja to widzę. Całujesz się z chłopami i krzyczysz, a ja przecie widzę, żeś nie swój — mówiła, patrząc mu bystro w oczy. — Kiedym ja szczęśliwa, to i ty musisz być szczęśliwy. Wiesz! tu jest pewien ktoś, którego ja kocham. Zgadnij, zgadnij, kto to być może? Aj, aj! Patrz-no tylko, jak tam mój mały usnął. W główce mu się zawróciło i śpi, chłopak serdeczny. Patrz.

Mówiła o Kałganowie, który istotnie podchmielił sobie porządnie i usnął nagle na kanapie. Zmęczył się nietylko może winem, ale i zabawą, do której nie przywykł i która mu była nie do smaku. Znudziły go i tańce, i śpiewy dziewek, które stawały się coraz bardziej wyuzdane. Zaczęły się dzikie jakieś zabawy. Dwie dziewczyny udawać zaczęły niedźwiedzia, a trzecia, krzepka jak dębczak, Stefania, popędzała je kijem, pokazując je niby publiczności. "Żywo, Marusia, żywo! — wołała — bo pałka będzie w robocie!"

Dziewczęta wyprawiały różne skoki, a wkońcu legły bez przytomności na podłodze, przy grzmiącym śmiechu zgromadzonej publiczności. "Niech tam sobie, — mówiła Grusza, z pobłażliwym uśmiechem — napracuje się to dzień cały, czemu się nie mają poweselić".

Ale młody Kałganow otrząsał się ze wstrętem, jakby się czemś pobrudził.

— Świństwo to wszystko — zauważył, odchodząc. — Nie lepsza im zabawa słońca rannego czekać na polu w letnią noc? — Było tam już istotnie dużo miejskich naleciałości. — I to ma być poezya ludowa? — mówił oburzony. — Wkrótce zaczną śpiewać o cyrkowych tresurach i komiwojażerach żydowskich.

I, prawie obrażony, oświadczył, że mu jest smutno, usiadł i pomału zasnął.

Piękna twarz jego, odchylona na poręczy kanapy, pobladła cokolwiek.

— Patrz, jaki on milusieńki — mówiła Grusza, podchodząc w towarzystwie Miti do drzemiącego Kałganowa. — Rozgarniałam mu te jego włosy, takie śliczne, miękkie, a jasne jak len.

Mówiąc to, pochyliła się nad nim pieszczotliwie i pocałowała go w czoło. Chłopak otworzył oczy i spojrzał na nią, a poznawszy, zerwał się z miejsca i pytał zakłopotany, gdzie Maksymow?

— Ot! kogo jemu potrzeba! — zaśmiała się Grusza. — Posiedź-że lepiej ze mną choć minutkę. Mitia, ty jemu zawołaj tylko Maksymowa.

Okazało się, że Maksymow dotrzymywał nieodstępnie towarzystwa dziewczętom, posilał się też wraz z niemi czekoladą i słodkiemi likierami. Nos mu poczerwieniał, a na twarz wystąpiły granatowe plamy. Zawołany, przybiegł natychmiast i oświadczył, że ma zamiar wykonać solowy taniec, którego uczono go jeszcze w dzieciństwie.

— Taniec łyżwiarzy — mówił, mrużąc słodko rozpite swoje oczka, — tańczyłem go, kiedy byłem jeszcze taki maleńki.

— To idź tańczyć, — mówiła Grusza — a ja tu sobie posiedzę z Kałganowem i stąd patrzeć będziemy.

— O nie, i ja także pójdę patrzeć zblizka — zawołał naiwnie Kałganow, nie zważając, że w ten sposób odrzuca zaprosiny Gruszy, aby z nią chwilkę posiedzieć.

Poszli więc wszyscy patrzeć, jak tańczy Maksymow, ale okazało się, że cały taniec polegał na pewnych podrygach górnej części ciała w kierunku nóg, które znów tancerz odwracał co chwila podeszwą do góry, uderzając o nią dłońmi.

Kałganow zauważył, że niema w tem nic ciekawego, przeciwnie Mitia, który się dziś wszystkiem radował, wycałował Maksymowa na podziękowanie i zapytywał go troskliwie, czy nie zmęczony, nie głodny i czyby się czem nie posilił.

— Może cygarko chcesz wypalić? albo konfitur zjeść?

— Papierosika proszę.

— A wypić czego nie chcesz?

— Napiłem się już do syta likierów, ale czekoladek z likierami zjadłem trochę.

— A bierz, kochany, ile chcesz. Patrz, cały wór wysypany na stole. Wybieraj, co chcesz, gołębia duszo.

— Chciałbym waniliową czekoladkę, taka najlepsza dla starych. Chi, chi...

— A nie wiem, może są i takie.

— Posłuchajcie, Dymitrze Fedorowiczu — szeptał poufnie Maksymow, nachylając się do ucha Miti. — Czy nie mógłbym za waszem szlachetnem pośrednictwem zawrzeć znajomość z jedną z tych dziewczątek, Marysia jej na imię. Chi, ch...

— Tego ci się, bratku, zachciało? Toś się źle wybrał, tego nie można.

— Ja nikomu krzywdy nie czynię — szepnął posępnie Maksymow.

— Nie, nie! Nie po to tu się zebraliśmy. Pić, jeść i tańcować możesz, ile ci się podoba, reszta mnie, do dyabła, nic nie obchodzi. Może ci pieniędzy potrzeba?

— To potem, jeśli wasza łaska — uśmiechnął się Maksymow.

— Dobrze, dobrze

Mitia czuł, że mu gore w głowie.

Wybiegł do sieni, a stamtąd na ganek i stał tak chwilę, poddając się świeżemu chłodowi nocy. Chłód ten orzeźwił go. Stał tak sam jeden w ciemności i nagle chwycił się obu rękami za głowę. Rozpierzchłe jego myśli i uczucia zaczęły się skupiać, a ze skupienia tego trysnęło nagle światło przerażające, straszne. "A gdyby tak zastrzelić się natychmiast? Kiedyż, jak nie teraz?" Pójdzie po pistolety i zastrzeli się tu w tem samem miejscu i wreszcie będzie wszystkiemu koniec. Wczoraj jeszcze, gdy leciał tutaj, zostawiając za sobą hańbę, zbrodnię i tę krew przelaną, było mu jednak o wiele lżej. Wtedy życie było już dla niego skończone, ona stracona na zawsze, zgubiona, oddana innemu. Wtedy łatwo mu by-

ło myśleć o samobójstwie, taki koniec zdawał się być nieuchronny, konieczny, naturalny, Ale dziś? dzisiaj to widmo rozwiało się bez śladu. Ów straszny człowiek, ukochany Gruszy, pierwszy jej, najważniejszy, jedyny, stał się naraz czemś tak błahem, śmiesznem i nieznaczącem, nad czem nie godziło się nawet zatrzymywać myśli. Było to coś, co można było wynieść do drugiego pokoju i na klucz zamknąć, skąd już więcej nie wróci. Grusza wstydzi się przeszłości, a z oczu jej widać aż nadto, kogo dziś kocha. Więc teraz dopiero zaczyna się naprawdę życie. Ale czyż wolno mu żyć?

Nie wolno, nie, on przeklęty. "O Boże, oddal odemnie tę rozpacz. Wszakże ty robisz cuda, Panie, dla takich, jak ja, grzeszników. Więc spraw to, spraw, niech starzec żyje, a wówczas ja nie będę mordercą. Hańbę skradzionych pieniędzy potrafię zmyć i zgładzić. Znajdę je choćby pod ziemią i zwrócę, komu należy. Śladu nie zostanie hańby i wzgardy, w której żyłem dotąd. Ale nie! o nie! to podłe, małoduszne rojenia. Przeklęty, przeklęty jestem".

Mimo to wszystko, czuł, że jasny promyk nadziei świeci mu jednak w tych ciemnościach.

Coś rwało go z powrotem do tych izb, gdzie królowała ona, władczyni jego życia. "Czyż jedna godzina jej miłości nie warta całego choćby życia męki i hańby?" Taka myśl dzika chwyciła go za serce. "Do nóg", tam do niej, byle ją widzieć, byle słuchać jej głosu. Poza tem nie myśleć o niczem, o wszystkiem zapomnieć, chociażby na noc jedną, na tę jedną noc.

W progu natknął się na wychodzącego Tryfona Borysicza, który wyglądał czegoś posępnie, jakby mu coś dolegało.

— Ty czego, Borysicz? szukałeś mnie może?

— Nie, nie pana, a pocóżbym miał was szukać — odparł oberżysta jakby niechętnie. — A pan skąd wraca?

— A ty czego taki? Gniewasz się może, że zabawa trwa tak długo? Poczekaj, za chwilę skończymy.

— Ale proszę, proszę, jak najdłużej. Ile państwo sobie życzą.

"Co mu się stało?" pomyślał Mitia, wbiegając do izby, gdzie pląsały dziewki.

Miał nadzieję znaleźć tam Gruszę, ale jej nie było. Wreszcie odszukał ją za firanką, siedzącą w kącie, obok łóżka. Oparła twarz na dłoniach i płakała gorzko, mimo, że było widoczne, że wstrzymuje się, jak może, aby jej kto nie usłyszał. Obaczywszy Mitię, przyzwała go do siebie i ścisnęła mocno za rękę.

— Ach! Mitia, Mitia! Gdybyś wiedział, jak ja go kocham — zaczęła szeptem. — Kłamałam mówiąc, że kochałam tylko urazę moją, kochałam jego, przez całe te pięć lat. Miałam wtedy lat dziewiętnaście, a on taki był ze mną czuły, słodki, takie mi śpiewał piosenki. I sam inny był, zupełnie inny, nawet z twarzy nie poznałabym go dzisiaj.

Jadąc tu, myślałam wciąż, jak go przywitam, co mu powiem, a on ceber pomyi wylał na miłość naszą. Myślałam z początku, że to ten wysoki drągal, towarzysz jego, krępuje go tak, że mówić ze mną nie śmie, i dziwiłam się, co to jest, że i ja sama nie mam mu nic do powiedzenia.

Czy wiesz? to ta żona go spaskudziła. Ta żona jego, dla której zdradził mnie i porzucił. Ona go przemieniła. Mitia, jaki wstyd, o jak wstyd tych pięciu lat, przepłakanych napróżno. Przeklinam je! o przeklinam.

I znów zalała się łzami, nie puszczając jednak ręki Miti.

— Mitia! gołąbku! Nie odchodź jeszcze, powiem ci jedno słówko, — szepnęła, podnosząc twarz ku niemu. — Powiedz mi, kogo ja kocham? Jest tu pewien człowiek, którego kocham, ale który? Ty tylko powiedzieć mi potrafisz. — Na twarzy jej nabrzmiałej od płaczu, zaigrał uśmiech, a oczy jej błysnęły w ciemności. — Jakieś ty wszedł sokole, wtedy jeszcze, gdyś tu przyjechał, serce we mnie zamarło, a potem szepnęło mi wnet "Głupia! oto ten którego kochasz". Wszedłeś i wszystko wyjaśniło się nagle. Aleś ty się bał. "Czego on się boi? myślałam?"

—A byłeś taki zalękniony, że słowa nie potrafiłeś wyrzec. Przecież ty nie z tych, coby się kogo mogli lękać. Mnie się on boi, — pomyślałam, tylko mnie. A przecież kazałam ci powiedzieć przez Aloszę, że kochałam cię raz, całą godzinę. I ja głupia mogłam myśleć, że po tobie będę mogła kochać kogo innego. Czy przebaczysz, Mitia? Czy mi darujesz? Czy mnie kochasz? Czy kochasz?

Zerwała się z miejsca i położyła mu ręce na ramionach; Mitia, niemy ze szczęścia, patrzył jej w oczy, patrzył na twarz

jej, na uśmiech, aż naraz porwał ją w objęcia i całować począł.

— A przebaczysz, że ci tak dokuczałam? Że złości to robiłam. Ze złości, starego twego doprowadziłam do utraty rozumu. Pamiętasz, jakieś ty raz u mnie pił, a potem rzuciłeś o ziemię kieliszkiem i roztłukłeś go?

Zapamiętałam to sobie, i dziś, jadąc tutaj, roztłukłam także kielich za podłe serce moje. Mitia! sokole! czemu mnie nie całujesz? Pocałował raz i przestał, patrzy tylko i słucha. Co mnie masz słuchać? Całuj, całuj mocniej, ot tak, jak kochać, to kochać! Niewolnicą twoją będę teraz, na życie całe. O, jak słodko niewolnicą być. Całuj mnie, dręcz, bij, rób ze mną co chcesz. Stój, poczekaj, potem, nie chcę teraz. Idź precz Mitia! Pójdę wpierw wina się napić. Upić się chcę, a potem tańczyć, tak tak.

Wyrwała się z jego objęć i przeszła do sąsiedniej izby, Mitia za nią. "Niech się teraz stanie, co chce, myślał, za taką minutę życie warto oddać". Grusza wypiła istotnie jeszcze szklankę szampańskiego wina i upoiła się niem natychmiast. Policzki jej zapłonęły, usta rozgorzały, a oczy wprzód błyszczące, zaszły jakby mgłą i wabiły ku sobie namiętnie. Nawet Kałganowa coś, jakby ugryzło w serce i zbliżył się sam do niej.

— A czułeś ty? jak pocałowałam cię, gdyś tam spał na kanapie, — pytała. — Upiłam się, ot co, a ty jeszcze nie pijany? A ty Mitia, czemu nie pijesz?

— Ja i tak pijany, upoiłem się tobą, ale i wina się napiję.

Wypił szklankę i uczuł się natychmiast pijany, aż się mu to samemu dziwnem wydało, gdyż aż do tej godziny był zupełnie trzeźwy. Wszystko kołować mu zaczęło w oczach, chodził po izbie, śmiał się, zagadywał do różnych ludzi, a wszystko nieprzytomnie, jak w gorączce. Jeden tylko kącik pozostał nietknięty w jego świadomości, jak to sam później zeznawał. — Ona. Podchodził ku niej, siadał obok, słuchał jej głosu i patrzył na nią. Ona zaś siedziała na krześle, na zwykłem miejscu i roztkliwiała się. Przyzywała wszystkich do siebie, dziewczęta całowała, gdy która do niej podeszła, albo niekiedy żegnała je ręką. Chwila jeszcze, a wybuchnęłaby łkaniem. Bawił ją bardzo starowina, jak nazywała Maksymowa. Ten podbiegał co chwila do niej i całował ją po rękach, każdy paluszek z osobna. Potem wykonał jeszcze jeden solowy taniec, przy akompaniamencie piosenki, którą sam śpiewał.

— Daj mu co Mitieńka, podaruj mu co, on biedny, potrzebujący, — prosiła Grusza. — Och! biedni ci, którym się krzywda dzieje. — Wiesz, Mitia, ja do klasztoru pójdę. Alosza powiedział mi dziś takie słowa, że mi na życie starczą. — Dziś szaleć jeszcze będę, ale jutro do klasztoru. — Dziś szaleć chcę. Ludzie dobrzy, cóż to złego? Bóg daruje. O ja! gdybym mogła, tobym wszystkim, wszystkim darowała. Pójdę po świecie i wszystkich będę o przebaczenie prosić. — "Dobrzy ludzie, powiem, darujcie głupiej babie, ot co!" — Zwierzę ja byłam, to i cóż, modlić się chcę, ot co. Dobrze żyć na świecie. Ach, Mitia niech się oni bawią. Ludzie dobrzy są, wszyscy, co do jednego. Nędzni my wszyscy, a przecie dobrzy. I ja dobra jestem. Chodźcie tu wszyscy do mnie i powiedzcie, pytam was, dlaczego ja taka dobra jestem. — Tak bredziła Grusza, coraz mniej przytomna, aż wreszcie oświadczyła stanowczo, że i ona musi zatańczyć. Wstała z krzesła, ale nie mogła utrzymać się na nogach. — Mitia nie dawaj mi więcej wina, wszystko krąży dokoła mnie, i piec i pokój cały. Ale przecie będę tańczyć, i niech patrzą, niech wszyscy patrzą jak ja tańczę.

Zamiar to był zupełnie poważny. Wyjęła z kieszeni batystową chusteczkę, a ująwszy ją za jeden koniuszczek, poczęła nią powiewać. Wszyscy ucichli, przysposabiając się do ciekawego widoku, a Maksymow, w zachwycie, przybiegł i zaczął przed nią podrygiwać. Ale Grusza odpędziła go chusteczką.

— No, cóż, Mitia, czemu nie idą patrzeć Zawołaj i tamtych, pocóż ty ich zamknął. Otwórz, niech tu przyjdą patrzeć, jak ja tańczę.

Mitia posłuszny, począł walić pięściami do zaryglowanych drzwi.

— Hej wy! goście, chodźcie i wy tutaj, ona tańczyć będzie i was woła.

— Łajdaki! — zabrzmiała odpowiedź z za drzwi.

— A wy podłajdaki, ot co!

— Dajcie im pokój — zauważył Kałganow, mimo, że sam niepewnie się trzymał na nogach.

— Cicho bądź, smarkaczu mały, cu-

kierki sobie zajadaj, a do nas się nie mieszaj.

— Cóż to? czemu oni pogodzić się z nami nie chcą, — żaliła się Grusza i, wyszedłszy na środek izby, chciała wreszcie rozpocząć taniec.

Dziewki zaśpiewały chórem jakąś okrężną melodyę, ale Gruszy siły nie dopisały.

— Słaba jestem, nie mogę — wyrzekła zmęczonym głosem. — Przepraszam bardzo, ale sił nie mam.

I kłaniać się zaczęła na wszystkie cztery strony, — powtarzając: Przepraszam zawiniłam.

— Upiła się paniusia, — powtarzały ze współczuciem baby, kiwając głowami.

— Upiła się — powtarzał rozpromieniony Maksymow.

— Mitia! odprowadź mnie — prosiła Grusza. I Mitia pochwycił ją na ręce i uniósł skarb swój do przyległej izby, gdzie złożył ją na kanapie, sam zaś ukląkł obok.

— Już czas na mnie, — pomyślał Kałganow, i wyszedł, zostawiając za sobą drzwi szeroko otwarte. Ale w izbie zabawa ciągnęła się dalej, szumna i hałaśliwa.

— Mitia, — mówiła Grusza słabym głosem. — Przyrzekłam ci i będę twoją, ale teraz zostaw mnie samą.

— Bądź spokojna, — szeptał Mitia, i pozwól, — mi zostać przy sobie. Połączymy się już na zawsze, nie teraz, oczywiście nie teraz. — I klęczał wciąż przy niej, nie wypuszczał jej z objęć.

— Ja wiem, ty jesteś zwierz, ale szlachetny człowiek, Teraz będziemy już żyli uczciwie, wszystko musi być uczciwie, — mówiła Grusza, ale słowa plątały się jej na ustach.

— Zabierz mnie Mitia i wywieź, wywieź daleko stąd, tu żyć nie chcę. A tylko daleko, daleko.

— Tak, tak — potwierdził Mitia, przyciskając ją mocniej do piersi, — zabiorę cię i pojedziemy. Ulecimy stąd oboje. Życie całe oddam za jeden rok przy tobie. Życie całe. O! gdyby tylko nie ta krew.

— Jaka krew? — Pytała zdziwiona Grusza.

— Nic, nic, — zgrzytnął zębami Mitia.

— Słuchaj! ty chcesz, żeby teraz było wszystko uczciwie, a ja złodziej jestem. Ukradłem pieniądze Kati. Hańba! hańba.

— Kati, tej pannie twojej. Ależ tyś ich nie ukradł. A zresztą, weź odemnie i oddaj jej... I czego krzyczysz? Teraz co moje, to twoje. Na co nam pieniądze? Mamy, to je wnet przepuścimy. Tacyśmy już oboje. Pójdziemy lepiej z tobą ziemię orać. Ja temi oto rękami ziemię kopać będę. Pracować musimy oboje. Słyszysz? Alosza tak kazał. Ja ci nie kochanką będę, a sługą wierną, niewolnicą twoją. Pracować na ciebie będę.

Pójdziemy do tej twojej Kati i pokłonim się jej oboję, prosząc, żeby nam darowała. A jak nie zechce, to się bez tego obejdzie. A ty pieniądze jej odnieś i kochaj mnie. A jej, żebyś się nie ważył kochać, bobym ją zadusiła, oczy bym jej szpilkami wykłuła.

— Ciebie kocham, ciebie jedną i na Sybirze kochać cię będę.

— Czemuż na Sybirze? Niech i na Sybirze, jeśli tak chcesz. I tam pracować będę. Tam śnieg. Lubię jechać sankami po śniegu, i żeby dzwonki dzwoniły dzień, dzień. Ot i teraz dzwonią. Ktoś tutaj jedzie. Słyszysz? Słyszysz? Ot i przestało dzwonić.

Bezsilna, zamknęła oczy i usnęła na chwilę. Mitia skłonił głowę na jej piersi i nie zauważył dzwonków, które istotnie zbliżały się coraz bardziej, a teraz nagle zamilkły.

Nie zauważył również, że w chwili po ucichnięciu dzwonków, ucichły też pieśni i cała pijacka wrzawa w sąsiedniej izbie, i naraz zapanowała tam zadziwiająca, martwa cisza. Grusza otworzyła nagle oczy.

— Co to? — pytała — co to? Czemu tak cicho? Spałam i miałam sen. Jadę niby po śniegu, z człowiekiem kochanym, jadę z tobą niby. A śnieg taki biały i zimno, zimno. Więc tulę się do ciebie i ściskam całuję. A śnieg błyszczy, wiesz, jak to bywa w noc księżycową, że człowiek prawie jest nie na ziemi. Budzę się, a tu miły przy mnie, jak dobrze.

— Przy tobie, ot tak — powtarzał Mitia, całując suknię jej, piersi, ręce. Lecz naraz zrobiło mu się dziwnie. Zdawało mu się, że Grusza nie patrzy już na niego, ale prosto przed siebie, gdzieś powyżej jego głowy, a oczy jej wyrażały nagłe zdziwienie i jakby przestrach.

— Mitia! Kto to podgląda nas? — szepnęła. Mitia odwrócił głowę i zobaczył, że istotnie ktoś rozsunął firankę, wiszącą we drzwiach i patrzy na nich badawczo. I to nie jeden człowiek, bo było ich więcej

Skoczył z miejsca i rzucił się ku patrzącym.

— Proszę tu, proszę, tu do nas,—przemawiał głos jakiś stanowczo, choć niezbyt głośno.

Mitia przekroczył próg i stanął nieruchomy. Cała izba pełna była ludzi, ale zupełnie nowych, nie tych, co się tu przed chwilą tak głośno zabawiali. Ludzi tych poznał natychmiast i zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głów. Oto ten wysoki, sztywny starzec, w palcie i w czapce z czerwoną opaską — to sprawnik. A ten drugi o wyglądzie suchotnika, w tych starannie wyczyszczonych butach, to zastępca prokuratora. "On ma chronometr, — pomyślał Mitia, — wartości czterystu rubli, niedawno mi go pokazywał".

— A ten młody, drobny, w okularach. Mitia nie pamiętał tylko jego nazwiska, ale wiedział doskonale, że to sędzia śledczy, niedawno tu przybyły. A ten oto, to stanowy, Maurycy Markowicz, którego doskonale zna. Dobry znajomy. Dalej jeszcze ci z blachami i jacyś dwaj chłopi. A za nimi wszystkimi w progu Kałganow i Tryfon Borysicz.

— Panowie! Czego wy, panowie! — Pytał Mitia, jakby nieprzytomny, aż naraz przypomniał sobie coś i krzyknął na cały głos.

— Aa! rozumiem.

— Młody człowiek w okularach wystąpił przed innych i stanowczo, chociaż jakby z żalem — przemówił do Miti:

— Myśmy tu przybyli w sprawie... ważnej, bardzo ważnej. Proszę, zechciej pan przystąpić bliżej, tutaj, ot tu.

— To o starca! — krzyknął Mitia do najwyższego stopnia podniecony. — Rozumiem, to o starca i jego krew.

I jak podcięty usiadł, a właściwie opadł na stojące obok krzesło.

— A! rozumiesz! rozumiesz to teraz! ojcobójco ty, potworze. Krew starca woła przeciw tobie! — zawołał stary sprawnik siny z gniewu, i drżąc z oburzenia.

— Ależ panie, tak nie można! — zaprotestował młody sędzia śledczy, hamując oburzenie sprawnika. — Michale Markowiczu, nie tak trzeba, nie tak. Proszę, pozwól mi pan samemu przeprowadzić pierwsze badanie oskarżonego. Nie przypuszczałem nigdy, abyś się pan mógł do tego stopnia zapominać.

— Ależ to brudy, zgroza, — krzyczał sprawnik, nie umiejąc powściągnąć zgorszenia i gniewu. — Patrzcie na niego. Pijany, w nocy, w karczmie, w towarzystwie rozpustnej dziewki i we krwi ojca.

— Zgroza!

— Zaklinam was na wszytsko, pohamujcie się, Michale Markowiczu, — prosił zastępca prokuratora, inaczej i ja będę musiał...

Nie skończył jeszcze, gdy młody sędzia przystąpił do Miti, mówiąc poważnie i surowo.

— Kapitanie Dymitrze Karamazow. Jesteś pan obwiniony o zabójstwo własnego ojca, który zamordowany został dzisiejszej nocy. — Mówił coś jeszcze, jak również i prokurator, ale Mitia nic już nie słyszał i nie rozumiał, patrząc dokoła siebie dzikim wzrokiem.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.

CZĘŚĆ PIĄTA

I.

DOCHODZENIE ZBRODNI.

Piotr Ilicz Perchotin, któregośmy zostawili dobijającego się z całych sił do mieszkania Gruszy, dostukał się, oczywiście wkońcu. Udało mu się także obaczyć Fenię i rozmówić się z nią.

"Patrzę na jego ręce, a tu krew kapie z nich kroplami" — opowiadała Fenia.

Wiedział wprawdzie Piotr Ilicz, że krew nie kapała, ale zawsze zestawienie tych faktów było wielce podejrzane, a najważniejszą rzeczą było dowiedzieć się, gdzie się wówczas udał Dymitr. Perchotin był prawie pewien, że pośpieszyć musiał do domu ojca, i że tam musiało coś zajść. Zdawałoby się teraz, że najprościej byłoby udać się do domu Fedora Pawłowicza i sprawdzić fakt na miejscu, ale noc była ciemna, Fedora Pawłowicza znał tylko z daleka i wyobrażał sobie, jakby ten drwił później z niego, opowiadając po całem mieście, że nieznajomy jegomość wpadł do niego w nocy, dopytując, czy go kto nie zamordował. Skandal i śmieszność, a tego się najbardziej Piotr Ilicz obawiał.

Przyszła mu naraz myśl, czyby nie udać się do pani Chachłakow, aby się od niej dowiedzieć, czy to ona dała 3,000 rb. Dymitrowi Fedorowiczowi. Gdyby odpowiedziała przecząco, Piotr Ilicz postanowił udać się natychmiast do sprawnika, w razie przeciwnym odłoży wszystko do jutra. Wizyta u pani Chachłakow o tak spóźnionej godzinie była również krokiem bardzo dziwnym, tembardziej, że Perchotin znał ją tylko z widzenia, ale coś pchało go do zajęcia się tą sprawą, mimo, że powtarzał sobie wciąż, zły sam na siebie, że to przecież do niego nie należy.

Była już godzina jedenasta, gdy zadzwonił do pani Chachłakow, gdzie wpuszczono go nie bez trudności.

Pani Chachłakow, rozdrażniona jeszcze niepomiernie poprzedniemi odwiedzinami Dymitra i jego szczególnem zachowaniem się, zlękła się tembardziej tak późnej wizyty człowieka, zupełnie sobie nieznajomego. Przemogła jednak w niej kobieca ciekawość i zdecydowała się przyjąć Perchotina, dowiedziawszy się od pokojówki, że jest to pan bardzo przystojny i dobrze ubrany.

Wyszła więc do salonu w szlafroku, bo szykowała się już do snu i zapytała z godnością swego gościa, czego sobie właściwie życzy?

— Pozwoliłem sobie trudzić szanowną panią w sprawie wspólnego naszego znajomego Dymitra Karamazowa — rzekł Perchotin, zaledwie jednak wymówił to nazwisko, gdy pani Chachłakow przerwała mu gniewnie, a twarz jej wyrażała najwyższe oburzenie.

— Przepraszam bardzo, — zawołała, — ale jak pan śmie, jak pan może nachodzić nieznajomą kobietę w jej własnym domu o tak późnej godzinie i to po to tylko, aby mówić jej o tym okropnym człowieku, który tu, w tem samem miejscu, niedalej jak przed trzema godzinami, o mało mnie nie zamordował. O człowieku, który tu krzyczał, tupał nogami, a wyszedł tak, jak się z przyzwoitego domu nie wychodzi. On chciał mnie zabić. To też wiedz o tem, szanowny panie, że skarżyć się będę na niego, a i na pana także. Proszę, zostaw mnie pan w spokoju, bo nie chcę już słyszeć o tem ani słowa. Ja kobieta, ja matka — a wy...

Tu Perchotin przerwał ten potok wymowy, pytając.

— Jakto, więc i pania chciał zabić?

— A kogóż on już zabił? — zapytała pani Chachłakow.

— Racz mnie pani wysłuchać cierpliwie, a może uda się nam rozwikłać tę ciemną historyę. Oto Dymitr Karamazow pożyczył odemnie dziesięć rubli o godzinie trzeciej po południu i wiem napewno, że nie miał wtedy ani grosza. Tymczasem o godzinie dziewiątej wieczór, przyszedł do mnie, trzymając w ręku sporą paczkę storublowych banknotów, na zapytanie zaś moje, skąd wziął te pieniądze, powiedział mi, że otrzymał je od szanownej pani na podróż do kopalni złota. Miał przytem ręce zakrwawione i plamy z krwi na bieliźnie i ubraniu.

— Boże miłosierny! — krzyknęła pani Chachłakow, — zamordował widocznie starego swego ojca. Nigdy mu nie dawałam żadnych pieniędzy. O, biegnij pan, biegnij na miłość Boską ratować starego, kto wie, może jeszcze nie zapóźno.

— Przepraszam panią bardzo. Więc nie dawała mu pani żadnych pieniędzy? Czy pani jest tego pewna?

— Ależ nie dawałam mu nic, odmówiłam, bo nie umiał ocenić moich dobrych chęci.

A ten dziki człowiek wpadł w szał i rzucił się na mnie, tupiąc nogami, tak, że musiałam w tył odskoczyć. I jeszcze powiem panu, jako człowiekowi, przed którym nic mi już nie wolno ukrywać, że wyszedł, plunąwszy na mnie. Czy może pan sobie coś podobnego wyobrazić? Ale czemuż my stoimy, usiądź pan, proszę, albo lepiej śpiesz pan, śpiesz, do nieszczęsnego starca, aby go ochronić od śmierci.

— A jeżeli on go już zabił?

— To prawda! Ach Boże mój. Cóż robić w takim razie. Cóż robić?

Tymczasem posadziła Piotra Ilicza, a sama usiadła naprzeciw. Ten opowiadał jej w krótkości wszystko, co wiedział o dzisiejszych wypadkach. Słuchając go, pani Chachłakow wydawała okrzyki przerażenia i zasłaniała twarz rękami.

— Wystaw pan sobie, że ja to zawsze przeczuwałam. Ileż to razy, patrząc na niego, myślałam sobie, oto człowiek, który z pewnością skończy na tem, że mnie zamorduje. Tak się też i stało. To jest, jeżeli nie zabił mnie, a swego starego ojca, to tylko przypadek i palec Boży, który mnie od tego uchronił. Nie śmiał zamordować mnie, dlatego tylko, że przed chwilą włożyłam mu sama na szyję medalik świętej Barbary męczennicy. To mnie uratowało, ale jakże blizką byłam śmierci w owej chwili. Wystaw pan sobie, podeszłam do niego blisko, a on wyciągnął do mnie szyję. Boże mój, Boże i pomyśleć tylko, że jeszcze wtedy poważył się splunąć na mnie, choć zawsze to lepiej, niż gdyby mnie był zamordował. Czy wie pan, Piotrze Iliczu? (Nieprawdaż, tak się pan nazywa). Ja przestałam już wierzyć w cuda, z powodu starca Zosimy (pan słyszałeś o starcu Zosimie?). Ale od dziś zaczynam znowu wierzyć, bo to był wyraźny cud nademną. Słowem, że ten nędznik splunął na mnie i wybiegł z pokoju, ale dokąd on mógł pobiedz, dokąd? jak się panu zdaje?

Piotr Ilicz wstał, oświadczając, że musi teraz pójść do naczelnika powiatu, aby mu całą rzecz przedstawić.

Znam go doskonale, to zacności człowiek, Micha Markowicz. Idź pan, idź do niego, to wyborna myśl.

— Przykra to będzie dla mnie misya, — rzekł Perchotin, który usiłował napróżno wyrwać się z rąk pani Chachłakow i pożegnać ją, skoro dowiedział się już o tem, co mu było potrzebne.

— I wie pan co? — nalegała dama. — Przyjdź pan koniecznie do mnie opowiedzieć wszystko, czego się pan dowiedział. Chociażby o drugiej, o trzeciej, o czwartej nawet w nocy. Każ mnie pan rozbudzić, gdybym już spała. Chociaż ja napewno nie zasnę przez całą noc. A wie pan co? Możebym ja z panem pojechała.

— O nie! Nie potrzebuje się szanowna pani trudzić, wystarczy, jeśli mi pani da kartkę własnoręcznie napisaną i podpisaną, że Dymitr Fedorowicz nie otrzymał żadnych pieniędzy.

— Ależ naturalnie, dam ją panu natychmiast, to wyborna myśl. Poprostu w zdumienie mnie pan wprowadza przenikliwością swoja i rozumem, Taki młody. I pan tu urzęduje?

Mówiąc to wszystko i dużo więcej jeszcze na pochwałe młodego urzędnika, pani Chachłakow pośpieszyła do biurka i napisała szybko żądaną kartkę, którą doręczyła Perchotinowi.

“Nigdy w życiu nie dawałam żadnych pieniędzy nieszczęsnemu Dymitrowi Karamazow, a zwłaszcza, nie dałam mu dziś trzech tysięcy rubli. — Co przysięgam na wszystko, co mam najdroższego w świecie”.

Chachłakowa.

— Oto jest żądana kartka, — mówiła do Piotra Ilicza, — wielkiego czynu pan dokonasz, jeżeli, dzięki panu, prawda zostanie wyświetlona.

Perchotin żegnał ją pośpiesznie, ale pani Chachłakow nie chciała się z nim jeszcze rozstać, odprowadziła go do przedpokoju i mówiła wciąż:

— Jakże wdzięczna jestem panu, jak bardzo wdzięczna, że się pan do mnie pierwszej zwrócił. Byłoby mi niezmiernie miło widywać pana częściej u siebie. — Proszę, nie zapominaj pan o nas. Jak to przyjemnie pomyśleć, że mamy w naszem mieście tak zdolnego i inteligentnego urzędnika. Wyobrażam sobie, jak wysoko muszą tu cenić pańskie zdolności. Co do mnie, gotowa jestem zrobić dla pana wszystko, co będzie w mojej mocy. Ja tak kocham młodzież, przepadam poprostu za nią. Przecież to podstawa naszego życia i nadzieja kraju naszego. Żegnam pana, żegnam i czekać go będę z niecierpliwością.

Ale Piotr Ilicz wybiegł już, nie słysząc ostatnich jej słów. — Mimo wszystko jednak pani Chachłakow zrobiła na nim wrażenie bardzo sympatyczne. "Jak ona młodo wygląda" — pomyślał — "i jaka miła, przystojna".

Bardzo podobne myśli snuły się po głowie pani Chachłakow, po odejści młodego człowieka. Była nim poprostu oczarowana, tak dalece, że zapomniała prawie o tragicznym wypadku, który spowodował jego wizytę. — Udała się wkrótce na spoczynek i zasnęła spokojnie i słodko, marząc o niespodzianem spotkaniu, które w istocie miało dla niej w przyszłości bardzo ważne następstwa i stało się początkiem karyery młodego Perchotina.

On tymczasem udał się wprost do miejscowego sprawnika, Michała Markowicza Makarowa.

Był to człowiek bardzo lubiany w mieście z powodu nadzwyczajnej swojej gościnności. Niezmiernie towarzyski, dnia jednego nie spędził bez gości, a pod najróżniejszymi pozorami urządzał u siebie proszone obiady i wieczory z kartami. — Był on już wprawdzie wdowcem, ale w domu jego nie brakło i kobiecego towarzystwa, bo mieszkała przy nim córka jego, również jak on, wdowa z dwoma dorastającemi córkami. Obecność młodych panienek ściągała, oczywiście, młodzież, to też w domu Michała Markowicza bawiono się zawsze wesoło i gwarnie. Idąc do niego, Piotr Ilicz pewien by, że zastanie tam mniej lub więcej liczne zebranie, a przypuszczenie to nie zawiodło go. Przez dziwne jakieś zrządzenie losu, zebrani byli właśnie przy kartach wszyscy ci, których obecność konieczna była dla dochodzenia w razie jakiego zajścia kryminalnego, jak właśnie w tym wypadku.

Był tam więc zastępca prokuratora, którego jednak tytułowano prokuratorem, Hipolit Kiryłowicz, człowiek zdolny, ale mający o sobie bardzo wysokie pojęcie, przy tem skłonny do suchot, a przez to chorobliwie rozdrażniony i zgorzkniały. Uważał on siebie za genialnie zdolnego psychologa, umiejącego niemal odgadywać najtajniejsze pobudki zbrodni, a sprawa morderstwa, spełnionego w rodzinie Karamazowych — nastręczała mu wyborną sposobność do wsławienia swego nazwiska na całą prawie Rosyę.

Dalej, znajdował się tam jeszcze Mikołaj Neludow, młody sędzia śledczy, niedawno przybyły z Petersburga, który zalecał się do jednej z panienek i młody lekarz powiatowy, codzienny gość sprawnika.

Wszedłszy do mieszkania Markowa, poznał odrazu Piotr Ilicz, że wiedzą już tu o katastrofie. Wszyscy rzucili karty i rozmawiali żywo, stojąc pośrodku pokoju. Okazało się, że Fedor Pawłowicz został w istocie zamordowany i ograbiony tej nocy, a wiadomość o tem doszła sprawnika przed chwilą.

Stało się to wszystko w następujący sposób: żona Grzegorza, Marta Ignatjewna, zbudzona została nagle z głębokiego snu strasznym krzykiem, który, jak się pokazało, wydał z siebie Smerdiakow, dostając ataku epileptycznego. Marta znała dobrze te dzikie wycia, któremi rozpoczynała się zwykle jego choroba, ale lękała się ich zawsze, nie mogąc się nigdy do nich przyzwyczaić. Wstała więc i budzić zaczęła męża, ale, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, nie znalazła go w izbie, łóżko na którem spał przed godziną, było puste. Wybiegła więc na ganek, nawołując po cichu, ale odpowiedzi nie otrzymała żadnej, natomiast usłyszała jęki, dochodzące z głębi ogrodu. — "Boże miłosierny, — pomyślała, — zupełnie tak samo jęczała tu kiedyś biedna Elżbieta". Poszła, mimo przestrachu w kierunku, skąd dochodziły jęki, a po niej

kim czasie usłyszała słaby i dziwnie brzmiący głos męża, który wzywał ją po imieniu. Znalazła go wreszcie zbroczonego krwią i usiłującego napróżno podnieść się. Krzyknęła wówczas przeraźliwie, mimo, że Grigorij nakazywał jej milczenie, mówiąc słabym głosem: "I czego krzyczysz, głupia? Idź lepiej i daj znać, komu należy. Morderca!... niegodziwy!... zabił własnego ojca". Marta nie uspokoiła się jednak bynajmniej i krzyczała coraz głośniej, a potem pobiegła pod okno starszego pana, wzywając go na pomoc. Tu jednak straszny widok przedstawił się jej oczom. Oto Fedor Pawłowicz leżał na wznak na podłodze. Jasny jego szlafrok i koszula, zbroczone były obficie krwią, a stojąca na stole świeca oświecała żółtym blaskiem, stężałe jego w martwej nieruchomości rysy.

Marta, zupełnie już nieprzytomna ze strachu i zgrozy, pobiegła za bramę do sąsiadów, wzywając ich na pomoc. Przeraźliwe jej krzyki zbudziły przedewszystkiem Maryę Kondratiewnę i matkę jej, zbudził się też i stróż, który tam przypadkiem nocował i wszyscy, wraz z Martą, udali się na miejsce zbrodni. Wpierw jednak zajęli się leżącym w ogrodzie Grigorem. Przenieśli go do jego izdebki i opatrzyli rany, on zaś polecił im zawiadomić natychmiast sprawnika o wszystkiem, co zaszło. W ten sposób, w chwili, gdy Piotr Ilicz wszedł do mieszkania Michała Markowa, chcąc udzielić mu tylko obaw swoich i podejrzeń, zastał tam już wszystkich w popłochu i przekonał się, że to, co uważał za domysł i przypuszczenie, było już faktem pewnym i stwierdzonym.

Przedstawiciele władzy postanowili działać energicznie. Pomocnik prystawa, otrzymał polecenie wybrania czterech najzdolniejszych agentów policyjnych, żeby z ich pomocą zbadać teren zbrodni. Udali się więc wszyscy do domu Fedora Pawłowicza, który, jak się okazało, miał głowę rozstrzaskaną tępem jakiemś narzędziem, tem samem, którem, prawdopodobnie, ugodzony został Grigorij. Narzędzie to odszukano wkrótce w ogrodzie, obok miejsca, gdzie leżał Grigor. Był to poprostu duży, mosiężny tłuczek, ten sam, który Dymitr porwał z kuchni Feni w chwili, gdy się dowiedział o nieobecności Gruszy. W pokoju sypialnym, w którym leżał trup zamordowanego nie było żadnych śladów walki. Wszystko było w porządku, prócz tego, że na ziemi, obok łóżka, znaleziono dużą rozerwaną, kopertę, na której wyczytano napis, położony ręką Fedora Pawłowicza: "Trzy tysiące rubli, dla mego anioła, Gruszy, jeżeli zechce przyjść". A dalej, w charakterze dopisku: "Mojemu lubemu kurczątku". Obok leżała na ziemi różowa wstążeczka, którą związana była koperta.

Piotr Ilicz złożył wówczas urzędowe zeznania, co do wszystkich szczegółów, które mu były znane. Sędzia i prokurator zwrócili szczególniejszą uwagę na wiadomość, że Dymitr zabrał z sobą pistolety i zamierzał się o świcie zastrzelić. Należało więc śpieszyć się, aby uprzedzić jego rozpaczliwy zamiar, który uniemożliwiłby przeprowadzenie śledztwa. "To jasne, to zupełnie jasne — powtarzał prokurator. — To się spotyka bardzo często wśród takich zbrodniczych narwańców. Dziś morderstwo, jutro hulanka z kobietami, a potem samemu sobie kulką w łeb. Pamiętacie państwo tego chłopaka, który zabił kupca Ołsufjewa i ograbił go z półtora tysiąca rubli; tak samo, prosto z miejsca zbrodni, poleciał na hulankę z pieniędzmi w garści".

Trzeba było jednak przedtem dopełnić wszystkich formalności w domu zamordowanego, opieczętować wszystko, zrewidować starannie całe mieszkanie, podać ekspertyzę lekarską itd. Uradzono więc, żeby wysłać powozem stanowego prystawa, Maurycego Maurykowicza, który miał przygotować wszystko, zachowując najściślejsze incognito, do czasu przybycia wyższych władz. Tak się też i stało. Stanowy, przybywszy do Mokroje, przypuścił tylko do tajemnicy gospodarza oberży, Tryfona Borysicza, który, na jego żądanie, wydostał pistolety Dymitra i umieścił je w bezpiecznem miejscu. Obaj też mieli wciąż na oku obwinionego. Było to właśnie wtedy, gdy Mitia, wyszedłszy na ganek, spotkał Tryfona Borysicza, dziwiąc się nagłej zmianie jego humoru. W godzinę później, o 5-tej zrana, przyjechali dwiema trójkami sędzia, prokurator, sprawnik i inni, i wówczas przystąpiono do urzędowego aresztowania mordercy. Doktór tylko został na miejscu, przy trupie Fedora Pawłowicza. Zainteresowała go także żywo choroba Smerdiakowa. Twierdził, że tak częste ataki epileptyczne są bardzo rzadkiem i dziwnem zjawiskiem, i że jest to wypadek, należący stanowczo do nauki. Zdawało mu się przytem, że chory jest w niebez-

pieczeństwie życia i prawdopodobnie nie dożyje jutra.

Gdy Mitia usłyszał, że oskarżają go o zamordowanie ojca, spojrzał dokoła siebie dzikim wzrokiem, wołając: "Nie! tej krwi nie jestem winien; chciałem zabić, ale nie zabiłem. Nie ja! nie!" Zaledwie to jednak wyrzekł, gdy z za firanki wypadła Grusza i krzyknęła rozdzierającym głosem, rzucając się do nóg sprawnika:

— To ja! To ja, przeklęta, winna jestem wszystkiemu! Przezemnie on zabił ojca; dręczyłam go, męczyłam, aż doprowadziłam go do tego. I tego starego biedaka także męczyłam i rozum mu odebrałam. Wszystko to ja, wszystko przezemnie, jam główna winowajczyni.

— Ty! wiadomo, że ty! — krzyczał sprawnik, wygrażając jej pięścią. — Ty niegodna rozpustnico, źródło wszelkiej zbrodni.

Ale sędzia i prokurator schwycili go za ręce, powstrzymując niewczesną żarliwość.

— Miarkujcie się, Michale Markowiczu — mówił prokurator. — Zachowujecie się niemożliwie i psujecie zupełnie porządek śledztwa.

— Przekracza pan miarę — hamował go młody sędzia śledczy. — Trzeba koniecznie zachować formy przyzwoite, konieczne.

— Sądźcie nas oboje razem! — wołała Grusza, wciąż jeszcze na klęczkach — i niech nas jedna spotka kara. Pójdę z nim wszędzie, choćby na szubienicę.

— Gruszo! życie ty moje i moja święta! — zawołał Mitia, rzucając się na kolana obok niej i ujmując ją mocnym uściskiem. — Nie wierzcie jej, panowie, ona nic nie wie, nic niewinna, żadna krew na niej nie ciąży.

Rozdzielili ich przemocą. Gruszę odprowadzono do przyległej izby. Mitia zaś znalazł się, sam nie wiedząc kiedy, za stołem, przy którym siedział naprzeciw niego młody sędzia śledczy, który zachęcał go uprzejmie, aby napił się wody.

— Wypij pan, proszę to pana uspokoi — mówił, po nie wiem już który raz, wskazując na szklankę, pełną wody. Mitia przypomniał sobie potem, że przez cały czas strasznego tego badania nie mógł oczu oderwać od pierścieni, zdobiących rękę sędziego. Jeden był z ametystem, drugi ażurowy, pięknej bardzo roboty i szczególnego blasku. Nie mógł nigdy pojąć, dlaczego pierścienie te pochłaniały tak wyłącznie jego uwagę.

Na krześle, na prawo od Miti, w miejscu, które zajmował przedtem Maksymow, usiadł prokurator, tam zaś, gdzie poprzednio siedziała Grusza, zajął miejsce pisarz, towarzyszący urzędnikom. Sędzia śledczy siedział na kanapie, gdzie wprzód figurował jegomość z fajką, niefortunny wielbiciel Gruszy. Sprawnik usunął się w zagłębienie przy oknie, gdzie dotrzymywał mu towarzystwa młody Kałganow.

— Proszę, napij się pan wody — zapraszał po raz dziesiąty może sędzia śledczy.

— Wypiłem już, panowie, wypiłem. No cóż! Sądźcie mnie teraz, skazujcie, wydajcie wyrok! — zawołał Mitia, patrząc przed siebie osłupiałym, nieruchomym wzrokiem.

— Tak, więc pan utrzymuje stanowczo, że nie winien jesteś śmierci ojca? — pytał sędzia.

— Tak, tak, tej śmierci nie jestem winien, przelałem inną krew, krew innego starca, ale ojca mego nie zabiłem. Opłakuję całem sercem tamto zabójstwo, ale strasznie, panowie, o, strasznie, odpowiadać za nie, inną krwią, tak blizką! To jakbyście mi obuchem dali po głowie. Ale któż zabił mego ojca? Kto go mógł zabić, jeśli nie ja? To coś nadzwyczajnego, niemożliwego.

— Kto mógł zabić ojca pańskiego... — zaczął sędzia, ale w tej chwili przerwał mu prokurator, zamieniając z nim znaczące spojrzenie, i zaczął sam, zwracając się do Miti.

— Starzec, o którego życie zdajesz się tak lękać, Grigorij Wasilewicz, sędziwy sługa waszego ojca, nie zginął, mimo morderczego ciosu, któryś mu pan wymierzył.

— Żyje! — zawołał Mitia z wybuchem nagłej radości. — Dzięki ci, o Panie, to widoczny cud ręki Twojej! Wysłuchałeś modlitwy grzesznika i złoczyńcy, jakim jestem.

— Dymitr przeżegnał się trzy razy.

— Właśnie tenże Grigorij złożył ważne świadectwo przeciw panu — zaczął prokurator.

— Pozwólcie panowie! — przerwał Dymitr — na jedną tylko minutkę pobiegnę do niej.

Mówiąc to, wstał żywo z krzesła.

— Przepraszam, w tej chwili nie wolno! — syknął prokurator, zrywając się również z miejsca. Jednocześnie dwaj ludzie z blachami na piersi przytrzymali Mitię, który zresztą uległ bez oporu.

— Jaka szkoda, panowie! — mówił Mitia, zupełnie rozpogodzony — chciałem tylko powiedzieć jej ,że zmyta już ze mnie ta krew, która przez całą noc ssała mi serce, i że nie jestem mordercą. Chciałem jej to powiedzieć, bo to moja narzeczona, panowie — dodał, patrząc dokoła z tryumfem. — O, jakże wam wdzięczny jestem za tę wiadomość, odrodziliście mnie nią i wskrzesili do życia. Boże mój! wszakże ten starzec nosił mnie na ręku, gdy byłem jeszcze dzieckiem, pielęgnował mnie i był mi ojcem prawdziwym, wtedy, gdy opuszczony byłem przez wszystkich.

— Zatem pan utrzymuje... — zaczął sędzia.

— Pozwólcie panowie! jeszcze chwilę — przerwał Mitia, opierając się obu łokciami na stole — dajcie czas opamiętać się, przyjść do siebie. Wszystko to spadło na mnie tak nagle, a wy pytaniami waszemi uderzacie we mnie raz po raz. A ja przecież człowiek jestem, panowie, nie bęben, w który tłuc można bez opamiętania.

— Możeby się pan jeszcze wody napił — zaproponował raz jeszcze sędzia.

Mitia odjął ręce od twarzy i roześmiał się Patrzył przed siebie śmiało, a wygląd jego zmienił się w jednej chwili, zaczął także mówić zupełnie innym tonem. Nie był to już obwiniony wobec sędziów swoich, ale człowiek dobrego towarzystwa, równy tym, z którymi rozmawia, jakgdyby się z nimi spotkał w jakim wspólnie znajomym domu.

Znał bo też wszystkich ich dobrze, u niektórych bywał częstym gościem, jak np. u sprawnika, który przyjmował go nawet bardzo łaskawie, a dopiero w ostatnich czasach boczyć się na niego zaczął za to właśnie, że Mitia, zajęty miłością swoją do Gruszy, nie odwiedzał go dość często. Z prokuratorem znał się także dobrze, a zwłaszcza łączyła go przyjazna zażyłość z żoną jego, kobietą bardzo nerwową i fantastyczną, która, niewiadomo dlaczego, lubiła go bardzo i zajmowała się jego losem. Z młodym sędzią śledczym spotykali się także często i prowadzili nawet z sobą zajmujące dysputy, przeważnie o kobietach.

— Widzę, Mikołaju Onufrowiczu, że artystycznie umiecie prowadzić badanie — zaśmiał się wesoło Mitia. — Nie lękajcie się, bo teraz ja sam ulżę waszej robocie i opowiem chętnie resztę. Miałem przyjemność widywać pana u kuzyna mego, Miasowa, nieprawdaż? Bądźcie spokojni, panowie, rozumiem wybornie wasze położenie względem mnie, a wobec oskarżenia Grigorja ciąży na mnie straszne, okropne podejrzenie. Ale do rzeczy, panowie, za chwilę wszystko się wyjaśni. Skoro już wiem, że nie zabiłem starca, skończymy całą sprawę w oka mgnieniu.

Mitia mówił dużo i prędko, z widocznem nerwowem podnieceniem, a sędziów swoich zdawał się uważać za najżyczliwszych swych przyjaciół.

— Zatem pan zaprzecza stanowczo i radykalnie wniesionemu na pana oskarżeniu — przemówił sędzia, a zwróciwszy się do pisarza rozkazał zapisać to w protokule.

— Zapisywać? Chcecie więc panowie wszystko zapisywać? I owszem, daję wam na to moje pełne zezwolenie. Tylko widzicie tak trzeba pisać: Winien jest ciężkiej obrazy, a nawet uderzeń, które zadał starcowi, winien jest myślą wewnętrzną, kryjącą się w głębi jego serca (chociaż tego nie trzeba pisać, — dodał, pochylając się ku pisarzowi, — wewnętrzne moje życie należy wyłącznie do mnie). Ale morderstwa tego nie popełnił, nie winien jest śmierci ojca. Wszak to byłaby dzika myśl, zupełnie dzika. Dowiodę wam tego, panowie, i przekonam was natychmiast, i śmiać się będziecie z własnych podejrzeń, serdecznie śmiać.

— Uspokój się pan — upominał go sędzia śledczy, usiłując przyprowadzić do równowagi rozegzaltowanego własnemi słowami Dymitra, — Przedewszystkiem zechciej pan odpowiedzieć nam zupełnie wyraźnie na jedno pytanie. Podobno nie lubiłeś pan swego ojca i byłeś z nim w ciągłym sporze. Przed kwadransem nawet zawołałeś pan: "Nie zabiłem, chociaż chciałem zabić".

— Czy ja tak zawołałem? Może być, ostatecznie. Na nieszczęście chciałem go istotnie zabić, i to nie raz. Na nieszczęście.

— Chciałeś go pan zabić? A czy nie zechciałbyś pan objaśnić nas, co było przyczyną tak wielkiej pańskiej nienawiści do ojca?

— Cóż tam objaśniać? — odparł posępnie Mitia, wzruszając lekceważąco ramionami. — Nie ukrywałem moich uczuć, całe miasto wiedziało o nich. W restauracyi, w cukierni, niedawno jeszcze w celi starca mówiłem o nich otwarcie. Kilka dni temu uderzyłem ojca i omal go nie zabiłem, i to przy świadkach. Fakta krzyczą przeciw mnie, sam to przyznaję. Ale uczucia, panowie, uczucia, to inna rzecz. Wprawdzie zdaje mi się, że do uczuć moich nie macie prawa, że jednak nie ukrywałem ich i dawniej, owszem, mówiłem o nich głośno, we wszystkich miejscach publicznych, więc i przed wami nie będę robił tajemnicy. Widzicie panowie, ja rozumiem, że są na mnie straszne poszlaki. Krzyczałem na głos, że ojca zamorduję, a tu zamordowali go w istocie. Któż więc inny mógł zabić, jeśli nie ja? Cha, cha. Sam jestem do głębi poruszony, myśląc, ktoby go mógł zabić? Powiedzcie mi więc panowie, gdzie go zabili? jak? czem? żądam od was koniecznie tych szczegółów. — Mówiąc to, obrzucił szybko wzrokiem prokuratora i sędziego.

— Znaleźliśmy ojca pańskiego, leżącego na wznak na podłodze, w sypialnym jego pokoju, a głowę miał rozstrzaskaną — odpowiedział prokurator.

— Okropność! — wzdrygnął się Mitia i zakrył twarz rękami.

— Idźmy dalej — rzekł prokurator. — Przyczyną nienawiści pańskiej była, jak się zdaje, zazdrość — sam pan to kiedyś przyznałeś publicznie.

— Tak, była w tem zazdrość, ale nietylko to.

— Spór o pieniądze?

— Tak i spór o pieniądze.

— Chodziło podobno o trzy tysiące.

— Jakie trzy tysiące — krzyknął gwałtownie Mitia. — Więcej, daleko więcej. Ale gotów już byłem zgodzić się i na trzy tysiące. Tak bardzo, tak nieodzownie potrzebowałem ich. I rzeczywiście, trzy tysiące, które, jak wiedziałem, przeznaczył dla Gruszy i trzymał u siebie pod poduszką, uważałem za skradzione mnie.

Prokurator zamienił znów porozumiewawcze wejrzenie z sędzią śledczym, i mrugnął na niego nieznacznie, sędzia zaś rzekł:

— Pozwoli pan, że zanotujemy w protokule, żeś pan tę pieniądze uważał jako swoją, niezaprzeczoną własność.

— Piszcie panowie, piszcie! Rozumiem doskonale, że to znów dowód przeciw mnie, ale mimo to, nie zaprzeczam i odpowiadam za siebie. Widzę teraz, że uważacie mnie za całkiem innego człowieka, niż jestem nim w istocie. Raczcie nie zapominać, że mówi z wami człowiek uczciwy i mimo, że zmierzył całą otchłań podłości, człowiek szlachetny — tak panowie, szlachetny wewnętrznie, w głębi swego jestestwa. Nie umiem się, być może, wyrazić. W tem właśnie cała moja męka, że przez całe życie szukałem szlachetności, pożądałem jej, tęskniłem za nią i odkryć ją chciałem, z latarnią Dyogenesa w ręku... tak... z latarnią. A mimo to, przez całe życie popełniałem rzeczy brzydkie, jak my wszyscy, panowie, tj., przepraszam, wy może lepsi jesteście odemnie i tylko ja, ja jeden zbłądziłem. — Panowie! głowa mnie boli — dodał marszcząc czoło. — Co prawda, niepodobała mi się jego powierzchowność — mówił dalej. — Coś w niej było nieuczciwego, bezczelnego, sponiewierać musiał i splamić każdą świętość, przytem te wieczne drwiny, cynizm, było mi to wszystko wstrętne. Dziś jednak, kiedy wiem, że już nie żyje, myślę o nim inaczej.

— Jakto inaczej?

— Nie tyle inaczej, ile przykro mi, żem go tak znienawidził.

— Uczucie skruchy?

— Nie, o nie. Źle mnie rozumiecie. Widzicie panowie, sam przecie nie jestem ani tak pięknym, ani tak dobrym człowiekiem, abym miał prawo za wstrętnego go uważać.

Rrzekłszy to, Mitia spochmurniał. Wogóle za każdym prawie pytaniem, które mu zadawano, stawał się coraz posępniejszy. Naraz zaszła całkiem niespodziewana scena. Grusza, którą odprowadzono niezbyt daleko, bo do trzeciej tylko izby, płakała tam bezradnie. Towarzystwa dotrzymywał jej jeden tylko Maksymow, niesłychanie strwożony i onieśmielony. Przy drzwiach został jeden tylko człowiek z blachą. Gdy żal wezbrał już w niej nad miarę, Grusza, nie bacząc na nic, wyrwała się z pokoju, gdzie była zamknięta i, wołając na cały głos: "Och, nieszczęśliwam ja! nieszczęśliwa!" wdarła się do izby, w której odbywało się przesłuchanie Miti. Ten, ujrzawszy ją, rzucił się, oczywiście, na jej spotkanie, ale nie dozwolono im zbliżyć się do siebie. Gruszę wyprowadzono znowu, Mitia zaś szamotał się długi czas, i dopiero czterech ludzi zdołało go zatrzymać. Gdy wre-

szcie uległ i usiadł na dawnem miejscu, krzyknął, zwracając się do sędziów.

— I czemu się nad nią znęcacie? Ona wam przecie nic nie zawiniła!

W chwilę potem wszedł do izby sprawnik, Michał Markow i prosił o pozwolenie przemówienia kilku słów do więźnia, oczywiście, w obecności sędziów. Gdy mu na to pozwolono, stary rzekł szczerze wzruszony.

— Posłuchaj mnie, gołąbku, Dymitrze Fedorowiczu, sam odprowadziłem na dół twoją narzeczonę, Agrafię Aleksandrównę i oddałem ją tam pod opiekę córek gospodarza. Ten stary Maksymow siedzi wciąż przy niej, a ja sam uspokoiłem ją i perswadowałem, żeby zachowywała się spokojnie i nie przeszkadzała śledztwu, bo może zaszkodzić twojej sprawie. To dobra i rozumna, kobieta. Pojęła, o co chodzi, a mnie staremu, ręce całowała, prosząc i wstawiając się za tobą. Teraz przysłała do ciebie umyślnie, prosząc, żebyś był spokojny i trzeba, kochanku, trzeba, żebyś się uspokoił, inaczej nie będziesz się mógł dobrze usprawiedliwiać. — Cóż, Dymitrze Fedorowiczu, czy mogę jej powtórzyć, że zrobici to, o co was prosi?

Stary sprawnik, przed chwilą tak gniewny, mówił teraz ze łzami w głosie, tak wzruszyła go do głębi dobrej duszy litość nad żywym, ludzkim bólem tych obojga. Dymitr rzucił się ku niemu z zachwytem.

— Dziękuję wam, o dziękuję za nią, Michale Markowiczu! Anielską macie, anielską duszę. Będę już teraz spokojny i więcej jeszcze, będę wesół, szczęśliwy. Teraz, panowie, otworzę wam całą duszę i wszystko ze mnie wydobędziecie. Obaczycie panowie, jak się to łatwo skończy i jak wesoło. Panowie. Co to za kobieta i taka miłość! Czem ja nędzny zasłużyłem na nią? Co jej dałem? ona mi jest światłem i świętością życia. — A słyszeliście ten jej krzyk: “Z tobą razem, choćby na szubienicę”. Ona, taka dumna, u nóg się wam włóczyła z mego powodu, a przecie jest niewinna. Jakże mam jej nie wielbić? jak nie rwać się do niej?

I opadł na krzesło, a zakrywszy twarz obu rękami, zapłakał cicho, ale były to łzy radości. Opamiętał się też natychmiast. Stary zaś sprawnik ogromnie był ucieszony dobrym skutkiem swego poselstwa, a i sędziowie także. Czuli oni, że sprawa badania więźnia wstępuje w nową fazę.

— No, panowie! — mówił Dymitr, — teraz wasz jestem, zupełnie wasz. Tylko proszę, nie grzebcie się panowie w mojej duszy, nie szarpcie jej drobiazgami, a pytajcie mnie o fakta, o same fakta, a zadowolnię was w zupełności. — Do dyabła z wykrętami!

Badanie zaczęło się znowu.

— Nie uwierzysz pan, jaką przysługę oddasz pan sam sobie, odpowiadając jasno na wszystkie pytania, — mówił sędzia z widoczną radością, błyszczącą w jego płowych, jasno niebieskich i trochę za blisko siebie osadzonych oczach. — W takiem położeniu, jak pańskie, wzajemna ufność jest koniecznym warunkiem powodzenia, a my z naszej, strony dołożymy wszelkich usiłowań, aby sprawa weszła na dobrą drogę. Nieprawdaż, panie prokuratorze?

— O bezwątpienia! — odpowiedział sucho prokurator. W gruncie nie pochwalał on zbyt życzliwego odnoszenia się sędziego do obwinionego. Tu wypada nadmienić, że młody sędzia śledczy, który niedawno przybył z Petersburga, był jedynym człowiekiem w mieście, wierzącym zupełnie szczerze w niepospolity talent i nieomylną przenikliwość prokuratora. W zamian za to, młody sędzia był jedynym człowiekiem, posiadającym szczerą sympatyę prokuratora. Jadąc tu, ułożyli się już w drodze, w jaki sposób prowadzić mają badanie i rozumieli się teraz wybornie, z jednego słówka, z jednego mrugnięcia powiek.

— Pozwólcie mi panowie opowiedzieć wszystko samemu, tylko nie przerywajcie drobiazgami — niecierpliwił się Mitia.

— Ależ wybornie, najchętniej, Tylko wpierw pozwól nam pan skonstatować drobny, ale ciekawy dla nas fakcik, o tych dziesięciu rublach, które pożyczył pan u przyjaciela swego, Perchotina, oddawszy mu w zastaw pistolety.

— Tak jest; panowie, zastawiłem swoje pistolety, zaraz po powrocie do miasta.

— Więc pan wyjeżdżałeś?

— Wyjeżdżałem, a wy panowie nie wiedzieliście o tem? Widzicie!

Prokurator i sędzia spojrzeli po sobie.

— Czy mógłbyś pan opowiedzieć nam systematycznie cały przebieg owego dnia? — zaproponował sędzia.

— Ależ i owszem. Czemuż nie żądaliście tego odemnie wcześniej. Właściwie, jeszczeby dla was było lepiej, gdybym rzecz całą zaczął od poza wczorajszego

dnia. Poszedłem najpierw do kupca Samsonowa, dla pożyczenia od niego trzech tysięcy rubli.

— Przepraszam, — przerwał prokurator, — czy nie mógłby pan objaśnić nas, dlaczego chodziło panu mianowicie o trzy tysiące rubli?

— Ech! panowie. I znowu zaczynacie gubić się w drobiazgach. Jak? Kiedy? dlaczego? Czemu tyle, a nie tyle pieniędzy? I poco to? Czemu tyle, a nie tyle pieniędzy? I poco ta cała babranina? Do czego was doprowadzi? Jeśli tak dalej pójdzie, to trzy tomy zapiszecie tą jedną sprawą, a i tak nie wystarczy wam to jeszcze i będziecie musieli dodać epilog.

Słowa te wypowiedział Mitia trochę niecierpliwie, ale tonem człowieka ożywionego najlepszemi chęciami i pragnącego wypowiedzieć całą prawdę.

— Panowie, — podchwycił on znów, — wierzcie mi, że rozumiem doskonale wzajemne nasze położenie, dopóki się rzecz cała nie wyjaśni. — I nie myślcie, proszę, że jestem pijany, a choć bym i był pijany, toby i tak nie miało żadnego znaczenia, bo u mnie widzicie tak:

"Wytrzeźwiał, wnet głupim został,
Upił się, rozumu dostał."

— Cha! cha! — A przytem, panowie, wiem dobrze, że za pobicie starego Grigora należy mi się kara, pół roku, może rok więzienia, jak tam już po waszemu wypada. Nie można przecie bezkarnie starcom głowy rozbijać. Ale poza tem, musicie panowie sami przyznać, że moglibyście świętego wyprowadzić z równowagi takiemi pytaniami, jak gdzie stąpił i kiedy stąpił? dlaczego stąpił? W co wstąpił? I cóż z tego wszystkiego się dowiecie? Nic, ale to zupełnie nic. Zakończę więc prośbą do was, panowie. Dajcie już raz pokój tym mizernym i wykrętnym pytaniom. Kiedy wstał? co zjadł? jak splunął? gdzie splunął? Ładna metoda, niema co mówić. — Uśpić najpierw czujność przestępcy, a potem rzucić mu nagle w twarz oszołamiające pytania: "Kogo zabił?" "Kogo okradł?" Cha! Cha! Na tem polega cała wasza uczona i fachowa przebiegłość. Taka chystrość dobra może jest dla chłopów, których sądzicie, ale ja się przecie na nią nie dam złapać. Służyłem w wojsku i rozumiem się trochę na tych rzeczach. Wybaczcie, panowie, moje gadanie. Nie uszłoby ono może człowiekowi uczonemu, ale Mitia Karamazow może sobie na nie pozwolić.

Sędzia śledczy słuchał tych słów, śmiejąc się, co się zaś tyczy prokuratora, ten nie śmiał się wcale, ale nie spuszczał wzroku z obwinionego, jakby nie chciał stracić, ani jednego słówka, ani jednego drgnięcia jego rysów.

— Uznaję w pełni słuszność pańskich rozumnych uwag, — odezwał się wreszcie prokurator — ale nie mogę odstąpić od pytania, które raz jeszcze powtarzam. Dlaczego pragnąłeś pan posiadać mianowicie trzy tysiące rubli?

— Dlaczego? dlaczego? No dlatego, że, że... chciałem dług oddać.

— Komu?

— Tego stanowczo nie powiem, z zasady, bo tu już zaczyna się kwestya mego życia prywatnego, kwestya mego honoru. Dług chciałem oddać, dług honorowy, a komu? nie powiem.

— Pozwoli pan, że zapiszemy to w protokule.

— Ale i owszem, piszcie panowie wszystko, macie widocznie dość czasu na to.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, szanowny panie — rzekł sucho prokurator, — że nie mamy prawa zmuszać pana do odpowiedzi, o ile pan ich nam nie chcesz udzielić. Ale jednocześnie zwracam uwagę pana, że przemilczając niektóre szczegóły, szkodzi pan własnej sprawie, zwłaszcza w tym wypadku.

Mitia dał się przekonać i opowiadał, jak mógł najjaśniej i najzwięźlej. Szczególniejszą uwagę jego sędziów zwrócił na siebie fakt sprzedania zegarka za 6 rubli. Rozpytywano go o wszystkie szczegóły i zapisano je starannie, jako dowód, że jeszcze w wilią nie miał on ani grosza. Opowiadając dalej, Mitia rozwodził się nad zazdrością, jaka dręczyła go w stosunku jego do Gruszy. Szeczegółów tych słuchali sędzia i prokurator z naprężoną uwagą, podobnież, jak opowiadania o kontroli, którą rozciągnął nad jej krokami, śledząc ją ze stanowiska swego w ogrodzie Maryi Kondratiewny. O miłości swej i zazdrości mówił gorąco i obszernie, przemagając niejako wewnętrzną wstydliwość. W końcu przecież, — pomyślał sobie, — że ten smarkacz sędzia i ten zdechlak prokurator, nie warci są tego, aby przed nimi serce otwierać. Stawał się też coraz bardziej posępny, powtarzając sobie w duszy, że musi cierpieć

i znosić, bo niema innego wyjścia.

Po chwili jednak nabrał znów otuchy i opowiadał dalej, prawie już wesoło; gdy doszedł do wizyty swojej u pani Chachłakow, miał ochotę przytoczyć parę anegdot, o tej damie, ale sędzia powstrzymał go, polecając, aby nie odstępował od przedmiotu. — Opisywał dalej swoją rozpacz i wyrwało mu się mimowoli, że był wówczas w takim usposobieniu, że gotów był prawie zamordować kogo i ograbić, byleby dostać te trzy tysiące. Przerwano mu natychmiast i Mitia musiał znieść w milczeniu, że szczegół ten zapisano starannie, jako dowód przeciw niemu. Gdy doszedł do punktu opowiadania o tem, jak się przekradł do ogrodu ojca, aby tam śledzić Gruszę, sędzia przerwał mu nagle i wydobył z dużego skórzanego portfelu mosiężny tłuczek. Pokazał go Miti, pytając, czy przedmiot ten jest mu znany.

— Ależ tak, — potwierdził posępnie — dajcie mi go, niech mu się przyjrzę. Ech! do dyabła!

— Dlaczego pan nie wspomniał o tem dotąd? — zauważył prokurator.

— Nie wspomniałem? może być. W każdym razie nie zataiłem, niema obawy, tylko mi wyszło z pamięci.

— Czy nie zechciałbyś pan opowiedzieć nam dokładnie, w jaki sposób doszedłeś do posiadania tego przedmiotu?

— I owszem, zechcę.

I Mitia opowiedział, jak porwał tłuczek z kuchni Feni i wybiegł z nim na ulicę.

— Jakiż zamiar mógł pan mieć na myśli, zaopatrując się w tego rodzaju oręż?

— Jaki zamiar? żadnego nie miałem. Tak porwałem i wybiegłem.

— Czyż można zrobić taką rzecz bez zamiaru?

W Miti zakipiało wszystko z oburzenia i obrazy. Spojrzał uważnie na tego smarkacza sędziego i uśmiechnął się złym uśmiechem. Było mu teraz coraz bardziej wstyd, że mógł wywnętrzać się przed takimi ludźmi z szczerością i wylaniem.

— Pluję na was i na wasz tłuczek — zawołał nagle.

— Wszelako pozwól pan...

— Od psów go wziąłem, żeby się psom opędzić, na wszelki wypadek, w nocy.

— A czy i pierwej brał pan zawsze z sobą coś do obrony, gdy pan wychodził w nocy?

— Do dyabła! Tfu! panowie, Nie można mówić z wami uczciwie — zawołał Mitia, do najwyższego stopnia rozdrażniony.

Poczerwieniał z gniewu i krzyknął z zapamiętaniem w głosie, zwracając się do pisarza:

— No! więc pisz pan, zapisz prędzej, żem porwał tłuczek, aby zabić ojca mego, Fedora Pawłowicza, uderzeniem w głowę. Kontenci jesteście teraz, panowie? — pytał, patrząc wyzywająco na sędziego i prokuratora.

— Rozumiemy doskonale, że wyznanie to wypowiedziałeś pan w gniewie na nas, obrażony naszemi pytaniami, które się panu wydają drobiazgowemi i zbytecznemi, a które istotnie są ważne i konieczne — odparł sucho prokurator.

— Ależ zmiłujcie się, panowie. Wziąłem ten tłuczek, czyż wiem dlaczego? Któż może wiedzieć, dlaczego się w takich wypadkach bierze coś w rękę. Zostawmy już to w spokoju, inaczej, przysięgam, że słowa więcej nie odpowiem.

Oparł się łokciami na stole i zakrywszy twarz dłońmi, usiłował przemódz w sobie uczucie gniewu. W rzeczywistości chciało mu się ogromnie zamilknąć i nie wyrzec już ani słowa, choćby go na śmierć prowadzono.

— Widzicie, panowie, — przemówił wreszcie, — słuchając was, przypomina mi się sen jeden, który miałem nieraz. Śni mi się, że goni mnie ktoś, kogo się strasznie lękam, i pragnę ukryć się przed nim. Chowam się więc za drzwi, za szafę, a on szuka mnie, mimo, że wie bardzo dobrze, gdzie jestem ukryty, ale udaje, że nie wie, aby udręczyć mnie dłużej i nasycić się lękiem moim.

Otóż to, co wy teraz ze mną robicie, podobne jest zupełnie do tego snu.

— To pan miewa takie sny? — zauważył prokurator.

— A miewam! Każ pan prędko zapisać, że miewam takie sny.

— Zapisywać nie każę, ale w każdym razie ciekawe są te pańskie sny.

— No! a teraz, jak widzicie, panowie, nie sen to już, a rzeczywistość, najrealniejsza w świecie rzeczywistość.

Jestem wilk,, a wy, jak myśliwi, tropicie mnie i osaczacie.

— Porównanie zupełnie nietrafne — odparł sędzia, niezwykle miękko.

— Owszem, bardzo, bardzo trafne —

zawołał Mitia, w którym gniew zaczynał wzbierać nanowo. — Możecie nie wierzyć zwykłemu przestępcy, czy tam podsądnemu, ale człowiekowi szlachetnemu, w całem, najszerszem znaczeniu tego słowa (krzyczę to śmiało), szlachetnemu, przynajmniej duchowymi porywami swojemi, nie macie prawa nie wierzyć.

No! ale "zamilcz, o serce i ucz się cierpieć w milczeniu." — Cóż, czy mam mówić dalej?

— Ależ; oczywiście, prosimy.

I Mitia opowiadał dalej z wszystkimi szczegółami, starając się nie ominąć żadnego najdrobniejszego faktu.

Gdy doszedł do miejsca, jak stał pod oknem ojca i starał się dowiedzieć, czy tam jest Grusza, zauważył, że sędzia i prokurator patrzą na niego jakby obojętnie, nie zadając mu żadnych pytań. "Rozgniewali się, czy co?" — pomyślał i nie mógł nic odgadnąć z wyrazu ich twarzy. Opowiedział, jak wyjął z kieszeni tłuczek, a wtedy zatrzymał się nagle.

Patrzył przed siebie na ścianę, ale czuł, jak obaj sędziowie wpili w niego wzrokiem.

— I zabiłem! chwyciłem broń i roztrzaskałem mu czerep w ciemności, wrzakże tak według panów? — syknął Dymitr, błyskając gniewnie oczyma, a cała wściekłość, powściągana dotąd i tłumiona, wybuchła w nim znów z całą siłą.

— Według nas? No, a według pana, jak się to miało odbyć? — pytał prokurator.

Mitia spuścił oczy i milczał długo.

Według mnie, panowie, według mnie oto co się stało. Czy łzy matki mojej wymodliły mi łaskę u Boga, czy Duch święty musnął mnie skrzydłem swojem, dość, że szatan został pokonany i odskoczyłem od okna. Ojciec, który wtedy dopiero mnie zauważył, przestraszył się i cofnął się w głąb pokoju, doskonale to pamiętam, ja zaś pobiegłem do parkanu, ogradzającego ogród. Tam to doścignął mnie Grigor, kiedy już siedziałem na płocie.

W tej chwili dopiero Mitia podniósł oczy i spojrzał na swoich słuchaczy. Obaczył ich twarze, zwrócone na niego z doskonale obojętnym wyrazem.

— Panowie drwicie sobie ze mnie! — zawołał.

— Skądże pan to wnosi? — pytał sędzia.

— Nie wierzycie ani słowa z tego, co wam powiedziałem. Rozumiem zresztą sam, jak to wygląda. Starzec leży tam z roztrzaskaną głową, a ja tu powiadam tragicznie, że chciałem go zamordować i wyjąłem już broń z kieszeni, a przecież go nie zabiłem. Cha! cha! Czysty poemat; pięknieby to może wyglądało w poezyi, ale w rzeczywistości... Śmiejecie się z tego w duchu.

— A nie zauważył pan, — pytał prokurator, jakgdyby nie widział wzburzenia Miti — nie zauważył pan, czy drzwi od mieszkania ojca pańskiego, które wychodzą na ogród, czy te drzwi zamknięte były, czy otwarte?

— Były zamknięte.

— Nie były.

— Ależ napewno były zamknięte, któżby je mógł otworzyć? — zadziwił się bardzo Mitia.

— Drzwi te były otwarte i mordeca pańskiego ojca musiał wejść przez nie przed dokonaniem zabójstwa — objaśnił prokurator, powoli i dobitnie wymawiając każdy wyraz.

— Ależ to być nie może — obstawał przy swojem Mitia. — Drzwi te zamknięte były przez cały czas, gdym stał pod oknem. Zresztą, nieboszczyk nie otworzyłby ich nigdy bez usłyszenia umówionego znaku.

— Znaku? jakiego znaku? — pytał prokurator z niepochamowaną, pożądliwą prawie ciekawością i tracąc w jednej chwili poprzednią swoją sztywność. Pytał ostrożnie, prawie lękliwie, jakgdyby cicho podpełzając, poczuł bowiem, że natrafił na jakiś ważny punkt, a jednocześnie obawiał się, czy Mitia nie zechce cofnąć zeznania i nie odkryje go w całej rozciągłości.

— A! to nie wiedzieliście dotąd o znakach? — podchwycił Mitia, śmiejąc się złośliwie. — A cóż będzie, jeżeli nie powiem? Od kogo się dowiecie? Znaki te znane były tylko mnie, nieboszczykowi, a jeszcze i Smerdiakow wie o nich, ale on wam ich nie odkryje. A przecie fakcik to ciekawy i Bóg wie, co na nim można zbudować. No. uspokójcie się, panowie, powiem, nie zataję. Macie do czynienia z tak szczególnym podsądnym, że świadczy sam przeciw sobie, bo widzicie, panowie, on jest człowiekiem honoru, a wy...

Prokurator przełknął te komplimenta bez zmrużenia powiek, tak bardzo lękał się, aby mu nie wymknął się ów ważny dowód. Mitia też opowiedział im wszystko

z całą dokładnością, wystukał im nawet na stole umówione hasła, objaśniając, co każde z nich oznacza.

— Macie teraz doskonałą broń przeciw mnie — zakończył Mitia, odwracając się od nich z pogardą.

— Zatem, prócz pana i pańskiego ojca, umówione te hasła znane były jeszcze służącemu Smerdiakowowi, nikomu zresztą więcej? — upewniał się jeszcze raz prokurato.

— Tak jest, nikomu więcej, chyba jeden Duch święty mógł o nich jeszcze wiedzieć, nie zapomnijcie zanotować, że i Duch święty — szydził Mitia.

Zapisali też wszystko skrzętnie, poczem prokurator zaczął znów, jakby tknięty nową myślą:

— Zatem jeśli, prócz pana i pańskiego ojca, hasła owe znał jeszcze tylko Smerdiakow, więc to może on zastukał do okna dla zwabienia Fedora Pawłowicza, a następnie, gdy drzwi zostały otwarte, wszedł i zamordował go. Jak pan sądzi?

Mitia spojrzał na prokuratora drwiąco, razem z głęboką nienawiścią. Patrzył długo i milczał, aż prokurator oczy zmrużył, potem rzekł:

— Rozumiem łapkę, zdaje się wam, żeście już tropioną zwierzynę za ogon pochwycili. Che! che! Przenikam cię już nawskroś, panie prokuratorze. Pan byłeś pewien, że skoczę natychmiast i krzyczeć będę w niebogłosy: "Ależ naturalnie, że to Smerdiakow — on jest mordercą!" Cóż, czy nie tak? przyznaj pan.

Ale prokurator niczego nie przyznawał, tylko czekał dalszego ciągu.

— Omyliłeś się pan, nie oskarżam Smerdiakowa — przemówił Mitia.

— Więc go pan wcale nie posądza?

— A pan go posądza?

— Posądzam i jego.

Mitia utkwił oczy w podłogę.

— żart na stronę — mówił posępnie. — W pierwszej chwili, jakieście tu weszli, przemknęło mi na chwileczkę przez głowę, że to może Smerdiakow. Wołałem na głos, że nie winien jestem tej krwi, a w duszy myślałem: "Smerdiakow". Ale jednocześnie pomyślałem sobie także: "Nie, to nie on, to nie może być on". To nie było w jego siłach, panowie.

— Może więc ma pan podejrzenie jeszcze na kogo? — pytał ostrożnie sędzia śledczy.

— Nie wiem, nie mam pojęcia. Jakaś moc niebieska, czy piekielna, w każdym razie nie Smerdiakow — utrzymywał stanowczo Mitia.

— Dlaczego twierdzisz pan tak stanowczo, że to nie on?

— Takie mam przekonanie. Smerdiakow to człowiek o uczuciach bardzo nizkich, a przytem tchórz, to jest mało powiedzieć tchórz, to wcielenie tchórzostwa, chodzące na dwóch nogach. Istne kurczę. Rozmawiając ze mną, drżał zawsze cały z obawy, żebym go nie zabił. Padał mi do nóg i całował, płacząc, te same oto buty, błagając, żebym go nie zastraszał. Słyszycie, "żebym go nie zastraszał"; czy to nie dosyć? Lękał się mnie tak bardzo, choć nigdy na niego ręki nie podniosłem i dawałem mu nawet podarki. Taki niedojda, epileptyk, którego ośmioletni dzieciak mógł pokonać, ten nie mógł przecie popełnić morderstwa; zacóżby zresztą zabijał starca? wszak był, podobno, naturalnym jego synem, czy wiecie to, panowie?

— Słyszeliśmy tę legendę, ale wszak i pan jesteś jego synem, a mimo to, krzyczałeś na całe miasto, że go zabijesz.

— Kamień do mego ogródka, nizki, podły kamyk. Czy nie podłość to z waszej strony rzucać mi w twarz takie rzeczy, skoro ja sam powiedziałem wam wszystko, co mnie może obwinić? Sam wam powiedziałem, że mogłem go nawet zabić, a mimo to, nie zabiłem. Słyszy pan, panie prokuratorze, nie zabiłem! Mój anioł stróż uchronił mnie od tego.

Tchu mu zabrakło. Przez cały czas prowadzenia śledztwa ani razu nie był tak wzburzony.

— A cóż wam mówił Smerdiakow? — pytał po chwili. — Czy mógłbym wiedzieć?

— I owszem, może pan pytać o wszystko, co ma związek z faktyczną stroną procesu — odparł chłodno prokurator. — Z pewnością odpowiemy na wszystko, cośmy obowiązani panu objaśnić. Smerdiakowa znaleźliśmy leżącego w łóżku, wśród ciągle powtarzających się ataków epileptycznych. Doktór utrzymuje, że może jutra nie dożyje.

— W takim razie ojca mego zabił chyba sam czart — wyrwało się Miti, jakgdyby dotąd jeszcze wahał się w przypuszczeniach czy; to Smerdiakow? czy nie Smerdiakow?.

— Powrócimy jeszcze do tego szcze-

gółu — zdecydował sędzia śledczy. — A teraz zechce pan mówić dalej.

Mitia prosił o chwilę wytchnienia. Udzielono mu jej bardzo uprzejmie. Po krótkim odpoczynku zaczął opowiadać, jak siedzącego już na płocie uchwycił Grigor za lewą nogę, jak on uderzył go w głowę, i jak potem skoczył nanowo do wnętrza ogrodu. Prokurator przerywał mu ciągle drobiazgowemi zaczepkami, teraz już umyślnie, aby go utrzymać w stanie ciągłego rozdrażnienia. I tak przerwał mu, żądając, aby opisał szczegółowo, w jaki sposób siedział na płocie. Mitia zdziwił się.

— Jakto, w jaki sposób? Tak, jak na koniu. Jedna noga z jednej, druga z drugiej strony.

— A tłuczek?

— Tłuczek trzymałem w ręku.

— Nie w kieszeni? Czy pan dobrze pamięta? Czy pan z rozmachem uderzył?

— Prawdopodobnie z rozmachem.

— Czybyś pan nie mógł usiąść na krześle, jak na koniu, dla uplastycznienia nam tego momentu — zaproponował prokurator.

— Cóż to? Czy pan drwi ze mnie? — spytał Mitia, patrząc z góry na prokuratora; ale ten ani drgnął pod jego wejrzeniem; wówczas Mitia, doprowadzony do wściekłości, usadowił się na krześle, jak na koniu, z umyślnym rozmachem, i zrobił gest w powietrzu.

— O tak! widzicie! tak zabiłem człowieka. Czyście zadowoleni?

— Dziękujemy panu. A teraz zechciej pan powiedzieć, dlaczego, mianowicie, zeskoczyłeś pan z ogrodzenia i powróciłeś do ogrodu?

— A licho wie dlaczego, chciałem zobaczyć...

— W takiem wzburzeniu i uciekając?

— Chciałeś pan może dać jaki ratunek rannemu?

— Jaki tam ratunek. A może zresztą chciałem.

— Czyś pan był wówczas tak wzruszony, że nie wiedziełeś, co czynisz?

— Doskonale wiedziałem i pamiętam wszystko co do joty. Zeskoczyłem z parkanu i ocierałem mu krew chustką.

— Widzieliśmy pańską chustkę, Czy miałeś pan nadzieję przywrócić rannego do przytomności?

— Może, czy ja wiem; chciałem poprostu przekonać się, czy żyje.

— Aa! O tem się pan chciałeś przekonać? No i cóż?

— Nie jestem doktorem, panowie. Odszedłem nie wiedząc. Właściwie myślałem, żem zabił.

— Bardzo dobrze, — zakończył prokurator — dziękujemy panu.

Mitia pamiętał doskonale, z jakim żalem stał nad nieruchomem ciałem Grigora, ale duma nie pozwoliła mu o tem wspominać, prokurator zaś wywnioskował stąd tylko to, co mu było potrzebne. — Co za zimna krew i zatwardziałość, chciał się tylko przekonać, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni. Dumny był, że potrafił rozdraźnić drobiazgami podsądnego i doprowadzić go do takich wyznań. Mitia opowiadał dalej, ale widocznie przychodziło mu to z wielką męką. — Nie chciał już żadną miarą otwierać serca przed tymi obcymi ludźmi, którzy wpijali się w niego, jak szczypawki. Postanowił też mówić jaknajmniej o swoich uczuciach i trzymać się ściśle faktów.

— Postanowiłem odebrać sobie życie — mówił dalej. — Dowiedziawszy się od Feni, że Grusza ma się połączyć ze swoim dawnym, tym, który miał do niej największe prawo, nie widziałem już nic przed sobą. Za mną hańba i krew przelana — myślałem o Grigorze. Poszedłem więc wykupić pistolety, chcąc o świcie wpakować sobie kulę w głowę.

— A przed świtem hulać całą noc.

Tak, przedtem hulać całą noc. Kończcie już, panowie. Chciałem zastrzelić się o godzinie piątej zrana i napisałem ostatnią moją wolę u Perchotina, macie oto ten papier, czytajcie — dodał z pogardą, wydobywając zapisaną kartkę z kieszeni kamizelki i rzucając ją na stół prokuratorowi.

Ten, oczywiście, podjął ją bardzo ciekawie i odczytał wspólnie z sędzią, poczem dołączyli to do materyału dowodowego.

— Wchodząc do Perchotina, nie pomyślałeś pan o tem, że masz krew na rękach i twarzy? Czy nie obawiałeś się pan podejrzenia?

— Jakich tam podejrzeń! Było mi wtedy wszystko jedno. Miałem przecież i tak zastrzelić się nad ranem, gdyby nie ta historya z ojcem, nie wiedzielibyście o niczem i nieprzyjechalibyście tutaj. Szatan chyba was ostrzegł, szatan ojca mego zabił i sprowadził was tutaj. Jakim sposo-

bem stało się to wszystko tak prędko? Dziw! poprostu bajka.

— Pan Perchotin zeznał, że, wszedłszy do niego, trzymałeś pan w zakrwawionych rękach paczkę banknotów.

— Było tak rzeczywiście.

— Teraz nasuwa się jedno maleńkie pytanie — przemówił niesłychanie nizko sędzia śledczy. — Skąd pan wziąłeś tyle pieniędzy, skoro z samego zeznania pańskiego wynika, że pan nawet do domu nie zachodził?

— Prokurator zmarszczył się na pytanie to, postawione tak poprostu, nie przerywał jednak sędziemu.

— Istotnie, nie zachodziłem do domu — odparł Mitia bardzo spokojnie, utkwiwszy wzrok w ziemię.

— Powtarzam raz jeszcze pytanie — rzekł sędzia niesłychanie ostrożnie, jakby się podkradając. — Skąd pan dostał tak znaczną kwotę, skoro , według własnego pańskiego zeznania, tego samego jeszcze dnia, o godzinie piątej po południu...

— Nie miałem ani grosza i zastawiłem pistolety u Perchotina — podchwycił Mitia. — Tak, a potem chodziłem do Chachłakowej prosić o trzy tysiące, lecz ta nie dała. A tu naraz pojawiły się pieniądze. Rozumiem doskonale, panowie, jaki was strach oblatuje na myśl, że nie powiem, skąd wziąłem te pieniądze. Zgadliście, bo istotnie nie dowiecie się tego odemnie, stanowczo nie powiem.

Sędziowie milczeli chwilę.

— Zechciej jednak zrozumieć, panie Karamazow, że musimy koniecznie znać ten szczegół — cicho i prawie tkliwie przemówił sędzia śledczy.

— Rozumiem, a mimo to, nie powiem.

Wmieszał się i prokurator i znów upewniał podsądnego, że może nie odpowiadać na pytania, skoro to uważa za stosowne, że jednak taka metoda...

Przynosi szkodę mnie samemu — podchwycił Mitia. — Wiem o tem, panowie, słyszałem już tyle razy, i tam dalej i tam dalej. Rozumiem, że to punkt niezmiernie ważny. a przecież niepowiem.

— To już pańska rzecz — zauważył cokolwiek nerwowo sędzia śledczy.

— Żart na stronę — mówił dalej Mitia, patrząc im prosto w oczy. — Byłem z początku tyle naiwny, że proponowałem wam wzajemne zaufanie. Mowy być nie może o tem teraz, bo musieliśmy się w każdym razie natknąć na ten punkt, który jest nieprzebytą zaporą. Wiem przecież, że nie uwierzycie mi na słowo.

Zamilkł, pochmurny.

— A czy nie mógłby pan, nie naruszając niczem swojej tajemnicy, wyjaśnić nam choćby tylko powierzchownie motywy, które zamykają panu usta w punkcie, jak sam pan przyznałeś, tak niezmiernie ważnym?

Mitia uśmiechnął się niejasno.

— Jestem o wiele lepszy, niż panowie myślicie i dam wam na to odpowiedź. Milczę i nie mogę słowa, powiedzieć o tych pieniądzach, a to dlatego, że tu dopiero zaczyna się hańba moja, hańba stokroć gorsza, niż morderstwo i grabież. Oto, dla czego mówić nie mogę, ze wstydu jedynie. Czy zapiszecie to, panowie?

— Zapiszemy — szepnął sędzia.

— Właściwie nie wypadałoby wam tego zapisywać. Powiedziałem to wam jedynie z dobroci, że tak powien z łaski, pokazałem wam szmat mojej duszy. A wy zaraz w garść i do kieszeni — zauważył pogardliwie Mitia. — Piszcie zresztą, co chcecie, nie boję się was, i nie jesteście w stanie upokorzyć mnie.

Odmowa Dymitra była tak stanowcza, że sędzia przestał nalegać, prokurator tylko miał jeszcze nadzieję i rzucał dalsze pytania.

— Niech pan określi nam przynajmniej, jak wysoka była kwota, którą pan trzymał w ręku, wchodząc do Perchotina?

— Nie powiem i tego.

— W takim razie zechciej pan złożyć w nasze ręce całą gotówkę, którą masz przy sobie.

— Pieniądze? Ale naturalnie, rozumiem, że to niezbędne. Macie tu, panowie, wszystko.

Mówiąc to, powyjmował pieniądze z rozmaitych kieszeni i wysypał je na stół, aż do ostatniej miedzianej kopiejki.

Zliczono je szybko i okazało się, że jest ich osiemset sześćdziesiąt rubli i trzydzieści kopiejek. Doliczono wszystkie wydatki, jakie poniósł Mitia dnia tego, wynosiło to razem półtora tysiąca rubli.

— Wszyscy jednak utrzymują, że miał ich pan daleko więcej — zagadnął prokurator.

— Cóż stąd?

— I pan także utrzymywał to samo.

— Być może.

— Przesłuchamy jeszcze świadków w tej sprawie. A o pieniądze może pan być zupełnie spokojny. Złożone zostaną, gdzie należy i zwrócone panu będą po ukończeniu sprawy, jeżeli, oczywiście, pokaże się, że masz pan do nich prawo.

No, a teraz...

Tu sędzia śledczy wstał i oznajmił prawie surowo Dymitrowi, że musi się teraz poddać osobistej rewizyi.

— Ależ i owszem, proszę, powywracam wszystkie kieszenie — odparł Dymitr.

— To nie wystarcza. Musi pan zdjąć odzież.

— Jakto, rozbierać się? Tfu do dyabła! czy nie możecie i tak obejrzeć?

— W żaden sposób, Dymitrze Fedorowiczu. Musi pan koniecznie zdjąć z siebie całą odzież.

— Jak chcecie, — mruknął gniewnie Mitia — pod warunkiem tylko, żeby się to odbyło za firanką.

— Ależ oczywiście, za firanką — przyzwolił sędzia.

Tu nastąpił okres badania, zupełnie niespodziewany dla Miti i bardzo przykry. Nie wyobrażał sobie, żeby się znalazł na świecie ktoś, ktoby się z nim w ten sposób śmiał obchodzić. Wydało mu się to strasznie poniżające. Gdyby chodziło tylko o zrzucenie wierzchniej odzieży, byłoby wreszcie mniejsze. Ale kazali mu się zupełnie rozebrać, a on przez dumę nie protestował już napróżno i poddał się temu bez słowa. Za firankę, prócz sędziego i prokuratora, puszczono kilku chłopów.

“Prawdopodobnie chcą mnie zmusić siłą” — pomyślał Mitia.

— Cóż to, czy i koszulę mam zdjąć? — spytał wreszcie opryskliwie, ale prokurator ani sędzia nic mu nie odpowiedzieli, pochłonięci zupełnie oglądaniem tużurka jego, spodni, kamizelki i czapki. Poważny wyraz ich twarzy świadczył o głębokiem zainteresowaniu, jakie budziły w nich te oględziny.

“Nie robią ze mną ceremonii” — pomyślał Mitia.

— Pytam panów poraz drugi, czy mam zdjąć i koszulę? — przemówił jeszcze raz, głosem jeszcze mniej uprzejmym.

— Niech pan będzie spokojny, dowie się pan jeszcze o tem na czas — odparł sędzia.

Obaj z prokuratorem rozmawiali żywo, nie krępując się bynajmniej obecnością Miti, i wypowiadając podejrzenia bardzo dla niego ubliżające. Sędzia, Mikołaj Parfenowicz, dotykał sam starannie wszystkich części jego ubrania, przesuwając palcami po szwach, jakby tam czegoś szukał. Nie ukrywali wcale przypuszczenia, że mógł zaszyć zrabowene pieniądze, gdzieś między wierzchem, a podszewką.

“Traktują mnie, jak najprostszego złodzieja” — pomyślał Mitia.

Pisarz, który był także obecny temu przeszukiwaniu, przytoczył jeszcze przykład o niejakim “Gridi”, który, okradłszy całą kancelaryę, ukrył pieniądze w czapce.

— Storublówki pozwijane były w trąbkę i założone za obramowanie czapki — mówił.

Sędzia i prokurator pamiętali wybornie ten fakt, to też i czapka Miti przepatrzona została i przewrócona na wszystkie strony.

— Przepraszam! — zawołał nagle sędzia, dostrzegłszy zawinięty mankiet od koszuli Miti — wszak to krew?

— Krew — odparł Mitia.

— Jakaż to krew? I dlaczego ma pan rękaw zawinięty?

Mitia opowiedział, że była to krew Grigora, i że zawinął rękaw, myjąc się u Perchotina.

— To bardzo ważne. Musisz pan koniecznie zdjąć także koszulę.

Mitia zarumienił się i wpadł we wściekły gniew.

— Cóż to chcecie mnie zostawić zupełnie nagim? — krzyczał.

— Bądź pan spokojny, zaradzi się jakoś na to, a tymczasem bądź łaskaw zdjąć i skarpetki.

— Cóż to! żarty? i to ma być koniecznie potrzebne? — krzyknął, błyskając gniewnie oczami.

— Nie czas tu na żarty — odparł surowo sędzia.

— A no, jeżeli trzeba, to dobrze — mruknął Mitia, a usiadłszy na łóżku, zdejmować zaczął skarpetki. Czuł się jednak bardzo zażenowany. Dokoła niego ludzie poubierani, a on jeden zupełnie bez odzieży, wszyscy zaś przyglądają mu się. Poraz pierwszy uczuł się rzeczywiście jakby winowajcą, a przytem jakimś gorszym i niższym od nich wszystkich. “Mogą mnie teraz słusznie lekceważyć” — pomyślał. Szczególniej przykro mu było zdejmować

skarpetki. Były dość brudne, jak i reszta jego bielizny, a przytem nie lubił sam kształtu swoich nóg. Zwłaszcza jeden palec u lewej nogi miał gruby, płaski, skurczony, wstydził się tego i nieprzyjemnie mu było pokazywać go innym. Ze złości i wstydu zaczął umyślnie zachowywać się grubiańsko. Sam zerwał z siebie koszulę i rzucił ją sędziom, wołając:

— Cóż? może jeszcze co potrzebujecie, skoro wam nie wstyd?

— Nic, dziękujemy panu, nic już więcej nie trzeba.

— Więc mam tak siedzieć nagi? — zawołał oburzony.

— Niech się pan przykryje tymczasem kapą, która tu jest na łóżku, a postaramy się panu o ubranie.

Zawinięto odzież jego w jeden pakiet i sędzia zabrał ją z soba i wyszedł. Wyszedł też i prokurator, a Mitia został tylko ze strzegącymi go ludźmi, którzy oka z niego nie spuszczali.

Mitia owinął się kapą, ale było mu chłodno, bose jego nogi sterczały z pod okrycia i nie mógł się żadną miarą tak osłonić, aby je zrobić niewidocznemi.

— Traktują mnie, jak psa, — syknął zgrzytając zębami. — Ta kanalia prokurator poszedł i siedzi tam, zostawiając mnie nagiego, oczywiście, patrzeć na to nie mógł, przyzwoitość mu nie pozwalała.

Po chwili powrócił sędzia, a za nim pachołek, niosący pakiet z ubraniem. Mitia pewien był, że zwracają mu własną odzież, okazało się jednak, że to był garnitur Kałganowa. Sędzia zdawał się bardzo ucieszony dobrym wynikiem swoich poszukiwań.

— Ma pan tu ubranie i bieliznę — rzekł z zadowoleniem do Miti. — Pan Kałganow jest tak grzeczny, że panu wszystko pożycza. Na szczęście, miał z sobą wszystko w kuferku podróżnym. Mitia strasznie się oburzył.

— Nie włożę cudzego ubrania! Proszę mi w tej chwili zwrócić moje.

— To niemożliwe.

— Niech dyabli biorą Kałganowa i jego stroje, nie włożę tego na siebie!

Długo musiano perswadować Miti, że ubranie jego, jako splamione krwią, dołączone być musi do materyału dowodowego, i że prawo nie pozwala na zwrócenie mu go, dopiero po skończonym procesie. Mitia dał się wreszcie przekonać i zaczął się śpiesznie ubierać.

Zauważył wówczas, że ubranie Kałganowa jest na niego za długie i zawązkie.

— Błazna robicie ze mnie dla własnej przyjemności! — krzyknął gniewnie.

Upewniano go, że to przesada, i że garnitur Kałganowa wygląda na nim zupełnie przyzwoicie. Okazało się jednak, że tużurek jest istotnie za ciasny w ramionach i nie można go było zapiąć.

— Proszę tylko oświadczyć panu Kałganowowi, że nie prosiłem go wcale o tę uprzejmość, że to wy sami robicie ze mnie pajaca.

— Ależ on to doskonale rozumie i ogromnie żałuje, tj. nie ubrania swego żałuje, ale ubolewa nad pańskim nieszczęściem — upewniał go sędzia, Mikołaj Perfonowicz.

— Pluję na niego i na ubolewanie! No!, a teraz co mam robić?

Przeprowadzono go znów do gościnnej izby, w której odbywało się poprzednie badanie. Matia zły był i chmurny i starał się nie patrzyć na nikogo. Czuł się upokorzony tem cudzem ubraniem, nawet wobec chłopów i Tryfona Borysicza. Twarz tego ostatniego mignęła mu na chwilę we drzwiach i znikła natychmiast. Mitia usiadł na dawnem miejscu, w najgorszem usposobieniu.

— No, teraz, każecie mnie zapewne wysiec rózgami, nic już wam innego nie pozostaje, — zgrzytnął, zwracając się do prokuratora. Na sędziego nie chciał już zupełnie patrzyć i obracał się do niego bokiem. "Podlec!" myślał o nim. Umyślnie tak wywracał moje skarpetki, żeby wszyscy widzieli jakie są brudne".

— Zajmiemy się teraz przesłuchaniem świadków, — rzekł sędzia.

— Oczywiście, — potwierdził prokurator, głęboko zamyślony.

— Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby panu ułatwić usprawiedliwienie, ale pańska stanowcza odmowa w sprawie wyjaśnienia nam pochodzenia owych pieniędzy, uniemożliwia to zupełnie.

— Co to za kamień w tym pierścieniu? — spytał Mitia, jakby wychodząc z zadumy i wskazał na jeden z trzech wielkich pierścieni, zdobiących prawą rękę sędziego.

— W którym? — spytał ze zdziwieniem Mikołaj Parfenowicz.

— W tym, który pan nosisz na trzecim palcu — dopytywał Mitia, z uporem rozkapryszonego dzieciaka.

— To topaz, zadymiony topaz — mogę zdjąć pierścień — niech pan obejrzy.

— Nie, nie, nie zdejmuj pan — zaprzeczył Mitia, zły sam na siebie.

— Tfu, do dyabła panowie, obrzydziliście mi własną duszę.

Czy wy sobie wyobrażacie, że gdybym zabił ojca, to byłbym w stanie ukryć to, wykręcać się przed wami, kłamać i udawać?

Gdybym był winowajcą, przysięgam, że nieczekałbym waszego przybycia, ale zastrzeliłbym się zaraz, jakiem pierwotnie zamierzał, nie doczekawszy świtu.

Przez lat dwadzieścia nie nauczyłbym się tyle, ile przez tę jedną przeklętą noc.

Czy patrzyłbym wam prosto w oczy? czy rozmawiałbym tak z wami, ja, który sie tak męczyłem domniemane zabójstwem Grigora? A wy chciecie, ażebym przed takimi, jak wy, którzy drwicie ze mnie, nie wierzycie słowom moim, stawiacie mi co krok jakieś pułapki, żebym ja odkrywał wam dobrowolnie jeszcze nową podłość swoją i nową hańbę. Ten, co otworzył drzwi do mieszkania ojca mego, musiał go zamordować i ograbić, a kto on? niemam pojęcia, choć gubię się w domysłach, Tyle wam mogę powiedzieć i więcej ani słowa, a teraz wołajcie świadków.

Mitia umilkł i zdawało się, że istotnie już nic mówić niechce, ale prokurator, niczem nie zrażony, prowadził rzecz swoją dalej.

— Właśnie, co do tych drzwi,, o których pan wspominał, czuję się w obowiązku oznajmić panu, że Grigor Wasilewicz oświadcza stanowczo, że drzwi owe widział odemknięte, w chwili, gdyś pan wybiegł z ogrodu.

— To być nie może. — Wydawało mu się, albo kłamie! — krzyknął Dymitr.

— Zeznanie jego jest bardzo stanowcze, pytaliśmy go kilka razy i zawsze odpowiadał to samo.

— Wydało mu sie, bredził nieprzytomnie po wyjściu z omdlenia, albo umyślnie tak zeznał z nienawiści do mnie.

— On widział te drzwi nie po wyjściu z omdlenia, ale jeszcze przedtem.

No! a teraz przedstaw pan obwinionemu wiadomy przedmiot, — rzekł prokurator, zwracając się do sędziego.

Na to wezwanie sędzia położył na stół dużą kopertę, na której widniały jeszcze trzy nienaruszone pieczęcie, koperta rozerwana była z jednego boku.

Mitia otworzył szybko oczy.

— To... to z pewnością ojcowska koperta, ta sama w której miało być trzy tysiące i jeszcze napis: patrzcie "mojemu Kurczątku"' widzicie!

— Widzimy, aleśmy już pieniędzy nie znaleźli, koperta była pusta i leżała na ziemi obok łóżka, za parawanem.

— Panowie! — zawołał nagle Mitia. — Ależ to Smerdiakow, na pewno, on jeden wiedział o istnieniu owej koperty.

— Przecież i pan wiedziałeś o niej, sam mówiłeś, że leżała pod poduszką.

— Nie, nie wiedziałem, tylko słyszałem od Smerdiakowa.

Pytaliście Smerdiakowa? Co on mówi? To najważniejsze.

On jeden znał hasło.

— Zapominasz pan, że hasło było niepotrzebne, skoro drzwi były otwarte, — zauważył sucho prokurator.

— Znowu te drzwi! A to zmora! taki dowód przeciw mnie, — rzucił bezmyślnie Mitia.

— Widzi pan — pochwycił prokurator. — Z jednej strony te drzwi, z drugiej strony pańskie uparte milczenie o pochodzeniu owych pieniędzy — wszystko to świadczy przeciw panu.

Mitia, słysząc to, zastanowił się chwilę i pobladł.

— Więc dobrze, — zawołał wreszcie, — odkryję wam moją tajemnicę i hańbę moją, i powiem skąd miałem te pieniądze.

— I wierz mi pan, Dymitrze Fedorowiczu, — podchwycił sędzia niesłychanie słodko i nieumiejący ukryć swojej radości. — Wierz mi pan, że pełne i całkowite wyznanie z pańskiej strony pociągnie za sobą nieobliczalne następstwa, zwłaszcza teraz, bo..

Tu prokurator szturgnął go nogą pod stołem i sędzia urwał. Zresztą Dymitr i tak go nie słuchał.

— Panowie, — rzekł z przejęciem. — Te pieniądze, jeśli mam wyznać prawdę, były moje.

Twarze prokuratora i sędziego przeciągnęły się, spodziewali się obaj zupełnie czego innego.

— Jak to pańskie? — próbował zaprzeczyć sędzia, — skoro tego dnia jeszcze

o piątej po południu, według własnego pańskiego zeznania...

— Ee! Zostawcie już raz, do dyabła, waszą piątą godzinę i moje zeznania. Te pieniądze były moje, tj. ukradzione dawniej przezemnie, i miałem je wciąż przy sobie.

— Skądże je pan wziął?

— Z woreczka, który nosiłem na szyi, były tam zaszyte i nosiłem je tak z wielkim wstydem i hańbą swoją.

— Od kogoś pan je sobie przywłaszczył?

— Chciałeś pan powiedzieć komu je ukradłem? Nazywaj pan, proszę, rzeczy po imieniu. Sam wiem, że ukradłem, po waszemu przywłaszczyłem je sobie, po mojemu jednak ukradłem. A zwłaszcza wczoraj wieczór. Wczoraj wieczór to już je zupełnie ukradłem. Było ich tam półtora tysiąca.

— Wczoraj wieczór? Przecież pan mówiłeś przed chwilą, że nosiłeś je już cały miesiąc przy sobie.

— To też nie ojcu, bądźcie spokojni, nie ojcu ukradłem je, a jej. Nie przerywajcie mi, proszę, bo mi i tak ciężko mówić o tem. Przed miesiącem wezwała mnie do siebie Katarzyna Iwanówna Wierzchowcew, dawna moja narzeczona. Znacie ją?

— A jakże, oczywiście.

— Wiem, że znacie. Najszlachetniejsza dusza, ale mnie nienawidzi, o już oddawna nienawidzi mnie i zasłużenie, całkiem zasłużenie.

— Katarzyna Iwanówna? — Przemówił ze zdziwieniem sędzia śledczy. Prokurator słuchał uważnie.

— Nie wymawiajcie jej imienia. I tak podły jestem, że ją tu wspomniałem. Otóż ona nienawidziła mnie oddawna, od samego początku. Jeszcze tam, w mieszkaniu mojem. Chociaż to do rzeczy nie należy. Nie godni jesteście wiedzieć o tem. Otóż wezwała mnie do siebie i dała mi trzy tysiące, abym je przesłał do Moskwy siostrze jej, że niby sama nie mogła się tem zająć. Było to właśnie w owej fatalnej chwili, gdym poznał drugą, tę moją dzisiejszą, którąście tam zamknęli na dole, słowem Gruszę. Porwałem ją wtedy i przyjechałem z nią tutaj, do Mokroje i przehulałem w jej towarzystwie połowę tych trzech tysięcy, tj. półtora tysiąca. Druga zaś połowa została, zaszyłem ją w woreczku i nosiłem przy sobie, aż do wczorajszego dnia, — wczoraj dopiero wyprułem te pieniądze i straciłem je, tj. nie zupełnie, bo te osiemset rubli, które wzięliście odemnie, to jest właśnie reszta z owego półtora tysiąca.

— Jakto? Przecież wszyscy wiedzą, że straciłeś pan wówczas trzy tysiące, a nie półtora.

— Kto liczył? Przed kim zdawałem rachunek?

— Zmiłuj się pan. Przecież tak sam utrzymywałeś zawsze, że straciłeś tam trzy tysiące.

— Mówiłem, opowiadałem głośno i całe miasto trąbiło o tych trzech tysiącach, a mimo to, straciłem tylko połowę, a połowę zaszyłem w woreczku i nosiłem przy sobie.

— I nie mówiłeś pan o tem nikomu?

— Nikomu.

— To dziwne.

— Wybacz pan — rzekł prokurator. — Postępek taki tj. przywłaszczenie sobie pieniędzy powierzonych panu przez pannę Wierchowcew, była to lekkomyślność bardzo, może, daleko idąca, w każdym razie nie taka straszna hańba, jak pan tu utrzymujesz, zwłaszcza, uwzględniwszy pański charakter.

Zresztą, nie robiłeś pan wcale tajemnicy z tego, że pieniądze te pochodzą od pańskiej narzeczonej, i całe miasto o tem wiedziało. Dlaczego taki sekret, co do tego półtora tysiąca, które pan zachowałeś przy sobie?

Dlaczego wołałeś pan przed chwilą, że wolisz iść do ciężkich robót, niż złożyć to wyznanie?

Prokurator uniósł się tak dalece, że zapomniał o zwykłej sztywności.

— Nie w tem była hańba, że miałem te półtora tysiąca, ale w tem, że, mając trzy tysiące, podzieliłem je na dwie części i jedną z nich schowałem.

— Cóż znowu — zaśmiał się prokutor, już z gniewem. — Dlaczegóż to podzielenie tych lekkomyślnie, czy, jeśli pan chcesz, haniebnie przywłaszczonych pieniędzy, ma być czemś gorszem i bardziej panu ubliżającem, niż wzięcie całej kwoty?

Ważniejszem jest przecie to, że pan wogóle wziąłeś te pieniądze, nie jakieś niemi rozporządził.

— Ależ panowie! — zawołał Mitia. — W tem właśnie podłość, że, dzieląc te pie-

niądze, postępowałem na zimno i z wyrachowaniem — i podłość ta trwała całe trzy miesiące.

— Nie rozumiem.

— Dziwię się wam, panowie, że tego nie rozumiecie.

Gdybym był przehulał całe trzy tysiące odrazu, a na drugi dzień przyszedł do niej i powiedział: "Katia — straciłem twoje pieniądze przemarnowałem na hulankę", to nie mówię, żeby to było dobrze. Postąpiłbym, jak zwierz nie umiejący pohamować żądzy swojej, — ale przynajmniej nie jak złodziej, nie jak prosty złodziej. Albo, gdybym straciwszy te półtora tysiąca, odniósł jej resztę — to także postąpiłbym może marnie, nędznie, ale przecież nie jak złodziej i ona mogłaby uwierzyć, że skoro zwróciłem jej tyle, oddam później i resztę.

— Być może, że byłaby w tem pewna różnica, nie tak jednak wielka, jak pan przypuszczasz, — uśmiechnął się chłodno prokurator.

— Ogromna, ogromna różnica, panie prokuratorze. Podle postąpi sobie niejeden, pozwól pan nawet powiedzieć, postąpi czasem podle każdy — ale złodziejem nie każdy bywa. A złodziej w moich oczach, to arcy podły człowiek — podlejszy od podłego.

Otóż widzi pan, nosiłem te pieniądze przez cały miesiąc, a nie byłem jeszcze złodziejem, bo w każdej chwili mogłem je zwrócić, chociaż nie mogłem się na to zdecydować.

Każdego dnia powtarzałem sobie. — "Zdecyduj się, łotrze, przemóż siebie i oddaj". I nie oddawałem. Cóż, dobrze to było, uczciwie?

—Zapewne, że nie dobrze — odparł prokurator. — Ale daj pan teraz pokój tym subtelnościom, a opowiedz nam poprostu, na co przeznaczyłeś te zatajone pieniądze.

— Właśnie w tem była moja podłość, że pieniędze te przeznaczyłem na później, dla wywiezienia stąd Gruszy, w chwili, gdy zechce być moją. Nie znałem jej jeszcze wtedy, tak, jak dziś i myślałem, że jej przedewszystkiem potrzeba pieniędzy. Z zimną krwią więc i nikczemnem wyrachowaniem odłożyłem te półtora tysiąca. Czułem jednak wciąż hańbę moją, nosząc je na piersi, powtarzałem sobie wciąż: złodziej! złodziej jestem! Dlatego wyprawiałem takie awantury przez cały ten ubiegły miesiąc, dlatego sponiewierałem tego starca w restauracyi, napadłem na ojca, pobiłem Grigora. A przecież na dnie duszy mojej tkwiło wciąż ukryte marzenie, że jednak zwrócę pieniądze Kati i przyznam się do winy. Marzenie to pogrzebałem wczoraj, z chwilą, gdym rozpruł woreczek i pieniądze wyjąłem. Czy rozumiecie teraz jaka to była podłość odkładać te półtora tysiąca?

Prokurator roześmiał się głośno.

Sędzia zaś rzekł.

— Ależ przeciwnie, było to bardzo przezornie z pańskiej strony,ześ pan nie wydał wszystkiego odrazu.

— Ależ to właśnie była kradzież, najgorsze złodziejstwo! Jak możecie tego nie rozumieć? Wstydziłem się też tego tak bardzo, że nie przyznałem się nawet bratu memu, Aloszy, że pieniądze noszę na piersi.

— Cóż pana skłoniło do tego, aby wyjąć je z woreczka właśnie wczoraj.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Dlaczego? bo chciałem się zastrzelić i zdawało mi się, że to już wszystko jedno, czy umrę jako podły, czy jako uczciwy człowiek. Byłem pewien, że to wszystko jedno, a przecież okazało się teraz, że to wielka różnica. Wiele, wiele nauczyłem się przez tę dzisiejszą noc. O tak, panowie! Nietylko nie można żyć w podłości, ale i umierać w niej nie wolno. Umierać trzeba uczciwie.

— Zaczynam rozumieć skrupuły pańskie, Dymitrze Fedorowiczu, — przemówił słodko prokurator, — chociaż, o ile mi się zdaje, płynęły one głównie z nerwowego rozdrażnienia. Musisz pan wogóle być niesłychanie nerwowy. Czyż nie prościej było np. zamiast męczyć się tak cały miesiąc udać się do panny Wierchowcew i poprosić ją o tę pożyczkę, dając jej choćby takie zabezpieczenie, jakie pan proponowałeś innym, np. pani Chachłakow.

Mitia poczerwieniał z oburzenia i spojrzał na prokuratora z niedowierzaniem.

— Czy pan na seryo uważasz mnie za człowieka do tego stopnia nikczemnego? A przecież w samej, rzeczy przychodziła mi na myśl i taka wstrętna kombinacya, nigdybym się jednak na nią nie zdecydował. Jakto? Iść do Kati, do narzeczonej mojej, wziąść od niej pieniądze i za te same pieniądze zdradzić ją, wyjechać z kobietą, której ona nienawidzi, która obraziła ją i znieważyła?! I pan, panie prokuratorze,

proponujesz to jako naturalne wyjście? Pan chyba zmysły tracisz.

— W samej rzeczy, nie przyszło mi na myśl, że może tu zachodzić jakaś zazdrość kobieca — uśmiechnął się prokurator.

— Alež toby już była taka podłość, takie łajdactwo, o jakiem ja nawet nie potrafiłbym pomyśleć. Bo wiedzcie, panowie, że ona mogłaby mi dać te pieniądze. Dałaby mi je nawet napewno z nienawiści ku mnie i przez zemstę, z pogardy, by mi je dała, bo ta kobieta ma duszę wspaniałą, ale i piekielną w samej dumie. I ja wziąłbym te pieniądze, tak jest, wziąłbym je, a potem przez całe życie... Boże miłosierny. Wybaczcie panowie, ale mówić nie mogę. Choć wyznam, że ta piekielna myśl błąkała się we mnie jeszcze niedawno, przez cały wczorajszy dzień, gdym się napróżno starał o pożyczkę, aż do ostatniej chwili.

— Doprawdy?

— Zrobiłem wam straszne wyznanie, — ciągnął dalej Mitia, — jeśli i to przejdzie mimo dusz waszych, jeżeli i tego nie zrozumiecie, umrę chyba ze wstydu, że mogłem do tego stopnia zaufać takim, jak wy, ludziom. Co? czy i to chcecie zapisywać? — krzyknął nagle ze strachem.

— Zapiszemy to, coś pan sam wyznał przed chwilą, co do ostatniej chwili przychodziło panu na myśl, że mógłbyś pan pożyczyć od panny Wierchowcew trzy tysiące rubli.

— Zmiłujcie, się panowie, tego przynajmniej nie zapisujcie. Rozdarliście mi duszę, a teraz grzebiecie się w niej i ryjecie w rozdartych miejscach.

Ukrył twarz w dłoniach.

— Nie lękaj się pan — rzekł prokurator, — zapisujemy teraz wszystko, ale odczytamy panu protokuł, i będziesz pan mógł zmienić to, co się panu wyda niezgodne z prawdą.

Wróćmy teraz do kwestyi trzech tysięcy. Możemy postawić conajmniej dziesięciu świadków, którzy twierdzą, że pan sam głosiłeś, że przywiozłeś do Mokroje całe trzy ysiące.

— Nie dziesięciu, ale stu i dwustu świadków postawić możecie, którzy to odemnie słyszeli.

— To jednak coś znaczy, jak pan sam przyzna.

— Nic nie znaczy, ja skłamałem, a za mną kłamali i inni.

— I dlaczego pan popełniłeś to kłamstwo.

— Czy ja wiem, dlaczego? Pochwalić się chciałem, żem wydał tyle pieniędzy. Chociaż nie, raczej chciałem zataić sam przed sobą, żem zostawił te półtora tysiąca. Dość, że, skłamawszy raz, nie chciałem sobie przeczyć. Czy można wogóle wiedzieć, dlaczego człowiek kłamie?

— Zapewne, że trudno to rozstrzygnąć. A teraz powiedz pan, jakiej wielkości był ten woreczek, który pan nosiłeś na szyi?

— Mały, jak storublówka, złożona we dwoje.

— Może pan masz jeszcze przy sobie jaki strzępek z tego woreczka.

— Niemam, wyrzuciłem.

— A w którem miejscu pan wyjął z niego pieniądze.

— W drodze, idąc od Feni do Perchotina.

— Gdzie mianowicie.

— Na Rynku.

—I tam go rzuciłeś?

— Tam. Każcie wymieść Rynek, to go znajdziecie.

— Z czego był zrobiony?

— Z jakiejś szmatki; poco wam ta wiadomość?

— Byłoby dla pana bardzo korzystne, gdyby się ten przedmiot znalazł. Może pan masz w domu jaką część bielizny, z której pan oddarłeś tę szmatkę?

— Niemam, teraz dopiero przypominam sobie, uszyłem go z czepka mojej służącej.

— Jakto z czepka?

— Wziąłem stary czepek, zdaje mi się dla otarcia pióra, a potem leżał na stole, więc uszyłem z niego woreczek.

— Pan umiesz szyć?

— Żołnierz musi umieć obchodzić się z igłą.

— A skądże pan dostał igłę i nici?

— Dość już, dajmy temu pokój. Widzę, że nie wierzycie mi ani słowa. Moja wina, pocóżem wam dał się wyciągnąć na te wszystkie zeznania, jak mogłem zohydzić się sam dobrowolnie, odsłaniając wam wszystko, co czułem. Ciesz się, panie prokuratorze i śpiewaj hymn pochwalny na cześć swoją, dowiodłeś mi winy, nie praw-

daż? O! przeklęci bądźcie z waszymi kruczkami.

Na tem skończono badanie obwinionego. Wszyscy byli niesłychanie znużeni, Mitia bezmyślnie patrzył w okno. Na dworze padał drobny deszcz i tłukł gęstemi kroplami w pozieleniałe szybki starych okien. Pod oknem biegł szary, błotnisty gościniec, gubiący się gdzieś w deszczowej mgle, a z drugiej strony czerniały się dachy wioskowych chat, wyglądających jeszcze biedniej i nędzniej, w tej deszczowej pluchocie. Mitia przypomniał sobie złotokędzierzawego Feba, przy którego słonecznych promieniach zamierzał wczoraj jeszcze pożegnać się na zawsze z życiem.

— W taki ranek byłoby jeszcze lepiej — pomyślał.

Sędzia oświadczył, że czuje się wyczerpany i pokrzepiłby się chętnie herbatą i zakąską. Prokurator sprzeciwił się gruntownemu posiłkowi, nie było jeszcze na to czasu, należało wpierw przesłuchać świadków. Ostatecznie przyniesiono herbatę. Na uprzejme nalegania sędziego, wypił i Mitia szklankę, mimo, że w pierwszej chwili odmawiał stanowczo. Był on także ogromnie wyczerpany, wszystko zaczęło mu latać przed oczami i doznawał co chwila zawrotu głowy. Wprowadzono potem kolejno świadków. W przesłuchiwaniu ich sędziowie kładli głównie nacisk na określenie wysokości kwoty, którą Mitia przyniósł z sobą do Mokroje, te wszystkie zeznania były dla niego niekorzystne. Wszyscy świadkowie słyszeli o trzech tysiącach i nie przypuszczali, aby ich mogło być mniej.

Wprowadzono najpierw gospodarza oberży, Tryfona Borysicza. Wszedł pewnym krokiem, poważny i zachmurzony, nadając sobie pozory oburzonej cnoty, zdawał się być niesłychanie zgorszony postępowaniem obwinionego. Powiedział stanowczo, że przed miesiącem Dymitr Fedorowicz wydał tu całe trzy tysiące rubli.

— Sami cyganie wyciągnęli z niego najmniej tysiąc.

— Nie było i pięciuset — mruknął ze swego miejsca Mitia.

— Więcej, niż tysiąc, Dymitrze Fedorowiczu, — obstawał przy swojem Tryfon. — Cyganie, wiadomo, naród chciwy, złodzieje i koniokrady. Ciskaliście pieniądze, a te szelmy brały, co popadło. Wygnała ich policya, a żeby nie to, sami by zaświadczyli, jak się wówczas przy was pożywili. Sam widziałem u was w rękach pieniądze, daleko więcej, niż półtora tysiąca. Liczyć, nie liczyłem, ale i na oko można poznać. Bogu dziękować, nieraz się przecież widziało gruby grosz.

Zapytany, ile pieniędzy Dymitr przyniósł wczoraj, Tryfon odpowiedział, że sam słyszał z ust obwinionego o trzech tysiącach.

— Czyż naprawdę mówiłem to sam? — spytał Dymitr...

— Napewno mówiliście to sami, zaraz po przyjeździe, słyszał Andrzej, wasz furman, jeszcze ten jest i może zaświadczyć. A potem, kiedyście weszli do izby, toście krzyczeli na głos, że zostawicie tu razem sześć tysięcy, niby trzy pierwej, a teraz znowu trzy, słyszał to Tomasz Kałganow, blizko stał.

Zeznanie o sześciu tysiącach podobało się bardzo prokuratorowi.

Wezwano potem Andrzeja, dorożkarza, który przywiózł Dymitra z miasta. Tu największe wrażenie wywołało opowiadanie jego o rozmowie, jaką miał z nim Mitia w drodze. Prokurator kazał zaciągnąć do protokułu, że Mitia zapytywał swego woźnicę, co go czeka na tamtym świecie, "Piekło, czy niebo". To bardzo charakterystyczne, — mówił ze znaczącym uśmiechem.

Z kolei zaczęto badać Kałganowa. Poszedł zły i chmurny, nie miał najmniejszej ochoty świadczyć w tej sprawie. Względem sędziego i prokuratora zachowywał się tak, jakby ich widział pierwszy raz, mimo, że byli to dobrzy jego znajomi, których spotykał u wuja swego, Mjasowa. Zaczął od tego, że "nic nie wie i o niczem wiedzieć nie chce". Oświadczył, że zupełnie nie zauważył, ile pieniędzy miał przy sobie Dymitr. Mimo widocznej niechęci młodego człowieka do dawania wyjaśnień, prokurator badał go długo i szczegółowo i wydobywał z niego rozmaite szczegóły, dotyczące romansowej strony procesu. O Gruszy wyrażał się Kałganow z zupełnym szacunkiem, mówił o niej wciąż Agrafia Aleksandrówna i ani razu nie pozwolił sobie nazwać ją Gruszeńka.

Dawny wielbiciel Gruszy i jego przyjaciel, którzy spali w przyległej izbie, zbudzeni zostali i oświadczyli wszelką gotowość do złożenia zeznań.

Mały pan z fajką mówił o stosunkach swoich z Gruszą z takiem samochwal-

stwem i tonem tak aroganckim, że Mitia nie wytrzymał i nazwał go kilkakrotnie podłym. Sędzia prowadził badanie z wielkim taktem, oszczędzając uczucia podsądnego, ale i tu wyszedł na jaw szczegół jeden bardzo niepomyślny dla Miti, a mianowicie wiadomość o tem, że ofiarowywał przybyszom trzy tysiące za odstąpienie Gruszy. Fakt ten rozpatrywano bardzo szczegółowo i zaciągnięto go to protokułu. Sędziowie tak byli wdzięczni świadkom, że nie zaczepiono wcale sprawy oszustwa przy grze w karty i wyszachrowane dwieście rubli zostały przy nich.

Wszedł wreszcie drobnym krokiem stary Maksymow, bardzo zmieszany i onieśmielony. Towarzyszył on dotąd nieustannie Gruszy, krzątał się przy niej i tak się nad jej losem rozżalił, że w końcu ona sama musiała go pocieszać.

Na zapytanie, ile mógł mieć Dymitr pieniędzy, oświadczył z przejęciem, że najmniej dwadzieścia tysięcy rubli.

— A widziałeś pan, kiedy tyle pieniędzy? — pytał z uśmiechem sędzia.

— Widziałem, tj. nie dwadzieścia, a siedem tysięcy, kiedy moja żona zastawiła w banku mój majątek. Pokazała mi wtedy z daleka; do rąk nie dała. Były tam same tęczowe papierki, tak samo, jak u Dymitra Fedorowicza.

Załatwiono się z nim prędko, aż w końcu przyszła kolej na Gruszę. Sędzia, obawiając się, aby przyjście jej nie doprowadziło Mitię do jakich wybuchów, uprzedził go kilku słowami i ten przyrzekł zachowywać się spokojnie.

Gruszę wprowadził sam sprawnik, Michał Makarowicz. Była bardzo blada i poważna; zachowywała się spokojnie i z prostotą i wywarła wrażenie bardzo dla siebie korzystne. Otulona była czarnym, pluszowym szalem, przy którym twarz jej wydawała się jeszcze bledsza i bielsza. Młody sędzia, Mikołaj Parfenowicz, zmieszał się cokolwiek na jej widok. Sam później powiedział, że wtedy dopiero przekonał się "jaka to rzeczywistoście piękna kobieta. Maniery ma zupełnie wielkiej damy", upewniał, mówiąc o niej w pewnem kółku kobiecem. Panie wyśmiały go i nazwały bałamutem i lekkoduchem, mimo to nie zmienił swego zdania.

Zmuszony był jednak zapytać ją, jaki stosunnek łączył ją z Dymitrem.

— Przyjmowałam go u siebie jako znajomego — odparła poważnie.

Oświadczyła dalej z całą otwartością, że mimo, że się jej chwilami podobał, nie kochała go jeszcze.

— Wabiłam go do siebie, tak tylko z niegodziwości mojej, tak samo i jego ojca. Do starego Fedora Pawłowicza nigdybym nie poszła, obiecywałam mu tylko na żarty. Przez cały ostatni miesiąc myślałam o kim innym, ale sądzę, że to do rzeczy nie należy.

Tego samego zdania był i sędzia i badał ją tylko, podobnie, jak wszystkich innych, o sprawę trzech tysięcy. Grusza przyznała, że Dymitr wspominał jej o nich, pieniędzy tych, oczywiście, nie liczyła, wiedziała, że pochodzą od Katarzyny Iwanownej.

Gruszeńka opowiadała dalej, że przez cały ubiegły miesiąc Mitia skarżył się na brak pieniędzy. "Od ojca chciał je wydostać i na to jedynie liczył".

— A czy nie mówił kiedy przy pani, że chce targnąć się na życie ojca?

— Och! mówił, niestety, nieraz — westchnęła Grusza, — ale tylko wtedy, kiedy był bardzo zły.

— A wierzyła pani w to, że może spełnić swoją pogrążkę?

— Nigdy w świecie, polegałam na jego szlachetności.

— Panowie! — zawołał nagle Mitia — pozwólcie powiedzieć mi jedno tylko słowo.

— Proszę, niech pan mówi.

— Agrafia Aleksandrówna! — rzekł uroczyście, powstawszy z miejsca, — wierz Bogu i mnie; nie jestem winien krwi zabitego.

Usłyszawszy to, Grusza powstała również i przeżegnała się pobożnie przed obrazem.

— Bogu najwyższemu dzięki! — rzekłą z przejęciem, a potem zwróciła się do sędziów, mówiąc:

— Jeśli tak powiedział, to mu wierzcie. Potrafi on czasem zmyślić coś, dla żartu, dla śmiechu, ale nigdy przeciw sumieniu. Nie skłamał on teraz i prawdę czystą rzekł, ja go znam.

— Bóg ci zapłać, Agrafio Aleksandrówno — odezwał się drżącym głosem Mitia. — Dużoś mnie podniosła na duchu i pokrzepiła.

Po skończonem badaniu, Mikołaj Parfenowicz ofiarował Gruszy swoje usługi,

gdyby np. potrzebowała koni, albo towarzystwa i opieki.

— Dziękuję panu sędziemu — odparła, kłaniając się — odjadę z moim staruszkiem, Maksymowem, a tylko chciałabym zaczekać na dole, aż śledztwo skończy się zupełnie.

Po wyjściu jej, badano innych jeszcze świadków, poczem przystąpiono do ostatecznego zredagowania protokułu. Mitia poszedł w drugi kąt pokoju, a usiadłszy na dużym kufrze gospodarza, przykrytym dywanem, położył się na nim zwolna, a potem zasnął, sam nie wiedząc kiedy.

Miał wówczas dziwny sen, nie związany niczem z teraźniejszem jego położeniem. Śniło mu się, że jedzie gdzieś stepem szerokim, w miejscu, gdzie bywał niegdyś, służąc jeszcze w wojsku. Jedzie telegą, a wiezie go chłop z rudą brodą, siedzący na koźle. Zimno i śnieg pada dużymi, mokrymi płatkami, które, upadłszy na ziemię, tają natychmiast. Wiezie go chłop, przybrany w szarą wiejską kapotę, pogania szybko i biczem macha; nie stary jeszcze, ma lat najwyżej pięćdziesiąt. Ot, niedaleko już wieś! Widać już czarne, przeczarne izby, do połowy zgorzałe, z których sterczą czarne, okopcone belki. A przy wjeździe do wsi zebrało się dużo, dużo bab, cały tłum. Wszystkie chude, twarze jakieś wygłodzone, skóra na nich spalona, twarda; jedna, zwłaszcza, z brzegu, wysoka, koścista, lat może czterdzieści, a może dwadzieścia, poznać nie można. A na ręku trzymała dziecko płaczące. Piersi jej wyschły widocznie, ani kropli w nich mleka i dziecko płacze, płacze, nagle ramionka wyciąga, piąstki zaciska i drży całe od chłodu.

— Czego ono płacze? — pyta Mitia swego woźnicy, mijając wprędce całą gromadę.

— A płacze niebożątko — odpowiada chłop — płacze chudzina.

I podoba się to dziwnie Miti, że chłop wyraził się tak litościwie, po swojemu: niebożątko, a nie dziecko.

— I czegoż ono płacze? — dopytuje dalej Mitia, jakby nie rozumiejąc — czemu ma rączki nagie? czemu go nie otulą?

— Zziębło, niebożątko — odpowiada rudy chłop — przemarzła na nim koszulina, to i nie grzeje.

— A dlaczego to? dlaczego? — pyta natrętnie Mitia.

— Pogorzelcy biedni, chleba proszą.

— Nie, nie — woła wciąż Mitia — to nie to, ty mi powiedz, dlaczego stoją tu te biedne matki? dlaczego są biedni ludzie? dlaczego są biedne dzieci? dlaczego step taki pusty? Czemu oni nie całują się, nie śpiewają pieśni radosnych? dlaczego poczernieli tak od czarnej biedy? Czemu nie nakarmią swoich dzieci.

I czuje w głębi duszy, że chociaż pytania te są bez sensu, musi je przecież wypowiedzieć, musi tak pytać. I czuje także, że w sercu jego podnosi się coś, czego w niem jeszcze nie bywało. Jakaś wielka litość.

Płakać mu się chce i zrobić coś takiego, żeby nie było już płaczących dzieci, ani czarnych, wygłodzonych matek, i żeby już nikt nie płakał, i żeby łez wcale nie było, i to zaraz, natychmiast, bez chwili zwłoki, pożądał tego gorąco, iście po Karamazowsku.

— A i ja z tobą, na zawsze, na całe życie, nie opuszczę cię już nigdy — rozlega się obok niego miły, dźwięczny głos Gruszy, która przemawia z takiem uczuciem. I wówczas zapłonęło w nim serce i zapragnęło dążyć gdzieś do nowego światła, i żyć, żyć! Iść gdzieś, iść, coraz dalej, i to prędzej, prędzej, zaraz.

— Co? gdzie? — zawołał, otwierając oczy i siadając nagle na skrzyni. Zbudził się jakby z omdlenia i uśmiechnął się promiennie. Nad sobą ujrzał Mikołaja Parfenowicza, który nalegał usilnie, aby wysłuchał czytania protokułu i podpisał takowy. Domyślił się Mitia, że spać musiał z godzinę, a może więcej, nie słuchał jednak, co mówi Mikołaj Parfenowicz, a uderzyło go tylko to, że ktoś, w czasie jego snu, podsunął mu pod głowę poduszkę.

— Kto podłożył mi pod głowę poduszkę? Kto był taki dobry? — zawołał z nagłym zachwytem, ze łzami prawie w głosie, jakby mu niewiem jakie wyświadczono dobrodziejstwo.

Dobroczyńca jednak pozostał nieznany. Być może, zrobił to któryś z żołnierzy, lub też pisarz Mikołaja Parfenowicza. W każdym razie, Mitia był niesłychanie wzruszony, głos jego drżał od łez. Zbliżył się do stołu i oświadczył, że gotów jest podpisać wszystko, czego od niego zażądają.

— Piękny sen miałem, panowie! — rzekł dziwnym jakimś głosem, z twarzą rozpromienioną od szczęścia.

Po powtórnem odczytaniu i podpisaniu protokułu, sędzia oznajmił Miti tonem ści-

śle urzędowym, że od tej chwili nie jest już wolny i odstawiony będzie pod ścisłą strażą do więzienia.

Mitia wysłuchał tego zupełnie spokojnie.

— Cóż! Nie obwiniam was, panowie, rozumiem, że nie mogliście postąpić inaczej.

— Odstawi pana na miejsce stanowy prystaw, Maurycy Maurykowicz — dodał prokurator.

— Stójcie, panowie! — zawołał nagle Mitia, z jakąś nerwową egzaltacyą. Wszyscyśmy nędzni, marni, źli — istne zwierzęta. Wszyscy umiemy sprowadzać łzy gorzkie, na twarze głodnych matek i dzieciątek przy piersi. Być może, ja gorszy jestem jeszcze od innych... I rozumiem teraz, że takim ludziom, jak ja, potrzebny jest jakiś grom z ręki losu, który, chwyciwszy ich, jak na arkan, ściągnie ich przymusem i gwałtem, i zmusi do odmiany. Ja np. nie podniósłbym się nigdy o własnych siłach. Ale oto grom uderzył. Przyjmuję mękę niesprawiedliwego posądzenia, przyjmuję hańbę i chcę cierpieć, aby się cierpieniem oczyścić. Ale po raz ostatni jeszcze powiadam wam, panowie, że nie winien jestem tego zabójstwa, nie przelałem krwi ojca mego. Przyjmuję karę za to, że go chwilami chciałem zabić, że, być może, zabiłbym go nawet, ale walczyć będę z wami do ostatniej chwili i dowodzić swojej niewinności, resztę niech rozstrzygnie Bóg.

A teraz, gdy za chwilę już zostanę aresztantem bez własnej woli, pozwólcie, bym pożegnał was jeszcze jako człowiek wolny i równy wam.

Oto Dymitr Karamazow wyciąga do was rękę po raz ostatni, żegnając was; żegnam się z ludźmi i światem.

Głos zadrżał mu przy ostatnich słowach i rzeczywiście wyciągnął do nich rękę, ale Mikołaj Parfenowicz, który stał najbliżej, cofnął się i ruchem instynktownym schował rękę za siebie; spostrzegłszy to, Mitia opuścił swoją.

— Badanie jeszcze nie skończone — rzekł sędzia z pewnem zakłopotaniem. — Ja z mojej strony zrobię wszystko, co będę mógł, aby pana uniewinnić. Osobiście uważam pana raczej za człowieka nieszczęśliwego, niż za zbrodniarza. Posuwałeś się pan w namiętnościach swoich do ostatnich granic.

Mała figurka sędziego wyrażała w tej chwili wielką godność i przejęcie. Mitia jakby tego nie zauważył; przez głowę przemknęło mu, że oto za chwilę ten młodzik weźmie go pod rękę i, zasiadłszy gdzieś w kącie, zacznie mu szeptać jakieś uwagi o panienkach, jak to zwykle robił, gdy się spotkali w towarzystwie. Podobnie błahe myśli przychodzą nieraz do głowy nawet ludziom na śmierć skazanym.

— Panowie — zaczął znów Mitia, — a czy będę mógł zobaczyć się z nią?

— Ależ, oczywiście, przy świadkach jednak.

Przyprowadzono Gruszę. Pożegnanie ich było krótkie. Ona skłoniła się głęboko Miti.

— Bądź zdrów, człowieku niewinnie zgubiony! — rzekła, a potem dodała: — Słuchaj, powiedziałam, że będę twoją, i będę, i pójdę za tobą wszędzie, cokolwiekby się stało.

— Przebacz mi, Grusza, miłość moją i to, że kochaniem swojem i ciebie zgubiłem.

Nie rzekł już nic więcej i wyszedł na ganek. Otoczony był pachołkami policyjnymi, którzy go nie spuszczali z oczu. Przed gankiem stały dwa zaprzężone wózki pocztowe. Stanowy, człowiek przysadzisty i gruby, z twarzą pospolitą, w tej chwili zły i chmurny, krzyczał i fukał, wydając rozkazy i rozpędzając ludzi, tłoczących się pod gankiem. Zwrócił się do Miti i polecił mu opryskliwym tonem, by siadał na wózek.

— Inaczej nie wyglądał, kiedym go poił w restauracyi — pomyślał Mitia, wsiadając.

Około bramy stało mnóstwo ludzi, chłopi, baby, dzieci i furmani.

— Bądźcie zdrowi, ludzie Boży! — zawołał Mitia.

— Bywajcie zdrów, a darujcie i nam, Dymitrze Fedorowiczu — odpowiedziało kilka głosów.

— Bywaj zdrów i ty, Tryfonie Borysowiczu! — zawołał Mitia do gospodarza.

Ale szanowny Tryfon nie raczył odpowiedzieć, udając, że jest czemś zajęty.

Okazało się, że chłopek, którego wsadzili na kozioł, żądając, żeby wiózł stanowego, nie był wcale pocztowym woźnicą, uchylał się więc od zaszczytu, wołając, że nie on ma jechać, a Jakim; żądał też koniecznie, aby czekano na owego Jakima,

którego w żaden sposób nie można było odszukać.

— Widzicie, jaki to naród u nas bez żadnego wstydu! — uniewinniał się przed stanowym Tryfon Borysowicz, którego obowiązkiem było dostarczenie koni.

Ten Jakim, cztery dni już temu wziął pieniądze za dzisiejszy dzień, ale przepił, a sam przepadł gdzieś, rozstąp się ziemio!

Tyle tylko powiem, że się dobroci waszej dziwię, z tym naszym podłym narodem.

— Możemy przecież pojechać na jednym wózku, nie bój się, Maurycy Maurykowiczu, nie zbiegnę ci w drodze! — wmięszał się Mitia.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że wypraszam sobie takie mówienie — odburknął opryskliwie stanowy. — Najpierw, że ja wam nie ty. I radzę pamiętać, jeśli was dotąd nie nauczono.

Mówiąc to, stanowy wlazł jednak na wózek, na którym siedział Mitia i rozparł się szeroko i wygodnie, wyciskając prawie z miejsca swego więźnia. W gruncie, był sam niezadowolony z powierzonej sobie misyi.

Tryfon Borysowicz stał dumnie na ganku, zaznaczając ostentacyjnie niechęć swoją do więźnia.

— Bywaj zdrów, bądź zdrów, Dymitrze Fedorowiczu — rozległ się nagle serdeczny jakiś i pełen sympatyi głos.

Był to Kałganow, który wyskoczył bez czapki i ściskał z wielką przyjaźnią dłoń Dymitra.

Konie ruszyły i ręce ich rozplotły się.

— Bądź zdrów, człowieku miły! nie zapomnę ci nigdy szlachetności twojej! — zawołał do niego Mitia, odjeżdżając. I wózek potoczył się po błotnym gościńcu, przy brzęku monotonnych dzwonków, wiszących na uprzęży. Deszcz ustał, ale niebo zaciągnięte było chmurami, a zimny, jesienny wiatr dął prosto w oczy jadących.

Kałganow, zostawszy sam, powrócił do izby, a usiadłszy gdzieś w kącie, ukrył twarz w dłoniach i rozpłakał się, jak dziecko. Wierzył on mocno w niewinność Miti. "Jak można — pomyślał — co za ludzie? Jaki świat? Czy warto? czy warto żyć?..." powtarzał sobie w duchu rozgoryczony.

II.

BRAT IWAN.

Dwa miesiące upłynęło od chwili uwięzienia Dymitra i proces jego był w pełnym rozwoju.

W chłodny dzień listopadowy Alosza udał się do mieszkania Gruszy, która zawezwała go do siebie dziś jeszcze zrana.

Otwierając drzwi, Fenia oznajmiła Aloszy, że pani jej jest czemś bardzo zatrwożona i to jeszcze od wczoraj.

W trzy dni po zaaresztowaniu Dymitra, Grusza zachorowała ciężko.

Choroba jej trwała pięć tygodni, a kilka dni leżała nawet bezprzytomna. Obecnie była już zupełnie zdrowa, ale zmieniła się bardzo i schudła.

Mimo to, zdaniem Aloszy przynajmniej, piękność jej nic na tem nie straciła, owszem, twarz jej wydelikatniała i nabrała wyrazu.

— W niej także odbyło się widocznie duchowe przemienienie. Dawna lekkomyślność zniknęła, gdzieś bez śladu, a miejsce jej zajęła jakaś siła wewnętrzna, świadcząca o stanowczem postanowieniu rozpoczęcia na nowo życia. Na czole jej ukazała się pierwsza zmarszczka, rysująca się pionowo między brwiami, co nadawało chwilami pięknej jej twarzy wyraz prawie surowy. Mimo to wszystko, i mimo nieroztrzygniętego jeszcze procesu Miti, nie straciła Grusza tej swojej młodzieńczej radości życia, która i pierwej stanowiła w niej tak wielki powab. Przycichła tylko trochę, oczy jej złagodniały, chociaż i teraz błyskał w nich niekiedy złowieszczy ogień, przypominający dawne płomienie. Działo się to wtedy, gdy kto wspomniał przy niej imię Katarzyny Iwanownej. Zazdrosna była strasznie o Katię, bredziła o niej nawet w gorączce. Nie było do tego przecież żadnej przyczyny, bo Katarzyna trzymała się z daleka i nie odwiedziła ani razu Miti w więzieniu, mimo, że miała do tego sposobność. Aloszy zato okazywała Gruszeńka zupełne zaufane i co chwila zasięgała jego rady.

Wszedłszy do niej, Alosza zastał u niej Maksymowa, który od przyjazdu z Mokroje, zagościł już na stałe w jej domu. Starowina leżał na wpół na ceratowej kanapie,

obok niego na stole rozrzucone były karty, widocznie zabawiali się oboje z Gruszą grą w durnia.

Bezdomny starowina nie miał w istocie kątka, gdzieby się mógł przytulić. Przyznał się do tego Gruszy, dodając, że dotychczasowy jego dobroczyńca Kałganow, powiedział mu otwarcie, że dłużej go u siebie trzymać nie będzie i dał na pożegnanie pięć rubli.

— No! to Bóg z tobą, zostań u mnie, — powiedziała mu Grusza, o po tem zapomniała prawie o nim. Mimo to, sługi pamiętały o Maksymowie, nawet w czasie choroby Gruszy, podawały mu jedzenie i słały pościel na tej samej ceratowej kanapie, która była stałą jego rezydencyą. Powróciwszy do zdrowia, Gruszeńka zaczęła codzień odwiedzać Mitię w jego więzieniu, powróciwszy zaś słuchała paplaniny Maksymowa, ot tak, żeby smutek zabić. Przekonała się, że stary ma duży zapas ciekawych, a zwłaszcza zabawnych historyjek, i z czasem tak przywykła do niego, że stał się jej prawie niezbędny. Prócz niego i Aloszy nie przyjmowała nikogo. Stary jej kupiec, Samsonow, zachorował poważnie, a czując blizki swój koniec otoczył się rodziną i zakazał nawet Gruszy przychodzić do siebie. Kazał powiedzieć, że życzy jej długiego i wesołego życia, i żeby o nim całkiem zapomniała. Mimo to, Grusza posyłała co dnia dowiadywać się o jego zdrowie.

Obaczywszy wchodzącego Aloszę, rzuciła karty i skoczyła na jego spotkanie.

— Ach jak to dobrze, że wreszcie przyszedłeś.

Alosza miły, a Maksymuszka straszył mnie wciąż, że już dziś wcale nie przyjdziesz, siadajże, proszę, może się kawy napijesz?

— I owszem, bom się porządnie wygłodził.

— Fenia! słyszysz, kawy podawaj prędzej i pierożki, tylko, żeby były gorące.

Wiesz Alosza, co było z tymi pierożkami? Upiekłam dziś i zaniosłam mu do więzienia, a czy uwierzysz, przyjąć nie chciał i do ust nie wziął, jeden na podłogę rzucił i nogą podeptał.

Zostawiłam dozorcy, żeby mu wieczorem podał i powiedziałam, że jeśli ich dziś nie zje, to znaczy, że mu nic nie potrzeba, bo się tylko złością swoją i jadem żywi. Takiem i odeszła.

— Czy uwierzysz, że ile razy przyjdę, to się zawsze pokłócimy.

— O cóż wam dziś poszło?

— Wyobraź sobie zazdrosny jest i o kogo? o mego pierwszego. "Ty jego — powiada — znowu trzymasz" ciągle, ciągle, robi mi sceny. Nawet o Samsonowa.

— Przecież wiedział o wszystkiem.

— Ależ wiedział, naturalnie, a dziś raptem łając mnie zaczął. Wstyd powtarzać, co gadał. Dureń! Rakitka tam u niego siedzi, może on go buntuje.

— Kocha cię bardzo i dlatego zazdrosny, a teraz jeszcze rozdrażniony.

— Jak niema być rozdrażniony, kiedy jutro sąd.

— Dlatego też poszłam do niego, chciałam mu jakie słowo jeszcze od siebie powiedzieć. Mnie samej strasznie pomyśleć, co jutro będzie. A on zamiast o tem, sceny mi robi o tamtego. O jednego Maksymuszkę nie jest zazdrosny.

— Moja żona była o mnie bardzo zazdrosna, —ujął się za sobą Maksymow.

— Także gadanie! Ktoby tam o ciebie był zazdrosny.

— Ależ tak, bardzo była zazdrosna o każdą pokojówkę.

— Cicho bądź, Maksymuszka! głupstw nie pleć, nie do śmiechu mnie teraz. A na pierożki mi oczu nie wytrzeszczaj, boś chory i zaszkodziłyby ci znów.

Szpital z mojego domu robi! jeszcze jego doglądaj! — roześmiała się do Aloszy.

— Ja wiem, że niewart jestem waszej dobroci, lepiejbyście opiekowali się kimś potrzebniejszym odemnie, — chlipał żałośnie Maksymow.

— E! Skąd tam można wiedzieć, kto potrzebniejszy? A czy wiesz? — dodała, zwracając się do Aloszy, że i ten mój dawny siedzi tu w mieście i rozchorował się, więc poszłam go raz odwiedzić i przyznałam się do tego Miti. O to się tak rozgniewał. Ot i w tej chwili przyszła służąca od tamtego prosić o pieniądze, wciąż odemnie pożycza, ale, bo rzeczywiście bieda u niego, więc daję.

A Mitia o to zazdrosny. "Ty, mówi, umyślnie tak robisz". Zabiegłam tam raz po drodze, idąc do Miti, — a tamten zaczął mi na gitarze grać i piosnki śpiewać, myśląc, że znowu się rozczulę.

Opowiedziałam to Miti dla śmiechu, a on jak łajać zacznie. Kiedy tak, to

umyślnie pierożków poślę memu pierwszemu.

Fenia, daj służącej trzy ruble i dziesięć pierożków w papier zawiń dla tego pana. A ty Alosza opowiedz Miti, że posłałam tamtemu pierożki.

— Za nic w świecie mu tego nie powiem — uśmiechnął się Alosza.

— Ech! ty myślisz, że on naprawdę o mnie taki zazdrosny, gdzie tam, jemu to wszystko jedno — mówiła Grusza z goryczą. — Umyślnie udaje.

— Jak to umyślnie? — zdziwił się Alosza.

— E! głupi ty Alosza, nic nie rozumiesz.

Myślisz, że gniewałabym się na niego o to, że jestem taka? Ale on to wszystko udaje, bo sam jest winien. Przecież ślepa nie jestem i widzę.

Przychodzę dziś do niego, a on mi o Kati gada. że taka i taka. że mu doktora z Moskwy wypisała i adwokata najlepszego, żeby go niby bronić. W oczy mi ją chwalił, bezwstydnik!

A teraz na mnie chce zwalić winę, żeby sobie mógł z Katią pozwolić. Ot co! umyślnie zazdrosnego udaje, umyślnie mówię... tylko, że ja...

Nieskończyła i rozpłakała się głośno.

— On nie kocha Katarzyny Iwanówny, — zaprzeczył stanowczo Alosza.

— No, już sama osądzę kocha, czy nie kocha, — zagroziła Grusza. I Alosza aż zdziwił się, widząc, jak w jednej chwili zmieniła się jej twarz, wyrazem głuchej złości, która zupełnie skaziła jej urodę.

— Ale dość już tych głupstw! — rzekła po chwili.

Nie po to cię wezwałam. Jutro sąd. Co będzie, co? Przecież to lokaj zabił Smerdiakow.

A nikt się o to nie troszczy, nikt nie zapytał.

Pójdź sam do adwokata Alosza — opowiedz mu.

— Smerdiakowa badali i to bardzo ściśle! doszli jednak do przekonania, że to nie on. — On zresztą chory teraz — naprawdę chory.

— Poszedłbyś sam do tego adwokata — sprowadziła go podobno Katia, za trzy tysiące rubli.

— Złożyliśmy się na to we trójkę, brat Iwan, Katarzyna Iwanówna i ja. Adwokat nie przyjąłby tak małej kwoty, tylko, że sprawa nabrała rozgłosu na całą Rosyę, więc zgodził się dla sławy. Byłem u niego wczoraj.

— No i cóż? co mówił? — pytała niecierpliwie Grusza.

— Wysłuchał tego, com mu powiedział, a sam nic nie powiedział. Twierdzi, że wyrobił już sobie własne zdanie o całej sprawie.

— A pocóż sprowadziliście doktora?

— Jako eksperta — sprowadziła go swoim kosztem Katarzyna. Chciano dowieść, że brat mój ma umysł nienormalny i zabił ojca w przystępie szału.

— To jednak byłaby prawda, bo on rzeczywiście był wtedy szalony. O, to ja, podła, doprowadziłam go do tego. Tylko on nie zabił. A tu wszyscy przeciw niemu, całe miasto. Nawet Fenia tak przed sądem świadczyła, że wypadło, jakgdyby zabił. I w sklepie, gdzie kupował zapasy to samo — i ten urzędnik Perchotin. co się z nim przyjaźnił.

— To prawda, że bardzo wielu świadczy przeciw niemu — zauważył smutnie Alosza.

— Chociaż, co do tego pomieszania, to, rzeczywiście, Mitia mówi czasem takie rzeczy, że go zrozumieć nie można — zauważyła naraz Grusza. Pięknie mówi, co prawda, tak, że myślałam sobie nieraz, że może tylko ja jestem głupia i nie rozumiem, ale wczoraj, jak mi zaczął mówić o jakiemś niebożątku, które płacze, i że on za to na Sybir musi iść, choć on ojca nie zabił, to w końcu rozpłakaliśmy się oboje, on wtedy pocałował mnie i przeżegnał.

Jak myślisz, Alosza, co to może być to niebożątko?

— Rakitin odwiedza go często, — zauważył z zamyśleniem Alosza. — Chociaż to nie może pochodzić od Rakitina.

— Nie, to nie Rakitin, to Iwan, brat wasz Iwan, chodzi do niego i mąci mu duszę. — Tu Grusza urwała nagle i poczerwieniała.

Alosza spojrzał na nią zdziwiony.

— Jakto, Iwan go odwiedza? wczoraj jeszcze mówił mi Dymitr, że Iwan nie był u niego ani razu.

— Ot i wygadałam się, — zawołała zmieszana Grusza. — Poczekaj, Alosza, to ci już wszystko powiem, tylko mnie nie wydaj. Iwan odwiedza Mitię potajemnie i przykazał mu, żeby nikomu o tem nie

wspominał. Mitia powiedział mi to pod wielkim sekretem.

Alosza zamyślił się Wiadomość o Iwanie zastanowiła go bardzo.

— Z bratem Iwanem widuję się teraz bardzo rzadko, — rzekł powoli. — O sprawie Miti nic ze mną mówić nie chce, — a ile razy przyjdę do niego, przyjmuje mnie tak niechętnie, że w końcu przestałem go odwiedzać. Ale jeśli on chodzi do Dymitra, to istotnie musi mieć wpływ na niego, bo Mitia zmienił się bardzo w ostatnich czasach.

— Ot, zmienił się, zmienił, — podchwyciła żywo Grusza, — mają jakiś ważny sekret, taki, że się Mitia uspokoić nie może, a pierwej taki był wesół. A teraz, jak zacznie chodzić po pokoju, a włosy palcami rozgarniać, to już wiem, że coś ma na sercu.

— I naprawdę nie kazał mi mówić, że Iwan do niego chodzi? — pytał Alosza.

— Ależ naprawdę, ciebie najbardziej boi się i przed tobą największy sekret. Niech się już raz nieszczęsna dowiem, co mi sądzono.

— Więc myślisz, że sekret ten ciebie dotyczy?

— Nie wiem, ale kto wie, może i mnie. Porzucić mnie pewnie chce, a powiedzieć nie śmie. Zmówili się wszystkó troje na mnie, on, Iwan Fedorowicz i Katia. Wciąż mówi o Kati, że ona taka i taka, znaczy, że to ja gorsza jestem, i pozbyć się mnie chce. Mówił mi raz, że Iwan kocha Katarzynę, wiem, że często do niej chodzi. Powiedz mi, Alosza, czy to prawda? Czy naprawdę kocha się w niej.

— Kłamać ci nie będę, — odparł Alosza. — Iwan, zdaniem mojem, nie kocha Katarzyny.

— A co! nie mówiłam. Kłamie przedemną, bezwstydny! Zazdrosnego udaje, aby się mnie tylko pozbyć. "Ty, — powiada, także wierzysz, że ojca zabiłem". Takie rzeczy mnie mówi. Bóg z nim. Ale niechno poczeka. Posłyszy odemnie ta jego Katieńka słóweczko jedno. W sadzie powiem jutro, na głos. Wszystko powiem. — I znowu rozpłakała się.

— Powiem ci jedno! Gruszeńka, — rzekł Alosza, wstając z miejsca. — Dymitr kocha tylko ciebie, kocha nad wszystko na świecie, już ja go znam i możesz wierzyć memu słowu. O sekret jego badać go nie będę , a jeśli mi sam powie, to uprzedzę go odrazu, że obiecałem go tobie powtórzyć, a jestem pewien, że Katarzyna Iwanówna niema z tem nic wspólnego. — Pożegnał ją uściskiem dłoni, ale czuł, że słowa jego nie pocieszyły jej bynajmniej, płakała wciąż, nie dowierzając jego zapewnieniom.

Alosza udał się teraz do mieszkania pani Chachłakow dla zobaczenia się z Lizą, ale już w przedpokoju usłyszała głos jego sama pani i zawezwała go do siebie. Pani Chachłakow chorowała od jakiegoś czasu na nogę, nie kładła się do łóżka, tylko w eleganckim negliżu przebywała stale na kanapie w buduarze, w pozycyi półleżącej. Mimo cierpienia swego, była bardzo ożywiona, a przedewszystkiem zawsze ślicznie ubrana. Do negliżu swego wprowadzała różne udoskonalenia, nosiła przytem rozmaite błyskotki, jako to, bransoletki, zapinki, przepaski — tak dalece, że zwrócił uwagę na nie nawet Alosza, chociaż odganiał od siebie myśl o tem, jako próżną i błahą! Między stałymi gośćmi ukazywał się teraz codziennie prawie młody urzędnik, Perchotin. Aloszę przyjęła pani Chachłakow z okrzykami zachwytu.

— Wieki! wieki! jakiem już pana nie widziała, cały tydzień, chociaż prawda, że byłeś we środę u Lizy. Pewna jestem, że chciałeś teraz przemknąć się na palcach prosto do niej; ach, kochany, mój drogi panie, jak ta dziewczyna mnie niepokoi. Tobie, coprawda, ufam zupełnie, wiem, że wyperswadowałeś jej te dziecinne fantazye chorego dziecka, że niby ciebie kocha. Nie gniewaj się pan na mnie, że nazywam cię poprostu Alosza, mnie starej wszystko wolno — mówiła, uśmiechając się z kokieteryą.

— Ale po śmierci starca Zosimy, świeć panie duszy jego (tu przeżegnała się nabożnie) uważam pana za jego następcę. Chociaż tymczasem ogromnie panu do twarzy w kostiumie świeckim. Gdzie pan sobie kupił ten garnitur? sukno w prześlicznym gatunku. Ale nie o tem chciałam mówić, wszystko mi się teraz miesza w głowie. Co to będzie jutro z tym sądem? umieram z ciekawości. Widzę, że pan masz ochotę wymknąć się odemnie do Lizy, Ale kawy się wpierw napijesz. Julia! Grafio! Kawy podać!

Alosza podziękował za kawę, — tłomacząc się, że pił ją już gdzieindziej.

— U kogoż to?

— U Agrafii Aleksandrównej.

— Co! u tej kobiety, która tylu ludzi zgubiła? Chociaż podobno teraz zrobiła się z niej święta, prawdziwa mniszka. Trochę zapóźno, co prawda, wybrała się ze swoją świętością, trzeba było pierwej o tem pamiętać. Cóż teraz komu po jej świętości?

Więc jutro ten okropny proces?

Pojadę koniecznie, chociażby mieli mnie wnieść na krześle do sali sądowej. Wezwana jestem jako świadek. Co ja im powiem, to doprawdy sama jeszcze nie wiem.

— Nie wiem, czy pani będzie mogła wogóle pojechać przy swojem cierpieniu.

— Ależ owszem, ja mogę siedzieć. Taki ciekawy proces. Z jednej strony, dziki występek i Sybir, z drugiej miłość, i to tak szybko jedno po drugiem, a w końcu cóż z tego zostanie? starość i mogiła. Boże mój, jak to dziwnie bywa na świecie. Ta Katia, naprzykład, takie urocze stworzenie, ale, jaki mi zawód zrobiła. Koniecznie się wybiera na Sybir za Dymitrem, ażeby nad nim czuwać, a brat wasz, Iwan, pojedzie tam także za nimi i dalej się tam dręczyć będą. W głowie mi się już miesza od tego wszystkiego, A jeszcze te gazety, piszą wszystko i o mnie nawet był artykuł. Nazywają mnie tam jedną z kochanek przestępcy, patrz pan, przeczytaj.

Mówiąc to, wyjęła z pod poduszki gazetę i podała ją Aloszy.

— "Pogłoski", moja ulubiona gazeta, którą zaprenumerowałam od Nowego Roku.

Istotnie, cała prasa stołeczna zajmowała się badzo żywo sprawą Karamazowych; czego już nie napisano o niej przez te dwa miesiące? Zajmowano się nietylko samym Dymitrem, ale i całą jego rodziną. Alosza np. wyczytał o sobie dwie zupełnie sprzeczne wiadomości. W jednej z nich donoszono, że pod wrażeniem przestępstwa brata przywdział habit zakonny. W drugiej, że i on także jest zbrodniarzem, który okradł kasę klasztorną i uciekł ze zrabowanymi pieniędzmi. Korespondencya, która tak zaalarmowała panią Chachłakow, brzmiała jak następuje: "Morderca, którego sprawa rozstrząsana będzie w tych dniach w naszem mieście, spędzał życie, jak się pokazuje, na rozmaitego rodzaju miłostkach i miał ogromne powodzenie u płci pięknej. Wywierał on, zwłaszcza, jakiś szczególniejszy urok na pewien typ tęskniących w samotności kobiet. Jedna z takich samotnych, bardzo już dojrzała wdowa i matka dorosłej córki, była nim do tego stopnia oczarowana, że proponowała mu na dwie godziny przed spełnieniem zbrodni wspólną ucieczkę do kopalni złota na Sybirze. Zbrodniarz jednak uważał widocznie, że dogodniej mu będzie zamordować i ograbić własnego ojca, niż puszczać się w towarzystwie czterdziestoletniej piękności na niepewny eksperyment zdobywania złota na Syberyi".

Alosza przeczytał uważnie przytoczony wyżej ustęp, poczem złożył gazetę i zwrócił ją pani Chachłakow.

— A co! — zaszczebiotała — widzi pan, czterdziestoletnia piękność, to napewno ja. A wie pan, kto to napisał? (Niech mu PanBóg wybaczy, jak ja mu wybaczam tę czterdziestoletnią piękność). Nikt inny, tylko pański przyjaciel, Rakitin.

— Nie jest moim przyjacielem, ale nie słyszałem, żeby to on pisał.

— Ależ on! on, napewno, wymówiłam mu dom, nie wiem, czy pan słyszał tę historyę.

— Wiem, że nie bywa u pani, ale nie słyszałem, z jakiej przyczyny, wogóle rzadko się z nim teraz spotykam.

— Co prawda, że nie mogę nawet mieć za złe jego postępku, gniewam się na niego troszkę, ale nie bardzo. Wyobraź pan sobie, że w ostatnich czasach bywał u mnie często, i biedak zadurzył się we mnie po uszy. A jak pan wie, bywa tu u mnie także młody tutejszy urzędnik, Perchotin, co to za rozumny i porządny człowiek, a przytem prześlicznie wychowany, miły, wykształcony, maniery ma doskonałe, głowa poprostu ministeryalna, przyszła znakomitość niezawodnie. Ubrany zawsze bez zarzutu, a przyjaciel pański, Rakitin, przychodził nieraz w zabłoconych butach i wycierał je o dywan.

Otóż, prawdę powiedziawszy, oni dwaj nie lubią się wzajemnie i przy spotkaniu zawsze jeden drugiemu dogryzie. Kiedyś Rakitin był bardzo sentymentalny i czuły, a odchodząc, ściskał moją rękę bardzo długo i mocno. I tak się jakoś zdarzyło, że tego samego dnia, kiedy mnie tak mocno uścisnął, rozbolała mnie noga i musiałam się położyć. Dowiedziawszy się o tem, przyjaciel pański, Rakitin, napisał wiersze do moich nóżek, wcale zgrabne, i przyniósł mi je, ot, leżą pod poduszką.

Przyszedł tego dnia i Perchotin, więc

pokazałam mu wiersze, a on jak zacznie krytykować. Powiedział, "że to marne wierszydła, że napisał je z pewnością jakiś popowicz, że przytem temat zbyt ryzykowny." Rakitin wysłuchał tego wszystkiego i okropnie się obraził. "To ja pisałem te wiersze, — powiedział — pisałem je na żart, ale wiersze są zupełnie dobre. Puszkin napisał także wiersz do kobiecych nóżek, za co mu teraz pomniki stawiają." A Perchotin na to z drwiącą miną: "Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, że to pan, nie byłbym powiedział mego zdania, wiem, że poeci są tacy drażliwi." A wiedział doskonale, że to Rakitin. Wówczas pański przyjaciel podniósł głos i zaczął krzyczeć na Perchotina: "Pan ma pojęcia zacofane, nie rozumie pan nowych prądów, ani humanitarnych idei, nie ma pan wyobrażenia o postępie, a jako urzędnik, bierze pan z pewnością łapówki." Wówczas zamknęłam oczy i myślę: "Wymówić mu dom, czy nie wymówić? jak śmie krzyczeć na moich gości i to jeszcze przy mnie". No, i ostatecznie wymówiłam. Ale wie pan, nie dlatego nawet, żebym była obrażona, tylko zdawało mi się, że to bardzo pięknie wypadnie, taka niby scena, jak z dramatu. "Dom wymawiam dawnemu przyjacielowi". A on obraził się i naprawdę nie przychodzi, a teraz ze złości napisał na mnie ten artykuł.

— Przepraszam panią, — próbował wymknąć się Alosza — ale muszę już odejść, bo mi bardzo pilno do brata.

— Ależ naturalnie, rozumiem, że panu pilno, ale poczekaj pan, jeszcze tylko jedno powiem. Czy pan wie, co to afekt?

— Jakto afekt?

— Taki sądowy afekt, za który najsurowszy sąd wszystko przebacza. Choćbyś pan niewiem co zrobił, wszystko panu darują.

— Właściwie, dlaczego pani o tem mówi?

— Jakto dlaczego? To ten doktór, który przyjechał; musisz pan wiedzieć, że Katia sprowadziła doktora, który umie rozpoznawać waryatów, choćby kto nim nie był. Albo ta Katia! Taka się teraz zrobiła skryta, takie tony ze mną przybiera, że już wcale nie mogę odgadnąć, w kim się kocha. Otóż, widzi pan, siedzi sobie, naprzykład, człowiek zupełnie zdrów, wcale nie obłąkany, tylko jest w afekcie, i przytomny jest, i wie doskonale, co robi, ale robi w afekcie. Wtedy, podobno, niema żadnej winy i wszystko sąd przebacza. To właśnie najnowsze odkrycie i dobroczynny wpływ nauki na rozwój sądownictwa. Otóż ten doktór był u mnie i pytał, czy Dymitr, wasz brat, był w afekcie owego wieczora, kiedy radziłam mu jechać do kopalni złota; oczywiście, że w afekcie, krzyczał przecież, tupał nogami, o pieniądze wołał, jednak mówił, że nie zabije, a przecież poleciał i zabił.

— Ależ on nie zabił... — zaprzeczył niecierpliwie Alosza.

— Ach, prawda! wiem już, wiem, zabił go ten Grigor.

— Skądże znowu Grigor?... — dziwił się Alosza.

— Bardzo być może, że Grigor. Gdy go pański brat uderzył po głowie, leżał on jakiś czas nieprzytomny, a potem wstał, dostał afektu, i w afekcie zabił waszego ojca. Przecież to zupełnie prawdopodobne. Chociaż nie — lepiej, daleko lepiej, że Dymitr Fedorowicz zabił. Nie dlatego, że syn ojca, tego nie chwalę, przeciwnie, ale jeżeli go zabił w afekcie, to niema się czego martwić, bo i winy żadnej niema. Wszyscy doktorowie to potwierdzą. Jakby to przecież dobrze było, żeby go uwolnili, tak po ludzku, humanitarnie. Wie pan co, jeżeli go uniewinnią, to ja tegoż samego dnia wydam dla niego obiad proszony i mnóstwo osób zaproszę. Ja myślę, że on nie popełni już żadnego gwałtownego czynu, gdyby jednak chciał, to łatwo go będzie wyprowadzić. A potem pojechać może do innego miasta i zostać tam, naprzykład, sędzią pokoju. Najlepiej, aby został sędzią, bo tacy, którzy sami wiele przecierpieli, umieją potem sprawiedliwie sądzić innych. Koniecznie trzeba wprowadzić do naszego sądownictwa to prawo o afektach. Moja Liza także często wpada w afekt; czy pan wie, co ona dziś zrobiła? Ale pan pewno chce pójść do niej?

— Tak jest — powiedział Alosza i powstał z miejsca, chcąc już stanowczo opuścić panią Chachłakow.

— Ależ poczekaj pan! nie powiedziałam jeszcze tego, co najważniejsze. Mam do pana zupełne zaufanie i powierzam panu Lizę bez żadnej obawy. Ale nie mogę tego samego powiedzieć o pańskim bracie, Iwanie. Chociaż to bardzo inteligentny młody człowiek, nie powierzyłabym mu córki, tymczasem, niech pan sobie wyo-

brazi, on także zaczyna odwiedzać Lizę i to w sekrecie przedemną.

— Co? Iwan był u Lizy? — zawołał Alosza, tym razem naprawdę zdziwiony.

— Ależ tak, był u niej, a ja dowiedziałam się o tem dopiero w trzy dni potem, od Julii. Pytam Lizy, czego chciał, ale nic mi nie powiedziała, tylko raz, gdy przyszłam do niej, zaczęła wołać: "Ja nienawidzę Iwana Fedorowicza, niech mu mama dom wymówi." A ja na to: Jakże ja mogę, moje dziecko, wymawiać dom człowiekowi tak dystyngowanemu, a jeszcze w takiem nieszczęściu, bo nie można powiedzieć, żeby to było szczęście ten wypadek z waszym ojcem i z Dymitrem. Ale otóż i Piotr Iwan Perchotin — zawołała nagle, promieniejąc cała. — Witam kochanego pana, a czemu się pan tak spóźnił? Gdzie to pan idzie, Aleksy Fedorowiczu?

— Ja do Lizy — odrzekł Alosza, rejterując szybko.

— Tylko nie zapomnij pan odwiedzić mnie znów.

— Wszedłszy do Lizy, Alosza znalazł ją w bardzo złem usposobieniu. Była widocznie ogromnie rozdrażniona i zdenerwowana, schudła przytem, a pożółkła jej twarzyczka wyglądała chorobliwie.

— Wiem, że śpieszysz do brata, a mama zatrzymała cię całe dwie godziny i opowiadała niestworzone rzeczy.

— Skądże wiesz o tem?

— Podsłuchiwałam pod drzwiami; cóż patrzysz na mnie tak surowo, podsłuchiwałam i wcale się tego nie wstydzę i zawsze tak będę robiła, bo nie ma w tem nic złego.

— Widzę, że jesteś bardzo rozdrażniona.

— Przeciwnie, jestem w doskonałym humorze i bardzo się cieszę, że ci odmówiłam i żoną twoją nie będę.

— Czy po to mnie wezwałaś?

— Po to. Chciałam ci powiedzieć jedno moje pragnienie. Okropnie chcę, żeby się ze mną ktoś ożenił, a potem porzucił, zdradził, odjechał. Ja nie chcę być szczęśliwa.

— Podoba ci się życie nieporządne?

— Tak! chcę prowadzić życie nieporządne. Lubię to! Takbym chciała, naprzykład, podpalić dom — i to tak: podkraść się pocichutku, żeby nikt nie widział i podpalić, a potem patrzeć, jak drudzy nie wiedzą, że pożar się zaczyna, a ja jedna wiem.

— Skąd takie myśli? To bogactwo tak cię psuje, zbytek, w którym żyjesz.

— A tobie się zdaje, że lepiej żyć ubogim?

— Lepiej, stokroć lepiej.

— Wcale nie lepiej; wolę daleko, że jestem bogata i będę jadła konfitury ze śmietanką i nikomu nie dam. Tylko mi nie zaprzeczaj, nic nie mów, sto razy już słyszałam twoje wszystkie morały. Alosza! czy ty wierzysz, że jabym podpaliła?

— Dlaczegóżby nie? bywają dzieci, które podpalają, ale to choroba.

Patrzył na nią uważnie. Zdziwiła go niezwykła surowość, jakby starość, w tej nawpół jeszcze dziecinnej twarzy, ani śladu dawnej pustoty, widocznie jakiś ciężki proces wewnętrzny odbywał się w jej młodej duszy.

— Ty mną pogardzasz, Alosza, a mimo to powiem ci, że ja nie lubię robić dobrze, lubię robić źle. To tak przyjemnie zrobić coś złego pokryjomu, a potem wszyscy się dowiedzą i palcami wskazują, wszyscy patrzą i to jest przyjemnie. Powiedz, mi, Alosza, dlaczego to jest przyjemnie?

— Bierzesz złe za dobre i nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— Kiedy ja wiem, że ludzie lubią występek, kochają się w zbrodni.

— Widzę, że czytujesz złe książki.

— A naturalnie, że czytuję. Mama chowa pod poduszkę, a ja wykradam i czytam.

— I pocóż ci takie wiadomości?

— Bo to prawda. Oto, naprzykład, wszyscy niby oburzają się, że wasz brat zabił ojca, a przecież wszyscy tak się tem zajmują, jakby się cieszyli, jakby się coś najlepszego stało.

— Jest trochę prawdy w tem, co mówisz, Lizo, tylko, że Dymitr nie jest zabójcą.

— Słuchaj, Alosza! dlaczego ja się ciebie nie wstydzę i wszystko, wszystko ci mogę powiedzieć. Wiesz, że napisałam do brata twego, Iwana, i on był u mnie.

— Powiedz prawdę, Lizo. Więc rzeczywiście pisałaś do niego?

— Ależ tak, chciałam go o jedno zapytać, ale nie śmiałam, on posiedział pięć minut, pożegnał mnie i poszedł.

— Postąpił uczciwie — szepnął Alosza.

— Ale on mną pogardza.

— Lizo, to człowiek chory, tak, jak

i ty. On nie pogardza, tylko nikomu nie wierzy. Chociaż nie wierzyć, jest prawie to samo, co pogardzać.

— Słuchaj, Alosza, jabym tak chciała... —tu rzuciła się nagle ku niemu i objęła go rękami. — Ratuj mnie, Alosza, ratuj! Mnie tak źle, tak strasznie źle, ja żyć nie chcę i nienawidzę wszystkich, czy słyszysz? wszystkich, prócz ciebie.

Alosza uspokajał ją, jak mógł, ale pilno mu już było, bo lada chwila mogli mu wzbronić wstępu do więzienia, który zamykano o dziewiątej. Gdy odchodził, Liza wsunęła mu do ręki zapieczętowany liścik.

— Oddaj to, oddaj koniecznie — krzyknęła za nim.

Alosza spojrzał na list — zaadresowany był do Iwana.

Gdy odszedł, Liza pobiegła do drzwi, a włożywszy palec w szczelinę, przycisnęła go sobie umyślnie aż do krwi. "Podła jestem, podła!" powtarzała cicho.

Późno już było, gdy Alosza przyszedł do więzienia, mimo to, wpuszczono go odrazu. Wszyscy go tam lubili, począwszy od dozorcy, aż do ostatniego stróża. Prócz niego, częstymi gośćmi w więzieniu byli także Grusza i Rakitin. Ten ostatni wychodził właśnie w chwili wejścia Aloszy. Rakitin nie lubił spotykać się z Aloszą, i teraz udał, że go niewidzi, zapinając niby palto i szukając parasola.

— Bylebym nie zapomniał tu co swojego — powiedział tak, aby coś powiedzieć.

— A zwłaszcza coś cudzego — zaśmiał się Mitia.

— Ostrzegaj przed tem swoich Karamazowych — odciął się Rakitin, nie ukrywając gniewu.

— A ty czego? Powiedziałem to tylko dla żartu, i cóż się tu do dyabła obrażać? Oni wszyscy tacy — dodał, zwracając się do Aloszy — śmiał się przed chwilą i był w najlepszym humorze, a teraz się obraził.

— Czemu on tak często tu przychodzi, czyście się zaprzyjaźnili? — zapytał brata Alosza.

— Nie, nie to. Rakitin jest świnia, a mnie uważa za zbrodniarza, przytem nie zna się na żartach, oschła dusza. Ale rozum ma. No cóż, ze mną już koniec, drogi Alosza.

—Jutro sąd? Czy naprawdę nie masz żadnej nadziei?

— Sąd — fraszka, nie o nim myślę, mówiąc, że wszystko przepadło, a o tem, co miałem w głowie.

— Cóż to było?

— Ideje, bracie, ideje! Etyka. Wiesz ty co to etyka?

— Etyka? — zdziwił się Alosza.

— No tak, taka nauka.

— Wiem, że to nauka, ale nie potrafiłbym ci jej bliżej określić.

— A Rakitin potrafi. Rakitin wszystko wie. Ten nie pójdzie na mnicha. Do Petersburga się wybiera karyerę zrobić i zrobi niezawodnie ;on do tego majster. Dla mnie zaś wszystko już przepadło, tak, Alosza miły, człowieku Boży, którego kocham nad wszystko. Serce mi drży do ciebie, Powiedz mi, kto to był Karol Bernard?

— Jakto, Karol Bernard?

— To jest chciałem powiedzieć Claude Bernard, Klaudyusz Bernard. Co to takiego? Chemik, zdaje się.

— Przyznam ci się, że nie wiem dokładnie — odparł Alosza.

— Czort bierz, i ja nie wiem — odparł Mitia — łajdak z pewnością jakiś, wszyscy oni tacy, te Bernardy, dużo się ich teraz namnożyło.

— Co ci jest, bracie? — pytał niespokojnie Alosza.

— Nic. Wiesz, Rakitin pisze studyum o moim procesie, biorąc za motto słowa: "Musiał zostać mordercą, dzięki środowisku". Ma w tem być i źdźbło socyalizmu, tak mi mówił przynajmniej. Pracą tą rozpocząć chce swoją literacką karyerę. Brata Iwana nienawidzi, ciebie także nie miłuje. Ja go znoszę, bo co mi tam! bądź co bądź, mądry człowiek. Tylko mówię mu czasem tak: "Karamazowy to nie zbrodniarze, a filozofy, bo każdy prawdziwy Rosyanin jest filozofem, a ty żebyś się nie wiem jak uczył, nie będziesz filozofem, a śmierdziuchem." On śmieje się, niby, a zły — a ja mu na to: de gustibus non est disputandum. Widzisz, jaki się ze mnie zrobił łacinnik.

— Powiedz mi lepiej, dlaczego ci się zdaje, że wszystko przepadło? — pytał Alosza.

— No tak, bo przepadło, tylko Boga mi żal, ot co.

— Jakto! Boga żal?

— Wyobraź sobie, że właściwie są tylko nerwy, tak mnie Rakitin objaśnił. Patrzę naprzykład na coś oczami, wnet rozpoczyna się drganie niteczek nerwowych,

przenosi się do mózgu, nie zaraz, a po sekundzie, i tworzy się obraz, nie obraz, a przedmiot, nie przedmiot, a myśl, czyli raczej zdarzenie. Mądra nauka! prawda? Wspaniała nauka. Rozumiem teraz, że powstanie z tego zupełnie nowy człowiek, nowy typ, ale zawsze wiary mi żal, dawnej wiary mojej.

— I to już dobrze — szepnął Alosza.

— Że mi żal? A Rakitin powiada, że teraz będzie tylko chemia. Uf! jak Rakitin nienawidzi wiary. On i jemu podobni. To ich drażliwy punkt, to ich bolączka, mimo, że kłamią i wypierają się tego. "Więc w takim razie — mówię mu — człowiekowi wszystko jest dozwolone, niema dla niego żadnego hamulca." "A oczywiście — powiada — rozumnemu człowiekowi wszystko jest dozwolone, nie takiemu, jak ty. Tyś zabił i za głupie trzy tysiące gnijesz w więzienu." Świnia! pozwala sobie mówić mi takie rzeczy. Dawniej wyrzuciłbym takiego za drzwi, a dziś słucham, co gada. Bo trzeba przyznać, że jest mądry. Przeczytał mi raz jedną swoją broszurę, wypisałem sobie z niej jedno zdanie — posłuchaj, przeczytam ci:

"Chcąc rozstrzygnąć stanowczo jakąś kwestyę, należy przedewszystkiem przeciwstawić swoje indywidualności własną istotę wewnętrzną."

— Czy zrozumiałeś co z tego?

— Ani słowa.

—Ja także nie. On powiada, że wszyscy teraz tak piszą. Najnowsza metoda. A słyszałeś o wierszach, które napisał do Chachłakowej?

— Nie słyszałem.

— To ci opowiem, bo to cała historya. Przychodził do mnie i ciągle mi się zwierzał, a ze mnie szydził. "Ty — powiada — wdepnąłeś za marne trzy tysiące, a ja bez żadnego niebezpieczeństwa dostanę pół miliona .Ożenię się z wdową Chachłakową, za jej pieniądze kamienicę wystawię w Petersburgu i dziennik wydawać zacznę". I aż mu ślina do ust idzie, oczywiście, nie do Chachłakowej, a do jej pół miliona. I umizgać się do niej zaczął. A tu, na szczęście, pojawił się Perchotin i, zdaje mi się, ubiegł go. Zuch chłopak! Czy wiesz, Chachłakowa nigdy rozumu nie miała, a nie nabrała go i teraz, a przecież sambym tę idyotkę wycałował, za to tylko, że Rakitinowi dom wymówiła.

A jak się łotr obraził, że mu dom wymówili, aż zębami zgrzytał z gniewu.

— Już się zemścił — odparł Alosza — napisał korespondencyę o Chachłakowej.

— Ach te korespondencye — westchnął Mitia — ile już kłamstw podłych wypisano o nas wszystkich, a zwłaszcza o Gruszy i o Kati.

— Bracie! — rzekł Alosza — nie wolno mi bawić tu długo, a jutro taki ważny dzień, a sąd Boży nad tobą, aż mi dziwno, że możesz myśleć o takich błachostkach.

— Nie dziw się — odparł Mitia — pocóż mam zaprzątać sobie głowę morderstwem, które popełnił Smerdiakow. On zabił, teraz jestem o tem najsilniej przekonany i Bóg sam ukaże go, zobaczysz.

Poszedł do Aloszy i pocałował go, a oczy jego gorzały dziwnym blaskiem.

—Posłuchaj, Alosza, Rakitin nie pojmie takich rzeczy, ale ty zrozumiesz. Bracie, ja w tych ostatnich miesiącach odkryłem w sobie nowego człowieka! Człowiek ten był we mnie zawsze, ale nigdyby się na jaw nie wydobył, gdyby nie ten straszny cios. Myślę, że w najlepszym wypadku skazany bedę na dwadzieścia lat, rozbijać będę młotkiem twardą grudę. Nie przestrasza mnie to wcale, byleby ten nowy człowiek nie odszedł odemnie. Nie zabiłem ojca, a mimo to, zniosę karę, bo widać tak potrzeba. Nie darmo w takiej godzinie przyśnił mi się taki sen o tem biednem dziecku. Tak, trzeba, żeby ktoś cierpiał za innych, za biedne dzieci. Wszystko to przyszło mi na myśl wśród tych szarych, wypłowiałych ścian mojego więzienia. Pod ziemią, miedzy katorżnikami, można także znaleźć ludzi i wskrzesić w niejednym zamarłe serce, odrodzić je tak, że z podziemnych min powróci na świat aniołem lub bohaterem. I tam nawet, pod ziemią, w kajdanach wśród wielkiej nędzy naszej, zmartwychwstać możemy dla radości, bez której człowiek żyć nie może. Bo radość daje Bóg, to już jego wielki, boski przywilej. I jeśli tacy, jak Rakitin, wygnają Boga z powierzchni ziemi, to my, ludzie podziemni, przyjmiemy go do siebie i z piersi naszej popłynie wielki, tragiczny hymn, na cześć Jego i świętej radości życia.

Mitia mówił to wszystko z głębokiem przejęciem, usta mu drgały, a z oczu płynęły wielkie, kropliste łzy.

— Tak, życie i pełne życie odnaleźć

można i pod ziemią. Ty nie uwierzysz. Alosza, jak ja teraz pragnę żyć, jak pożądam życia, istnienia i pełnej jego świadomości. Taki Rakitin nigdy tego nie zrozumie. On byle miał dom w Petersburgu i lokatorów, którzy mu będą płacili, więcej nie potrzebuje. Na ciebie też czekałem, aby ci to wszystko powiedzieć. Nie boję się cierpienia i zniosę je, żeby było niewiem jak wielkie, bylebym tylko wiedział, bylebym mógł w każdej chwili powiedzieć sobie, że "jestem". Cierpię, ale jestem, mąk tysiące zniosę, ale jestem i wiem o tem, i słońce widzę, a jeżeli nie widzę, to wiem, że świeci, a wiedzieć, że jest słońce, to już życie. Alosza! cherubinie ty mój! Ci ludzie zabijają mnie swemi filozofiami: Rakitin i brat Iwan. Iwan — to sfinks, milczy zawsze i tai w sobie swoją ideę. Ja dawniej nie miałem tych wszystkich wątpliwości, a teraz dręczę się niemi. Bo jeśli to, co mówił Rakitin, jest prawdą, to jakim sposobem człowiek może być cnotliwy? co będzie kochał? co czcił? Rakitin twierdzi, że i tak kochać można ludzkość, a ty, powiada, staraj się, żeby ceny mięsa nie podnosiły się, a więcej tem dobra wyświadczysz ludzkości, niż całą twoją filozofią, A ja mu na: A ty z twoją filozofią pierwszy cenę mięsa podniesiesz i rubel do rubla, na tem odkładać będziesz. Rakitin, powiada, że cnota to rzecz względna. Inną ma np. Chińczyk, inną ja. W takim razie co jest cnotą? Iwana pytam, ale on milczy; ze źródła jego duszy zaczerpnąć chciałem, ale on zawsze zbywa mnie niczem. Raz tylko powiedział słówko.

— Cóż takiego? — pytał niespokojnie Alosza.

— Ja mu mówię: Więc w takim razie człowiekowi wszystko jest dozwolone? A on mi na to: Nasz ojciec, Fedor Pawłowicz, to było zwierzę, ale umiał myśleć prawidłowo. Co z tego odgadniesz?

— To prawda — odrzekł z goryczą Alosza — a kiedyż Iwan był u ciebie?

— O tem potem. Iwan doradza mi jedną rzecz, ale to się rozstrzygnie dopiero wtedy, gdy na mnie wyrok wydadzą.

— A czy mówiłeś z adwokatem?

— Co tam adwokat? Opowiedziałem mu wszystko, ale on nie wierzy mi, ani na obwinięcie palca, myśli, że ja zabiłem. "Pocóż w takim razie podjąłeś się pan obrony?" spytałem go. Pluję na nich wszystkich. Doktora wypisali, chcąc mnie waryatem zrobić; nigdy się na to nie zgodzę. Katarzyna opiekę nademną roztacza, obowiązek chce spełnić do końca. Babski upór. Wie wszystko, co powiedziałem o niej w śledztwie, powtórzyli jej. Dowody przeciw mnie mnożą się, jak piasek w morzu. Grigor wrogiem mi jest; coprawda, wolę mieć w niektórych wrogów, niż przyjaciół. (Mówię to nie o Grigorze, ale o Katarzynie Iwanównie). Gotowa opowiedzieć publicznie pierwsze swoje ze mną przejście z tymi czterema tysiącami. Nie potrzebuję jej poświęceń, nie chcę, żeby o tem mówiła; wstyd zrobi sobie i mnie. Jej nie żałuję, sama chce. Ale Grusza, Grusza, za co tak cierpi? Myśl o niej zabija mnie. Była dziś u mnie.

— Wiem — odparł Alosza — wyszła bardzo na ciebie rozżalona.

— Uniósł mnie mój przeklęty temperament i zrobiłem jej scenę zazdrości. Płakała, pocałowałem ją na pożegnanie, ale jej nie przeprosiłem.

— Dlaczego, bracie? — pytał ze zdziwieniem Alosza.

— Niech cię Bóg strzeże, drogi chłopcze, abyś miał kiedy przepraszać kobietę, a zwłaszcza kobietę, którą kochasz. Nigdy, nigdy, choćbyś nie wiem, jak przed nią zawinił. Bo widzisz, bracie, kobieta... Bóg jeden wie, co tam w nich siedzi, a ja przecież znam je trochę. Spróbuj tylko uznać się przed nią winnym, powiedzieć: zawiniłem, ale mi przebacz, daruj. Spadnie ci zaraz na głowę cały grad wyrzutów. Nigdy nie potrafi przebaczyć uczciwie, po prostu, zaraz cię poniży, sponiewiera, wyciągnie nawet takie rzeczy, których wcale nie było, niczego nie opuści, o niczem nie zapomni, swoje jeszcze doda — i wtedy dopiero daruje ci winę. I to jeszcze zrobi tak tylko dobra ,zupełnie dobra kobieta. Taka w nich tkwi drapieżność, we wszystkich, co do jednej, w tych aniołach, bez których żyć nie możemy.

— Słuchaj bracie! Każdy, mniej więcej porządny mężczyzna, musi być pod pantoflem kobiety, tej, czy innej, takie jest przynajmniej moje przekonanie. Nie poniża to bynajmniej mężczyzny, nie poniży nawet bohatera, Cezara samego nie zmniejszy... Ale przepraszać? — nigdy w świecie. Miej to sobie za prawidło — nigdy. Poleca ci to twój brat, Mitia, którego kobiety zgubiły. Nie, już ja i bez przeproszenia czemś ułagodzę Gruszę. Kocham ją i czczę, ale

ona tego nie widzi ,nie chce widzieć, zawsze jej za mało. I zaprawia mi cierpieniem tę miłość naszą. Pierwej dręczyła mię tylko jej chwiejność, ale dziś duszę jej całą wziąłem w moją i przez to stałem się człowiekiem. Czy też pozwolą nam wziąć ślub? Inaczej umrę z zazdrości. Co ona ci mówiła?

Alosza powtórzył mu słowa Gruszy.

— Więc nie gniewa się o to, żem zazdrosny? Sama ma takież serce, i lubi to. I ja także lubię takie usposobienie, chociaż nienawidzę, gdy kto o mnie jest zazdrosny. Będziemy się z Gruszą strasznie szarpali, ale też i kochać się będziemy. Czy tylko wolno mi będzie wziąć ją za żonę? Katorżnikom podobno nie pozwalają się żenić, — a bez niej żyć nie potrafię.

Słuchaj Alosza — mówił dalej — ja ci powiem jedną tajemnicę, powiem i prosić cię będę, abyś wydał sąd, bo tobie jednemu wierzę. Tylko nie mów nic dzisiaj, dziś nie rozstrzygaj, a dopiero po procesie, gdy wyrok na mnie wydadzą. Wtedy powiesz, a zrobię co postanowisz. Oto widzisz, Iwan, odkąd przyjechał, namawia mnie do ucieczki, wszystko już obmyślił, przygotował i prosi bardzo, nastaje, nie prosi nawet, a każe. On mówi, że skazanym do kopalni nie wolno się żenić. Radzi mi uciekać do Ameryki z Gruszą. Widzisz, Alosza, innemu nie powiedziałbym, ale ty zrozumiesz. Czy wolno mi uchylać się od cierpienia? Czy wolno uciekać? A cóż będzie z moim hymnem podziemnym na cześć Boga i życia? Co będzie z pokutą, której sam pragnąłem? Ameryka kraj obcy i łajdactwa, ja myślę, sporo być musi w tej Ameryce — odrodzić się tam trudno. Mówiłem to Iwanowi, on rozumie moje skrupuły, ale nie wierzy w nie, nie wierzy w mój hymn podziemny. Iwan chce mnie ratować, a przecież uważa mnie za mordercę.

— Mówił ci to?

— Nie, ale ja to widzę, z oczu jego widzę. —

—A teraz, Alosza miły, pożegnajmy się do jutra, pamiętaj o mnie i módl się za mnie, módl się o jutro moje.

Uściskali się po wiele razy. Alosza przeżegnał brata.

— Poczekaj, — zawołał nagle za odchodzącym Mitia, — stań przedemną i patrz mi prosto w oczy. Powiedz, czy wierzysz? czy wierzysz, że nie ja zabiłem?

— Ani przez jedną minutę nie miałem cię za mordercę, — odpowiedział stanowczo Alosza.

— Dzięki ci, bracie! dzięki. Tobie nawet nie śmiałem zadawać tego pytania. A teraz bądź zdrów i kochaj Iwana.

Alosza wyszedł. Ostatnie słowa Miti zastanowiły go. Brat Iwan niepokoił go w ostatnich czasach, bardziej jeszcze, niż Mitia, postanowił więc udać się do niego.

Idąc do Iwana, musiał Alosza przechodzić obok mieszkania Katarzyny Iwanówny. Obaczywszy światło w jej oknach zaszedł i do niej, spodziewając się zastać tam Iwana. Istotnie, spotkał go na schodach, widocznie już odchodził.

— Ach to tylko ty, — rzekł Iwan sucho, — zobaczywszy go. Ty do niej?

— Tak.

— Nie radziłbym dziś, ona nie w humorze, a ty rozdrażnisz ją jeszcze bardziej.

— Nie, nie! — dał się słyszeć głos z górnego piętra, — proszę, niech pan wejdzie, Aleksy Fedorowiczu, pan wracasz od niego?

— Tak, byłem u Miti.

— Czy kazał mi co powiedzieć? Chodźcież tu obaj — słyszycie! — Ostatnie słowa wymówiła tak rozkazująco, że Iwan po krótkiem wahaniu, zdecydował się powrócić razem z Aloszą.

— Podsłuchiwała, — szepnął gniewnie sam do siebie, — ale tak, że go Alosza usłyszał.

— Pozwól mi zostać w paltocie, — rzekł Iwan, wszedłszy na górę, — zabawię tu najwięcej minutę.

— Siadaj pan, Aleksy Fedorowiczu, — prosiła Katarzyna.

Nie wiele się zmieniła przez ten czas, tylko czarne jej oczy gorzały ponurym blaskiem, wydała się Aloszy przedziwnie piękna.

— Cóż mi kazał powiedzieć?

— To tylko, — odparł Alosza, patrząc jej prosto w oczy — żeby pani nie wspominała w sądzie o okolicznościach, jakie zaszły przy pierwszej z nim znajomości.

— O tym pokłonie do ziemi, za pieniądze — podchwyciła, śmiejąc się szyderczo. — Czy boi się tego dla mnie, czy dla siebie?

— Dla pani i dla siebie — odparł Alosza.

— Tego się właśnie spodziewałam — odcięła szorstko, poczerwieniawszy z gniewu. — Pan mnie jeszcze nie znasz, Aleksy

Fedorowiczu, rzuciła groźnie, — może jeszcze przeklinać mnie będziecie jutro wszyscy za moje zeznania.

— Bylebyś pani mówiła szczerze i uczciwie to już wystarczy — szepnął Alosza.

— Szczerość! Uczciwość! to nie koniecznie kobiece zalety — syknęła gniewnie. — Zresztą ja sama nie wiem. — Godzinę temu jeszcze zdawało mi się, że taki mam wstręt do tego potwora, jak do gadu obrzydłego, a teraz czuję, że jednak uważam go jeszcze za człowieka, że obchodzi mnie jeszcze los jego. Powiedzcież mi raz! zabił czy nie zabił? — krzyczała histerycznie. Alosza zrozumiał teraz, że pytaniem tem musi nieustannie dręczyć Iwana.

— To ty! to ty! wmówiłeś we mnie, że Dymitr jest ojcobójcą, wołała do Iwana.

Alosza osłupiał na to "ty", nie przypuszczał tak poufałego stosunku między nimi.

Iwan uśmiechnął się z przymusem i odwrócił się ku drzwiom.

— Idę już rzekł — powrócę jutro.

Zaledwie wyszedł, Katarzyna rzuciła się do Aloszy i nalegała gwałtownie, chwytając go za ręce.

— Idź pan! idź za nim, nie odstępuj go ani na krok, on chory, ma uderzenia do mózgu, doktór mi mówił.

Alosza rzucił się za odchodzącym Iwanem i dogonił go wkrótce.

— Czego chcesz? — spytał szorstko tamten odwracając się. — Kazała ci biedz za mną, wmawiając, że jestem chory i waryat, z góry już wiem.

Iwan szedł dalej, nie zważając na niego, Alosza dotrzymywał mu kroku.

— A wiesz ty, Aleksy Fedorowiczu, jakie się ma uczucie, wpadając w obłąkanie? — spytał nagle Iwan zupełnie już innym głosem, w którym brzmiała jakby tylko ciekawość.

— Nie, niewiem. Przypuszczam, że muszą istnieć rozmaite rodzaje obłędu.

— A czy można kontrolować samego siebie?

— Myślę, że nie można dokładnie — odparł zdziwiony Alosza.

Iwan na chwilę umilkł.

— Jeśli chcesz rozmawiać ze mną dalej, to przedewszystkiem zmień temat — dodał po namyśle.

— Mam list do ciebie — rzekł nieśmiało Alosza — i wsunął mu do ręki kartkę Lizy. Dochodzili właśnie do latarni i Iwan poznał natychmiast pismo.

— To od tego dyablątka — zauważył, śmiejąc się niedobrym śmiechem, i, nie otwierając koperty podarł list na drobne strzępki.

— Szesnastu lat nie doszła, a już się puszcza — rzekł z pogardą.

— Jakto, puszcza się? — zawołał Alosza.

— Wiadomo jak — jak każda rozpustnica.

— Iwanie, co ty mówisz? To dziecko, chore dziecko, przechodzi ciężkie przesilenie. Myślałem, że usłyszę od ciebie coś, co mi pomoże ją ratować.

— Nic odemnie nie usłyszysz, jeżeli ona jest dzieckiem, to ja nie jej piastunką. Nie mów już nic Aleksy, nie zaprzątaj mi głowy takiemi rzeczami. Zapomniałem już o niej.

Milczeli obaj czas jakiś.

— Gotowa modlić się całą noc, żeby wiedzieć, jak się na jutro zaprezentować w sądzie — odezwał się Iwan.

— Ty mówisz o Katarzynie?

— Tak. Sama jeszcze nie wie, czy odegrać ma rolę zbawczyni Dymitra, czy też zgubić. Z tego powodu modli się teraz, wzywając rady niebios. Ta także chciałaby zrobić ze mnie niańkę, bym ją do snu kołysał.

— Katarzyna Iwanowna kocha cię, bracie — rzekł poważnie Alosza.

— Ale ja na nią nie amator.

— Ona cierpi. Pocóż więc mówisz jej niekiedy słowa, które podtrzymują w niej nadzieję. Przebacz mi, że ci to mówię — dodał nieśmiało.

— Nie mogę zrywać z nią teraz, bo przez zemstę zgubiłaby tego mordercę. Wiedząc zaś, jak mi zależy na jego ocaleniu, oszczędzać go będzie. Tu wszystko jest kłamstwem. Kłamstwo na kłamstwie, mówię ci.

Wyraz "morderca", którego Iwan użył o Miti, dotknął boleśnie Aloszę.

— Czemże Katarzyna zgubić może naszego brata — pytał, zastanawiając się nad słowami Iwana — jaki ma dowód przeciw niemu?

— Ma w ręku dowód niezbity i przekonywający, z całą pewnością, że Dymitr jest ojcobójcą.

— To być nie może! — zaprzeczył żywo Alosza.

— Jakto nie może? Sam przecie czytałem.

— Taki dokument nie może istnieć, bo Dymitr nie jest zabójcą. On nie zabił ojca, stanowczo nie on.

Iwan Fedorowicz zatrzymał się nagle.

— Któż zatem jest mordercą według was? — spytał z mrożącym chłodem, a w tonie jego czuć było jakby obrażoną dumę.

— Ty sam wiesz kto — odrzekł cicho i dobitnie Alosza.

— Co? Znowu ta bajka o zidyociałym epileptyku, Smerdiakowie.

— Ty sam wiesz — powtórzył bezsilnie Alosza, drżał przytem cały z wytężenia i wysiłku.

— Jakto? skąd — krzyknął Iwan — a całe jego panowanie nad sobą znikło gdzieś w jednej chwili.

— Ja tylko jedno wiem — szepnął Alosza, — że to nie ty,, że nie ty zabiłeś.

— Co to znaczy? "Nie ty" — pytał osłupiały Iwan.

— Nie ty, tak, nie ty jesteś mordercą.

Milczeli obaj z pół minuty.

— Ja sam wiem, że nie ja, cóż to zabrednie — pytał, blady jak ściana. Wpił się wzrokiem w twarz Aloszy, stali właśnie pod latarnią.

— Iwanie, boś ty powtarzał sobie nie wiem ile razy, żeś jest zabójcą.

— Kiedy? jak? byłem wtedy przecie w Moskwie — zupełnie już nieprzytomnie pytał Iwan.

— Powtarzałeś to sobie po tysiąc razy przez te straszne dwa miesiące i robiłeś sobie wyrzuty — mówił Alosza prawie bezwiednie i jakby ulegając obcej jakiejś sile, która zmuszała go do wypowiedzenia tych słów. — Obwiniałeś siebie i zdawało ci się, że nie kto inny, tylko tyś jest mordercą, a przecież omyliłeś się — bo to niety, nie ty. Bóg sam posłał mnie, abym ci to powiedział.

Stali naprzeciw siebie obaj bladzi, patrząc sobie w oczy; blask latarni oświecał jasno ich rysy. Nagle Iwan zadrżał i chwycił Aloszę za ramiona.

— Więc ty byłeś u mnie? syknał, więc ty byłeś u mnie w nocy, kiedy "on" przychodzi, tyś widział go, widział?

— Kogo? Czy Mitię? — pytał, nierozumiejąc Alosza.

— Nie, daj mi pokój z tamtym. Jakieś ty się mógł dowiedzieć, że "on" przychodzi.

— Jaki on? Nie wiem o kim mówisz, bracie — wyjąkał przestraszony Alosza.

— Nie, ty musisz wiedzieć. Inaczej, skąd żebyś mógł?...

Naraz jakby się opamiętał, zamilkł na chwilę. Na ustach jego ukazał się dziwny uśmiech.

— Bracie — mówił dalej Alosza — powiedziałem ci to, bo wiem, że słowom moim uwierzysz, i to na życie, na całe życie. I sam Bóg posłał mnie i kazał mi powiedzieć ci: "nie ty" choćbyś miał mnie od tego czasu znienawidzić.

Ale Iwan zdążył już całkiem nad sobą zapanować.

— Aleksy Fedorowiczu — przemówił z chłodnym uśmiechem. — Nienawidzę proroków i epileptyków, a zwłaszcza improwizowanych wysłańców niebieskich, musisz chyba o tem wiedzieć. Od tej chwili wszystko między nami zerwane i to, jak się zdaje, na zawsze. Radziłbym ci też, abyś mnie nie nachodził w mojem mieszkaniu, a zwłaszcza dziś, dziś, nie waż się przychodzić, słyszysz?

Odwrócił się i oddalił się pewnym krokiem, nie odwracając się.

— Bracie! — krzyknął za nim Alosza. — Jeśli ci się dzisiaj coś przytrafi, pomyśl o mnie, proszę cię, pomyśl.

Ale Iwan nic nie odpowiedział. Alosza stał jeszcze czas jakiś pod latarnią, na zbiegu dwóch ulic i patrzył za bratem, dopóki mu ten z oczu nie zniknął, Potem udał się do swego mieszkania. Mieszkali teraz w zupełnie przeciwnych sobie końcach miasta. Iwan zajmował wygodny i wykwintny apartamencik, ale żył zupełnie odosobniony. Usługiwała mu głucha, zreumatyzmowana staruszka, która kładła się spać o szóstej wieczorem. Ona jedna miała wstęp do jego mieszkania, po za tem żył zupełnie sam i nikogo nie przyjmował. Niekiedy nie wpuszczał nawet owej staruszki i sam uprzątał swój pokój sypialny. Teraz, przyszedłszy do swej bramy i trzymając już rękę na dzwonku, namyślił się nagle inaczej, splunał, zaklął siarczyście i poszedł do mieszkania Smerdiakowa.

Zaraz po przyjeździe z Moskwy, Iwan chciał widzieć Smerdiakowa, ale ten leżał wtedy chory w miejskim szpitalu i doktorzy upewnili Iwana, że stan jego jest je-

szcze groźny, a osłabienie tak wielkie, że nie mógłby mu z pewnością udzielić żądanych wyjaśnień.

Twierdzili także stanowczo, że atak epileptyczny, w jakim znaleziono go w dzień śmierci Fedora Pawłowicza nie był wcale udany, owszem, wyjątkowo niebezpieczny i cud prawdziwy, że chory wyszedł z niego żywym.

Iwan poszedł więc wpierw do więzienia, dla zobaczenia się z bratem. Zachowanie się Dymitra utwierdziło go w przekonaniu, że on to popełnił morderstwo. Dymitr był wtedy ogromnie rozdrażniony, nie starał się wcale usprawiedliwiać, owszem, twierdził z pewną zawziętością, że nie może go obwiniać ten, kto sam utrzymywał, że człowiekowi wszystko jest dozwolone, a jednak Alosza, wbrew mniemaniu całego miasta, obstawał przy twierdzeniu, jakoby Smerdiakow był zabójcą. Postanowił Iwan zobaczyć się z nim, bądź co bądź i zaszedł raz jeszcze do szpitala, gdzie go tym razem wpuszczono.

Należy przytem nadmienić, że, składając zeznania w sądzie, Iwan nie wspomniał ani słowem o rozmowie swojej ze Smerdiakowem, która mogła rzucić na niego pewne podejrzenia.

Nie miał bynajmniej zamiaru taić się z tem, tylko chciał wpierw widzieć się sam ze Smerdiakowem, aby wyrobić sobie własne zdanie w tej sprawie.

Smerdiakow umieszczony był w szpitalu w seperatce na dwóch, a oprócz niego, znajdował się tam jeszcze jakiś człowiek, chory na wodną puchlinę.

Ujrzawszy Iwana, Smerdiakow, zmieszał się cokolwiek, tak się przynajmniej Iwanowi zdawało, po chwili jednak odzyskał spokój, a usiadłszy na łóżku, patrzył obojętnie na gościa.

— Kiedy pan raczył przyjechać? — spytał słabym głosem.

— Wczoraj. Musiałem tu przybyć, aby naprawiać, coście tu nawarzyli.

Smerdiakow westchnął.

— I czego wzdychasz? Wiedziałeś przecież z góry, co będzie.

— Trudno było nie wiedzieć — odparł spokojnie Smerdiakow, — tylko nie wiadomo było, jak się uda.

— Co to znaczy? jak się uda. Ty mi się nie wykręcaj. Dlaczego przepowiadałeś już naprzód, że dostaniesz ataku tego właśnie dnia i o tej godzinie, a mianowicie w piwnicy. Dowiadywałem się od doktorów i wiem, że ataku epileptycznego nie można z góry przewidzieć, nie można wiedzieć kiedy i o której godzinie nadejdzie.

— Czy pan to już zeznał w śledztwie? — pytał spokojnie Smerdiakow.

— Nie zeznałem jeszcze — krzyknął Iwan, tracąc cierpliwość, — ale na pewno zeznam, nie myśl, żebym pozwolił robić ze siebie zabawkę.

— Jakżebym śmiał robić sobie z pana zabawkę, skoro po Bogu panu jednemu ufam.

— Dlaczego więc zapowiadałeś swoją chorobę?

— Nie zapowiadałem, tylko miałem przeczucie.

— Oznaczałeś dzień i godzinę.

— Spytaj się pan doktorów, którzy mnie znaleźli, czy stan mój był udany. Opowiedziałem im wszystko, co zaszło przedtem, i pan doktór Warwiński, asystent doktora Hercenszube wytłómaczył wszystkim, że to właśnie to ciągłe myślenie o chorobie, ta ustawiczna obawa sprowadziła mi atak. Zapisali to w sądzie i potwierdzili.

— Wypowiedziawszy to, Smerdiakow umilkł jakby znużony.

— A czy opowiedziałeś w sądzie rozmowę, którą miałeś ze mną w wilię mego wyjazdu?

— Tak jest, opowiedziałem,

— Co do słowa?

— Co do słowa nie.

— Czy mówiłeś, że chwaliłeś się przedemną, jakobyś miał udawać chorobę?

— Nic o tem nie wspomniałem.

— Dlaczego mnie namawiałeś do wyjazdu?

— Przez przyjaźń i oddanie, bo po sobie najbardziej troszczyłem się o pana. Sądziłem, że się pan domyśla, że tu się gotuje coś złego i będzie pan wolał wyjechać na ten czas ze strachu.

— Czy masz wszystkich za takich tchórzów, jak sam jesteś?

— Wybacz pan, myślałem wtedy, że pan jest taki, jak ja. Zresztą, namawiałem pana na wyjazd do Czeremaszni, nigdy do Moskwy.

— Dlaczego?

— Bo Czeremasznia bliżej, łatwiejby więc panu było powrócić.

— A dlaczegóż powiedziałeś mi na po-

żegnanie: "Miło mi jest pomówić z rozumnym człowiekiem".

— Myślałem, że mnie pan zrozumiał i jedziesz do Czeremaszni, aby wkrótce powrócić.

— A czy wiesz, że brat ciebie obwinia o zabójstwo?

— Cóż mu innego pozostaje? Musi tak mówić, aby się ratować. Gdybym miał złe zamiary i myślał o zabiciu waszego ojca, to przecież nie byłbym tak głupi, aby na dzień przedtem dawać na siebie takie poszlaki i to rodzonemu synowi. Spytaj pan sędziów, czy zrobił tak kiedy jaki zbrodniarz.

Iwan, przekonany logicznością tych wywodów, powstał i gotował się do odejścia.

— Widzę, żeś jeszcze słaby — rzekł do Smerdiakowa. Czy nie trzeba ci czego?

— Dziękuję pokornie, Marta Ignatiewna przychodzi do mnie codzień i zaopatruje we wszystko.

— Słuchaj — rzucił jeszcze, odchodząc, Iwan, nie mów w śledztwie, że umiesz udawać chorobę, a i ja tego nie powiem, aby ci nie zaszkodzić.

— Jeżeli tak, to i ja nie powtórzę wszystkiego, co pan ze mną mówił przed swoim wyjazdem, — odrzekł Smerdiakow.

Dopiero, wyszedłszy na korytarz, zrozumiał Iwan, jak ubliżające znaczenie miały wyrazy Smerdiakowa. W pierwszej chwili chciał zawrócić i dać mu należytą odprawę, ale potem machnął ręką i wyszedł, mówiąc sobie w myśli.

"Wszystko to głupstwo".

W gruncie czuł się uspokojony, a nawet pocieszony faktem, że nie Smerdiakow, a Dymitr był zabójcą. Nie zdawał sobie sprawy dlaczego cieszyło go to, a właściwie nie miał najmniejszej ochoty do grzebania się we właściwych uczuciach, i chciał za wszelką cenę zapomnieć o wszystkiem.

Dodać tu należy, że w kilka dni po przyjeździe z Moskwy, Iwan poddał się bez oporu szalonej i bezpamiętnej miłości do Katarzyny Iwanowej i mówiąc przed chwilą Aloszy, że nie jest jej amatorem", kłamał haniebnie własnym uczuciom. To prawda, że chwilami nienawidził jej do tego stopnia, że pragnął ją zamordować, ale na to składało się wiele przyczyn. Katarzyna, dotknięta do żywego jawnem lekceważeniem Dymitra, rzuciła się do powracającego Iwana, jak do swego zbawcy, wiedziała doskonale, jak gwałtowną namiętność budziła w tym człowieku, którego umysł i serce stawiała wyżej nad wszystko, mimo to, dumna dziewczyna nie chciała się poddać i dręczyła się nieustannie skrupułami, jakoby to ona zdradziła Dymitra. To właśnie nazywał w niej Iwan kłamstwem na kłamstwie.

Pasując się tak wciąż z własną namiętnością, mógłby Iwan naprawdę zapomnieć o morderstwie ojca i zawiłych wątpliwościach, związanych z tym faktem, gdyby nie pewna okoliczność. Oto Alosza obstawał stanowczo przy twierdzeniu, że zabójcą jest Smerdiakow, Iwan, nie zdając sobie z tego sprawy, cenił wysoko zdanie młodszego swego brata i to jedno mogło go zachwiać w powziętem mniemaniu. W parę tygodni po odwiedzeniu Smerdiakowa w szpitalu, miał on rozmowę z Aloszą, która wstrząsnęła nim znów do głębi.

— Czy pamiętasz, bracie? — spytał go — jak raz Dymitr targnął się kiedyś na ojca, po obiedzie, i pobił go ciężko.

— Tak jest — odparł Alosza.

— A czy pamiętasz? Jakiem powiedział wówczas: "Niech się żrą gady", mając na myśli spór ojca z Dymitrem. Czy przypuszczałeś, że pragnąłem, aby Dymitr zabił ojca i to jaknajprędzej.

Alosza zbladł i, milcząc, patrzył bratu w oczy.

— Prawdę mów! słyszysz! prawdę! — krzyknął Iwan, ja muszę wiedzieć koniecznie, bez żadnej osłony.

— Bracie! przebacz, ja w istocie myślałem to — wyszeptał Alosza.

— Bóg ci zapłać! — odparł gorzko Iwan i odwrócił się od niego. Od tego czasu unikał brata, ale natychmiast po tej rozmowie poszedł znów do Smerdiakowa.

Smerdiakow wyszedł już był ze szpitala, i zamieszkał u starej swej przyjaciółki, Maryi Ignatiewnej, w charakterze narzeczonego jej córki. Obie kobiety bardzo go poważały, mając go za człowieka położonego wyżej od nich towarzysko. Iwan odnalazł bez trudności jego mieszkanie. Mieściło się ono w małym, wykoszlawionym domku podmiejskim i składało się z dwóch izb, przedzielonych od siebie niewielką sienią. Marya Ignatiewna, wyszedłszy na spotkanie Iwana, wskazała na drzwi Smerdiakowa. Wszedłszy, rozglądał się po izbie. Sprzęty były bardzo nędzne, parę ławek pod ścianami, stół, dwa krzesła, pokrzywio-

ny samowarek, przy nim taca z dwoma szklankami. Stół przykryty był serwetą w kwiaty, a na obu oknach stały doniczki z geranium. Piec był widocznie bardzo rozpalony, a w pokoju panowała wysoka temperatura.

Smerdiakow wyglądał o wiele lepiej, niż wtedy w szpitalu. Przytył nieco i nabrał cery. Ubrany był w stary watowany szlafrok, a na nosie miał okulary. Ten ostatni szczegół uraził Iwana, nie wiadomo czemu.

— "Takie indywiduum będzie jeszcze okulary nosiło" — pomyślał.

Zobaczywszy wchodzącego, Smerdiakow podniósł głowę i spojrzał na niego przez okulary, potem podniósł się zwolna, bez śladu uniżoności, zachodując tylko ściśle niezbędną grzeczność, Iwan spostrzegł w jego ręku zeszyt, w którym coś zapisywał. Przypomniał sobie wówczas, że doktór Hercenszube wspominał mu jeszcze w szpitalu, że Smerdiakow, uczy się gorliwie po francusku, uważał to za dowód zboczenia umysłowego.

— Gorąco u ciebie — rzekł Iwan, wchodząc.

— Niech pan zdejmie palto, — przyzwolił łaskawie Smerdiakow.

Iwan zdjął palto i rzucił je na ławkę, potem drżącemi rękami przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw eks-kucharza.

— Słuchaj! — zaczął. — Co znaczyły twoje słowa, któreś mi powiedział na pożegnanie w szpitalu, że jeżeli ja nie wspomnę o twoich udawanych atakach, to i ty przemilczysz moją z tobą rozmowę? Co miałeś w niej przemilczeć? gadaj mi zaraz.

— Na pytanie to, wypowiedziane tonem umyślnie wyzywającym, oczy Smerdiakowa zamigotały złośliwie, przymrużył przytem znacznie jedno z nich, jakby mówiąc: — "Chcesz wypowiedzieć wszystko na czysto, niech będzie".

— Chciałem nie mówić sędziom, że, pan domyślając się, jakie niebezpieczeństwo grozi ojcu, zostawiłeś go samego, mimo, że wiedziałeś pan o zamierzonem morderstwie. — Słowa te wypowiedział, jak zwykle, pomału i z namysłem, ale w głosie jego brzmiała jakaś zdecydowana na wszystko zuchwała zawziętość.

— Cóż to? czyś rozum stracił? — krzyknął Iwan.

— Mam rozum zupełnie zdrowy,

— Czyż ja wiedziałem o zamierzonem morderstwie? — krzyknął Iwan, uderzając pięścią w stół. — Jak śmiesz to mówić! co to znaczy? mów, łajdaku!

Smerdiakow milczał, obrzucając Iwana dziwnym jakimś wzrokiem.

— Mów, przeklęty! co to ma znaczyć?

— A to, że i pan także pragnąłeś śmierci ojca.

Iwan zerwał się bez przytomności prawie i skoczył do Smerdiakowa, uderzając go tak silnie pięścią, że ten zatoczył się o ścianę.

Uderzony, zalał się łzami, mówiąc płaczliwym tonem.

— Jak panu nie wstyd krzywdzić tak i bić chorego człowieka.

Zaczął chlipać, trwało to jaką minutę.

— Dość tego! przestań, — krzyknął niecierpliwie Iwan, siadając znów — a na przyszłość nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości.

Smerdiakow odjął od oczu swoją błękitną kraciastą chustkę, a każdy rys zmiętej jego twarzy wyrażał najgłębszą urazę.

— Więc ty nikczemniku myślałeś wtedy, że ja chcę, żeby Dymitr zabił ojca?

— Myśli pańskich nie znałem pierwej, dla tego właśnie, zatrzymałem pana przy bramie, aby się spytać.

— O co spytać? ty...

— A o to, czy pan chce, aby morderstwo nastąpiło prędzej.

— Słuchaj łotrze! to ty! ty zabiłeś — zawołał nagle Iwan.

Smerdiakow uśmiechnął się pogardliwie.

— Pan doskonale wie, że nie ja.

— Skąd w takim razie to podłe podejrzenie na mnie.

— Ze strachu najpierw, a potem i z innych przyczyn.

— Z jakich? z jakich?

—Zabić sam nie potrafiłbyś pan, a może i nie chciał, ale żeby kto inny zabił, to by panu bardzo dogodziło.

— I tak spokojnie śmiesz to mówić? Dlaczego by mi to dogodziło, po co? na co?

— A choćby dla sukcesyi — podchwycił mściwie Smerdiakow. — Przecież po śmierci ojca przypadało na każdego z panów po 40 tysięcy, a nawet i więcej. A gdy by był Fedor Pawłowicz ożenił się z Agrafią Aleksandrówną, to nie dostałoby się wam ani grosza, bo to nie głupia kobieta, zaraz by cały kapitał na siebie przeniosła.

A dużo to wtedy brakowało do ślubu? gdyby tylko ona palcem kiwnęła, to wasz ojciec poleciałby za nią z wywieszonym językiem i do cerkwi by ją zaprowadził.

Iwan hamował się z trudnością.

— Dobrze, — rzekł wreszcie — widzisz, że słucham cierpliwie i nie zabiłem cię, nie uderzyłem nawet. Mów zatem dalej, dla czego to, według ciebie, miałem chcieć, aby Dymitr został mordercą?

— Przecież to był dla pana czysty ratunek. — Jako zabójca, tracił prawo do swojej części spadku.

Gdyby zatem pan Dymitr został zesłany na Syberyę, na pana i na Aleksego Fedorowicza przypadłoby już nie po czterdzieści, ale po sześćdziesiąt tysięcy rubli.

— Słuchaj, łotrze! Gdyby mi nawet podobne myśli przychodziły do głowy, to rachowałbym nie na Dymitra, ale na ciebie, Tak, teraz przypominam sobie, że przeczuwałem jakieś łajdactwo z twojej strony, miałem to wrażenie.

— Ja też pomyślałem przez chwilkę, że pan na mnie rachuje, — odrzekł Smerdiakow — bo w samej rzeczy, jeśli pan coś złego przeczuwał, a przecież wyjechał, to jakby mi pan mówił na pożegnanie; a owszem, zabij, nie będę przeszkadzał.

— Jakto! podły, toś ty to tak zrozumiał?

— Gdyby było inaczej, to panu należało przedewszystkiem oddać mnie w ręce policyi, jako podejrzanego.

Iwan siedział chmurny, oparłszy ręce na kolanach.

—Nie mogłem cię oddawać w ręce policyi, bo materyalnego dowodu przeciw tobie nie było, ale jednego mi tylko żal, żem wtedy tej podłej twojej facyaty na miazgę nie pogruchotał. Dziś prawo zakazuje bić, a przecież tego mi tylko żal.

— Prawo zabrania dziś bić w zwyczajnych wypadkach życia, — odparł sentencyonalnie Smerdiakow — ale w nadzwyczajnych biją i dziś jeszcze, nawet w tak cywilizowanych krajach, jak francuska Rzeczpospolita, i bić będą do końca świata. Jeżeli więc pan mnie wtedy nie uderzył, to tylko dlatego, że pan nie śmiał.

— Uczysz się po francusku? — spytał nagle Iwan, patrząc na jego zeszyt.

— A czemużby nie? Może i ja dostanę się kiedyś do tych oświeconych europejskich krajów.

— Słuchaj, gałganie! — krzyknął jeszcze Iwan, drżąc cały z gniewu — pamiętaj to sobie, że nie boję się ani trochę tych twoich podłych oskarżeń, i jeżeli cię teraz na śmierć nie zbiłem, to tylko dlatego, że pociągnę cię do odpowiedzialności sądowej i wszystko odkryję.

— A jabym panu nie radził zaczynać — odparł z flegmą Smerdiakow, — bo wtakim razie musiałbym się bronić i powiedziałbym wszystko o panu, a choćby sąd nie uznał, to zawsze dojdzie to do publicznej wiadomości i opinię pan straci, i będzie panu wstyd.

Iwan nic już na to nie odpowiedział, tylko wziął palto i w najwyższem wzburzeniu poszedł do mieszkania Katarzyny Iwanownej. Opowiedział jej natychmiast całą swoją rozmowę ze Smerdiakowem, a chodząc wielkimi krokami po pokoju, powtarzał prawie nieprzytomnie: "jeżeli on zabił, to ja jestem wspólnikiem."

Katarzyna uspokajała go, jak mogła, a widząc, że nic nie skutkuje, wyjęła ze swego biurka jakiś papier i dokument, o którym Iwan wspominał Aloszy, dowodzący, jak się zdawało, z matematyczną ścisłością, że nie kto inny, tylko Dymitr jest zabójcą.

Dokumentem tym był list,, pisany przez Dymitra do Katarzyny w nocy, na parę dni przed morderstwem. List ten napisał po pijanemu w restauracyi "Stołeczny gród" i stamtąd go wysłał.

List ten pisany był w takim tonie, w jakim np. pijak, powróciwszy w nocy do domu, opowiada jakieś zajście swoje z urojonym przeciwnikiem, dowodząc, jaki tamten jest niegodziwy, a on jaki dobry, i jak się zemści, i mówi o tem wszystkiem długo i bez związku, roniąc pijackie łzy i tłukąc pięściami po stole.

Papier, którego mu widocznie dostarczono w restauracyi, był brzydki, ordynarny, w złym gatunku, z jakimś marnym wierszykiem, wydrukowanym na odwrotnej stronie.

List brzmiał, jak następuje:

"Fatalna Katiu!

Jutro dostanę pieniądze i oddam Ci Twoje trzy tysiące, a wtedy żegnaj mi, Ty ogromnego gniewu niewiasto, i pożegnaj się z miłością moją. Z nami już koniec. Jutro starać się będę o te pieniądzę,

a jeżeli mi ich nikt nie da, to daję Ci najświętsze słowo honoru, że pójdę do ojca, głowę mu rozwalę i pieniądze mu wyjmę z pod poduszki, byleby Iwan odjechał. Do ciężkich robót pójdę, a pieniądze Ci oddam. Żegnaj Ty mi! Pokłon Ci do ziemi oddaję, bo wobec Ciebie jestem podły. Przebacz mi! Chociaż nie, lepiej nie przebaczaj, lżej będzie Tobie i mnie. Milsze mi wygnanie i katorga, niż miłość Twoja, kocham inną, sama już wiesz o tem, więc jakżebyś mi mogła przebaczyć? Zabiję grabieżcę mego i ucieknę od was wszystkich. I tamtej także bo Ty jej nie zazdrość. Ona także cierpi. Bądź zdrowa.

P. S. Przekleństwo Ci ślę, a przecież poważam Cię, czuję to w tajnem drżeniu jakiejś struny, która mi jeszcze w sercu została, ale i tę wydrę.

Zabiję się, ale wpierw zabiję tego psa, który mnie ograbił i pieniądze Ci rzucę pod nogi. Podłym mnie możesz nazwać, ale nigdy złodziejem. Czekaj odemnie trzech tysięcy, są one tam, u tego psa pod poduszką. To nie będzie kradzież, bo zabiorę tylko to, co moje. I nie waż się patrzeć na mnie z pogardą, bom nie złodziej, tylko morderca. Mordercą zostanę, aby nie znosić dłużej pogardy Twej i miłości.

Całuję Twoje nogi, bądź zdrowa.

P. S. Katia, módl się za mnie, abym pieniądze te dostał, inaczej krew popłynie. Zabij mnie.

Niewolnik Twój i wróg
D. Karamazow.

Przeczytawszy ten dokument, Iwan był zupełnie przekonany, że brat jego, Dymitr, dokonał mordu. W takim razie zabójcą nie mógł być Smerdiakow, a jeżeli nie Smerdiakow, więc i nie on, więc i na nim nie ciąży żadna odpowiedzialność, ani współwina. Wobec tego zapomniał prawie o podejrzeniach swoich, a wkrótce sam się począł dziwić, jak mógł dręczyć się do tego stopnia tak nieuchwytnemi poszlakami. O Smerdiakowa wcale się nie dowiadywał, raz tylko usłyszał, o nim, że jest coraz słabszy, a młody doktór, Warwiński, utrzymywał, że niezawodnie skończy na obłąkaniu. Tymczasem sam Iwan uczuł się niedobrze. Na usilne naleganie Katarzyny zasięgnął porady lekarskiej znakomitego doktora, sprowadzonego z Moskwy dla procesu Dymitra.

W tymże czasie stosunek jego z Katarzyną stał się do najwyższego stopnia zaostrzony. Odnosili się do siebie, jak dwoje wrogów, śmiertelnie się nienawidzących, a jednocześnie śmiertelnie w sobie zakochanych. Katarzyna miewała niekiedy krótkie, ale bardzo silne powroty miłości do Dymitra, co również doprowadzało Iwana prawie do szału.

Nienawidził wówczas Dymitra, mimo to, odwiedzał go w więzieniu i nakłaniał do ucieczki. Ucieczkę tę sam obmyślił i przygotował i miał zamiar ponieść sam wszelkie jej koszta. Jak ostra drzazga wpiła mu się w pamięć wzmianka Smerdiakowa, że dla niego korzystnie byłoby widzieć w Dymitrze mordercę, ponieważ wtedy spadek jeko po ojcu zwiększyłby się o dwadzieścia tysięcy rubli. Dlatego to właśnie gotów był wydać własne pieniądze na ułatwienie tej ucieczki.

Katarzyna, która sama podtrzymywała w nim zawsze przekonanie o zbrodni Dymitra, rzuciła mu naraz w oczy zarzut, że on to zwrócił podejrzenie na brata.

Był to najzupełniejszy fałsz, wypowiedziany w rozdraźnieniu, mimo to, Iwan uczuł się nim do żywego dotknięty. Gdy jeszcze dowiedział się, że i Katarzyna chodziła do Smerdiakowa i miała z nim jakąś rozmowę, postanowił udać się raz jeszcze do tego człowieka, aby wybadać go poraz ostatni. "Zabiję go chyba tym razem" — myślał po drodze.

Gdy przyszedł, Marya Kondratiewna wybiegła na jego spotkanie, prosząc go, aby nie męczył chorego zbyt długą rozmową.

— Taki już słaby, że nawet herbaty niechciał pić, — mówiła z żalem — przytem ma gorączkę.

— Czy bredzi? — spytał Iwan.

— Ależ nie, przeciwnie, cichy jest, cichuteńki i słowa do nikogo nie powie — upewniała Marya Kondratiewna.

Iwan otworzył drzwi i wszedł do izby. W izbie było znów bardzo gorąco, przytem zaszły małe zmiany w umeblowaniu. Miejsce jednej z ławek zajęła duża, skórzana sofa, na której zasłana była dość czysta pościel. Przed kanapą ustawiono stół, przez co w izbie zrobiło się bardzo ciasno, Smerdiakow siedział oparty o poduszki; zmienił się bardzo, schudł i pożółkł. Oczy mu wpadły, dolne powieki były całkiem sine. Wchodzącego Iwana spotkał spojrze-

niem zupełnie obojętnem, i nie zdziwił się ani trochę jego przybyciem.

— Widzę, żeś naprawdę chory — rzekł Iwan, siadając — nie będę cię długo zatrzymywał, odpowiedz mi tylko na jedno. Była tu u ciebie Katarzyna Iwanowna?

Smerdiakow milczał długo, w końcu odrzekł z nieopisaną pogardą:

— A! była, ale już dawno o niej zapomniałem.

Mówiąc to, spojrzał na Iwana z bezprzytomną prawie nienawiścią.

— Słuchaj, — rzekł Iwan — pamiętaj, że nie odejdę stąd, póki mi nie odpowiesz.

— Z pańskiem zdrowiem, widzę, także niedobrze, — mówił Smerdiakow, jakby nie słyszał słów Iwana — czemu to pan tak schudł? a oczy panu pożółkły, białka ma pan zupełnie żółte.

— Zostaw, u dyabła, w spokoju moje zdrowie i odpowiadaj na pytania.

— Nie mam tu nic do odpowiadania.

— Zobaczysz, że cię do tego zmuszę.

— I czego się pan tak lęka? — pytał Smerdiakow, już nie z pogardą, a ze wstrętem prawie patrząc na swego gościa. — Jutro sąd, ale panu nic się nie stanie, idź pan do domu i śpij spokojnie.

— Nie rozumiem, czegobym się miał lękać — odrzekł Iwan, a jednocześnie uczuł, że na duszę jego powiał dziwny chłód.

— Mówię panu, że niema się pan czego lękać, przecież to nie pan zabił.

Iwan drgnął, słysząc te słowa, przypomniał mu się Alosza. Skoczył z miejsca i chwycił Smerdiakowa za ramiona.

— Mów wszystko, wężu ty! mów wszystko!

Smerdiakow nie zląkł się ani trochę.

— A jeżeli tak, to widać, że pan zabił — rzekł spokojnie.

Iwan puścił go i opadł na krzesło.

— Cóż to? czy zmysły straciłeś?

— Czy panu jeszcze nie dokuczyło grać taką komedyę? Siedzimy tu przecież we cztery oczy i możemy sobie prawdę powiedzieć. Pan jest główny zabójca, pan obmyślił, przygotował, a ja tylko spełniłem.

— Spełniłeś! jakto, więc tyś zabił? — wyjąkał Iwan, stygnąc prawie. Miał uczucie jakby mu się coś rozpadło w mózgu, i zadrżał cały chłodnym jakimś dreszczem. Smerdiakow szczerze się zdziwił strachem Iwana, był dotąd pewien, że tamten udaje tylko, aby na niego całą winę zwalić.

— Więc pan naprawdę nie wiedział? — pytał z niedowierzaniem.

Iwan patrzył na niego zmartwiałą źrenicą.

— Słuchaj! — rzekł zcicha. — Boję się ciebie, boś ty może nie człowiek, a sen lub zmora.

— Niema tu żadnej zmory, prócz nas dwóch, a i kogoś jeszcze trzeciego, który znajduje się tu z pewnością w tej chwili.

— Któż to? kto? — pytał Iwan nie przytomnie, oglądając się na wszystkie kąty izby.

— To Bóg, którego oko patrzy tu na nas teraz. Tylko go pan próżno nie szukaj, bo go nie obaczysz.

— Tyś skłamał — zawołał nagle Iwan. — Nie zabiłeś, a tylko mówisz tak umyślnie, aby mnie drażnić.

— Poczekaj pan — rzekł Smerdiakow i wysunął naprzód lewą nogę i zaczął powoli odwijać nogawicę spodni. Okazało się, że ma na nodze długą, białą pończochę, bardzo przylegającą; odpiął podwiązkę, a zapuściwszy rękę za pończochę począł jakby coś szukać palcami. Iwan patrzył na to i nagle przyszło mu na myśl, że może Smerdiakow oszalał.

— Waryat! — krzyknął z przestrachem i skoczył tak gwałtownie, że się oparł plecami o ścianę, do której przywarł.

Smerdiakow, nie zważając na to, wydobył wreszcie z poza pończochy pakiet jakiś, zawinięty w papier, i położył go na stole.

— Patrz pan — rzekł zcicha.

— Co takiego? — pytał Iwan z trwogą.

Iwan przystąpił machinalnie do stołu i zaczął rozwijać papier, ale cofnął się znów, jakby za dotknięciem oślizgłej skóry obrzydłego płazu.

— Ręce panu drżą — zauważył Smerdiakow i rozwinął papier sam, a wtedy wypadły z niego trzy paczki banknotów.

— Policz pan, tu jest trzy tysiące, nic nie brakuje. Weź pan je sobie.

Iwan patrzył na pieniądze, blady jak płótno.

— Więc pan naprawdę nie wiedział? — spytał jeszcze raz Smerdiakow.

— Nie, nie wiedziałem, myślałem, że to Dymitr, brat. — Tu chwycił się obu rękami za głowę. — Słuchaj! Czyś ty sam

zabił, czy z nim, z bratem moim?

— Z nikim, tylko z panem, z panem tylko, a Dymitr Fedorowicz jest bez winy.

— Dobrze, dobrze! O mnie potem, jak mi ręce drżą, słowa nie mogę wymówić.

— A przedtem, taki pan był odważny, a wszystko, mówiłeś, dozwolone jest człowiekowi.

— Mów, mów teraz wszystko!

Iwan umilkł, czując, że Smerdiakow powie teraz całą prawdę.

— Gdyś pan wyjechał, upadłem w piwnicy.

— Dostałeś naprawdę ataku, czy udawałeś?

— Naturalnie, że udawałem, zeszedłem najspokojniej po schodach, a potem ułożyłem się na podłodze i zacząłem jęczeć i rzucać się, dopóki mnie nie zabrali i nie wynieśli.

— Jakto? i cały czas udawałeś?

— A nie, na drugi dzień rano dostałem naprawdę ataku i to tak silnego, jakiego dawno nie miałem, i leżałem dwa dni bez pamięci.

— Przynieśli mnie do mieszkania Grigora, a Marta ułożyła mnie za przegródką, jak to zawsze robiła, gdy byłem chory. Ona była dla mnie od małości bardzo dobra. Leżałem tam, jęcząc zcicha, a wciąż czekałem na Dymitra Fedorowicza.

— A gdyby nie był przyszedł?

— Toby się nic nie stało. Bez niego nie odważyłbym się.

— Dobrze, dobrze. Mów wyraźnie, bo nie zupełnie cię rozumiem.

— Byłem pewien, że Dymitr Fedorowicz przyjdzie, tak go już usposobiłem. Wiedząc o znakach, mógł się łatwo przedostać do wnętrza domu i zabić Fedora Pawłowicza.

— Czekaj! — przerwał Iwan.

— Gdyby go zabił, toby i pieniądze zabrał. To ja wmówiłem w niego, że Fedor Pawłowicz trzyma je pod poduszką, a to nie było prawdą. Przecież byłoby to bardzo głupio trzymać pieniądze pod poduszką, każde dziecko to pojmie, a mimo to, wszyscy uwierzyli, i sąd, i adwokaci. Głupie ludzkie sądy. Pieniądze trzymał Fedor Pawłowicz w szkatułce pod kluczem, a potem ja sam mu doradziłem, aby je ukrył w kącie, za obrazami, bo ich tam nikt szukać nie będzie. Gdyby więc Dymitr Fedorowicz zabił, to najpewniej uciekłby z pośpiechem, jak robi każdy morderca, albo też zaaresztowanoby go. A zawsze jabym zabrał pieniądze, tej samej nocy jeszcze, albo na drugi dzień.

—A dalej co? Mów.

— Leżałem, nasłuchując. Ktoś krzyknął tak, że Grigor zbudził się i poszedł patrzyć. Nasłuchiwałem jeszcze i znowu krzyk, a potem cicho — to Grigor jęczał, a i pan krzyczał, stojąc w oknie. Wtedy już wstałem i podszedłem pod okno, pytając co to? A pan mi na to: “Był — mówił — był, a teraz uciekł. Grigora zabił, on tam leży pod płotem.” O Dymitrze Fedorowiczu to wszystko mówił. Poszedłem szukać Grigora i znalazłem go. Leżał bez ducha i wcale się nie odzywał. Wtedy to taka zdjęła mnie chęć, taka chęć, że i oprzeć się nie mogłem, chciałem zaraz w tej chwili skończyć, dopóki Grigor leży bez czucia i nic widzieć nie może. Wróciłem wtedy do pana i mówię: “A ona tu jest, Agrafia Aleksandrówna, przyszła, prosi, byście wyszli”. Uwierzył zaraz i ucieszył się, jak dziecko. “Gdzie? — pyta — gdzie?” “Tam — mówię — stoi w ogrodzie, niech pan drzwi otworzy.” Patrzy przez okno i wierzy, to nie wierzy, a boi się otworzyć drzwi. Ee! myślę, to już źle, kiedy on i przedemną strach czuje; aż się nogi podemną ugięły ze strachu, że nie otworzy mi drzwi i nie wpuści do pokoju, a wtedy wszystkoby przepadło. Wtedy przyszło mi na myśl wystukać umówione znaki i, dziwno, na słowa mi nie wierzył, a gdy tylko znaki wystukałem, zaraz drzwi otworzył. Wszedłem, ale on stoi, zagradza mi drogę, abym nie szedł dalej. “Przyprowadź ją tutaj”, mówił. A ja mu na to: “A kiedy boi się wejść, krzyku się zlękła i schowała się w krzaki. Niech ją pan sam zawoła, przed okno”. A no, jakby coś czuł, nie chce odemnie odejść; ja pierwszy podszedłem do okna, wychyliłem się i zacząłem wołać. “Ona tu jest, śmieje się do pana”. Jak tylko to posłyszał, że się to w niej bezrozumnię kochał, skoczył do okna i cały się wysunął, wypatrując. Wtedy to wziąłem ze stołu żelazny przycisk, ten, pan wie, co tam zawsze leży, przeszło trzy funty waży i, rozmachnąwszy z całej siły, uderzyłem go w ciemię. Osunął się odrazu bez jęku, a ja poprawiłem drugi i trzeci ra. Wtedy dopiero zwalił się na ziemię, na wznak, cały we krwi. Otarłem przycisk, opatrzyłem swoje ubranie; żadnej na mnie plamki nie było, nigdzie krew nie bryznęła.

Poszedłem w kąt, wyjąłem pieniądze z za obrazu, rzuciłem kopertę na ziemię i różową wstążeczkę. Poszedłem do ogrodu, trzęsąc się, jak w febrze, poszedłem do tej jabłoni z dziuplą, pan wie. Dawno już sobie to miejsce upatrzyłem. Zawinąłem pieniądze w papier, potem w przygotowaną umyślnie szmatkę, i zasunąłem je głęboko w wydrążony pień. Leżały tam dwa tygodnie; zabrałem je potem, gdy mnie już ze szpitala wypuszczono.

— Poczekaj! — pochwycił znowu Iwan — a drzwi! Jeśli ty je otworzyłeś, to nie mógł ich widzieć Grigor, który leżał wtedy nieprzytomny. A on przecież uparcie dowodzi, że widział je otwarte i to największa poszlaka przeciw Dymitrowi.

— Grzegorzowi wydało się, a to uparty człowiek, jak raz coś sobie wyobrazi, to już nie odstąpi, ja go znam.

To już tak na pana szczęście wypadło, bo przez te drzwi z pewnością jutro sędziowie pana Dymitra skażą.

— Słuchaj! — mówił Iwan — chciałem cię jeszcze o wiele rzeczy zapytać, ale nie wiem, nie pamiętam, gubię się w tem. Powiedz mi przynajmniej jedno: dlaczego rzuciłeś na podłogę kopertę i wstążeczkę, jakby umyślnie zostawiając taki dowód?

— Była do tego przyczyna — odparł Smerdiakow. — Gdyby pieniądze ukradł człowiek znajomy, swój, który widział je może na własne oczy, jak ja np., to z pewnością wsunąłby je do kieszeni, nie otwierając. Zupełnie co innego taki, jak Dymitr Fedorowicz, który o pieniądzach tylko słyszał, ale ich nigdy nie widział. Ten musiał się przedewszystkiem przekonać czy są i przeliczyć. Przytem Dymitr Fedorowicz nie był złodziejem, chwalił się już wpierw na całe miasto, że odbierze od ojca pieniądze, niby swoją własność. Dymitr Fedorowicz nie zwyczajny kraść, dlatego, rozerwawszy kopertę, nie podjąłby jej z ziemi, jak zwykły złodziej i z pewnością zostawiłby dowód na siebie, nie zauważywszy tego nawet.

To samo powiedziałem prokuratorowi przy śledztwie, nie otwarcie, ale tak niby nieumyślnie, jak człowiek ciemny, a on to wziął zaraz na język, jakby sam wynalazł, aż mu ślina do ust szła.

— Jakto? Tyś to wszystko z góry obmyślił — spytał Iwan, patrzac ze zdumieniem na Smerdiakowa. — Toś ty nie głupi, daleko, daleko jesteś inteligentniejszy, niż myślałem.

Wstał z zamiarem przejścia się po izbie, ale była tak zastawiona, że, postąpiwszy parę kroków, usiadł znów na krześle, jeszcze bardziej rozdrażniony.

— Słuchaj ty! nieszczęsny, ty nędzny człowieku, czy ty rozumiesz, że jeżeli cię w tej chwili nie zabiłem, to tylko dlatego, że potrzebny mi jesteś na jutro, abyś złożył swoje zeznanie sędziom. Co do mnie, być może, że jestem także winny, być może, że gdzie w głębi duszy taiło się we mnie skryte życzenie, aby ojciec mój umarł, ale, w każdym razie nigdy tobie takich myśli nie podsuwałem, nigdy cię nie namawiałem, nigdy, nigdy. Mimo to, pójdę jutro do sądu i świadczyć będę przeciw sobie, i ty ze mną pójść musisz, razem złożymy zeznanie, razem.

— Pan jest bardzo chory — zauważył Smerdiakow, bez cienia już szyderstwa, raczej ze współczuciem — białka masz pan zupełnie żółte.

— Razem pójdziemy, razem — powtórzył Iwan.

— Nie zrobi pan tego — zaprzeczył stanowczo Smerdiakow. — Przedewszystkiem będzie panu wstyd tak się obwiniać, a potem będzie to zupełnie bezskuteczne, bo ja wszystkiemu zaprzeczę i powiem, że pan to wszystko mówi z gorączki, z przywidzenia, albo z wielkiej miłości do brata, za którego pan chcesz się poświęcić. Któż panu uwierzy, Kiedy nie masz pan żadnych dowodów?

— Pieniądze pokażę — rzekł Iwan.

— A! pieniądze. Weź je pan sobie, całkiem mi są już teraz niepotrzebne — odparł Smerdiakow drżącym głosem, podsuwając Iwanowi banknoty. — Miałem ja wpierw myśl, że za pieniądze te pojadę do Moskwy, albo zagranice, że to niby, jak pan mówił, wszystko człowiekowi dozwolone, i cnoty niema, i wiara niepotrzebna. Wszystkiego tego pan mnie nauczył.

— Własnym rozumem doszedłeś — uśmiechnął się gorzko Iwan.

— Nie, to za waszem przewodnictwem.

— A cóż teraz? Uwierzyłeś w cnotę, skoro pieniądze oddajesz.

— Nie, nie uwierzyłem — wyszeptał Smerdiakow.

— Więc dlaczegoż oddajesz?

— Bo, widzi pan... Pierwej toś pan

był taki odważny i mówiłeś, że wszystko wolno, a dlaczego teraz taki pan jesteś zastraszony i sam przeciw sobie chcesz świadczyć; tylko, że pan tego nie zrobi.

— Zobaczymy — rzekł Iwan.

— Nie zrobi pan, nigdy! Pan jest człowiek uczony i pieniądze pan bardzo lubi, ja to wiem. I poważanie ludzkie pan chce mieć, bo pan jest bardzo dumny i kobiecą urodę lubi pan nad miarę, a przedewszystkiem chciałbyś pan żyć w spokoju i wygodzie, i żeby się nikomu nie kłaniać, to najbardziej! Nie zechcesz pan sobie tak życia marnować, boś pan ze wszystkich synów najbardziej podobny do Fedora Pawłowicza, taką samą masz duszę.

— Tyś wcale nie głupi — powtórzył jeszcze raz Iwan. — Pierwej miałem cię za głupiego, widzę, że się myliłem.

— Z pychy swojej miałeś mnie pan za głupiego. Proszę, niech pan weźmie pieniądze.

Iwan wziął banknoty i wsunął je do kieszeni, potem wstał z miejsca, powtarzając jeszcze raz:

— Pamiętaj, że jeżeli cię nie zabiłem, to jedynie dlatego, że potrzebny mi jesteś na jutro.

— A zabij mnie pan, i owszem, zabij, choćby zaraz — mówił Smerdiakow, patrząc dziwnie na Iwana. — Ale gdzietam, pan się nie odważy na nic, na nic się pan teraz nie odważy, a pierwej był pan taki śmiały.

— Do jutra! — krzyknął Iwan.

— Niech mi pan jeszcze raz pokaże te pieniądze — prosił Smerdiakow.

Iwan zatrzymał się, wyjął banknoty z kieszeni; Smerdiakow patrzył na nie jakie dziesięć sekund.

— No, już teraz może pan iść.

Ale gdy Iwan odszedł, krzyknął jeszcze raz:

— Iwanie Fedorowiczu!

— Czego chcesz?

— Bywaj pan zdrów, Iwanie Fedorowiczu!

Iwan wyszedł z izby. Na dworze smagała go w oczy mroźna zamieć — uczuł się dziwnie słabym. "To czysto fizyczne uczucie" — pomyślał z radością. Czuł w duszy ogromne zadowolenie. Koniec już wahaniom, niepokojom, postanowienie powziął niezmienne. Uszedłszy kilka kroków, potknął się o coś. Pochylił się i przekonał, że to leży pijany chłop, do połowy już zasypany śniegiem. Iwan zajął się ratowaniem go. Zastukał do sąsiedniego domku, gdzie było w oknie światło, wywołał rzemieślnika, który tam mieszkał i z jego pomocą przeniósł śpiącego do najbliższego posterunku policyjnego. Tam polecił go opiece strażników, i dał im za to trzy ruble, kazał sprowadzić doktora, słowem, zajął się bardzo gorliwie tym obcym sobie przechodniem, co mu zajęło przeszło godzinę. Pomyślał też sobie, że gdyby go był spotkał w innej chwili swego życia, to splunąłby obojętnie i przeszedł mimo. "Oni mają mnie za waryata, a ja kontrolować mogę własne czynności" — pomyślał z radością. Gdy jednak przyszedł do swego mieszkania, znikł gdzieś naraz cały jego spokój i zadowolenie. Do serca jego wciągnęło się coś wstrętnego i bolesnego, myśl o czemś zewnętrznem, nienawistnem i dręczącem, co znajdować się musiało w tym pokoju. Usiadł znużony na kanapie i uczuł zawrót głowy. Chory się czuł i bezsilny. Drzemał jakiś czas, ale jakimś niezdrowym, gorączkowym snem. Obudziwszy się, wstał i przeszedł się po pokoju, chcąc odegnać senność. Zdawało mu się, że bredzi, ale nie interesował się swoją chorobą, a raczej oglądał się niespokojnie po wszystkich kątach pokoju, jakby czego szukając. Powtórzyło się to kilka razy. Wreszcie wzrok jego zatrzymał się na jednym punkcie. Iwan uśmiechnął się, a jednocześnie rumieniec gniewu wystąpił mu na twarz. Siedział długo w jednem miejscu, z głową opartą na rękach, a oczy jego biegły co chwila ukosem w pewnym kierunku. Tam, naprzeciw, w rogu kanapy, zauważył coś, co go drażniło, a jednocześnie przyciągało jego uwagę.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ.

CZĘŚĆ SZÓSTA.

I.

SZATAN.—HALUCYNACYE IWANA.

Tu wypada nam zastanowić się chwilę nad ówczesnym stanem Iwana. Był on już poważnie chory, u progu silnej gorączki nerwowej, która rozwijała się w nim od pewnego czasu. Dotąd nie poddawał się jeszcze, odwlekając chorobę wysiłkiem woli tylko.

Iwan wiedział, że jest chory, ale nie chciał w żaden sposób poddać się, nie chciał uledz w tej stanowczej chwili życia, w której powinien był wystąpić śmiało i odważnie wobec wszystkich, a także oczyścić się niejako sam przed sobą...

Sprowadzony z Moskwy przez Katarzynę doktór, do którego zwrócił się po radę, znalazł w nim silny rozstrój nerwowy i nie zdziwił się bynajmniej, gdy Iwan przyznał mu się, z wielką wszelako niechęcią, że miewa niekiedy halucynacye.

— To bardzo naturalne w pańskim stanie; trzeba się poważnie leczyć, inaczej może być z panem źle.

Ale Iwan nie słuchał tej rozsądnej rady i nie myślał o leczeniu.

— Chodzę jeszcze, — myślał — siły mam, więc czas jakiś wytrzymam, a gdy mnie już całkiem z nóg zwali, niech mnie wówczas leczy, kto chce.

I tak siedział w tej chwili, zdając sobie dokładnie sprawę, że jest w gorączce i wpatrywał się uporme w jakiś punkt na przeciwległej ścianie.

Tam, na kanapie, ukazał mu się jakiś nieznajomy, który wszedł tu niewiadomo, jak i kiedy, bo Iwan pamiętał doskonale, że nie było go w pokoju w chwili, gdy powrócił od Smerdiakowa.

Był to typowy rosyjski dżentelmen, niezbyt młody, z długimi ciemnymi włosami, dobrze już przypruszonymi siwizną, i takąż bródką, strzyżoną w klin. Ubrany był w brązowy tużurek, pochodzący widocznie od najlepszego krawca, ale dobrze już przenoszony i cokolwiek wyszły z mody. Miał u koszuli biały gors i długi jedwabny krawat, związany pod szyją bardzo szykownie, ale po bliższem rozpatrzeniu białość koszuli nie była bez zarzutu, a krawat był także zniszczony. Kraciaste spodnie leżały doskonale, ale były trochę za jasne i za wązkie, jakich dziś już nie noszą, w ręku trzymał biały miękki kapelusz, także niezupełnie świeży i nieodpowiedni do sezonu. Słowem, wygląd gościa był przyzwoity, zdradzający jednak bardzo szczupłe środki pieniężne. Zdawał się być jednym z posiadaczów ziemskich, przywykły widocznie do obracania się w najlepszych towarzystwach; zachował i teraz stosunki światowe, tylko, że zeszedł do roli eleganckiego pieczeniarza, którego sadza się wprawdzie przy stole, nawet przy gościach, nie na pierwszem jednak miejscu. Uprzejmy i giętki, umiejący dobrze opowiadać, siada chętnie do kart, gdzie brakuje partnera, ale niechętnie podejmuje się poważniejszych obowiązków, jeśli mu je kto próbuje narzucić. Taki pan bywa samotnikiem, bez rodziny, jeżeli jest wdowcem i ma dzieci, to dzieci te chowają się u jakichś zagadkowych ciotek, o których prawie nie wspomina w lepszem towarzystwie, jakby się wstydząc takiego pokrewieństwa. Odwyka też od nich z czasem prawie zupełnie, przypominając sobie ich istnienie zaledwie raz do roku, w dzień swoich imienin, na które przychodzą zwykle od nich powinszowania.

Fizyonomia gościa wyrażała już nie dobroduszność, ale jakąś, na wszystko gotową, uprzejmość; nie miał przy sobie zegarka, ale natomiast zaopatrzony był w lornetkę, przewieszoną na czarnej wstążce. Na średnim palcu prawej jego ręki błyszczał gruby złoty pierścień, z tanim opalem.

Iwan Fedorowicz patrzył gniewnie na

tę dziwną figurę i milczał, nie chcąc zaczynać z nim rozmowy. Gość milczał także, zachowując się jak domowy wiejski rezydent, którego tylko co zaproszono na herbatę, dla dotrzymania towarzystwa panu domu, który jednak milczy, nie chcąc przeszkadzać swemu chlebodawcy.

— Słuchaj — rzekł wreszcie gość do Iwana. — Idąc do Smerdiakowa, chciałeś się dowiedzieć, co robi Katarzyna Iwanowna, tymczasem wcale się o to nie zapytałeś.

— Ach, prawda — wyrwało się mimowoli Iwanowi, i twarz jego spochmurniała. — Prawda, zapomniałem. — Teraz, zresztą, wszystko jedno — szepnął jakby sam do siebie — jutro się wszystko rozstrzygnie. O, ty sobie nie wyobrażaj — dodał z nagłym gniewem, zwracając się do gościa, — że ci uwierzę, żeś to ty mi przypomniał, przypomniałbym sobie sam.

— To nie wierz — uśmiechnął się pobłażliwie dżentelmen, — wiara nie znosi przymusu. Przytem niema dla niej żadnych dowodów materyalnych. Apostoł Tomasz uwierzył nietylko dlatego, że ujrzał Chrystusa, ale dlatego, że pragnął uwierzyć, jeszcze zanim go ujrzał. A spirytyści, naprzykład (ogromnie ich lubię) wyobrażają sobie, że przynoszą ogromny pożytek dla wiary, ponieważ czart pokazuje im różki z tamtego świata. Och ludzie! ludzie! tamten świat i materyalny dowód. che! che! oni jeszcze nie rozumieją, że materyalny dowód to na istnienie piekła, nie zaś nieba. Stanowczo zapisuję się do towarzystwa zwolenników idealizmu i będę im robił opozycyę. Realista jestem, ale nie materyalista, che, che!

— Słuchaj! — rzekł nagle Iwan, wstając z zastołu — mam w tej chwili maligne, czuje, że bredzę w gorączce. Kłam, ile chcesz, ale nie wyobrażaj sobie, że doprowadzisz mnie do takiego stanu, jak ostatnim razem. Czasem nie widzę cie i nie słyszę twego głosu, ale zawsze odgaduję, co masz powiedzieć, bo ty, to ja, ja sam, i to ja mówię, a nie ty. Niepamiętam już, czy widziałem cię zeszłym razem na jawie, czy we śnie, ale teraz ochłodze sobie głowę chustką i znikniesz natychmiast.

Iwan wstał i, jak zapowiedział, umoczył chustkę w wodzie i obwiązał nią sobie głowę.

— Bardzo mnie to cieszy, że mówisz mi poprostu ty — zaczął znowu gość.

— Głupcze! — zaśmiał się Iwan — czy myślisz, że będę się z tobą bawił w ceremonie, tytułując cię panem. Wesół jestem dziś, tylko mnie głowa boli, i dlatego proszę cię, nie mędrkuj. Jeśli nie możesz wynieść się stąd, to przynajmniej kłam z talentem, wesoło. Pieczeniarzem jesteś przecie, więc umiesz wymyślać ciekawe historyjki. Ależ to uparta z ciebie mara. Nie boję się ciebie jednak, przemogę cię i nie zawiozą mnie do domu waryatów.

— Pieczeniarzem mnie nazywasz, wyborne określenie, czemże innem jestem tu, na ziemi. Ale czy wiesz, że, słuchając cię, widzę z radością, że zaczynasz uważać mnie za coś istniejącego realnie, nie za twór własnej wyobraźni, jak zeszłym razem jeszcze.

— Ani przez jedną chwilę nie miałem cię za istotę rzeczywistą — krzyknął z wściekłością Iwan. — Tyś kłamstwo! mara! przywidzenie! Tyś choroba moja. Tylko, że nie wiem, czem ciebie unicestwić i muszę przez czas jakiś jeszcze znosić twoją obecność. Ty jesteś halucynacyą, emanacyą ze mnie, uosobieniem najgłupszych i najpodlejszych moich uczuć i myśli. Z tego punktu widzenia byłbyś może nawet dla mnie ciekawy, gdyby nie to, że nie mam teraz czasu zajmować się tobą.

— Przyznaj jednak, — odparł gość, — że niedawno jeszcze, rozmawiając z Aloszą, uważałeś mnie za zjawisko realne. Pytałeś: "Skąd wiesz to wszystko, widocznie od niego". Od niego — znaczyło odemnie, wierzyłeś więc wówczas w moje istnienie.

— To była chwilowa słabość, ale naprawdę, nie mogłem przecież w ciebie wierzyć, nie wiem zresztą, czy widziałem cię wtedy we śnie, czy na jawie.

— A dlaczego obszedłeś się tak ostro z Aloszą? przecież on taki sympatyczny, ja sam czuję się wobec niego winny, z powodu starca Zosimy.

— Milcz, lokajska duszo, i nie wspominaj Aloszy; jak śmiesz wymawiać jego imię — mówił Iwan ze śmiechem.

— Gniewasz się niby, a śmiejesz się, to dobry znak; wogóle rozmawiasz dziś ze mną daleko uprzejmiej, niż ostatnim razem. Wiem już, skąd pochodzi ta zmiana — to owo szlachetne postanowienie.

— Nie wspominaj mi o tem — krzyknął Iwan gwałtownie.

— Rozumiem, rozumiem. C'est noble, c'est charmant, idziesz jutro bronić brata i oddajesz się w ofierze. Prawdziwie po rycersku.

— Milcz, bo rózgami cię oćwiczę!

— I owszem, bij, ucieszy mnie to nawet, jako materyalny dowód mego istnienia; widma nie można przecież ćwiczyć rózgami. Chociaż żart na stronę ,wolałbym, żebyś postępował ze mną trochę delikatniej, a ty ciągle: "głupcze! lokajska duszo!" Co za wyrażenia!

— Łając ciebie, łaję przecież samego siebie — zaśmiał się znowu Iwan. — Bo ty, to ja, tylko z inną mordą. Mówisz poprostu to tylko, co ja myślę, i nie możesz mi powiedzieć nic nowego.

— Jeśli wpadam na jedne z tobą myśli, to przynosi mi to tylko honor i zaszczyt — przemówił gość z dystynkcyą.

— Tylko, że wybierasz najwstrętniejsze i najgłupsze z moich myśli, zwłaszcza najgłupsze. Głupi jesteś i podły. Nie zniosę dłużej twego widoku. Co robić? co robić? — zgrzytnął zębami Iwan.

— Przyjacielu, jestem dżentelmenem i chcę być odpowiednio traktowany — rzekł gość tonem pojednawczym i dobrodusznym. — Ubogi jestem, no i nie powiem, żeby bardzo uczciwy, w świecie uważają mnie ogólnie za upadłego anioła. Dalibóg, nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem mogłem kiedykolwiek być aniołem. Jeżeli byłem nim, to w każdym razie tak dawno, że mogłem już o tem zapomnieć. Obecnie chodzi mi tylko o moją reputacyę przyzwoitego człowieka i staram się być przyjemnym. Tu, na ziemi, oczerniono mnie pod wielu względami. Za bardzo ludzi kocham. Gdy przychodzę tu was odwiedzić, to życie moje nabiera niejako realnych kształtów i to robi mi wielką przyjemność. Wszelka obstrukcyjność przykra mi jest, podobnie, jak i tobie, a przytem lubię wasz ziemski realizm. Tu, u was, wszystko jest jasno określone — geometrya, formuła, a u nas same jakieś niewiadome zrównania. Chodzę tu sobie i marzę (ja bardzo lubię marzyć), nawet staję się przesądny, nie śmiej się, to bardzo przyjemnie być przesądnym. Nabieram tu wszystkich waszych przyzwyczajeń. Do łaźni miejskiej chodzę. Pasvami lubię parzyć się z waszymi popami i kupcami. Ideałem moim jest wcielić się choć raz w jaką grubą siedmiopudową przekupkę i wierzyć w to, w co ona wierzy. Pójść do cerkwi i świecę postawić przed obrazem, jak ona to robi, wtedy dopiero przeszłyby moje cierpienia. A i leczyć się u was bardzo lubię. Na wiosnę, kiedy tu panowała ospa, poszedłem do magistratu i kazałem ją sobie szczepić, wprawiło mnie to w tak doskonały humor, aż ofiarowałem dziesięć rubli na braci Słowian. Ale ty coś nie słuchasz, nie w humorze dziś jesteś. Ja wiem — chodziłeś wczoraj do doktora. I cóż ci powiedział? jakże tam z twojem zdrowiem?

— Głupi jesteś.

— Za to ty rozumny. Ja wcale nie przez współczucie się pytam. Nie chcesz, to nie odpowiadaj. Ot i znów reumatyzm powraca.

— Głupi jesteś — powtórzył Iwan.

— A ty wciąż jedno. Przeszłego roku nabawiłem się takiego reumatyzmu, że do tej pory pozbyć się go nie mogę.

— Dyabeł z reumatyzmem.

— A czemużby nie? Skoro raz wezmę na siebie postać ludzką, tem samem przyjmuję wszelkie następstwa. Satane sum et nihil humanum, a me alienum puto.

— Czekaj-no, czekaj, to wcale nie głupie. Satane sum et nihil humanum.

— Przecie ci się coś podobało.

— A wiesz, że to nie odemnie wziąłeś — zastanowił się nagle Iwan. — Dziwna rzecz, nic podobnego nie przyszło mi jeszcze do głowy.

— Wreszcie coś nowego. C'est du nouveau, c'est ce pas. Na ten raz będę uczciwym i wytłómaczę ci całą rzecz. Słuchaj, nieraz się zdarza, że w snach, a zwłaszcza w marzeniach sennych, wywołanych rozstrojem żołądka, czy innemi jakiemi czysto fizycznemi przyczynami, widuje człowiek obrazy tak plastyczne, zdarzenia tak skomplikowane, a jednocześnie tak realne, sytuacye zwiazane z sobą tak logicznie, a jednocześnie tak ciekawe, że przysięgam ci — sam nawet Lew Tołstoj nie stworzyłby podobnych. A sny takie miewają przeważnie ludzie całkiem pospolici — czynownicy, felietoniści, popi. Mnie samemu opowiadał pewien minister, że najlepsze pomysły przychodzą mu w czasie snu. Tak i ja, mimo, że jestm twoją halucynacyą, mówię ci rzeczy, które ci dotąd do głowy nie przychodziły, a przecież jestem tylko twojem sennem widzeniem.

— Kłamiesz! Postanowiłeś wzbudzić we mnie wiarę, że jesteś sobą, a nie mojem sennem widzeniem, a teraz raptem utrzymujesz znów, że jesteś tylko halucynacyą.

— Przyjacielu, postanowiłem trzymać się dziś nowej metody, potem ci to wytłómaczę. Widzisz, ja się wtedy zaziębiłem, ale nie tu u was, tylko jeszcze tam.

— Jakto tam! to znaczy gdzieś? A długo tu będziesz siedział, czy nie mógłbyś się raz wynieść — zawołał Iwan prawie z rozpaczą. Przestał chodzić i usiadł znów, oparłszy głowę na ręku. Zerwał z czoła mokrą serwetę i cisnął ją z gniewem na ziemię; widocznie zimny okład nie skutkował.

— Nerwy masz dziś rozstrojone — zaczął niedbale gość, zachowując jednak ton przyjacielski. — Gniewasz się na mnie za to, że się tam zaziębiłem, a przecież tak było istotnie. Śpieszyłem właśnie na obiad dyplomatyczny do jednej petersburskiej damy, która robi ministrów. Miałem na sobie frak, biały krawat, rękawiczki, a byłem jeszcze bardzo daleko od ziemi; aby się do was dostać, musiałem jeszcze przelecieć sporo przestrzeni. Przelatuję ją migiem, ale zawsze trzeba na to trochę czasu, bo i światło od słońca idzie tu osiem minut, a tu, jak już ci mówiłem, miałem na sobie tylko frak, z otwartą kamizelką. Duchy wprawdzie nie marzną, no, ale kiedy się już raz obleką w ciało, to... Słowem, postąpiłem sobie jak lekkoduch, puszczając się tak w drogę. A tam, wśród przestworów, w eterze, w wodzie, panuje mróz, uf! właściwie już nawet nie mróz, bo nazwy niema na ten chłód. Słyszałeś zapewne, jaką zabawkę robią sobie dzieciaki wiejskie z rozmaitych gapiów, doradzając im przyłożyć język do siekiery w czasie trzydziesto stopniowego mrozu, poczem takiemu biedakowi skóra przylega do żelaza i zdziera się do krwi. Tak bywa przy trzydziestu stopniach, a cóż dopiero przy stu pięćdziesięciu, tam, w eterze; gdyby tylko palcem tknąć siekiery, byłoby już po wszystkiem, o ile, oczywiście, siekiera może się tam znajdować.

— To tam może się znajdować siekiera? — pytał z roztargnieniem Iwan. Próbował napróżno myśli skupić, aby się nie poddawać gorączce i nie wpaść w ostateczny obłęd.

— Siekiera? — zdziwił się gość.

— No tak, coby się tam stało z siekierą? — pytał z jakimś uporem Iwan, drżąc jednocześnie z gniewu.

— Co się stanie z siekierą? Dziwne pytanie. Jeżeli znajdować się będzie w stosownej odległości od ziemi, kręcić się pocznie około niej, sama nie wiedząc, po co. Astronomowie obliczą jej drogę, obserwować będą wschody i zachody, a wydawcy kalendarzy zanotują te spostrzeżenia.

— Głupi jesteś, najzupełniej głupi, zdaje ci się, że pokonasz mnie swoim trzeźwym realizmem tak, że w końcu uwierzę, że tu jesteś, a ja nie chcę uwierzyć i nie uwierzę. Masz kłamać, to kłam jakoś rozumniej.

— Ja nie kłamię, to wszystko prawda. Na nieszczęście, prawda nie bywa nigdy zbyt dowcipna. Jak widzę, spodziewasz się po mnie czegoś nadzwyczajnego, a może przepięknego, a ja, niestety, daję ci tylko to, co moje.

— Nie filozofuj, ośle!

— Jaka tam filozofia, Nie do filozofii mi teraz kiedy mi cały bok odjęło od tego reumatyzmu i tak mnie boli, że ledwie zipię. Byłem już u wszystkich doktorów i po klinikach, ale cóż, chorobę każdy rozpozna, ale leczyć nie umieją. Student jeden, medyk, powiedział mi z zachwytem: "Choćbyś pan umarł, to przynajmniej będziesz pan wiedział na jaką chorobę, zawsze to przyjemniej". Albo ta ich dzisiejsza moda odsyłania do specyalistów. Zupełnie już zanika typ doktora, leczącego cały organizm; dziś sami tylko specyaliści, a wciąż się w gazetach ogłaszają. Zaboli cię np. nos, posyłają cię do Paryża. Tam, mówią, specyalista do nosa, europejska znakomitość. Jedziesz do Paryża, tam ci powiada doktór: "Ja, panie, leczę tylko prawe nozdrza, do lewego jest inny specyalista, w Wiedniu." Co miałem robić, z rozpaczy uciekłem się do środków domowych. Jeden Niemiec poradził mi wykąpać się, natarłszy się wpierw słonym miodem. Posłuchałem, ale, oczywiście, nic nie pomogło. Z desperacyi zwróciłem się do hrabiego Matei w Medyolanie, prosząc o pigułki homeopatyczne. Przesłał mi je.

A wiesz, co mnie ostatecznie uleczyło? — mówił dalej gość — poprostu ekstrakt Hofa. Rozpuściłem w wodzie, wypiłem półtorej szklanki i tak mi ulżyło, że choćby w tany iść. Uszczęśliwiony, postanowiłem ogłosić podziękowanie w gazetach, ale cóż,

w żadnej redakcyi nie przyjęli mego podpisu. "Dyabelski podpis" powiadają, to niemożliwe, to zacofanie, obskurantyzm, dyabeł przecie nie istnieje. I proponują mi anonimowe ogłoszenie. Nie zgodziłem się, oczywiście, bo cóżby to była za wdzięczność, podziękowanie bezimienne. To okropne w mojem położeniu, że wszelkie szlachetne uczucia są mi najformalniej wzbronione, jako niezgodne z mojem społecznem stanowiskiem.

— Znowu zaczynasz filozofować! — zgrzytnął z nienawiścią Iwan.

— Broń Boże! Ale czyż mi nie wolno poskarżyć się na los. Stanowczo spotwarzono mnie tu, u was. Ty np. coś na mnie nie wygadywał! "Głupi" itp. Jak to zaraz znać, żeś młody; bierzesz mnie za błazna, w guście Chlestakowa, (Chlestakow, postać komiczna z powieści Gogola), gdy tymczasem rola moja na świecie daleko jest poważniejsza. Przez jakąś niewytłómoczoną dla mnie omyłkę, skazany jestem na wiekuiste przeczenie, gdy tymczasem mam naturę dobrą i zupełnie nie jestem skłonny do zajmowania stanowiska negacyjnego. "Musisz być koniecznie duchem przeczenia — mówią mi — bo bez tego nie byłoby krytyki, a co warta gazeta, nieposiadająca działu krytycznego." Bez krytyki zostałoby tylko na świecie samo "hosanna!", a to za mało. Takie "hosanna" musi koniecznie przejść wpierw przez probierz wątpliwości itd. Wszystko to dzieje się wbrew mojej woli, i odpowiedzialność nie może na mnie spadać. Wybrano mnie na kozła ofiarnego i polecono prowadzić na tym świecie dział krytyki; istna komedya. Pragnąłbym dla siebie nicości, a tu każą mi żyć. "Żyj", mówią, bo gdyby na świecie wszystko się działo dobrze, to, właściwie, nicby się nie działo, a trzeba przecie, żeby się coś działo. Ot, i służę tak, musu, pobudzam do złego wbrew własnej woli, a z tego powstaje ruch i życie.

Komedya, którą ludzie biorą na seryo i w tem właśnie tkwi tragizm. Cierpią, oczywiście, z tego powodu, ale zato żyją, żyją realnie, nie w wyobraźni tylko, bo cierpieć, to żyć.

I cóżby to było za życie, gdyby nie było cierpienia. Ogólne zadowolenie przerodziłoby się wkrótce w jakiś nieustanny, obrzędowy hymn. Święte to, ale nudne. Ja tylko jeden nie żyję, mimo, że cierpię. Jestem widmem życia, które postradało już świadomość początku swego i końca, i nie zna nawet własnego imienia. Śmiejesz się? nie, nie śmiejesz się, a gniewasz, ty się wiecznie dąsasz i pożądasz wciąż rozumu, ja zaś oddałbym chętnie całe to nadgwiezdne życie i wszystkie jego zaszczyty i honory, bylebym mógł choć raz wcielić się w postać siedmiopudowej przekupki i wierzyć w to, w co ona wierzy.

— Więc tak bardzo potrzebujesz wiary? — zaśmiał się Iwan.

— Pytasz mię o to seryo?

— Mówże! mów! wierzyć? czy nie wierzyć?

— Dalibóg, nie wiem, gołąbku, to jedno mogę ci szczerze powiedzieć.

— Nie wiesz, nawet ty nie wiesz! To nieprawda, chyba, że nie jesteś sobą, a mną. Och, ty łotrze! Fantazyo moja!

— Jeśli chcesz, mam w istocie jednaką z tobą filozofię, to będzie słuszne dla mnie określenie. Myślę, więc jestem, to wiem napewno. Zresztą, wszystko co jest poza mną, Bóg, a nawet szatan, to dla mnie tajemnica, i nie wiem, czy istnieje to wszystko samo przez się, czy jest tylko emanacyą mego ducha, dalszym następczym rozwojem mojego ja, bytującego czasowo i indywidualnie. No, ale nie powiem już nic więcej, bo widzę, że się chcesz na mnie rzucić.

— Lepiejbyś opowiedział jaką anegdotę — uśmiechnął się boleśnie Iwan.

— Mam właśnie gotową na ten sam temat. Jest to właściwie nie anegdota, a raczej legenda, jakby odpowiedź na zarzuty, jakie mi robisz. Uważasz, przyjacielu, u nas tam nie ja jeden jestem sceptykiem, wielu innych także utraciło wiarę, a to wszystko przez wasze nauki. Póki jeszcze mówiło się o atomach, pięciu zmysłach, czterech żywiołach, to się jeszcze jakoś kleiło. Atomy znane już były w starożytności. Ale gdyście odkryli molekułę chemiczną, protoplazmę i dyabeł wie co tam jeszcze, to i u nas wszyscy pospuszczali ogony. Zaczął się chaos, plotki; plotek u nas dużo, więcej jeszcze, niż u was.

Mamy także i donosy i policyę, osobny oddział dla przyjmowania tajnych doniesień. Otóż opowiadają tam u nas jedną starą legendę, średniowieczną, bardzo starą, pochodzącą jeszcze z naszych średnich wieków, nie z waszych, bo mamy u siebie wszystko to, co i wy, zatem i średnie wieki.

Legendzie tej i u nas nikt nie daje wiary, z wyjątkiem może siedmiopudowych przekupek, bo i my mamy u siebie siedmiopudowe przekupki, wogóle mamy wszystko, co wy tutaj, odkrywam ci to po przyjacielsku, pod pieczęcią tajemnicy.

Otóż legenda ta opisuje, co następuje:

— Żył przed laty u was, na ziemi, myśliciel jeden, czy filozof, który odrzucał wszystko, sumienie, wiarę, przykazania, przedewszystkiem przyszłe życie. Umierając, myślał, że idzie w mrok i wiekuistą śmierć, a tu raptem staje przed nim przyszłe życie. Zdumiał się bardzo i rozgniewał. "Ja nie chcę — powiada — to się sprzeciwia moim przekonaniom." Za to skazali go na karę. (Nie dziw się, proszę, to tylko legenda). Otóż kazano mu za karę maszerować w ciemności kwadrylion kilometrów. (U nas także teraz wprowadzono kilometry). Dopiero po ukończeniu tego kwadryliona, miano mu otworzyć wrota do raju i darować wszystko.

— A jakie macie tam jeszcze męki, oprócz kwadrylionów? — spytał Iwan z nagłem ożywieniem.

— Jakie męki? Lepiej nie pytaj. Dawniej było to i owo, a dziś wprowadzili nowy system cierpień moralnych — wyrzuty sumienia. Ta moda przyszła także od was, skutkiem niby złagodzenia obyczajów. I któż na tem wygrał? Oczywiście, ludzie bez sumienia, bo i cóż im mogą zaszkodzić wyrzuty, skoro oni i tak sumienia nie mają. Natomiast ucierpieli najgorzej ludzie porządni, którym zostało jeszcze sumienie i honor. Widzisz, co to znaczy wprowadzać reformy na grunt nieprzygotowany, i to jeszcze reformy wzięte od obcych, czyste szaleństwo... Już lepsze były dawne płomienie.

Otóż ten skazany na kwadrylion postał chwilę, popatrzył, a potem położył się w poprzek gościńca, wołając: "Nie chcę, nie pójdę, z zasady nie pójdę." Wyobraź sobie duszę oświeconego rosyjskiego ateusza, zmieszaną z duszą proroka Jonasza, pokutującego trzy dni i trzy noce w żołądku wieloryba, a będziesz miał pojęcie o charakterze leżącego na gościńcu myśliciela.

— Na czemże on leżał?

— Jakto na czem? Już tam musiało być coś, na czem można było leżeć.

— A to zuch! — krzyknął Iwan z nagłem ożywieniem. — I cóż? czy jeszcze tam leży?

— Właśnie, że nie. Poleżał tysiąc lat, a potem wstał i zaczął iść.

— Osioł! — krzyknął Iwan, śmiejąc się nerwowo. A potem zaczął się namyślać nad czemś z pewnym wysiłkiem. — Czyż to nie wszystko jedno leżeć, czy też iść tyle kilometrów. Przecież toby musiało trwać bilion lat.

— Obliczasz według teraźniejszych ziemskich pojęć, a przecież wasza teraźniejsza ziemia zmieniła się już może jakie bilion razy. Zamierała i znowu odżywała, zamarzała, pękała, rozpadała się, rozkładała na pierwiastki i znów skupiała się, pokrywała się wodami, stawała się kometą, słońcem i znów ziemią, a zawsze według tych samych praw, słowem, wiecznie to samo, a z tego wszystkiego wypływa tylko wiekuista, najnieprzyzwoitsza w świecie nuda.

— No, a cóż z tamtym się stało, gdy doszedł?

— Zaledwie wstąpił do raju, nie przebywszy tam nawet dwóch sekund, podług swego ziemskiego zegarka, który przechował w kieszeni. Nikt mu nie chciał z początku ręki podawać. Tak odrazu, czysto po rosyjsku, przeskoczył w jednej chwili od ateizmu do bezwzględnego wstecznictwa.

Prawdziwa rosyjska natura.

To wszystko, widzisz, jest legenda, podaję ci ją tak, jak mi ją powtarzano. Poweźmiesz stąd wyobrażenie o pojęciach, jakie panują u nas pod tym względem.

— Już wiem! — zawołał nagle Iwan z dziecinną radością, jakby sobie naraz coś przypomniał. — Ja sam wymyśliłem tę anegdotę o kwadrylionie kilometrów. Byłem wtedy jeszcze w gimnazyum i miałem lat siedemnaście, opowiedziałem ją jednemu memu koledze, nazwiskiem Korowkin. Było to w Moskwie, Bardzo charakterystyczna anegdota. Zapomniałem o niej zupełnie, ale teraz przypomniałem sobie, to znaczy, że nie ty mi ją opowiedziałeś.

A zatem nie istniejesz, niema cię całkiem, jesteś tylko moim snem.

— Gwałtowność, z jaką mnie odrzucasz, dowodzi tylko, że, bądź co bądź, wierzysz we mnie — rzekł dżentelmen ze śmiechem.

— Ani odrobiny, ani na setną część ułamka nie wierzę w ciebie.

— To może wierzysz przynajmniej na jedną tysiączną, homeopatyczne dawki są zwykle najskuteczniejsze.

Przyznaj się, że wierzysz we mnie choć na dziesięciotysięczną cząstkę ułamka.

— Ani minuty, — zaprzeczył gwałtownie Iwan. — Chociaż właściwie, pragnąłbym w ciebie uwierzyć — dodał z dziwnym uśmiechem.

— Che! che! — To zakrawa na wyznanie. Na szczęście, mam dobre serce i sam ci dopomogę. Słuchaj to ty się złapałeś, a nie ja. — Umyślnie opowiadałem ci twoją własną anegdotę, aby zachwiać wiarę twoją we mnie.

— Łżesz! Celem twoim właśnie jest wzbudzić we mnie wiarę, że istniejesz.

— Niezawodnie. Ale wahania, ale niepokój, ale walka wewnętrzna wiary z niewiarą, to taka męka dla człowieka uświadomionego, jakim ty jesteś, że nie raz wolałby się powiesić. — Wiem doskonale, że ty odrobinę wierzysz we mnie, dlatego też umyślnie zaszczepiłem ci znów w duszę trochę niewiary, opowiadając tę anegdotę. Mam swój cel, trzymając cię w ustawicznem wahaniu, to moja nowa metoda. — Wiem, że im mniej uwierzysz we mnie, tem goręcej upewniać mnie będziesz, że nie jestem snem, lecz najoczywistszą rzeczywistością. Ja już ciebie znam. W każdym razie, cel mój jest szlachetny. — Zasiałem ci w duszę drobne, malutke ziarno, ale z posiewu tego wyrość może dąb tak rozłożysty, że w cieniu jego zapragniesz być pustelnikiem i ascetą, i żywić się zechcesz korzonkami leśnymi, bo wiem, że w skrytości serca pożądasz świętej samotności i gotów jesteś powlec się na pustynię, aby tam szukać zbawienia.

— Jakto, łotrze! Więc to niby dla mego zbawienia robisz to wszystko?

— Trzeba raz w życiu spełnić dobry uczynek, Ale ty, jak widzę, wciąż jesteś zły na mnie.

— Błaźnie! A kusiłeś ty kiedy takich, co żywią się korzonkami i lata całe modlą się na pustyni, aż ciało ich mchem porośnie?

— Ależ gołąbku. Tem się właśnie głównie trudniłem. O całym świecie zapomnieć można dla jednego z takich. Taka dusza to brylant bezcenny, przedstawiający dla nas tysiąc razy większą wartość od całych konstelacyj gwiezdnych. A wiesz, wśród ludzi takich spotykałem umysły, nie ustępujące ci ani odrobinę pod względem rozwoju (choć temu nie uwierzysz). Nie masz wyobrażenia, jaka bezdeń wiary i niewiary mieścić się może jednocześnie w duszy takiego człowieka. Nieraz o włos prawie tylko znajdują się od najgłębszego upadku na same, zda się, dno.

— Ale mimo, to nie upadają, a ty odchodzisz z nosem.

— Lepiej z nosem, niż wcale bez nosa, jak mówił pewien markiz, którego choroba pozbawiła nosa — zauważył sentencyonalnie gość.

— Głupi żart! — ofuknął go Iwan.

— Przyjacielu, niema się o co gniewać, chciałem cię tylko rozśmieszyć. Ów nieszczęsny markiz zastrzelił się z rozpaczy, a ja byłem przy nim do ostatniej chwili i miałem z tego duży kłopot. Ale, bo widzisz, wszystko zależy od zapatrywania. — Pewna np. dzieweczka, Normandka, blondyna cudnej krasy, czy wiesz, co odpowiedziała, gdy robiono jej uwagę, że zbyt częto przywodzi ludzi na pokuszenie. — "Ca leur fait tant de plaisir, et a moi si peu de peine". — Wspaniały krzyk natury, a raczej niewinności. — Nieprawdaż! — Ale widzę znów kręcisz nosem, znów się gniewasz.

— Precz! precz! Odejdź już raz, — jęknął boleśnie Iwan. Utkwiłeś mi w mózgu, jak nieznośna zmora, a przytem nudzisz mnie tak szalenie, o! gdybym cię mógł raz unicestwić.

— Raz jeszcze proszę cię, staraj się ograniczyć twoje wymagania i nie żądaj odemnie rzeczy wielkich i pięknych, a obaczysz, jak prędko się porozumiemy.

Masz do mnie żal, że nie objawiłem ci się w purpurowym blasku, wśród grzmotów i błyskawic, ze skrzydłami na wpół opalonemi wiekuistym ogniem.

Obrażony jesteś w uczuciach estetycznych i dumie swojej tem, że do tak wielkiego jak ty człowieka, ośmielił się przystąpić taki prosty, ordynarny dyabeł. — Miałem zamiar poprzednio przedstawić ci się pod postacią dymisyonowanego radcy, z orderami lwa i słońca w butonierce, ale cóż, byłem pewien, że rzucisz się na mnie i wybijesz jedynie za to, żem sobie nie przypiął chociałby gwiazdy porannej i Syryusza. A i teraz wciąż nazywasz mnie głupcem. Mój Boże! nie mam wcale pretensyi równać się z tobą rozumem. Mefistofeles zapowiada Faustowi, że robić będzie zło, a robi dobro, to już jego rzecz, ja znowu przeciwnie. — Niema chyba na świecie człowieka, któryby tak gorąco

i szczerze kochał prawdę. Byłem przecie świadkiem chwili gdy Słowo ukrzyżowane wzniosło się w Niebiosa, unosząc na piersiach zbawioną duszę dobrego łotra.

Słyszałem radosne śpiewy cherubinów i hymny pochwalne serafinów, hymny pełne zachwytu, od których zadrżało niebo i wszechświat cały i klnę się na wszystko, że i ja także chciałem się wówczas złączyć z ogólnym chórem i śpiewać z nim razem hosanna! — Już, już, hymn pochwalny wyrywał mi się z piersi, gdy, na nieszczęście, powstrzymał mnie zdrowy rozsądek, najistotniejsza z moich właściwości. — I chwila przeszła. — Bo widzisz, pomyślałem sobie wówczas, co by się stało ze światem, gdybym i ja złączył się z duchami wybranymi. — Wszystko by zgasło, zmartwiało i nie byłoby żadnej akcyi, żadnych ciekawych zawikłań.

— I tak, jedynie obowiązek służby i powinność społeczna zmusiły mnie do stłumienia w sobie lepszych porywów i pozostania w obrzydliwościach grzechu. — Na innych spada blask cnoty i zasługi, mnie zaś jednemu przypadło w udziale poniżenie występku... Nie zazdroszczę wprawdzie nikomu tych sztucznych blasków i nie jestem wcale próżny, dlaczego jednak przeklęty jestem i znienawidzony przez wszystkich? Tego doprawdy nie rozumiem. — Musi w tem być jakaś tajemnica, której mi nie chcą wyjawić.

Bo gdyby mi ją raz odkryto, ryknąłbym wraz z innymi: hosanna! a wtedy koniec wszystkiemu. — Na świecie nie byłoby żadnych stron ujemnych, a skutkiem tego znikłoby wszystko, nawet gazety i dzienniki, bo któżby je wtedy prenumerował.

Wiem, że ostatecznie i ja pogodzę się z koniecznością, odbędę swój kwadrylion i tajemnicę odkryję. Zanim to jednak nastąpi dąsać się muszę i spełniać moje przeznaczenie, gubiąc tysiące, dla zbawienia jednego. — Ile np. trzeba było zgubić dusz, splamić uczciwych reputacyi, aby otrzymać jednego sprawiedliwego Joba, z powodu którego oszukano mnie tak haniebnie przed laty.

Słowem, póki się wszystko nie wyjaśni muszą być na świecie dwie prawdy, jedna jakaś ich, zupełnie mi nieznana, druga moja własna, — a niewiadomo jeszcze, która lepsza. — Ty śpisz?

— Jeszcze by też! — zgrzytnął Iwan. Pozbierałeś wszystko, co było we mnie najgłupszego, co odrzuciłem już dawno, jako przeżyte, niepotrzebne i podajesz mi to teraz jako nowość.

— Cóż to? jeszcze ci nie dogodziłem? myślałem, że cię przynajmniej wezmę na literaturę, bo przecież niektóre zwroty udały mi się znakomicie, a tu widzę i to ci nie do smaku. — Skąd że ten sarkastyczny ton, a la Heine? — Czyż nie miałem słuszności?

— Nie, nie miewałem nigdy takich lokajskich myśli; jakim sposobem dusza moja zrodzić mogła takiego, jak ty, fagasa?

— Przyjacielu, znam przecież pełnego nadziei młodzieńca, myśliciela i wielkiego miłośnika sztuk pięknych, który jest autorem cudnego poematu "Wielki Inkwizytor". Jego tylko miałem na myśli.

— Nie wspominaj mi o wielkim inkwizytorze, — zawołał Iwan, rumieniąc się ze wstydu

— No! a "Przewrót geologiczny", to także jego utwór.

— Milcz bo cię zamorduję.

— Mnie zamordujesz? stary przyjacielu, ale mimo to nie odmówię sobie przyjemności powtórzenia ci tego poemaciku. Szalenie lubię zuchwałe porywy i śmiałe marzenia młodych moich przyjaciół, trawionych żądzą życia. "Tam" myślałeś zeszłej jeszcze wiosny, "tam, gdzieś, gromadzą się ludzie, mówiłeś, którzy chcą wszystko zniszczyć, aby zacząć życie na nowo, prawie od ludożerstwa. Głupcy! czemu mnie nie spytają o radę? Nie potrzeba nic niszczyć, a tylko zniweczyć w człowieku wiarę, a wówczas wszystko rozpadnie się samo przez się. Okres niewiary przyjść musi na ludzi, podobnie, jak przychodzą po sobie coraz to nowe okresy geologiczne. A gdy się to stanie, padnie cały dawny ustrój społeczny i rozpocznie się nowe życie. Ludzie zjednoczą się dla zdobycia tu na ziemi wszelkiego szczęścia, jakie ono dać może, szczęścia, oczywiście, doczesnego. Opanowawszy wolą i nauką wszystkie siły przyrody, dozna człowiek tak dziwnych i rozkosznych uczuć, że wynagrodzą mu one wszystkie dawne marzenia o szczęściu zaziemskiem. Śmierć samą przyjmie spokojnie, bo życie da mu tyle, zdwojonych wrażeń i płomiennych rozkoszy, że nie będzie mógł nawet pamiętać o tem, że trwa ono tak krótko, zaledwie jedno mgnienie. "Tak coś było w tym rodzaju, pamiętasz-

Ślicznie pomyślane. Iwan zamknął oczy obu rękami i patrzył w ziemię, drżąc na całem ciele. Głos mówił dalej.

To tylko pytanie, myślał mój młody filozof, czy taki okres wogóle kiedykolwiek nastąpi? Jeżeli tak, to rzecz skończona. Ludzkość stworzy sobie sama nowe prawa. Jeżeli jednak ze względu na zakorzenioną głupotę człowieka cała sprawa przewlecze-się na jakie tysiąc lat jeszcze, to w takim razie ten, który już dziś poznał prawdę, ma przecie prawo urządzić sobie życie, jak mu się podoba i takiemu "wszystko jest dozwolone". Nie dość na tem, jeżeli, co bardzo być może, okres taki nigdy nie nadejdzie, to i tak nowy człowiek może się uważać za pana swoich czynności, z których przed nikim nie potrzebuje zdawać sprawy i powinien usunąć z drogi swojej wszelkie przegrody i przeszkody, jakie mu stawiają przyjęte prawa, bo on przecie sam dla siebie prawa ustanowił. Wszystko to bardzo ładnie, ale jeśli człowiek taki zacznie robić łajdactwa, to pocóż mu na to sankcya prawdy, ale taki jest wasz rosyjski współczesny człowiek, żę się i na łajdactwo nawet nie zdecyduje, dopóki nie uzyska na nie sankcyi jakiejś zasady.

Gość mówił z coraz to większem krasomówstwem, podnosząc głos coraz bardziej i patrząc urągliwie na Iwana. Ten jednak, dostrzegłszy to, porwał ze stołu szklankę i rzucił ją w głowę mówcy.

— Ach! mais c'est bete enfin! — krzyknął gość, zeskakując z kanapy i strzepując palcami krople herbaty z obryzganego tużurka. — Przypomniałeś sobie widocznie kałamarz Lutra. Czysto kobiecy pomysł, Ja też odrazu poznałem, że udajesz tylko przedemną, żeś sobie uszy zatkał, a na prawdę wszystko słyszysz.

W tej chwili dało się słyszeć stukanie do okna uporczywe i nagłe. Iwan zerwał się, nadsłuchując.

— Idź, otwórz! — doradzał mu gość. — To brat twój, Alosza, przynosi ci ważną i niespodzianą wiadomość. Już ja ci ręczę, że zaszło coś ciekawego.

— Milcz, oszuście! Ja sam wiem, że to Alosza, i że nie przychodzi tu bez przyczyny. Z pewnością przynosi jakąś ważną wiadomość.

— Otwórz więc! otwórz mu prędzej, na dworze taka zamieć, a to przecież twój brat. Monsieur sait-il-le temps qu'il fait? C'est a ne pas mette un chien dehors.

Stukanie trwało wciąż. Iwan chciał biedz do okna, ale czuł się jak spętany. Natężał się ze wszystkich sił, aby zerwać pęta, ale nie mógł tego dokonać. W końcu ostatnim wysiłkiem uwolnił się z wiezów i zerwał się, patrząc dziko dokoła. W tej chwili oprzytomniał zupełnie. Ujrzał na stole dwie dogasające świece; szklanka, którą przed chwilą rzucił na swego kościa, stała spokojnie przed nim. Na kanapie, naprzeciw, nie było nikogo. Słychać było tylko wciąż stukanie w okno, nie tak jednak głośne i natarczywe, jak przed chwilą, przeciwnie ,ciche i dyskretne.

— To nie był sen, przysięgam, że to nie był sen — powtarzał Iwan, rzucając się ku oknu i otwierając je.

— Alosza, to ty! Mówiłem ci przecie, żebyś dziś nie przychodził. Jeżeli masz co do mnie, to w dwóch słowach powiedz, w dwóch słowach, słyszyśz?

— Przed godziną Smerdiakow się powiesił — odpowiedział z za okna Alosza.

— Wejdź na ganek, a otworzę ci zaraz drzwi — zawołał Iwan i pośpieszył na spotkanie brata.

Alosza wszedł i opowiedział Iwanowi, że przed godziną przybiegła do niego Marya Kondratiewna, donosząc o śmierci Smerdiakow. Opowiadała, że wszedłszy do jego pokoju, aby sprzątnąć samowar, znalazła go wiszącego na haku. Nie mówiła jeszcze o tem nikomu, a przybiegła prosto do Aloszy, bez tchu prawie i drżąca jak liść.

Alosza zawiadomił natychmiast sprawnika, a gdy weszli z nim razem do mieszkania samobójcy, znaleźli jeszcze wiszącego trupa. Na stole leżała kartka: "Odbieram sobie życie z własnej woli i ochoty, proszę nikogo nie winić".

Opowiadając to wszystko, Alosza nie spuszczał wzroku z brata, uderzony dziwnym wyrazem jego twarzy.

— Bracie! — zawołał nagle — ty musisz być bardzo chory, patrzysz na mnie, a udajesz, że nie rozumiesz tego, co mówię.

— To dobrze, żeś przyszedł — rzekł głucho Iwan, jakby nie słysząc jego pytania — a wiesz, że ja już wiedziałem, że się on powiesił.

— Od kogo się mogłeś dowiedzieć?

— Nie wiem, tj. wiem, wiem, od niego. On tu był przed chwilą i mówił ze mną.

Iwan stał pośrodku pokoju, zamyślony, i patrzył w ziemię.

— Jaki on? — pytał Alosza, rozglądając się po pokoju.

— Drapnął już — odparł Iwan, podnosząc głowę i uśmiechając się cicho.—On sie ciebie, bracie, boi, tyś duch czysty, cherubin, jak ciebie Dymitr nazywa. A wiesz ty, co to serafiny? Cała konstytucya może. A może cały Wszechświat jest tylko molekułą chemiczną.

— Bracie! — mówił wystraszony Alosza — usiądź, na miłość Boga, uspokój się, tyś chory, masz gorączkę, chcesz, przyłożę ci zimny okład na głowę. Może ci pomoże.

— Daj mokry ręcznik, musi tu gdzieś leżeć, rzuciłem go niedawno.

— Niema go tu, ale znajdę, wiem, gdzie jest — uspokajał go Alosza i przeszedłszy na drugi koniec pokoju wziął z umywalni czysty, zupełnie suchy ręcznik, który tam leżał.

Iwan patrzył na to zdumiony, pamięć zaczęła mu powracać.

— Słuchaj! — rzekł, wstając. — Przed godziną zmoczyłem ten ręcznik wodą i przyłożyłem do głowy, a potem rzuciłem na podłogę. Jakim sposobem jest obecnie suchy? — nie było tam drugiego.

— Przykładałeś sobie ręcznik do głowy? — pytał Alosza.

— Ależ tak, przed godziną.

Po chwili dodał:

— Dlaczego świece wypalone? Czy to już późno.

— Północ już — odparł Alosza.

— Nie! nie! — zawołał nagle Iwan — to nie był sen. On tu był, siedział tu, na tej kanapie. W chwili, gdyś stukał do okna, rzuciłem w niego szklanką.

Przychodził i pierwej, ale wtedy spałem. To jest nie spałem, ale widzisz, ja teraz miewam takie sny, jakby nie sny, a widzenia na jawie. Ale dziś on tu był, siedział tu, na tem miejscu. On jest głupi, o, strasznie głupi — zaśmiał się znów Iwan i chodzić zaczął po pokoju.

— Kto głupi? O kim ty mówisz, bracie? — pytał niespokojnie Alosza.

— Dyabeł! Znęcił się do mnie i chodzi, był już dwa, czy trzy razy. Śmiał się dziś ze mnie, że mnie to gniewa, że odwiedza mnie w postaci prostego dyabła, nie jako szatan ze skrzydłami, opalonemi w płomieniach, ukazujący się wśród gromów i błyskawic. Ale bo też z niego, w istocie, prostacki, podły dyabeł, całkiem licha figura. Samozwaniec. Z pewnością musi mieć pod suknią długi, bury ogon.

Ale słuchaj, Alosza, tyś pewnie zziebnięty, na dworze taka zamieć. C'est a ne pas mettre un chien dehors.

Alosza prędko pobiegł do umywalni, umoczył ręcznik w zimnej wodzie, zmusił Iwana, aby się położył i dał mu zimny okład na głowę.

— Słuchaj! — mówił dalej Iwan, który stał się raptem bardzo rozmowny — co ja ci mówiłem o Lizie? Coś złego, zdaje mi się, ale to nieprawda. Liza mi się podoba. Kati się boję, ona jutro rzuci mnie i podepcze. Ona myśli, że zazdrosny jestem o Dymitra i gubię go umyślnie, ale przekona się, że to nieprawda.

Jutro sąd, krzyż biorę na siebie Ale czy wiesz, że nie odbiorę sobie życia? Nie byłbym do tego zdolny. Nie dlatego, ażebym się bał, tchórzem nie jestem, ale z powodu żądzy życia.

Skąd ja wiedziałem, że Smerdiakow się powiesił? Ach! to on mi powiedział.

— To ty naprawdę wierzysz, że tu ktoś był? — pytał Alosza.

— Tu, na tej kanapie, ty go spłoszyłeś, Alosza, on się ciebie boi i znikł, skoroś tylko tu wszedł.

Lubię patrzeć na ciebie, Alosza, lubię twoją twarz, czy wiedziałeś o tem? A wiesz, a wiesz? On, to właściwie ja sam, tj wszystko to, co we mnienaj głupsze, najniższe, najpodlejsze.

Nazwał mnie romantykiem, chociaż to blaga. Głupi jest bardzo, ale tem właśnie bierze, a chytry przytem, wiedział na co mnie brać, dokuczał mi wciąż, że waham się, niewiedząc czy to sen, czy prawda, i tem zmusił mnie do słuchania swojej paplaniny.

— Przytem jednak powiedział mi o mnie kilka prawd, na które sambym się nigdy nie zdobył.

Czy wiesz, Alosza? — mówił dalej Iwan całkiem seryo i jakby poufnie. — Bardzobym chciał, żeby to był naprawdę on, a nie ja.

— Zmęczył cię bardzo — zauważył ze współczuciem Alosza.

— Dokuczał mi bardzo. "Sumienie, cóż to sumienie? — mówił — samiśmy je wymyślili, to stare nawyknienie ludzkości, od siedmiu tysięcy lat, pozbędzie-

my się go, a będziemy wolni." To on tak mówił, wszystko on.

— On, ale nie ty! — zawołał z zapałem Alosza. — Zapomnij o nim, bracie, niech przepada, a z nim wszystko, co dręczy cię i co przeklinasz.

— Zły jest przytem, szydził ze mnie z taką zuchwałością — mówił Iwan z obrazą w głosie. — Spotwarzył mnie w oczy. "Ty — mówił pójdziesz jutro ogłosić światu, że sługa na twój rozkaz zamordował ojca".

— To nieprawda! — przerwał mu żywo Alosza.

— Ale on tak twierdzi, a on wie, co mówi. Zarzucał mi, że chcę spełnić jutro akt cnoty, a w cnotę nie wierzę. Takie mi rzeczy mówił.

— Słuchaj, bracie, to sen — uspokajał go Alosza. — Chory jesteś, zmęczony, masz gorączkę.

— Ale nie, on, on mówił o mnie. "Pójdziesz — mówił — przed Dumę i powiesz, żeś ty zabił, choć w duszy czujesz strach. Chcesz, żeby cię chwalili i podziwiali, mówiąc: morderca wprawdzie, ale jaki szlachetny, wspaniałomyślny, brata chciał ocalić i przyznał się.

Ale to fałsz! — zawołał nagle Iwan, błyskając oczami.

Skłamał to wszystko. Nie chcę pochwały motłochu, nie dbam o nią. Za to kłamstwo rozgniewałem się tak, że rzuciłem na niego szklanką, która roztłukła się o jego mordę.

— Bracie, uspokój się, przestań — błagał Alosza.

— Umie on dręczyć, — mówił dalej Iwan. — Wiem już teraz, po co przychodzi. "Idziesz z dumy, mówił mi, z pychy się chcesz oskarżyć, aby cię chwalono, ale na dnie duszy masz nadzieję, że Smerdiakowa skażą na ciężkie roboty, ciebie zaś potępią tylko moralnie, (tak ze mnie szydził). "Ale teraz, gdy się Smerdiakow powiesił, będziesz musiał iść sam i pójdziesz, a dlaczego pójdziesz? To straszna rzecz Alosza, takie pytania, nie znoszę, żeby mi je zadawano.

— Bracie! — przerwał Alosza, który pomimo przerażenia, miał jeszcze wciąż nadzieję, że uda mu się przywrócić Iwana do przytomności. — Jakim sposobem on ci mógł mówić, że się Smerdiakow powiesił, skoro oprócz mnie nikt o tem jeszcze nie wiedział?

— Ale on wiedział, — odparł stanowczo Iwan i przyszedł mi to oznajmić. — Idziesz, mówił mi, choć nie wierzysz w cnotę i choć wiesz, że ci nikt nie uwierzy. Pocóż więc się tam wleczesz? skoro wiesz, że ofiara twoja nikomu się nie przyda. Całą noc wahać się będziesz, iść? czy nie iść? a przecież w końcu pójdziesz. Dlaczego? bo nie będziesz śmiał nie pójść. — A dlaczego nie będziesz śmiał? Zgadnij, w tej chwili ty wszedłeś, a on znikł. — Tchórzem mnie nazwał, Alosza. — "Nie takim, jak ty, orłom wzlatywać nad ziemią". To mi jeszcze dodał na odchodnem.

Smerdiakow także nazwał mnie tchórzem. Muszę go zabić. Katia pogardza mną, widzę to już od miesiąca. I ty pogardzasz mną, Alosza, dlatego nienawidzieć cię będę znów. I tamtego potwora nienawidzę, tj. Dymitra, nie myślę go zbawić, niech zgnije w kopalniach. Hymn swój niech śpiewa. — Ach pójdę jutro i wszystkim im w oczy plunę.

Zerwał się, a zrzuciwszy z głowy mokry ręcznik, biegać zaczął po pokoju szybkim krokiem. Alosza zrozumiał, że Iwan ulegać musić w tej chwili jednej z tych halucynacyi, o których wspominał. Chciał pobiedz po doktora, ale bał się zostawić brata samego. Iwan tymczasem mówił coraz więcej, ale zupełnie już bez związku, wymawiając słowa coraz mniej wyraźnie. W końcu zachwiał się i byłby z pewnością upadł, gdyby Alosza nie podbiegł w porę. Udało mu się zaprowadzić go do łóżka i ułożyć do snu. — Po niejakim czasie chory zasnął głęboko. Alosza przesiedział nad nim dwie godziny, nasłuchując oddechu, który zdawał się być równy i spokojny. — Wtedy Alosza położył się na kanapie ,pomodliwszy się wpierw za braci.

Rozumiał pasowanie się Iwana. "Męki zbudzonego sumienia i dumne postanowienie. Bóg i Jego prawda, którą dotąd odrzucał, oblegają to harde serce, które poddać się nie chce, ale Bóg zwycięży ostatecznie" — myślał Alosza .

"Albo więc brat mój podniesie się w świetle prawdy, albo zginie pod ciężarem nienawiści, mszczac się sam na sobie za to, że służyć musi temu, w co nie może uwierzyć". Na tę myśl, Alosza uśmiechnął się gorzko i pomodlił się osobno za Iwana.

II.

OMYŁKA SĄDU.

Na drugi dzień po dopiero co opowiedzianych wypadkach, o godzinie dziewiątej przed południem, rozpoczęła się rozprawa sądowa, w sprawie Dymitra Karamazowa. Sprawa ta nabrała wielkiego rozgłosu w całej Rosyi i w dzień sądu wiele osób zjechało umyślnie, aby być świadkiem procesu. Przybyło kilku adwokatów i wyższych urzędników, a także wiele dam żądnych ciekawego widowiska. Rozchwytano bilety wejścia, a sala była przepełniona. Połowę publiczności stanowiły kobiety. Było ich mnóstwo na galeryi, niektóre bardzo postrojone, większość jednak zapomniała nawet o strojach, pochłonięta gorączkową, chorobliwą prawie ciekawością. Charakterystycznem było, że wszystkie prawie kobiety były po stronie Dymitra i pragnęły jego uwolnienia. Wiedziano o rywalizacyi dwóch kobiet i zajmowano się niemi żywo. Zwłaszcza Katarzyna Iwanówna była przedmiotem ogólnej ciekawości. Opowiadano rozmaite zadziwiające szczegóły o niepohamowanej namiętności z jaką kochała Dymitra, przypuszczano, że w razie wysłana go na Sybr, pójdzie za nim i poślubi go, gdzieś pod ziemią. Gruszę znano w mieście i kobiety dziwiły się powszechnie, jak można było kochać się w takiej pospolitej i wcale nieładnej mieszczance mając do wyboru tak piękną, skoligaconą pannę, jak Katarzyna. Oczekiwano z upragnieniem spotkania się rywalek w sądzie. Mnóstwo żon pokłóciło się z mężami z powodu Dymitra, względem którego wszyscy prawie mężczyźni usposobieni byli bardzo nieprzychylnie i pragnęli dla niego kary i surowego wyroku. Prawda, że Mitia zdążył obrazić wielu z nich. Adwokaci tylko nie zajmowali się wcale moralnem znaczeniem procesu, interesując się tylko prawną jego stroną. Wszyscy byli bardzo przejęci przyjazdem Fediukowicza, znakomitego obrońcy z Petersburga.

Opowiadano sobie także, że proces Dymitra, zwany w całej Rosyi sprawą Karamazowych, służyć ma jako pole popisu dla prokuratora, który chce przy tej sposobności powetować sobie jakieś dawniejsze niepowodzenia. Miał się tylko bardzo obawiać Fediukowicza, z którym się znał jeszcze w Petersburgu, gdzie się kiedyś podobno poróżnili tak, że teraźniejsze ich spotkanie w sądzie, miało się stać jakby pojedynkiem prawniczym, przy którym mieli obaj rozwinąć wszystkie swoje zasoby umysłowe, Okoliczność ta przyczyniła się jeszcze bardziej do zwiększenia rozgłosu sprawy i zaostrzenia ciekawości widzów.

Wobec tego, wielka sala sądowa, wypełniona była po brzegi, na parę godzin jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy. Członkowie sądu siedzieli na podwyższeniach, na prawo zaś od ich siedzeń przygotowany był stół i dwa rzędy krzeseł dla przysięgłych. Na lewo było miejsce oskarżonego i jego obrońcy. Pośrodku stół, na którym, złożone były wszystkie przedmioty, należące do materyału dowodowego, a więc, szlafrok Fedora Pawłowicza, obficie zbroczony krwią, mosiężny tłuczek, którym miano dokonać morderstwa, koszula i tużurek Dymitra, również splamione krwią, także skrwawiona chustka, zaskorupiała już zupełnie i pożółkła. Dalej koperta, w której złożone były pieniądze dla Gruszy i wstążeczka, służąca do jej związania.

O godzinie dziewiątej sąd zjawił się w komplecie. Przewodniczący, człowiek lat około pięćdziesięciu, z siwiejącymi krótko przystrzyżonymi włosami, przyozdobiony był wstęgą niewiadomo jakiego orderu. Prokurator był nadzwyczaj blady, prawie zielony, zdawało się, jakby schudł przez jedną noc, przygotowując się do swojej mowy. Przewodniczący rozpoczął rzecz, zapytując prystawa, czy wszyscy przysięgli są obecni? Było ich dwunastu. Czterech drobnych urzędników, dwóch kupców, sześciu chłopów i mieszczan. Patrząc na nich, wiele osób z publiczności zadawało sobie pytanie, jakim sposobem ludzie, tak mało oświeceni, będą w stanie wydać wyrok, w sprawie tak skomplikowanej? Co mogą wiedzieć o psychologicznej stronie procesu ci kupcy, urzędnicy, a zwłaszcza ci chłopi? Mimo jednak tego niepoczesnego wyglądu, twarze przysięgłych wyrażały powagę i przejęcie się, były też przeważnie posępne i zachmurzone.

Przewodniczący otworzył posiedzenie, ogłaszając obecnym fakt zamordowania tytułowanego radcy, Fedora Pawłowicza, poczem wprowadzono Dymitra. Na jego widok w sali zapanowała taka cisza, że, zda

się, słyszećby można przelatującą muchę. Mitia nie wywarł sympatycznego wrażenia. Ubrany był z wyszukaną elegancyą, w garnitur świeży, jak z igły, sprowadzony umyślnie z Moskwy, śnieżnej białości koszulę i czarne rękawiczki. Wszedł do sali swymi metrowymi krokami, patrząc nieruchomo przed siebie i usiadł na przeznaczonem sobie miejscu. Za nim postępował obrońca jego, słynny Fediukowicz, za którego wejściem cichy szmer podziwu przebiegł po sali. Ów Fediukowicz był to długi chudy człowiek, na długich chudych nogach, z niesłychanie długimi i cienkimi palcami. Cerę miał ziemistą włosy krótko ostrzyżone, na wąskich jego wargach igrał nieustannie sardoniczny uśmiech. Twarz miałby nawet sympatyczną, gdyby nie oczy małe i bez wyrazu, osadzone bardzo blisko siebie, i przedzielone tylko cieniutką kreską wydłużonego wąskiego nosa. Wogóle fizycnomia ta miała w sobie coś uderzająco ptasiego. Był ubrany równie wykwitnie, jak podsądny, we fraku i w białym krawacie.

Na pierwsze pytanie, zadane sobie, kim jest? i jak się nazywa? Mitia odpowiedział dziwnie głośno, aż przewodniczący poruszył się niecierpliwie i spojrzał na niego ze zdziwieniem.. Odczytano listę świadków. Okazało sie, że brakuje czterech Mjusowa, pani Chachłakow, Maksymowa i wreszcie Smerdiakowa, o którego samobój stwie dowiedziano się dopiero w tej chwili Usłyszawszy tą wiadomość, Mitia zawołał ze swego miejsca:

— Pies był! i zginął jak pies.

Przewodniczący przywołał go surowo do porządku, zapowiadając, że w razie, gdyby podobny wybryk się powtórzył, zmuszony będzie użyć przeciw oskarżonemu jaknajsurowszych środków. Mitia nie okazał skruchy, przyrzekł jednak, że na przyszłość postara się powściągnąć. Krótki ten epizod wypadł dla niego niekorzystnie w opinii publiczności i sędziów przysięgłych. Pod tem nieprzychylnem wrażeniem zaczęło się odczytywanie aktu oskarżenia.

Akt oskarżenia był krótki, ale dokładny. Przedstawiał sprawę w głównych, najważniejszych zarysach, wyjaśniając motywy prawne, dla których oskarżony stawiony był przed sądem. Mimo tę zwięzłość odczytanie aktu wywarło bardzo głębokie wrażenie; cała rodzina Karamazowych stanęła znów jak żywa przed oczyma, oświetlona fatalnem światłem nieodwołalnej konieczności. Po ukończeniu czytania przewodniczący spytał donośnym głosem:

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Na to Mitia wstał z miejsca i rzekł:

— Uznaję się winnym pijaństwa, rozpusty, lenistwa, choć chciałem właśnie stać się człowiekiem w chwili, w sekundzie nawet, w której podcięła mnie ręka losu. Ale śmierci starca, śmierci ojca mego i wroga nie jestem winien. Nie ograbiłem go też. Dymitr Karamazow może być zbrodniarzem, ale nie złodziejem.

Krzyknął to wszystko jednym tchem, poczem usiadł. Przewodniczący upomniał go znów, aby odpowiadał ściśle na pytania, nie pozwalając sobie na żadne zboczenia.

Wtedy wprowadzono świadków i odebrano od nich przysięgę, od której wolni byli bracia oskarżonego. Potem miało nastąpić przesłuchanie świadków.

Od początku rozprawy rzucała się w oczy niezmierna siła faktów, obciążających oskarżonego, a co zatem idzie, ogromna nierówność środków walki, wypadająca na niekorzyść obrony. Cała publiczność przekonana była o winie Dymitra i rozumiano, że obrona będzie tylko czczą formalnością. Mimo to, kobiety były pewne, że Mitia zostanie uniewinniony, w myśl nowych idei i poglądów humanitarnych. Uważały Dymitra za winnego i nawet wcale nie pragnęły widzieć go niewinnym, to przecież zepsułoby efekt, który w takim tylko razie byłby naprawdę silny, gdyby wyrok uwalniający wyrzeczony został nad prawdziwym przestępcą. Męzka połowa audytoryum interesowała się głównie walką pomiędzy prokuratorem, a obrońcą. Gubiono się w domysłach, na jakie sposoby weźmie się Fediukowicz dla uratowania sprawy, tak z góry przesądzonej i skazanej na niepowodzenie. Zauważono odrazu, że, przesłuchując świadków, których zeznania najbardziej obciążyły podsądnego, obrońca umiał ich doskonale podchwytywać i zbijać z tropu, a przedewszystkiem obniżał znaczenie ich zeznań, wykazując bardzo zręcznie słabe strony ich umysłu i charakteru, co zdawało się wynikać samo z siebie.

Gdy np. przesłuchiwano Grigora, którego świadectwo o otwartych drzwiach było najważniejszem świadectwem przeciw Miti, Fediukowicz zaczął go dopytywać

o szczegóły, na pozór mało znaczące. Zapytał np., czy widział sam owe trzy tysiące, przeznaczone dla Gruszy, w kopercie związanej wstążką, Grigor odpowiedział, że pieniędzy tych ani koperty nie widział wcale, a dopiero później, w czasie procesu, usłyszał o nich poraz pierwszy. Pieniędzy tych nie widział zresztą żaden ze świadków, na co obrońca zwrócił z naciskiem uwagę sądu.

— Teraz, — rzekł znów Fediukowicz do Grigora — pozwólcie, że zapytam was, z czego zrobiony był ów napój, czy lek, którym was żona napoiła w dzień śmierci waszego pana?

Grigor spojrzał tępym wzrokiem na pytającego i milczał chwilę, potem rzekł:

— Były tam różne zioła, szałwia.

— Tylko szałwia?

— A jeszcze liście babki.

— I może pieprz?

— Był i pieprz.

— I to wszystko na gorzałce?

— Na spirytusie.

W sali dał się słyszeć przytłumiony śmiech...

— Zatem żona wasza natarła was tym dekoktem, resztę zaś, pozostałą w butelce, wypiliście na sen? Przytem żona wasza wymawiała jakieś, sobie tylko znane, zaklęcia?

— Wypiłem — odparł Grigor.

— A dużo tam tego było? Kieliszek może, co?

— Była szklanka.

— Szklanka? widzicie, a może i półtorej szklanki. To nieźle uraczyliście się... Wypiwszy półtorej szklanki spirytusu, możnaby dojrzeć otwarte wrota do raju, a cóż dopiero drzwi, prowadzące do ogrodu.

Grigor milczał. Teraz dopiero zaczynał rozumieć. Wśród publiczności dał się znów słyszeć coraz to głośniejszy śmiech.

Przewodniczący gniewał się i przywoływał do porządku.

— A czy pamiętacie, — badał dalej Fediukowicz, oplątując coraz bardziej swoją ofiarę — czy w chwili, gdyście obaczyli owe drzwi, otwarte, nie chciało się wam bardzo spać?

— Stałem na nogach — odparł Grigor.

— To jeszcze niedowiedzione, czy i stojąc na nogach, nie mieliście chętki do snu. Czy byliście, naprzykład, w stanie odpowiedzieć, gdyby was kto wtedy zapytał, który mamy teraz rok?

Okazało się, że Grigor i w tej chwili nie wiedział, w którym roku ery chrześcijańskiej żyje obecnie.

Grigor był zupełnie zbity z tropu i patrzył tępym wzrokiem na swego dręczyciela. Fediukowicz spytał go jeszcze:

— A możecie powiedzieć, ile macie palców u rąk?

— Ja prosty człowiek — odparł na to stary — i jeżeli podoba się władzom wyśmiewać się ze mnie, to muszę to znosić.

Odpowiedź ta osadziła trochę Fediukowicza, tembardziej, że i przewodniczący wmieszał się, upominając obrońcę, aby nie zadawał bałamutnych pytań.

Na to obrońca skłonił się z godnością i oświadczył, że ukończył już badanie tego świadka. Swoją drogą, odpowiedzi Grigora wzbudziły tak w publiczności, ja i w przysięgłych pewne wątpliwości co do jego zeznań, przez co cel obrońcy został dopięty.

— Prócz otwartych drzwi, wszystko prawda, co mówił — zawołał ze swego miejsca Mitia. — Że hodował mnie dzieckiem, a teraz przebaczył mi, żem go pobił, za to wdzięczny mu jestem, a sam zaświadczam, że uczciwy był przez całe życie, a ojcu memu wierny, jak osiemset pudlów.

— Oskarżony! proszę się powściągać w mowie — zawołał srogo przewodniczący.

— Cóż to! czy ja pies? — warknął oburzony Grigor.

— Jeżeli nie ty, to z pewnością ja — krzyknął znów ze swego miejsca Mitia. — Postępowałem jak pies i z tobą i ze starym Ezopem.

— Z kim? z kim — pytał surowo przewodniczący.

— Z moim ojcem, Fedorem Pawłowiczem.

— Sam sobie tylko pan szkodzi takiem zachowaniem się — zgromił go znowu przewodniczący.

Podobnie również odbyło się badanie świadka Rakitina, którego zeznania były także bardzo obciążające dla Miti. Okazało się wtedy, jak zadziwiająco prędko zaznajomił się obrońca z najdrobniejszymi szczegółami, dotyczącymi swojego klijenta. Rakitina uważał prokurator za pierwszorzędnej wartości świadka. Okazało się istotnie, że człowiek ten wiedział wszystko i o wszystkiem. Wszedzie był, z każdym rozmawiał, wszystko widział. Wprawdzie tak samo,

jak inni nie miał sposobności oglądać naocznie owych trzech tysięcy, ale słyszał o nich, a o całej rodzinie Karamazowych posiadał najdokładniejsze informacve. Uważał on, że zbrodnia, popełniona przez Dymitra, była koniecznem następstwem ogólnego stanu Rosyi, przestarzałych praw i zastarzałych przesądów. Słowem, wsiadł na wysokiego konika i poraz pierwszy zwrócił na siebie uwagę ogółu. Prokurator wiedział, że Rakitin pisze społeczne studyum na tle wypadków, zaszłych w rodzinie Karamazowych i ma zamiar ogłosić tę pracę w jednym ze stołecznych dzienników. Wogóle, zeznania Rakitina wprawiły w podziw publiczność głębokością myśli i szlachetnością formy, parę razy nawet dały się słyszeć oklaski, zwłaszcza w miejscach, gdzie była mowa o zastarzałych przesądach, panujących w Rosyi. Rakitin, upojony powodzeniem, zapędził się trochę za daleko, a mówiąc o Gruszy, używał wyrażeń bardzo pogardliwych i ta drobna okoliczność zgubiła go. Gdy przyszła kolej na badanie go przez obrońcę, ten zwrócił się do niego pełnym szacunku tonem i spytał go z zagadkowym uśmiechem, czy to on jest autorem cennej biografii błogosławionej pamieci starca Zosimy?

— Pisałem te notatki, nie przeznaczając ich do druku — odparł cokolwiek zmieszany Rakitin.

— To nic nie znaczy; dzieła takiego, jak pan, myśliciela, nie powinny być stracone dla ogółu, to też i broszura pańska rozeszła się bardzo szeroko, (broszura była pisana w duchu bardzo zachowawczym, zupełnie przeciwnym teraźniejszym zeznaniom Rakitina). Nie o tem zresztą chciałem mówić — ciągnął dalej obrońca z wielka kurtuazyą — o ile wiem, pan należał także do blizkich znajomych pani Swietłowej. Pokazało się, że Gruszeńka nosiła nazwisko Swietłowej, o czem nikt w mieście pierwej nie wiedział(.

— Nie mogę odpowiadać za wszystkie moje znajome — odparł wymijająco Rakitin. — Byłem młody...

— Rozumiem, rozumiem — przerwał obrońca, jakby sam zmieszany poruszeniem tak drażliwego tematu. — Chciałem tylko pana zapytać, czy jest panu wiadome, że przed dwoma miesiącami pani Swietłowa pragnęła koniecznie widzieć u siebie najmłodszego z braci Karamazowych, który był wówczas jeszcze klerykiem. Podobno pan, czyniąc zadość jej życzeniu, przyprowadziłeś go do niej istotnie.

— Pani Swietłowa przyrzekła panu 25 rb. za wprowadzenie do jej domu Aleksego Fedorowicza, a gdyś go pan istotnie przyprowadził, spełniła obietnicę i pieniądze te panu dała. Pan je wziąłeś, nieprawda?

— To był żart, — bronił się Rakitin, — zresztą nie widzę, jaki to ma związek... Wziąłem te pieniądze dla żartu, aby je potem oddać.

— W każdym razie, nie zwróciłeś ich pan dotąd.

— To nic niema do rzeczy, nie myślę odoowiadać na podobne pytania.

Tu wmieszał się przewodniczący, ale wtedy obrońca oświadczył, że skończył już badanie świadka Rakitina, i ten zniknął z widowni cokolwiek skonfundowany. Obrońca powiódł wzrokiem za odchodzącym, a potem spoirzał na publiczność, jakgdyby mówiąc: "Patrzcie tylko, jakich to świadków przedstawia oskarżyciel". W istocie Rakitin został zupełnie strącony z piedestału, a wrażenie wyższej szlachetności, z jaką się z początku zaprezentował, było zupełnie zniszczone. Nie obeszło się też bez wmieszania się Miti, który nie mógł darować Rakitinowi lekceważącego tonu przy wzmiance o Gruszy. To też gdy przewodniczący zwracał się do niego z pytaniem, czy nie chce dodać coś ze swej strony Mitia zawołał natychmiast:

— To typowy Barnard, marny karyerowicz, pożyczał odemnie pieniądze teraz, nawet w więzieniu; nie wierzy w Boga, a pisze żywoty świętych, naciąga w ten sposób wielebnego przeora.

Przewodniczący upomniał Mitię, aby nie odstępował od rzeczy, ale Rakitin był dobity w opinii publiczności.

Następnie wprowadzono dymisyonowanego kapitana Sniegirowa, tego samego, którego Mitia wyrzucił z restauracyi, ale i jego przesłuchanie nie powiodło się, mimo, że prokurator liczył na nie bardzo.

Eks-kapitan przyszedł brudny, oberwany, w zabłoconych butach i, nie bacząc na dostojność miejsca i chwili, okazał się najzupełniej pijany. Gdy prokurator zażądał od niego opisu krzywdy, jakiej doznał od Miti, kapitan nie chciał odpowiadać i mruczał tylko pod nosem.

— Bóg tam z nim, Iliuszka nie kazał mówić, Bóg niech sam sądzi.

— Kto panu zabrania mówić?

Iliuszeczka, synek mój umierający.

Rzekłszy to, eks-kapitan ryknął wielkim płaczem i zwalił się z nóg u stóp przewodniczącego. Wyprowadzono go co prędzej wśród śmiechu publiczności i w ten sposób efekt, przygotowany przez prokuratora, chybił zupełnie.

Przyszła wreszcie kolej na Tryfona Borysicza. Obrońca zastosował i do niego swoją metodę. Tryfon Borysicz był niebezpiecznym świadkiem, bo wyliczał najdokładniej, co do grosza prawie, że Mitia za pierwszą bytnością w Mokroje wydać musiał co najmniej trzy tysiące.

— Na same cyganki kilkaset rubli wyrzucił. A ile pomiędzy chłopów rozdał, nie kopiejkami, ale po 25 rubli do ręki im wtywał, a ile mu skradli, tego nie zliczy. Parszywy u nas naród, złodzieje wszystko i zbóje, sumienia nie mają, Boga się nie boją. — Dowodził wszystkiego cyframi, z których wynikało, że Mitia nie mógł w żaden sposób zaoszczędzić wówczas półtora tysiąca, co było jedyną prawie podstawą obrony. Zeznanie oberżysty było po prostu przygniatające dla oskarżonego. Gdy jednak przyszła kolej na obrońcę, ten, nie bawiąc się w inne szczegóły, zajął się wyłącznie sprawą stu rb., które Mitia zgubił wówczas, a które miały się dostać do rąk Tryfona Borysicza.

Ten przeczył z początku, ale gdy sprowadzono dwóch chłopów, którzy zaświadczyli, że sami podjęli owe sto rubli i oddali je Tryfonowi Borysiczowi, który dał im za to po rublu znaleźnego, musiał się przyznać, broniąc się tylko niepewnie, że pieniądze owe oddał Miti, o czem on, prawdopodobnie, nie pamięta, bo był wtedy zupełnie pijany. Z przebiegu więc badania widać było jasno, jak na dłoni, że szanowny Tryfon Borysicz zataił znalezione pieniądze. Wobec tego całe zeznanie jego traciło ogromnie na powadze. To samo stało się i z wielbicielem Gruszy, który z początku stawiał się bardzo butnie i z wielką godnością, gdy jednak skutkiem zeznania Kałganowa dowiedziono mu oszustwa przy grze w karty, odszedł zawstydzony, wśród śmiechu publiczności. W ten sposób obrońca zdyskredytował wszystkich prawie świadków strony przeciwnej. Widząc to, adwokaci i juryści rozkoszowali się po prostu artystycznie prowadzoną obroną, wszystko to jednak nie odpierało jeszcze dostatecznie ogromu obciążających faktów, to też prawdopodobnie "wielki mag", tj. Fediukowicz, musiał mieć jakiś inny ukryty plan, na którym opierał spokój swój i pewność siebie.

Nastąpiła teraz ekspertyza lekarska, która jednak nie wywarła żadnego wpływu na przebieg procesu.

Obrońca zdawał się to rozumieć i nie przykładał do aktu tego żadnej prawie wagi. Ekspertów było trzech. Stary lekarz miejski, dr. Hercenszube, asystent jego, dr. Warwiński i trzeci znakomity doktór, przybyły z Moskwy, a raczej sprowadzony stamtąd przez Katarzynę Iwanównę. Pierwszy przemawiał stary Hercenszube, Niemiec, oddawna już osiadły w Rosyi, którego wszyscy lubili bardzo i szanowali, Staruszek był dobry, ludzki i rozumny człowiek, tylko bardzo uparty w raz powziętem mniemaniu.

Oświadczył on odrazu, że umysł podsądnego uważa za nienormalny, i że zresztą nienormalność ta uderza w całem jego zachowaniu się, Gdy go pytano, w czem upatruje ową nienormalność, odpowiedział na to, że np oskarżony wszedł teraz do sali, stąpając jakoś dziwnie, jak żołnierz, że wzrok utkwił nieruchomo przed siebie, podczas gdy, zdaniem jego, powinien raczej patrzeć na lewo, gdzie siedzą damy, gdyż był on zawsze wielkim przyjacielem płci pięknej. Opinię tę wygłosił staruszek zupełnie poważnie, co wywołało żartobliwe szepty wśród publiczności.

Znakomity moskiewski doktór uważany za powagę lekarską, oświadczył bardziej jeszcze stanowczo, że oskarżony ma umysł nienormalny. Mówił dużo i uczenie, utrzymując wciąż, że w chwili popełnienia zbrodni, oskarżony musiał być w afekcie, wogóle ciągle używał wyrażeń "afekt" i "mania". Za dowód nienormalności uważał używanie przez Mitię jakichś nie zrozumiałych określeń, jak np. "Bernard" itd. Mania jego miała przedewszystkiem dotyczyć owych trzech tysięcy, o których Mitia nie był w stanie mówić spokojnie, podczas kiedy wszystkich innych zarzutów słuchał zupełnie bez gniewu. "Co się zaś tyczy mniemania uczonego mego kolegi, — dodał, zwracając się, nie bez ironi, do doktora Hercenszubę, — że oskarżony powinien patrzeć na lewo, to ja przeciwnie sądzę, że o ile byłby normalny, powinienby raczej patrzeć na prawo, szukając wzrokiem swe-

go obrońcy, od którego cały los jego zależy".

Przyszła teraz kolej na młodego doktora Warwińskiego, który całkiem niespodzianie wyraził zdanie, zupełnie przeciwne wygłoszonym poprzednio. Utrzymywał mianowicie, że oskarżony ma umysł najzupełniej jasny i normalny, chociaż przed katastrofą mógł się znajdować w silnem nerwowem rozdrażnieniu,, wynikającem z całkiem naturalnych przyczyn, np z zazdrości, gniewu, pijaństwa, itp. — Nie może tu być mowy o żadnym afekcie, lub manii. "Jeżeli mi zresztą wolno wyrazić skromne moje zdanie, — dodał wreszcie, — to powiem, że wchodząc do sali, oskarżony powinien był właśnie patrzeć prosto przed siebie nie zaś na lewo, lub na prawo, bo przed nim siedzieli sędziowie i przysięgli, od których obecnie los jego zależy, i że właśnie to jego patrzenie przed siebie dowodzi normalności jego umysłu" zakończył z pewnym zapałem młody lekarz.

— Brawo! doktorze, brawo! — zawołał Mitia, — właśnie tak jest, jakieś to pan powiedział.

Tego samego zdania była i publiczność, która nie wierzyła bynajmniej w obłęd Dymitra.

Po ukończonej ekspertyzie dr. Hercenszube wystąpił znowu w nowej roli, jako świadek. Tu całkiem niespodzianie zeznania jego wypadły na korzyść Miti.

Stary doktór znał go od dzieciństwa i, wspominając dawne czasy, uległ nagle mimowolnemu rozrzewnieniu. Mówił on po rosyjsku dużo i płynnie, ale akcentem cudzoziemskim i używając niekiedy niemieckich wyrażeń tam, gdzie mu brakowało słów.

— Biedny młodzieniec nie zasłużył jednak na los, — przemówił wśród badania, — bo od dzieciństwa okazywał dobre i czułe serce. Ale, jak mówi ruskie przysłowie: "lepiej dwa rozumy, niż jeden" (staruszek lubił bardzo przytaczać rosyjskie przysłowie, które zwykle przekręcał.).

— No i cóż te dwa rozumy? — nalegał niecierpliwie prokurator, słuchający niechętnie naiwnych wywodów starego doktora.

— A tak właśnie mówię, dobry jest jeden rozum, jeszcze lepiej dwa, ale do tego biedaka nikt nie przyszedł z rozumnem słowem, a jego własny rozum powędrował gdzieś 'spazieren".

— Jak to powędrował?

— Tak, gdzieś zawędrował, że się mu zupełnie zgubił, stąd i wszystko poszło, a dobre było z niego dziecko. Pamiętam go ot takim pędrakiem, jak biegał boso w porteczkach na jednej szelce, w domu ojca, gdzie nikt o niego nie dbał.

Przyszło mi wtedy na myśl, czyby nie kupić chłopcu funt tego, co to dzieci tak lubią... Jakże się to po rosyjsku nazywa, — pytał doktór rozłożywszy ręce. — Takie, co to na drzewie rośnie i obijają to, a potem zbierają.

— Jabłka może?

— O nie, nie, jabłka to się na dziesiątki kupuje, a nie na funty. To takie drobne, co się do ust wkłada, a potem trrach!

— Orzechy?

— Ach, tak, tak, orzechy.

Więc przyniosłem mu funt orzechów, bo trzeba wiedzieć, że temu dziecku nikt nigdy nic nie kupował. Podniosłem tedy palec do góry i mówię mu. Słuchaj chłopcze. Gott der Vater, Gott der Sohn, Gott der heilige Geist, a on wszystko za mną powtarza. Dałem mu orzechy i poszedłem. We trzy dni potem przechodzę koło ich domu, a chłopak, skoro mnie tylko zobaczył, woła wnet "Gott der Vater", "Gott der Sohn" tylko Gott der heilige Geist nie spamiętał. Tak mi się go znowu żał zrobiło. Wywieźli go potem stąd i całe 23 lata wcale go nie widziałem. Aż tu pewnego ranka siedzę w swoim gabinecie, i wchodzi do mnie młody człowiek, którego w żaden sposób poznać nie mogę, wtedy on podnosi palec i mówi: "Gott der Vater, Gott der Sohn" itd., a potem znów: Przyszedłem podziękować panu za funt orzechów, które mi pan kupił wtedy, kiedy mi nikt nic nie kupował. Wtedy dopiero poznałem, że to on i uściskałem go i błogosławiłem, a łzy miałem w oczach, on także, mimo, że się śmiał, bo ruski człowiek śmieje się często tam, gdzie płakać trzeba. A teraz!

— I teraz łzy mam w oczach i teraz, — wołał ze swego miejsca Mitia. — Boży z ciebie człowiek, doktorze.

W każdym razie, opowiadanie to wywarło wrażenie sympatyczne, wogóle od chwili, w której zaczęto przesłuchiwać świadków, powołanych przez obrońcę, szczęście zdawało się przechylać na stronę obwinionego. Najmocniejszym efektem było ukazanie się Katarzyny Iwanównej, ale przed tem jeszcze przesłuchano Aloszę. Nie

żądano od niego przysięgi i zarówno prokurator, jak i obrońca zachowywali się względem niego niesłychanie łagodnie, i prawie serdecznie. Poprzedzała go nieskatelna opinia. Alosza mówił skromnie i powściągliwie. Ale z każdego jego słowa przeglądało współczucie i przywiązanie do nieszczęśliwego brata. Określając charakter Dymitra, zaznaczył, że uważa go wprawdzie za człowieka gwałtownego i zbyt łatwo dającego się powodować namiętnością, ale jednocześnie szlachetnego i zdolnego nawet do poświęcenia w razie potrzeby. Przyznawał, że miłość do Gruszy i rywalizacya z ojcem doprowadziły go w ostatnich czasach do najwyższego rozdrażnienia, ale z oburzeniem odpierał przypuszczenie, jakoby brat jego był w stanie zamordować ojca w zamierze rabunku. Na pytanie prokuratora, dotyczące stosunku Miti do obu kobiet, tj. Gruszy i Katarzyny, nie chciał wcale odpowiadać.

— A czy mówił kiedy brat w pańskiej obecności, że ma zamiar zabić ojca?

— Bezpośrednio nigdy.

— Więc może pośrednio.

— Wspominał o nienawiści swej i wstręcie do ojca i mówił, że boi się tych uczuć, aby w ostatniej chwili nie doprowadziły go do morderstwa.

— Czy pan wierzył w możliwość morderstwa?

— Bałem się tego niekiedy, ale przekonany byłem, że w chwili stanowczej szlachetne i wyższe uczucia powstrzymają go, i tak sie rzeczywiście stało, bo brat mój nie zabił ojca. — Słowa te wyrzekł głośno i dobitnie, tak, że usłyszano je w całej sali. Prokurator wzdrygnął się, jak koń ukłuty ostrogą.

— Badź pan pewien — rzekł, zwracając się do Aloszy, — że ani na jedną chwilę nie poddaje w wątpliwość szczerości pańskiego przekonania, wyraziłeś je pan zresztą już przy pierwszem przesłuchaniu. Ale pozwoli pan, że zadam mu pytanie, jakie mianowicie dane masz pan na poparcie tego swego przeświadczenia o niewinności brata, i z jakich powodów zwracasz pan podejrzenie na innego człowieka, jak to już pan uczyniłeś w śledztwie.

— W śledztwie odpowiadałem tylko na pytania — odparł cicho i spokojnie Alosza. — nie wystąpiłem sam z oskarżeniem Smerdiakowa.

— Wszakżeż wskazałeś pan na niego.

— Zrobił to także mój brat, Dymitr, w chwili, gdy go uwięziono, wiem zresztą na pewno, że nie on popełnił to morderstwo, jeżeli zaś nie on, to mordercą może być tylko Smerdiakow.

— Dlaczego koniecznie Smerdiakow? i dlaczego obstajesz pan tak stanowczo przy niewinności brata?

— Wierzę bratu, on by przedemną nie skłamał, z twarzy jego poznałem.

— Czy tylko z twarzy? Niemasz pan innych dowodów.

— Innych? nie.

— Więc i przekonanie o winie Smerdiakowa opierasz pan tylko na słowach brata?

— Tak jest, na nich tylko.

Na tem prokurator zakończył przesłuchiwanie Aloszy.

Wynik tego badania przyniósł rozczarowanie publiczności.

Wszyscy spodziewali się, że Alosza przygotował jakieś nadzwyczajne dowody, zwłaszcza w sprawie obwinienia Smerdiakowa, a tu przytaczał on tylko twierdzenia, oparte na własnem przekonaniu, bez dotykalnych podstaw.

Przyszła jednak kolej na obrońcę. Ten zadał Aloszy pytanie, kiedy i w jakich okolicznościach Dymitr mówił o nienawiści swej do ojca.

Usłyszawszy to pytanie, Alosza wzdrygnął się, jakby mu coś nagle przyszło na myśl.

— Przypominam sobie jedna okoliczność, — rzekł, — o której na razie zapomniałem, a która przedstawia mi się teraz daleko jaśniej, niż pierwej.

Tu opowiedział, jak Mitia, żegnając sie z nim wieczorem pod drzwiami, na gościńcu, prowadzącym do klasztoru, uderzył się kilka razy w piersi, wołając, "że ma tu środki na wyjście z hańby, w jakiej jest pogrążony.

— Myślałem wtedy — mówił Alosza, że mówi o sercu swem, w którem znajdzie dość sił na podniesienie się, a potem pamiętam, jak mi przyszło na myśl, że brat mój uderza się w pierś nie w tem miejscu, gdzie znajduje się serce, ale znacznie wyżej, zaraz pod szyją. Myśl ta wydała mi się wówczas błahą i niedorzeczną.

Teraz jednak widzę, że nie myślał on o sercu swem, a ukazywał po prostu na

woreczek, wiszący mu na szyi, w którem zaszyte były pieniądze, zapewne owe półtora tysiąca.

— Ależ tak, tak, — zawołał ze swego miejsca Mitia, uderzyłem pięścią w woreczek.

Fediukowicz rzucił się do oskarżonego, zaklinając go, aby się nie mieszał.

Następnie wpił się po prostu pytaniami w Aloszę.

Ten, uderzony również ważnością swego odkrycia, wykazał jasno, że hańba, o której mówił Mitia, polegała zapewne na tem, że, mając na piersi pieniądze, należące do Katarzyny i mogąc je zwrócić, jako połowę swego długu, wolał je jednak zataić, aby je później użyć na uwiezienie Gruszy.

— I pan jest pewien, że brat pański uderzał się tak wysoko powyżej serca? — pytał pożądliwie Fediukowicz.

— Ależ tak, — potwierdził żywo Alosza, — pamiętam doskonale, że mię to nawet dziwiło, że bije się w piersi w tym mianowicie punkcie, a nie niżej, a potem pomyślałem, że niema się nad czem zastanawiać.

Nie rozumiem doprawdy sam, jak mogłem dotąd zapomnieć o tym fakcie.

Oczywiście, wmięszał się tu i prokurator.

Prosił Aloszę, aby zechciał powiedzieć wyraźnie, czy brat jego ukazywał na jakiś punkt, czy też po prostu bił się pięścią w piersi.

— Ależ nie, nie pięścią ale palcem wskazującym, uderzał się w to miejsce, teraz dopiero przypominam to sobie całkiem dokładnie.

Przewodniczący zwrócił sie do oskarżonego, pytając go, czy rzecz miała się tak, jak to brat jego opowiada. Mitia potwierdził to w zupełności, dodając, że uważa to właśnie za największą hańbę swego życia, że, mając przy sobie te pieniądze, oddać ich nie chciał i wcale nie oddał, przez co stawał się złodziejem w oczach Katarzyny Iwanówny.

— Alosza powiedział prawdę, Bóg ci zapłać, Alosza — zakończył zeznanie swoje Mitia.

Zeznanie Aloszy było rzeczywiście nadzwyczaj ważne, dawało ono jedyny materyalny dowód, a przynajmniej nadzieję dowiedzenia istnienia tych półtora tysiąca, zaszytych w woreczku.

Dowodziło to, że oskarżony nie kłamał, utrzymując jeszcze przy pierwszem śledztwie, że pieniądze te miał przy sobie. "Jak mogłem o tem zapomnieć?" — powtarzał sobie wciąż w duchu Alosza.

Przyszła wreszcie kolej na Katarzynę Iwanównę

Za jej wejściem niezwykły ruch zapanował w sali. Kobiety przykładały do oczu lornetki, mężczyźni wstawali z miejsc, aby ją lepiej widzieć. Wszyscy opowiadali później, że, ujrzawszy ją, Mitia zbladł jak chusta.

Katarzyna ubrana była czarno. Zbliżyła się do trybunału skromnie i jakby nieśmiało. Twarz jej nie zdradzała wzruszenia, ale w czarnych jej oczach gorejących posępnym blaskiem, widać było stanowczą decyzyę. Wyglądała przedziwnie pięknie.

Przemówiła cicho, ale wyraźnie, tak, że głos jej słychać było dokładnie w całej sali. Przewodniczący zachowywał się względem niej z dyskretnym szacunkiem, starając się nie potrącać żadnej drażliwej struny.

Ona jednak pierwsza oświadczyła odrazu, że była narzeczoną Dymitra.

— Dopóki mnie sam nie porzucił — dodała cicho.

Gdy spytano ją o trzy tysiące, powierzone przez nią Miti, odpowiedziała, że nie polecała mu wcale, aby je wysłał natychmiast, a dopiero w przeciągu miesiąca.

— Przeczuwałam, że potrzebuje pieniędzy, i napróżno, doprawdy, dręczył się tak bardzo tym długiem.

Byłam zupełnie pewna, — mówiła dalej — że prędzej, czy później, odda mi te trzy tysiące. nie wątpiłam nigdy ani przez chwilę o bezwzględnej jego rzetelności w sprawach pieniężnych. On sam był najmocniej przekonany, że pieniądze te otrzyma od ojca, co mi też często powtarzał.

Nie przypominam sobie, aby rzucał jakie pogróżki przeciw ojcu, przynajmniej nie robił tego nigdy w mojej obecności. Gdyby był przyszedł do mnie, uspokoiłabym go natychmiast co do tych nieszczęsnych trzech tysięcy ,ale wtedy nie bywał już u mnie, a byłam w takiem położeniu, że nie mogłam go pierwsza zawezwać...

Nie miałam zresztą prawa być bardzo dla niego surową, — dodała nagle jakimś wyzywającym tonem — bo w swoim czasie sama pożyczyłam od niego więcej, niż trzy tysiące i nie wahałam się przyjąć, mimo,

że wtedy jeszcze nie przeczuwałam nawet, że będę kiedyś w możności zwrócić mu ten dług.

W tej chwili właśnie przyszła na Fediukowicza kolej zadawania pytań.

— Gdzież się to działo — podchwycił ostrożnie, dorozumiawszy się w mig, że będzie to coś korzystnego dla jego klijenta. — Czy w początkach znajomości pani z Dymitrem Karamazow?

(Tu nadmienić trzeba, że obrońca nie wiedział o tem pierwszem zajściu między Katarzyną a Dymitrem).

Katarzyna opowiedziała wtedy całą rzecz, nie pomijając żadnego szczegółu. Opisała położenie swego ojca, zagrożonego katastrofą, zataiła tylko wspaniałomyślnie to, że Dymitr to sam zaproponował jej siostrze, aby przyszła do jego mieszkania dla otrzymania tych pieniędzy. Przedstawiła tak rzecz, jakoby to ona sama, z własnego popędu, pobiegła do mieszkania młodego oficera w nadziei znalezienia u niego ratunku. Opowiadanie to wywarło potężne wrażenie. Cała sala zamarła w ciszy, łowiąc chciwie każde słowo zeznania. Postępek Katarzyny był czemś bezprzykładnem. Jakto! ta dumna, samowolna dziewczyna nie wahała się, nie wstydziła, złożyć w ofierze cześć swą i wstydliwość, głosząc publicznie taki fakt? Co za ofiara i jakie zaparcie się siebie, to poprostu bohaterstwo... I dla kogóż to? dlaczego? Dla ocalenia człowieka, który zdradził ją i skrzywdził. Dla przyniesienia mu drobnego choćby źdźbła ratunku, dla przysłużenia mu się czemś choćby trochę.

I rzeczywiście, obraz młodego człowieka, oddającego bez wahania ostatnie swoje pieniądze niewinnej dziewczynie i żegnającego ją natychmiast pełnym szacunku ukłonem, było to coś niezmiernie szlachetnego i sympatycznego. Wprawdzie później szeptano do ucha ze złośliwym uśmieszkiem, że opowiadanie to nie musiało być zbyt dokładne, i że bardzo było wątpliwe, aby młody oficer wypuścił od siebie dziewczynę tylko z pełnym szacunku ukłonem. Najlepiej nawet usposobione panie utrzymywały potem, że gdyby nawet opowiadanie Katarzyny zgodne było z prawdą, to i wtedy jeszcze taki postępek był bardzo niewłaściwy i nielicujący z godnością, jaką mieć winna każda uczciwa kobieta. Wszystkie te jednak gadania zaczęły się dopiero później, a pierwsze wrażenie było dodatnie.

Kobieta tak rozumna, jak Katarzyna, przewidywała zapewne z góry, że wyznanie jej wywoła podobne gadaniny, mimo to jednak, decydowała się na nie.

Członkowie sądu wysłuchali jej opowiadania w pełnym czci, i, że tak powiem, wstydliwem milczeniu, prokurator nawet nie pozwolił sobie na żadną uwagę, a Fediukowicz podziękował jej tylko głębokim ukłonem.

Opowiadanie to rzucało zupełnie nowe światło na charakter Dymitra. Człowiek, który z tak szlachetną bezinteresownością oddawał ostatni grosz dla uratowania bliźniego, nie byłby w stanie popełnić ojcobójstwa dla marnej grabieży.

W ciągu opowiadania Katarzyny, Mitia skoczył parę razy z miejsca, jakby chciał coś powiedzieć, ostatecznie jednak opadł na ławkę i siedział bez słowa, ukrywszy twarz w dłoniach. Gdy wreszcie skończyła, zawołał do niej głosem, w którym drżało łkanie.

— Katia! I za coś mnie zgubiła?

Rzekłszy to, zapłakał głośno, a właściwie załkał przez chwilę, poczem opanował się znów i dodał tylko:

— Teraz jestem skazany!

Od tej chwili jakby skostniał na miejscu, siedział nieruchomy, z rękami założonymi na piersiach. Katarzyna usiadła na wskazanem sobie krześle, bardzo blada i jakby osłupiała; ci, którzy siedzieli obok niej, opowiadali później, że przez jakiś czas drżała, jak w febrze.

Teraz przyszła kolej na Gruszę.

Weszła ubrana również czarno, w pluszowym szalu, zarzuconym na ramiona. Postępowała swoim cichym, płynnym krokiem, patrząc prosto przed siebie i nie spuszczając wzroku z przewodniczącego. Wyglądała także bardzo pięknie i wcale nie była blada. Niektórzy utrzymywali, że twarz jej ma wyraz gniewny i zły, w istocie ciężyły jej zwrócone na nią wejrzenia, nawpół ciekawe, nawpół pogardliwe, i drażniło ją specyalne zainteresowanie, jakie budził jej widok w tej żądnej skandalu publiczności. Dumna jej natura nie znosiła pogardy i na samą myśl o tem budziła się w niej gniewna i przekorna chęć odwetu. Mimo to, czuła się jednak onieśmieloną, a jednocześnie wstydziła się tego braku odwagi, co wszystko razem wzięte sprawiło, że odpowiedzi jej były nerwowe, a zachowanie się nierówne.

Chwilami unosiła się gniewem, lub siliła się na rozmyślaną trywialność, to znów w głosie jej dźwięczała rzewna nuta, jakby żalu i skruchy.

Na zapytanie o stosunek jej do Fedora Pawłowicza, odpowiedziała niecierpliwie:

— Głupstwo to wszystko, czy to moja wina, że się we mnie zakochał?

Po chwili jednak dodała:

— Tak, to moja wina, ciągnęłam ich obu do siebie, ot tak, dla śmiechu, i przezemnie to wszystko się stało.

Gdy zaczęto ją badać o Samsonowa, rzuciła się wyzywająco:

— Co komu do tego, jak z nim żyłam? To był mój dobroczyńca, wziął mnie bosą, biedną, wtedy, gdy mnie własna rodzina na bruk wyrzuciła.

Przewodniczący zwrócił jej uwagę, że należy odpowiadać na pytania, poczerwieniała wówczas, a oczy jej błysnęły gniewem.

— Pakietu z trzema tysiącami nie widziałam, — mówiła dalej — chociaż ten zbrodniarz opowiadał mi, że Fedor Pawłowicz przygotował dla mnie ten podarek, ale to głupstwo, nie byłabym nigdy do niego poszła.

— Kogo pani nazywa zbrodniarzem? — pytał prokurator.

— A wiadomo, że służącego Smerdiakowa, tego, który zabił swego pana, a wczoraj się powiesił.

Oczywiście, zażądano od niej dowodów, na których opierała to oskarżenie, okazało się jednak, że dowodów nie miała żadnych.

— Dymitr Fedorowicz mówił mi to i możecie mu wierzyć. Ale ta obłudnica zgubiła go, ona jest przyczyną wszystkiego, ot co!

Mówiąc to, drżała od nienawiści i gniewu.

Zapytano ją, o kim mówi.

— A o niej, o tej jaśnie pannie Katarzynie Iwanownie. Ona wszystkiego narobiła, zaprosiła mnie do siebie, poiła czekoladą, myślała, że mnie oczaruje. Wstydu ona niema, ot co.

Próżno przewodniczący usiłował ją uspokoić, serce zazdrosnej kobiety rozgorzało już gniewem i niktby go nie powstrzymał.

— A przecież w chwili aresztowania oskarżonego wypadła pani z drugiej izby i wszyscy słyszeli, jak wołałaś pani, żeś sama wszystkiemu winna — przypomniał jej prokurator. — Musiała więc pani mieć wtedy przeświadczenie o winie oskarżonego.

— Nie pamiętam ówczesnych moich uczuć — odparła Grusza. — Wszyscy wtedy zakrzyczeli, że on zabił ojca, więc i ja poszłam za innymi i uczułam się winną, ale gdy on sam powiedział mi, że nie jest winien, to mu odrazu uwierzyłam i do śmierci wierzyć mu będę, bo to nie taki człowiek, któryby kłamał.

Gdy przyszła kolej na obrońcę, ten zaczął ją dopytywać o Rakitina.

— A co to dziwnego, że wziął odemnie dwadzieścia pięć rubli — odparła z lekceważącym uśmiechem, — alboż to on raz brał odemnie pieniędze? Nieraz kilkadziesiąt rubli na miesiąc wyciągał odemnie. A wszystko na hulanki, bo jeść miał co i bezemnie.

— Z jakiej przyczyny była pani tak szczodra dla tego młodzieńca?

— Przecież to mój cioteczny brat — objaśniała Grusza, matka, moja i jego były to rodzone siostry. Prosił mnie zawsze i zaklinał, abym to trzymała w sekrecie, tak się mnie już bardzo wstydził.

Niespodziewana ta wiadomość wywołała ogólne zdziwienie. Istotnie, nikt dotąd nie wiedział o tem kuzynostwie Rakitina, nawet mnisi klasztorni, nawet Mitia. W każdym razie fakt ten zniszczył do reszty urok szlachetnych jego wystąpień w sprawie koniecznych reform w społeczeństwie rosyjskiem, wogóle Rakitin został zupełnie pogrzebany w opinii. On sam, słuchając zeznań Gruszy, stał się karmazynowy ze wstydu; Fediukowicz ucieszył się bardzo; była to woda na jego młyn. Zresztą, przesłuchanie Gruszy nie trwało długo i nie przyniosło nic ważnego do znanych dawniej szczegółów. Wogóle osoba jej wywarła niesympatyczne wrażenie na publiczności. Setki pogardliwych spojrzeń ścigały ją, gdy powracała na miejsce. Przez cały ciąg jej przesłuchania Mitia siedział jak skamieniały, spuściwszy oczy w ziemię. Grusza usiadła jaknajdalej od Katarzyny.

Teraz stanął przed trybunałem Iwan Fedorowicz.

Iwan wezwany był już dawniej i składać miał zeznanie wcześniej, niż Alosza. Ale uczuł się nagle chory i poprosił o zwłokę. Teraz jednak oświadczył, że siły mu

powróciły, i że gotów jest odpowiadać na wszystkie zadane sobie pytania. Ukazanie się jego nie wywarło początkowo żadnego wrażenia. Ciekawość publiczności zaspokojona już była widokiem dwóch rywalek, obecnie nastrój był już jakby znużony, nie spodziewano się już usłyszeć nic tak dalece ciekawego. Iwan zbliżył się do trybunału nadzwyczaj powolnym krokiem. Nie patrzył na nic, ani na nikogo i zdawał się myśleć o czemś bardzo głęboko, z oczyma wbitemi w ziemię. Ubrany był bez zarzutu, ale wygląd miał przykry i chorobliwy. W twarzy jego było coś grobowego, niby w twarzy konającego. Oczy miał mętne, a gdy podniósł zwolna powieki i powiódł wzrokiem po otoczeniu, Alosza zerwał się ze swego miejsca i krzyknął nagle "Ach!", co jednak nie zwróciło niczyjej uwagi. Przewodniczący objaśnił go, że jako świadek niezaprzysiężony, może mówić to tylko, co sam uzna za stosowne, wolno mu też nie odpowiadać na niektóre pytania. Iwan słuchał tego wszystkiego, patrząc przed siebie mętnym wzrokiem, stopniowo jednak twarz jego zaczynała się rozjaśniać dziwnym jakimś uśmiechem, a gdy zdziwiony sędzia przestał wreszcie mówić, rozśmiał się na głos, a potem spytał:

— No! i cóż tam jeszcze?

W sali ucichło nagle, wyczuwano już coś niezwykłego, przewodniczący zmieszał się.

— Może pan jeszcze nie czujesz się całkiem dobrze? — pytał, szukając oczyma woźnego.

— Niech pan będzie bez obawy, panie prezesie — odparł Iwan, tonem bardzo spokojnym i uprzejmym. — Jestem już zupełnie zdrów i mogę opowiedzieć państwu coś badzo ciekawego.

— Czy w samej rzeczy chce pan nam udzielić jakiejś nowej informacyi? — pytał sedzia niedowierzająco.

Iwan Fedorowicz zdawał się namyślać, po kilku sekundach podniósł głowę i rzekł, jąkając się:

— Nie... nie mam... nic do powiedzenia.

Zaczęto mu zadawać pytania. Iwan odpowiadał na nie niechętnie i jakby z coraz wzrastającym wstrętem. Mimo to, odpowiedzi jego były całkiem logiczne i nie zdradzały wcale umysłowego rozstroju. W wielu wypadkach tłómaczył się nieświadomością, nie znał np. zupełnie rachunków ojca z Dymitrem i nigdy się tem nie zajmował, o kopercie, zawierającej trzy tysiące, słyszał od Smerdiakowa.

—W każdym razie nie powiem wam nic nowego — dodał po chwili znużonym głosem.

— Rozumiem zupełnie pańskie położenie, — odparł przewodniczący ze współczuciem, — a potem zdaje mi się, że pan się jeszcze czujesz niedobrze.

Rzekłszy to, zwrócił się do strony, tj. do prokuratora i obrońcy, zapytując ich, czy uważają za stosowne prowadzenie dalszego badania, ale wtedy sam Iwan rzekł prosząco:

— Pozwólcie mi, panowie, odejść, czuję się bardzo słaby.

I, nie czekając na odpowiedź, zawrócił się i odszedł, ale wkrótce zatrzymał się znów, nie przeszedłszy nawet czterech kroków, uśmiechnął się cicho, i, jakgdyby obmyśliwszy coś, powrócił na dawne miejsce.

— Prześwietny sądzie! Jestem teraz, jak ta chłopska dziewka, którą wieść mają do ślubu i chodzą za nią z wiankiem, a ona odpowiada: "Zechcę — wskoczę, nie zechcę — nie wskoczę."

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — spytał surowo przewodniczący.

— A ot! — rzekł Iwan Fedorowicz, wydobywając z zanadrza paczkę banknotów, oto pieniądze, z powodu których zamordowano mego ojca, te same, które były w tej kopercie, — dodał, kładąc je na stół, na którym zgromadzono wszystkie przedmioty, stanowiące materyał dowodowy .— Panie sędzio, proszę je wziąć, gdzie je mam złożyć?

Sedzia wziął paczkę i podał ją przewodniczącemu.

— Jakim sposobem pieniądze te znalazły się w pańskiem ręku? Jeżeli to wogóle te same? — pytał ze zdziwieniem przewodniczący.

— Otrzymałem je od Smerdiakowa, mordercy, na parę chwil przed jego samobójstwem. To on zabił mego ojca, a nie brat, a ja go do tego doprowadziłem. I któż nie pragnie śmierci ojca?

— Czy pan jest przy zdrowych zmysłach? — wyrwało się mimowoli przewodniczącemu.

— A właśnie, że przy zdrowych, tak zupełnie, jak pan, jak wszystkie te mordy

dokoła, — dodał, odwracając się i wskazując na publiczność. — Wszyscy pozabijali ojców, a przyznać się boją. bo się lękają, — zgrzytnął z bezbrzeżną pogardą. — Tają się jeden przed drugim, kłamcy, bezwstydniki, wszyscy pragną śmierci swoich ojców.

"Niech się źrą gady", gdyby się okazało, że tu niema ojcobójstwa, wpadliby w gniew i rozeszliby się wściekli. Widowiska im trzeba, chleba i widowiska, a i ja nie lepszy. Chryste panie! czy nie macie tu wody, dajcie mi się napić. — Tu chwycił się obu rękami za głowę.

Woźny przyskoczył do niego, Alosza również.

— Nie wierzcie temu, — wołał Alosza, on chory, w malignie, on bredzi.

Katarzyna Iwanówna, unieruchomiona przerażeniem, powstała i popatrzyła na Iwana. Dymitr zerwał się także, usta jego skrzywiły się jakimś dzikim uśmiechem, nasłuchiwał pilnie co brat mówi.

— Uspokójcie sie, nie jestem waryatem, tylko zabójcą, — zaczął znów Iwan. — Od mordercy nie można wymagać, aby był krasomówcą,—dodał nagle, śmiejąc się szyderczo.

Prokurator bardzo widocznie poruszony, pochylił się do przewodniczącego, Fediukowicz stał się cały słuchem, sala zamarła w oczekiwaniu, wreszcie przewodniczący opamiętał się.

— Zeznania pańskie są niejasne, — rzekł do Iwana, staraj się pan opanować i opowiedzieć dokładnie, jeśli masz pan istotnie coś do powiedzenia. Czy masz pan jakie dowody na poparcie słów swoich?

— A właśnie, że nie mam. Ten pies Smerdiakow nie wróci z tamtego świata, aby świadczyć za mną. Dowodów wam trzeba? czy drugą jeszcze paczkę pieniędzy? jedna wam nie wystarcza? Nie, nie mam żadnych dowodów, ani świadków, z wyjątkiem wprawdzie jednego — dodał, uśmiechając się z zamyśleniem.

— Któż to jest? — pytał sędzia.

— A! taki sobie jegomość, z ogonem i z rogami. Nieprawdziwy? co? "Le diable n'existe point". Taki, powiadam wam, podły, marny czart, — dodał, przestając się nagle śmiechać i przybierając ton poufny. Musi tu być, pewnością, gdzieś ukryty, ot, choćby tam, pod tym stołem z dowodami, gdzież by był, jak nie tam? Widzicie ja mu powiedziałem stanowczo, że milczeć nie będę, a on zaczął ze mną o okresach geologicznych. No! wypuścił na wolność brata mego, to zwierz, ale hymn zaintonuje, bo jemu lekko na duszy. O! za dwie sekundy radości, oddałbym kwadryliony kwadrylionów. Czy to rozumiecie? Jakie to wszystko głupie! Czemuż mnie nie bierzecie, zamiast brata mego? po to przecie przyszedłem.

I cóż mi szkodzi, że pijana kanalia zawyje chórem. "Oj, pojechał Wańko w Piter". Och, jakie to wszystko u was głupie, — dodał, odwracając się powoli i patrząc uważnie na publiczność.

Ale w sali już zakotłowało. Alosza rzucił się na brata, przedtem jednak woźny uchwycił go silnie za ramię.

— A to co znowu? — krzykął Iwan, patrząc groźnie w oczy woźnemu, potem rzucił go o ziemię z niezmierną siłą. W tej chwili podbiegła straż i wyprowadziła szaleńca, który wydawał wciąż dzikie okrzyki i mówił coś bez związku.

Podniosła się wrzawa. Przewodniczący zgromił surowo prystawa, który wprowadził Iwana i miał go na oku, zanim ten wszedł do sali. Prystaw usprawiedliwiał się, że świadek zachowywał się przedtem zupełnie spokojnie, i że lekarz nawet uznał go za zdolnego do składania zeznań. Zaledwie się to wszystko uspokoiło, zaszła nowa scena. Oto Katarzyna Iwanówna dostała ataku nerwowego i oświadczyła, wśród głośnych łkań, że nie da się wyprowadzić, bo ma do złożenia jedno jeszcze ważne zeznanie.

— Czuję się w obowiązku złożyć tu jeszcze jedno zeznanie, koniecznie, koniecznie. Oto list, proszę, przeczytajcie go panowie, tylko zaraz! zaraz! To list od niego, od niego! — mówiąc to, ukazywała na Mitię. — To on zabił ojca, obaczycie i zaraz obaczycie, przekonacie się. Pisze tu do mnie, że zabije ojca i jak go zabije. A tamten chory, w szaleństwie mówił, w malignie, od trzech dni już widzę, że on jest w malignie.

Wykrzykiwała tak na cały głos, wychodząc prawie z siebie. Sędzia wziął z jej rąk list i podał go przewodniczącemu; list był pisany przez Mitię, po pijanemu, ten sam, który Iwan nazywał ściśle matematycznym dokumentem. Za taki też przyjął go sąd i gdyby nie ów nieszczęśny dokument, Mitia nie byłby tak doszczętnie zgubiony. Katarzyna zakryła oczy rękami i łkała cicho, powstrzymując się, o ile moż-

ności, z obawy, aby nie wyprowadzono jej z sali.

Po odczytaniu listu, przewodniczący zwrócił się do niej z pytaniem, czy uspokoiła się już o tyle, aby udzielić mogła jeszcze parę objaśnień.

— Gotowa jestem! zupełnie gotowa — zawołała żywo, pragnąc widocznie gorąco, aby pozwolono jej mówić.

Zapytano ją, w jakich okolicznościach otrzymała ów list.

— Napisał do mnie na dwa dni przed popełnieniem morderstwa, z restauracyi, patrzcie panowie, pisał do mnie na jakimś rachunku restauracyjnym — wołała, unosząc się coraz bardziej — nienawidził mnie już wówczas za to, że się sam spodlił, idąc za tą ladacznicą, i za to, że winien był mi te trzy tysiące. Wstydził się tych tysięcy, wstydził się podłości swojej, a to tak: Przyszedł raz do mnie z rana, a ja wiedziałam już, że potrzebuje pieniędzy i wiedziałam na co, wiedziałam, że chce kupić sobie miłość tej kobiety i wywieźć ją za moje pieniądze. Wiedziałam już, że zdradza mnie, i że chce mnie porzucić i umyślnie dałam mu te trzy tysiące, patrzyłam mu prosto w oczy, mówiąc, że nie potrzebuje wysyłać ich zaraz do Moskwy, ale może to zrobić nawet po upływie miesiąca. Zrozumiał doskonale o co mi chodzi, i że to miało znaczyć: Potrzeba ci pieniędzy, żeby mnie zdradzić z tą nędznicą, masz je, masz, te pieniądze, sama ci je daję, weź je, jeżeli masz czoło. Chciałam go wypróbować i cóż? wziął je, wziął i zabrał z sobą i stracił je przez jedną noc z tą kobietą, a wiedział, rozumiał, co robi, i że wiem o wszystkiem. Upewniam was panowie, że rozumiał wybornie, że dając mu te pieniądze, myślę w duszy: Czyż będzie on tak nikczemny, żeby je wziąść? patrzyłam mu w oczy i on patrzył w moje i rozumiał, a jednak przyjął, jednak wziął te pieniądze.

— Prawda Katiu! prawda, — jęknął Dymitr. — Rozumiałem wybornie, że shańbić mnie chcesz tymi pieniędzmi, a jednak przyjąłem je. Pogardzaj więc teraz pogardzaj nikczemnikiem, zasłużyłem na to.

— Jeżeli oskarżony powie choć jedno jeszcze słowo, każę go wyprowadzić — zagroził przewodniczący.

— Myśl o tych pieniądzach dręczyła go, — mówiła dalej Katia, z gorączkowym pośpiechem, — prawda, że mi je chciał zwrócić, ale potrzebował ich jednocześnie dla swojej kochanki. Więc, zabiwszy ojca, pieniędzy mi nie oddał, tylko pojechał z nią na hulankę i tam go chwycili. Przehulał znów pieniądze, które ukradł zabitemu. A na dzień przed zabójstwem napisał do mnie ten list, po pijanemu, prawda, ale napisał go z nienawiści do mnie, wiedząc, że go nikomu nie pokażę, że mścić się nie zechcę i listu nie pokażę, choćby ojca zabił. A przeczytajcież panowie, przeczytajcie list, tylko uważnie, a obaczycie, jak on tam wszystko dokładnie opisuje, kiedy i jak zabije i gdzie pieniądze leżą. Zauważcie tylko panowie, starajcie się nie przeoczyć, jest tam jedno takie zdanie. "Zabiję skoro tylko Iwan odjedzie". To znaczy, że on z góry już obmyślił, jak ojca zabije, wszystko było z góry uplanowane, wszystko, — podsuwała te myśli sędziom z jakąś złą zaciętością. Widać było, że wczytała się do głębi w ten list fatalny, i zbadała go do gruntu.

Wypowiadała to wszystko, nie bacząc na następstwa, choć, oczywiście, przewidywała je. Być może, przed miesiącem już przychodziło jej na myśl, aby list w sądzie przeczytać, ale wahała się do ostatniej chwili, teraz leciała jak w otchłań, paląc za sobą mosty. List, odczytany głośno przez sekretarza, wywarł wstrząsające wrażenie.

Przewodniczący zapytał Miti, czy uznaje ten list zaswój.

— Ja go pisałem, ja — zawołał Mitia. — Nie napisałbym go, gdybym nie był pijany. O! Katiu! Katiu! Jakże my się strasznie nienawidzimy, tylko, że ja kochałem cię nawet poprzez nienawiść, ty mnie zaś nigdy.

Mitia umilkł, załamując rozpaczliwie ręce. Prokurator i obrońca zadawali Katarzynie szereg krzyżujących się pytań, co mianowicie skłonić ją mogło do zatajenia aż dotąd tak ważnego dokumentu i dlaczego zeznawała najpierw w zupełnie innym duchu?

— Kłamałam! tak, kłamałam przeciw prawdzie i sumieniu, przeciw czci własnej! bo chciałam go ocalić, właśnie dlatego — krzyczała Katarzyna, blizka, zda się, szaleństwa. — Lekceważył mnie zawsze, pogardzał mną od początku, od pierwszej chwili, gdym poszła do niego, prosząc o pieniądze. Patrzył wciąż na mnie tak, jakby mi chciał powiedzieć, a przecież tyś pier-

wsza do mnie przyszła. Nie rozumiał mnie wówczas, nie pojął, on nie jest w stanie zrozumieć nic szlachetnego, sądzi o wszystkiem według siebie, według własnych niskich wyobrażeń. Chciał się ze mną ożenić tylko dlatego, że otrzymałam spadek, tylko dlatego, a przytem, miał zamiar poniewierać mną przez całe życie, wiedząc, że ja przez całe życie rumienić się będę ze wstydu i drżeć przed nim z powodu tej pierwszej mojej wycieczki. Chciałam zwyciężyć go miłością moją bez granic, chciałam mu wszystko przebaczyć ,nawet zdradę jego, chciałam do ostatka tegoż dnia jeszcze, gdy mi przyniesiono ów list (to było wieczorem), z rana jeszcze chciałam mu wszystko darować.

Prokurator i przewodniczący uspokajali ją, jak mogli, byli prawie zażenowani koniecznością wysłuchiwania takich wynętrzeń. Mimo to, nie wahali się wydobywać od oszalałej kobiety potrzebnych sobie zeznań. Opowiedziała im w najwyższem podnieceniu, jak bardzo Iwan cierpiał nad śmiercią ojca i jak gorąco pragnął ocalić brata.

— Dręczył się sam — wołała — zmniejszyć chciał winę brata i dlatego mówił o tem, że sam nie lubił ojca, i że pragnął jego śmierci. Och! to głęboka natura! to sumienie podrażnione; zamęczał się tą drażliwością. Wszystko mi wyznał, wszystko! przychodził do mnie codzień i nie miał przedemną tajemnicy, jak przed jedyną swą przyjaciółką — krzyknęła z mocą, a oczy jej błysnęły wyzywająco — chodził dwa razy do Smerdiakowa (bo tu puścili tę bajkę, że to Smerdiakow zabił) i wtedy począł robić sobie wyrzuty, sądząc, że jeżeli tak, to i on winien, ponieważ wyrażał się nieprzychylnie o swym ojcu w obecności Smerdiakowa. Wtedy pokazałam mu ten list, dowodzący ,że brat jego jest ojcobójcą i z tego powodu zachorował, zaczął bredzić, miewał chwile nieprzytomne. Widziano go tak na ulicy, a także i u mnie, i to wszystko przez tamtego, przez tamtego potwora. — Były to wyznania, które się robi chyba raz tylko w życiu, na łożu śmierci, lub wstępując na rusztowanie. Ale postępowanie takie było właśnie w jej stylu. Był to ten sam impetyczny poryw, który pchnął ją niegdyś w objęcia rozpustnego młodzika, dla uratowania ojca, ten sam, co ją zniewolił do poświęcenia dziewiczego wstydu, przez obnażenie wobec sędziów i publiczności najtajniejszych szczegółów stosunku swego z niewiernym narzeczonym. Poświęciła się dla Miti, jak wpierw dla ojca, a teraz postanowiła poświęcić się jeszcze dla Iwana, który, jak się jej zdawało, gubił się swojem wyznaniem. Była to zawsze ta sama Katia, niepowściągliwa i namiętna, a przytem, mimo tych wszystkich sprzeczności, robiła wszystko w dobrej wierze. Nie kłamała, twierdząc, że Mitia pogardzał nią zawsze, wierzyła bowiem w to sama, a miłość jej dla niego była pewnego rodzaju zemstą. Ta mściwa miłość byłaby się może z czasem zmieniła na inną, prawdziwą, ale Mitia zdradził ją, obraził do głębi i duma jej nie przebaczyła mu tego. Występując w obronie Iwana, uczuła po raz pierwszy może, jak bardzo człowiek ten jest jej drogim i zapragnęła poświęcić się dla niego. To wszystko razem doprowadziło ją do wybuchu, którym gubiła nietylko Mitię, ale i siebie. To też gdy chwilowe jej podniecenie minęło, zrozumiała co się stało, uczuła dławiący wstyd. Pod wpływem tego dostała ataku i upadła, jęcząc i łkając spazmatycznie. Pośpieszono jej z pomocą i wyniesiono z sali.

Tymczasem Grusza rzuciła się znów ku Miti, zanim ją zdołano zatrzymać i cała drżąca z gniewu, krzyknęła głośno:

— Zgubiła cię ta gadzina! Mitia. Macie ją teraz! widzicie, jaka jest! — wołała do sędziów. Wyprowadzono ją także z sali, mimo jej oporu.

W każdym razie żądne sensacyi damy były całkowicie zadowolone, łaknąca ich wyobraźnia otrzymała dziś bardzo obfity żer; usposobienie publiczności znajdowało się też w stanie wysokiego napięcia i wszyscy oczekiwali z niecierpliwością ostatecznego rozwiązania. Fediukowicz był widocznie zgubiony wynikiem ponownych zeznań Katarzyny Iwanównej, za to prokurator tryumfował. Po kilku jeszcze, mniej ważnych, zeznaniach i po przesłuchaniu doktora z Moskwy, który stwierdził stanowczo, że Iwan Fedorowicz był obłąkanyny — nastąpiła godzinna przerwa. Wreszcie, około godziny ósmej wieczór, prokurator rozpoczął swoją mowę.

Hipolit Kiryłowicz przygotował był już dawno swoje przemówienie, mimo to, rozpoczynając je, był niesłychanie wzruszony. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło, a zimne dreszcze wstrząsały nim nieustannie. Ale bo też uważał on to wystąpienie swoje

jako arcydzieło nad arcydzieła, jako swój łabędzi śpiew, jakim się też stało rzeczywiście, bo w kilka miesięcy potem umarł na galopujące suchoty. Mowa też jego wywarła głębokie wrażenie, nawet na przeciwnikach. Trzeba tu zaznaczyć, że, wypowiadając ją, prokurator nie spełniał tylko oficyalnego obowiązku, ale wierzył najmocniej sam w słuszność swojej sprawy. O winie Dymitra był przekonany, a oskarżając go poruszył rozmaite palące kwestye, ważne, zdaniem jego, dla kraju i społeczeństwa.

"Panowie! — zaczął, — sprawa, która się tu obecnie rozgrywa, nabrała olbrzymiego rozgłosu w całej Rosyi. I skądże to pochodzi? Wszakże w zawodzie naszym podobne rzeczy są czemś tak powszedniem, że w końcu wrażliwość nasza tępieje i staje się obojętna na objawy najbardziej potworne. Ależ panowie, w tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo, w tem nieszczęście nasze, że objawy te stały się u nas tak pospolite, że nie budzą nawet niczyjego zdziwienia. Każdy, kto się poczuwa do obowiązków obywatelskich, zastanowić się powinien nad tą raną palącą, która tak się już wżarła w istotę naszego organizmu, że walczyć z nią prawie niepodobna.

I jakież to fakta notuje codziennie prawie prasa nasza? Tu młody, świetny oficer, należący do wyższych sfer towarzyskich, morduje nikczemnie i podstępnie skromnego urzędnika, od którego wydobyć chce swój weksel, a w dodatku mimochodem, zabija także jego służącą i grabi jego mienie. Schwytany, nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia i twierdzi, że zrobić to musiał dla karyery swej i przyszłości.

Tu inny młody wojskowy, ozdobiony nawet krzyżami za waleczność, zabija na gościńcu, jak prosty zbój, matkę generała swego i dobroczyńcy, a zbierając szajkę do tego morderstwa, zachęca ich obietnicą, że staruszka strzedz się ich nie będzie, bo kocha go jak syna i ma do niego zupełne zaufanie.

Takie to zdarzenia są dziś w Rosyi na porządku dziennym. A pomyślcie tylko, panowie, ilu młodych ludzi popełnia u nas teraz samobójstwa i to bez żadnych hamletowskich rozstrząsań co będzie tam, za grobem; kwestya ta, kwesta życia duchowego, dawno już pogrzebana została w ich umyśle, pogrzebana i zasypana pyłem zapomnienia.

Zważcie przytem, panowie, jaka u nas panuje obyczajność. Ilu rozpustników mamy wśród siebie! — Nierzadko spotykamy okazy, wobec których nieszczęsna ofiara dzisiejszego procesu, zamordowany Fedor Pawłowicz, uchodzić może za niewiniątko. A przecież wszyscy wiemy jakim był. Żył przecie wśród nas. O tak! Psychologia zbrodni rosyjskiej zajmie kiedyś pokaźne miejsce w kryminilistyce europejskiej zainteresują się nią niezawodnie wszelkie pierwszorzędne umysły, nasze i obce, bo, zaiste, przedmiot wart zachodu. Jeden z naszych znakomitych pisarzów, porównywując Rosyę do rozpędzonej w galopie trójki, woła w zachwycie: "O trójko! ptaku lotny i któż cię wymarzył". Przytem uniesiony pychą, dodaje, że przed tą rozpędzoną trójką ustępują z powolnym szacunkiem wszystkie inne narody.

Być może, być może, panowie, że ustępują z szacunkiem, czy od szacunku, ale, na mój skromny rozum, poważę się wyrazić przypuszczenie, że artysta puścił wodze fantazyi, czy może po prostu bał się cenzury. (Mowa tu o Gogolu).

Bo jeżeli owa rozbiegana trójka wieziona być ma przez takie rumaki, jak bohaterowie jego powieści, Sobakiewicz, Nozdrew, Czirikow, to, zaprawdę, niedaleko zajedzie, choćby miała nie wiem jakiego woźnicę.—

Tu mowa prokuratora przerwana została oklaskami. Liberalny pogląd na wielkość Rosyi, podobał się niektórym. Oklaskujący byli wprawdzie nieliczni, tak, że przewodniczący nie zadał sobie nawet trudu rzucenia zwykłej groźby o opróżnieniu sali i spojrzał tylko z niesmakiem w ich stronę, ale prokurator był podniesiony moralnie, nigdy dotąd nie oklaskiwano go. Mówił też dalej, z coraz to większą pewnością siebie.

— Przypatrzymy się teraz tej rodzinie Karamazowych, która smutnym rozgłosem dała się dziś poznać całej Rosyi, nie będzie to może przesadą, gdy powiem, że w historyi jej odzwierciadlają się dzieje całej prawie współczesnej rosyjskiej inteligencyi, w miniaturze, oczywiście, jak słońce w kropli wody.

Weźmy więc najpierw pod uwagę ojca tej nieszczęsnej rodziny, rozwiązłego, cynicznego starca, któremu los tak smutny zgotował koniec. Za młodu biedny szlachetka,

wieszający się przy cudzych klamkach, zdobywa sobie spory kapitalik niespodzianym ożenkiem, a obdarzony niezaprzeczonemi zdolnościami, powiększa swoje mienie. Porosły w pierze, nabiera śmiałości, z pieczeniarza i błazna staje się cynikiem, a przedewszystkiem lichwiarzem. Zanikają w nim zwolna wszelkie duchowe pierwiastki, a żądza życia i użycia staje się jego hasłem.

W tym duchu też oddziaływa na dzieci; szydzi z nich, zaniedbuje, zostawiając na łasce służby, w końcu zapomina prawie o ich istnieniu; najchętniej też odstępuje ich obcym, skoro się sposobność nadarzy. Sam nie poczuwa się do żadnych społecznych ani obywatelskich obowiązków. Odgrodzony od społeczeństwa, żyje tylko dla siebie.

"Niech świat cały cierpi, byle mnie było dobrze", a dobrem, jest dla niego jedynie rozpusta i używanie. Odziera własnego syna z należnego mu po matce dziedzictwa i za jego własne pieniądze odbiją mu kochankę.

Wyręczę tu uczonego mego kolegę z Petersburga, który tak umiejętnie prowadzi obronę oskarżonego i sam przyznam, że wiem i rozumiem, ile goryczy nagromadzić się mogło w sercu syna, względem takiego ojca. Zostawimy zresztą w spokoju nieszczęśliwego starca, który poniósł już karę za swoje winy. Widzimy przecież, że to typ współczesny, jeden z licznych u nas nowożytnych ojców. Nie wszyscy, zapewne, są tak cyniczni, brutalni, tak źle wychowani, ale na ogół filozofia ich jest ta sama, co zamordowanego. Jakimiż mogły być dzieci tego człowieka? tego ojca? Jeden, jak widzimy, siedzi na ławie oskarżonych. Drugi, młodzieniec błyszczący inteligencyą i nauką (znacie go wszyscy), ale odrzucił już wszelką wiarę, pogrzebał wszelkie ideały, zupełnie jak ojciec jego, przekonań swych nie ukrywał, głosił je jawnie, dlatego też pozwalamy to sobie mówić o nim, nie jako o jednostce, lecz jako o człowieku rodziny Karamazowych.

Tu prokurator zaznaczył destrukcyjny wpływ poglądów Iwana na otoczenie, czego dowodem miało być samobójstwo Smerdiakowa, który, zdaniem jego, wpadł w obłąkanie, dzięki teoryom zasłyszanym z ust młodego Karamazowa. Nie przypuszczał, ani na chwilę, aby Smerdiakow miał być mordercą, natomiast przytoczył z naciskiem spostrzeżenie zmarłego epileptyka, który miał utrzymywać w śledztwie, że Iwan Fedorowicz jest najpodobniejszy do ojca ze wszystkich synów Fedora Pawłowicza.

Niektórzy twierdzili potem, że prokurator mścił się w ten sposób na Iwanie za to, że ścierając się z nim kilka razy w towarzyskich dysputach, wychodził z nich zawsze pokonany, być może jednak, że było to szczere przekonanie. W każdym razie, wystąpienie to jego przeciw Iwanowi uznane zostało za wysoce niedelikatne.

Z kolei przeszedł Hipolit Kiryłowicz do charakterystyki Aloszy.

— Najmłodszy syn tej rodziny — mówił — to jeszcze młodzieniec, prawie chłopię słodkie i cnotliwe. I cóż czynić ma nieszczęsny? W przeciwieństwie do ponurego świato-poglądu starszego brata, wpada on w drugą ostateczność; rzuca się, jak wielu zresztą u nas, w objęcia, tak zwanych rodzinnych pierwiastków. Z tego powodu przylgnął z początku całem sercem do życia zakonnego i omal sam nie został mnichem. W nim odbił się bezświadomie może ów prąd tak rozpowszechniony dziś wśród pewnej części naszej inteligencyi, który zupełnie mylnie zresztą przypisuje wszystko złe, jakie się u nas dzisiaj dzieje zgubnemu wpływowi europejskiej cywilizacyi. Ludzie ci, przejęci jakiemś chorobliwem zalęknieniem, rzucają się rozpaczliwie na macierzyste łono rodzinnej ziemi i szukają tam zapomnienia, zamykając oczy na wszystko, jak niemowlęta, pragnące usnąć przynajmniej przy wyschłej piersi matczynej, która już ich wyżywić nie zdoła. Stąd, moi panowie, wyradzają się u nas dwa dziwnie szkodliwe pojęcia, mroczny mistycyzm zamiast wiary, a w miejsce uczuć obywatelskich tępy szowinizm.

Wyrazy "szowinizm" i "mistycyzm", wywołały oklaski, a prokurator, unosząc się coraz bardziej, odbiegał coraz dalej od przedmiotu, gubiąc się w swych ogólnych spostrzeżeniach.

Wreszcie jednak powrócił pośrednio do procesu i zajął się komentowaniem psychologii Dymitra.

Ten trzeci, panowie, ten trzeci syn, siedzący obecnie na ławie oskarżonych, kto wie, czy nie jest przedstawicielem Rosyi, pośredniej Rosyi, że tak rzeknę, normalnej. My, przeciętni Rosyanie, umiemy, jak nikt inny, pomieszać i zjednoczyć w sobie

pierwiastki i dobra i zła. Potrafimy przejąć się cywilizacyą i zachwycać poezyą, robiąc jednocześnie awantury w restauracyach i szynkach.

Umiemy zachwycać się ideałami i ideami, byleby dążenie do nich nic nas nie kosztowało, byleśmy niczem nie musieli za nie płacić.

My strasznie nie lubimy płacić, ale za to brać lubimy wszystko i wszystkim. Nie jesteśmy chciwi, ani skąpi, dajcie nam złota, i to wiele, wiele złota, a obaczycie z jaką wielkoduszną pogardą potrafimy je rozrzucić i wydać przez jedną noc rozpasanej hulanki.

Ale spróbójcie nie dać, a obaczycie, jakich sposobów chwycimy się dla zdobycia tego złota.

Tu prokurator opisał treściwie dzieciństwo i młodość Dymitra, nie szczędząc wyrazów sympatyi i współczucia dla osierocenia i zaniedbania, wśród jakich upłynęły pierwsze jego lata. Potem zastanowił się nad sprzecznością, zachodzącą pomiędzy dwoma zeznaniami Katarzyny Iwanówny.

— W zwykłych warunkach, usłyszawszy o jednej i tej samej rzeczy dwa sprzeczne twierdzenia, chwytamy się drogi pośredniej. Tu postąpić musimy inaczej. Wierzcie mi, panowie, że w obu wypadkach, charakterystyka podsądnego była zupełnie dokładna. Zdolny on był jednocześnie do najwyższej szlachetności i najmarniejszej podłości. A dlaczego? Szeroka nasza rosyjska natura potrafi przecie objąć wszystko, zjednoczyć w sobie najodległejsze ochłanie i bezmiar nadgwiezdny i bezdenną głębię upadku, stać nas przecie na to, szeroką mamy naturę, jak ta ziemia, na której żyjemy, jak matuszka nasza, Rosya. A teraz zastanówmy się nad kwestyą owych trzech tysięcy. — Prokurator nie wierzył stanowczo, aby Dymitr był w stanie nosić przy sobie połowę tej kwoty i nie naruszyć jej.

Prokurator wykazał jasno, jak na dłogi, że charakter tak nieskończenie słaby, jak Dymitra, nie byłby w stanie oprzeć się pokusie, mając przy sobie tak znaczną kwotę i naruszyłby ją przy pierwszej sposobności, dla pozyskania względów nowej kochanki. "Gdyby nawet w istocie zaszył był te pieniądze w woreczku, to niezawodnie wyprułby wkrótce najpierw jedną setkę, potem drugą i tak dalej, aż do ostatniej, pocieszając się wciąż myślą, że wyda tylko tę jedną, a resztę odniesie, nie będzie zatem złodziejem. Takby postąpił prawdziwy Karamazow." Dalej, wspominając o lekarskiej ekspertyzie, Hipolit Kiryłowicz twierdził, zgodnie ze zdaniem najmłodszego z lekarzy, że oskarżony miał umysł zupełnie normalny. "Ależ, oczywiście, panowie, niema tu mowy o żadnej chorobie, prócz zazdrości, spowodowanej namiętnością. Oskarżony sam opowiadał, że udał się po raz pierwszy do Agrafii Aleksandrówny po to tylko, aby ją zbić. Zamiast tego jednak, pozostał u jej stóp, oczarowany i rozkochany. Fatalność chciała, że tych samych uczuć doznał jednocześnie Fedor Pawłowicz. Starzec ten, dla którego pieniądz był zawsze bóstwem, użył natychmiast złota, jako środka, prowadzącego do celu i przyrzekł swojej wybranej trzy tysiące." Tu prokurator przeszedł do charaktetystyki Gruszy, opierając się pod tym względem głównie na objaśnieniach Rakitina. "Utalentowany młodzieniec, związany stosunkami znajomości z ludźmi, wplątanymi w ten dramat, użył go za temat do rozprawy, w której wyraża się w ten sposób o kobiecie, która wzbudziła taką namiętność w obwinionym: "Rozczarowana w zaraniu życia, opuszczona i zdradzona przez człowieka, którego kochała pierwszem uczuciem, zagłuszyła w sobie lepsze porywy serca. Charakter jej zgorzkniał, stała się chciwą i interesowną, a nagromadziwszy w sobie całe zapasy gniewu i pogardy względem społeczności, nauczyła się szydzić z ludzi i igrać z miłością. Wobec tego, bawiła ją rywalizacya syna z ojcem i rozmyślnie podsycała w nich zazdrość. Cóż więc dziwnego, że młody i zakochany w niej Karamazow odchodził prawie od zmysłów i szalał z zazdrości? W ten sposób powstała w nim myśl ojcobójstwa, a trzy tysiące, które uważał za należne sobie, stały się jego manią. To całe postępowanie oskarżonego jest niezmiernie charakterystyczne, czysto rosyjskie. Chodzi po restauracyach, krzyczy i zwierza się obcym ludziom z uczuć swych i zamiarów. To zupełnie po naszemu. Lubimy udzielać się i potrzebujemy, żeby nas natychmiast obdarzano sympatyą, jeżeli zaś nie spotyka nas spodziewanie współczucie, zaczynamy robić awantury, przewracamy do góry nogami wszystko dokoła siebie i szukamy zwady. (Tu opisał scenę wyrzucenia z restauracyi Śniegirowa). Słyszeliście go, panowie, widzicie więc sami, jak dalece wszy-

stko było obmyślane. "Zabiję, skoro tylko Iwan odjedzie" — pisze wyraźnie. A zabić chce dla zdobycia trzech tysięcy, które uważa za swoją własność, a które, przez dziwną ironię losu, posłużyć mają starcowi do przekupienia jego ukochanej. Trudno się prawie dziwić, że fakt ten wyprowadza go z równowagi.

"Przyznaję — mówił dalej prokurator, — że oskarżony długo próbował uniknąć ostateczności i starał się dostać owe trzy tysiące z innego źródła. Zwrócił się np. do czcigodnej, powszechnie tu poważanej pani Chachłakow, która udzieliła mu najrozsądniejszej w świecie rady, aby porzucił cały ten bezrząd i udał się na Sybir do kopalni złota. Wiemy, jak rozdrażniony szaleniec przyjął tę zbawienną wskazówkę i jak prosto stamtąd pobiegł do mieszkania Agrafii Aleksandrównej, gdzie zastraszona służąca zataiła przed nim prawdę. Gdyby mu była powiedziała otwarcie, że pani jej pojechała do pierwszego swego kochanka, prawdopodobnie nie byłoby morderstwa — wobec jednak podejrzenia, że pani ta znajduje się u jego ojca, nieszczęsny chwyta pierwszy lepszy przedmiot, jaki mu pod rękę wpadł (w tym wypadku był to mosiężny tłuczek) i leci mścić się." — Tu prokurator zaczął długo i uczenie dowodzić, że tłuczek mógł być morderczem narzędziem, i że był nim w istocie, czego już śledztwo dowiodło. "Tak więc, panowie, widzimy go w ojcowskim ogrodzie pod oknem. Noc i cisza, obaj słudzy chorzy — zatem wolne pole działania.

"Dokoła noc, cisza, brak zupełny świadków, a w sercu szalejąca burza zazdrości i szarpiących podejrzeń. Nie podejrzeń już nawet, a faktów, bo oskarżony przekonany był wówczas ,że kochanka jego znajduje się tam, w tym oświeconym pokoju, za parawanem .

"Czy byłby kto w stanie, w takim położeniu, zajrzeć dyskretnie przez okno, a następnie odejść rozważnie i roztropnie, unikając ostatecznej katastrofy? Czy zwłaszcza zdolnym był do tego oskarżony, którego niepohamowaną gwałtowność znamy przecie wszyscy? Trzeba być niesłychanie naiwnym, aby uwierzyć w taką wersyę, a przecież obrońcy podsądnego usiłują nas przekonać, że właśnie tak się rzecz miała. Przypomnijcie sobie jeszcze, panowie, że oskarżonemu wiadome były umówione znaki, za pomocą których otworzyć mógł w każdej chwili zaryglowane drzwi, prowadzące do mieszkania."

Z powodu umówionych znaków, prokurator wspominać też musiał o Smerdiakowie. Korzystając z tej sposobności, uczuł się w obowiązku przedstawić obszerną charakterystykę tego człowieka, a to, aby skończyć już raz z niedorzecznem przypuszczeniem, jakoby to on był sprawcą morderstwa.

Załatwiwszy się z tem, powrócił znów do Dymitra i skreślił barwnemi słowy nagły przewrót duchowy, jaki się w nim musiał dokonać na wiadomość o przybyciu dawnego kochanka Gruszy. "Nie mogę pominąć milczeniem tego ciekawego rysu charakteru oskarżonego. On, tak szalenie zazdrosny o wszystkich, tu uznaje nagle prawa serca ukochanej przez siebie kobiety i gotów jest ustąpić miejsca temu dawnemu, który przybył, aby wynagrodzić jej dawną krzywdę. W tej chwili jednak życie traci dla niego wartość i pozostaje w nim myśl samobójstwa, tembardziej, że i przelana krew ojca wołała w sercu jego o pomstę. Wykupuje więc zastawione u Perchotina pistolety i postanawia roztrwonić w jeden wieczór okupione morderstwem pieniądze. Pieniądze te potrzebniejsze mu są teraz bardziej, niż kiedykolwiek. Karamazow ma przecież zginąć! Niechże to stanie się tak, aby świat cały o tem wiedział, a ludzie długo pamiętali. To także czysto po naszemu. Myśmy przecie poeci. Umiemy spalić się na popiół, podpalając z obu końców pochodnię życia naszego. Hej! do niej lećmy! myśli Karamazow, do niej! do miłej! Wyprawić ucztę, jakiej świat nie widział, a potem skonać u jej stóp. Tak! skonać tam, wśród pijanych okrzyków, wśród dzikich pląsów cygańskich roztrzaskać sobie czerep w jej oczach. Niech popamięta Dymitra Karamazowa! Pożałuje go może, wspomni czasem. A było w tem jeszcze, panowie, coś innego, coś, czego żaden człowiek w sobie zagłuszyć nie zdoła. Głos sumienia, gorące wyrzuty. Pistolet zaradzi wszystkiemu — zmaże grzechy, uspokoi i wywalczy mu dobrą pamięć u kochanki. Czy myślał w owej chwili Karamazow o tem, co czekać go może tam, na drugiem brzegu? Wątpię, aby był zdolny do tych hamletowskich refleksyi. Tak panowie ,Europa ma Hamletów, my, jak dotąd, samych tylko Karamazowów." Tu przytoczył Hipolit Kiryłowicz mnóstwo słów, ge-

stów, faktów, które dowodziły krzycząco winy obwinionego. "Ten człowiek nie wystrzegał się już i zdradzał się sam co krok. I pocóż się miał wystrzegać, kiedy i tak życie było już dla niego skończone. Przyznawał się też prawie otwarcie. Wszakże wołał do wiozącego go chłopaka: "A czy wiesz, że wieziesz mordercę?" I wypowiedział mnóstwo podobnych, aż nadto przejrzystych słów. Ale tu nagle zaszedł fakt, który wtrącił nieszczęsnego w zupełnie nową niepewność. Oto za przybyciem do kochanki, której chciał wspaniałomyślnie zejść z drogi, dowiaduje się naraz, że i ona go kocha, że tryumf jego nad rywalem jest całkowity i niezaprzeczony. Chwila to była dla niego okropna. Pogwałcone prawa natury mszczą się nieraz tak okrutnie na duszy przestępcy, że wobec tortury tej blednie najsroższa ludzka sprawiedliwość. I czemuż moment szczęścia przyszedł tak późno, w chwili, gdy ręce jego zbroczyły się już krwią ojca? Łatwo wystawić sobie, jakie wówczas przechodził katusze. Ale wrodzona Karamazowym żądza życia przeważyła szalę. Zapragnął posiąść wpierw ukochaną kobietę, która aż do tej chwili była dla niego czemś zupełnie niedostępnem, a teraz ucztowała i szalała wraz z nim. Nie odstępował więc jej ani na krok, przylgnął do niej, a myśl o popełnionej zbrodni oddalał od siebie. Wszak ma jeszcze czas, nie zaaresztują go przecież tak nagle.

"Oskarżony musiał doznawać wtedy podobnego uczucia, jakie ma przestępca, skazany na karę śmierci, w chwili, gdy wiozą go na rusztowanie. Pojechać ma na nędznym swym wózku jeszcze dwie długie, długie ulice i to krok za krokiem, bo wszędy ciśnie się tłum ludził ciekawy, obojętny tłum.

"Skazaniec ma wrażenie, jakby miał jeszcze przed sobą długie, długie życie. Jadą przecie tak powoli, a miejsce stracenia tak jeszcze daleko. Spogląda więc śmiało na prawo i lewo, spotykając tysiące wlepionych w siebie spojrzeń i zdaje mu się wciąż, że jest jeszcze takim samym człowiekiem jak drudzy, jak ci, co mu się tak pilnie przypatrują. A tu wózek posuwa się wciąż, minął już jednę ulicę, to nic, jest jeszcze druga, mijają dom za domem, to nic, tyle jeszcze domów zostało i tak do ostatniej chwili, aż do fatalnego miejsca, na którem oczekuje go śmierć.

"Tego samego doświadczać musiał Karamazow, w czasie owej uczty w Mokroje.

"To nic, że jestem mordercą, nie dowiedzą się od razu, przedemną taka długa noc, pomyślał zapewne o obronie, bo jednak udało mu się ukryć gdzieś bez śladu połowę zrabowanych ojcu pieniędzy. Prawdopodobnie ukrył je w tej starej gospodzie, której znał wszystkie zakamarki.

"Być może, że pieniądze te znajdują się tam jeszcze, mimo, że ich dotąd nie znaleziono.

"W chwili aresztowania, podsądny klęczał przed swoją ukochaną, wyciągając ku niej ramiona i tak się zapamiętał w tym zachwycie, że nie słyszał nawet zbliżających się kroków aresztujących go. Na razie nie obmyślił też sobie żadnego planu obrony, zaskoczony zupełnie niespodzianie.

"Teraz, panowie, zaczął się dla niego psychologiczny moment, który budzi współczucie nawet w takich, jak my, przedstawicielach sprawiedliwości. Te minuty oczekiwania, w których ścigany obmyśal na prędce tysiące planów obrony, a lęka się usta otworzyć, aby się nie przegadać. Ta minuta, w której śledzi ze strachem każdy ruch, każdy wyraz twarzy swoich sędziów, usiłując odgadnąć, jak i z której strony padnie pierwszy cios. To poniżające osamotnienie osądzonego zbrodniarza, to naprawdę rzecz godna litości.

"Tak było i teraz. Oszołomiony morderca nie wiedział, co ma począć i wyrwało mu się kilka słów mocno kompromitujących: "krew" zasłużyłem na to" itp. Ale wnet zoryentował się, a nie wiedząc, co mówić, postanowił tylko zaprzeczać.

"Zaprzeczenie — to pierwszy obronny szaniec, za który chroni się każdy przestępca. Za takim szańcem zyskuje się na czasie i można tymczasem obmyśleć nową barykadę.

"Śmierci ojca nie jestem winien, chciałem zabić, ale nie zabiłem.

"Widzicie panowie, takie już nam robi ustępstwo, że przyznaje, jakoby chciał zabić.

"Ale wówczas sąd stawia mu niewinne pytania. Więc to może Smerdiakow? Pan zaprzecza i to gwałtownie, dowodząc, że Smerdiakow nie byłby nigdy w stanie dopuścić się takiego czynu. To już zakrawa na szczerość, nieprawdaż, panowie? A jednak nie wierzcie mu, to tylko fortel wojenny, zaprzecza w pierwszej chwili, ale na to

tylko, aby za parę godzin, a choćby za parę dni, wysunąć znów tego dawnego Smerdiakowa. Śledztwo przystępuje do osobistych oględzin, co gniewa niesłychanie oskarżonego, Ale wynik oględzin jest dla niego korzystny, bo nie znajdują przy nim poszukiwanej kwoty. Wtedy wpada na pomysł owej legendy o ukryciu połowy trzech tysięcy, i przechowaniu ich na piersiach w woreczku (woreczek taki nigdy nie istniał). Układając tę wersyę, obwiniony czuje bezwątpienia sam całą jej błahość, ale, uchwyciwszy się jej raz, jako deski ratunku, trzyma się jej wytrwale, dodając rozmaite romantyczne szczegóły, które mają przyczynić jej prawdopodobieństwa. Ale sąd śledczy ma i na to swoje znane sposoby i zadaje oskarżonemu niezmiernie proste. mało znaczące na pozór pytanie. Z czego uszyty był ten woreczek? Drobiazg, dzieciństwo, a jednak, gdyby oskarżony był w stanie dowieść, pokazać strzępek jakiś z którego wykroił ten mały kawałek płótna, byłby ocalony. On jednak plącze się w odpowiedziach. "Z koszuli oddarłem" powiada najpierw, ależ w takim razie koszula taka musiałaby się znaleźć w jego kuferku, w komodzie, szafie. "Nie pamiętam zresztą" dodaje, "może z czego innego,, z czepka gospodyni, zdaje się." Ale to nie jest fakt, panowie, tylko przypuszczenie, a my potrzebujemy faktów. Przecieżeśmy nie szakale, nie łakniemy krwi ludzkiej. Dajcie nam jeden drobny, ale pewny fakt, a ja pierwszy odstępuję od oskarżenia.

"Tak jednak, jak dziś rzeczy stoją sprawiedliwość woła o pomstę i nie możemy w żaden sposób odstąpić od oskarżenia".

Wreszcie prokurator przeszedł do ostatniej części mowy, a zapalając sie coraz bardziej mówił, jak w gorączce. Wspominał wciąż o przelewie krwi, o ojcobójstwie Powoływał się na nieubłaganą logikę faktów. "Panowie — mówił. — Bez względu na to, co powie za chwilę znakomity nasz kolega, (nie mógł się wstrzymać od chęci popsucia sprawy obrony), bez względu na jego znane krasomówstwo, nie zapominajcie ani przez chwilę. że znajdujecie się tu w świątyni sprawiedliwości. Nie zapominajcie, że obowiązkeim waszym jest wystąpić w obronie prawdy, w obronie świętości naszych, w obronie całej Rosyi, która wyczekuje z wytężeniem wyroku. jaki wyjdzie z ust waszych. Pamiętajcie, że w kraju naszym odzywają się już głosy, żądające okiełznania rozszalałej trójki, która ponosi nas coraz niebezpieczniej. Tak, panowie, czas zatrzymać ją, lecącą na złamanie karku, bo może już blizką jest chwila, w której obce narody, ustępujące dotąd przed nią z szacunkiem, jak mówi poeta, a może raczej z odrazy i wstrętu, zajmą się same zatrzymaniem znarowionych rumaków. A będą musiały to zrobić choćby dla własnego bezpieczeństwa. Tak jest, panowie, zaczynają się już rozlegać w Europie straszne głosy. Nie lekceważcie ich, nie wzmagajcie rosnącej ku nam nienawiści pobłażliwem traktowaniem zbrodni tak potwornej, jak ojcobójstwo.

Mitia wysłuchał całej mowy prokuratora całkiem spokojnie i nie ruszając się z miejsca. Parę razy tylko podniósł głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Raz tylko przy wzmiance o Rakitinie, wyrwało mu się mimowoli "przeklęty Bernard". Gdy Hipolit Kiryłowicz, opowiadał przebieg badania w Mokroje, nasłuchiwał pilnie, ale nie rzekł nic, tylko parę razy wzruszył pogardliwie ramionami.

Po skończonej mowie nastąpiła dwudziestominutowa pauza. Korzystając z niej, publiczność zaczęła rozmawiać, dzieląc się na liczne grupy,

— Wspaniała mowa. — Mówił jakiś poważny pan.

— Psychologii dużo, — odparł drugi.

— A wszystko takie prawdziwe.

— Nie ma co mówić, majster z niego.

— Ależ to nam dojechał.

— A tak. Twierdził, żeśmy wszyscy tacy sami, jak Fedor Pawłowicz.

— Koniec tylko jakiś urwany.

—No! Póki milczał, to milczał, ale jak się rozgadał. Che! Che!

— Ciekawym, co powie obrońca?

— A i temu nic nie darował.

— Ostrzegał przed nim. — To nie bardzo taktownie.

— Nerwowy człowiek.

— No! Nam tu śmiech, a co tam musi czuć oskarżony.

Zaczął śledzić lornetką pierwsze krzesło z boku.

— Generałowa jedna, rozwódka.

— Pikantna, nie ma co mówić.

— Tamta blondyneczka ładniejsza. Ale jednakże sprytnie przeprowadzili to śledztwo.

— To też prokurator nie omieszkał pochwalić się publicznie.

— Zarozumiały człowiek.

— A jak gromił nasze społeczeństwo. Trójka, — powiada — rozbiegana. W Europie Hamlety, u nas Karamazowy.

— Liberałom chciał podkadzić.

— Boi się przytem Fediukowicza.

— Ciekawym, co ten powie.

— Może mówić, co mu się podoba, nic to nie pomoże. Nie zbałamuci naszych poczciwych kmiotków, siedzących na ławie przysięgłych...

— Jednak to porównanie z trójką, to mu się udało.

— Ślicznie powiedział, zwłaszcza o tych obcych narodach.

— A wiecie, kogo miał na myśli? Anglików, niezawodnie. Niedawno w parlamencie angielskim, jeden z posłów interpelował rząd, czy nie czas by już wmieszać się w sprawy naszego barbarzyńskiego kraju? Było to z powodu nihilistów.

— Nie doczekanie ich. Daleko im zresztą.

— Jakto, daleko?

— Kronsztat zamkniemy — a wtedy co? skąd wezmą zboża.

— Z Ameryki. Cóż to, Ameryki niema?

I t. d. szły rozmowy i szepty, aż zabrzmiał dzwonek i Fediukowicz wstąpił na mównicę.

Sala ucichła w niemem oczekiwaniu na widok obrońcy, a wszystkie oczy skierowały się ku niemu.

Fediukowicz zaczął mówić niezmiernie prosto, naturalnie, nie siląc się na krasomówstwo, zupełnie tak, jakby opowiadał coś w kółku życzliwych i zaufanych. Nie układał systematycznie faktów, ale chwytał je na pozór przypadkowo, w miarę, jak mu się same nasuwały, w gruncie jednak, stanowiło to, po ukończeniu mowy, zupełnie zamkniętą w sobie całość.

— "Panowie! — rzekł, zwracając się do przysięgłych. — Jestem tu człowiek obcy, nie wżyty w tutejsze stosunki, dlatego też łatwiej mi spojrzeć na całą sprawę bezstronnem, nieuprzedzonem okiem.

"Oskarżony nie miał sposobności obrazić mnie, jak setki może innych w tem mieście, co, jak się zdaje, podburzyło przeciw niemu opinię. Nie przeczę, że charakter to bujny, nieokiełznany, który się mógł łatwo narazić na niechęć. A przecież, o ile wiem, przyjmowany był w całem tutejszem towarzystwie, a i w domu czcigodnego mego kolegi, Hipolita Kiryłowicza, był mile widzanym gościem.

Tu dało się słyszeć kilka stłumionych śmiechów, wiedziano bowiem ogólnie, że żona prokuratora przyjmowała Mitię u siebie wbrew woli męża.

— Nie mniej jednak pozwolę sobie przypuścić, że nawet człowiek, posiadający tak wysoki zmysł sprawiedliwości, jak mój szanowny przeciwnik, mógł uledz pewnym osobistym uprzedzeniom. W znakomitej swej mowie poddał on nieubłaganej krytyce charakter i postępki oskarżonego. Wyświetlił nam niejako samą esencyę tej sprawy, z tak głęboką znajomością psychologii, że na pozór nie może być w żaden sposób posądzony o stronnicze zapatrywania. A przecież, moi panowie, tu jest coś więcej, niż stronność, bo artystycznie rozmiłował się w przedmiocie, wkraczając prawie w dziedzinę romantycznej twórczości. Psychologia jest sama w sobie cudowną nauką, co jednak nie przeszkadza, że bywa to niekiedy coś, jakby kij o dwóch końcach (śmiech wśród publiczności). Raczcie mi panowie przebaczyć trywialność tego porównania, nie jestem krasomówcą, ale pozwólcie mi wziąć pierwszy lepszy przykład, wyjęty z aktu oskarżenia. Oskarżony, uciekając w dniu morderstwa z ogrodu swego ojca, ugodził ciężko ścigającego go sługę, Grigora. Gdy zaś ten padł na ziemię, oskarżony, który już był na murze, zeskoczył napowrót, do ogrodu i ukląkł przy ranionym, dla przekonania się, czy żyje jeszcze. Prokurator nie daje wiary zeznaniu oskarżonego, który twierdzi, że uczynił to przez odruch współczucia. Zdaniem jego, Dymitr Karamazow powrócił do rannego po to tylko, aby upewnić się, że jedyny świadek jego zbrodni już nie żyje. Przypuszczenie to byłoby zupełnie trafne, gdyby oskarżony zamordował istotnie ojca. Tylko, że w takim razie nie bawiłby się zapewne w pielęgnowanie swojej ofiary, lecz dobiłby ją kilku uderzeniami młotka, który miał jeszcze w ręku. Cóż jednak robi oskarżony? Klęka przy rannym i ociera mu krew chustką, która służy potem jako ważny dowód przeciw niemu, a narzędzie morderstwa odrzuca daleko od siebie z klątwą ,z uczuciem żalu i skruchy. Czy byłby zdolny do takich uczuć, gdyby się poprzednio splamił krwią ojca? Widzicie, pano-

wie, jak wygląda ten sam fakt w tem samem oświetleniu psychologicznem, wyprowadzonem tylko z innego założenia.

Tu obrońca zaprzeczył zupełnie istnieniu trzech tysięcy rubli, dowodząc jasno że wszyscy o nich mówią, ale nikt ich nie widział.— Smerdiakow twierdzi, że ukryte były pod materacem, a przecież oględziny stwierdziły, że pościel na łóżku była nietknięta. Jedynym dowodem ich istnienia jest rozdarta koperta, znaleziona na podłodze. Ale któż może twierdzić na pewno, że pieniądze były w niej rzeczywiście? Nie możemy pozwalać sobie na tworzenie psychologicznych romansów, chodzi tu o życie i los człowieka. Mówi się wiele o ogromnych sumach, rozrzuconych i marnotrawionych przez oskarżonego, ale dlaczegóżby miały to być pieniądze jego ojca? Wiemy przecież, że wziął trzy tysiące od narzeczonej swojej, panny Werchowcew. Mógł w istocie odłożyć połowę tych pieniędzy, jak to sam twierdzi. Przecież to przypuszczenie zupełnie jest prawdopodobne i całkiem zgodne z charakterem podsądnego.

Prokurator stawia swoją własną fikcye psychologiczną o słabej woli oskarżonego, który miał setkę po setce roztrwonić odłożone pieniądze. — A jeżeli rzecz miała się zupełnie inaczej?

"Świadkowie twierdzą, że podsądny już w pierwszą noc stracił całe trzy tysiące. Ale któż ze świadków mógł sam policzyć te pieniądze? Wiadomo zresztą, że mienie sąsiada wydaje się nam zawsze większe, niż nasze własne.

"Jakąż wartość mogą mieć zeznania tego rodzaju świadków. Taki np. Maksymow utrzymuje, że widział w ręku oskarżonego 20,000 rubli.

"Co się zaś tyczy panny Werchowcew, narzeczonej oskarżonego, ta, jak wiadomo, złożyła dwa zupełnie sprzeczne zeznania. Poprzednik mój, wiedziony uczuciem delikatności, nie chciał dotykać romantycznej strony tego stosunku, pójdę i ja w jego ślady. Pozwolę sobie wszakże na jedną uwagę. Jeżeli osoba tak niepospolita i czysta, jaką jest niewątpliwie panna Wierchowcew, dopuszcza się jednak fałszywego zeznania wobec sądu, a raczej zmienia nagle to i ducha swoich rewelacyi, w wyraźnym celu zgubienia podsądnego, to działać musi pod wpływem wyjątkowego rozdrażnienia. Z tego łatwo wywnioskować, że w obu jej zeznaniach musiało być dużo przesady. Owe trzy tysiące nie były powierzone Dymitrowi Karamazow na warunkach tak poniżających, jak ona to utrzymuje. Przeciwnie, dane były w ten sposób, że człowiek lekkomyślny, jak on, mógł przyjąć je w dobrej wierze, w nadziei, oczywiście, że je wkrótce zwróci.

"Nie odmawiajcie panowie oskarżonemu poczucia honoru, bo ono tkwi w nim, być może skrzywione, błędne, nieprawidłowe, ale niezaprzeczone i to bardzo daleko posunięte, mimo, że kolizya namiętności i zazdrości, wciąż podsycana, doprowadza go do szału. Pocóż odrzucać tak stanowczo jego własne zeznania o pieniądzach, ukrytych w woreczku na piersi? Nic prawdopodobniejszego przecie. Prawdziwość tego faktu potwierdza szczere i uczciwe zeznanie Aleksego Karamazowa. Ten zaś list, który oskarżony napisał w restauracyi, jest przecież najwyraźniej pisany po pijanemu. Czyż można przywiązywać jakieś znaczenie do zawartych w nim pogróżek? "Zabiję — pisze — skoro tylko Iwan odjedzie" i na tych słowach opiera się oskarżenie. Ależ, panowie, to nie romans, to rzeczywistość, tu idzie o życie człowieka, tu nie można wyrokować lekkomyślnie bez dostatecznych dowodów. A dowodów takich niema. Nie może być jednym z nich ten pijacki list, na który powołuje się oskarżenie. Przebieg wypadków nie był bynajmniej takim, jak jest w nim zapowiedziany. Gdyby nawet zachodził fakt morderstwa, to w każdym razie nie było tu premedytacyi, ani z góry powziętego planu. Oskarżenie uważa za dowód zachowanie się obwinionego w czasie, poprzedzającym morderstwo. Wiadomo, że włóczył się on po handelkach i restauracyach i wykrzykiwał po pijanemu, że zamorduje ojca, w razie, jeśli mu ten nie zwróci należnych trzech tysięcy. Ależ panowie! czyż tak postępuje prawdziwy morderca, czy taką jest w istocie jego psychologia? Całkiem przeciwnie, człowiek, któryby taką rzecz zamierzał, unikałby towarzystwa, rozgłosu, gwaru, szukałby ciszy, skupienia, tajemnicy. I działałby tak nie przez wyrachowanie, a poprostu instynktowo. Nie obcą jest i nam psychologia przestępców, ta psychologia, która, jak wyżej powiedziałem, ma przecież dwa końce, dwie strony. Obwiniony przyznaje sam, że w dniu morderstwa znajdował się w ogrodzie ojca, pod jego oknem, ale dodaje zarazem, że, przekonawszy się o nieobecno-

ści swojej ukochanej, odszedł spokojnie i powróciłby bez wypadku, gdyby nie ścigający go sługa. Widzieliśmy, z jakim sarkazmem przyjął oskarżyciel do wiadomości to naturalne wyznanie. A przecież, jeżeli tak było rzeczywiście. "Być może matka moja czuwała nademną w tej chwili" — mówił oskarżony. — Niema tu powodu do śmiechu, bo uczucia są całkiem naturalne i oskarżony mógł w owej chwili ochłonąć z nienawiści do ojca, zwłaszcza, gdy się dowiedział, że niema tu jego kochanki. Prokurator opisał nam tu barwnymi słowy stan duszy oskarżonego w chwili, gdy się ten dowiedział o wzajemnej miłości pani Świetłow. Oskarżyciel utrzymuje, że obudził się w nim wówczas zmysł samozachowawczy, wytrącając samobójczą broń z rąk oskarżonego. O, jakże powierzchowny jest ten sąd. Miałem sposobność poznać obecnie bliżej dziką, nieokiełznaną naturę obwinionego. Gdyby miał wówczas w istocie za sobą trupa zamordowanego ojca, zabiłby się niezawodnie, czując, że droga do szczęścia zamknięta mu jest na zawsze. Jeżeli stało się przeciwnie, to tylko dlatego, że może w samej rzeczy duch matki czuwał nad nim w owej chwili i uchronił go od zbrodni ojcobójstwa. Miał więc serce czyste i sumienie lekkie i czuł się w prawie sięgnąć po nowe szczęście, stojące na jego drodze. Tak twierdzi on sam i jakież mamy prawo odrzucać tak stanowczo to twierdzenie?.

Oskarżony uchodzi dotąd za winowajcę, jedynie dlatego, że nie umiano wskazać innego mordercy Okarżenie wyklucza możliwość winy Smerdiakowa, a przecież przypatrzcie się tylko panowie, ile w ostatnich czasach namnożyło się poszlak w życiu tego człowieka. Przedewszystkiem ten jego zagadkowy atak epileptyczny, którego czas on sam zapowiedział. Zeznania podsądnego i obu jego braci, a wreszcie to samobójstwo w wilią rozprawy sądowej. Nie taję, panowie. że zdanie moje w tej mierze jest zupełnie przeciwne mniemaniu prokuratora. Ten ostatni charakteryzuje Smerdiakowa, jako człowieka bardzo prostodusznego, ograniczonego, prawie idyotę. Byłem u niego, panowie, rozmawiałem z nim i zrobił na mnie zupełnie inne wrażenie. To nie był wcale człowiek naiwny, przeciwnie, nieufny, podejrzliwy i niesłychanie zawistny. Wstydził się swego pochodzenia, a uważając się za nieprawego syna Fedora Pawłowicza, oburzony był niesprawiedliwością swego stanowiska służbowego w domu ojca i nienawidził domniemanych swoich braci. Chciał koniecznie wyjechać za granicę gdzieby nic o nim nie wiedziano i potrzebował na to środków pieniężnych. On jeden wiedział o trzech tysiącach i sam je układał w paczkę banknotów, wraz z Fedorem Pawłowiczem, sam mi ten szczegół opowiadał, a niemożna wątpić, że cel, na który przeznaczono te pieniądze, był mu nienawistny. Obudziwszy się w nocy na krzyk pana, którego był powiernikiem, dowiedział się od niego, że przed chwilą znajdował się tu Dymitr Karamazow. Wtedy w chorobliwym jego mózgu zrodzić się mógł nagle pomysł morderstwa. Zdarza się to wielu zbrodniarzom, którzy na parę minut przed zbrodnią nie wiedzą, że staną się mordercami. Przyszła mu nagle myśl, że podejrzenie zwalić może na zapalczywego syna Fedora Pawłowicza, sam zaś popełni morderstwo i przywłaszczy sobie tak pożąmógł ją wykonać, nie budząc niczyich podane trzy tysiące. Powziąwszy taką myśl, dejrzeń, ponieważ uchodził za chorego. Wprawdzie Marta, żona Grigora, utrzymuje, że przez całą noc słyszała stękanie jego za ścianą, ale przecież staruszka spała mocno część nocy i obudziła się tylko parę razy. To tak, jak owa dama, która utrzymywała, że ujadanie psa nie dało jej zasnąć noc całą, podczas kiedy biedny psina szczekał zaledwie raz, lub dwa razy. Oskarżyciel przypuszcza, że w razie, gdyby Smerdiakow był mordercą, zostawiłby kartkę z przyznaniem się do winy. "Jakto — powiada — starczyło skruchy na ukaranie się, a nie starczyło na przyznanie". Ależ panowie, gdzie dowód, że zabił się z uczucia skruchy, ja sądzę, że to raczej z rozpaczy. Skrucha a rozpacz, to dwa uczucia zupełnie odmienne. Rozpacz może być mściwa, a człowiek ten, odbierając sobie życie, nienawidził z pewnością podwójnie tych, o których zazdrosny był przez całe życie.

Strzeżcie się, panowie przysięgli, abyście nie wydali mylnego wyroku. Jeżeli nieszczęsny mój klijent zostanie potępiony, to jedynie skutkiem owej czysto pozornej logiki faktów, z których żaden, ale to żaden, panowie, dowiedziony nie jest. A gdyby nawet był on rzeczywiście winnym (czego zresztą ja sam nie przypuszczam, ani na chwilę) to i wtedy jeszcze wysłuchajcie panowie co wam tu powiem, bo przeczu-

wam i ja, że w sercach waszych i umysłach toczyć się musi ciężka walka. Przebaczcie, że wam to mówię, ale jedynem zadaniem mojem jest wykrzesać czystą prawdę z głębi dusz i serc waszych, aby zaś tego celu dopiąć, stoję tu sam przed wami, ze słowem prawdy i szczerości na ustach i takim pozostać chcę do końca".

Tu huczne oklaski przerwały mowę obrońcy, w którego głosie brzmiała w istocie dziwna, szczera i serdeczna nuta.

Te objawy entuzyazmu zgorszyły bardzo przewodniczącego, który po raz już nie wiem który zagroził opróżnieniem sali. Po chwili cisza została przywrócona, a Fediukowicz ciągnął dalej z głębokiem przejęciem.

— ...A wiecie panowie, co tutaj może być przyczyną zguby oskarżonego? Nie logika faktów, które, jak to już chyba dostatecznie wykazałem, nie są bynajmniej faktami, a tylko pozornymi fantastycznymi, powierzchownymi przypuszczeniami. Inny tu czynnik działa na wasze serca i wyobraźnię. Czynnikiem tym jest trup zamordowanego, trup bezbronnego starca, trup ojca, zabitego przez własnego syna. Wszystko się wzdryga w was na myśl, że moglibyście puścić wolno ojcobójcę, i z tego powodu gotowi jesteście potępić niewinnego. I w samej rzeczy, ojcobójstwo to straszna zbrodnia. Zabić tego, który nam dał życie, który żył naszem szczęściem, cierpiał naszym smutkiem, starał się uchylać od nas wszelkie zmartwienie — zabić takiego człowieka, to przecież rzecz tak ohydna, że prawie pomyśleć o niej niepodobna.

Jak widzicie, probuję dać tu wam obraz tego, czem ojciec powinien być dla swoich dzieci. Przypatrzmy się teraz, o ile Fedor Pawłowicz odpowiadał pojęciu takiego ojca. Miejcie panowie odwagę przyznać to, nie zamykajcie oczu na prawdę, nie trwóżcie się przed nią, jak lękliwe niewiasty. Wszakże nawet przeciwnik mój głosił tu przed chwilą, że rozumie wybornie, jakich uczuć oskarżony doświadczać musiał wobec takiego ojca i przytaczał to dla usprawiedliwienia mego klienta, on, prokurator. Przypomnijcie sobie, jakie były dziecinne lata tego człowieka, czy uczył go kto, wychowywał, oświecał? Musi to być jednak serce wdzięczne , jeśli po 23 latach pamiętał i czuł wdzięczność za drobny podarek, garstkę orzechów, danych mu w dzieciństwie. Bo też nikt mu nic nigdy nie dawał. A gdy po 23 latach powrócił z na wpół zatartemi wrażeniami lat chłopięcych, to pragnął niezawodnie odnaleźć ognisko rodzinne, miał nadzieję, że spotka ojca, który pokocha go na nowo i tęsknił za tą miłością. I cóż znalazł wzamian za te marzenia? Cyniczne urągania, chytre zasadzki w celu pozbawienia go należnego mu dziedzictwa, a w końcu doszło do tego, że ojciec odbijał mu kochankę za własne jego pieniądze. Przeciwnik mój wspomniał tu z szyderstwem, że klient mój umiał lubować się poezyą dążył do rzeczy pięknych i wzniosłych, a przecież niema tu powodu do śmiechu. Nie wiecie panowie, ile ukrytej tkliwości mieszczą w sobie te bujne, pozornie dzikie natury, jak lgną do piękna i dobra, jak tęsknią za niem. Klient mój ma właśnie taką duszę. Ale nie znalazł sposobności, nie miał możności objawienia tych swoich uczuć. Wspomnieliśmy już wyżej, że ojciec jego nie zasługiwał, bynajmniej, na miano ojca. Bo trzeba się już raz rozstać z przesądem, że ojcem lub matką nazwać można tych, którzy dali życie dziecku, jeśli nie dali nic więcej. Niedawno sądzono jedną kobietę, która zabijała własne dzieci zaraz po urodzeniu. W kuferku jej znaleziono trzy szkielety zamordowanych przez nią noworodków. Czy ta kobieta była matką? Czy zasługiwała na to święte miano? Nie dość jest urodzić, trzeba zasłużyć na macierzyństwo". W tem miejscu rozległy się huczne oklaski, ale Fediukowicz zrobił ruch rękami, jakby się od tych oklasków opędzał i prosił o ciszę.

—Panowie — mówił dalej — młodzieniec, który ma ojca niegodnego, mimowoli zadaje sobie pytanie: I za cóż mam kochać mego ojca? Na to odpowiadają mu sucho: "Bo jest twoim ojcem". "A czyż on kochał mnie kiedy?" myśli młodzieniec, czy myślał o mnie w chwili, gdy mi dawał życie? Prawdopodobnie nie pragnął wcale mego istnienia, ulegając namiętności, może pod wpływem wina. Pociąg do pijaństwa, oto jedyne dziedzictwo, które mu przekazał. Czy mam mu być za to wdzięczny?... "Ojcowie nie gorszcie synów waszych" — mówi pismo. Pozwalamy sobie powtórzyć te słowa, nie stosując ich tylko do tutejszych ojców, ale do wszystkich ojców całej Rosyi. Syn, któryby stanął przed ojcem swoim, pytając, za co go ma kochać, powinien usłyszeć odpowiedź. — Jeśli ojciec jest

w stanie odpowiedzieć na to pytanie i dowieść synowi, że ten go kochać powinien, nastąpić może normalny stosunek rodzinny. W przeciwnym razie, syn jest wolny, nie obowiązany do niczego i uważać może ojca swego za obcego, lub nawet za swego wroga. Tak, panowie, Nie waham się głosić tej zasady, bo trybuna, z której przemawiam, powinna być szkołą prawdy i uczciwych, zdrowych, pojęć. Przypomnijcie sobie, panowie, ową fatalną noc morderstwa, noc, o której tyle tu dziś opowiadano. Gdyby nawet Dymitr Karamazow, korzystając z umówionych znaków, przeniknął do wnętrza mieszkania (czego, jak wiadomo, niebyło, bo stanął tylko pod oknem), to wtedy nie popełniłby morderstwa. Wszak chodziło mu tylko o ukochaną kobietę. Przekonawszy się, że jej tu niema, pośpieszył jak najprędzej na jej poszukiwanie. "Gdzie ona?" oto jedyne pytanie, które miał wtedy na myśli. Przecież gdyby miał zamiar zabić, zaopatrzyćby się musiał w jakąś odpowiednią broń, nie zaś w kuchenny tłuczek. Gdyby nawet w przystępstwie nieprzytomnego niepokoju uderzył nim ojca (czego niezawodnie nie było) to nie w zamiarze zabicia go i w takim razie nawet byłby to czyn dokonany w przystępie instynktownego afektu, nie zabójstwo, a zwłaszcza nie ojcobójstwo. I w takim razie jednak odwołałbym się jeszcze do serc waszych, abyście nie gubili nieszczęśliwego. Jeśli go potępicie, ten człowiek powie sobie: "Ludzie ci nigdy nic dla mnie nie zrobili, nie troszczyli się o mnie, nie dali mi światła nauki, nie nakarmili mnie, ani przyodzieli, umieli tylko wtrącić mnie do ciemnicy i skazać na ciężkie roboty. Skwitowany jestem z nimi i nic nikomu nie winien. Źli oni są i ja złym będę, okrutni są, i ja okrutnym się stanę". Tak panowie, potępiającym wyrokiem zgubicie duszę jego i sumienie, odberzcie mu możność skruchy i sprawicie, że nie żałować będzie, a przeklinać. Przeciwnie, jeśli mu okażecie miłosierdzie, dusza jego odrodzi się i zmartwychwstanie. Znam to dzikie, ale szlachetne serce, które zdobyć można jedynie aktem wielkiej miłości. Dusza jego przestanie wówczas przeklinać i nienawidzić, a rozpłynie się we łzach skruchy i żałości. Nie powie wówczas: "Skwitowany jestem i nic ludziom nie winien", przeciwnie, uzna się dłużnikiem całej ludzkości i dla niej żyć zacznie. Wymówcie panowie słowa przebaczenia, przyjdzie to wam przecie tak łatwo, wobec tego, że nie macie ani jednego niezbitego dowodu winy. Pamiętajcie, że wyroku waszego słucha Rosya cała, ta Rosya, której sądy mają za cel swój odrodzenie, nie zaś ukaranie przestępcy. Jeżeli uczynicie zadość sprawiedliwości i miłosierdziu, zniknie wam z oczu rozszalała trójka, od której stronią ze wstrętem sąsiednie narody, a pozostanie wóz tryumfalny, ze wspaniałym spokojem dążący do celu. W rękach waszych nietylko los klienta mego, ale i los naszej rosyjskiej prawdy, której jesteście stróżami i szafarzami, pokażcie, że w dobrem jest ręku i żeście godni stać na jej straży.

Gdy obrońca skończył swoją mowę, zerwała się niepohamowana burza oklasków i ogólnego zachwytu, kobiety płakały, płakali także niektórzy mężczyźni. Przewodniczący nawet nie próbował powściągnąć tych objawów zapału. Prokurator jednak nie dał za wygraną i ukazał się znów na trybunie, blady i wzruszony. Mówił krótkiemi, urywanemi zdaniami, mimo niezadowolenia publiczności, która stała stanowczo po stronie obrońcy. Prokurator usiłował nawet ściągnąć na swego przeciwnika zarzut spełnienia obrazy religii, a to dlatego, że parę razy użył wyrażenia "wielki miłośnik ludzkości." Obrońca odparł te insynuacye z właściwym sobie sarkazmem. Nie pomogły również i przedrwiwania prokuratora, który zapytywał ironicznie: "I cóż to będzie, gdy każde dziecko zapyta ojca: i za cóż mam cie kochać? a w razie niepomyślnej odpowiedzi upoważnione będzie do ojcobójstwa." W końcu ta wymiana słów przerwała się i przyszła kolej na oskarżonego, któremu służyło prawo przemówienia paru słów w swojej obronie.

Mitia wstał z miejsca i przemówił krótko. Był niesłychanie znużony moralnie i fizycznie. Nie wyglądał tak hardo i zuchwale, jak w początkach rozpraw.

— I cóż mam mówić, panowie przysięgli? — rzekł znużonym i cichym głosem — przyszła na mnie godzina sądu i koniec memu bezładnemu życiu. Ale mówię wam, jak przed Bogiem na świętej spowiedzi. Nie ja zabiłem ojca i krwi tej nie jestem winien. Byłem ja szalony, ale kochałem dobro. Codzień chciałem się zmienić, a żyłem podobny dzikiemu zwierzęciu. Dziękuję panu prokuratorowi, że powiedział mi dziś o mnie samym wiele rzeczy

nowych i ważnych, którychbym bez niego nie usłyszał, ale i tak omylił się, bo ja ojca nie zabiłem. Dziękuję i obrońcy, płakałem, słuchając go, ale niepotrzebnie tak się trudził, bo ja napewno nie zabiłem. Jeżeli mnie uwolnicie, pomodlę się za was i stanę się lepszym. Jeśli nie, pierwszy szpadę nad głową swoją złamię. Ale raczej oszczędźcie mnie, nie odbierajcie mi Boga mego, bo czuję, że jeśli zostanę skazany, to znów w grzech wpadnę; dłużej mówić nie będę, bo mi na duszy ciężko.

Po spełnieniu ostatniej formalności, sąd udał się na osobność dla ostatniej narady. Była to północ, mimo to, nikt nie chciał wracać do domu. Korzystając z przerwy, publiczność przechadzała się po sali, lub posilała się w bufecie.

Spodziewano się powszechnie uwolnienia. Otaczano obrońcę i winszowano mu z góry. On także pewny był powodzenia.

— Słuchajcie, uwolnią go z pewnością — wołał jakiś młody człowiek.

— Oczywiście, że uwolnią.

— Wstyd! hańba! gdyby było inaczej. Chociażby i zabił, to pomyślcie tylko, jaki to był ojciec. Przytem w chwili morderstwa, w jakim on był stanie, mógł przypadkowo machnąć tłuczkiem i powalił tamtego. Niepotrzebnie tylko wciągali tego Smerdiakowa; na miejscu obrońcy, powiedziałbym poprostu: zabił, ale nie zabił.

— On też tak i powiedział.

— Zmiłujcie się, panowie, muszą go w każdym razie uwolnić. Czy pamiętacie, jak w zeszłym roku sąd uwolnił aktorkę, która poderżnęła gardło żonie swego kochanka?

— Ależ nie dorżnęła jej, zaczęła dopiero rżnąć.

— A jak on o dzieciach świetnie przemówił!

— Wspaniale!

— I o mistycyzmie.

— Dajcie sobie pokój z mistycyzmem, pomyślcie lepiej, co czeka prokuratora, gdy do domu powróci — żona oczy mu za Mitię wydrapie.

— Alboż jej tu niema?

— W domu siedzi; gdyby tu była, zaraz, na miejscu natarłaby mu uszu, che, che!

— Che, che, che!

— Co też nasz Mitia zrobi, gdy go wypuszczą?

— Poleci do restauracyi "Stołeczny gród" i pić będzie na umór, co najmniej z dziesięć dni.

Tu zabrzmiał dzwonek. Przysięgli naradzali się całą godzinę, nie mniej i nie więcej. Głębokie milczenie zaległo salę. Nareszcie się dowiedzą.

Nastąpił szereg pytań.

— Czy winien morderstwa w celu grabieży?

Odpowiedź brzmiała: tak!

Jasno, dobitnie, jednogłośnie.

I tak aż do końca.

Przysięgli na wszystkie pytania odpowiadali: "Winien."

Było to czemś niespodziewanem. Wszyscy skamienieli — i ci, którzy pragnęli uwolnienia i przeciwnicy. Po kilku minutach dopiero zaczął się chaostyczny gwar. Mężczyźni byli przeważnie zadowoleni, ale kobiety podniosły prawie bunt. Na galeryi rozległ się przenikliwy jęk. To Grusza, która dostała się tam po wyprowadzeniu jej z sali.

Mitia zerwał się i wyciągnął ręce przed siebie.

— Klnę się Bogiem i strasznym sądem jego, że nie przelałem tej krwi. Katiu, przebaczam ci. Bracia, czuwajcie nad tamtą.

— Dwadzieścia lat ciężkich robót!

— Nie dali się przekonać nasi kmiotkowie!

— I dobili naszego Mitię.

— Szkoda.

* * *

EPILOG.

Na piąty dzień po wypadkach opisanych w sądzie, Alosza odwiedził Katarzynę Iwanównę w jej mieszkaniu. Przyszedł wcześnie, o dziewiątej zrana, bo omówić miał z nią jedną ważną sprawę, a i w innem miejscu czekano na niego z niecierpliwością.

Katarzyna przyjęła go w tym samym salonie, gdzie rozmawiała niegdyś z Gruszą, w sąsiednim zaś pokoju leżał Iwan Fedorowicz, chory i bezprzytomny. Widząc okropny jego stan, Katarzyna przenieść go kazała do siebie i pielęgnowała troskliwie, nie odstępując go dniem i nocą i nie zważając na plotki i gadania, które z jej po-

wodu krążyły po mieście. Chorego leczyli dwaj miejscowi lekarze, Hercenszube i Wirwiński, moskiewski zaś doktór odjechał, nie wygłaszając żadnej stanowczej decyzyi o możliwym wyniku choroby dodawali otuchy Katarzynie, widoczne jednak było, że sami niewiele mają nadziei. Alosza odwiedzał brata dwa razy dziennie, teraz jednak przyszedł wyłącznie do Katarzyny, nie mógł się jednak zdobyć na powiedzenie jej tego, co go tu sprowadziło. Rozmawiali tak już blizko kwadrans, Katarzyna siedziała blada i z błyszczącemi oczami, przeczuwając, o czem mówić chce z nią Alosza.

— Bądź spokojny, — mówiła żywo — on się zgodzi, musi się zgodzić, niema przecie innego wyjścia. Wszystko przygotowane do ucieczki. Ten nieszczęsny rycerz honoru i sumienia (nie mówię tego o Dymitrze, a o tamtym — dodała, ukazując na drzwi, za którymi leżał Iwan) z wierzył mi już dawno cały plan. Stać się to ma na drugim etapie; Iwan Fedorowicz jeździł sam na miejsce i poznał się z naczelnikiem etapu. Niewiadomo tylko, kto prowadzić będzie partyę zesłańców, tego nie można nigdy z góry przewidzieć. Jutro pokażę ci cały projekt, spisany szczegółowo na papierze. Przyniósł mi go Iwan Fedorowicz w opieczetowanej kopercie w wigilię rozprawy. Przeczuwał, biedak, że sam nie będzie w stanie. A czy wiesz, o co się wtedy posprzeczaliśmy?

— Niewiem — odparł Alosza.

— Właśnie o ten plan. Iwan Fedorowicz chciał, aby Dymitr uciekł za granicę w towarzystwie tej istoty, tej Gruszy, i oto się tak rozgniewałam. Sama nie wiem dlaczego, ale i dziś nie mogę znieść myśli, że ta wstrętna kobieta pójdzie z nim. — Mówiąc to, Katarzyna i teraz drżała z oburzenia. — Iwan Fedorowicz, widząc mój gniew, wyobraził sobie, że zazdrosna jestem o tamtą, i że jeszcze kocham Dymitra, to mnie obraziło. Nie mogłam pojąć, jakim sposobem człowiek o tak wyższych uczuciach, jak Iwan, podejrzewać mnie może o tak nizką namiętność. Pokłóciliśmy sie więc na dobre, tembardziej, że dawno już mówiłam Iwanowi, że jego tylko kocham, a nie Dymitra. Mimo to, przyniósł mi tę kopertę, zawierającą szczegółowy plan ucieczki, dołączył do tego dziesięć tysięcy rubli na koszta, i prosił, żebym się sama tem zajęła, w razie, gdyby on zachorował lub umarł. Czy rozumiesz, jaka to była z jego strony ofiara, zazdrosnym będąc o Dymitra, mnie właśnie polecał jego ratunek. Ach! nikt, nikt z was nie jest w stanie ocenić tej wielkiej duszy. A i sama tak byłam wtedy rozdrażniona niesłusznem podejrzeniem, że zamiast paść przed nim na kolana, do czego rwało mnie serce moje, zrobiłam mu tylko scenę. Taki już mam charakter. Skończy się jeszcze na tem,, że i ten porzuci mnie dla innej, która mu da lżejsze życie, jak Dymitr. Tylko, że ja nie zniosę już tego i zabiję się sama. A przecież wtedy, gdyście weszli do mnie razem, wieczorem, w wigilię sądu, spostrzegłszy nienawistny i pogardliwy wzrok, którym mnie Iwan obrzucił, wpadłam w straszny gniew i umyślnie rzuciłam mu w oczy, że to on pierwszy nazwał brata zabójcą, kiedy to przeciwnie, ja sama wmawiałam mu to zawsze, mimo, że się nie dawał przekonać. Taka już jestem, taka jestem. Przezemnie stała się ta cała historya w sądzie, ja jedna jestem przyczyną wszystkiego.

Nigdy jeszcze Katarzyna nie robiła Aloszy tak szczerych wyznań. Widocznie nadeszła chwila, w której to dumne serce doszło do takiego stopnia cierpienia i bólu, że samo uczuło potrzebę zdeptać własną dumę i rzucić ją pod czyjeś stopy. Alosza cierpiał nad tem dla niej i starał się z możliwą delikatnością oszczędzić jej dalszego poniżenia, musiał jednak wspomnieć imię Dymitra.

— Nie lękaj się o niego — przerwała mu żywo Katia. — Zgodzi sie na ucieczkę, o, zgodzi. Znam go dobrze. Teraz niby się waha, ale za kilka dni przystanie na wszystko. Jakże ma nie przystać, skoro w katordze nie pozwoliliby mu mieć przy sobie tej awanturnicy, a bez niej on żyć nie może.

Dlatego głównie prosiłam cię, abyś przyszedł, ty go musisz sam namawiać do ucieczki, chyba, że i według ciebie, będzie to postępek małoduszny, tchórzliwy, niechrześcijański, — mówiła zawsze szyderczo.

— I owszem powiem mu wszystko, — szepnął Alosza — ale przedewszystkiem, on prosi, abyś pani zechciała przyjść do niego dziś jeszcze, Katarzyno Iwanówno; — wymówił te słowa szybko, jakby się chciał ich pozbyć i spojrzał Katarzynie prosto w oczy, ta odsunęła się od niego gwałtownie.

— Ja do niego? czyż to możliwe? — wyjąkała blednąc.

— To możliwe, a nawet konieczne — nalegał Alosza, ożywiając się nagle. — On musi panią widzieć, zwłaszcza teraz. Nigdybym się nie poważył dręczyć pani niepotrzebnie, gdyby nie ta niezbędna konieczność! On chory, prawie obłąkany, wiele, o, wiele zmieniło się w nim od tego dnia, czuje, jak bardzo przed panią zawinił, nie o przebaczenie prosić będzie, sam mówił, wiem, że mi przebaczyć nie można — ale niech ona przyjdzie, niech tylko stanie na progu, więcej nie pragnę.

— Tak nagle... — szepnęła Katia, — a przecież wiedziałam, że z tem do mnie przyjdzie, wiedziałam, że on mnie zechce widzieć. On się ciebie boi, Alosza, — mówiła dalej Katia, boi się twojej nagany, z punktu widzenia moralności. Pozwólże mu raz, skoro twoja sankcya jest mu tak niezbędnie potrzebna, — dodała z ironią. Zamilkła na chwilę, potem mówiła dalej:

— Wiem, że tam, w więzieniu, bredzi on coś o krzyżu do zniesienia, obowiązkach do spełnienia, o jakichś hymnach pochwalnych, powtarzał mi to Iwan Fedorowicz. I gdybyś wiedział, z jakiem przejęciem, jak kochał widocznie tego brata i nienawidził go jednocześnie.

Mówił mi to ze łzami prawie, a ja, nikczemna, umiałam tylko drwić i pogardzać — podła jestem, podła, to ja wtrąciłam go w tę chorobę. Tamten, to zupełnie co innego — mówiła dalej z rosnącem rozdrażnieniem, które budziło w niej zawsze wspomnienie o Dymitrze. — Czy myślisz, że on gotów jest cierpieć? takiby potrafił? nigdy, przenigdy, tacy, jak on, nie cierpią.

Mówiła to wszystko z bezgraniczną nienawiścią i tonem bezwzględnie pogardliwym, Alosza zrozumiał wyzwanie, zawarte w ostatnich jej słowach, ale umyślnie je pominął, "zawiniła względem niego, dlatego go chwilami nienawidzi" pomyślał. Pragnał gorąco, aby ta nienawiść była tylko chwilową.

— Zrób, pani, tę niemożliwość, Katarzyno Iwanówno i zechciej pójść do niego. Niech pani pomyśli, że on pierwszy raz w życiu zrozumiał i odczuł, jak bardzo względem pani zawinił. Mówił mi: "Jeśli ona nie zechce przyjść, to ja przez całe życie będę nieszczęśliwy". — Słyszy pani, skazany na 20 lat, a jeszcze zamierza być szczęśliwym — czy to nie żal?! — A przecież on jest bez winy, ręce jego są czyste, niesplamione krwią, pani musi, pani powinna go odwiedzić.

Ostatnie słowa wymówił Alosza z dziwną mocą i prawie z wyzwaniem.

— Powinnam, ale nie mogę, — jęknęła Katarzyna, patrzyć będzie na mnie, a ja tego nie zniosę

— Oczy wasze muszą się spotkać. Jakże pani potrafi później żyć przez całe życie, jeśli pani nie spełni jego życzenia.

— Wolę cierpieć przez całe życie.

— Pani powinna, pani powinna pójść — nalegał nieubłagany Alosza.

— Ale nie dziś, nie zaraz, nie mogę przecież opuścić chorego.

— Może pani na minutę, to nie potrwa dłużej, inaczej on także zachoruje, na miłość Boga, niech pani pójdzie, niech się pani zlituje...

— To wy się nademną zlitujcie, — odparła z goryczą Katia i rozpłakała się.

— Więc pani przyjdzie na pewno? biegnę go uprzedzić — zawołał Alosza!

—Nie, nie, — powstrzymywała go Katia — nie uprzedzaj go, bo może wcale nie pójdę, — głos jej załamał się, dyszała ciężko.

— A jeśli spotkam tam kogo? — szepnęła blednąc nagle.

— Dla tego trzeba się śpieszyć, teraz nie spotka pani nikogo — nalegał Alosza.

Poszli więc oboje do szpitala miejskiego, gdzie Mitia umieszczony był teraz.

Na drugi dzień po wyroku dostał nerwowej gorączki, oddano go więc na oddział, przeznaczony dla więźniów. Na usilne jednak prośby Aloszy i wielu pań z towarzystwa z panią Chachłakow i Lizą na czele, doktór Warwiński pozwolił na przeniesienie go do separatki, tej samej, w której niedawno jeszcze leżał Smerdiakow.

Okno, mocno zakratowane i żołnierz uzbrojony na korytarzu, dawały gwarancyę, że to przekroczenie ustaw więziennych nie pociągnie za sobą złych skutków. Doktór Warwiński, człowiek młody i ludzki, rozumiał, jak ciężko takiemu człowiekowi, jak Mitia przerzucić się nagle do sfery, zwyczajnych złodziei i morderców, do takiej zmiany przywykać trzeba stopniowo.

Krewnym wolno było odwiedzać chorego, ale z pozwolenia tego korzystali, jak dotąd, tylko Alosza i Grusza.

Zgłaszał się parę razy Rakitin, ale tego sam Mitia nie chciał wcale przyjąć.

W chwili wejścia Aloszy, Mitia siedział na łóżku w szpitalnym kaftanie, głowę miał obwiązaną — był w gorączce. Nie śmiał zapytać brata czy Katarzyna przyjdzie, ale Alosza wyczytał pytanie to z jego twarzy.

— Bądź spokojny bracie, — rzekł — przyjdzie na pewno, choć może nie dziś jeszcze.

Mitia zadrżał, od pewnego czasu miał na myśli wciąż Katarzynę, czuł także, że każde słowo okrutne z jej strony zabolałoby go, jak pchnięcie noża.

— Bracie, — mówił dalej Alosza, — Katarzyna Iwanówna pragnie bardzo przezwyciężyć twoje skrupuły, co do ucieczki, sama zajmie się wszystkiem, jeżeli Iwan nie wyzdrowieje.

— Mówiłeś mi już to, — odparł Mitia.

— A ty nie miałeś nic lepszego, jak powtórzyć to zaraz Gruszy.

— To prawda — przyznał Mitia. — Ale ona nie przyjdzie dziś rano — dodał nieśmiało, przyjdzie dopiero wieczór. Gdy powiedziałem jej, że Katia zajmie się moją ucieczką, zacięła tylko usta i powiedziała "dobrze".

Czuje sama, że tak być musi, zresztą, zrozumiała już chyba, że Katia kocha Iwana, a nie mnie.

— Czy naprawdę?

— Iwan, to człowiek niepospolity, nie powinien umrzeć.

— Katia wierzy w jego wyzdrowienie.

— Jeżeli tak mówi, to musi być przekonana, że brat nasz umrze i mówi tak ze strachu...

— Iwan ma silny organizm, wytrzyma. Ja także wierzę w jego wyzdrowienie.

I ja także, ale Katia nie musi wierzyć, Ach! jak ona musi cierpieć.

— Alosza! — rzekł znów Mitia po chwili milczenia, — ja bardzo kocham Gruszę!

— W katordze nie pozwolą wam być razem, — zauważył pośpiesznie Alosza.

— Wiem, wiem..., a potem. Jeżeli będą mnie bili, nie zniosę tego, zabiję kogo i rozstrzelają mnie. 20 lat. — Mój Boże, już teraz posługacze szpitalni mówią mi ty. Całą noc przemyślałem o tem, no i wiem, że nie wytrzymam... nie mam siły. Ja, który miałem zamiar odrodzić się w podziemiach, nie mogę nawet znieść poufałości ze strony służby szpitalnej. Dla Gruszy zniósłbym wszystko, prócz knuta.

— Bracie — rzekł łagodnie Alosza, — wysłuchaj co ci powiem, wiesz przecie, że nigdy nie kłamię. Za ciężkiby to dla ciebie był krzyż, a zresztą, nie zasłużyłeś na niego. Gdybyś był istotnie mordercą, nie namawiałbym cię nigdy do uchylenia się od kary, ale tak, jak jest, możesz śmiało skorzystać ze sposobności ratunku.

Wiem, wiem, ukartowaliście wszystko. Taki jak ja, musi uciekać, oczywiście. Tylko, że nigdy sobie tego nie daruję. — Mówię tak, a przecież ucieknę. — Obłudni jesteśmy, mój bracie, ja i ty nawet.

— To prawda, — powiedział Alosza.

— Tak, ja cię kocham bracie, za to, że ty zawsze mówisz prawdę. Powiem ci zresztą wszystko. Jeżeli zgadzam się, to dlatego, że dla mnie Ameryka będzie także wygnaniem. Nienawidzę tej Ameryki, niech ją dyabli wezmą! Ja kocham kraj nasz, Alosza, i tęsknić będę, tęsknić na śmierć. — A ona! a Grusza! czy podobna do Amerykanki? zatęskni się tam, a ja będę przyczyną jej nieszczęścia. A ci Yankesi, wielcy inżynierowie może, ale niech ich dyabli wezmą, nienawidzę ich. Pójdziemy chyba między czerwonoskórych, nauczymy się ich języka, a potem, po kilku latach zmienimy się tak oboje, że będziemy mogli powrócić, jako amerykańscy obywatele. Prawda Alosza?

— Prawda, — odparł ten, aby mu nie przeczyć.

— Alosza! Czy przyjdzie Katia?

— Przyjdzie z pewnością, choć ją to wiele kosztuje.

— Wierzę! wierzę! Och, ja oszaleję. A Grusza patrzy wciąż we mnie, rozumie wszystko. Dlaczego tak pragnę Kati? nic nie rozumiem. Och te namiętności Karamazowych! podłe dusze! Podły jestem, nie umiem cierpieć.

— Otóż i ona! — zawołał Alosza.

Drzwi otworzyły się i Katia stanęła w progu. Błędne jej oczy szukały wzroku Miti. On zbladł ze wzruszenia, ale po chwili nieśmiały uśmiech prześlizgnął się przez jego wargi i wyciągnął ręce do wchodzącej. Katia rzuciła się ku niemu, zmusiła go, by usiadł i sama siadła obok niego. Sciskała mu ręce i drżała. Oboje nie mogli wyrzec słowa i patrzyli na siebie w milczeniu.

— Czy przebaczyłaś mi? — szepnął wreszcie Mitia. — Słyszysz Alosza, słyszysz

o co ją pytam? — Zawołał z dziwną radością.

— Masz serce szlachetne i za to cię kocham. Nie potrzebujesz mego przebaczenia, ty raczej daruj mi. Wszystko jedno zresztą, czy darujemy sobie, czy nie, zraniliśmy sobie dusze na wieki, tak widać było trzeba.

Tchu jej zabrakło.

— Czy wiesz, poco przyszłam? aby ci do nóg paść i ściskać ręce twoje, aż do bólu, jak pamiętasz, tam, w Moskwie, i żeby powiedzieć ci raz jeszcze, żeś ty szczęściem mojem, bóstwem mojem, że cię kocham szalenie. — Mówiąc to przycisnęła chciwie usta do jego ręki.

Alosza patrzył na to osłupiały, zmieszany, nie spodziewał się takiej sceny.

— Miłość umarła, Mitia, — mówiła Katarzyna, — ale przeszłość pozostanie, pamiętaj o przeszłości i przez jedną chwilę pomówmy o tem, coby być mogło. Dziś ty kochasz inną, ja kocham innego — ale i tak kochać cię będę zawsze i ty kochaj mnie, o kochaj! — dodała prawie głośno.

— Będę, będę cię kochał, — powtarzał Mitia, oddychając ciężko, po każdem słowie. — I wiesz, Katia, pięć dni temu, w sądzie, kochałem cię naprawdę, w chwili, gdy cię wynoszono omdlałą. Tak już wiecznie będzie z nami.

Mówili sobie rzeczy szalone, może nawet nieprawdziwe, w każdym razie mówili je w dobrej wierze.

— Katiu! — zawołał nagle Mitia, — czy wierzysz, że jestem mordercą? tj. wiem, że teraz nie wierzysz, ale wtedy, gdyś mnie oskarżała, wierzyłaś w to? powiedz.

— Nigdy, ani na chwilę, nienawidziłam cię i dlatego wmawiałam to w siebie umyślnie i może na jedno mgnienie uwierzyłam, ale już, kończąc oskarżenie, wiedziałam, że to fałsz. Wszakże przyszłam tu głównie po to, aby ci dać zadość uczynienie, ukarać siebie. Zapomniałam, że po to tylko, — szepnęła a z twarzy jej znikł wyraz rozkochania, goszczący na niej przed chwilą.

— Ciężko ci to przyszło, kobieto! — Wyrwało się mimowoli Miti.

— Puść mnie! — przerwała Katia, — przyjdę może jeszcze, ale teraz ciężko mi.

Wstała i poszła ku drzwiom, ale nagle cofnęła się, wydając głośny okrzyk. Na progu stała Grusza, która weszła już od chwili, Katia porwała się do wyjścia, przechodząc jednak obok Gruszy, przystanęła chwilkę, blada jak ściana i szepnęła cicho:

— Przebacz mi!

Grusza patrzyła na nią w milczeniu, poczem rzekła jadowitym głosem.

— Złe jesteśmy obie, ja i ty, matko, gdziebyśmy tam sobie mogły przebaczać, ale ocal go, a modlić się będę za ciebie przez całe życie.

— Bądź spokojna, oswobodzę go, — odparła Katia i wybiegła szybko z pokoju.

Dymitr był w rozpaczy.

— Jak mogłaś! jak mogłaś odmówić jej przebaczenia, kiedy się sama do ciebie zwróciła, — wołał do Gruszy.

— Daj pokój, nie masz prawa robić jej wyrzutów, — upominał go Alosza. — Nie mówiła tego z serca, a tylko przez pychę, — broniła się Grusza.

— Niech zresztą uratuje ciebie, a wtedy wszystko jej daruję.

— Alosza! idź za Katią, — nalegał Mitia, — powiedz jej, już sam nie wiem co...

— Biegnę bracie, wieczorem wrócę tu.

Alosza dogonił wkrótce Katarzynę.

— Brat nie wiedział, że ona przyjdzie — upewniał ją.

— Dobrze, już dobrze, nie mówmy już o tem.

Katarzyna przerwała szybko, po chwili dodała z oczyma, błyszczącemi od gniewu.

— Nie! przed tą kobietą nie potrafię się czuć winna. Dobrze zrobiła, że mi nie chciała odpuścić, lubię ją za to.

* * *

Nadszedł wreszcie dzień wyprowadzenia więźniów na Sybir; oprócz Dymitra, odbyć miało tę drogę dwóch jeszcze przestępców, skazanych także na 20 lat ciężkich robót, Alosza pobiegł od rana do bram więzienia. Z wielką trudnością otrzymał pozwolenie widzenia się z Mitią.

Grusza była już z nim.

— Bracie mój! — zawołał Mitia, — człowieku Boży, witaj mi. — Był on w stanie dziwnej egzaltacyi, twarz miał rozjaśnioną wielką radością.

— Czuję, — mówił, że — potrafię teraz wszystko znieść, nawet tam, na Syberyi, zresztą — dodał patrząc na Gruszę, — mogę i uciec, jeżeli tego koniecznie chcą.

— Powiedział ostatnie słowa tonem, który dziwnie wstrząsnął Aloszę, było w tem zdaniu się na wolę innych coś z obojętności konającego. Zdawał się być zupełnie oderwanym od życia i patrzył się na nie, jak na coś zupełnie sobie obcego.

— Takie mi rzeczy mówi! — zawołała Grusza gwałtownie, — ucieknie, jeżeli tego chcą, jemu to wszystko jedno. To straszne, Aleksy Fedorowiczu, on już nikogo nie kocha... — płakała.

Dymitr uspokajał ją.

— Nie płacz Grusza, przeciwnie, kocham cię bardzo, ciebie, Aloszę, Iwana i...

— I Katarzynę Iwanównę, — zawołała Grusza z uniesieniem.

— Tak, Gruszo! i Katarzynę, kocham teraz wszystkich, nie umiem już nienawidzieć.

Grusza wybuchnęła śmiechem.

— Zwaryował zupełnie, wszystkich chce kochać.

— Nie inaczej, i ty tak samo, ty także musisz wszystkich kochać.

— Nawet Bondarewa?

— Nawet Katarzynę Iwanównę — odparł poważnie Mitia.

Wspomniany Bondarew był to ograniczony, brutalny oficer, który prowadzić miał partyę, więźniowie byli obecnie zdani na jego łaskę.

— Bracie! — rzekł Alosza — Katarzyna już nie przyjdzie i poleciła mi pożegnać cię i pobłogosławić na drogę. Mnie zostawiła wykonanie planu ucieczki.

— Tobie! jak to dobrze, ty już potrafisz wyprowadzić ich wszystkich w pole, mój ty święty obłudniku. Czy wiesz, że ty jesteś straszny człowiek?

Alosza uśmiechnął się słabo.

— Przyrzeknij mi tylko, że spełnisz wszystko, czego od ciebie żądam — rzekł prawie uroczyście do brata. Mitia bez chwili wahania zgodził się na wszystko.

Nieznaczny uśmiech przemknął przez usta Aloszy.

— Słuchaj, bracie — mówił spokojnie. — Grusza i ja pójdziemy za tobą w przebraniu aż do trzeciego etapu. Ty staraj się spać i nabierać sił przez pierwsze dwa dni na trzecią noc bądź gotów. Przyniosę ci przebranie, które włożysz na siebie i uciekniesz; Grusza czekać będzie na ciebie. Wszystko już gotowe. trójka, która cię odwiezie do dworca, pasporty i bilety kolejowe.

— To cudownie! — zawołał uradowany Mitia. — Jak to dobrze, że to ty kierujesz wszystkiem, jak anioł stróż, miałem cię zawsze za anioła.

Bracia uściskali się.

W tej chwili wszedł odźwierny, oznajmiając, że Konstanty Semenowicz Bondarew czeka już konno, gotów do drogi i klnie straszliwie.

— Obiecuje, że poganiać was będzie knutem — to bardzo gwałtowny człowiek.

— Pijany poprostu — rzekł Dymitr, wzruszając ramionami. — Do widzenia Grusza, bywaj zdrów Alosza!

Na dziedzińcu więziennym słychać było zmieszane głosy ludzkie, nad którymi górował ochrypły, pijacki głos Bondarewa. Dymitr wyszedł blady, z zaciśniętemi zębami i stanął pomiędzy dwoma złoczyńcami. Bondarew obsypał ich wszystkich przekleństwami i mały oddział wyszedł z dziedzińca. Na ulicy oczekiwały już trzy kibitki, na które wsadzono więźniów.

— Cierpliwości bracie! — zawołał Alosza.

Wszystko odbyło się, jak przewidział Iwan. Wiadomo, że urzędnik i żołnierz rosyjski nie są bynajmniej nieprzystępni dla przekupstwa. Zadanie Aloszy ułatwione jeszcze było tym szczególnym urokiem, jaki wywierał on na wszystkich, którzy się z nim stykali. Musiał jednak używać pieniędzy i wódki, jak inni.

Na trzecim etapie, Alosza i Grusza, przebrani za chłopów, oczekiwali na więźniów, wmieszani w tłum miejscowy, który wyległ na ulicę dla przyjrzenia się skazanym. W chwili, gdy Bondarew zsiadł z konia, Alosza zbliżył się do niego i zaprosił go dobrodusznie do swojej chaty na kieliszek i zakąskę. Był to fakt bardzo powszedni i oficer nie dał się dwa razy prosić, orzeczuwając suty poczęstunek, którego mu zwykle po drodze nie szczędzono. Tam Alosza, który był w zmowie z gospodarzem owej chaty, zabawiał go rozmową, podsuwając mu stale kieliszki mocnej, w istocie doskonałej, wódki.

— Gdzie to wasza wielmożność prowadzi tych biedaków? — pytał niewinnie Alosza.

— Biedaków! To zbóje! zwłaszcza ten trzeci, zabił on dwie swoje żony i dwóch braci.

— Dwie żony i dwóch braci! — powtórzył z podziwem Alosza.

— I to w okropnych mękach. Ale skąd to macie taką wyśmienitą wódkę? — spytał podejrzliwie Bondarew, — już ja tu nosem czuję, że musicie prowadzić kontrabandę.

— Boże uchowaj — bronili się obaj. — Mamy w mieście kuma gorzelnika, ten nam przysłał parę baryłek. Jeżeli wasza wielmożność raczy pozwolić, służyć możemy.

— Che! che! nie głupie z was mużyki, — zaśmiał się oficer, zataczając się już niepewnie. Alosza dolewał mu coraz częściej, .. gdy się przekonał, że wódka zrobiła swoje, udał się na poszukiwanie naczelnika etapu. Poznał go, raczej domyślił się po przebiegłej twarzy i szepnął, przechodząc mimo.

— Gerasin Mikołajewicz?

Etapowy spojrzał nieufnie.

— Jestem bratem Iwana Fedorowicza.

Etapowy dał mu znak ręką, by poszedł za nim na górne piętro, tam porozumieli się.

Przekupienie żołnierzy, strzegących więźniów, przyszło już bez trudności, każdy, z nich dostał po kilkadziesiąt rubli, za co pozwolili Dymitrowi przejść na górne piętro; nie przeczuwali zresztą ucieczki i sądzili, że chodzi tylko o chwilkę rozmowy Dymitr nie wiedział także, na czem opiera się plan Aloszy, nie byłby się bowiem zgodził.

Naczelnik etapowy dostarczył już był klucza od kajdan, żądając tylko, aby cała rzecz odbyła się w czasie jego chwilowej nieobecności; za powolność swoją otrzymał 5 tysięcy rubli. Alosza dostarczył Dymitrowi chłopskiego ubrania zupełnie takiego, jak to, w którem sam przyszedł.

Gdy wszystko już było gotowe, Alosza rzekł:

— Czas już Mitia, Grusza czeka na ciebie i musi być niespokojna.

— A ty, bracie?

— Nie możemy wyjść razem, bo zwróciłoby to uwagę — odparł Alosza, odwracając głowę dla ukrycia zmięszania.

Mitia dał się ostatecznie nakłonić. Wychodząc, odwrócił się raz jeszcze, aby pożegnać brata. Opowiadał potem, że nigdy jeszcze nie widział u nikogo takiego wyrazu.

Rezygnacya, odwaga, poświęcenie, pogarda cierpienia malowały się na jego twarzy.

Po wyjściu Dymitra, Alosza ukląkł i pomodlił się chwilę, potem rozebrał się bez pośpiechu i włożył na siebie więzienny strój Miti.

Przystosował, jak mógł, kajdany do rąk i nóg, i zeszedł cicho na dół do sali etapowej, gdzie wszyscy żołnierze spojeni poprzednio, leżeli pokotem. Żaden się nie obudził i Alosza zajął bez przeszkody miejsce uwolnionego brata.

Tam usnął natychmiast prawie. Spokojny był zupełnie, czując się czystym w sumieniu. Wówczas miał sen. Ten, którego nazywał zawsze ojcem i mistrzem swoim, starzec Zosima stanął przed nim, a położywszy mu ręce na głowę, złożył pocałunek na jego ustach.

— Synu, — rzekł, — to pierwszy twój czyn, dobrze zaczynasz życie. Posłałem cię w świat umyślnie, abyś poznał, co to boleść. Gdybyś został mnichem, życie twoje byłoby nadto świeże i błogie, trzeba też było nieszczęścia, abyś i ty miał swój udział w ludzkich cierpieniach. Ty jeden zresztą ocalić mogłeś swoją rodzinę, tyś powstrzymał od zbrodni Dymitra i tyś ułagodził wyrzuty Iwana. Poświęciłeś się dziś za brata, później poświęcisz się dla rodziny, dla ojczyzny, dla całej ludzkości wreszcie. Wtedy zrozumiesz jasno, że życie jest rajem dla tych, którzy kochać umieją. Piekło, to tylko brak miłości i ci, którzy żyją, nie miłując, za życia już mają piekło. Gdyby ludzie zechcieli to raz zrozumieć, raj zapanowałby na ziemi. Nam to, cichym i prostym sługom Bożym, powierzony jest obowiązek szerzenia tej wielkiej prawdy wśród ludzkości. Świat szydzi z nas i uważa za bezpożytecznych, a przecież ileż to między nami chroni się dusz, łaknących ciszy, spokoju i modlitwy. I powiadam ci, że oni to, ci ludzie prości i cisi, przyniosą zbawienie naszej ojczyźnie. Ludzie świeccy uznają tylko naukę, przemawiającą do logiki zmysłów, opierając się na tej nauce, ogłosili światu powszechną wolność, lecz spójrzcie tylko, w co obróciła się ta wolność w ich rękach. Niewola i samobójstwo. Niewola, gorsza od starożytnej, bo niewolnik rzymski czuł się wolnym przynajmniej w chwili, gdy nie miał nad sobą wzroku swego dozorcy, dzisiaj zaś, będąc niewolnikiem własnych żądz, ani na chwilę nie zazna swobody. W ten sposób biedni i bogacze giną jako ofiary samobójczego egoizmu, jedni z nadmiaru używania, inni z na-

miętnej zawiści, którą topią w pijaństwie, zatruwając się alkoholem. Przyjdzie wreszcie czas, gdy zamiast wina, popłynie krew. Wy, mnisi, żyjecie blisko ludu i od was może przyjść zbawienie. Lud ma waszą wiarę i on jeden zwycięży kiedyś ateizm. Strzeżcie więc duszy ludu i oświecajcie jego umysł. Po tobie, Aleksy, spodziewam się wiele, ale pamiętaj, że nikt niema prawa sądzić drugiego, bo nieraz sędzia, zasiadający w trybunale, winniejszy jest od tego, na którego wyrok wydaje. Zresztą, nie miej trwogi, wyjdziesz cało z tej pierwszej próby.

Starzec przeżegnał Aloszę, który w tej chwili zaczął się budzić. Gdy otworzył oczy, był już dzień, dokoła niego tłoczyła się gromada ludzi o twarzach ogorzałych, dzikich i brutalnych. Żołnierze, stróże jego, ci niewolnicy knuta i ślepej uległości zalęknieni poczuciem odpowiedzialności, patrzyli na niego na wpół wrogo, na wpół ze strachem ale on uśmiechał się.

Obudziwszy się z pijackiej drzemki. Konstantyn Semenowicz Bondarew miał wielką ochotę zatłuc więźnia na miejscu, gdyby nie wdanie się naczelnika etapu, który zwrócił uwagę gorliwego oficera, że może być na nowo ukarany za tak samowolnie wymierzoną sprawiedliwość. Bondarew pocieszał się tylko wogóle, że Alosza stanie przed sądem i poniesie tę samą karę, na jaką był skazany Dymitr. Odprowadził go więc pod strażą do miasta, gdzie Alosza został osadzony w więzieniu. Zaczął się więc nowy proces. Katarzyna Iwanówna chciała koniecznie wezwać obrońcę, znakomitszego jeszcze, niż ten, który bronił Dymitra, ale Alosza odmówił stanowczo.

— Siostro, — rzekł jej, — nie chcę uchylać się od odpowiedzialności za swój czyn. Dymitr był wprawdzie niewinny, ale, oswobodzając go, popełniłem uchybienie względem praw mego kraju i winienem im potem zadość uczynienie, zresztą, naraziłem na gniew przełożonych, tych, którzy strzegli Miti, wszystko to wymaga ekspiacyi.

— Ależ to szaleństwo, Aleksy! Taki człowiek, jak ty, niema prawa się gubić, nadto jesteś potrzebny nam wszystkim, krajowi wreszcie.

Alosza ruszył ramionami.

Przepraszam cię, Katarzyno Iwanówno, czyż, nie rozumiesz tego sama, że człowiek, który chce prowadzić innych, musi być i sam nieskazitelny? Nie chcę, żeby mówiono o mnie, Aleksy Karamazow jest złodziejem, bo ukradł wolność swego brata. Muszę ponieść odpowiednią karę, lub też otrzymać przebaczenie, a wtedy dopiero czuć się będę wolnym od winy. Zresztą, nie troszcz się o mnie, siostro, i nie wzywaj obrońcy, bronić się będę sam, już wiem, co powiem.

Pani Chachłakow odwiedziała także więźnia, obsypując go gradem pytań i pełnych zachwytu wykrzykników.

— Aleksy Fedorowiczu, — wołała, — ciebież to widzę w tem miejscu zbrodni i kary? Jakież to wzniosłe to, co zrobiłeś, gdybym ja była sędzią, wyznaczyłabym ci nagrodę. Ty, który zbawiasz wszystkich, ocal mi córkę, westchnij za nią do wszystkich świętych. Czy przynajmniej pojedziesz do kopalni złota?

— Kogóż to wysyłasz tam, mamo — zabrzmiał w korytarzu przenikliwy głosik Lizy.

— Ach Boże! zapomniałam. To Liza, musiałam ją tu przywieźć. Choruje, od kiedy cię uwięziono. Czy wiesz, Aleksy Fedorowiczu, jeżeli nie zmieniłeś zamiarów, oddaję ci ją teraz z matczynem błogosławieństwem. — Mówiąc to, pani Chachłakow zrobiła gest patetyczny. Alosza posunął się ku drzwiom na spotkanie Lizy, która śmiała się, jak zwykle, chociaż w głosie jej czuć było łzy.

— Jak się masz, droga Lizo — rzekł Alosza.

— Droga Lizo, ośmiela się mówić mi droga. Zrobiwszy to, co zrobił.

— Mówiłem ci przecie — rzekł poważnie Alosza, — że w sprawach ważnych radzić się będę tylko własnego sumienia. Zresztą, bądź spokojna, wyjdę zwycięsko z tej próby.

Proces Aloszy odbył się w zupełnie innych warunkach, niż Dymitra. Kochano go w całem mieście tak, jak niecierpiano tamtego i każdy pragnął jego uwolnienia. Prokurator nawet sformułował zupełnie inaczej akt oskarżenia, kładąc silny nacisk na mistyczny umysł oskarżonego, który działać mógł pod wpływem wyższych praw moralnych.

"To także Karamazow, panowie — mówił on — tylko, że rodowa namiętność skierowała się u niego ku dobru i stała się tą wiarą, która góry przenosi". Mówił i da-

lej w tym duchu, a gdy skończył, oklaskom nie było końca.

Przewodniczący zadał Aloszy zwyczajne pytanie, czy ma co powiedzieć na swoją obronę?

Myślano zaś powszechnie, że oskarżony nie zabierze wcale głosu i ograniczy się, jak zwykle, do słodkiego skinienia głową. Wbrew jednak temu przypuszczeniu, Alosza powstał i chciał przemówić.

W sali uciszyło się natychmiast. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Wszystko jednało mu ogólną sympatyę. Młodość jego, piękna twarz, szlachetna postawa, poświęcenie dla brata. Kobiety ocierały łzy na myśl, że mógł być skazany na ciężkie roboty.

— Nie chcę się bronić — rzekł spokojnie Alosza — i niczego się nie zapieram, ukradłem wolność dla mego brata, który padł ofiarą pomyłki sądowej, o co zresztą nikogo nie obwiniam. Nie będę próbował udowadniać jego niewinności, bo teraz zapóźno i nie uwierzylibyście mi; nie żałuję mego czynu, czuję się jednak w obowiązku wyznać wam, że oddałem się dobrowolnie w ręce wasze, bo gdybym chciał, mógłbym był uciec wraz z bratem moim; chciałem jednak dać wam sposobność wymierzenia jeszcze raz sprawiedliwości, bo wiedzcie o tem, że, potępiając mnie, potępicie powtórnie mego brata; jeżeli zaś uwolnicie mnie od oskarżenia, dowodzić to będzie, że i brata mego macie za niewinnego; zawinił on jedynie myślą, a raczej słowem, bo rzucał groźby przeciw ojcu, groźby, którychby nigdy nie spełnił, które jednak były grzechem. Za grzech ten chyba został dostatecznie ukarany publicznem upokorzeniem i niesłusznym wyrokiem.

Wszyscy, którzy pośrednio lub bezpośrednio tu zawinili, ponieśli już karę. Prawdziwy morderca zbrodnię opłacił życiem, brat mój, Iwan, czysto duchową winę odpokutował chwilowem, mam nadzieję, obłąkaniem, sądzę więc, że wasze poczucie sprawiedliwości jest już dostatecznie nasycone.

Co do mnie, poddam się bez szemrania waszemu wyrokowi i przyjmuję go z góry, bez względu na to, jak wypadnie.

Gdy umilkł, ogólne wzruszenie ujawniło się milczeniem, przerywanem łzami.

W tej chwili ruch jakiś zrobił się koło drzwi i do sali weszła młoda dziewczyna, blada i z rozwianym włosem...

Była to Liza...

Usuwano się jej z drogi ze zdziwieniem, wszyscy bowiem wiedzieli o jej chorobie, że nie może chodzić o własnych siłach. Ona szła prosto przed siebie, z wzrokiem utkwionym w sędziów i zatrzymała się przed trybunałem.

— Liza! — zawołała Katarzyna, śpiesząc ku niej, by ją podtrzymać, ale dziewczyna wstrzymała ją ruchem ręki.

— On niewinny! — zawołała przenikliwym głosem — on święty! uzdrowił mnie!

Słaniała się ze wzruszenia. Przewodniczący dał znak woźnym, aby jej przyszli z pomocą. Wielki był już czas na to, bo złamana wysiłkiem, utraciła na chwilę przytomność. Wrażenie jednak było niesłychane, sędziowie nawet ulegli wzruszeniu! Łzy, okrzyki, zachwyt! Alosza jeden spokojny był, uśmiechając się do tych wszystkich ludzi, garnących się do niego z taką miłością. W tej chwili czuł w sercu więcej, niż radość, więcej, niż szczęście.

I stała się rzecz niesłychana w dziejach naszego sądownictwa. Przysięgli nie udali się na osobność, lecz publicznie, jawnie, jednomyślnie, wydali wyrok uniewinniajcy.

Katarzyna Iwanówna zabrała do siebie Lizę i Aloszę, po drodze robiono im owacye. W mieszkaniu Katarzyny spotkała ich pani Chachłakow, która przybiegła tu zrozpaczona, nie wiedząc, co się stało z Lizą; zdumienie i radość sprawiły, że była tym razem wstrzemięźliwszą w słowach.

Tegoż dnia odbyły się zaręczyny Aloszy z panną Chachłakow. Katarzyna patrzyła na Aloszę ze czcią prawie, on zaś miewał dziwne uśmiechy i głębokie spojrzenia w dal, jakby przewidując przyszłe swe losy.

Iwan wolno bardzo powracał do zdrowia.

KONIEC

ŁOWY JAGIEŁŁOWE

Opowiadanie Historyczne

Pierwsze brzaski poranku lekko poczynały barwić wierzchołki olbrzymich drzew puszczy, u stóp których noc powoli ustępowała miejsca dziennemu światłu. W głębi boru panował lekki półmrok, niebieskawe mgły snuły się jeszcze po bagnisku skąd spędzone powiewem rannego wiatru, szukały schronienia w gęstwinie leśnej. Bagno pokrywały rudawe trawy i oczerety, spieczone promieniami słońca, a choć teraz chłody jesienne i obfite rosy wilżyły rośliny i krzewy, była to jednak pomoc spóźniona, nic bowiem nie może powrócić raz straconej barwy i młodości wiosennej. Karłowata, żółknącym liście pokryta drzewina i krzaki, dopełniały widoku, odbijając barwną sylwetę na ciemnej ścianie boru, który nieprzerwanem pasmem ciągnął się po obu stronach błotnistej przestrzeni. Środkiem bagna, tworząc tu i owdzie jeziorka i zatoki, sączyła się Narew, biorąc właśnie początek śród Białowieskiej puszczy. Puszcza Białowieska, przeważnie sucha, prócz niewielkich bagienek i leśnych jeziorek, dotyka swym południowo-wschodnim krańcem właśnie do omawianego bagniska, które zresztą leży po za jej właściwą granicą. Lecz ktoby tę granicę dopatrzył ongi w naturze. Znali ją pewnie osacznicy, znał ją może jaki stary łowczy królewski. Dziś puszcza, licząc około 23-ch mil kwadratowych przestrzeni, z siedmiomilową długością i sześciomilową szerokością, stanowi zaledwie cząstkę tych leśnych obszarów, które pokrywały prawie nieprzerwanym ciągiem gubernię grodzieńską, wileńską i mińską.

Na skraju ściany wielkiego boru śród małej polanki opuszczającej się łagodnie ku bagnu, stał stary brodaty król puszczy Białowieskiej, żubr, gdy reszta stada około 30-tu sztuk liczącego, swobodnie zażywała darów przyrody, śród gąszczów nadbrzeżnych. Kilkoro małych żubrząt, mocno kosmatych, igrało na polance, już-to borykając się z sobą, już postawiwszy sztywno ogon biegały bez upamiętania, wpadając co chwila w zarośle dla opędzenia dokuczliwych owadów, które w miarę, jak poranna zorza rozpraszała noce cienie, stawały się coraz dokuczliwsze, zmuszając nieraz całe stado do zażywania błotnych kąpieli. To też o ile zimą wszelaki zwierz trzyma się więcej zwartego lasu, o tyle z nastaniem ciepła chronić się zwykł pomiędzy nizkie, bardziej przewiewne zarośla, w pobliżu wód i bagien.

Tu śród kęp i oczeretów, w gąszczu nieprzebytych zarośli, kryją się wilcze łęgi, umiłowały też sobie pobyt śród bagien łosie, którym nizkie krzewy liściaste dostarczają pokarmu i ochrony. Toż samo czynią jelenie i sarny, a kilkomilowa przestrzeń bagna staje się dla łowca spiżarnią, z której tylko należy umiejętnie czerpać. Uroczysta, jesieni właściwa cisza zaległa leśne i błotne przestrzenie. Niebieskawe mgły, przysłaniające zlekka dalsze plany krajobrazu, powoli nikły zamieniając się w błyszczące krople rosy.

Stary żubr, który zdawał się być na straży całego stada, co pewien czas grzebnięciem racicy, wyrzucał pod siebie sucha wybitą z pod murawy ziemię, tworząc tumany kurzu dla opędzenia coraz bardziej naprzykrzonych owadów. Lecz oto stało się coś niezwykłego: najprzód strażnik, następnie inne żubry poczęły coś wietrzyć niespokojnie i nasłuchiwać, poczem na głośne parsknięcie wodza zbiegło się całe stado, a wziąwszy młode do środka, stanęły w obronnej pozycyi, tworząc rodzaj czworoboku zbrojnego w ostre rogi i potężne karki. Zdawało się, że nic nie przerywa ciszy, że nic nie zagraża, po chwili jednak bystre oko stojącego na wzgórzu widza spostrzegłoby w dali na bagnisku, że trzciny co pewien czas poruszają się w jednem miejscu trochę inaczej, niż na postałej przestrzeni bagna, że miejsce to zda się zwolna przybliżać, a niebawem lekki, prawie niepochwytny szelest przyniósł z sobą powiew wiatru. I oto plusnęło coś w oczeretach, rozstąpiły się sitowia i bujne trawy, a opodal nadbrzeżnej polany ukazał się łeb samura, za nim postępowa-

ła wilczyca ze szczenniętami. Gorączkowy pośpiech i pora niezwykła na wilcze spacery, zdawała się upewniać w przekonaniu, że jakaś poważna przyczyna wygnała potomków karmicielki Romulusa z zacisznego legowiska. Nie zwracając uwagi na żubry, wilki wypadłszy z zarośli pomknęły w głąb lasu, a po chwili wszystko wróciło do dawnego spokoju, który jednak nie miał być długotrwałym.

Niebawem coraz częściej zaczęły poruszać się zarośla, podrywały się z krzykiem dzikie kaczki i coraz częściej w różnych punktach widać było grzbiety i łby wilcze, wynurzające się z traw bagniska, które w tem miejscu poczynało się zwężać, zamieniając powoli w łąkę.

Niektóre z wilków wydostawszy się na brzeg, przystawały, a zawróciwszy na miejscu, nasłuchiwały pilnie, poczem szybko w dalszą ruszały drogę. Chrzęst łamanych gałęzi i charakterystyczne kląskanie błotnistej ziemi, gdy po niej stąpa zwierz ciężki, zapadając głęboko racicami, zapowiedziały większego mieszkańca puszczy i oto z mgieł białych wynurzył się łeb zdobny rozłożystemi płasko-rogami, za nim drugi i trzeci, a po chwili całe stado idących gęsiego łosi, pociągnęło brzegiem rzeki. Śród boru mignęły się jelenie, a od strony moczarów w coraz większej ilości zaczęło przelatywać wodne ptactwo, które, zwykłe zbierać się przed odlotem na jeziorkach i moczarach ustronnych, zostało widać na większej przestrzeni spłoszone.

Żubry, utrzymując pozycyę obronną, także zdawały się niepokoić, wietrząc i nasłuchując. Zwierz ten niechętnie opuszcza zajmowane ostępy, a przepędzony, niebawem powraca w rodzinne knieje. Lecz jakieś z początku niewyraźne, a następnie coraz głośniejsze słychać w oddali pokrzyki. Ówdzie coś nakształt grania rogu, to znów jakby dalekiej kłótni odgłosy przynosił wiatr od strony moczarów. Żubry postały jeszcze chwilkę, a następnie ruszyły zwolna w głąb puszczy, trzymając się lewego brzegu rzeki. Już słońce wyjrzało z za osnutego w mgły lasu, zamigotały trawy kroplami rosy, a gdzie jaki zwierz przebiegł, znać było ciemną smugę pozbawionych tej ozdoby roślin.

Krzyki tymczasem stawały się coraz wyraźniejsze, już można było odróżnić oddzielne wołania. Co pewien czas odzywały się rogi myśliwskie, znaczące kierunek naganki; przed obławnikami pomykał zwierz drobniejszy, jak: sarny, lisy lub spłoszony z mniejszych zarośli szarak.

Znać wiele ludu spędzono na obławę, zajmując nią ogromny kawał puszczy. Owe bagniste źródeł Narwi przestrzenie zdawały się teraz pełne ludzkich głosów, których nieprzerwany ciąg ginął w przestrzeni, a oddalając stopniowo, łączył się z szumem lasu. Obława postępowała z południo-wschodu na północno-zachód. Na prawem skrzydle jechał, trzymając się nieopodal mokradeł nadbrzeżnych, mężczyzna ogorzały i obrośnięty, tak, że zaledwie paru jasnosiwych oczu, nos i niewiele co z oblicza były wolne od wyblakłego na ciągłem słońcu blond zarostu. Głowę jeźdźca pokrywała z rysiego futra czapka, łosiowy z sierścią wyprawny rodzaj kaftana, nadziany był na białą wełnianą suknię, jedną z tych, jakie rozdawano z woli królewskiej w darze nowoochrzczonej Litwie. Jeździec nogi miał oddziane w skórzane szarawary, a stopy w takież łapcie, podtrzymywane przez dwa surowcowe rzemienie, które gęsto oplatając łydkę, aż pod kolana sięgały. Z tyłu u baranicą krytego siodła przytroczono z niedźwiedziego funtra opończę i worek z jadłem. Kołczan, sajdak ze strzałami, tatarskiej mody tarcza, krótki nóż w lipowej pochwie u pasa i oszczep w ręku, dopełniały uzbrojenia. Koń grubo płaski, żmudzin wilczasty, z czarną, prawie ziemi sięgającą grzywą, sam wybierał sobie drogę śród zarośli, gdyż jego pan zajęty był wydawaniem ciągłych rozkazów, które, przechodząc z ust do ust, sięgały aż drugiego końca linii obławników. Objąwszy bagno, miano posuwać się prawem skrzydłem w dół Narwi, gdy lewe, zataczając półksiężyc, po wyjściu z bagna, obejmowało kawał puszczy z lewej strony rzeki. Na rzece kilka wyżłobionych z lipowego pnia łodzi płynęło wolno, a siedzący w nich osacznicy długiemi żerdziami nadawali bieg właściwy, bacząc, aby zwierz wpław nie przedostał się z powrotem. Co dziesięciu chłopa szedł dziesiętnik, co dziesięć dziesiątków setnik, otrębując co chwila na rogu, aby prowadzący obławę łowczy, mógł miarkować, gdzie śród gąszczarów, postępuje linia naganiaczy. Łowczy, był nim właśnie tylko co opisany jeździec, brał co jakiś czas oszczep pod kolano, a ująwszy ogromny róg stepowego wołu, wydobywał kilka silnych tonów, które w wielu razach

zastępowały jako umówiony znak, ustną komendę.

Za jeźdźcem poczęli się ukazywać w zaroślach pustępujący w szeregu obławnicy. Ich dzikie, nawpół odziane w skóry postacie, broń, złożona z krzemieniami nabijanych pałek, ostro zaciosanych i osmalonych drągów, łuków ze strzałami o krzemiennych grotach — wszystko, dawało dokładny obraz ludzi, dla których bory były całym światłem, a pogoń za zwierzem — rzemiosłem. Szli raźno , przeskakując z kępy na kępę, lub brodząc często po pas w oparzelistem bagnie, gwizdanie i krzykiem płosząc wszelkiego zwierza.

* * *

Książę Witold po kilkakroć obiegał linię stanowisk, pytając, czy nie pokazało się jeszcze, gdzie stado żubrów, na które w tym ostępie na pewno liczono, żubry jednak czując zasadzkę trzymały się wnętrza kniei, zwolna tylko ustępując przed naganką. Książę zmieniwszy konia, których kilka trzymali nieopodal luzacy, pomknął w głąb ostępu na poszukiwania. Nie skończyła się jeszcze gonitwa po polanie za jeleniami, gdy w tem zakotłowało się coś w głębi puszczy, jakiś szum, trzask i łoskot zastrzęsły powietrzem. Myśliwi, zajęci jeleniami, nie odrazu zoryentowali się, skąd ten hałas pochodzi, a tymczasem on rósł, przybliżając się i potężniał. Drożyną leśną, wydeptaną przez dzikiego zwierza, przesadzając powały, pędził co koń wyskoczy, jeździec, za nim o jakie sześćdziesiąt kroków śród kurzawy wybitej z pod suchych mchów, łamiąc krzewy i gałęzie, leciało ławą całe stado żubrów. I nim myśliwi na polanie byli w stanie opamiętać się, zadudniała ziemia, kurz zakrył drzewa. Uciekający jeździec, wypadłszy z lasu, zatoczył koniem koło i cwałem rzucił się z powrotem, a tuż za nim, jak huragan, tratując wszystko po drodze, wypadły żubry. Zoczywszy jeźdźców na polanie, pędziły jak wściekłe, zapomniawszy o ściganym rycerzu. Straszny zamęt powstał tam, gdzie przed chwilą wesoło uganiano się za rogaczami, Myśliwi, zaskoczeni znagła, nie mieli czasu pomyśleć o bezpiecznem schronisku, a nawet o ucieczce. Konie przerażone zaczęły ponosić w różne strony, tratując pieszych. Obłok kurzu ogarnął polanę, a w tym obłoku wrzało i kotłowało się, jęki i krzyki ludzkie mieszały się z kwikiem wierzgających koni, z ujadaniem i skowytem psiarni.

Co chwila śród tego skłębionego pyłu wynurzały się ciemne, pełne grozy postacie żubrów, w powietrzu latały wyrzucone racicami; gałęzie, kamienie; ciśnięty do góry uderzeniem rogów, pies skomlił żałośnie. Olbrzymi żubr unosił na swym potężnym karku konia, zaplątawszy rogi we wnętrznościach nieszczęsnego rumaka.

Oblany posoką, która zaciemniała mu wzrok, pędził na oślep, aż uderzywszy łbem o pień dębu, padł z rozbitą czaską. Ze wszystkich stron ozwały się rogi dziesiętników, zwołując na pomoc, lecz nim najbliżsi zdołali przybiedz, już niszczące zjawisko przeleciało polanę, ginąc śród zarośli. Za niem z wzniesionym oszczepem gonił książę Witold i kilku dojeżdżaczy, do których przyłączyło się niebawem paru ocalonych w pogromie jeźdźców. Długo jeszcze słychać było trzask i tentent w głębinach boru, aż wszystko przytłumiła przestrzeń.

Na polanie szamotało się kilka ranionych koni, wyły i skomliły potratowane psy, leżąc śród kałuży krwi ludzkiej i zwierzęcej. Nadbiegli osacznicy, zaczęli nieść pomoc rannym myśliwcom, których układano na mchu pod drzewami. Dwa trupy oszaczników, którzy pierwsi dostali się na rogi i pod racice żubrów, były literalnie rozszarpane i wdeptane w ziemię i tylko ze strzępów odzienia można było domyśleć się zwłok ludzkich.
połamana broń dopełniały obrazu pobojowisku, pośrodku którego olbrzymi żubr

Okrwawione kawałkiskóry z sierścią, z oszczepem, wbitym niezwykłą siłą ręki w krzyże, podniósłszy się na przednie nogi, daremnie usiłował powstać. Dalej nieco u stóp dębu leżał drugi, ten padł śmiercią samobójcy, o czem wspominaliśmy powyżej. Kilka innych żubrów, mniej lub więcej rannych, uszło z pobojowiska, ginąc następnie z ręki pogoni. Nadciągnęła obława, zaczęto zbierać i ściągać na stosy ubitą zwierzynę, noc bowiem zapadła, a pozostawione w puszczach sztuki mogły uledz rozszarpaniu przez wilki lub niedźwiedzie, których w one czasy puszcza była pełną. Dalej w boru padłą zwierzynę pilnowali Tatarzy, a założywszy arkany końmi zwłóczyli do najbliższych stosów.

Łowy na dziś były skończone. Śród

puszczy zajaśniały ogniska, przy których rozłożyła się naganka, pilnując jednocześnie ubitego zwierza. Łowczy objeżdżali linię, wydając rozkazy na jutro, służba obozowa rozwoziła w łubianych sakwach żywność, a w oddaleniu grały rogi, zwołując rozpierzchłych po puszczy łowców. Powoli cisza zaległa knieje, aby nazajutrz znów ustąpić miejsca w innej stronie boru gwarowi zapasów łowieckich.

Nad brzegiem Narwi, korzystając z pięknej nocy, szykowano beczki, znoszono na brzeg sól przywiezioną statkami, gdyż jutro, skoro świt, zabrać się trzeba będzie do ćwiartowania i solenia w beczkach mięsa z zabitej zwierzyny, którą też niebawem na skrzypiących telegach, kołach jednolitych z pnia rzniętych, poczęto zwozić, układając na brzegu rzeki. Kilku konnych ciwunow z pletnią w ręku uwijało się, pilnując robotników, gdy inni zasypiali w szałasach, by równo z dniem zluzować nocną pracą znużonych towarzyszy. Na rzece wiązano z potężnych kloców tratwy, które naładowane beczkami z solonem mięsiwem miały popłynąć Narwią do Wisły, a następnie Wisłą do Płocka, gdzie mieściły się składy żywności dla wojska przeznaczone na przyszłą potrzebę krzyżacką. Zawieszenie broni kończyło się 24 czerwca w następnym 1410-tym roku, poczem katastrofa była nieuniknioną. Oręż musiał ostateczny kres położyć niesnaskom między Litwą, Koroną, a Zakonem.

* * *

Ktoby znalazł się niespodzianie śród stanowisk łuczników i oszczepników, idąc zwłaszcza od strony naganki, pewno minąłby łowiecką linię, nie domyśliwszy się, że z po za drzew i krzaków spoglądają nań bystre oczy osaczników; taka niczem nie zamącona cisza panowała naokół. Człowiek i zwierz dziki, prowadząc z sobą odwieczną walkę, wzajem od siebie korzystali. Zwierz uczył się unikać zasadzki, wykazując w tem niejednokrotnie zmysł iście ludzki; człowiek, doskonaląc się w skrytych podchodach i zasadzkach, przechodził drapieżników puszczy, jak: rysie i żbiki, wzorując się na tych ostatnich w ukrywaniu po dziuplach wypróchniałych drzew lub śród konarów starych dębów, klonów, jodeł i innej leśnej drzewiny.

Już oddziały łowców zajęły swe stanowiska, a w pewnem oddaleniu po za niemi przedzielony gołoborzem, stanął orszak królewski, gdy po nad drzewami z krzykiem przeleciały dzikie gęsi.

— Obława już ruszyła — rzekł, wskazawszy na nie Wojdyło, który objechawszy linię myśliwych przyłączył się do orszaku. — Na grubszą zwierzynę długo jeszcze przyjdzie czekać, dorzucił, zeskakując z konia, co gwoli zaoszczędzenia sił rumaków na potem, uczyniła i reszta jeźdźców.

Na powalonej kłodzie usiadł król Władysław, jak zwykle w tych czasach zadumany i z troską na czole, książę Witold zaś, chodząc tam i sam, gwarzył z cicha z dworzanami.

— Niech mi który ruszy i zapowie, by z psami nie zbliżano się zbytnio do stanowisk, gdyż niewczesnem szczekaniem mogą popsuć robotę; przydadzą się na potem, gdy trzeba będzie dojeżdżać zwierza rozproszonego po lesie. A ty, beczko solonej wieprzowiny, ciągnął dalej książę, zwracając się do jednego z dworzan niezwykłej tuszy, każ Tatarom rozjechać się i zająć półksiężycem jak największą przestrzeń po za nami, a jedź cieniem, abyś się na słońcu nie roztopił, dorzucił wesoło.

Żart ten książęcy, będący dowodem łaski, przyjęto przytłumionym śmiechem.

— Wielka mądrość przemawia przez usta wasze — ozwał się szpakowaty wojak ze świty królewskiej, że jego, a nie kogo z nas posyłacie do Tatarów. Głodne to i dzikie bestye łacno by mogły pozbawić waszą książęcą mość wiernego sługi, ale, że pono te niewierne sobaki świniny nie jadają, a winem się brzydzą, przeto i straty z tego mizeraka opłakiwać nie będziemy, jako, że on z tych tylko dwóch obmierzłych tatarstwu substancyi zda się być złożon.

— W takim razie was by jeszcze prędzej należało posłać, bo na takie stare i żylaste mięsiwo, nietylko Tatar, ale i wilk by się nie łakomił, mielibyście tedy nietylko pobyt w czambule, ale i podróż bezpieczną, ujął się za grubym towarzyszem jeden z dworzan.

Te i tym podobne żarty przerwało nadeiście Wojdyły, który kłaniając się nisko Jagielle — rzekł, że czas już dosiąść koni i rozjechać wzdłuż linii stanowisk. — Posłuchano rady doświadczonego łowcy i wnet podzieliwszy się na małe, po kilku jeźdźców, oddziałki, ruszono, by zająć od-

powiednie miejsce w gęstwinie. Jagielle, prócz kilku dworzan, towarzyszyli: Mikołaj Trąba i Zbigniew Oleśnicki:

Tylko książę Witold, jak w niespełna rok potem, na polach bitwy grunwaldzkiej, tak i teraz sam bez świty na rozhukanym rumaku bujał swobodnie po puszczy.

Ale oto i łowy się rozpoczęły, z łoskotem łamanych gałęzi przedzierało się w stronę gołoborza kilka sztuk łosi, lecz nim dobiegły do ostatnich drzew lasu, już niespodzianie, godząc idącego przodem rogacza, świsnęły następnie strzały i łoś podbiegłszy kilka kroków padł nieżywy. Stado ruszyło pędem, chcąc w innem miejscu wydostać się z zagrożonego ostępu. Manerw ten obserwowali z oddalenia stojący jeźdźcy i gdy łosie, utraciwszy kilku towarzyszy, wypadły na polanę, paru dworzan, wypuściwszy konie, z oszczepami w ręku puściło się za niemi w pogoń. A gdy jaki taki zwierz, dobywając ostatka sił, zdawał się unikać pościgu, z za starego dębu lub kępy młodych świerków wypadał arkan, rzucony wprawną ręką Tatara i biedny łoś w jednej chwili przymocowany do drzewa, padał pod razami dojeżdżaczy. Lecz to był tylko wstęp; główne zapasy miały rozpocząć się z chwilą, gdy żubry, których, prócz kilku starych na pojedynkę chodzących, znajdowało się całe stado w ostępie, wyjdą na łańcuch strzelców. Ponieważ głównym celem tegorocznych polowań, było zdobycie, jak największej ilości mięsiwa, przeto tu i owdzie przemknęły się wilki bezkarnie, a nawet puszczono mimo niedźwiedzia, z którym bez zbytecznego, jak na dziś hałasu, trudno by było się rozprawić.

Od strony puszczy, gdzie przeciągano sieci, przypadł na spienionym mierzynie jeden z łowczych, wołając, że olbrzymi tur przerwawszy zapory boryka się z oszczepnikami i pewno umknie, jeżeli nie przyjdą z pomocą jeźdźcy. Zaledwie żądana pomoc udała się cwałem w stronę wskazaną, a już na polanie ukazał się żubr niezwykłej miary. Minąwszy ukrytych osaczników, przystanął i zdał się przez chwilę namyślać, w którą podążyć stronę. Wtem z za drzewa, machając czerwoną płachetką, wyskoczył jeden z łowców, starając się zwrócić na siebie uwagę żubra. Gdy po chwoli spuściwszy ogromny łeb ku ziemi, z wygiętym grzbietem i wyprostowanym horyzontalnie ogonem wspaniały zwierz zaczał się zbliżać do śmiałka, ten umknąwszy za krzaki, na jednym z nich porzucił ową krasną płachtę, sam zaś przypadłszy do ziemi, chyłkiem schował się za stojącem opodal drzewem. Żubr porykując uderzył na krzew z płachtą. Tej chwili właśnie oczekiwali myśliwi. Z pomiędzy wszystkich pobliskich drzew wyskoczyli ukryci oszczepnicy, godząc w zajętego borykaniem się z krzakiem żubra. Łucznicy wypuścili groty i za chwilę byk najeżony kilkunastoma strzałami z oszczepem utkwionym w karku silnie farbując, zwrócił się wściekły na nieprzyjaciela, lecz tego już nie było na placu. Z podziwu godną szybkością wszyscy myśliwi wrócili do swych kryjówek. Stał więc, jakby zdziwiony, pan puszczy, z groźnym pomrukiem, krwawem okiem wodząc dokoła, szukał wroga, na którym mógłby pomścić swe rany. Za jednym z drzew mignął mu się cień ukrytego osacznika, uderzył więc w tę stronę, a gdy ów starał się ukryć lepiej, za olbrzymim pniem żubr rozpoczął gonitwę wokoło drzewa, a wtedy poblizcy towarzysze krzykiem i strzelaniem z łuków starali się odwrócić uwagę rozjuszonego zwierza od swej ofiary, w osobie myśliwca, który dotychczas zręcznie okrążając i kryjąc się za pniem, uniknął razów, jakie najczęście ze szkodą kory odbierał dąb sędziwy. Pomimo licznych ran, zadanych oszczepami, z których obecnie już kilka uwięzło w ciele olbrzyma i, jak się wyżej rzekło, wielu tkwiących strzał, żubr z podniecona bólem energią napadł i jedno pośliźgniecie napastowanego mogło dać go na rogi lub pod racice strasznego króla borów polskich. Walce tej przyglądał się ukryty śród zarośli na drugiej stronie polany, król Władysław, a widząc przebieg zapasów, kazał wypuścić sforę olbrzymich kundysów; te z zajadłością rzuciły się na nieszczęśliwego zwierza, szarpiąc niemiłosiernie. Żubr teraz począł umykać z fatalnej polany. Lecz oto z drugiej strony pola walki wysunął się na swym pysznym karoszu Jagiełło, a dawszy znak ręką towarzyszom, aby pozostali na miejscu, sam z podniesionym oszczepem pomknął za zwierzem. Żubr parę razy zwracał się do jeźdźca, lecz ten szybkim zwrotem konia uniknał natarcia, poczem zwierz, napastowany ciągle przez psy, ruszał pędem dalej. Za chwilę żubr, psy i jeździec zniknęli w głębi boru. Teraz na całej linii, obstawionej łańcuchem posterunków myśliwskich, zapanowała wrzawa. Zwierzyna, pło-

szona przez nagankę, coraz gęściej zaczęła wychodzić na stanowiska. Na kilkuwiorstowej przestrzeni zawrzała walka na śmierć i życie. Wypuszczono psiarnię, aby dochodziła rannego zwierza. Dojeżdżacze i konni dworzanie uganiali się śród gęstwin leśnych, już to dobijając rannego, już pędząc za sztuką, której bez szwanku udało się przejść linię łowiecką. Na polanę, gdzie po oddaleniu się króla, zostali podkanclerzy wraz z sekretarzem królewskim i nieco dworzan, wybiegło kilkanaście jeleni. Bez szkody dla siebie, pomimo miotanych pocisków minęły zasadzki, a zatrzymawszy się na środku gołoborza, zaczęły rozważać, w którą ruszyć stronę, spostrzegłszy zaś jeźdźców, rzuciły się w bok, lecz ci półkolem zabiegli im drogę. Jelenie, zbliwszy się w gromadkę, próbowały następnie pojedyńczo przebić coraz bardziej ścieśniający ich pierścień myśliwych. Spuszczono świeżą sforę. Psy z hałasem oskoczyły rozpaczliwie miotające się zwierzęta, kilka padło pod razami oszczepów, becząc żałośnie. Ówdzie szamotał się biedny jeleń psem, który uczepiony konwulsyjnym kurczem szczęk u szyi, coraz bardziej przegryzał mu gardziel. Tam znów, broniąc się do ostatka, ogromny rogacz już kilka psów wyrzucił w powietrze. Jedne z nich, choć potłóczone, jeszcze rwały się do boju, inne, z wyprutemi wnętrznościami, legły w bólach konania, skomląc przeraźliwie. Za dwoma, czy trzema jeleniami, które z nastawionemi rogami, przewracając i raniąc pieszych, skaleczywszy również konia pod jednym z dworzan, rzuciły się do lasu, puszczono się w pogoń, krótkotrwałą zresztą , bo wycieńczone ranami i walką jelenie popadały wkrótce przeszyte oszczepem.

Pozostawiliśmy Jagiełłę, gdy w pogoni za żubrem zniknął nam z oczu śród głębiny leśnej. Zwierz pomykał, dobywając wszystkich sił, a jeździec, jadąc u jego boku, wypuścił z rąk drzewce oszczepu, którego grot uwiązał przy pchnięciu między żebrami. Dobywszy miecza, chciał teraz sztychem uderzyć w słabiznę. Pchnięcie zawiodło, osunąwszy się po biodrze, a zwierz tymczasem dał nurka w takie gąszcza, że przebywać je jeźdzcowi, i to w pędzie, stało się niepodobieństwem. Zatrzymał tedy król konia i począł objeżdżać gęstwinę, gdy tymczasem psy, szarpiąc boki i uda żubra, ujadaniem wskazywały kierunek ucieczki. Trwała ta gonitwa dosyć długo, zwierz pomykał, a jeździec w pogoni nowe zadawał mu ciosy; przelecieli kawał puszczy, aż śród drzew i krzewów ukazała się rzeczka Narewka. Żubr rzucił się do wody, myśląc, że w niej znajdzie ratunek, lecz brzeg trochę bagnisty zmusił do zwolnienia biegu. Krew przytem, uchodząc obficie z ran, osłabiła go znacznie, to też wydostawszy się na przeciwny brzeg, przystanął, dysząc z osłabienia. Zwrócony łbem do nadjeżdżającego jeźdźca, żubr krwią zaszłemi ślepiami wodził dokoła, psy tymczasem otoczyły stojącego tak zwierza z zajadłem szczekaniem. Co śmielsze doskakiwały, już to chwytając za kudły, już suwając się ku udom, a wtedy najczęściej bolesny skowyt śród ogólnego ujadania rozdzierał powietrze i śmiałek kopnięty potężną racicą żubra wylatywał w powietrze, lub toczył się po murawie z połamanemi gnaty. Czasem jednak poszkodowany zrywał się bez znaczniejszego szwanku, a nauczony ostrożnością, z oddalenia skomląc, zaznaczał swą gorliwość w służbie łowieckiej.

Dla tak wytrwałego myśliwca, jakim był Jagiełło, widocznem było, iż zwierz dalej nie pójdzie i albo trzeba czekać, aż wskutek upływu krwi padnie na miejscu lub też dobić, narażając się na walkę, w której łatwo samemu paść ofiarą, gdyż żubr, aczkowiek osłabiony upływem krwi, jednak dość siły posiada, by jednem uderzeniem potężnych rogów, położyć trupem zbliżającego się doń śmiałka. W głąb puszczy zapędzony, zdala od zbierających po boru ubitą zwierzynę, żubr, jako zdobycz myśliwską uważanym być musiał za straconego. Tymczasem mrok powoli zapadał, a wysłana przez króla z powrotem do taboru służba, pewnoby śród nocy i gęstych nad rzeką zarośli padłego zwierza nie wyszukała, postanowił tedy król Władysław zaniechać rannego zwierza, a sam, zwróciwszy konia, ruszył brzegiem rzeki, aby dalej w mniej bagnistem miejscu przeprawić się z powrotem ku taborowi. W tę to poniekąd stronę i rzeczka powoli toczyła swe wody, rozdzielając śród wywrotów nieraz swe łożysko na kilka odnóg.

Jeszcze raz jednak zawrócił Jagiełło konia, żal mu bowiem było zostawiać oszczep, tkwiący dotąd w potężnym grzebiecie zwierza, a i dla bezpieczeństwa broń ta mogła być potrzebną. Kilkogodzinna droga nocą, śród puszczy, groziła niejedną przygodą, a lekki mieczyk u pasa słabą sta-

nowił obronę, gdyby przyszło najechać niespodzianie niedźwiedzi barłóg z małemi piastunami, — wtedy bowiem matka, nie czekając zaczepki, zwykła rzucać się pierwsza w obronie gniazda, — lub napotkać stadko wiecznie głodnych wilków. Żubr stał ciągle na jednem miejscu, coraz słabiej oganiając się psom, król podjechał bliżej, następnie spiąwszy rumaka, przeleciał mimo zwierza, wyrywając w pędzie pożądany oszczep. Żubr pchnął się całem ciałem ku jeźdzcowi, lecz zmyliwszy uderzenie potknął się silnie, ryjąc łbem ziemię. Krew strumieniem bluzgnęła z rany po oszczepie, a psy całą gromadą rzuciły się, szarpiąc ze wszech stron nieszczęśliwe zwierzę. Jeszcze raz żubr próbował powstać, lecz osłabiony padł i wkrótce chrapliwy ryk konania zmieszał się z harczeniem i skowytem gryzącej się między sobą psiarni o krwawe, życiem drgające jeszcze kęsy mięsa i wnętrzności.

Noc była cicha, miesiąc wszedłszy po nad drzewa rzucał swe promienie przez gęstwinę leśną. Znużony rumak stąpał powoli po ścieżce wydeptanej przez zwierzynę, przeciągając ponad brzegami rzeki. Jadący w zadumie król nie zauważył, że ścieżyna wijąc się śród zarośli, niepostrzeżenie oddala od Narewki i dopiero, kiedy na jednym skręcie światło miesiąca, który dotąd świecił z poza pleców oblało mu twarz, ocknął się, zatrzymawszy konia, począł rozpoznawać właściwy kierunek drogi.

Dla mieszkańca puszcz, od dziecka uganiającego się śród ostępów za zwierzem, za drogowskaz służą takie znaki, na które inny człowiek nie zwróciłby uwagi. Słońce, księżyc, gwiazdy, mech porastający ku północy, zwrócone boki drzew, pędy na krzewach śród leśnej polanki, pochylenie sosen, a wreszcie w noc zupełnie ciemną kierunek wiatru lub zmyślność wierzchowca, o ile, naturalnie, w tym ostatnim wypadku idzie o powrót do miejsca dłuższego pobytu lub stałego zamieszkania. Lecz w danej chwili noc była jasna, więc i kierunek odnaleść nie było trudno, zwróciwszy zatem koniem na prawo, począł się dostojny jeździec przedzierać na przełaj ku rzece. Po niewielkiej pochyłości trzeba było zjechać ku strumieniowi, którego brzegi pokrywały gąszcza, trudne do przebycia. Z drugiej strony widniało bagienko, poczem znów brzeg wznosił się nieco, pokryty szumiącą dąbrową. Ciemne sylwety starców leśnej flory wzbudzały jakiś podziw, szacunek i trwogę. Oblane mdłem światłem księżyca, stały poważnie one dęby w zwartej masie prawie czarnej zieleni, wyciągając tu i ówdzie groźne suchych konarów ramiona. Nie przerwany srebrzystym promieniem miesiąca cień zalewał podnóża olbrzymów. Dzięki niezwykle suchej jesieni rumak królewski łatwo przebył strumień i bagniska, a wydostawszy się na suchy brzeg, gdzie las był rzadszy, jak zwykle śród starodrzewia, a więc łatwiejszy do przebycia, potrząsnął głową i zarżał radośnie, na co w oddali het śród boru odpowiedziały mu również rżenia; znać tabun dzikich koni, które w owe czasy jeszcze dość licznie bory i łany Polski przebiegały, przyszedł do wodopoju lub nocuje w dąbrowie.

Ogromne, owiane urokiem księżycowej nocy dęby dziwne na zabobonny umysł Jagiełły poczęły czynić wrażenie. Toć to niedawno jak przodkowie jego i on sam u stóp niejednego z takich mocarzy leśnych, zanosił modły i ofiary do bóstw, w które obfitowała wiara litewska. Wspomniał śmierć żony Jadwigi, tego kwiatuszka z pod gorącego nieba Węgier, niedawną klęskę i utratę ziemi, i gromy, wiszące nad jego głową i krajami, których stał się władcą, w postaci nieuniknionej walki z Zakonem. I drżało serce tego nieustraszonego w boju rycerza przed niepewnością, ażali nie są to kary, wymierzone przez dawnych bogów Litwy, za odstępstwo, za zburzenie i pohańbienie ich wiątyń, za skazanych na tułaczkę kapłanów Perkuna i innych, do niedawna potężnych w jego mniemaniu bożyszcz. Koń tymczasem zwolna wspinał się na pagórek, porosły owemi dębami, skubiąc po drodze listki leszczyny lub wietrząc i strzygąc uszami, zdawał się badać bezpieczeństwo drogi. Nagle podniósł głowę, a postawiwszy uszy, zwolnił kroku. Jagielle zdało się, iż śród cieni drzew mignęła jakowaś postać ludzka, choć mógł to być również i spłoszony zwierz. Po chwili zaleciał go lekki zapach dymu ze smolistego drzewa pochodzący. Krzewy stały się niebawem gęstsze. Młode świerki zbitą masą zagradzały drogę, a po za nimi widniała zdala oblana światłem miesiąca polanka, na której jasnem tle misterną sylwetą wychodziły właśnie wierzchołki tych iglastych młodzianków. Prze-

bijając się przez ów gąszcz świerczyny, ujrzał król Władysław gromadkę mężczyzn, kobiet i dzieci uciekających do boru. Na polanie, śród kilku głazów, tu i ówdzie porzuconych, leżał olbrzymi posąg bożyszcza, z jednego pnia lipy wyciosany. Jasne drzewo, w oświetleniu księżyca, zdawało się przybierać kolor ciała ludzkiego. Leżał tedy, potwornem obliczem ku gwiazdom zwrócony, ten dawny symbol potęgi, a rumak Jagiełłowy stanął jak wryty, ujrzawszy dziwaczną postać na ziemi i ogień płonący na jednym z głazów. I byłby pewnie, zwinąwszy młynka, pomknął w gęstwinę, gdyby silna ręka jeźdźca nie powstrzymała go na miejscu; stał więc chrapiąc z przerażenia, a siedzący na nim jeździec, również doznawał silnego wrażenia i drżał zabobonnym strachem. Za gromadką uciekających oddalał się zwolna stary kapłan pogański, odziany w białą szatę. Doszedłszy do zarośli, zwrócił się ku Jagielle, a widząc rycerza, widział w nim zarazem wroga swej wiary, którą kryjomo wraz z wieloma mieszkańcami puszczy obserwował po dawnemu, zanosząc modły i ofiary na zgliszczach dawnych świątyń i niedostępnych uroczyskach. Podniósłszy rękę, starzec groził rycerzowi, nie przeczuwając nawet kogo ma przed sobą. Przywoływał pomsty bogów na króla, księcia i tych, co mu do obalenia wierzeń praojców pomogli.

— Gorsiście — wołał — od krzyżaków, bo ci przez dziesiątki lat tego nie uczynili, czego w ciągu lat kilku za sprawą litewskich książąt dokonali nowej wiary krzewiciele.

A król stał niemy z przerażenia; — zdawało mu się, że potworne, leżące u nóg jego konia bożyszcze ożyło i drga w lekkim blasku gorejącego na głazie ognia. Zniknęła już w głębi puszczy, jak stado spłoszonych jeleni, gromadka pogan, pogrążył się w cieniu dębów kapłan siwowłosy, a na polanie zapanowała cisza głucha. Tylko w dziupli starego drzewa hukała czasem sowa i trzaskały węgielki na wygasającem śród uroczyska ognisku.

Król stał dosyć jeszcze długo, ciekawie wpatrzony w miejsce, gdzie śród zarośli zniknął złorzeczący starzec, jakby czekał na dalszy ciąg żali, aż po chwili zwróciwszy konia, zwolna począł zjeżdżać z pagórka. W umyśle jego toczyła się walka. W oczach stała biedna, wystraszona gromadka dawnej wiary wyznawców, z kapłanem tułaczem na czele; z drugiej strony chrześcijanizm ukazywał się znów, w otoczeniu przepychu obrządków, bogactwa i potęgi swych wyznawców. Gdy dawnych bogów Litwy pilnuje garstka półnagich biedaków, nowego czczą najwięksi mocarze Europy. W umyśle Jagiełły, wschodnią kulturą przejętym, przepych i bogactwo szło w parze z wielkocśią i władzą. Jakże silnym więc musi być ten nowy Bóg, którego sługami zowią się tak potężni wyznawcy. Tu zdjął go strach, czy przez chwilę zwątpienia nie naraził się temu potężnemu Władcy i czy stąd nie zasłużył na karę. Jechał więc król Władysław z niepokojem i niepewnością w sercu, a później, już nocą, znalazłszy się w obozie, długi czas przepędził na pobożnych rozmyślaniach i gawędzie z księdzem podkanclerzym, poczem pogrążony w modlitwie, byłby może przeklęczał tak do rana, gdyby mu modłów nie przerwał sam podkanclerzy, tłómacząc, iż dla dobra wiary i kraju powinien zachować siły, a zatem i spoczynek jest dlań konieczny.

Długa nieobecność króla zaniepokoiła wszystkich, porozsyłano nawet w różne strony jeźdźców i pieszych na poszukiwania i jeden właśnie z takich podjazdów spotkał Jagiełłę już nieopodal taboru. Tak się zakończył pierwszy dzień łowów, a było takich dni w różnych stronach kraju i w samej Białowieskiej puszczy jeszcze bardzo wiele. Z przezornością bowiem litewskich gospodarzy gromadzono zapasy na wyprawę. Żubrowym mięsem wykarmiony żołnierz walczył potem, jak żubr na polach Grunwaldu i Tanenbergu.

Świetne zwycięstwo nad Zakonem umocniło króla Władysława jeszcze bardziej w nowej wierze, jako, że przed bitwą godziny całe przepędził na modlitwie, prosząc o zesłanie kary na fałszywe sługi Chrystusa, krzyżaków, którzy się za bojowników krzyża chytrze podawali.

JÓZEF RYSZKIEWICZ